

AMY TAN



Żona
kuchennego boga

Prószyński i S-ka

Amy Tan

Żona kuchennego boga

(Przełożyła: Ryszarda Jaworska)



Z szacunkiem i miłością mojej matce Daisy Tan oraz jej szczęśliwym wspomnieniom o moim ojcu Johnie (1914-1968) i bracie Peterze (1950-1967).

Moja wdzięczność należy się także innym matkom tej książki:

Sandrze Dijkstra, Molly Giles i Faith Sale.

Jako pisarka wiele skorzystałam z ich rad i mądrości. Ich przyjaźń dodawała mi otuchy.

Dziękuję również Robertowi Foothrapowi, Gretchen Schields oraz Lou DeMattei za ciepło, poczucie humoru i chińskie potrawy na wynos: istotne składniki, potrzebne przy pisaniu tej książki.

I

Sklep bogów

Kiedy matka ze mną rozmawia, zawsze mówi tak, jakbyśmy właśnie się o coś spierały.

- Pearl-ah, muszę iść, nie ma wyjścia - oznajmiła, zadzwoniwszy do mnie w zeszłym tygodniu.

Po paru minutach dowiedziałam się, o co chodziło: ciocia Helen zaprasza całą rodzinę na przyjęcie zaręczynowe Bao-bao.

„Cała rodzina” oznacza Kwongów i Louie. Kwongowie to ciocia Helen, wuj Henry, Mary, Frank i Bao-bao. W ostatnich czasach rodzina Louie to tylko matka i ja, ponieważ mój ojciec nie żyje, a brat Samuel mieszka w New Jersey. Nazywaliśmy się „całą rodziną”, odkąd sięgam pamięcią, mimo że Kwongów nie łączą z nami prawdziwe więzy krwi, tylko powinowactwo; brat mojej matki, który zmarł na długo, zanim przyszedłam na świat, był pierwszym mężem ciotki Helen.

Kuzyn Bao-bao naprawdę nazywa się Roger, ale od dziecka wszyscy wołali na niego Bao-bao, co znaczy „cudowne niemowlę”. Później tak już zostało, bo był straszną beksą. Kiedy tylko ciocia i wujek wracali do domu, natychmiast zaczynał ryczeć i skarżyć, że się nad nim znęcamy. Teraz ma już trzydzieści jeden lat, ale dla nas dalej pozostał Bao-bao i ciągle się na nim wyżywamy.

- Bao-bao? - zapytałam. - Jakim cudem można dla niego urządzać zaręczyny? Przecież był już dwa razy żonaty.

- A zaręcza się po raz czwarty! - uściśliła matka. - Ostatnim razem w końcu się nie ożenił. Zerwał, kiedy już wysłaliśmy mu prezent. Rzecz jasna, Helen nie mówi, że to z okazji zaręczyn, tylko że z okazji przyjazdu Mary.

- Mary przyjeżdża? - zapytałam.

Mary jest dla mnie kimś więcej niż tylko kuzynką. Wyszła za Douga Chue, który chodził do szkoły medycznej razem z moim mężem Philem Brandtem i w zasadzie to dzięki niej poznaliśmy się przed szesnastoma laty.

- Tak. Jej mąż i dzieci także - potwierdziła matka. - Przylatują w przyszłym tygodniu z Los Angeles. Nie zdążyli dostać żadnych zniżek. Pełna taryfa, wyobrażasz sobie?

- W przyszłym tygodniu? - upewniłam się, od razu szukając wymówki. - Trochę już za późno, żebyśmy zmieniali plany. Mieliśmy zamiar...

- Ciocia Helen już was zdążyła wliczyć. Wystawny bankiet w restauracji „Wodny Smok”, pięć stolików. Jeśli nie przyjdziecie, to zabraknie jej połowy stolika.

Wyobraziłam sobie niską i pulchną ciocię Helen, jak stoi z połową stolika w ręce.

- Kto jeszcze ma przyjść?

- Mnóstwo wielkich, ważnych ludzi - odparła matka, która zwykle używała słowa „ważny” na określenie osób, których nie lubiła. - Oczywiście, ona mówi wszystkim zaproszonym, że przyjdzie też Bao-bao z nową narzeczoną, i wtedy każdy pyta: „Narzeczoną? To Bao-bao ma nową narzeczoną?” A ona na to: „Och, zapomniałam, to ma być niespodzianka. Obiecaj, że się nie wygadasz”. - Matka prychnęła. - W ten sposób wszyscy już wiedzą i teraz trzeba też przynieść prezent - niespodziankę. Co kupiłaś ostatnim razem?

- Dla Bao-bao i tej dziewczyny z college'u? Nie pamiętam, chyba talerz na słodycze.

- Odesłał ci, jak z nią zerwał?

- Chyba nie. Nie przypominam sobie.

- Widzisz? Tacy właśnie są Kwongowie. Tym razem nie wydawaj za dużo.

Zadzwoiła znowu na dwa dni przed przyjęciem.

- Teraz już na wszystko za późno - oznajmiła, zupełnie jakby miała do mnie o coś pretensję.

Później powiedziała, że cioteczna babka Du zmarła w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Ta wiadomość zupełnie mnie zaskoczyła, bo byłam święcie przekonana, że babka Du nie żyje już od bardzo dawna.

- Zostawiła ci kilka ładnych rzeczy - powiedziała matka. - Możesz przyjechać i zabrać je w ten weekend.

Cioteczna babka Du była tak naprawdę krewną cioci Helen, przyrodnią siostrą jej ojca czy coś w tym guście, niemniej pamiętam dobrze, że pomagała jej głównie moja matka. Co tydzień wyrzucała jej śmieci i pilnowała, żeby starsza pani nie

abonowała wszystkich czasopism, których ogłoszenia przychodziły pocztą z jej nazwiskiem wydrukowanym obok słów „milion dolarów”. Wiecznie słała też podania do MediCal¹, żeby jej zwracali za wydatki na leki ziołowe.

Matka od lat narzekała, że ciotka Helen wysługuje się nią w tych sprawach. „Helen! Ona to nawet nie zaproponuje” - mawiała.

Wreszcie raz, może dziesięć lat temu, wytrąciłam jej broń z ręki.

- Zamiast narzekać, czemu jej zwyczajnie nie powiesz, że cię to złości?

To Phil wymyślił, że trzeba jej podsunąć takie logiczne rozwiązanie. Uważał, że zda sobie sprawę, co ją naprawdę dręczy, i zaradzi temu.

Jednak kiedy powiedziałam jej o tym, spojrzała na mnie pustymi oczami i nie odezwała się ani słowem. Owszem, przestała narzekać, a szczerze mówiąc, nie rozmawiała ze mną wcale przez bite dwa miesiące, potem zaś już nigdy o ciotecznej babce nie wspominała. Pewnie dlatego wydało mi się, że staruszka dawno umarła.

- Kiedy to się stało? - zapytałam, starając się okazać smutek i zaskoczenie. - Wylew?

- Autobus - odparła matka.

Okazuje się, że babka Du do samego końca cieszyła się niespożyтым zdrowiem. Jechała autobusem California One, który skręcił gwałtownie na pobocze, żeby uniknąć zderzenia z „wyścigówką pełną nastolatków”, jak to określiła matka, i przewrócił po drodze znak stopu. Babką Du szarpnęło mocno do przodu i upadła w przejściu między fotelami.

Matka, rzecz jasna, natychmiast odwiedziła ją w szpitalu. Doktorzy nie wykryli niczego niepokojącego oprócz zwykłych siniaków i stłuczeń, ale cioteczna babka Du uznała, że nie może czekać, aż zauważą to, o czym ona już doskonale wie. Kazała matce spisać swoją ostatnią wolę: kto ma dostać dziwaczną trzydziestoletnią kanapę, czarno-biały telewizor i tego typu rzeczy. Późną nocą zmarła z powodu jakiegoś nie wykrytego wstrząsu. Ciotka Helen wybierała się do niej z wizytą następnego dnia, ale było już za późno.

- Bao-bao Roger zapowiedział, że podamy ich do sądu, chciał miliona dolarów, wyobrazasz sobie? - ciągnęła matka. - Cały on. Kiedy się dowiedzieliśmy, że ciotka Du nie żyje, wcale nie płakał, tylko od razu zaczął planować, jak zarobić na jej śmierci! Ha! Niby czemu miałabym mu mówić, że dostał w spadku dwie lampy? Może po

¹ MediCal - jedno z amerykańskich towarzystw ubezpieczeniowych (przyp. tłum.).

prostu zapomnę. - Zamyśliła się na chwilę. - Dobra z niej była kobieta. Już czternaście wieńców. Oczywiście wszystkim damy dwudziestoprocentową zniżkę - dodała szeptem.

Matka i ciocia Helen są współwłaścicielkami kwiaciarni Ding Ho przy alei Ross w chińskiej dzielnicy. Wpadły na ten pomysł jakieś dwadzieścia pięć lat temu, kiedy zmarł mój ojciec, a ciocię Helen wyrzucono z pracy. Wydaje mi się, że kwiaciarnia miała im zadośćuczynić za wszystkie życiowe katastrofy.

Matka skorzystała z pieniędzy ofiarowanych przez Pierwszy Kościół Chińskich Baptystów, w którym mój ojciec służył jako wikary. Wkład cioci Helen pochodził z oszczędności, które porobiła, pracując w innej kwiaciarni; stamtąd wzięła się też jej wiedza o branży i stamtąd ją wylano. „Za to, że byłam zbyt uczciwa” - jak to nam później wyjawiała. Zdaniem matki chodziło jednak o to, że ciocia Helen chciała zaoszczędzić klientom wydatku i namawiała ich zawsze na najtańsze wiązanki.

- Czasem żałuję, że się wżeniłem w chińską rodzinę - powiedział Phil, słysząc, że musimy jechać do San Francisco, sto mil w obie strony z naszego domu w San Jose, w dodatku w weekend, w porze największego ruchu. Przez piętnaście lat naszego małżeństwa bardzo przywiązał się do mojej matki, ale mimo to jej żądania wciąż go dobijały. Weekend w towarzystwie „całej rodziny” to z pewnością nie najmiły sposób spędzenia czasu wolnego od szpitalnych obowiązków.

- Naprawdę musimy jechać? - dopytywał się beznamiętnie.

Zabawiał się właśnie nowym programem, który dopiero co wgrał sobie do laptopa. Nacisnął jakiś klawisz.

- Juhu! - zawołał do ekranu, klaszcząc w ręce.

Phil ma czterdzieści trzy lata. Ze swymi sterczącymi siwymi włosami robi zwykle wrażenie bardzo dystyngowanego i pełnego rezerwy, jednak w takich momentach emanuje czystą, dziecięcą radością chłopca, bawiącego się nakręcanym okrętem wojennym.

Udawalam, że też jestem zajęta, przeglądając ogłoszenia o pracy. Trzy miesiące temu przyjąłem stanowisko terapeutki od spraw języka i wymowy w miejscowym kuratorium. Podobała mi się ta praca, ale martwiłam się w duszy, że lepsze propozycje przeszły mi koło nosa. To przez mamę.

- Dwoje? Tylko dwoje ludzi chciało tam pracować? - dziwiła się, kiedy jej oznajmiłam, że wybrano mnie z pominięciem dwojga innych kandydatów.

Phil podniósł głowę znad komputera. Wyglądał na zatroskanego. Wiedziałam, o czym myśli: o moim „stanie”, jak na to mówiliśmy, czyli o stwardnieniu rozsianym, które na szczęście nie upośledziło mnie całkowicie, ale sprawiało, że łatwo się męczyłam.

- To będzie ciężki weekend - powiedział - a poza tym wydawało mi się, że nie możesz ścierpieć kuzyna Bao-bao, nie wspominając o Mary. Boże, co za niefort.

- Aha.

- I nie możesz się z tego wykręcić?

- Y-ym.

Westchnął i na tym rozmowa się skończyła. Przez lata małżeństwa nauczyliśmy się omijać sprawy moich zobowiązań rodzinnych. Kiedyś stąd brało się najwięcej kłótni. Na początku Phil zarzucał mi, że kieruję się ślepym przywiązaniem do strachu i poczucia winy. Odpowiadałam, że jest egoistą i że życie nie składa się z samych przyjemności. On na to, że twierdzę tak, bo dałam sobie wmówić, że nie mam wyboru, teraz zaś usiłuję narzucić mu to samo. Później urodziła się Tessa, nasze pierwsze dziecko, a po roku stwierdzono u mnie chorobę. Nasze kłótnie przybrały inny kształt.

Nie walczyliśmy już ze świętym zapałem o filozoficzne różnice, dotyczące indywidualnych wyborów, być może dlatego, że Phil wyrobił w sobie poczucie obowiązku wobec dziecka i mnie, a przynajmniej mojego „stanu”. Cała kwestia dotycząca jednostkowych decyzji zrobiła się podejrzana, trudna do obrony, aż wreszcie obumarła wraz z paleniem papierosów, jedzeniem cielęciny i noszeniem ozdób z kości słoniowej.

W tamtym okresie kłóciliśmy się o szczegóły, takie jak to, że poddaję się żądaniom Tessy o pół godziny telewizji więcej, nie zaś o generalnie różne podejście do dyscypliny. W końcu prawie zawsze dochodziliśmy do porozumienia, może nawet zbyt ochoczo, gdyż za dobrze znaliśmy rezultaty sprzeczek.

Dzięki temu nasze życie płynie gładziej i łatwiej. Niekiedy mnie to martwi. Właściwie czasem marzy mi się powrót do dawnych dni, kiedy Phil szermował argumentami, a ja broniłam swego zdania i przekonywałam o swych racjach siebie samą.

Teraz, na przykład dzisiaj, nie wiem już dokładnie, czemu ulegam rodzinnym przymusom. Nie przyznałabym się do tego Philowi za żadne skarby świata, ale ten obowiązek zaczął mi ciążyć. Nie mam ochoty widzieć się z Kwongami, szczególnie z Mary. Natomiast kiedy jestem z mamą, wydaje mi się, że cały czas balansuję nad polem minowym.

Pewnie z poczucia winy wobec Phila albo gniewu na samą siebie nie powiedziałam mu od razu, że musimy zostać na noc, by następnego dnia wziąć także udział w pogrzebie ciotecznej babki Du.

Tego fatalnego weekendu postanowiliśmy przyjechać do San Francisco jak najwcześniej, żeby się spokojnie urządzić i może nawet zabrać dziewczynki do zoo. Poprzedniego dnia odbyła się naturalnie uprzejma kłótnia z moją matką na temat tego, gdzie mamy się zatrzymać.

- To bardzo miło z twojej strony, Winnie - tłumaczył jej Phil przez telefon - ale już zarezerwowaliśmy sobie pokoje w hotelu.

Podśluchiwałam z drugiego aparatu, szczęśliwa, że to on się przed nią tłumaczy.

- W którym hotelu? - zapytała.

- W TravelLodge - skłamał gładko; tak naprawdę mieliśmy rezerwację w Hayacie.

- Aj, to strasznie dużo kosztuje! - zawołała. - Po co tyle wydawać? Możecie zatrzymać się u mnie, jest dosyć miejsca.

- Nie, nie, naprawdę. To za duży kłopot - wycofywał się Phil zgrabnie.

- Kłopot dla kogo?

I oto teraz Phil rozlokowuje dziewczynki w pokoju należącym niegdyś do mego młodszego brata. Zawsze je tu zostawiamy, kiedy wyjeżdżamy razem na sympozja medyczne. Bogiem a prawdą, czasami tylko mówimy, że wybieramy się na zjazd, a w istocie wracamy po prostu do domu, żeby zająć się wszystkimi rzeczami, których nie da się zrobić przy dzieciach.

Phil postanowił, że ośmioletnia Tessa położy się na podwójnym łóżu, a trzyletnią Cleo umieścimy na wysuwanej kozetce.

- Tym razem to ja powinnam spać na łóżku. Tak powiedziała Ha-bu!

- Oj, Cleo, przecież ty lubisz spać na kozetce - przekonuje ją Tessa.

- Ha-bu! Ha-bu! - Cleo woła moją matkę na ratunek.

Phil i ja dostajemy mój stary pokój, pełen staromodnych mebli. Nie mieszkałam tu od wyjścia za mąż, ale oprócz tego, że jest tu może trochę za czysto, wszystko wygląda tak samo, jak za dawnych lat: podwójne łóżko z ciężką ramą i solidnymi nogami oraz fornirowana toaletka z okrągłym lustrem, wykładana dębem, jesionem i macicą perłową. To zabawne, ale kiedyś jej nie znosiłam. Teraz nawet mi się podoba takie art deco. Ciekawe, czy matka pozwoliłaby mi ją zabrać.

Pod łóżkiem znalazłam stare chińskie kapcie, każdy z pokaźną dziurą na wielkim palcu. W tym domu niczego się nie wyrzuca, na wypadek gdyby dwadzieścia lat później mogło się na coś przydać.

Tessa i Cleo buszowały chyba po szafie, przeglądając pudełka ze starymi zabawkami i innymi śmieciami, bo obok kapci leżą ubranka dla lalek, diadem ze sztucznych diamentów i różowa plastikowa kasetka na biżuterię z napisem „Moje skarby”.

Na drzwiach powiesiły tę idiotyczną gwiazdę w hollywoodzkim stylu, którą zrobiłam w szóstej klasie. Litery z koralików układały się w moje imię: PEARL.

- O rany - nabijał się Phil. - TravelLodge ani się umywa.

Klepnęłam go po udzie, a on pogładził leżące na łóżku gościnne ręczniki nie do pary. Dostaliśmy je od Kwongów, kiedy nasza rodzina przenosiła się z chińskiej dzielnicy do Richmond, czyli dobre trzydzieści lat temu.

Tessa i Cleo wpadają do naszego pokoju, domagając się, żeby już jechać do zoo. Phil je zabierze, a ja pójdę trochę pomóc w kwaciarni Ding Ho. W zasadzie matka nie prosiła mnie o to, ale oznajmiła zbolalym głosem, że ciotka Helen chce się wyszykować na przyjęcie, więc wcześniej wychodzi, mimo że zostało tyle do zrobienia, a pogrzeb już jutro.

Matka przypomniała mi, że babka Du „była ze mnie bardzo dumna”, co w naszej rodzinie zastępuje określenie „kochała”. Podsunęła, że powinnam przyjść wcześniej, żeby wybrać ładny wieniec.

- Wrócę o wpół do szóstej - mówię Philowi.

- Chcę zobaczyć słonia afrykańskiego - zwierza się tymczasem Tessa, podskakując na łóżku, po czym wylicza na palcach: - i misie koala, i mrówkojada, i wieloryba.

Często się zastanawiałam, skąd wzięło jej się układanie takich list. Od Phila? Ode mnie? Może z telewizji?

- Nie zapomnij powiedzieć „proszę” - upomina ją Phil. - i nie wyobrażaj sobie, że w zoo trzymają wieloryby.

- A ty co chcesz zobaczyć? - zwracam się do Cleo.

Spuszcza głowę i zastanawia się przez chwilę. Martwię się czasami, że pewna siebie starsza siostra za bardzo ją przytłacza.

- Niefarty - mówi w końcu.

Skrećam w aleję Ross i nagle wszystko robi się trochę inne, jakby przytłumione. To już nie słoneczne popołudnie w chińskiej dzielnicy i tłumy ludzi podczas sobotnich zakupów.

W alei jest dużo ciszej, a przydymione światło wpada w odcień zieleni.

Po prawej stronie ulicy znajduje się wciąż ten sam stary zakład fryzjerski, prowadzony przez Ala Fooka, który nadal używa elektrycznych maszynek do przycinania baczków. Po lewej od lat te same rodzinne interesy, łącznie z agencją, która za określoną opłatą wysyła do Chin wspomnienia o zmarłych. Nieco dalej witryna wróżki; w oknie ręcznie napisana kartka zapewnia „najszcześniejsze numery, najpomyślniejsze przepowiednie”, ale informacja na drzwiach głosi: „W likwidacji”.

Cicho szeleści poźółkła roleta. Pojawia się za nią mała dziewczynka z dłońmi przyciśniętymi do szyby. Przygląda mi się ponuro. Macham jej, ale nie reaguje. Uznała mnie widać za obcą; tak się zresztą czuję.

Dochodzę teraz do sąsiadującego z kwaciarnią Przedsiębiorstwa Handlowego „Sam Fook”. Ich półki uginają się pod amuletami i setkami figurek bożków przynoszących szczęście.

Odkąd sięgam pamięcią, zawsze nazywałam to miejsce „sklepem bogów”. Sprzedają tam również wszystko, czego potrzeba do buddyjskiego pogrzebu: pieniądze dla dusz, papierową biżuterię, kadzidelka i tym podobne.

- Hej, Pearl!

To pan Hong, właściciel, macha na mnie, żebym do nich zajrzała. Pamiętam, że kiedy go spotkałam, byłam święcie przekonana, że nazywa się Sam Fook, tak jak sklep. Później dowiedziałam się, że sam fook to po starokantońsku „potrójne

błogosławieństwo", chociaż według mamy czy raczej jej klientów z Hongkongu, brzmi co najmniej śmiesznie, trochę jak „trzech głupków”.

„Mówiłam mu, żeby zmienił nazwę - opowiadała mi matka. - Miałby większe powodzenie. Ale on twierdzi, że i tak ma już za duży ruch w interesie”.

- Hej, Pearl! - powtarza pan Hong na mój widok. - Mam tu parę rzeczy dla twojej mamy na jutrzejszy pogrzeb. Zaniesiesz jej?

- Okay - odpowiadam i biorę pakunek. Domyślam się z tego, że pogrzeb ciotecznej babki Du ma się odbyć w obrządku buddyjskim, chociaż wraz z moją mamą należała przez wiele lat do Pierwszego Kościoła Chińskich Baptystów. Przestały chodzić zaraz po śmierci mego ojca. Zresztą wydaje mi się, że babka Du nigdy nie wyrzekła się swoich przekonań, nie do końca związanych z buddyzmem; była to raczej ot, garść zabobonów i rytuałów, mających przynosić szczęście.

Podczas odwiedzin zawsze bawiłam się jej ołtarzykiem, miniaturą czerwonej świątyni z oprawionym w ramkę obrazem jednego z chińskich bogów. Stała przed nim urna z imitacji blachy z resztkami wypalonych kadzidełek i ofiar z pomarańczy, do tego papierosy lucky strike i czerwony johnnie walker w maleńkiej buteleczce z samolotu. Trochę jak chińska wersja bożonarodzeniowego żłobka.

Wreszcie docieram do kwiaciarni, ulokowanej na parterze piętrowego budynku z cegły. Pomieszczenie nie jest większe od garażu. Wygląda równocześnie znajomo i smutno. Odrapane drzwi z czerwonymi framugami pokrywa zardzewiała siatka antywłamaniowa. Na oknie napis po chińsku i angielsku: „Kwiaciarnia Ding Ho”. Nietrudno ją przegapić, bo mieści się trochę w głębi, poza tym nie widać, czy w środku pali się światło, więc robi wrażenie zamkniętej.

Dzisiaj też.

Mama i ciocia Helen nie wybrały najbardziej ruchliwego miejsca, ale mimo to nie powodzi im się najgorzej. Właściwie to ciekawe. Przez te wszystkie lata nie próbowały nawet nadażać za modą ani przyciągać nowych klientów.

Kiedy otwieram drzwi, brzęczy dzwonek. Uderza mnie mocny zapach gardenii, jak zawsze kojarzący mi się z domem pogrzebowym.

W środku panuje półmrok. Jedyna świetlówka wisi nad kasą. Właśnie tam stoi matka na małym stołeczku, tak żeby widzieć, co dzieje się za ladą. Na nosie ma groszowe okulary do czytania.

Rozmawia po chińsku przez telefon. Macha niecierpliwie ręką, żebym weszła i zaczekała. Uczesala się w koczek; każdy włos na swoim miejscu. Dzisiaj pogrubiała trochę kok pękiem fałszywych włosów (nazywa je „końskim ogonem”), co robi tylko od wielkiego dzwonu.

Teraz już słyszę, że mówi bardzo szybko, wysokim, ostrym tonem. Po przewadze niezadowolonego „wu-wu-wu” poznaję, że kłóci się z kimś w dialekcie szanghajskim, to nie zwyczajny mandaryński. Poważna sprawa.

Nerwowo wybiera cyfry na podręcznym kalkulatorze i podniesionym głosem odczytuje wyniki, zupełnie jakby wymieniała paragrafy kodeksu karnego. Chyba rozmawia z miejscowym dostawcą.

Naciska klawisz „operacja bezgotówkowa” i z wysuniętej szuflady kasy wyjmuję zwinięty rachunek. Rozprostowuje go strzepnięciem ręki i głośno czyta liczby.

- Wu! Wu! Wu! - upiera się.

Kasa jest zepsuta i trzyma się w niej tylko mało użyteczne drobiazgi. Matka i ciotka Helen kupiły sklep wraz z wyposażeniem i szybko odkryły, że jeśli próbują wybić kwotę zawierającą cyfrę dziewięć, cała kasa od razu się zawiesza. Postanowiły ją jednak zostawić jako „przynętę dla rabusiów”, jak wyjaśniła mi mama. Gdyby je ktoś kiedyś napadł, co jeszcze miało się zdarzyć, złodziej dostanie tylko cztery dolary i garść drobnych, właśnie tyle tam jest. Prawdziwy utarg trzyma się pod ladą, w imbryku z dwukrotnie klejonym dzióbkiem, który stoi na elektrycznej fajerce bez wtyczki. Chyba chodzi o to, że nikt nie połaszczyłby się na filiżankę zimnej herbaty.

Powiedziałam kiedyś mamie i cioci Helen, że bandyta nigdy by nie uwierzył, że sklep ma całego majątku cztery dolary. Uważałam, że dla większej wiarygodności powinny tam wsadzić co najmniej dwadzieścia. Matka jednak twierdziła, że dwadzieścia to stanowczo za dużo dla złodzieja, a ciocia Helen oświadczyła, że „strata takiej sumy wpędziłaby ją do grobu”. Na co zdałaby się wtedy cała sztuczka?

Swego czasu chciałam dać im dwadzieścia dolarów, żeby udowodnić, że mam rację. Zreflektowałam się potem. Właściwie w czym rzecz? Kiedy teraz rozglądam się po sklepie, wydaje mi się, że chyba miały rację. Komu przysłoby do głowy, że napadając na taką kwiaciarnię, zdobędzie więcej niż na bilet autobusowy? Nie, to miejsce samo broni się przed rabunkiem.

Dwudziestopięcioletnia betonowa podłoga jest już tak zdeptana, że zaczęła błyszczeć. Ladę pokrywa ten sam papier: po bokach sploty biało-zielonych bambusów,

a u góry drewniane słoje. Nawet telefon to niezmiennie stary czarny aparat z tarczą i nierozciągliwym kablem w osłonie z dzianiny. Przez lata cytrynowe ściany spłowiły i pokryły się plamami, znać też na nich pęknięcia po trzęsieniu ziemi z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Brakuje tylko pajęczyn i pleśni.

- Hou, hou - słyszę.

Chyba dogadała się z dostawcą i wreszcie odkłada słuchawkę. Mimo że nie widziałyśmy się od Bożego Narodzenia, czyli ponad miesiąc, nie ściskamy się ani nie całujemy, jak to zwykle ma miejsce z rodziną i przyjaciółmi Phila. Matka wychodzi z za lady, mrucząc pod nosem:

- Wyobrażasz sobie? Ten facet mnie oszukuje! Chciał mi policzyć za ekspresową dostawę - tu wskazuje na pudło z przezroczystym celofanem i arkuszami zielonego woskowanego papieru. - To nie moja wina, że zapomniał przyjechać w zeszłym tygodniu.

- Ile chciał?

- Trzy dolary!

Nigdy nie przestaje mnie zadziwiać, ile nerwów zjada matce najdrobniejsza kwota.

- Daj spokój, to drobiazg.

- Nie chodzi o pieniądze! - prychna. - On oszukuje. To nie w porządku. W zeszłym miesiącu też próbował coś mi doliczać.

Widzę, że szykuje się do szczegółowego opisu kłótni, kiedy do sklepu zaglądną nagle dwie dobrze ubrane blondynki.

- Otwarte? Czy któraś z pań mówi po angielsku? - pyta jedna rozwlekłym teksańskim akcentem.

Twarz matki rozpromienia się natychmiast.

- Wejdźcie, wejdźcie!

- Och, proszę sobie nie robić kłopotu. Chciałyśmy tylko zapytać, którądy się idzie do wytwórni ciasteczek na szczęście.

Zanim udaje mi się otworzyć usta, matka sztywnieje i potrząsa głową.

- Nie rozumiem - mówi. - Nie znać angielskiego.

- Czemu tak powiedziałaś? - pytam, kiedy kobiety znikają za rogiem. - Nie wiedziałam, że tak nie znosisz turystów.

- Nie o to chodzi. Właścicielka tej fabryczki zrobiła mi kiedyś na złość. Po co mam jej posyłać dobrych klientów?

- A jak tobie idzie? - zmieniam temat, próbując zapobiec dłuższej tyradzie na temat kobiety od ciasteczek.

- Fatalnie! - odpowiada, rozglądając się dookoła. - Mam tyle pracy. Zaharowuję się na śmierć. Popatrz tylko - to wszystko zrobiłam sama dziś rano.

Popatrzyłam. Nie ma tam współczesnych kompozycji z giętych gałązek albo koszyków z egzotycznymi roślinami o łacińskich nazwach.

Matka otwiera szklane drzwi chłodni, w której niegdyś trzymano butelki z oranżadą i piwo.

- Widzisz? - mówi, pokazując półkę pełną kompozycji z goździków; bukietiki dla pań i kwiaty do butonierek, poukładane według kolorów: białe, różowe i czerwone. Niektóre z nich będziemy pewnie musieli nosić dziś wieczorem.

- I to - ciągnie.

Na drugiej półce stoją ciasno wazoniki z mlecznego szkła, a w każdym jeden pączek róży. Takie kwiaty zanoszą się znajomym, kiedy czeka ich operacja i nie wiadomo, czy długo jeszcze pożyją. Ojciec dostał ich mnóstwo, kiedy pierwszy raz poszedł do szpitala, a potem drugi raz, na krótko przed śmiercią.

- Bardzo popularne - mówi matka. - A to tutaj też musiałam robić sama.

Tu pokazuje dolną półkę, uginającą się od stroików na stół.

- Część na dziś, a część na pożegnalne przyjęcie z okazji przejścia na emeryturę - wyjaśnia. Wydaje jej się pewnie, że nie zrobiła na mnie odpowiedniego wrażenia, więc dodaje: - Dla zastępcy dyrektora w Wells Fargo.

Oprowadza mnie wokół innych dzieł swoich rąk. O ścianę opierają się wielkie wieńce pogrzebowe. Ich widok zawsze mnie zasmuca - przypominają strojne koła ratunkowe, rzucane za późno.

- No i co? - dopytuje się.

- Bardzo ładne.

Teraz kieruje mnie do swej największej dumy. Od frontu, w jedynym miejscu sklepu, do którego przez kilka godzin dociera trochę dziennego światła, stoją jej „długofalowe interesy”: filodendrony, drzewka kauczukowe i miniaturowe drzewka pomarańczy. Ozdabiają je czerwone chorągiewki, pełne gratulacji dla tego czy innego przedsiębiorstwa z okazji otwarcia nowego sklepu.

Matka zawsze szczyliła się tymi wstęgami. Nie wypisuje utartych życzeń, jak „powodzenia” albo „zdrowia i szczęścia”. Sama wymyśla powinszowania, kaligrafując je później złotymi chińskimi znakami. Wszystkie pochodzą z jej własnych przemyśleń na temat życia, śmierci, powodzenia i nadziei. „Pierwszorzędnego życia dla pierwszego dziecka”, „Oby nawet pieniądze dobrze pachniały w twojej nowej restauracji”, „Zdrowie szybko wraca, nadzieja nie umiera”, „Podwójnie szczęśliwe małżeństwo potraja rodzinną fortunę”.

Matka twierdzi, że to dzięki jej życzeniom kwiaciarnia Ding Ho radzi sobie tak dobrze. Uważa za sukces, że ci sami ludzie przychodzą do niej od dwudziestu pięciu lat. Tyle tylko, że coraz mniej dostaje zamówień dla nieśmiałych panien młodych i zakłopotanych oblubieńców, wciąż więcej zaś dla chorych, starych i zmarłych.

Matka uśmiecha się przewrotnie i ciągnie mnie za łokieć.

- Pokażę ci teraz wieniec dla ciebie.

Ogarnia mnie przerażenie, ale po chwili domyślam się, o czym mówi. Otwiera drzwi magazynu. W środku panują grobowe ciemności; czuję tylko przytłaczający zapach pogrzebowych kwiatów. Matka szuka sznurka, którym zapala się światło. Wreszcie włącza nagą żarówkę, huśtającą się na długim przewodzie, który zwisa z wysokiego sufitu.

Widok, który ukazuje się moim oczom, jest piękny i straszny zarazem. Rzędy błyszczących wieńców z białych gardenii i żółtych chryzantem. Czerwone szarfy, zwieszające się ze stojaków, wyglądają jak jednakowo umundurowani przedstawiciele nieba.

Przytłacza mnie ogrom pracy, jaki w to włożyła. Wyobrażam sobie, jak jej drobne dłonie ciągną ze złością niesforne liście, wpychają ostre końce drutu i układają każdy kwiat na właściwym miejscu.

- To ten.

Wskazuje na wieniec w środku pierwszego rzędu, nie różniący się niczym od innych.

- Ten jest twój. Sama napisałam życzenia.

- Co to znaczy? - pytam.

Jej palce biegną wolno w dół czerwonej szarfy. Czyta w literackiej chińszczyźnie, której nie rozumiem, a później tłumaczy: „Żegnaj, cioteczna babciu, w

niebie czeka cię szczęście. Od twej ulubionej siostrzenicy, Pearl Louie Brandt z mężem".

- Och, byłabym zapomniała! - wołam, wręczając jej pakunek z „Sam Fook”. - Pan Hong prosił, żeby ci to przynieść.

Matka pociąga za wstążkę i otwiera pudełko. W środku leży kilkanaście zwitków „duchowych banknotów”; to pieniądze, którymi babka Du ma się wkupić do chińskiego nieba.

~ Nie wiedziałam, że w to wierzysz.

- Niby w co tu wierzyć. To kwestia szacunku - obrusza się matka, po czym dodaje łagodniej: - Dostałam sto milionów dolarów. Aj, dobra z niej była kobieta.

- No, zaczyna się - mówię, biorąc głęboki oddech, kiedy wchodzimy po schodach wiodących do sali bankietowej .

- Pearl! Phil! Przyszliście! - woła kuzynka Mary.

Odkąd dwa lata temu przeniosła się do Los Angeles, nie widziałyśmy się ani razu. Czekamy, aż przecisnie się przez tłum gości. Podbiega, całuje mnie i pociera mi policzek, śmiejąc się potem, że dodała mi rumieńców.

- Wyglądasz wystrzałowo! - mówi, a potem przenosi wzrok na Phila. - Naprawdę. Oboje wyglądacie fantastycznie!

Mary ma czterdzieści jeden lat, jest ode mnie półtora roku starsza. Mocno się maluje i przykleja sobie sztuczne rzęsy, jej włosy zaś to zadziwiająca konstrukcja z loków i pianki usztywniającej. Z ramienia zsuwa jej się ciągle etola ze srebrnych lisów. Poprawia ją parę razy.

- Doug dał mi ten staroć na Gwiazdkę. Tyle zawracania głowy.

Rzeczywiście, po co się tak z tym męczy, skoro już weszła do restauracji? To cała Mary, pierworodna dwóch rodzin. Zawsze chce wszystkim imponować.

- Jennifer! Michael! - wola, pstrykając palcami. - Chodźcie tu przywitać się z ciocią i wujkiem.

Przyciąga do siebie dwoje nastolatków.

- No, co się mówi?

Patrzę na nas ponuro, każde coś mamrocze i nieznacznie kiwa głową.

Jennifer zrobiła się pyzata, a jej oczy podkreślone czarną kredką zmalowały i nabrały zaciętego wyrazu.

Rysy Michaela zaczynają się wyostriać, a podbródek obsypały mu pryszcze. Już nie są „milutcy”. Ciekawe, czy to samo spotka Tessę i Cleo i czy wzbudzą we mnie podobne skojarzenia.

- Sama widzisz, co się z nimi porobiło - powiada Mary przepraszająco. - Jennifer dostała pod choinkę pierwsze nylony i buty na wysokich obcasach, więc już nie chce być mamusią córeczką.

- Oj, mamoo! - jęczy Jennifer, wyrывa się z matczynych objęć i znika w tłumie. Michael razem z nią.

- Widziałaś? Michael już prawie przerósł Douga - mówi Mary z dumą, patrząc w ślad za odchodzącym synem. - W szkole należy do lekkoatletycznej reprezentacji młodzików. Nie mam pojęcia, po kim odziedziczył ten wzrost i siłę. Na pewno nie po mnie. Wystarczy, że pójde trochę pobiegać i od razu robi się ze mnie kaleka. - Śmieje się z własnych słów, ale potem dociera do niej, co powiedziała. Uśmiech zamiera. Mary rozgląda się po sali. - O, rodzice Douga. Pójde się przywitać.

Phil ściska mnie za rękę. Bez słów wie, że jestem wściekła.

- Zapomnij o tym.

- Z przyjemnością, gdyby tylko ona zapomniała - wybucham. - Zawsze robi to samo.

Mary i Doug byli świadkami na naszym ślubie, bo dzięki nim się poznaliśmy. Im pierwszym powiedziałam, że zaszłam w ciążę. To Mary namówiła mnie na aerobik, gdy siedem lat temu zaczęłam narzekać na ciągłe zmęczenie. Później, kiedy spostrzegłam, że coś dziwnego dzieje się z moją prawą nogą, Phil przekonał mnie, żebym wybrała się do Douga, podówczas ortopedy w sportowej klinice medycznej.

Po paru miesiącach Doug stwierdził, że problem musi leżeć gdzie indziej. Natychmiast ogarnęła mnie panika, bo wyobraziłam sobie, że ma na myśli raka kości, ale zapewnił, że chodzi mu tylko o to, że sam nie może postawić jednoznacznej diagnozy. Wysłał mnie do swego starego kumpla z college'u, najlepszego neurologa w Centrum Medycznym w San Francisco. Po całym roku badań, kiedy już wmówiłam sobie, że zmęczenie bierze się z palenia, a osłabienie nogi to pozostałość po ciąży, ów kumpel oświadczył, że mam stwardnienie rozsiane.

Mary płakała histerycznie, a potem próbowała mnie pocieszać, co tylko pogarszało sprawę. Przez jakiś czas ciągle przynosiła nam pełne garnki potraw według fantastycznych przepisów, na które „przypadkiem wpadła”. Poprosiłam, żeby dała

spokój. Później zrobiła całe przedstawienie, opowiadając, jak to przyjaciel Douga zapewniał, że mój przypadek należy do „całkiem łagodnych”. Tonem, jakby mówiła o pogodzie, dowodziła, że przewidywalna długość mego życia wcale się nie skróciła i jako siedemdziesięciolatka mogę spokojnie grywać w golfa, jeśli tylko dopilnuję, żeby się psychicznie i fizycznie nie nadweręzać.

- Czyli tak naprawdę wszystko jest w porządku - podsumowała trochę zbyt radośnie. - Tyle tylko, że Phil musi cię dobrze traktować, ale chyba nic w tym złego, no nie?

- Nie gram w golfa - skwitowałam.

- Nauczę cię -. odparła bez troski.

Oczywiście, miała dobre chęci i przyznaję, że dużo w tym mojej winy, niemniej od tamtej pory nasza przyjaźń ochłodziła się bezpowrotnie.

Nigdy się nie przyznałam, jak strasznie obraża mnie jej współczucie. Skąd miała wiedzieć, że nie potrzebuję pocieszenia, a wymyślne potrawy niczego nie rozwiązują?

Ta dobroć miała mi coś zrekompensować, ale zamiast tego przypominała mi tylko, że moje życie nie jest już takie samo i nigdy nie będzie. Ludzie oczekiwali, że wszystko zaakceptuję, stanę się mężna i pełna spokoju. Przeliczyli się.

Chciałam żyć jak inni, martwiąc się o wykształcenie dzieci, a nie o to, czy doczekam ich matury; cieszyć się, że zrzuciłam parę kilo, a nie zagryzać, że zanikają mi mięśnie. Chciałam niemożliwego: zapomnieć.

Diabli mnie brali, że Doug i jego kumpel od kieliszka rozmawiają o mojej chorobie przy Mary. Skoro powiedzieli jej tyle, musiała też wiedzieć, że przy stwardnieniu rozsianym trudno cokolwiek przewidzieć. Remisja potrafi trwać dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, a nawet czterdzieści lat, ale równie dobrze jutro może nastąpić nawrót. Z gwałtownością lawiny wszystko się pogorszy, żeby w końcu unieruchomić mnie na wózku albo jeszcze gorzej.

Mary zdawała sobie z tego sprawę. Często przyłapywałam ją, jak patrzy na mnie ukradkiem, kiedy mijamy inwalidów. Raz roześmiała się nerwowo, przyłapawszy się na tym, że próbuje zaparkować na miejscu dla niepełnosprawnych.

- Ojej, zupełnie nie tego nam trzeba - bąknęła, cofając czym prędzej.

Z początku Phil i ja przysięgliśmy sobie prowadzić normalne życie. „Jak zwykle”, brzmiała nasza bezsensowna mantra. Kiedy niechcący potknęłam się o

zabawkę walającą się po podłodze, przez dziesięć minut przeproszałam Tessę za to, że na nią nakrzyczałam, a potem godzinami roztrząsałam, czy takie rzeczy zdarzają się „normalnym” ludziom.

Raz, w ramach „zapominania”, wybraliśmy się na plażę, żeby się od wszystkiego oderwać, ale skutek okazał się zupełnie odwrotny: przepełniły mnie czarne myśli. Patrzyłam na fale przyływu, zalewające wybrzeże, i zastanawiałam się na głos, czy ja też stanę się pewnego dnia słaba jak wodorost albo sztywna jak krab.

W tamtym okresie Phil czytał stare podręczniki i każdy artykuł na temat SM, jaki mu się nawinął. Później wpadał w depresję, bo całe jego medyczne wykształcenie nie miało do powiedzenia nic poza: „etiologia nieznana”, „szalenie zróżnicowana”, „nieprzewidywalna” oraz „brak pewnych metod leczenia”. Jeździł na konferencje lekarskie, dotyczące zaburzeń neurologicznych. Raz nawet zabrał mnie na spotkanie grupy wspierającej chorych, ale zawróciliśmy na widok wózków inwalidzkich.

Phil co tydzień przeprowadzał ze mną „testy na sprawność”, badając odruchy i siłę kończyn. Przeprowadziliśmy się do domu z basenem, żebym mogła codziennie trenować. Nie skomentowaliśmy ani słowem faktu, że oprócz tego był to parterowy budynek z ograniczoną liczbą schodów i szerokim korytarzem, który można bez trudu przystosować dla wózka. W razie potrzeby.

Rozmawialiśmy szyfrem, zupełnie jak członkowie sekty, szukając metod leczenia albo próbując chociaż określić konkretne objawy, którymi można się niepokoić zamiast żyć w wiecznej niepewności.

W końcu nauczyliśmy się pomijać przyszłość milczeniem - nie mówić ani o ponurych perspektywach, ani o złudnych nadziejach. Nie roztrząsaliśmy też przeszłości, żeby unikać dociekania, czy winą obarczyć wirusa czy może obciążenia genetyczne.

Zajmowaliśmy się chwilą obecną, małymi zwycięstwami nad zwykłą egzystencją, na przykład przyuczaniem Tessy do nocnika, wyjaśnianiem pomyłek z kartą kredytową czy badaniem, dlaczego samochód strzela na trzecim biegu. To były nasze jedyne pewniki, możliwe do określenia i trzymania pod kontrolą.

Nie mogę winić Phila za tę grę pozorów. Chciałam tego chyba jeszcze bardziej niż on. Jednak teraz doszło do tego, że nie mogę mu zwyczajnie powiedzieć, co czuję, ani zwierzyć się, że każdego ranka budzę się z przerażeniem, że podczas snu coś się pogorszyło.

Zdarza się, że jeden zgubiony guzik doprowadza mnie do rozpacz. Zdaje mi się wtedy, że już nigdy nie wrócę do normy. Czasami uważam, że Phil to najbardziej gruboskórny facet pod słońcem, bo umknął mu z pamięci jeden punkt z listy zakupów, kiedy indziej układałam w szufladach bieliznę według kolorów, jakby od tego miały zależeć losy świata.

Takie są te złe dni.

W dobrych dniach uświadamiam sobie, że na swój sposób dosyć mi się poszczęściło. Przez ostatnie siedem lat tylko raz straciłam panowanie nad sobą, co, jak to teraz widzę, znaczy tylko tyle, że mam mniej cierpliwości, szczególnie kiedy coś mnie złości albo dokąds mi się spieszy.

Nadal mogę chodzić. Wynoszę śmieci. Czasem nawet rzeczywiście udaje mi się zapomnieć na kilka godzin albo i cały dzień. Oczywiście, przypomnienie tym mocniej boli. Najgorsza jest świadomość, że żyję w czystym remisie.

Ta delikatna równowaga zawsze grozi katastrofą w obecności matki, bo wtedy najmocniej uderza mnie świadomość, że cierpię na straszną chorobę, o której ona nie ma najmniejszego pojęcia.

Zawsze chciałam powiedzieć jej prawdę. Kilka razy planowałam tę rozmowę.

- Mamo - zaczęłam, kiedy po raz pierwszy usłyszałam diagnozę. - Pamiętasz, mówiłam ci o moich kłopotach z nogą. Na szczęście okazało się, że to nie rak, ale...

Natychmiast wpadła mi w słowo, opowiadając o pewnym kliencie, który zmarł na raka. Szczegółowo opisała, jak się nacierpiał i ile wieńców zamówiła jego rodzina.

- Już dawno zauważyłam u niego to znamię na twarzy - ciągnęła. - Mówię mu: „Niech pan idzie do lekarza”, a on na to: „Ee, nic takiego, to ze starości”. Palcem w bucie nie kiwnął, a zanim zmarł, zjadło mu cały nos i policzek. Dlatego musisz bardzo uważać - dodała ostrzegawczo.

Kiedy urodziła się Cleo, zresztą bez żadnych komplikacji, znowu próbowałam wyznać matce prawdę, ale przerwała mi, tym razem lamentując, że dziadek nie doczekał widoku swych wnuczek.

Później dosiadła ulubionego konika, jak to ojciec nie zasłużył na to, co go spotkało.

Mój ojciec zmarł na raka żołądka, kiedy miałam czternaście lat. Matka całymi latami szukała przyczyn jego choroby, jakby dzięki temu mogła cokolwiek zmienić.

- To był taki dobry człowiek - lamentowała. - Dlaczego zmarł?

Czasami stwierdzała, że taka widocznie była wola boska, ale i ją przekreślała po swojemu.

- To dlatego, że pracował jako duchowny - twierdziła. - Musiał wysłuchiwać tylu trosk. Połykał je, aż wreszcie sam się rozchorował. Aj, Ying-gai znaleźć mu inną pracę.

Ying-gai znaczyło w jej ustach tyle, co „powinam była”.

Ying-gai oznaczało też, że gdyby się tylko postarała, mogła odmienić zły los i zapobiec nieszczęściu. Dla mnie Ying-gai świadczyło o tym, że życie matki to jedno pasmo nieprzemijających wyrzutów sumienia.

Im więcej wynajdowała przyczyn śmierci ojca, tym bardziej się oskarżała. Kiedyś ułożyła teorię, że wszystko wzięło się z otoczenia.

- Elektryk, który kładł nam w kuchni nowe kable, niedomagał i wbudował swoją chorobę w ściany - twierdziła. - Poważnie. Właśnie się dowiedziałam, że on też umarł na raka. Ying-gai zatrudnić kogoś innego.

Do tego dochodził zabobon, który zapamiętałam jako teorię mamy o dziewięciokrotnym pechu. Powiedziała kiedyś, że ludzie umierają, gdy przytrafi im się osiem kolejnych nieszczęść. Jeśli w porę nie rozpoznasz ósmego i nie zaczniesz przeciwdziałać, dziewiąty stanie się przyczyną twojej śmierci. Później roztrząsała, co też mogło być tym ósmym znakiem dla ojca i jak mogła go zawczasu wyśledzić.

Do tej pory dostaję szału, kiedy słucham jej rozlicznych hipotez, opartych na religii, medycynie i zabobonach pomieszanych z jej prywatnymi przekonaniami. Matka nie wierzy w powszechnie uznaną logikę, która według niej stanowi tylko sprytny wykręt wobec tragedii, pomyłek i nieszczęść. Jest święcie przekonana, że na świecie nic nie dzieje się przez przypadek; taka chińska wersja Freuda w karykaturze.

Wszystko ma przyczyny. Wszystkiemu można zapobiec.

Na przykład podczas ostatnich odwiedzin strąciłam niechcący oprawione w ramkę zdjęcie ojca, tłukąc szkło. Matka zebrała odłamki i jęknęła:

- Dlaczego to się stało?

Myślałam najpierw, że to pytanie retoryczne, ale zwróciła się do mnie:

- Jak ci się zdaje?

- Przypadek. Zaczepiłam łokciem.

Rzecz jasna, jej pytanie mocno mnie zaniepokoiło. Zaczęłam się zastanawiać, czy ta niezdarność to oznaka pogłębienia choroby.

- Czemu akurat to zdjęcie? - nie dawała za wygraną.

W ten sposób dotąd się jej nie przyznałam. Z początku nie miałam ochoty wysłuchiwać jej teorii na temat pochodzenia mojej choroby ani jak to można jej było uniknąć, gdyby tylko zrobiła to czy tamto. Nie chciałam, żeby mi przypominała.

Z czasem sam fakt, że do tej pory nic jej nie powiedziałam, zaczął jeszcze pogarszać sprawę. Pamiętam o tym zawsze, kiedy ją widzę albo słyszę jej głos.

Mary wie o moich rozterkach, co również wyprowadza mnie z równowagi, i to nawet nie przez jej wieczne kombinacje, żeby nie zająknąć się o mojej chorobie, lecz dlatego, że powiedziała o wszystkim swojej matce.

- Musiałam jej powiedzieć - wyjaśniła mi beztrąsko.

- Ciągłe mi zawracała głowę: „namów Pearl, żeby częściej odwiedzała matkę, to raptem godzina drogi” albo „zasugeruj Pearl, żeby wzięła matkę do siebie; Winnie mieszka sama jak palec”. W końcu odparłam, że nie mogę ci tego podsuwać, więc oczywiście zapytała dlaczego - tu wzruszyła ramionami. - Znasz przecież moją matkę. Nie da się jej zbyć byle czym. Oczywiście kazałam jej przysiąc, że się nie wygada, i powiedziałam, że w swoim czasie sama wszystko wyjaśnisz.

- Nie mam kłopotów z prowadzeniem samochodu i nie z tego powodu nie sprowadzam matki do siebie - odparłam, patrząc na nią surowo. - Jak mogłaś mi to zrobić?

- Ona nie piśnie ani słowa. Obiecała. Poza tym już dawno powinnaś się przyznać - dodała trochę wyzywająco.

Właściwie nie pokłóciłyśmy się wtedy, ale od tej pory nasze stosunki mocno się ochłodziły. Mary wiedziała dobrze, że zrobiła mi najgorsze świństwo pod słońcem.

Nie pierwszy raz.

Dziewięć lat temu moja pierwsza ciąża skończyła się poronieniem, a matka bez końca wałkowała, że piłam za dużo kawy, biegałam i Phil nie dopilnował, żebym więcej jadła.

Za drugim razem uznałam, że lepiej poczekać z nowinami do czwartego miesiąca albo jeszcze dłużej. Niestety, po trzech miesiącach zwierzyłam się Mary, a ta od razu wypaplała wszystko cioci Helen. Ciocia nie wygadała się bezpośrednio, ale kiedy matka z dumą zawiadomiła Kwongów o mojej ciąży, wyciągnęła żółty dziecięcy sweterek, który właśnie zrobiła na drutach.

Jeszcze długo po porodzie lamentom nie było końca.

- Jak mogłaś powiedzieć Kwongom, a nie zawiadomić własnej matki? - powtarzała.

Wracala do tego bez przerwy, sama się nakręcała i oskarżała mnie, że zrobiłam z niej idiotkę. Ciocia Helen udawała wcielona niewinność.

- Och, wcale nie robiłam sweterka dla dziecka Pearl, tylko tak, na wszelki wypadek.

Jak dotąd nie wygadała się też o mojej chorobie, ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie traktować mnie jak inwalidki. Ilekroć ją odwiedzam, zaraz każe mi usiąść i przynosi poduszkę pod plecy. Głaszcze mnie po ramieniu, pyta o zdrowie i zapewnia, że zawsze uważała mnie za córkę. Później wzdycha i opowiada różne przykre nowiny, jakby chciała zrównoważyć to, co o mnie wie.

- Biedny wuj Henry. W zeszłym miesiącu o mały włos go nie wylali. Wszystko przez te ostatnie cięcia budżetowe. Zupełnie nie wiadomo, co dalej. Tylko nie powtarzaj tego matce, nie chcę, żeby się o nas martwiła.

Te słowa najbardziej martwiły mnie, bo zdawało mi się, że ciotka traktuje swe sekrety jako rodzaj rekompensaty za to, że kiedyś wymknie jej się: „Och, Winnie! Myślałam, że wiesz o nieszczęściu swojej córki”.

Drżałam na myśl o dniu, kiedy matka zadzwoni i zasypie mnie pytaniami: „Dlaczego ciotka Helen wiedziała? Czemu nigdy o niczym mi nie mówisz? Dlaczego nie pozwoliłaś, żebym coś z tym zrobiła?”

Co jej wtedy odpowiem?

Podczas przyjęcia siedzimy przy stole dla młodzieży, tyle tylko, że część tej młodzieży zdążyła już przekroczyć czterdziestkę. Prawdziwe dzieci, Tessa i Cleo, siedzą z babcią.

Phil to dziś jedyny nie-Chińczyk, choć nie zawsze tak było. Ciotka nazywała dwie poprzednie żony Bao-bao Amerykankami, zupełnie jakby mówiła o grupie rasowej. Pewnie się cieszy, że jego obecna narzeczona nazywa się Mimi Wong i nie tylko ma chińskich przodków, ale do tego pochodzi z bardzo zamożnej rodziny, posiadającej trzy agencje turystyczne.

- Wygląda na Japonkę - skomentowała mama, kiedy nam ją przedstawiono.

Nie wiem, czemu tak uważa. Według mnie Mimi wygląda po prostu dziwnie i okropnie młodo. Chyba nie ma więcej niż dwadzieścia lat, chociaż może mylą mnie

jej włosy ufarbowane na pomarańczowo i kolczyk w nosie. Słyszałam, że uczy się na fryzjerkę w bardzo modnym salonie U Oliphanta. Matka słyszała, że głównie myje klientom głowy i zmiata włosy z podłogi.

Bao-bao zmienił się od ostatniego razu. Ma wypomadowane włosy i do błyszczącego garnituru włożył czarną koszulkę z krótkim rękawem. Za każdym razem, kiedy przedstawia komuś Mimi, gapię się na jej przekłuty nos. Ciekawe, co robi, gdy ma katar.

- Jak się miewa moja ulubiona kuzyneczka? - pyta Bao-bao zza stołu, unosząc w moją stronę kieliszek szampana. - Wyglądasz świetnie. Podobasz mi się w takich krótkich włosach. Mimi, jak ci się podoba fryzura Pearl? Ładna, co?

Takie komplementy przychodzą mu z łatwością. Rozdziela je starannie, każdemu po jednym. Ciekawe, czy lubiłabym go bardziej, gdybym nie znała go aż tak dobrze.

- Hej, Phil, bracie - woła Bao-bao, nalewając więcej szampana. - Widzę, że nabrałeś trochę ciała. Klawe życie, co? Może już jesteś gotowy na ten system, o którym ci mówiłem? Świetna proporcja decybeli do dolara.

Bao-bao sprzedaje sprzęt stereofoniczny i telewizory w sklepie Dobre Chłopaki. Świetnie mu idzie przekonywanie ludzi, że ich oczy i uszy potrafią odczuć różnicę między modelem podstawowym i ulepszonym, droższym o pięćset dolarów. Phil stwierdził kiedyś, że gdyby dać mu wolną rękę, potrafiłby nawet wcisnąć Biblię szytom.

Za nami, przy stole dla dorosłych, siedzi facet nazwiskiem Fong, inaczej wujek Loy.

Odwraca się do nas, wznosząc toast plastikowym kubkiem pełnym piwa imbirowego.

- Jakaż to wygoda dla Mimi - mówi - musi tylko dodać „K” do nazwiska, żeby złapać męża. Wong na Kwong, chwytnie?

Sam najgłośniejszy śmieje się z własnego dowcipu, po czym odwraca się do swego stolika, żeby powtórzyć go innym. Obok siedzi jego żona Edna. Od lat chodzą z nami do kościoła, ale nie zaprzyjaźnili się tak naprawdę ani z Kwongami, ani z naszą rodziną. Zaproszono ich pewnie dlatego, że Edna Fong zajmuje się zamawianiem kwiatów do kaplicy i zawsze kupuje w Ding Ho, rzecz jasna, z dwudziestoprocentową zniżką.

Ciocia Helen także siedzi przy tamtym stoliku. Na tę specjalną okazję włożyła zbyt obcisłą jak na jej obfite kształty chińską suknię z niemowlęcą różowej satyny, która zdążyła się już pomarszczyć na udach i nad okrągłym brzuszkiem. Za każdym razem, kiedy się nachyla, by dolać herbaty, suknia napina się niebezpiecznie w okolicach pach. Zastanawiam się, który szew pójdzie pierwszy.

Na swoich cienkich włosach ma świeżą trwałą; pewnie się łudziła, że zrobią się obfitsze, ale niestety wyglądają tylko jak wysmażone na głębokim tłuszczu. Spod spodu prześwituje skóra.

Matka siedzi naprzeciw niej. Ma niebieską suknię, którą sama uszyła, a nawet zaprojektowała.

- Nie potrzeba żadnych wykrojów - powiedziała. - Prosta suknia w kształcie litery A z obfitymi rękawami, jak dla księżniczki.

Moja szczupła matka wyglądała w niej jak dziecko z sierocińca.

- Jaki piękny jedwab - skomplementowała ją Edna Fong.

- Poliester - odparła matka z dumą. - Można prać w pralce.

Cleo zsuwa się z krzesła i wdrapuje się jej na kolana.

- Ha-bu, chcę jeść palczkami - mówi.

Matka okręca obrotowy blat i zanurza palczki w salaterce z sosem.

- To meduza - wyjaśnia, kołysząc podrygującym kawałkiem przed buzią Cleo.

Moja córeczka otwiera buzię jak pisklak, a matka ją karmi.

- Widzisz? Dobrze! - woła, widząc, jak dziecko żuje z uśmiechem. - Kiedy twoja mamusia była mała, mówiła, że smakuje zupełnie jak gumka do włosów.

- Nie mów tak! - krzyczy nagle Cleo i zanosí się płaczem, a na pół przeżuta meduza wypada z jej wygiętej w podkówkę buzi.

- Nie płacz, nie płacz - włącza się ciocia Helen z drugiej strony stołu. - Zobacz, mam tu kawałek pachnącej wołowiny. Mniem, mniem. Smakuje zupełnie jak hamburger w McDonalddie. Weź, będzie ci smakować.

Wciąż popłakując, Cleo wyciąga rączkę po wołowinę i wkłada ją do buzi. Matka ma zaciśnięte usta. Odwraca wzrok.

Tak mi przykro. Zdradziły ją jej własne wspomnienia i to, że jako dziecko bardzo lubiłam smak gumy. Chodzi mi po głowie, na ile różnych, nieprzewidywalnych sposobów dzieci potrafią ranić swoje matki.

Wieczór toczy się jeszcze gorzej, niż się spodziewałam. Przez cały posiłek obserwuję, jak matka i ciocia Helen grają sobie na nerwach. Klócą się po chińsku o to, że wieprzowina jest przesolona, kurczak przegotowany, a w daniu „Szczęśliwa rodzina” znalazło się za dużo orzechów, żeby ukryć niedobór małżów. Widzę, że Phil, który nie znosi papierosów, stara się podtrzymać uprzejmą rozmowę z kuzynem Frankiem, nałogowym palaczem. Widzę, jak starzy przyjaciele rodziny, którzy wcale nie są przyjaciółmi, wznoszą toasty za przyszyłych nowożeńców, którzy pewnie rozwiodą się za dwa lata. Uśmiecham się sztywno, słuchając Douga i Mary, którzy rozmawiają ze mną, zupełnie jakbyśmy nadal przyjaźnili się w najlepsze.

Głównie jednak obserwuję matkę przy sąsiednim stole. Odczuwam jej samotność jak własną. Myślę o rozgradzającej nas nieprzebytej przestrzeni, która nie pozwala, byśmy dzieliły najważniejsze wydarzenia w życiu. Jak do tego doszło?

Nagle wszystko: kwietne kompozycje na stołach pokrytych plastikiem, wspomnienia matki o moim dzieciństwie i cała rodzina wydają się już tylko nędzną imitacją. Smutne i prawdziwe. Te wszystkie puste gesty, stare nieporozumienia, bolesne sekrety - po co utrzymujemy je przy życiu?

Czuje, że zaczynam się dusić, chcę uciec.

Ktoś trąca mnie w ramię. To ciocia Helen.

- Nie zmęczyłaś się za bardzo? - pyta szeptem.

Kręcę głową.

- Wobec tego chodź, pomożesz mi pokroić tort. W przeciwnym razie muszę dodatkowo zapłacić restauracji.

Ciekawe, jakież to znów sekret chce mi wyjawić.

W kuchni ciocia Helen kroi tort na małe kwadratowe kawałki i kładzie je na papierowych talerzykach. Zlizuje z palców bitą śmietanę i wpycha niesforną truskawkę do gąbczastego środka.

- Najlepsze ciasto w San Francisco - mówi. - Mary kupuje je w piekarni Sun Chee przy Clement. Znasz to miejsce?

Potrząsam głową i do każdego talerzyka dodaję plastikowy widelec.

- Może więc słyszałaś o czymś innym? - ciągnie ostro. - O mojej chorobie?

Przerywa krojenie i czeka na moją odpowiedź. Ta zmiana tonu zupełnie zbija mnie z tropu. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

- Nieważne - ucina gorzko i bierze się znów do roboty. - I tak już o wszystkim wiem.

No i tam, w kuchni, zaczyna mi opowiadać, jak to dwa miesiące temu poszła do lekarza. W czasie deszczu pośliznęła się na własnych schodach i mocno uderzyła głową o poręcz. Matka, która nie odstępowała jej na krok, zabrała ją do szpitala. Zrobili jej rentgen, żadnych złamań ani wstrząsów na szczęście, nie tak jak z cioteczną babką Du. Zamiast tego znaleźli na czaszce małą ciemną plamkę i porobili inne badania.

- No i stąd wiem - oznajmia, z tryumfem pukając się w głowę. - To Bóg położył na mnie palec i powiedział: „Czas odejść”. Mam guz mózgu.

Z trudem łapię powietrze, a ciocia dodaje szybko:

- Oczywiście, potem przeprowadzili więcej badań i twierdzą, że to łagodny przypadek. - Mówi to takim tonem, jakby wywoływała numery w bingo: B dziewięć. - Twierdzą, że nie ma się czym martwić i nie trzeba operować.

Wzdycham.

- Twoja matka mówi: „Masz szczęście, nic się nie stało”. Moje dzieci, wuj Henry, wszyscy powtarzają to samo. „Teraz będziesz żyć wiecznie”. Ale wiesz, co się tak naprawdę pod tym kryje?

Potrząsam głową.

- Patrz. Dlaczego Bao-bao się żeni ni z tego, ni z owego? Dlaczego Mary przyjeżdża nagle z całą rodziną? „Spotkajmy się”, mówi. A Frank bez gadania poszedł do fryzjera, zwykle nie można się doprosić. - Uśmiecha się. - Nawet twoja matka. Powiedziała mi dziś w sklepie: „Idź, idź, masz dużo pracy z przyjęciem, sama się zajmę wieńcami”. Dlaczego kręcisz głową? To prawda. - Poważnieje. - Powiadam sobie: hej, a cóż to za zmiany? Czemu wszyscy zrobili się tacy sympatyczni? Dlaczego akurat teraz? Skąd ten szacunek u dzieci? Niby dlaczego przyjeżdżają z wizytą? Mary znów mówi do mnie „mamusiu”. Twoja matka chce wziąć na siebie całą robotę. Domyślasz się, dlaczego? Oni wiedzą. Wszyscy wiedzą, że umieram. Nie przyznają się, ale chyba niewiele czasu mi zostało.

Ustawiam talerze na tacy.

- Ciociu, z pewnością nic złego się nie dzieje. Skoro lekarze uważają, że to łagodny przypadek, to z pewnością tak...

Powstrzymuje mnie ruchem ręki.

- Nie trzeba się ze mną bawić w kotka i myszkę. Wcale się nie boję. Już nie jestem młodziutka. Mam prawie siedemdziesiąt trzy lata.

- Wcale nie chcę cię oszukiwać - powtarzam z uporem. - Po prostu nie umierasz.

- Chcecie trzymać to przede mną w sekrecie, nie ma sprawy. Chcą mi robić przyjemności, zanim umrę: w porządku. Ja też mogę udawać, że nie wiem.

Już zaczyna mi się mieszać. Nie wiem, czy ciocia naprawdę jest chora, czy też wmawia coś sobie tylko dlatego, że jej dzieci mają dobre intencje. Rzeczywiście, trochę mnie dziwią te nagłe zmiany. Rozpowiadanie tajemnic, a potem udawanie, że nikt nic nie wie, świetnie pasowałoby do Kwongów.

- Nie martw się o mnie - mówi, głaszcząc mnie po ręce. - Nie powiedziałam ci tego po to, żebyś się martwiła. Chcę tylko, żebyś zrozumiała, dlaczego nie mogę dłużej dochowywać twojego sekretu.

- Jakiego sekretu?

Wzdycha głęboko.

- Pearl-ah, to dla mnie za duże obciążenie. Cięży mi na sercu, że twoja matka nie wie o niczym. Jak mam lecieć do nieba, jeżeli trzyma mnie coś takiego? Nie, musisz przyznać się matce. Powiedz jej o tym stwardniałym rozsianiu.

Zbyt mnie poraziła, żeby mogła się roześmiać albo próbować ją poprawić.

- Tak trzeba - ciągnie z przekonaniem. - Jeśli nie możesz tego wyznać, ja muszę to zrobić. Przed chińskim Nowym Rokiem. - Patrzy na mnie z determinacją.

Mam ochotę nią potrząsnąć i zmusić, żeby przestała się wygłupiać.

- Ciociu, dobrze wiesz, że nie mogę powiedzieć o tym matce. Znasz ją przecież.

- Oczywiście. Znam ją od pięćdziesięciu lat. Właśnie dlatego uważam, że nadszedł właściwy moment.

- Dlaczego teraz? Zezłości się tylko, że zatailiśmy to przed nią.

Ciotka Helen zmarszczyła brwi.

- Martwi cię tylko to, że matka się na ciebie zdenerwuje? Cc, cc, co za egoizm.

- Nie, chodzi mi o to, że wcale nie trzeba teraz o tym mówić. Czuję się bardzo dobrze.

- I masz zamiar to przed nią ukrywać, póki nie umrze? A może dożyje setki? Co wtedy?

- To nie tak. Nie chcę jej martwić bez potrzeby.
- Ma prawo się martwić. To twoja matka.
- Ale nie powinna się martwić, jeśli tak naprawdę nie ma o co.
- Dlatego powinnaś porozmawiać z nią teraz. Później nie będzie problemów.
- Ale wtedy zaczniesz się zastanawiać, dlaczego nie powiedziałam jej od razu.

Zrobi z igły widły.

- Może ona także ma sekrety?

Ciotka uśmiecha się, a potem chichocze z jakiegoś ukrytego żarciku.

- Ta twoja matka! O tak, ma wiele tajemnic.

Czuję się jak w złym śnie, kłócąc się z kimś, kto w ogóle mnie nie słyszy. Może ciocia ma rację i rzeczywiście zagraża jej guz. Może już zaatakował jej mózg i dlatego zaczęła wariować.

- Dobrze - mówię w końcu - ale obiecaj, że mnie nie ubiegiesz. Ja to zrobię.

Ciotka patrzy na mnie podejrzliwie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - szepczę w odpowiedzi i sama już nie wiem, czy kłamię.

Gładzi mnie po ramieniu, mnąc materiał zielonej, wełnianej sukienki.

- Ładnie ci w tym kolorze, Pearl. Ach, dosyć już rozmów. Wracamy.

Bierze tacę.

- Mogę ją zanieść - oponuję krótko.

Waha się, gotowa do kłótni. Wreszcie, zapewne z szacunku dla własnej choroby, ustępuje.

Po kolacji wracamy do matki. Dziewczynki, jak zwykle, najpierw chichoczą do upadłego, potem się biją, płaczą, aż wreszcie zasypiają. Chciałam zapytać matkę o guz cioci Helen, ale uznałam, że lepiej nie wywoływać wilka z lasu i nie naprowadzać jej na inne tematy. Jestem wykończona.

Matka proponuje herbatę, kawę albo sok pomarańczowy, ale dziękuję i wstaję, ziewając szeroko.

- Idę do łóżka - mówię.

Phil całuje mamę na dobranoc, co ta przyjmuje z lekką nieufnością. W końcu uciekamy do pokoju.

- Mylicie już zęby? Przywieźliście w ogóle szczoteczki?

- Tak, tak, mamy. Już wszystko wyszorowane - woła Phil.

- Starczy wam koców i ręczników?

- Aż nadto - odkrzykuje, przewracając oczami, i gasi światło. - Dobranoc!

Cisza trwa najwyżej pięć sekund.

- Nie za zimno wam? Możecie włączyć ogrzewanie!

- Mamo, niczego nam nie trzeba - odzywam się z niedobrze ukrytą irytacją, po czym dodaję łagodniej: - Nie martw się. Idź spać.

Wstrzymuję oddech. Cisza. Wreszcie słyszę, jak jej kapcie szurają korytarzem. Ten dźwięk łamie mi serce.

II

Pogrzeb ciotecznej babki Du

Matka wyszła z domu przed dwiema godzinami razem z ciotką Helen, żeby udekorować salę w domu pogrzebowym.

Właśnie się spóźniamy, bo dziewczynki zaczęły się kłócić przy śniadaniu, co skończyło się na tym, że jajko na miękko wylądowało na jedynej koszuli i krawacie Phila. Musieliśmy poszukać czegoś na zmianę w sklepach na ulicy Clement i wtedy Phil zaproponował, żeby nie zabierać dzieci na pogrzeb.

. - Narobią tylko zamieszania - argumentował - a poza tym pewnie niezbyt im się spodoba widok N-I-E-B-O-S-Z-C-Z-Y-K-A.

- Tata mówi brzydkie słowo! - śpiewnie podchwyciła Tessa, marszcząc nos.

- Może lepiej poczekam z nimi w samochodzie.

- Nic im się nie stanie - zapewniłam. - Pytałam mamy, czy trumna będzie zakryta, i powiedziała, że tak. A poza tym wytłumaczyłam już dziewczynkom, że to taka uroczystość dla dorosłych, jak ślub Steva i Joanny, zgadza się?

- A potem pójdziemy na ciastka - uzupełniła Cleo.

- No dobrze, ale po ceremonii wykręcimy się jak zwykle i wracamy do domu.

- Oczywiście.

Dwadzieścia po drugiej wchodzimy do holu domu pogrzebowego. Kuzyn Frank wręcza nam czarne opaski na ramię. Wkładam swoją z niejasnym poczuciem winy. Pozory żałoby. Zdaję sobie sprawę, że właściwie nic nie wiem o ciotecznej babce Du, prócz tego, że pachniała kulkami na mole i zawsze usiłowała karmić mnie starymi chińskimi cukierkami i słodzoną wołowiną z zakurzonych puszek, które trzymała na lodówce.

Bao-bao też wyszedł nas przywitać. Uśmiecha się szeroko.

- Sie macie, fajnie, żeście się w końcu zebrali.

Wręcza nam po cukierku zawiniętym w folię i małe czerwone koperty z pieniędzmi na szczęście.

- Co mamy z tym zrobić? - pyta Phil szeptem. - Dać ciotce Du?

Wyciąga dwadzieścia pięć centów ze swojej koperty.

- Niby skąd mam wiedzieć? - odszeptuję. - Nigdy w życiu nie byłam na buddyjskim pogrzebie ani niczym takim.

- Mama mówi, że to trochę jak ubezpieczenie, gdyby spotkały cię jakieś negatywne wibracje - mówi Bao-bao. - Zjadasz cukierka na szczęście, a potem możesz dokupić więcej powodzenia za pieniądze.

- Ja swojego zjem od razu - oznajmia Tessa.

Cleo podaje mi cukierek, żeby jej odwinąć.

- Mamusiu, ja też, ja też!

Phil obraca w palcach monetę.

- Jeśli, powiedzmy, kupię za to gumę do żucia, to moje szczęście dłużej potrwa?

Wchodzimy do głównej sali. Oślepia nas blask reflektora. Tessa sunie wzdłuż ławek niczym kokieteryjna panna młoda, a Cleo wygląda sukienkę i posyła całusy jak gwiazda filmowa. W głowie mi się nie mieści, że wuj Henry filmuje pogrzeb na wideo. Kto ma to później oglądać?

W jasnym świetle ledwo mogę dojrzeć matkę. Kiwa, żebyśmy usiedli koło niej w drugim rzędzie. Phil zagania dziewczynki. Kamera nadal pracuje, a my idziemy spiesznie, mijając najwyżej kilkunastu żałobników: Mary, Douga, ich dzieci, kilkoro ludzi z kościoła, samych Chińczyków. Widzę też kilka starszych pań, których nigdy przedtem nie spotkałam. Wygląda na to, że dopiero niedawno przyjechały, sądząc po nie ufarbowanych włosach i staroświeckich brązowych marynarkach z wywątowanymi ramionami.

Wsuwamy się na miejsca, a ciotka Helen odwraca się z pierwszego rzędu i ściska mnie za rękę. Ma łzy w oczach.

Matka nie płacze.

- Dlaczego tak późno? - pyta z irytacją. - Kazałam im na was czekać.

Nagle Cleo wybucha śmiechem.

- Tatusiu, tam śpi jakaś pani! A jej obiad się gotuje! - mówi, wyciągając rękę.

Tessa też tam patrzy wytrzeszczonymi oczami, z buzią otwartą ze zdumienia.

W tym momencie dostrzegam i ja. Wielki Boże! W trumnie leży cioteczna babka Du z okularami na nosie. Ma pozbawioną wyrazu, woskowo bladą twarz. Przed trumną ustawiono stół, który aż ugina się od jedzenia. To chyba chiński obiad z dziewięciu dań, a do tego dziwny zestaw owoców mango, pomarańczy i kawałków

arbuza; zapewne zaopatrzenie na męczącą wędrówkę do nieba. Nad wszystkim unosi się dym z kilkunastu kadzidełek, eteryczne stopnie do innego świata.

Phil patrzy na mnie pytająco.

- To chyba jakaś pomyłka - mówię szeptem i odwracam się do matki, próbując zapanować nad głosem.

- Zdawało mi się, że mówiłaś o zamkniętej trumnie - zaczynam powoli.

Kiwa głową.

- Podoba ci się? Sama wybrałam dla niej ubranie. Wszystko nowe. Trumnę też sama wybrałam. Drewno prawie najlepsze z możliwych. Zanim ją spalą, zdejmujemy oczywiście biżuterię.

- Ale chyba wspominałaś, że wieko ma być zamknięte.

- Nic podobnego. Niby jak miałybyś ją wtedy zobaczyć?

- Ale...

- Musimy tu jeść? - pyta Tessa z lękiem. - Wcale nie jestem głodna.

Skuliła się na siedzeniu. Ścisnęłam ją za rękę.

- Powiedźcie tej pani, żeby się obudziła. Powiedźcie, że nie można spać na stole. To nieładnie.

Tessa trzepie ją po nodze.

- Cicho bądź. Ona nie śpi. Nie żyje, tak jak kot Bootie.

Dolna warga Cleo opada niebezpiecznie nisko.

- Nie mów tak! - krzyczy i popycha siostrę. Gorączkowo usiłuję wymyślić, jakby je pocieszyć, ale za późno. Zaczęły się już przepychać, krzycząc i płacząc.

- Przestań!

- To ty przestań!

- To ty zaczęłaś!

Matka patrzy, jak też dam sobie z nimi radę, ale nie mogę się nawet ruszyć; nie mam pojęcia, co robić. Phil wstaje, żeby wyprowadzić dzieci.

- Zabiorę je na jakieś lody. Wrócę za godzinę.

- Za czterdzieści pięć minut, nie później - proszę szeptem. - Poczekam na zewnątrz.

- Tatusiu, mogę dostać z polewą czekoladową i orzechami? - dopytuje się Cleo.

- I z posypką na wierzchu - dodaje Tessa.

Z ulgą myślę, że zepsuty apetyt i lepkie rączki to jedyne złe następstwa dzisiejszego zdarzenia. W drugim rzędzie ławek Michael, syn Mary, śmieje się do rozpuku. Rzucam mu karcące spojrzenie i spostrzegam jeszcze coś: wuj Henry ani na chwilę nie przestał filmować.

Po wyjściu Phila i dziewczynek staram wziąć się w garść. Patrzę prosto, żeby uniknąć widoku matki i wuja Henry'ego. Mówię sobie, że nie ma się już o co kłócić. Co się stało, to się nie odstanie.

Przed ławkami ustawiono wielkie zdjęcie babki Du. Przypomina powiększoną fotografię paszportową sprzed pięćdziesięciu lat. Babka nie wygląda na nim specjalnie młodo, ale ma chyba jeszcze większość zębów. Porównuję z leżącą w trumnie prawdziwą, o zapadniętych ustach i wychudłej ptasiej twarzy pełnej zmarszczek. Spoczywa nieruchomo, ale wydaje się, że wszyscy na coś czekamy, zupełnie jakby się nagle miała przeobrazić i ukazać jako duch.

To przypomina mi czasy, kiedy miałam pięć lat, wiek, w którym możliwe jest wszystko, co tylko sobie wyobrazisz. Wpatrywałam się w połyskujące oczy wyrzeźbionej dyni, czekając, żeby ze środka wyfrunęły złe duszki. Im dłużej czekałam, tym bardziej w to wierzyłam. Do tej pory pamiętam roześmianego ducha, który wysunął się z ust dyni. Matka od razu przybiegła na mój krzyk. Ze łzami w oczach opowiadałam jej nieskładnie, że widziałam ducha, a ona zamiast mnie pocieszyć albo wyśmiać za wybujałą wyobraźnię, zapytała: „Gdzie?” i przeszukała pokój. Oczywiście później ojciec zapewnił mnie, że jedynym duchem jest Duch Święty, który nigdy nie zechce mnie przestraszyć. W naukowy sposób dowiódł, że na pewno zobaczyłam dym, kiedy w środku dyni zaczęła dopalać się świeczka. Nie pocieszył mnie za bardzo, bo cały czas czułam na sobie wzrok matki. Patrzyła tak, jakbym ją zdradziła i zrobiła z niej idiotkę. Tak się rzeczy miały. Zawsze starała się tłumić wierzenia kolidujące z chrześcijaństwem ojca, ale czasami wymykały jej się spod kontroli.

- To ja przygotowałam Juao-zi - mówi teraz. - Cioteczna babcia zawsze uważała moje za najsmaczniejsze.

Kiwam głową i podziwiam ustawione na stole pierożki gotowane na parze. Rzeczywiście, to jej specjalność. Szkoda, że te są tylko na pokaz.

- Ciocia Helen zrobiła kurczaka i danie z zielonej papryki - ciągnie mama, a kiedy kiwam głową, dodaje: - Wygląda na bardzo suche.

Znów kiwam głową. Zastanawiam się, czy cioteczna babka Du docenia tę pośmiertną ucztę na swoją cześć. Oglądam inne dania i widzę, że dołączono nawet resztki z wczorajszego tortu.

Na ścianie nad trumną wisi biała, długa na dwa metry płachta z papieru od rzeźnika. Pokrywają ją czarne znaki z wykrzyknikiem na końcu, zupełnie jak na tablicach z hasłami, które widziałam kiedyś w fotoreportażu z Chin.

- Co tam jest napisane? - pytam cicho.

- „Mamy nadzieję, że twoje przyszłe życie będzie długie i dostatnie”. Nic nadzwyczajnego - odpowiada matka. - To nie ja pisałam, tylko jacyś znajomi z towarzystwa rodzin Kwong. Pewnie Helen ofiarowała im jakąś dotację.

Widzę wszystkie wieńce na stojakach. Szukam swojego i właśnie mam zapytać matkę, gdzie stoi, gdy wuj Henry ponownie włącza reflektor i zaczyna filmować babkę Du w trumnie. Macha do kogoś z lewej strony.

Za chwilę słyhać stuk drewna i uporczywe dzyń, dzyń, dzyń, zupełnie jakby ktoś niecierpliwie uderzał w dzwonek hotelowej recepcji. Wkrótce dołączają do tego dwa głosy, śpiewające w kółko te same cztery dźwięki i sylaby. Jestem pewna, że zacięła im się płyta, ale oto z bocznego pokoiku pojawiają się dwaj buddyjscy mnisi z ogolonymi głowami, ubrani w szaty koloru szafranu. Starszy trzy razy kłania się zmarłej, zapala długie kadzidło, umieszcza je na stojaku i odsuwa się z jeszcze jednym ukłonem. Młodszy uderza w drewnianą kołatkę. Potem obaj odchodzą wzdłuż ławek, śpiewając: Ami-, Ami-, Amitaba, Amitaba.

Kiedy starszy zbliżył się do mnie, widzę, że brakuje mu pół policzka i ma mocno zniekształcone ucho.

- Pewnie miał jakiś straszny wypadek samochodowy? - szepczę do matki.

- Rewolucja kulturalna - odpowiada.

Młodszy i mniejszy mnich okazuje się mniszką. Na ogolonej głowie ma trzy czy cztery strupy.

- Też brała udział w rewolucji kulturalnej?

- Za młoda - ocenia matka. - Pewnie pchły ją pogryzły.

- Amitaba, Amitaba - buczą.

Teraz starsze panie w niemodnych żakietach zaczynają zawodzić i szlochać, podnosząc i opuszczając ramiona, ogarnięte głębokim smutkiem. Wuj Henry natychmiast kieruje na nie kamerę.

- Czy to dobre przyjaciółki babki Du? - pytam matkę.

Marszczy czoło.

- Żadne przyjaciółki. To Chinki z Wietnamu czy skądś. Przyjechały za wcześniej i zobaczyły, że nie mamy zbyt wielu żałobników. Pogadały z ciotką Helen i za parę dolarów zgodziły się głośno płakać i zachowywać tak, jakby nie chciały puścić zmarłej, zgodnie z tradycją. W ten sposób okazuje się szacunek.

Potakuję. Szacunek.

- Może te panie uczestniczą w trzech, czterech pogrzebach dziennie. Dorabiają sobie na lepsze życie - dodaje matka. - Zawsze to lepiej niż praca sprzątaczk.

- Yhm.

Nie wiem, czy matka mówi z pogardą, czy tylko stwierdza fakt.

Znowu odzywają się dzwonki i kołatka, coraz szybciej. Nagle papierowy plakat odrywa się od ściany i życzenia szczęśliwego i długiego życia ze związku rodzin Kwong opadają jak liść wprost na pierś ciotecznej babki Du, zupełnie jak szarfa w konkursie piękności. Matka i kilka innych kobiet zrywa się, krzycząc: „Aj-ja!” Syn Mary woła: „bezbłędne lądowanie!” i śmieje się historycznie. Mnich i mniszka śpiewają dalej bez zmrużenia powiek.

Matka jest wściekła.

- Co za zły omen! - mruczy i wychodzi z sali.

Po paru minutach wraca z pewnym młodym człowiekiem z Kaukazu, łysiejącym blondynem w czarnym garniturze, zdradzającym pracownika domu pogrzebowego. Poznaje, że matka wciąż go łaja, wskazując na zdewastowany napis. Wśród zebranych rozchodzi się pomruk. Starsze panie wciąż zawodzą i kłaniają się sztywno, a mnisi ciągle śpiewają.

Blondyn podchodzi szybko na przód sali z moją matką, następującą mu na pięty. Kłania się trzykrotnie ciotecznej babce Du, po czym z łatwością przesuwa jej trumnę na kółeczkach. Po kolejnym ceremonialnym ukłonie zdejmuje transparent z jej piersi i niesie go w obydwu rękach, niczym kościelne szaty. Kiedy przyczepia go z powrotem do ściany, matka wciąż fuka:

- W tym rogu więcej taśmy! Tutaj też więcej. Jak można dopuścić, żeby jej powodzenie tak po prostu spadło!

Mężczyzna kończy, popycha trumnę na miejsce i składa potrójny ukłon nieboszczce, jeden mojej matce, która tylko prycha w odpowiedzi, po czym spieszenie

wychodzi. Zastanawia mnie, czy kłaniał się przez szacunek, czy też dlatego, że nauczył się traktować w ten sposób chińskich klientów.

Frank podaje wszystkim zapalone kadzidełka. Rozglądam się, próbując się zorientować, co teraz. Jeden po drugim, żałobnicy wstają i dołączają do mnichów, śpiewając: Amitaba! Amitaba!

Raz za razem okrążamy trumnę, zgubiłam rachubę. Czuję się strasznie głupio, biorąc udział w ceremonii, która nie ma dla mnie sensu. Przypomina mi to wizytę w ośrodku Zen. Byłam tam jedyną osobą o azjatyckich rysach i także jedyną, która kręciła się niecierpliwie, czekając, kiedy też przyjdzie mnich, żeby zacząć kazanie. Dopiero po dwudziestu minutach zdałam sobie sprawę, że moi towarzysze nie czekają w ciszy, lecz medytują.

Matka kłania się ciotecznej babce. Kładzie swoje kadzidełko na podstawkę, mrużąc cicho „aj, aj”. Inni idą w jej ślady, panie z Wietnamu głośno zawodzą. Ogarnia mnie poczucie winy. Tak samo się czułam, kiedy ojciec udzielał mi chrztu, a ja nie wierzyłam, że odtąd jestem zbawiona, również wtedy, gdy przystępowałam do pierwszej komunii, nie wierząc, że sok z winogron to krew Chrystusa, a także wówczas, gdy modliłam się z innymi o cud, który wyleczyłby mego ojca, chociaż przeczuwałam, że dawno już umarł.

Nagle zaczynam płakać, zaskakując samą siebie równie mocno jak innych. Ogarnia mnie panika i próbuję się opanować, ale wszystko się we mnie załamuje. Serce mi pęka, wylewając z siebie gorzki gniew. Nie mogę go powstrzymać.

Zwilgotniały także oczy matki. Uśmiecha się do mnie przez łzy. Wie, że nie rozpaczam za babką Du, tylko za ojcem. Wie, bo czekała na to tyle czasu, już ponad dwadzieścia pięć lat. Od dnia jego pogrzebu.

Miałam czternaście lat, byłam gniewna i cyniczna. Siedziałam z matką i bratem w alkowie na pół godziny przed ceremonią. Matka beształa mnie, bo nie chciałam podejść do trumny i spojrzeć na ojca.

- Samuel się pożegnał. Płacze - mówiła.

Nie chciałam nosić żałoby po mężczyźnie z trumny, wychudłym, chorym człowieku, bezradnym i jęczącym, który pod koniec życia wciąż szukał matki przerażonym wzrokiem. Tak bardzo nie przypominał mojego ojca: czarującego i pełnego życia, zawsze roześmianego i wiedzącego dobrze, co powiedzieć w trudnych

chwilach. W jego oczach byłem doskonała. Jego „doskonała Pearl”, a nie wieczne utrapienie, jak moim zdaniem postrzegala mnie matka.

Matka prychnęła.

- Co to za córka, która nie potrafi płakać po własnym ojcu?!

- Ten człowiek nie jest moim ojcem - odparowałam bezczelnie.

Matka zerwała się na równe nogi i dała mi w twarz.

- Jak śmiesz! - krzyczała.

Zatkało mnie. Nigdy dotąd nie podniosła na mnie ręki.

- Aj-ja! Jeśli nie możesz płakać, to ja ci pomogę - i uderzyła mnie ponownie, jeszcze i jeszcze. - Płacz! Płacz! - wyła jak wariatka.

Ale ja siedziałam nieruchomo jak kamień.

W końcu dotarło do niej, co zrobiła. Ugryzła się w rękę i wymamrotała coś po chińsku. Wzięła brata za rękę i zostawili mnie samą.

Siedziałam, rzecz jasna, wściekła, ale także zwycięska, choć nie bardzo wiedziałam dlaczego. Pewnie również z tego powodu podeszłam w końcu do trumny. Oddychałam ciężko, powtarzając sobie, że to ja mam rację, nie ona. Uparłam się, że powstrzymam łzy, więc zdawało mi się, że niczego nie poczuje.

Ale wtedy go zobaczyłam, bladego i wychudłego. Wcale nie odpoczywał w pokoju. Miał wykrzywioną twarz, jakby wciąż na nowo przeżywał ostatnią chwilę męki.

Zaczęłam szybko oddychać, żeby wziąć się w garść. Zakręciło mi się w głowie. Wybiegłam z pokoju na dwór, łapiąc powietrze. Pędziłam ulicą Columbus w stronę zatoki, nie zwracając uwagi na turystów wybałuszających oczy na moją wściekłą minę.

W rezultacie spóźniłam się na pogrzeb.

W pewnym sensie tak już między nami zostało. Obie zwyciężyłyśmy i obieśmy przegrały. Do tej pory nie wiem na pewno, o co poszło. Matka bez przerwy mówi o ojcu i jego tragedii, ale nigdy o pogrzebie. Od tamtego dnia nigdy przy niej nie płakałam ani nie mówiłam o uczuciach do ojca.

Zamiast tego utrzymywałam własne wspomnienia: pewien uśmiech, kapelusz, zapal, z jakim wygłaszał kazania. Później zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę pamiętam tylko fotografie i że najlepiej utkwiał mi w pamięci okres jego choroby.

- Pearl - wołał słabo z łóżka - chcesz, żeby ci pomóc z pracą domową?

Kręciłam głową.

- Pearl, pomóż mi usiąść.

A ja udawałam, że go nie słyszę.

Do tej pory odwiedza mnie czasem w koszmarnych snach. Ukrywa się w szpitalu, w jednym ze stu pokoi, po sto łóżek w każdym. Wszędzie pełno chorych. Szukając go, błąkam się po długich korytarzach. Muszę przyglądać się każdej twarzy, każdej straszliwej chorobie, jaka może zaatakować ciało i duszę. Za każdym razem, kiedy widzę, że to nie on, drzę z ulgi.

Ten sen wraca w wielu wariantach. Zresztą jeden przytrafił mi się bardzo niedawno. Pojechałam do szpitala na badania kontrolne, żeby sprawdzić, czy stwardnienie się nie posunęło. Bez słowa wyjaśnień doktor umieścił mnie na oddziale dla przewlekle chorych.

- Nie możesz mnie tak traktować - krzyczałam. - Musisz mi wyjaśnić!

Wołałam bardzo długo, ale nikt nie przyszedł.

Wtedy go zobaczyłam. Siedział przede mną na brudnym łóżku, w poplamionej pościeli. Był stary i śmiesznie chudy. Lata opuszczenia i zaniedbania sprawiły, że posiwiiał i wyłysiał.

- Tatusiu? - zapytałam szeptem.

Podniósł pytające, bezradne oczy. Kiedy mnie zobaczył, krzyknął cichutko i już nie przestawał. Krzyczał z radości, że nareszcie zabieram go do domu.

Ceremonia pogrzebowa ciotecznej babci Du dobiega wreszcie końca. Stoimy na dworze. Lekka bryza znad zatoki przenika marynarki i podwiewa spódnice. Pieką mnie oczy. Jestem wykończona.

Koło mnie stoi matka. Nic nie mówi, tylko od czasu do czasu obrzuca mnie wzrokiem. Wiem, że chce porozmawiać o tym, co się stało. Nie o incydentach podczas pogrzebu, ale o tym, dlaczego płakałam.

- Już dobrze? - pyta łagodnie.

- Świetnie - staram się mówić normalnym tonem. - Phil i dziewczynki zjawiają się tu lada chwila.

Matka wyciąga z kieszeni swetra zmiętą chusteczkę ligninową i wręcza mi ją bez słowa. Pokazuje na swoim oku, że rozmazał mi się tusz do rzęs.

Podchodzi do nas Bao-bao.

- O rany, ale kino - mówi. - Chociaż pewnie takiego pogrzebu by sobie życzyła. Zawsze była trochę, no wiesz - puka się palcem w czoło.

Matka marszczy brwi.

- Co ma znaczyć „no wiesz”?

Bao-bao uśmiecha się głupawo.

- No, wiesz, hm... inna. Niezwykła. Wspaniała kobieta!

Patrzy na mnie i wzrusza ramionami.

- O! Jest już Mimi. Muszę lecieć. Idziecie na cmentarz?

Kręcę głową. Matka patrzy na mnie zdumiona.

Bao-bao podchodzi do lśniącego czarnego camaro. Mimi przesuwa się na miejsce pasażera.

- Ja nie mam wyboru. Mama wrobiła mnie w noszenie trumny - pokazuje naprężone ramię. - Dobrze, że powyciskałem trochę ostatnio.

Włącza radio na cały regulator i napina mięśnie coraz szybciej w rytm wibrującej muzyki.

- No, dobra. Miło cię było znów zobaczyć, Pearl. Do zobaczenia później, ciociu.

Samochód odjeżdża z warkotem. Słyszę, jak ciocia Helen woła z tyłu:

- Pearl! Pearl!

Toczy się w naszą stronę, przyciskając do oczu chusteczkę.

- Jedziesz na cmentarz? Urządzamy małe przyjęcie u nas w domu. Dużo dobrego jedzenia. Twoja matka przygotowała krokiety, a ja potrawkę z kurczaka. Mary i Doug też przyjdą. No chodź!

- Nie możemy. Jutro trzeba iść do pracy, a przed nami jeszcze długa droga.

- Och, te dzieci - mówi, załamując ręce w udanej rozpacz. - Wiecznie zbyt zajęte. No to przyjedź mnie niedługo odwiedzić. Chyba nie potrzebujesz zaproszenia. Przyjedź, to pogadamy.

- Okay - kłamię.

- Winnie-ah! - woła ciocia Helen na cały głos, mimo że mama stoi raptem dwa metry ode mnie. - Pojedź na cmentarz z nami. Henry już poszedł po samochód.

- Pearl zabiera mnie do domu - odpowiada matka, a ja stoję tylko i zastanawiam się, jakim cudem zawsze jej się udaje mnie przyłapać.

Ciocia Helen podchodzi do matki z zatroskaną miną. Pyta szybko po chińsku:

- Nie idziesz? Źle się czujesz?

Nie rozumiem wszystkich słów, tylko sens. Zdaje się, że matka nie chce, by się o nią martwić, wszystko w porządku. Trochę tylko uciska ją w piersiach, bo coś tam - coś tam ją zmartwiło. Mówi coś o upadku transparentu i że od tej pory boli ją całe ciało.

Ciocia Helen gładzi ją po plecach. Mówi, że matka może odwiedzić ciotkę Du, kiedy coś tam - coś tam się uspokoi i skończy się ta cała biegania. Później śmieje się i dodaje, że ciotka z Du z pewnością poczeka. Rzeczywiście, nie ma innego wyjścia. Matka żartuje, że ciotka Du pewnie strasznie się zezłościła z powodu dzisiejszych wypadków i zdążyła już odlecieć dokądś tam, żeby nie mieć już do czynienia z taką zwariowaną rodziną.

Śmieją się histerycznie, aż łzy płyną im z oczu. Nie mogą złapać tchu. Matka zasłania ręką usta i chichocze jak pensjonarka.

Podjeżdża wuj Henry. Ciotka wsiada i już poważnie każe matce pić dużo herbaty. Trąbią dwa razy i znikają.

- Źle się czujesz? - pytam. - Co?

- Powiedziałaś ciocie Helen, że nie możesz iść na cmentarz, bo coś cię boli.

- Nie powiedziałam, że mnie boli. Powiedziałam tylko, że nie chcę iść. Spełniłam już swój obowiązek. Wysłałam ciotkę Du do nieba. Teraz do Helen należy pochować ją w ziemi.

Wcale nie o tym mówiły. Chociaż nie zrozumiałam wszystkiego, najwidoczniej mama i ciocia Helen mają wspólne sekrety.

Jedziemy do matki.

- Mam nadzieję, że znajdziemy się na autostradzie przed godziną szczytu - rzuca Phil.

Matka podtrzymuje zdawkową rozmowę. Opowiada, że Bao-bao może wkrótce stracić pracę. Na przyjęciu wuj Loy powtórzył jej plotki, które usłyszał od swego syna. Mówi, że Frank pracuje na dzienną zmianę jako ochroniarz i łamie ciocie Helen serce, bo wszystkie dodatkowe pieniądze przepuszcza w bilard przy ulicy Geary.

Kiedy zbliżamy się do domu, matka pokazuje pewien placyk przy ulicy Clement, na którym zwykle robi zakupy. Nazywa się Szczęśliwa Kolacja. To jeden z typowych azjatyckich ryneczków, z ustawionymi na zewnątrz straganami. Ludzie

przebierają wśród gór owoców i warzyw, a pod oknami, niczym olbrzymie cegły, stoją stufuntowe worki ryżu.

- Ile płaciecie za tofu? - pyta matka i widzę, że tylko czeka, żeby przelicytować mnie lepszą ceną i wykazać, jak mogłabym zaoszczędzić dwadzieścia czy trzydzieści centów w jej sklepie.

Nie mogę jej niestety zadowolić.

- Nie wiem, nigdy nie kupuję tofu.

- Och - wygląda na zawiedzioną, ale zaraz się rozpromienia. - A ile za cztery rolki papieru toaletowego?

- Dolar sześćdziesiąt dziewięć - odpowiadam natychmiast.

- Widzisz! U mnie tylko dziewięćdziesiąt dziewięć centów. I to dobrej firmy. Kupię ci kilka następnym razem. Możesz mi później zwrócić.

Skrećamy na lewo w Ósmą Aleję. Ciocia Helen i wuj Henry mieszkają jedną przecznicę dalej, przy Dziewiątej. Według mnie wszystkie domy w tej dzielnicy wyglądają tak samo: dwupiętrowe budynki z lat dwudziestych, różniące się co najwyżej kolorem elewacji i wykończeniem. Jedni decydują się na stiuki, inni na azbestowe ocieplenia albo poręcze z aluminium.

Phil podjeżdża pod frontowe drzwi.

Matka pomalowała swój dom na różowo w rezultacie niezbyt fortunnego interesu, jaki ubiła z jednym ze swych stałych klientów, hurtownikiem farb. Ponieważ na dodatek kazała sobie zamontować ozdobne stiuki, całość przypomina wiejski serek polany syropem od kaszlu.

Nie mogę się nadziwić, ale matka, która zwykle nie przepuszcza żadnej okazji do narzekań, nigdy nie skarżyła się na ten kolor. Przeciwnie, bardzo jej się podoba.

- Kiedy was znów zobaczę? - pyta, wysiadając z samochodu.

- O, niedługo - mówię.

- Tak samo niedługo, jak ciocia Helen?

- Nie. Niedługo. Naprawdę.

Milknie na chwilę. Chyba mi nie wierzy.

- Tak czy inaczej, zobaczymy się pewnie na ślubie Bao-bao w przyszłym miesiącu.

- Co? Ślub już w przyszłym miesiącu? O tym nie słyszałam.

- Bardzo szybko - kiwa głową matka. - Edna Fong z naszego kościoła mówi, że słyszała o tym od swojej córki, której Mimi myje głowę w tym salonie fryzjerskim. Mimi zwierzyła się córce Edny, że okropnie im się spieszy. Edna podsumowała, że pewnie dlatego, że coś innego bardzo się spieszy, żeby wyjść na zewnątrz. Ciocia Helen jeszcze o tym nie wie. Nie mów jej.

Więc tak się ma historia cioci Helen o tym, że Bao-bao żeni się szybko z powodu jej bliskiej śmierci. Zgadza się, coś rośnie, ale to nie guz w jej głowie.

Matka wysiada. Nachyla się, żeby podsunąć Tessie, a potem Cleo policzek do pocałowania. Nie jest entuzjastką takich pieszczot, ale wie, że przyzwyczailiśmy dziewczynki do całowania rodziców Phila.

- Pa, pa, Ha-bu! - mówią. - Kochamy cię.

- Kiedy przyjedziecie następnym razem, przygotuję krokiety. A na chiński Nowy Rok dostaniecie księżycowe ciasteczka. Okay?

Wyciąga z rękawa chusteczkę i wyciera Cleo nos. Gładzi Tessę po kolanku.

- Okay! - krzyczą chórem.

Patrzemy, jak matka wchodzi po schodach. Cały czas machamy. Kiedy znalazła się już bezpiecznie w domu, machamy jeszcze raz, bo wygląda oknem. Wreszcie odjeżdżamy.

- Uff - wzdycha Phil. - Do domu.

Też wzdycham z ulgą. To był trudny weekend, ale jakoś udało nam się przetrwać.

- Mamusiu... - odzywa się Tessa na pierwszych światłach.

- Tak, kochanie?

- Mamusiu - szepcze - ja muszę iść do łazienki.

- Ja też - wtóruje Cleo. - Okropnie chce mi się kupę.

Matka czeka na nas przed domem.

- Próbowałam was gonić, ale tak szybko odjechaliście - mówi, kiedy tylko wysiedliśmy z samochodu. - Ale później pomyślałam, że sobie przypomnisz i wrócisz.

Tessa i Cleo już pędzą po schodach.

- Że o czym sobie przypomnę?

- O pożegnalnym prezencie ciotki Du. Pamiętasz? Parę dni temu mówiłam ci, żebyś nie zapomniała. Wczoraj też. Zapomniałaś?

- Nie, nie. Gdzie to jest?

- Na tyłach domu, w pralni. Bardzo ciężkie. Lepiej poproś męża, żeby ci pomógł.

Już sobie wyobrażam, co to jest. Stara winylowa otomana, na której ciotka trzymała nogi, albo zestaw nietłukących się talerzy melmac.

Kiedy czekamy na Phila i dziewczynki, matka mimo moich protestów podsuwa mi filiżankę herbaty.

- Już zaparzyłam. Jeśli nie wypijesz, to będę musiała wylać.

Upijam kilka łyków.

- To naprawdę dobre - mówię.

Rzeczywiście, nigdy jeszcze nie kosztowałam takiej herbaty. Jest gładka, mocna i natychmiast uzależnia.

- Mam ją od ciotecznej babki Du - wyjaśnia matka. - Kupiła ją sobie kilka lat temu. Sto dolarów za funt.

- Żartujesz.

Upijam następny łyk. Smakuje jeszcze lepiej.

- Powiedziała mi: „Jeżeli kupię sobie tanią herbatę, to znaczy, że moje życie niewiele było warte”. Postanowiła kupić najlepszą, żeby pić i czuć się w środku jak milionerka.

Śmieję się.

- Ale potem pomyślała - ciągnie matka, zachęcona widzieć moim śmiechem - że jeśli kupi tylko trochę, to będzie znaczyło, że jej życie dobiega końca. Kupiła więc tyle, że wystarczyłoby na następne wcielenie. Trzy funty, wyobrażasz sobie?

- Ależ to trzysta dolarów! - wołam.

Cioteczna babka Du była jedną z najoszczędniejszych osób, jakie znam.

- Pamiętasz, jak trzymała pudełka cukierków see, które dostawała od nas pod choinkę? Mówiła, że to za dobre, żeby jeść. Później dała nam takie pudełko z powrotem, na Dzień Dziękczynienia, czy coś w tym guście. Tyle że wtedy już się mocno przeterminowały...

Matka potakuje i śmieje się.

- ...a wszystkie pokrywała warstwa pleśni!

- I robaki - dodaje matka.

- Więc zostawiła ci tę herbatę w spadku?

- Dała mi ją już kilka miesięcy temu. Przeczuwała, że niedługo umrze. Nie mówiła o tym, ale zaczęła rozdawać różne rzeczy, i to dobrej jakości, nie jakieś śmiecie. Raz poszłam do niej z wizytą. „Jaka dobra herbata!”, powiedziałam jak zwykle. Tym razem ciotka poszła do kuchni i przyniosła mi całą paczkę. „Syau ning, weź teraz tę herbatę”, mówi do mnie. Tak mnie nazywała w czasach, kiedy się poznałyśmy; syau ning, czyli mała osóbką. Ja na to: „ależ nie, wcale nie miałam tego na myśli”, ale ona dalej: „Syau ning, weź to teraz, żebym mogła patrzeć, jak się cieszysz, póki jeszcze żyję. Z niektórymi rzeczami nie można czekać aż do śmierci”. Jak mogłabym odmówić? Oczywiście przy każdej następnej wizycie przynosiłam jej trochę.

Wraca Phil z Cleo; Tessa następuje im na pięty. Teraz właściwie żałuję, że musimy jechać.

- Lepiej ruszajmy - mówi Phil.

Odstawiam filiżankę.

- Nie zapomnij o prezencie od ciotecznej babki - powtarza matka do Phila. -
Stoi w pralni.

- Prezent? - dopytuje się Cleo. - Dla mnie też?

Phil rzuca mi zdziwione spojrzenie.

- Pamiętasz? Mówiłam ci - kłamię. - Cioteczna babka zostawiła nam coś w spadku.

Wzrusza ramionami i idzie za matką.

- Oczywiście, to tylko taki starość - mówi matka.

Włącza światło i nagle widzę tę rzecz na suszarce. To przynoszący szczęście ołtarzyk ciotecznej babki Du. Chiński żłobek.

- Ojej! - woła Tessa. - Chiński domek dla lalek.

- Nie widzę! Dajcie zobaczyć! - powtarza Cleo.

Phil unosi ołtarz i niesie go do pokoju.

Ołtarz ma rozmiary odwróconej szuflady, pomalowanej czerwonym lakierem. W pewien sposób przypomina scenę gotową na chińskie przedstawienie. Z przodu

stoją dwie strojne kolumny i dwie elektryczne świece ze złotego i czerwonego plastiku. Żarówki pochodzą z choinki. Po bokach biegną drewniane deseczki z wymalowanymi chińskimi znakami.

- Co tu jest napisane? - pytam matkę.

Przebiega palcem po jednym, a potem po drugim.

- Jye shiang ru yi. Pierwsze znaczy szczęście, drugie to też rodzaj szczęścia, a te dwa mówią: „wszystko, czego pragniesz”. Wszystkie rodzaje szczęścia, czego tylko sobie zażyczysz.

- A kto to jest ten człowiek w środku na obrazku?

Obraz przypominał klatkę z filmu rysunkowego. Potężny mężczyzna siedział w królewskim przepychu, trzymając w jednym ręku pióro, a w drugim małą tabliczkę. Miał długie bokobrody, podobne z wyglądu do gładkich, ostro zakończonych czarnych biczów.

- Och, tego nazywamy kuchennym bogiem. Moim zdaniem to żadna figura, nie tak jak Budda albo Kwan Yin, bogini miłosierdzia. Nawet nie na tym samym poziomie, co bóg pieniędzy. Przypomina trochę kierownika sklepu: ważny, ale nad nim jest jeszcze wielu innych szefów.

Phil chichocze, słysząc zamerykanizowane wyjaśnienia mamy na temat hierarchii chińskich bogów. Ciekawe, czy ona rzeczywiście tak o nich myśli, czy też użyła tego porównania wyłącznie na nasz użytek.

- Co to jest kuchenny bóg? - pyta Tessa. - Czy ja też mogłabym jednego dostać?

- To tylko bajka - odpowiada matka.

- Bajka! - woła Cleo. - Ja chcę bajkę!

Twarz matki promienieje. Głaszcze Cleo po głowie.

- Chcesz, żeby Ha-bu opowiedziała ci jeszcze jedną historię? Wczoraj ci nie wystarczyło?

- Opowiem ci jakąś, kiedy wrócimy do domu - zwraca się Phil do Cleo. - Ha-bu już się zmęczyła. Ale matka jakby go nie słyszała.

- To bardzo prosta opowieść - mówi do Cleo kojącym głosem. - Oto, jak został bogiem.

Matka zaczyna, a mnie ogarniają znajome uczucia. Zupełnie jakbym znów miała trzy lata i ciągle chciała wierzyć w każde jej słowo.

„Dawno temu mieszkał w Chinach bogaty wieśniak. Nazywał się Zhang. Świetnie mu się powodziło. W jego rzece roiło się od ryb, w jego obejściu chrząkały świny, a po podwórku fruwały kaczki tłuste jak obłoki. Wszystko to działo się za sprawą Guo, pracowitej żony, którą pobłogosławili mu bogowie. To ona łowiła jego ryby i pasła jego świny. Ona tuczyła kaczki i rok za rokiem pomnażała majątek. Zhang miał wszystko, czego dusza zapagnie. Woda, ziemia i niebo hojnie użyczały mu swych darów.

Ale jemu było mało. Chciał się bawić z piękną, beztroską kobietą, panią Li. Pewnego dnia przyprowadził ją do domu i kazał swej dobrej żonie gotować dla niej wymyślne potrawy. Kiedy potem pani Li przegnała jego żonę, nie pobiegł za nią i nie zawołał: «Wracaj, moja dobra żono!»

Odtąd Zhang i pani Li mogli się sycić swoimi uściskami. Szastali pieniędzmi na prawo i lewo. Zarznęli kaczki tylko po to, żeby zjeść talerz kaczych języków. W ciągu dwóch lat ziemia Zhanga opustoszała. Opustoszało także jego serce. Stracił wszystkie pieniądze, a pani Li odeszła z innym mężczyzną.

Zhang został żebrakiem, tak biednym, że na jego spodniach było więcej lat niż materiału. Czołgał się od jednego gospodarstwa do drugiego, wołając, żeby dali mu chociaż spleśniałego ziarna.

Pewnego dnia upadł. Leżał, patrząc w niebo i czekając na śmierć. Zemdlął i przyśniło mu się, że zjada zimowe chmury. Kiedy znów otworzył oczy, okazało się, że chmury zamieniły się w dym. Przestraszył się zrazu, że oto spadł do tego miejsca głęboko pod ziemią, jednak kiedy usiadł, przekonał się, że siedzi w kuchni, blisko pieca. Dziewczyna pilnująca ognia wyjaśniła mu, że pani tego domu uzalila się nad nim, tak jak nad wieloma innymi ludźmi: biedakami, staruszkami i chorymi.

- Jakaż to dobra pani - zawołał Zhang. - Chciałbym jej podziękować. Gdzie ją znajdę?

Dziewczyna wskazała na okno i Zhang dojrzał kobietę idącą ścieżką. Aj-ja! Ta dama to nikt inny, tylko jego dobra żona, Guo!

Zhang zaczął skakać po kuchni, szukając, gdzie by się tu schować. Wreszcie, kiedy jego żona właśnie otwierała drzwi - wskoczył do pieca.

Dobra żona Guo wylała wiele łez. Próbowwała ugasić ogień, ale na próżno. Zhang płonął ze wstydu i od rozpalonego węgla. Guo widziała, jak prochy jej męża ulatują do nieba w trzech kłębach dymu. Wah!

W niebie Jadeitowy Cesarz usłyszał o jego historii.

- Za to, że starczyło ci odwagi, by przyznać się do winy - oznajmił - zostaniesz kuchennym bogiem, który pilnuje ludzkich postępów. Każdego roku powiesz mi, kto zasługuje na dobry los, a kto na zły.

Od tamtej pory ludzie w Chinach wiedzą, że kuchenny bóg ich obserwuje. Ze swego kącika w każdym domu i w każdym sklepie widzi wszystkie dobre i złe odruchy: hojność i skąpstwo, pogodne usposobienie i wieczne narzekania. Na siedem dni przed każdym Nowym Rokiem kuchenny bóg leci do nieba zawiadomić, czyj los zasługuje na poprawę, a czyj na pogorszenie".

- Koniec! - wola zadowolona Cleo. .

- Przypomina trochę Świętego Mikołaja - stwierdza Phil radośnie.

- Phi - prycha matka, co ma oznaczać, że szkoda słów na jego głupotę. - To żaden Święty Mikołaj. Raczej szpieg, agent FBI, CIA, mafii. Gorszy niż ci z Urzędu Podatkowego. On niczego ci nie daje. To ty musisz go obsypywać prezentami. Przez cały rok w dowód szacunku dajesz mu herbatę i pomarańcze, a kiedy nadchodzi chiński Nowy Rok, musisz się jeszcze bardziej wysilić: może whisky, żeby miał co pić, papierosy, żeby mógł zapalić, cukierki i inne podarki. Wszystko po to, żeby osłodzić mu język i zamącić w głowie, tak żeby kiedy spotka się z szefem, mógł powiedzieć o tobie same dobre rzeczy. Masz nadzieję, że powie: „To porządna rodzina, ześlij im, proszę, pomyślny los".

- No cóż, to bardzo tanio wychodzi - wtrącam. - Taniej niż los na loterię.

- Nie! - woła matka z pasją; aż nas wszystkich wystraszyła. - Nigdy nie wiadomo. On może być w złym nastroju. Czasem powie: „Nie lubię tej rodziny, sprowadź na nich pecha". Wtedy masz kłopoty i nic nie możesz poradzić. Czemu miałabym się cieszyć, że sądzi mnie człowiek, który zdradził swoją żonę? To jego żona była dobra, nie on.

- Wobec tego, czemu babka Du go trzymała? - pytam.

Matka marszczy brwi i myśli przez chwilę.

- Chyba dlatego, że jeśli raz zaczniesz, boisz się przestać. Cioteczna babka czciła go od dzieciństwa. Jej rodzina zapoczątkowała jego kult w Chinach, wiele pokoleń temu.

- Wspaniale! - mówi Phil. - A teraz to przekleństwo spada na nas. Dziękujemy, cioteczna babko, ale chyba nie skorzystamy.

Patrzy na zegarek. Wiem, że się niecierpliwi.

- Ciotka Du chciała, żeby ci to dać - mówi matka zboląłym głosem. - Skąd miała wiedzieć, że to nie najlepszy prezent? Chciała zostawić coś w dobrym stanie. Najlepsze rzeczy.

- Może przyda się dziewczynkom jako domek dla lalek - podsuwam.

Tessa potakuje, więc Cleo robi to samo. Matka patrzy na ołtarz i nie mówi ani słowa.

- Mam taki pomysł - odzywa się w końcu z namysłem. - Weź ten ołtarz, a ja znajdę ci innego szczęśliwego boga. Zamiast tego.

Wyjmuje obrazek kuchennego boga.

- Tego zabieram. Ciotka Du to zrozumie. Niepotrzebne ci takie powodzenie. Nie musisz się już martwić.

- Załatwione! - wtrąca Phil natychmiast. - Zapakujmy to.

Teraz ja zaczęłam się niepokoić. :

- Jesteś pewna?

Ale ona pakuje już plastikowe świece do starej papierowej torby. Nie jestem przesądna. Zawsze nienawidziłam „łańcuszków szczęścia”; Mary przysyłała mi je bez przerwy. Nigdy ich nie przepisywałam, ale nie mogłam się zdobyć na wyrzucenie oryginałów.

Phil niesie ołtarz, Tessa torbę ze świecami. Matka zabrała Cleo na górę, żeby znaleźć jej świecąca plastikową bransoletkę, zostawioną w toalecie. Wraca i wręcza mi ciężką torbę z zakupami; w środku są chyba pomarańcze i chińskie cukierki. W ten sposób okazuje mi troskę.

- Dałam ci też trochę herbaty ciotki Du - dodaje. - Nie używaj za dużo. Dolewaj po prostu wody, smak zawsze wraca.

Po kwadransie jazdy dziewczynki zasypiają. Postanowiliśmy pojechać szosą numer dwieście osiemdziesiąt, bo mniej tam ruchu i ograniczenia prędkości nie stoją tak gęsto. Przed nami jeszcze trzydzieści pięć mil.

- Nie zatrzymamy tego ołtarza - mówi Phil. To raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Yhm.

- Jest obrzydliwy - dodaje - chociaż pewnie można by dać go dzieciom do zabawy, póki im się nie znudzi.

- Yhm.

Wyglądam przez okno i myślę o matce. Jakiego też boga mi wyszuka? Mijamy wjazd na szosę i cały rząd wlokących się niedzielnych kierowców.

Patrzę na licznik: jedziemy ponad osiemdziesiąt mil na godzinę.

- Dokąd ci się tak spieszy?

- Mam coś na ząb? - pyta Phil, zwalniając.

Przypominam sobie o paczce od mamy; stoi przy moich nogach. W środku znajduję kilka mandarynek, rolkę papieru toaletowego, pudełko z herbatą ciotecznej babki Du i zdjęcie ojca, które wtedy zrzuciłam. Ma nową szybkę.

Podaję Philowi mandarynkę i odwracam się do okna, żeby nie widział moich łez. Patrzę na krajobraz: zbiornik wodny, podnóża gór, domy, które mijaliśmy już tyle razy, nie zastanawiając się nigdy, kto w nich mieszka.

Mila za milą, znajome - nieznajome widoki. Odległość, która dzieli mnie od matki.

III

Trzydniowa ryba

Helen uważa, że zawsze podejmuje właściwe decyzje, ale tak naprawdę ma tylko mnóstwo szczęścia. Od pięćdziesięciu lat patrzę, jak jej głupota owocuje powodzeniem. Tak jak podczas wczorajszego lunchu.

- Winnie-ah - powiedziała. - Nałóż sobie jeszcze trochę kurczaka.

Odparłam, że mam już dosyć resztek po pogrzebie, pięć dni zupełnie wystarczy. Poszliśmy więc po zakupy do Szczęśliwej Kolacji, żeby wybrać coś nowego. Helen zdecydowała się na dużą płaską rybę, którą nazwała *pompom*. Tylko dolar sześćdziesiąt dziewięć za funt, prawdziwa okazja.

- To żadna okazja - mówię. - Spójrz na jej oczy. Wybałuszone i mętne. Musi tu leżeć co najmniej od trzech dni.

Ale Helen zagląda rybie w oczy i twierdzi, że nie widać nic złego. Podnoszę tę rybę i czuję, jak przelewa mi się między palcami - znak, że rozstała się z życiem bardzo dawno temu. Helen uważa jednak, że to dobry objaw: soczysta, delikatna sztuka.

Wącham ją i tłumaczę, że cała słodycz mięsa podeszła pod skórę i cuchnie kwaśno, ale Helen przykłada rybę do nosa i upiera się, że właśnie tak pachnie *pompom*.

Kupiła tę trzydniową rybę i zaprosiła mnie na kolację.

Kiedy podała do stołu, jej mąż rzucił się na rybi policzek. Włożył go do ust i wychwalał. Frank połknął prawy policzek. Helen nałożyła sobie kawałek od ogona, najchudsze mięso. Mlaskając oznajmiła, że trzymała rybę na parze dokładnie tyle, ile trzeba, ani chwili za długo. Nagle spostrzegła, że nie wzięłam nic prócz ryżu. Znów zanurzyła pałeczki w rybie, tym razem blisko brzucha, wzięła i nałożyła mi najtłustszy kawałek.

- Winnie-ah, nie musisz być tak uprzejma - zganiła mnie.

Tak więc musiałam być uprzejma i zjeść jej rybę.

Mówię ci, aż się trzęsłam ze złości. Mięso okazało się słodkie i delikatne. Dolar sześćdziesiąt dziewięć za funt. Pomyślałam, że Helen wróciła do Szczęśliwej Kolacji, żeby wymienić rybę, ale przecież nie wpadłoby jej to do głowy.

To mi coś przypomniało. Helen nie grzeszy zbyt wielkim rozumem, urodziła się w biednej rodzinie i nigdy nie była ładna, ale mimo to zawsze dopisuje jej szczęście. Nawet z trzydniową rybą.

Ja tak nie potrafię. Powodzenie towarzyszyło mi od urodzenia, ale z biegiem lat szczęście, podobnie jak uroda, zanikało, zostawiając mi ślady na twarzy, żebym nie mogła zapomnieć.

Nie umiem wyjaśnić, jak to się stało, jak zaszły w moim życiu te wszystkie zmiany. Jeśli spróbuję to opisać, moja opowieść nigdy nie popłynie jak rzeka, bez przerwy, od początku do końca, od źródła do morza. Gdyby rzeczywiście jedno zdarzenie wynikało z drugiego, patrząc wstecz, mogłabym wyciągnąć wnioski. Dostrzegłabym los, który stał się moim udziałem, wybory, których dokonałam, i własne błędy. Może wtedy zdążyłabym odmienić przeznaczenie.

Helen powtarza mi ciągle: „Po co wracasz myślą do tych odległych czasów? Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Nie zmienisz przeszłości”.

Ona nie pamięta. Obie zmieniałyśmy swoją przeszłość wiele razy, dla wielu różnych przyczyn. Helen zmienia czasem moją i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Zupełnie jak z tą rybą *pompom*, która płynie teraz pod prąd mej pamięci.

Kiedyś, wiele lat temu, kupiłam bardzo specjalną rybę dla Jimmy'ego Louie, mego męża. Och, jak ja go kochałam!

Zobaczyłam, jak pływała w zbiorniku, złowiona w oceanie jeszcze tego ranka. Ciągle była zła. Cała połyskiwała czerwonomarańczową łuską, a kiedy zawracając machnęła ogonem, zalśniła jasnym złotem.

Kazałam sprzedawcy zawinąć ją żywą, i to nie w gazetę, tylko w czysty, biały papier. Puchnąc z dumy, wiozłam ją autobusem do domu, czując, jak wali głową i ogonem. Wyobrażałam sobie, jak Jimmy poczuje jej słodycz i zrozumie, że to specjalna ryba na szczęście, bo mam dla niego dobre wieści.

Wyobraź sobie, że ryba nie przestała ze mną walczyć ani na chwilę. Zanim ją zabiłam, nadęła skrzela i wypuszczała z pyska bańki powietrza; chciała mnie nastraszyć, że jest trująca. Nawet kiedy już ją sprawiłam, podskakiwała na patelni i spadła na podłogę, ciskając się to tu, to tam, podczas gdy ścigałam ją z młotkiem.

Ugotowałam ją wreszcie, ale nawet wtedy potrafiła zadać mi cios. Jimmy wziął do ust tylko jeden kawałeczek, a natychmiast utkwiała mu w gardle maleńka ość. Przez całą noc ryba gryzła go od środka za każdym razem, gdy przelykał ślinę.

Operowano go później w szpitalu. Jimmy nie mógł mówić, ale z jego zatroskanej twarzy widziałam, że myśli o koszcie tej operacji, koszcie łóżka i lekarstw, które go uśpiły.

Właśnie wtedy przypomniałam sobie radosne wieści, z powodu których kupiłam tę drogą rybę. Powiedziałam mu, że znalazłam pracę przy robieniu makaronu w piekarni Hang Ah. Mój dodatkowy dochód wystarczy, żeby w ciągu roku spłacić szpital.

Jimmy zacisnął oczy i zapłakał. Poruszył ustami, ale z jego poranionego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Mimo to wiedziałam, co mówi. Chciał wykrzyknąć:

- Szczęśliwy traf! Naprawdę nam się powiodło.

No i tak moje szczęście nie przypomina szczęścia Helen ani innych ludzi, którym udało się odmienić niepowodzenia na własną korzyść.

Nie, powiem ci, jak to jest ze mną, a jak z innymi ludźmi - podobnie jak z pewną dziewczynką, którą znałam w Szanghaju, koleżanką z chrześcijańskiej szkoły. Pochodziła z rodziny równie zamożnej jak moja i niemal dorównywała mi urodą. W tym samym czasie, kiedy ja po raz pierwszy wychodziłam za mąż, ona miała spisany kontrakt ślubny z bogatą rodziną bankierską. Ale tamtego lata ospa na zawsze oszpeciła jej twarz i kontrakt rozwiązano. Żałowałam jej, bo straciła twarz na dwa sposoby.

Wiele lat później spotkałam ją znowu, kiedy przeprowadziliśmy się z Jimmym do Fresno. Wyszła za amerykańskiego Chińczyka, właściciela sklepu spożywczego, w którym sprzedawano wodę sodową, chipsy i papierosy po horrendalnych cenach. Właśnie tam ją spotkałam, stała za ladą. Kupowałam lody na patyku, a ona zawołała:

- Siostró, siostró, poznajesz mnie?!

Nie dała mi jednak zniżki. Kiedy jej płaciłam, powiedziała, jakiego ma uczciwego, uprzejmego i miłego męża. Z tymi słowami poprawiła na ręce niezliczoną ilość bransoletek z jadeitu. Opadły z powrotem, brzęcząc bogato. Uśmiechała się tak szeroko, że jej ślady po ospie wyglądały jak radosne dołeczki.

Później przestała się uśmiechać i szepnęła:

- Pamiętasz tego chłopca z bankierskiej rodziny z Szanghaju?

Opowiedziała mi z prawdziwym smutkiem, bez odrobiny goryczy (najlepszy dowód, jak dobrze potraktował ją los), że po zwycięstwie komunistów jego rodzina straciła wszystkie banki. Później ich syn, ten sam, który nie chciał się z nią ożenić,

wyskoczył z wieży budynku należącego niegdyś do nich, przy rzece Huangpu, a jego śliczna żona za bardzo się bała, żeby pójść i upomnieć się o ciało.

- Jakie to szczęście, że się ze mną nie ożenił - zakończyła.

Nigdy nie miałam podobnego szczęścia. Odmówiłam poślubienia dobrego człowieka imieniem Lin. Wyszłam za niewłaściwego; nazywał się Wen. Obydwaj pochodzili z wyspy, na której się wychowywałam, odkąd skończyłam sześć lat. Była to staroświecka okolica, otoczona przez wodę, rzekę i morze, więc nowe idee niełatwo tam przenikały.

Człowiek, którego powinnam była poślubić, pochodził z niezbyt zamożnej rodziny, ale wykształconej i o dobrych manierach. Kiedy według chińskiej miary miałam szesnaście lat, odmówiłam tej rodzinie nawet jednego spotkania z ich synem. Wszystko dlatego, że posłuchałam Starej Ciotki i tonu, jakim oznajmiła o ich propozycji. Powiedziała o tym przy obiedzie, w obecności Nowej Ciotki, stryja, moich kuzynów i przyjaciół, którzy przyszli w odwiedziny.

- Ta rodzina Lin - zaczęła, wydmuchując nos. - Phi! Mają ochotę wspiąć się na nasz poziom po sukni ślubnej Weili.

Po tych słowach chłopiec, którego nigdy nawet nie spotkałam, wydał mi się podobny do wielkiej, paskudnej jaszczurki, pełzającej nocą po mojej nodze. Stara Ciotka zwróciła się do mnie:

- Weiwei-ah, czy chciałabyś wejść do takiej rodziny? Brzmiało to zupełnie, jakby spytała: „Masz ochotę wskoczyć do rzeki?“, czym zresztą Stara Ciotka często straszyla, kiedy mąż jej dokuczał.

- Prędzej użyję obydwu nóg, żeby rzucić się do rzeki! - krzyknęłam.

Wtedy zwróciła się do stryja jeszcze bardziej drżącym głosem.

- Co mam zatem zrobić? Ty zdecyduj!

To mój stryj użył później obu rąk i nóg, żeby skończyć ze sobą. Kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym przyszli komuniści, za bardzo się bał, żeby uciekać, ale też zbyt się wystraszył, by zostać. Tak zgłupiał, że poszedł do portu na północnym krańcu wyspy i usiadł, żeby przemyśleć możliwe rozwiązania. Opowiedziało nam później dwóch rybaków, że kiedy w ciemną portową uliczkę wjechała ciężarówka pełna małych krabów, stryj wstał i machając rękami pobiegł jej na spotkanie. „Wracaj, wracaj“, krzyczał.

- Bardzo osobliwe - mówili rybacy.

Wydawało mu się, że rządzi całym światem i że rzeczywiście może powstrzymać ciężarówkę, zanim go przejedzie.

Kiedy umarł, Stara Ciotka zaczęła wierzyć, że uschnięte drzewo na podwórzu to jej mąż, zbyt leniwy, by wstać i pomóc jej w walce z przeciwnościami losu.

Taką miałam rodzinę. Jakiej mogli udzielić mi rady? Gdybym nie straciła w dzieciństwie matki, nie posłuchałabym Starej Ciotki i może wyszłabym za chłopca z rodziny Lin. Pewnie po ślubie nauczyłabym się go kochać. Przeżywalibyśmy trudne chwile, tak jak wszyscy inni, ale może nie musiałabym się tak nienawidzić ani uważać swego serca za najgorszego wroga.

Spotkałam tego człowieka dwadzieścia lat później, kiedy od pięciu lat mieszkałam już w Stanach. Byłam dorosłą kobietą, nazywałam się Winnie Louie po moim mężu, Jimmym Louie. Pearl miała dobrze ponad cztery lata, a Samuel prawie trzy. Nie przelewało nam się, ale uważałam, że niczego nam nie brakuje, bo tak wytłumaczyła mi kiedyś pewna chrześcijańska pani. „Miska pełna ryżu to wszystko, czego potrzeba do szczęścia”.

Wierzyłam, że ma rację. Jakżeby inaczej? Jimmy został duchownym w naszym kościele we Fresno, tym samym, który płacił mu pięćdziesiąt dolarów tygodniowo i zapewnił nam mieszkanie w małym domku. Wierzyłam, że nie powinnam oczekiwać niczego więcej. Wierzyłam w to do chwili, gdy ten Lin pokazał się w naszym kościele i uratował mi życie.

Oczywiście, w Chinach żyje wielu Linów, wielu mieliśmy też w naszej parafii. Z początku nie skojarzyłam, że może to ten chłopiec, którego odrzuciłam. Właśnie sprowadził się w te strony, a ludzie szeptali: „To doktor, mieszka w Tulare, w domu z wielkim basenem. Ożenił się z córką byłego generała, która pięknie mówi po chińsku; z pekińskim akcentem, jak primadonna”.

Tamtej niedzieli odwiedził z żoną nasz kościół. Staliśmy w palącym porannym słońcu. Każdy bardzo się nimi interesował, doktorem i jego żoną z wyższych sfer. Jimmy i ja staliśmy przy schodach prowadzących do kościoła, żeby wszystkich przywitać. Mój mąż mówił po angielsku, w języku wspólnym dla różnych chińskich dialektów: „Cieszę się, że pana widzę, miło mi panią poznać, proszę przyjść ponownie”. W kółko powtarzał te słowa. Każdy z tych zwrotów ćwiczyłam po nocach, ale nie mogłam ich wymówić. Kiwałam więc tylko głową i uśmiechałam się, udając nieśmiałość. Każdej niedzieli tak samo.

Tego dnia zrobiło się strasznie gorąco, a nie mogłam zdjąć swetra, bo mole wyjadły mi dziurę na prawym ramieniu sukienki.

Skinęłam głowę doktorowi i jego żonie. Kiedy się przesunęli, widziałam, jak inni parafianie podchodzą do nich i przedstawiają się: Gladys Wong, Mavis Chew, George Po, Murray Yang, Irene Wing. Wszyscy wymieniali tylko imiona, zbyt nieśmiali, jak mi się wydawało, żeby zamienić choć dwa słowa z wielkim, ważnym doktorem.

Myślałam sobie o tym wszystkim, a właściwie nie tyle myślałam, ile pozwalałam słowom przepływać przez głowę; byłam trochę śpiąca. Podrapałam się w policzek, na co doktor podrapał się w szyję. Skinął mi głową, zaśmiał się i powiedział: „Ding-ningin”. Swędzi.

Kiedy usłyszałam to słowo, wydało mi się, że śnię.

„Przedziwne - pomyślałam. - On zna to samo lokalne, wyspiarskie wyrażenie z mojego dzieciństwa”.

Przypomniałam sobie, kiedy usłyszałam je po raz pierwszy. Miałam sześć lat i spędzałam pierwsze lato na wyspie, gdzie odesłał mnie mój ojciec. Dzień i noc małe, niewidoczne pchły gryzły mnie po wrażliwych udach. Wkrótce sytuacja stała się rozpaczliwa; drapałam się bez przerwy i nie mogłam przestać. Obydwie ręczki przesuwały się szybko po nogach, a ja krzyczałam na cały głos: „Yangsele!”, co w dialekcie mandaryńskim znaczy: „swędzi na śmierć”.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Stara Ciotka uderzyła mnie po dłoniach, żebym natychmiast przestała.

- Jak możesz używać takich wyrazów!

Następnego dnia starszy kuzyn powiedział mi, że miejscowi, mówiąc o swędzeniu, używają słowa ding-ningin, zaś yangsele znaczy zupełnie co innego. Nie miałam pojęcia, jak bardzo innego, aż do wieczora poprzedzającego mój ślub z niewłaściwym człowiekiem, dobre dziesięć lat później. Podśluchałam wtedy małych kuzynów, jak szeptali do siebie:

- *Yangsele!* Swędzi ją do seksu. Jej tyłek nie może się doczekać na ukłucie mężczyzny.

Tamtego gorącego dnia we Fresno znowu usłyszałam ding-ningin. Przypomniałam sobie, jaka kiedyś byłam niewinna. Zaczerwieniłam się na to

wspomnienie ze złości, z gniewu, ze wstydu i nie wiem z czego bardziej. Im więcej o tym myślałam, tym większe ogarniało mnie rozgorączkowanie.

Doktor Lin dotknął mego ramienia

- Źle się pani czuje? - zapytał.

Patrzyłam tylko na niego, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Widziałam, jak uniósł brwi i ściągnął usta. Bardzo mu zależało na mojej odpowiedzi.

Jego twarz, ten wyczekująco-napięty wyraz, który Stara Ciotka opisała kiedyś: „ta długa mina Linów, zupełnie jak u konia, który szuka ci w kieszeni słodczy”.

Na widok tej twarzy wszystko stopiło się w jedną całość: moja przeszłość, obecne życie, pierwszy i drugi mąż, Lin. Zupełnie straciłam głowę. Nie wiedziałam, kto krzyknął:

- Udar słoneczny! Upał jej zaszkodził!

Nie wiedziałam, czemu ściągnęli ze mnie sweter, wzięli na ręce i wnieśli do kościoła.

Mąż opowiadał mi potem, że kiedyś trzymał mnie w ramionach, całą mokną, żeby przez chrzest zbawić moją duszę.

- A teraz - dodał, śmiejąc się i płacząc - doktor ochrzcił cię na nowo, żeby ocalić ci życie.

Jeszcze nie doszłam do siebie.

- Zdawało mi się, że zobaczyłam ducha - powiedziałam z wysiłkiem, jakby chcąc się usprawiedliwić.

Nagle zdałam sobie sprawę, że nie jesteśmy sami. Stał tam Lin, jego żona i inni parafianie. Wszyscy gapili się na mnie.

Natychmiast odzyskałam przytomność. Ogarnął mnie straszny wstyd, że wszyscy widzieli moją sukienkę z wielką dziurą na ramieniu.

Nigdy nie przyznałam się Jimmy'emu, że „Lin to mój niedoszły narzeczonny i mogłam wyjść za niego, zamiast za tamtego człowieka, a potem za ciebie”.

Powiedziałam mu tylko o tym słowie z języka, który Lin i ja dzieliliśmy przed laty. Jimmy poczuł się strasznie dumny i następnej niedzieli nie omieszkał zawiadomić Lina, że ja także pochodzę z wyspy Tsungming, którą nazywano Ujściem Rzeki.

Próbowałam mu zaprzeczyć, wyjaśnić, że pewnie się omyliłam i chodzi o zupełnie inną wyspę. Bałam się, że Lin zawoła przy wszystkich:

- Hej, to ty jesteś tą dziewczyną, która odmówiła mojej rodzinie?

Ale Lin uśmiechnął się tylko i powiedział:

- Oboje pochodzimy z dawnych czasów, prawda, siostrzyczko?

Może zrobił to z uprzejmości. Był świetnie wychowany. Może zresztą nigdy nie pragnął mnie poślubić. Miał bardzo piękną żonę. A może nie o niego chodziło? W końcu słyszałam, że w tej rodzinie było wielu synów. Nie dowiedziałam się nigdy. Bałam się pytać. Co bym w ten sposób zyskała?

Nie zadawałam więc żadnych pytań, ale od tamtej pory zaczęłam oceniać swoje życie na dwa sposoby: co się rzeczywiście stało i do czego nie doszło.

„Oczywiście nie żałuję tego, że wyszłam za Jimmy'ego Louie - myślałam późną nocą, kiedy mąż i dzieci dawno poszły spać. - Kocham go. Czekałam na niego pięć lat. Dla niego przyjechałam do tego kraju, pełna najlepszych chęci. To prawdziwa miłość, a nie tylko oddanie biorące się stąd, że karmisz męża i wychowujesz jego dzieci. Nie chodzi mi o Lina, piękne stroje jego żony i dom z basenem. Komu to potrzebne?”

Tak sobie mówiłam, ale później przychodziły inne myśli: żałowałam, że nie wyszłam za Lina, bo wtedy ominęłoby mnie małżeństwo z tamtym człowiekiem. Nie stałabym się żoną, która modli się tylko, żeby Japończycy zabili jej męża. Nie zostałabym matką, która nie oplakuje zmarłych dzieci. Nie zatruwałabym sobie umysłu obmyślaniami sposobów ucieczki z tego związku i nie gryzłabym się każdego dnia, że tych zamiarów nie wprowadziłam w czyn. Nie żałowałabym może, że tak niewiele mogę ofiarować drugiemu mężowi i że potrafię się zdobyć tylko na wdzięczność, nigdy na pełnię szczęścia.

Po śmierci Jimmy'ego nie mogłam obronić się przed myślą, że gdybym wyszła za Lina, nigdy nie spotkałabym Jimmy'ego Louie, nie poślubiłabym go i nie tęskniłabym za nim teraz. Moje oczy i uszy nie szukałyby go na próżno, ciało nie łudziłoby się, że ktoś go dotknie. Nie czułabym tego bólu, na który nie ma lekarstwa. Gdybym wyszła za Lina, nie znałabym Jimmy'ego, a przecież nie tęskniłabym za kimś, czyjego imienia nigdy nie słyszałam.

Ostatnio znów o tym myślałam. Gdybym wyszła za Lina, wciąż byłabym jego żoną. Helen nie znałaby moich najgorszych tajemnic. Nie musiałabym jej pozwalać

tak się szarogęścić. Wiem o tym, bo podczas tej kolacji, na którą podała rybę, powiedziała mi, że doktor Lin, wdowiec z Fresno, przyłączył się do naszego kościoła.

- To lekarz - powiedziała - ale dał na tacę tylko pięć dolarów.

Helen zauważyła moje zdumienie. Jak zawsze uznała, że pojadła wszystkie rozumy, więc dodała:

- Tak, możesz sobie wyobrazić? Cóż to za człowiek? Nie zwierzyłam się jej, że mogłam wyjść za niego. Nie powiedziałam: „Cóż za zły los mi przeszkodził? Nie wiedziałam, że mogę wybierać, może to dlatego?”

Nie przyznałam się też, że może popełniłam błąd, najzwyczajszą pomyłkę, mówiąc jednemu: nie, a drugiemu: tak, przebijając konkurentów jak ryby w zbiorniku. Zanim skosztujesz, skąd niby masz wiedzieć, która okaże się dobra, a która zła? Nie zrozumiałaby mnie. Myślimy zupełnie inaczej. Ona wciąż jeszcze tkwi głową w Chinach. Kiedy kupiła tę rybę, spytałam ją:

- Wiesz, co się dzieje, kiedy ryba ma trzy dni?

Na to ona bez wahania: - Płynie do morza.

Już od blisko czterdziestu lat powtarzam ludziom, że Helen jest moją bratową. To nieprawda.

Mówię, że była żoną mego brata, Kuna, który zginął na wojnie. To też nieprawda.

Nie chciałam wcale nikogo oszukać, prawda była po prostu zbyt skomplikowana. Nawet gdybym próbowała tłumaczyć, nikt by jej nie pojął.

Ten zabity brat? W rzeczywistości to tylko przyszywany brat, spowinowacony przez małżeństwo. Był synem pierwszej żony mego ojca, która zmarła, zanim moja matka zajęła jej miejsce. Nigdy nie przyjaźniłyśmy się blisko z tą częścią rodziny.

Poza tym Kun nie zginął na wojnie. Zabili go przed wojną. Obcięli mu głowę w Czangsza za to, że sprzedał rewolucjonistom trzy beły materiału. Działo się to w roku 4638 podług chińskiego kalendarza, w Roku Konia, kiedy ludzie następują sobie na nogi i ciągle się niepokoją. Według zachodniego systemu trudno mi powiedzieć. Może w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym, trzydziestym albo trzydziestym pierwszym. W każdym razie, zanim spotkałam Helen.

Skoro już o tym mówię, muszę wyjaśnić, że mój przyrodni brat nie należał do rewolucjonistów. W rzeczywistości twierdził, najpierw gniewnie tupiąc nogą, a potem

na kolanach z rozpaczliwymi krzykami, że nie miał pojęcia, kim byli klienci, którzy przyszli do niego późną nocą. Chępił się, że ich oszukał, żądając śmiesznie wysokiej ceny, i śmiał się, że wcisnął im towar marnej jakości. Kuomintang i tak kazał go stracić, innym ku przestrodze.

Jak mogłabym kiedykolwiek przyznać się do tego, że członek mojej rodziny naumyślnie oszukał klientów? Nie, jedyne, co mi pozostało, to mówić: „wielu ludzi ginęło w tamtych czasach za byle co”. Nikt nie musi wiedzieć, że zdawaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, a mój przyrodni brat okazał się po prostu głupio chciwy.

Nawet jego prawdziwa żona podzielała to zdanie. Przede wszystkim nigdy nie chciała przeprowadzać się do Czangsza. Nie mam pojęcia, co się z nią teraz dzieje. Po śmierci męża opisała nam wszystko w liście i od tej pory więcej o niej nie słyszeliśmy, oprócz tego, że w jej okolicy nastąpiła wielka powódź - rzeką płynęło tyle ciał, że ludzie mieszkający przy brzegach musieli uciekać w głąb lądu przed smrodem. Możliwe, że moja bratowa także utonęła i wraz z rzeką spłynęła do morza. A może zmieniła imię albo przystała do komunistów i nadal mieszka gdzieś w Chinach pod przybranym nazwiskiem.

Ktoś mógłby pomyśleć, że na tym skończyła się sprawa mojego brata. Żeby przyznać mu rację, musiałabym skłamać: „tak, nie żyje, jego żona odeszła, historia nie doczekała się szczęśliwego zakończenia”. Na kilka lat rzeczywiście poszedł w zapomnienie.

Och, w gronie rodzinnym opowiadaliśmy sobie czasem o byku, który zawodził do wschodzącego księżyca, bo zdawało mu się, że zaczepił go rogiem. Wszyscy wiedzieli, o kim mowa: o głupcu, który wspiął się do samego nieba, sądząc, że potrafi strącać gwiazdy, a w rezultacie postradał tylko życie. Nie wspominaliśmy imienia Kuna. Nawet to, że znało się imiona ludzi, którzy otarli się o marksistów, mogło się okazać niebezpieczne. Nie miało znaczenia, że Kun już nie żyje i że nigdy do rewolucjonistów nie należał.

Potem jednak mój przyrodni brat rozpoczął wędrówkę po kolejnych wcieleniach. Kiedy Japończycy zdobyli Szanghaj w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, mój stryj powitał ich z udaną radością w swoim sklepie z tekstyliami: „Mój bratanek szkolił się w Japonii, mieszka teraz w Czangsza i ma żonę Japonkę”.

Brat otrzymał kolejne wcielenie, kiedy w czterdziestym piątym Japończycy przegrali i wrócił Kuomintang. Stryj zaczął wtedy mówić: „Mój biedny bratanek Kun to bohater Kuomintangu. Zginął w Czangsza”.

Gdy w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym wrócili komuniści, pierwsza wersja znów wzięła górę, tyle tylko, że wówczas stryj już nie żył. Zamiast niego Stara Ciotka rozповідаła na prawo i lewo, że mój przyrodni brat Kun to wielki bohater rewolucji. „Za bezcen sprzedał studentom z podziemia sukno pierwszej jakości i przypłacił to życiem”.

Po przyjeździe do nowego kraju sądziłam, że mogę wreszcie zapomnieć o Kunie, który umierał tyle razy i na tyle różnych sposobów. Wyjaśnianie wszystkiego w kółko mąciłoby tylko w głowie: kto był czym krewnym, z którego małżeństwa, daty według chińskiego i zachodniego kalendarza, co się stało z bratową, dlaczego tyle razy zmienialiśmy zdanie wobec Japończyków, komunistów i Kuomintangu.

Jak niby miałam to wytłumaczyć urzędnikom imigracyjnym? Nigdy by nie zrozumieli. Dla nich istniał tylko jeden rząd. Zadawali mnóstwo kłopotliwych pytań: „Dlaczego według tego dokumentu urodziłaś się w tysiąc dziewięćset osiemnastym, a według tamtego w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym?” „Dlaczego nie masz dokumentów dotyczących małżeństwa i rozvodu?” „Czy w Chinach albo w innym kraju zaraziłaś się kiedyś robaczą?”

Kiedy tu przyjechałam, powiedziałam sobie: „potrafię się przestawić na nowe myślenie”. Teraz mogę zapomnieć o swoich tragediach, schować sekrety za drzwiami, których nigdy się już nie otworzy; nie zobaczą ich żadne amerykańskie oczy. Sądziłam, że na zawsze zamykam swoją przeszłość i że odtąd muszę pamiętać tylko o tym, żeby Chinami nazywać Formozę, wciskając cały kraj na tę jedną małą wysepkę, której w życiu nie widziałam.

Wydawało mi się, że tutaj nikt nie będzie mnie już ścigał. Mogę ukryć pomyłki, żale i smutki, odmienić swój los.

Och, nie ja jedna odwróciłam się od starych wspomnień, żeby lepiej pasować do nowej rzeczywistości. Ludzie z naszego kościoła, tamta koleżanka szkolna z ospowatą twarzą, Lin z żoną, nawet Helen, wszyscy zostawili coś za sobą. Stare długi i złe początki. Matki w podeszłym wieku, chorych ojców, wyswatane pierwsze żony, za dużo dzieci, zabobony i horoskopy według chińskiego kalendarza.

Podobnie jak oni bałam się, że stare życie odnajdzie mnie tutaj, ale wtedy nagle Chiny wyłączyły światło, zamknęły drzwi i nakazały wszystkim milczenie. Tamci ludzie stali się podobni do duchów. Nie widzieliśmy ich. Nie słyszeliśmy ich głosów. Sądziłam, że teraz naprawdę mogę o wszystkim zapomnieć. Nie mógł się już pojawić nikt, kto znałby moją przeszłość.

Wtedy właśnie Helen postanowiła opuścić Formozę. Musiałam jej na to pozwolić. Powołała się na dług, który zaciągnęłam u niej przed wielu laty, i żądała zapłaty. Dlatego w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim powiedziałam amerykańskiemu urzędnikowi imigracyjnemu, że Helen to moja przyrodnia siostra, córka mego ojca i jednej z jego pięciu żon. Jednak kiedy już znalazła się na miejscu, w żaden sposób nie mogłam przyznać się ludziom z naszego kościoła, że mój własny ojciec miał taki harem. W końcu byłam żoną duchownego.

Wtedy wymyśliłam, że Helen to moja dawna bratowa, niegdyś żona mego brata Kuna, wielkiego bohatera Kuomintangu, który zginął podczas wojny.

Nie mogłam wyjawiać prawdziwych przyczyn, dla których Helen musiała tu przyjechać za moje pieniądze. Wtedy wszystko zrobiłoby się jeszcze bardziej skomplikowane.

Tyle razy opowiadałam bajeczkę o małżeństwie Helen i mego brata, że nawet Helen w nią uwierzyła. Ludziom, którzy pytają o tamte czasy, mówi: „Och, miałam wielkie, wielkie wesele w zachodnim stylu. Winnie była pierwszą druhną. Szkoda, że mąż tak młodo zmarł”.

Powtarza to, mimo że od wielu lat ma obywatelstwo i już nikt nie mógłby jej deportować.

Helen opowiada też o mnie, tyle razy, że i ja zaczynam wierzyć. Na przykład, że Jimmy to mój pierwszy i jedyny mąż albo że przedstawiła mi go w Szanghaju. Oczywiście była też świadkiem na naszym ślubie, wspaniałej chińskiej ceremonii.

Nikt by mi nie uwierzył, gdybym oświadczyła teraz, że między mną a Helen nie ma żadnego powinowactwa. Nie łączą nas więzy krwi, nawet przez małżeństwo. Sama nigdy nie wybrałabym jej sobie za przyjaciółkę. Czasami nie lubię nawet jej towarzystwa. Nie zgadzam się z jej opiniami. Nie podziwiam jej charakteru. Jednak mimo wszystko jest mi bliższa niż siostra. Spokrewniło ją ze mną przeznaczenie i

długi. Dochowywałam jej sekretów, a ona dochowywała moich. Istnieje między nami szczególny rodzaj lojalności, dla której język tego kraju nie zna nawet określenia.

Wyobrażasz sobie mój gniew, kiedy tuż po tej kolacji z rybą Helen oznajmiła mi u siebie w kuchni, że postanowiła wyjawić moje tajemnice.

IV

Daleka droga

Oto, co usłyszałam.

Po kolacji Henry poszedł do salonu oglądać telewizję i drzemać na kanapie. Helen została w kuchni, gotując wodę na herbatę, a ja siedziałam w jadalni. Właściwie jadalnią nazywa się u nich część kuchni, wydzieloną plastikowym parawanem, ale Helen krzyczała do mnie, jakby prowadziła rozmowę międzymiastową. Wałkowałam ślub Bao-bao, który miał się odbyć za trzy tygodnie.

Bao-bao to, Bao-bao tamto. Zupełnie jak w tych pokazach w telewizji, gdzie namawiają cię bez przerwy: „wygraj to, wygraj tamto”. Co tydzień to samo.

Jej syn skończył już trzydzieści jeden lat, a ona wciąż nazywa go dzieckiem. Może ma rację, Bao-bao to dzieciak, a do tego tak rozpuszczony i niecierpliwy, że nie może nawet poczekać spokojnie na autobus. Pewnego razu zepsuł mu się samochód, więc zadzwonił do mnie.

- Och, ciociu - zaczął miło i grzecznie - już tak dawno cioci nie widziałem. Jak się ciocia miewa? Świetnie, świetnie. Aha, ciociu, pożycz mi, proszę, samochód. Mam jutro ważne spotkanie w sprawie pracy.

Oddał mi go trzy dni później, zostawiwszy wszędzie ślady po sobie: wgnieciony zderzak, puszki coca-coli na podłodze, pusty bak. Na dokładkę wcale tej pracy nie dostał.

Nie słuchałam zachwyków Helen nad Bao-bao. Przypomniałam sobie tylko, jak mnie wtedy rozwścieczył. Nie powiedziałam ani słowa, ale kiedy tylko przypomnę sobie o tym, na nowo ogarnia mnie złość.

Pomyślałam, że mój syn nie jest taki. Samuel nie wygłasza uprzejmych słów tylko po to, żeby coś od kogoś pożyczyć. Zresztą nie musi pożyczać samochodu Helen, żeby szukać pracy, bo już ma pracę. Jest starszym inspektorem ubezpieczeniowym w New Jersey. Rozpatruje zwolnienia lekarskie, zasiłki chorobowe, kto rzeczywiście niedomaga, a kto się tylko miga od pracy.

Helen wniosła herbatę. Wciąż mówi bardzo głośno, jakby dzieliła nas wielką przestrzeń. Teraz zeszła na Mary.

- Mówiłam ci? Mary dzwoniła parę dni temu, znowu jadą z Dougiem na Hawaje! Już czwarty raz! Mówię jej: „Już tam wszystko widziałas. Nie musisz jechać jeszcze raz”. A ona na to: „Nikt nie jeździ na Hawaje, bo musi. Ludzie jeżdżą, bo nie muszą”. - Helen podała mi herbatę. - Zapytałam ją: „A cóż to za rozumowanie? Jeśli nie muszę jechać na Hawaje, to nie jadę. Chciałabym się wybrać do Chin, ale też nie jadę”. - Helen zaśmiała się z samej siebie. - Ta moja córka! Och, wspominałam ci? Wczoraj znowu zadzwoniła, po dziesiątej - tu machnęła ręką z niesmakiem. - Śmiertelnie mnie wystraszyła. Pytam ją, co się stało, czy ktoś zachorował, jakiś wypadek samochodowy albo Doug stracił pracę. A ona: „Nie, nie, nie, po prostu chciałam zadzwonić”. No, co o tym sądzisz? Dlaczego zadzwoniła? - dopytywała się Helen z uśmiechem.

- Jest dobrą córką.

Helen potrząsnęła głową.

- Powiedziała, że tym razem dzwoni bez powodu. Bez powodu! No powiedz sama, czy to powód, żeby dzwonić? - Dolała mi herbaty. - Oczywiście sama na to nie wpadła, nie całkiem. Zobaczyła w telewizji reklamę, w której córka bez powodu dzwoni do matki. Powiadam jej: „I dlatego bez powodu zamawiasz międzymiastową? Nie rozmawiaj za długo, to za dużo kosztuje”. A ona mi na to: „Nic nie szkodzi, po ósmej wychodzi taniej”. Mówię jej, żeby nie dała się nabierać. W telewizji mówią różne łgarstwa. Może wychodzi taniej, jeśli szybciej rozmawiasz, kto ich tam wie, co to ma znaczyć. Na co ona: „Ojej, mamo, koszt nie gra roli”. „Co? Nie gra roli? Jak możesz tak mówić? Chcesz wyrzucić dziesięć dolarów? Zamiast płacić telekomunikacji, lepiej przyślij je mnie”.

W wyobraźni słyszałam, jak spiera się z córką i marnuje pieniądze, kłócąc się o to, żeby ich nie marnować. Helen nie ma za grosz rozumu.

Westchnęła.

- W końcu ją przekonałam i odłożyła słuchawkę. - Popatrzyła na mnie i z szerokim uśmiechem ciągnęła dalej po chińsku: - Widzisz, ona wciąż mnie słucha. Wie, że jej matka ciągle ma rację. - Głośno siorbała herbatę. - Pearl odezwała się do ciebie w tym tygodniu? Też dzwoni i wyrzuca pieniądze na międzymiastową?

Kiedy zadała mi to pytanie, wiedziałam, że wcale nie czeka na odpowiedź. Dobrze wie, że nie rozmawiam z córką zbyt często. Pearl nie dzwoni bez powodu. Oczywiście telefonuje, żeby mnie uprzedzić, że podrzuci Tessę i Cleo na parę dni, albo

poprosić, żebym przywiozła chińskie nadzienie na Dzień Dziękczynienia. Dzwoni też, żeby mnie ostrzec. Na przykład w zeszłym tygodniu zadzwoniła, żeby powiedzieć, że nie przenocują u mnie. Właściwie to nawet nie ona dzwoniła, tylko jej mąż, ale wiedziałam dobrze, że robi to z jej polecenia. Wiedziałam też, że Pearl słucha z drugiego aparatu.

- Pearl nie mieszka daleko - przypomniałam Helen.

- San Jose to zawsze międzymiastowa - dowodziła. - Pięćdziesiąt mil drogi i ma inny numer kierunkowy.

- Ale to niedaleka międzymiastowa.

Helen nie poddawała się łatwo.

- Wystarczająco daleka. Zawsze płacisz dodatkowo za minutę. Nie możesz za długo rozmawiać.

- Może my także nie powinniśmy za długo rozmawiać; Henry zasnął - zauważyłam, pokazując jej zmęczonego męża, leżącego na kanapie z otwartymi ustami. - Lepiej już sobie pójdę.

- Henry, wstawaj! - krzyknęła Helen i potrząsnęła go za ramię.

Z trudem otworzył jedno oko i szurając nogami, poszedł do łóżka.

Kiedy wyszedł, Helen odwróciła się do mnie z uśmiechem.

- Teraz chyba mam dla ciebie dobre wieści.

- Jakie dobre wieści?

Uśmiechnęła się znowu. Upiła herbaty. Wyjęła z rękawa ligninową chusteczkę i wytarła nos. Znowu upiła łyk herbaty. Dlaczego zawsze musi się zachowywać jak na buddyjskiej ceremonii?

- Nie musisz się już chować.

- Nigdzie się nie chowam. Siedzę tu przecież.

- Nie, nie. Ukrywałaś się przez całe życie, teraz możesz wyjść.

Zerwała się na nogi i sięgnęła po swoją wielką torebkę. Wyglądało na to, że szuka czegoś z wielkim pośpiechem. Wyciągnęła pomarańczę, dwie torebki orzeszków z samolotu, wykałaczkę z restauracji i dodatkowy portfel, który nosiła dla zmylenia kieszonkowców. Odwróciła go teraz do góry nogami i wytrząsnęła mnóstwo śmieci, które nosiła na wypadek nagłego wybuchu wojny, gotowa do natychmiastowej ucieczki jak za dawnych czasów: dwie krótkie świece, dokumenty o przyjęciu amerykańskiego obywatelstwa zawinięte w plastik, chiński paszport sprzed

czterdziestu lat, mydełko hotelowe, mały ręcznik i po jednej parze nowiutkich podkolanówek i nylonowych rajstop. Potem wyciągnęła jeszcze więcej rzeczy: *pochai*, pigułki na żołądek, środek przeciwkaszlowy, maść tygrysią i przynoszący szczęście amulet Bogini Miłosierdzia na wypadek, gdyby inne środki zawiodły.

- Gdzie ja to podziałam? - mówiła, przerzucając wszystko od nowa.

Wreszcie zostawiła torbę i wyciągnęła coś z kieszeni. Był to list, z rodzaju tych, które wyglądają jak kartka papieru, ale gdy je złożysz, stają się gotową kopertą ze znaczkiem. Pomachała nim w powietrzu.

- Tutaj! - powiedziała z dumą. - Ten człowiek!

Przeraziła mnie trochę. Ostatnio zachowywała się dosyć dziwnie, zapominała o wielu rzeczach i robiła głupstwa. Może to od tamtego upadku ze schodów dwa miesiące temu, przez który sądzi, że niedługo umrze?

- Jak możesz wsadzić człowieka do koperty? - zapytałam ostrożnie.

- Co?

- Powiedziałaś, że wsadziłaś tam człowieka.

- Ach, nie podobnego, mówiłam tylko, że mam tu dobre wieści. Oto dobra wiadomość: ten człowiek nie żyje. Dostałam ten list od Betty Wan z Hongkongu. Ostatnio przeniosła się do Szanghaju. Pamiętasz ją, podczas wojny wołaliśmy na nią „Piękna Betty”. Pewnie teraz nie jest już taka ładna. - Zaśmiała się. - Pamiętasz tę maszynę do szycia, którą ode mnie dostała? Potem świetnie dała sobie radę. Jest teraz właścicielką sklepu odzieżowego w Kowloon. - Pamięć Helen zoczyła na inne tory, zupełnie jak krowa ciągnąca za zieloną trawą.

- Miała sklep z biżuterią - poprawiłam ją. - W Kowloon, w podcieniach hotelu Ambasador.

Helen potrząsnęła głową.

- Z ubraniami. Moda damska, różne przeceny.

Nie klóciłam się. Nie powiedziałam, że jak zwykle wszystko przekreśla na swoją korzyść. Nie pamięta, że to ja dałam Betty tę maszynę.

- Kto nie żyje? - zapytałam w końcu.

- Tak, ten człowiek - powtórzyła, udając, że niecierpliwi ją moje pytanie. - Ten człowiek, ten sam. Dobrze wiesz, który. Jak możesz się nie domyślać?

W końcu pochyliła się i szepnęła:

- Ten zły człowiek.

Zabrakło mi tchu. Widziałam go tuż przed sobą. Zły człowiek, Wen Fu, mój pierwszy mąż. Zakazałam Helen kiedykolwiek o nim wspominać. „Nie wymawiaj jego imienia i nikomu nie mów”.

Widziałam jego gęste włosy, wygięte brwi, gładką twarz kłamcy i sprytne usta. Nie oglądałam go od czterdziestu lat, ale teraz, słysząc słowa Helen, znów poczułam jego oddech na szyi. Przypomniałam sobie jego śmiech, kiedy powiedział, że wreszcie mnie odnalazł i bez gadania zaciągnie mnie z powrotem.

- Nie bój się, to prawda. Nie ma go już - powtarzała Helen. - Sama przeczytaj.

Wyjęłam jej list z ręki, przeczytałam i dowiedziałam się: minęło czterdzieści lat, a Wen Fu wciąż śmiał mi się w twarz. Według listu nie umarł dwadzieścia, trzydzieści czy czterdzieści lat temu. Zmarł w zeszłym miesiącu, w dzień Bożego Narodzenia.

Uderzyłam w list dłonią.

- Wyobrazasz sobie? Nawet teraz znalazł sposób, żeby na zawsze mi dokuczyć. Umrzeć w Boże Narodzenie!

- A co to za różnica?

Helen czyściła sobie zęby wykałaczką, przez co wyglądało, jakby uśmiechała się półgębkiem.

- Umarł i więcej po ciebie nie przyjdzie. To się liczy.

- Już mnie dopadł! - krzyknęłam. - Siedzi teraz w mojej głowie! Będę o nim myślała na każdą Gwiazdkę. Jak mam śpiewać „Cichą noc” albo „Bóg się rodzi”, kiedy chce mi się krzyczeć z radości, że on nie żyje? Niewłaściwa myśl w niewłaściwy dzień.

- Zamieć podłogę i wymieć go ze swego życia - powiedziała, machając ręką przed sobą. Jakby to było takie łatwe!

Wiedziałam, że ma na myśli chiński Nowy Rok i stare przysłowie: „wymieć złe uczucia z zeszłorocznym kurzem”.

Co Helen wie o zmiataniu? Wystarczy popatrzeć na podłogę w jej kuchni: kłębki kurzu wielkości myszy i czarne, dwudziestoletnie smugi w każdym kącie. Wszystkie rozczarowania, o których, jak jej się zdaje, nie mam pojęcia.

- Tak uważam - ciągnie. - Czas wymieść z życia wszystkie kłamstwa. Powiedzieć wszystkim prawdę o tym, skąd się znamy.

- O czym ty mówisz?

- Czemu mam iść do grobu z takim obciążeniem? Że jestem twoją bratową, żoną twojego przyrodniego brata, którego na oczy nie widziałam. I urodziłam się

kiedy indziej. Odmłodziłaś mnie o rok. Kiedy umrę, moje długie życie skończy się o rok za wcześniej.

- Co ty za bzdury wygadujesz?

- Mówię, że skoro Wen Fu nie żyje, chcę poprawić wszystko, zanim będzie za późno. Dosyć sekretów i kłamstw.

Mój żołądek czuje, że dzieje się coś złego. Dlaczego Helen mówi w ten sposób? Chce wszystko wyjawić?! Moją przeszłość, małżeństwo z Wen Fu, wszystko to, o czym tak usilnie starałam się zapomnieć?

- Jak możesz tak robić - zganiłam ją. - Chcesz ot tak sobie wyciągnąć moje sekrety? Przysięgłyśmy sobie nigdy do tego nie wracać.

- Od tamtej pory minęło już tyle czasu - dowodziła Helen. - Oczywiście, wtedy trzeba było trzymać język za zębami. Bałaś się. Myślałaś, że Wen Fu wciąż cię ściga. Obie musiałyśmy się dostać do tego kraju. Wtedy to miało sens. Ale teraz...

- To tajemnica.

- A jakież to ma teraz znaczenie? Wen Fu nie żyje. Nie przyjdzie po ciebie. Nie deportują cię. Lepiej przyznać się do wszystkiego, niż iść na tamten świat z tyloma kłamstwami na sumieniu. Jak mam spojrzeć w oczy pierwszemu mężowi, jeśli przez tyle lat powtarzałam, że wyszłam za twojego brata? Jak mogę mieć kamień nagrobny z datą urodzenia tysiąc dziewięćset dziewiętnasty? Wszyscy mnie wyśmieją. Powiedzą, że żyłam tak długo, że zdążyłam zapomnieć, ile mam lat.

- Wobec tego opowiedz o sobie, a moje sekrety zostaw w spokoju.

Helen zmarszczyła brwi.

- Niby jak mam to zrobić? Musiałabym dołożyć nowe kłamstwa o tym, gdzie się spotkałyśmy i skąd cię znam. Chcesz, żebym rozmawiała z diabłem. Jeśli sama się nie przyznasz, ja to zrobię. Przed Nowym Rokiem.

- Chcesz, żebym ściągnęła na siebie nieszczęście. Jeżeli powiesz swoim dzieciom, moje także się dowiedzą.

- Wobec tego sama im powiedz. Są dorośli, to już nie dzieci. Zrozumieją. Może się nawet ucieszą, że wreszcie dowiadują się czegoś o pochodzeniu matki. Ciężkie życie w Chinach to dziś bardzo popularny temat, nie ma się czego wstydzić.

- Nie masz nawet pojęcia, ilu rzeczy można się wstydzić!

Kłóciłyśmy się bez końca. Wiedziałam, że dyskusja z Helen do niczego nie prowadzi. Zupełnie jak jej *pompom* i rozmowy międzymiastowe. Helen uważa, że ma

rację. Jak możesz spierać się z kimś, kto ma pierze zamiast mózgu? Trzęsłam się ze złości.

Kiedy poszła dolać wody do herbaty, zauważyłam, że zrobiło się już dosyć późno. Wzięłam torbę z zakupami ze Szczęśliwej Kolacji i nałożyłam płaszcz.

- Zaczekaj chwilę - powiedziała Helen. - Henry cię odwiezie. Tak będzie bezpieczniej.

Mówi tak, ilekroć przychodzi do niej z wizytą, i zawsze dodaje, że z pewnością wiem, co ma na myśli.

Trzydzieści lat temu wyprowadziliśmy się z Jimmym z chińskiej dzielnicy i kupiliśmy dom przy Ósmej Alei, między Geary i Anza. Przez dwa lata Helen powtarzała: „To niezbyt bezpieczna okolica. Za nic byśmy się tam nie wynieśli”.

Jak sądzicie, co się stało po śmierci Jimmy'ego? Helen i Henry kupili dom o jedną przecznicę ode mnie, przy Dziewiątej. „Teraz możemy się tobą zająć. Tak jest bezpieczniej” - mówiła Helen, ale dobrze wiedziałam, że to tylko wymówka.

Wczoraj, jak zwykle, odpowiedziałam jej:

- Nie zawracaj sobie głowy. Przejdę się, to mi dobrze robi.

- Ale to zbyt niebezpieczne - upierała się.

Wiedziała jednak, że tylko tak gada, bo zniżyła głos do szeptu, żeby nie obudzić męża.

- Powinnaś bardziej uważać.

- Też coś! Sądzisz, że ktoś mnie obrabuje z mandarynek i puszki pędów bambusowych?

Wyjęła mi z ręki torbę z zakupami.

- Wobec tego pomogę ci to nieść. Za ciężkie dla ciebie.

Wyrwałam jej torbę.

- Nie musisz się silić na takie grzeczności.

- W twoim wieku nie powinnaś już dźwigać - powiedziała, znów chwytając mnie za rękę.

- Zapominasz, że ty też masz swoje lata. W dodatku teraz o jeden rok więcej.

W końcu puściła i torbę, i mnie.

Przez całą noc robiłam w domu porządki, żeby zapomnieć.

Przetrasnąłam zasłony, wytrzeptałam sofę, odkurzyłam stoły i poręcz schodów. Przetarłam też ramę i szkło na fotografii Jimmy'ego. Na zawsze został młody.

Wróciłam do sypialni, zmieniałam pościel na łóżku, tym samym, które dzieliłam z Jimmym i na którym wciąż odciska się kształt jego ciała.

Poszłam do pokoju Samuela. Odkurzyłam małe żołnierzyki, pędzące dokądś po biurku, i plastikowe modele samolotów, które własnoręcznie składał: japońskie i amerykańskie bombowce.

Otworzyłam szufladę i zobaczyłam numer „Playboya”. Aj, zupełnie jakby mi ktoś znów wymierzył policzek! Już raz kazałam mu to wyrzucić. Data na okładce: tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt cztery, rok śmierci Jimmy'ego. Od tamtej pory wszyscy przestali mnie słuchać.

Weszłam do pokoju Pearl, w którym odbyło się tyle bolesnych starć. Zgodziłam się, żeby miała Barbie, ale nie Kena. Nie pozwoliłam jej używać pewnych perfum; pachniała w nich tanio i pospolicie. Ta gięta toaletka z okrągłym lustrem i srebrnymi świecami; bardzo mi się podobała, ale oddałam ją córce, która na jej widok oświadczyła, że to paskudztwo.

- Wybrałaś ją specjalnie, żeby mi dokuczyć! - krzyknęła.

Przypomniałam sobie o tym, odkurzając jej stół. Nagle zobaczyłam maleńki napis wycięty na blacie: Kocham R.D.

Jaki znów R.D.? Kogo moja córka kochała tak bardzo, że zniszczyła znienawidzony mebel? To Amerykanin czy Chińczyk?

Ogarnęła mnie złość. Patrzcie, co zrobiła z moją toaletką!

Oczywiście, kiedy już się uspokoiliłam, dotarło do mnie, że ten napis ma wiele lat. Może nawet dwadzieścia pięć.

Pearl przekroczyła czterdziestkę i już nie kocha się w żadnym R.D. Wyszła za Phila Brandta, nie-Chińczyka, ale mimo to bardzo miłego człowieka, lekarza, choć może nie najlepszej specjalności.

Kiedy mi go przedstawiała, powiedziałam uprzejmie:

- O, doktor! Będę do pana wysyłać wszystkich przyjaciół.

Wyjaśnił, że jest patologiem. To taki ktoś, kto zajmuje się ludźmi, kiedy na wszystko już za późno, po śmierci. Jak mogłabym polecać znajomym takiego doktora?

Pearl ma dobry zawód: terapeutka mowy dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Nie pozwala mi ich tak nazywać.

- Nie używamy określenia „opóźnione w rozwoju” albo „upośledzone”. Mówi się: dzieci z zaburzeniami. Najpierw dzieci, a zaburzenia dopiero potem. I nie zajmuję się tylko terapią mowy. Fachowo moją specjalizację nazywamy: terapeutka dla dzieci z umiarkowanymi i ciężkimi zaburzeniami mowy.

Powtarzałam to sobie wiele razy i wciąż noszę tę kartkę w torebce, ale nie potrafię tego wymówić. Pewnie teraz Pearl również mnie uważa za opóźnioną w rozwoju.

Oczywiście jej córki nie mają z angielskim najmniejszych kłopotów. Starsza ledwie skończyła dwa lata, a już witała mnie od progu z krzykiem:

- Ha-bu! Ha-bu! Ha-bu przyjechała!

„Jaka mądra, wie, jak zwracać się do babci po szanghajsku” - pomyślałam, ale wtedy wnuczka przeszła na angielski:

- Jakie prezenty mi przywiozłaś? Ile ich jest? Gdzie leżą?

- Czy to nie zdumiewające? - powiedziała Pearl. - Mała mówi całymi zdaniem. Większość dzieci w jej wieku buduje dwuwyrzowe zwroty. Naprawdę bystra.

- A co dobrego w takiej bystrości? - zapytałam. - Powinnaś nauczyć ją lepszych manier: nie trzeba, żeby zadawała za dużo pytań. Tak jak ja cię uczyłam.

Pearl zaśmiała się, chociaż zmarszczyła brwi.

- Och, mamó - powiedziała.

Nie dodała nic więcej. Tylko: „Och, mamó”. Koniec dyskusji. Taka ona jest.

A ja jestem taka: zawsze uprzedzająco grzeczna, staram się nie wchodzić jej w paradę, jak z obcą.

Wymacałam coś pod łóżkiem. Wnuczki okropnie bałaganią przy zabawie. Wyciągnęłam różowe pudełko z plastiku. Zamknięte, nie da się otworzyć bez klucza. Na wieczku ma napis: „Moje skarby”.

Ach, pamiętam. Dałam je Pearl na dziesiąte urodziny. Otworzyła wtedy i zajrzała do środka.

- Nic tu nie ma - powtarzała, patrząc na mnie, jakbym mogła coś na to poradzić.

- Oczywiście. Teraz jest puste, ale później włożysz tam różne rzeczy - odparłam.

Pewnie uznała pudełko za staromodne, tak samo jak toaletkę. W moich oczach wyglądało bardzo nowoczesnie i sądziłam, że się jej spodoba.

- A jakie rzeczy?

- Tajemnice, sekrety, amerykańskie śmiecie.

W milczeniu patrzyła na wieczko. Widniał na nim rysunek dziewczynki z żółtymi włosami związanymi w kucyk, która leży z nogami na ścianie, rozmawiając przez telefon. Och, o to też kłóciłyśmy się wiele razy: te ciągłe rozmowy przez telefon.

Teraz zauważyłam: kucyk z żółtego zrobił się czarny, pudełko zaś, w którym kiedyś mieściły się tylko jej rozczarowania, dziś jest ciężkie i pełne po brzegi.

Taka byłam podniecona: otworzyć skarby serca mojej córki, poznać wszystko, co ukrywała przede mną przez tyle lat.

Przejrzałam szuflady, szukając klucza. Nie znalazłam. Zajrzałam pod łóżko, ale stała tam tylko para chińskich kapci, każdy z dziurą na palcu.

Postanowiłam zejść na dół po nóż, żeby podważyć zamek. Nie zdążyłam jeszcze zrobić kroku, a już ogarnęły mnie wątpliwości: co tam znajdę? Jakie nowe rany i rozczarowania? Co zrobię, jeśli w środku zobaczę kogoś całkiem obcego; jeżeli okaże się, że tamta dziewczyna w niczym nie przypomina córki, którą wychowałam?

Nie mogłam się zdecydować. Włamać się czy nie? Odłożyć wszystko na potem? W zamyśleniu przejechałam ręką po włosach i trafiłam na szpilkę, błyskawiczną odpowiedź. Wyjęłam ją i włożyłam w zamek.

W środku znalazłam dwie małe szminki, różową i białą, trochę biżuterii, srebrny krzyżyk na łańcuszku, pierścionek z fałszywym rubinem z jednej strony, a gumką z drugiej.

Dalej jeszcze więcej śmieci. Okropne rzeczy: tampony, przed którymi ją przestrzegałam, niebieski cień do powiek, którego też nie pozwalałam jej używać. Pod spodem inne głupoty: zawiadomienie o potańcówce u Sadie Hawkins i listy od przyjaciółki Jeanette. Pamiętam tę dziewczynę; matka pozwalała jej ganiać za chłopakami.

Pearl kłóciła się ze mną:

- Dlaczego nie mogę przyprowadzić chłopca do Sadie Hawkins? Jeanette idzie, matka jej pozwoliła.

- Chcesz naśladować dziewczynę, która nie ma ani krzty rozumu? Chcesz słuchać jej matki? Taka matka ani trochę nie dba o córkę!

Wszystko stanęło mi żywo przed oczami.

Otworzyłam list Jeanette. Co to ma być? *Hej, ty tam! Facet serio się w tobie zabujał. Wykiwaj go na cacy.* Miałam rację: ta dziewczyna nie ma rozumu za grosz.

Wtedy zobaczyłam jeszcze coś. Straciłam dech w piersiach: mały obrazek Jezusa, a po drugiej stronie napis: „nieodżałowanej pamięci James Y. Louie”, kilka słów, data- ta urodzenia, czternasty kwietnia tysiąc dziewięćset czternaście, a pod spodem, spójrzcie tylko - data śmierci. Wszystko pomazane na czarno. Tyle złości.

Radość i żal ogarnęły mnie równocześnie, zupełnie jak wtedy, gdy słucha się starej, niemal zapomnianej melodii. Możesz tylko płakać, że każda nuta zanika, gdy tylko ją usłyszysz, zanim zdążysz powiedzieć: „Jakie to prawdziwe!”

Widzisz, właśnie wtedy zrozumiałam swój błąd. Od razu chciałam zadzwonić do Pearl i powiedzieć jej: „Teraz już wiem. Byłaś smutna, płakałaś nie na zewnątrz, tylko w środku. Kochałaś tatusia”.

Później pomyślałam o Helen i o tym, że zamierza wyjawić Pearl wszystkie moje sekrety i kłamstwa. Jak po czymś takim moja własna córka ma mi jeszcze kiedyś zaufać?

Wyjęłam odkurzacz, żeby wciągnął wszystek pył, którym moje troski napęłniły powietrze. Zaczęłam od dywanu na korytarzu. Najpierw przejechałam po leżącym na wierzchu plastikowym chodniku. Potem uniosłam go, żeby oczyścić dywan. Przykryta część wciąż zachowała dawny kolor złotego brokatu, jednak po bokach, tam gdzie wystawał spód chodnika, był zniszczony i brudny. Nieważne, ile by się czyściło, już na zawsze taki pozostanie. Zupełnie jak ta skaza na moim życiu. Nigdy jej nie wywabię.

Zeszłam na dół i usiadłam na kanapie. Nadszedł ranek, a ja wciąż siedziałam, trzymając w ręku list od Pięknej Betty. Rozmyślałam o tych wszystkich razach, kiedy Wen Fu mógł umrzeć: w czasie wojny zginęło tylu pilotów. Później, kiedy rozbił dżipa, zabijając pasażera, albo kiedy nadeszli komuniści, rozprawiając się z ludźmi Kuomintangu. Podczas Rewolucji Kulturalnej. Tylu ludzi ginęło wokół niego, a on wciąż pozostawał nietknięty.

Teraz Piękna Betty opisuje w liście, że zmarł w łóżku w otoczeniu rodziny: żony, dzieci, brata, bratowej i przyjaciół pilotów.

Widzę ich oczami wyobraźni: wszyscy ronią łzy na twarz Wen Fu, gładzą go po włosach, przynoszą mu gorące cegły do rozgrzania, pocieszają, uspokajają.

- Nie odchodź! Nie odchodź! - wołają.

Umarł spokojnie, jak mówił list, z powodu choroby serca, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat.

Ze złością złożyłam list na dwoje. To złe serce trzymało go przy życiu. Teraz zostałam z nim tylko ja. Siedziałam na kanapie, płacząc i krzycząc. Chciałam być przy jego śmierci, zawołać, go. Zmusiłabym go, żeby otworzył oczy.

- Wen Fu, wróciłam - powiedziałabym.

A kiedy zobaczyłby już, co czuję, naplułabym mu w twarz.

Zobacz tylko, co narobił swoją śmiercią. Umarł, a ciągle wraca. Helen powtarza w kółko: „I co z tego?” Co powie dzieciom? Ile im zdradzi?

Jasne, mogłabym najpierw porozmawiać ze swoimi. Byłam już przedtem mężatką, miałam innego męża. To było złe małżeństwo, wielka pomyłka. Teraz ten człowiek nie żyje.

Mogłabym im powiedzieć: miałam przed wami inne dzieci, ale straciłam je dawno temu podczas wojny. Jakie to smutne.

Mogłabym powiedzieć: udawałam, że od dawna jestem żoną ojca, żeby móc tu przyjechać. Musiałam, bo do władzy dochodzili komuniści. Helen skłamała raz dla mnie, a potem ja dla niej.

Zobaczyłabym minę Pearl, podejrzliwą jak zawsze. „Nie, nie - powiedziałabym. - Nie było tak źle, jak myślisz. Naprawdę wyszłam za ojca zaraz po przyjeździe. Później urodziłam was: ciebie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, a Samuela w pięćdziesiątym drugim. I żylibyśmy długo i szczęśliwie, zupełnie jak w tych bajkach, gdyby twój ojciec nie umarł”.

Ale nawet wtedy Pearl domyśliłaby się prawdy. To jeszcze nie wszystko. Dojrzałyby to w moich ciemnych oczach, bezwładnych dłoniach i drżącym głose. Nie odezwałyby się ani słowem, ale wiedziałyby wszystko. Nie kłamstwa, tylko całą prawdę.

Dowiedziałyby się najgorszego, tego, o czym nie wie nawet Helen, o czym nie wiedział sam Jimmy i o czym starałam się zapomnieć przez czterdzieści lat. Wen Fu, ten zły człowiek, był jej ojcem.

Próbowałam wymyślić, jak jej to przekazać. Za każdym razem słyszałam jej głos, pełen bólu.

- Wiedziałam. Zawsze bardziej kochałaś Samuela.

Nie uwierzyłyby mi. Ale gdybym jej powiedziała: „To nieprawda. Ciebie kochałam najmocniej. Bardziej niż Samuela i tamte dzieci”.

Powiedziałabym jej, że kochałam ją na wiele różnych sposobów, o których nie miała pojęcia. „Pewnie nie uwierzysz, ale taka jest prawda, bo to ty najboleśniej zraniłaś mi serce. Ja pewnie tak samo zraniłam twoje”.

Zadzwonię do niej, daleką międzymiastową. Koszt nie gra roli, powiem. Muszę ci o czymś powiedzieć i nie mogę już zwlekać. Wtedy zacznę mówić nie o tym, co się stało, ale dlaczego nie mogło być inaczej.

Dziesięć tysięcy spraw

Po pierwsze powiedziałam córce, że ból serca, z powodu którego ją wezwałam, już mi przeszedł. Widać było, że wciąż się martwi.

- Może powinniśmy pojechać do lekarza. Żeby się upewnić.

- Ja się już upewniłam. Czuję się lepiej i nie warto wydawać pieniędzy na lekarza. Zdejmij płaszcz.

- Mimo wszystko uważam, że trzeba iść do doktora.

- Najpierw zjedz trochę zupy z makaronem. Widzisz, jaką zrobiłam? Tę samą, którą tak lubiłaś w dzieciństwie; dużo kiszonej rzepy i trochę wieprzowiny do smaku. Tak ci smakowała w zimne dni!

Miałam nadzieję, że przypomni sobie błogie uczucie sytości, jakie ta zupa kiedyś jej dawała. Zdjęła płaszcz i usiadła do stołu.

- Powiedz mi dokładnie, jak cię bolało? - spytała, nabierając pierwszą łyżkę.

- Za gorąca?

-Nie.

- Za zimna?

- Nie, naprawdę dobra.

Dolałam jej. Patrzyłam, jak je moją zupę. I wtedy jej powiedziałam.

Ten sam ból nawiedza mnie od lat. Bierze się stąd, że trzymam wszystko w środku, czekając tak długo, że robi się za późno.

Chyba odziedziczyłam to po matce. Ten sam rodzaj bólu. Zostawiła mnie, zanim mogła wytłumaczyć, czemu odchodzi. Na pewno chciała, ale w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi. Pewnie dlatego po dziś dzień wciąż czekam, aż wróci i wyjaśni mi, czemu stało się tak, a nie inaczej.

Nigdy nie wspominałam ci o matce? O tym, że mnie zostawiła? Och, to dlatego, że sama nigdy nie chciałam w to uwierzyć. Nie opowiadałam ci o niej, co nie znaczy, że nigdy o niej nie myślałam.

Bardzo ją kochałam. W dzieciństwie przez wiele lat trzymałam pukiel jej włosów, ponad metr długi, zwinięty w małym, blaszanym pudełku. Dbałam o niego przez długi czas, mając nadzieję, że matka kiedyś wróci, a wtedy dam go jej w prezencie.

Później, kiedy uwierzyłam, że umarła, nadal trzymałam jej włosy. Myślałam, że kiedyś odnajdę jej ciało i jej włosy znów się połączą. W ten sposób mogłaby rozpuścić włosy nawet na tamtym świecie i nawet tam dać się ponieść szalonemu pomysłom.

Taką ją pamiętam: rozpuszczającą włosy w swoim pokoju. Pozwalała mi ich dotykać.

Co jeszcze? Oczywiście, nie pamiętam wszystkiego; kiedy zniknęła, miałam tylko sześć lat. Niektóre rzeczy jednak doskonale utkwily mi w pamięci: ciężar jej włosów, pewny uścisk ręki, sposób, w jaki obierała jabłka, tak że skórka układała mi się na dłoni jak długi, żółty wąż. Pamiętasz? To od niej nauczyłam się robić to dla ciebie. Inne wspomnienia nie są już tak jasne. Widziałam kiedyś jej portret, już po tym, jak odeszła. Zacięte, nieruchome usta wydały mi się obce, nie przypominałam też sobie tego smutku i zagubienia w jej oczach. Nie, kobieta z obrazu nie przypominała matki, ale ja i tak bardzo chciałam ją tam dostrzec, bo tylko tyle mi po niej pozostało.

Trzymałam ten portret na kolanach, oglądając ze wszystkich stron, ale tamte oczy zawsze patrzyły gdzie indziej, nigdy na mnie. Nie mogłam odgadnąć, o czym myślała przy pozowaniu. Nie mogłam jej zadać żadnego z pytań, które mnie od dawna nurtowały: dlaczego rozmawiając z ojcem, uśmiechała się szeroko, mimo że w jej głosie brzmiała złość? Dlaczego w środku nocy mówiła do lustra, jakby jej odbicie należało do kogo innego? Dlaczego powiedziała mi, że nie może mnie dłużej nosić i muszę się nauczyć chodzić wszędzie sama?

Pewnego dnia, kiedy miałam może dziesięć lat, a od jej zniknięcia minęło już bardzo wiele czasu, znowu przyglądałam się portretowi i zauważyłam plamkę pleśni na jej bladym policzku. Wzięłam ściereczkę, zamoczyłam w wodzie i przetarłam jej twarz. Policzek ściemniał tylko. Tarłam jeszcze mocniej. Po chwili spostrzegłam, co zrobiłam: starłam jej połowę twarzy! Płakałam tak, jakbym ją zabiła.

Odtąd każdemu spojrzeniu na nią towarzyszyło okropne poczucie winy. Widzisz, nie miałam już nawet portretu, do którego mogłabym powiedzieć „mamo”.

Latami usiłowałam zachować w pamięci jej twarz, słowa i wspólne zajęcia. Pamiętam ją na dziesięć tysięcy sposobów. Tak właśnie mówią Chińczycy: *yi wan*, dziesięć tysięcy tego, dziesięć tysięcy tamtego, zawsze wielka liczba i wielka przesada.

Rozmyślałam o matce przez siedemdziesiąt lat, więc na pewno zebrałoby się dziesięć tysięcy razy, za każdym razem zaś wspominałam ją inaczej, więc także dziesięć tysięcy razy się zmieniała. Pewnie tak naprawdę nie pamiętam jej wcale.

To takie smutne. Strata ukochanej osoby to najsmutniejsza rzecz pod słońcem; nagle zaczyna się zmieniać, a potem zastanawiasz się, czy to wciąż ten sam człowiek? Może straciłaś więcej, a może mniej, dziesięć tysięcy rzeczy pojawia się w pamięci, a może w wyobraźni. Nie umiesz ich odróżnić, nie wiesz, co jest prawdą, a co nie.

Kilka rzeczy wiem jednak na pewno. Na przykład dlaczego moje nogi wyglądają tak, jak wyglądają. Zobacz, wciąż szczupłe, bez mięśni na łydkach! Matka wszędzie mnie nosiła, nawet kiedy skończyłam już sześć lat. Tak mnie rozpuściła. Sama nie chciałam zrobić nawet dziesięciu kroków i to wcale nie dlatego, że byłam chora czy słaba. Chciałam oglądać świat z tej samej wysokości, co ona, jej oczami.

Dlatego właśnie nie pamiętam zbyt wiele z pierwszych lat, spędzonych w eleganckim szanghajskim domu. Nie poznałam go ani jego mieszkańców tak, jak każde zwykłe dziecko, które kręci się i odkrywa nowe kąty. Kiedy wracam myślą do tamtych dni, widzę jedynie dzielony z matką pokój i długie schody wiodące na dół, do holu z wodnistymi wzorami na podłodze.

W wyobraźni mam wciąż obraz stromego, wijącego się między piętrami tunelu schodów, i matkę, która trzymając mnie w objęciach, pochyla się i zerka na dół. Wydaje mi się, że na niższym piętrze znajdowały się pokoje innych żon ojca, ale może tylko zgaduję. Matka kazała mi siedzieć cicho, nie śmiać się i nie zadawać pytań. Wstrzymywałam oddech i robiłam, co kazała, chociaż tak naprawdę strasznie chciało mi się krzyknąć i dać jej znać, jakim strachem napęłnia mnie patrzenie w dół schodów.

Cofnęła się, słysząc głosy służących. Obie odetchnęłyśmy głęboko, a ja uczepliłam się jej nogi, szczęśliwa, że nie spadłyśmy.

Zawsze, kiedy myślę o schodach, przypomina mi się pokój, a potem jeszcze co innego, coraz więcej zdarzeń aż do chwil tuż przed jej odejściem. Może po prostu wszystkie wspomnienia i wyobrażenia o niej stłoczyły się teraz w jeden dzień?

Przyjrząwszy się schodom, wróciłyśmy do pokoju. Był wczesny ranek i inni jeszcze spali. Nie pamiętam, czemuśmy się obudziły, nie umiem nawet zgadnąć. Sądząc po kolorze nieba, do śniadania została jeszcze godzina.

Matka grała w pewną grę, do której rozłożyła na planszy czarne i czerwone pionki. Powiedziała, że to gra obcokrajowców, zwana *cziu ke*, „więzienie i kajdany”. Teraz zdaje mi się, że mówiąc *cziu ke*, miała na myśli szachy. Przesuwała pionki po planszy, wyjaśniając mi, że różne kolory reprezentują ludzi walczących pod innymi dowódcami, próbujących pojmać się nawzajem. Pogubiłam się, kiedy wdała się w szczegóły. Nie wiedziałam, jak jej to wyjaśnić, więc zamiast tego powiedziałam, że jestem głodna.

Przy matce mogłam sobie pozwalać na narzekania i żądania. Nie trzymała mnie krótko, nie tak, jak niektóre matki. Pobłażała mi nawet bardziej niż ja tobie. Tak, wyobrażasz sobie? Jeśli czegoś chciałam, zawsze wiedziałam, że to dostanę. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że powinnam dać coś w zamian. Widzisz, mimo że znałam matkę tak krótko, nauczyłam się od niej bezwarunkowego zaufania.

Mówiąc, że chce mi się jeść, wiedziałam, że w górnej szufladzie toaletki matka ukryła pudełko angielskich herbatników. Lubiała je, podobnie jak angielskie wyściełane meble, włoskie samochody, francuskie buty i rękawiczki, zupy i tęskne piosenki miłosne z Białorusi, amerykańskie ragtimy i zegarki od Hamiltona. Owoce mogły pochodzić skądkolwiek, ale wszystko inne musiało być chińskie albo „nie miało sensu”.

Ojciec był właścicielem kilku fabryk tekstylnych. Pewnego razu zagraniczny klient ofiarował matce flakon francuskich perfum. Uśmiechnęła się i powiedziała, że taki wspaniały prezent od równie wielkiego i ważnego klienta to dla niej prawdziwy zaszczyt. Znając ją, wiedziałybyś, że jeśli nazwała go w ten sposób, znaczyło to, że go nie lubi.

Potem pozwoliła mi powąchać. Powiedziała, że pachnie jak mocz, zgodziłam się z nią.

- Dlaczego obcokrajowcy płacą tyle pieniędzy, żeby oblewać się takim smrodem? - mówiła matka. - Dlaczego po prostu nie myją się częściej? To bez sensu.

Wylała zawartość do nocnika i dała mi do zabawy kryształowy, ciemnoniebieski flakon. Kiedy trzymałam go pod światło, rzucał tańczące refleksy na cały pokój.

Tamtego poranka jadłam angielskie herbatniki i bawiłam się swoją francuską butelką. Słyszałam, jak dom budzi się do życia. To matka nauczyła mnie słuchać. Zawsze nadstawiała ucha, żeby wyłowić dźwięki, pokazując mi, jak oceniać ich ważność. Jeśli dźwięk był istotny, nasłuchiwała dalej, jeśli nie, wracała do przerwane zajęcia. Naśladowałam ją.

Razem przysłuchiwałyśmy się, jak służące chodzą po korytarzu, ze stękaniem podnosząc nocniki. Usłyszałyśmy, jak ktoś ciągnie po schodach jakieś pudło, a ktoś inny szepcze głośno:

- Co się dzieje? Wywiało ci mózg?

Ktoś wylał wiadro wody przez okno na górnym piętrze. Uderzyło w ziemię na tylnym podwórku z głośnym plach, przypominającym syczenie rozgrzanego oleju.

Po bardzo długiej chwili usłyszałyśmy wreszcie dzyń-dzyń-dzyń: to pałeczki dzwoniły o brzegi porcelanowych miseczek, znak, że służący zaczęli roznosić śniadanie.

Te zwykle, codzienne dźwięki słyszałyśmy każdego ranka, jednak tego dnia wydawało się, że matka zwraca uwagę na wszystkie. Nasłuchiwała cały czas, ja też. Do tej pory zadaję sobie pytanie, czy usłyszała to, na co czekała; czy ogarnęło ją rozczarowanie, czy ulga.

Zanim skończyłam śniadanie, matka szybko wyszła z pokoju. Nie wracała bardzo długo, chociaż może trwało to tylko parę minut. Wiesz, jak to jest z dziećmi: minuta czy godzina, nieważne. Niecierpliwia się. Też taka byłąś.

Kiedy już nie mogłam się doczekać, otworzyłam drzwi i wyjrzałam na korytarz. Zobaczyłam matkę i ojca, jak stoją i rozmawiają podniesionymi głosami.

- To cię zupełnie nie dotyczy - mówił ojciec stanowczo. - Nie wspominaj o tym więcej.

- Otworzyłam już usta. Słowa już padły - odparła matka szybko.

Nie pierwszy raz widziałam, jak się kłóć. Matka nie przypominała innych żon ojca, zachowujących się w jednakowo sztuczny sposób; starały się na wyścigi przypodobać, jakby walczyły o niezwykłą nagrodę.

Matka zachowywała się naturalnie. Oczywiście potrafiła być delikatna, ale nie umiała powstrzymać się przed otwartością i mówieniem prawdy bez względu na okoliczności. Kiedy się złościła, nigdy nie dusiła tego w sobie, ale potem wpadała w tarapaty.

Tamtego poranka, kiedy usłyszałam rozmowę rodziców, przestraszyłam się bardzo. Nie krzyczeli, ale oboje byli źli, dobrze to widziałam. Na dźwięk głosu ojca chciałam czym prędzej zamknąć drzwi i gdzieś się schować. Ciężko opisać, jak mała dziewczynka odbiera dźwięki, ale wydawało mi się, że ton matki brzmiał jak rozdarte płótno dobrej jakości, którego nie da się już naprawić.

Ojciec odwrócił się i chciał odejść.

- Podwójnie druga - odezwała się matka i zabrzmiało to jak przekleństwo.

Ojciec się nie zatrzymał.

- Nigdy tego nie zmienisz - powiedział tylko.

- Tak ci się wydaje? - zapytała, ale on już zniknął.

Wtedy nie rozumiałam, co znaczą te słowa. Podwójnie druga. Na pewno miały w sobie coś złego. Matka traktowała je jak najgorsze wyzwisko, po którym godzinami siedziała przed lustrem, nie szczędząc oskarżeń „drugiej” z naprzeciwka.

Odwróciła się wreszcie. Zobaczyłam na jej twarzy przedziwny, zupełnie nowy uśmiech. Spostrzegła mnie.

- Jestem jeszcze głodna - poskarżyłam się natychmiast cichutko.

- Idę, idę - odparła łagodnie.

Znów uśmiechała się tak jak zwykle, chociaż widać było, że nad czymś rozmyśla. Nie mogłam pojąć, dlaczego się uśmiecha, skoro jest zła.

Wróciłyśmy do pokoju i kazała mi się ubierać.

- Coś porządnego - powiedziała. - Wychodzimy.

- Z kim?

- Tylko we dwie.

To było niezwykle, ale nie zadawałam więcej pytań. Cieszyłam się z tej rzadkiej okazji.

Przygotowania zajęły jej mnóstwo czasu. Patrzyłam na nią. Zawsze uwielbiałam patrzeć, jak się ubiera.

Włożyła sukienkę w stylu europejskim i spojrzała w lustro. Zdjęła ją, włożyła chińską, zdjęła, włożyła następną i zmarszczyła brwi. Wreszcie, po jeszcze kilku sukienkach, wróciła do pierwszej: jadeitowo zielonej sukni z krótkim rękawem i długą, prostą spódnicą, sięgającą kostek.

Czekałam, aż weźmie mnie na rękę, ale zamiast tego pogłaskała mnie po głowie.

- *Syin ke* - powiedziała. - Jesteś już duża.

Zawsze nazywała mnie *Syin ke*, co znaczy serce wątroby.

Po angielsku mówicie na to drugi żołądek, jak u ptaków, co nie brzmi najlepiej. Jednak po chińsku *Syin ke* to piękne słowo, którym matki nazywają swoje dzieci, kiedy bardzo je kochają. Ja też cię tak nazywałam, nie wiedziałaś?

- *Syin ke* - mówiła matka - dziś pokażę ci mnóstwo ważnych sekretów, ale najpierw musisz się nauczyć chodzić na własnych nóżkach.

Zanim zdążyłam się rozplakać albo zacząć narzekać, matka ruszyła przede mną, powtarzając: „Chodźmy, chodźmy!” takim tonem, jakby wszystkie przyjemności pod słońcem tylko na mnie czekały. Poszłam za nią.

Wyszliśmy za bramę i zatrzymałyśmy jedną z rikszy rowerowych, dużo szybszych od tradycyjnych. W miarę jak oddalałyśmy się od domu, słyszałam coraz to nowe dźwięki: krzyki sprzedawców, pisk hamulców, klaksony samochodów i uderzenia młotków; wszędzie rozbierano stare budynki i stawiano nowe. Taka byłam szczęśliwa!

Matka także wyglądała na zadowoloną. Zupełnie się zmieniła: śmiała się, przekomarzała, wskazywała różne rzeczy, pokrzykując radosnym głosem, jak każdy zwykły śmiertelnik.

- *Syin ke*, patrz!

Pokazała na wystawę sklepu z rękawiczkami z jagnięcej skóry.

Wysiadłyśmy z rikszy, żeby przyjrzeć im się z bliska.

- Tyle szczupłych rączek wyciąga się do klientów - powiedziała.

Zaczęłam udawać, że moje ramiona to węże, i obie wybuchnęłyśmy śmiechem. Wróciłyśmy do rikszy.

- Patrz! - zawołałam po chwili, wskazując na człowieka wypluwającego długie nitki tofu do sagana z wrzątkiem.

Puchłam z dumy, że znalazłam coś godnego uwagi.

- Wygląda jak ryba - stwierdziłam. - Ryba w fontannie.

Podniosłam się na siedzeniu. To co wypluwał, zamieniało się w nitki ciasta.

- Używa ust jak narzędzia kuchennego - wyjaśniła matka.

Tego dnia przejeżdżaliśmy obok wielu fascynujących rzeczy, zupełnie tak, jakby matka chciała otworzyć mi oczy i uszy, wbić wszystko w pamięć.

Ale być może tak to sobie tylko wyobrażam. Może wcale nie miała podobnego zamiaru? Może nie widziałyśmy ani jednej z tych rzeczy? Bo niby jak dałoby się je wszystkie zmieścić w jednym dniu? A jednak to właśnie pamiętam, a nawet więcej.

Zaglądałyśmy do najlepszych sklepów: przy Zhejiang, gdzie robiono podobno najpiękniejsze buty we francuskim stylu (żadnych nie kupiła), później przy Czenghuang Miao, gdzie, jak mówiła, sprzedawano tonik z kruszonych pereł (pozwoliła mi położyć trochę na policzki, ale też nie kupiła). Przy Bubbing Well zafundowała mi wysmienite lody. Sama nie chciała nawet spróbować.

- Strasznie brudzą i za słodkie - orzekła.

Zabrała mnie też na Poochow, gdzie, jak mi wyjaśniła, można było dostać każdą książkę i dowolne czasopisma w wielu językach. Dopiero tam wreszcie coś kupiła: gazetę, ale nie wiem jaką, bo jeszcze nie umiałam czytać.

Później skierowałyśmy się do Małej Wschodniej Bramy, gdzie ustawili swe kramiki najlepsi sprzedawcy owoców morza. Matka powiedziała, że szuka pewnego przysmaku, którego nie kosztowała już od wielu lat. Była to rzadko spotykana rybka *wah-wah ju*. Nazywano ją tak dlatego, że płakała jak dziecko: ła! ła! Potrafiła też ruszać ramionami i odnóżami. Znalazłyśmy tę rybę. Usłyszałam jej krzyk i zobaczyłam, że rusza się dokładnie tak, jak opisała matka.

- Dawniej ją uwielbiałam - powiedziała. - Taka delikatna i pyszna. Nawet jej łuska jest miękka i słodka jak młode listki. Teraz od jedzenia takich stworzeń robi mi się tylko smutno. Nie mam już na nią ochoty.

Bacznie przyglądałam się wszystkim miejscom i rzeczom znajdowanym przez matkę. Pamiętam, że mówiłam sobie: „to nie byle co, słuchaj uważnie”.

Tyle pragnień do zapamiętania, tyle miejsc do odkrycia. Zdawało mi się, że matka uczy mnie pewnego sekretu, mianowicie, że szczęście zależy od natychmiastowego spełniania życzeń.

Po południu poszłyśmy też do kina. Zrobiło się bardzo gorąco, słońce stało w całej okazałości. Czułam, że się lepiej, więc bardzo się ucieszyłam, że idziemy do ciemnego budynku.

Myliłam się, oczekując chłodu. Ostatnim razem byłam tam pewnie zimą lub na wiosnę. Tego dnia w środku panował upał jak w piecu.

Kiedy weszliśmy, film już się zaczął: była to historia o małej jasnowłosej dziewczynce. Ktoś grał głośno na pianinie.

- Nic nie widzę! Nic nie widzę! - poskarżyłam się, bojąc się zrobić krok naprzód.

- Poczekaj chwilę - odparła. Oczy przyzwyczyły mi się do ciemności i zobaczyłam rzędy pełne ludzi. Każdy chłodził się papierowym wachlarzem. Matka odliczała rzędy: „...sześć, siedem, osiem”.

Nie obchodziło mnie, czemu to robi, dlaczego szuka ósmego rzędu od końca. Ciekawiło mnie tylko to, że liczy, bo ostatnio sama uczyłam się tej sztuki.

Zaczęłyśmy się przepychać do środka rzędu, aż wreszcie matka znalazła wolne miejsca. Szepnęła coś do sąsiada. Pomyślałam, że mówi: „Przepraszamy”, ale dużo, dużo później doszłam do wniosku, że powiedziała chyba coś innego.

Widywałam już z matką wiele filmów, wszystkie nieme z Charliem Chaplinem, grubasem, policjantami, strażą pożarną i kowbojami, jeżdżącymi w wielkim kole.

Tamten film opowiadał o sierotce sprzedającej zapalki na śniegu. Drżała z zimna. Kobieta w rzędzie przede mną płakała i głośno wydmuchiwała nos, ale ja uznałam, że dziewczynce wyjątkowo się powiodło - żeby znaleźć tyle chłodu w taki upał! Myślałam sobie o tym, po czym zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, zapalono już światła. Zobaczyłam, że matka pochyła się w stronę siedzącego obok mężczyzny i szepcze o czymś z przejęciem.

Przeraziłam się. Rozmowa z nieznanym wydała mi się szalenie niebezpieczna. Chlipnęłam i pociągnęłam matkę do siebie. Mężczyzna nachylił się i uśmiechnął do mnie. Nie był zbyt stary. Wyglądał na dobrze wychowanego. Miał gładką, niezbyt opaloną skórę i nie przypominał kogoś, kto przez cały dzień pracuje na dworze, mimo że nosił jasnoniebieski kubrak, ubranie wieśniaka, choć trzeba przyznać, że wyjątkowo czyste.

Matka podziękowała mu, wstałyśmy i ruszyły do wyjścia.

W drodze do domu znów zasnęłam, wyczerpana natłokiem wrażeń. Ocknęłam się, gdy riksarz sklął głośno jakąś powolną furmankę.

Wtuliłam twarz we włosy matki. Zastanowił mnie ich kolor, tak różny od mojego i innych kobiet w rodzinie. U nikogo takich nie widziałam. Nie miały odcienia brązowoczarnego ani czarnobrazowego. Taki rodzaj czerni nie ma chyba nazwy.

Bardziej można go poczuć niż zobaczyć: bardzo, bardzo czarny. Czarny i błyszczący, jak woda na samym dnie głębokiego źródła.

W koku matki wiły się dwa siwe pasma, jak maleńkie fale, powstające, kiedy wrzucisz kamień do sadzawki. Nie, nawet słowami nie da się tego opisać.

Pamiętam już niewiele z tamtego wieczoru. Byłam bardzo zmęczona. Zjadłyśmy w pokoju niewyszukany posiłek, po czym matka pokazała mi pewien rodzaj haftu, który sama wymyśliła. Naśladowałam ją nieudolnie, ale nie zganila mnie ani słowem, a nawet chwaliła.

Później rozebrała mnie do snu i dała jeszcze jedną lekcję: jak liczyć palce u rąk i nóg.

- Inaczej skąd będziesz wiedziała, czy każdego ranka masz tyle samo? - mówiła.
- ...sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć.

Widzisz, jaką miałam mądrą i wykształconą matkę? Zawsze umiała zachęcić do nauki. Powiedziała mi kiedyś, że dawniej chciała zostać nauczycielką, podobnie jak misjonarki, u których się uczyła.

Usiadła na stołeczku przed toaletką. Patrzyłam, jak się rozbiera i zdejmuje biżuterię. Ściągnęła złote bransolety i kolczyki z jadeitu.

Zauważyła, że ją obserwuję. Odwróciła się z kolczykami w rękę.

- Któregoś dnia dostaniesz je na własność - powiedziała poważnie.

Skinęłam głową.

- I to też - pogłaskała kasetkę z biżuterią.

Skinęłam ponownie.

- Kiedy je włożysz, ludzie pomyślą, że twoje słowa więcej znaczą.

Znów przytaknęłam.

- Ale ty nigdy nie powinnaś tak uważać.

Szybko pokręciłam głową.

Weszła do naszego wspólnego łóżka i pogłaskała mnie po włosach. Patrzyłam jej w oczy, a ona zaśpiewała mi piosenkę, tę o niegrzecznej myszce, która ukradła olej do lampy. Pamiętasz? Śpiewałam ci ją.

Tamtej nocy zasnąłam, nim skończyła. Śniły mi się zdarzenia z całego dnia. Ryba, która płakała i śpiewała o myszce; sierotka o jasnych włosach, przymierzająca szykowne francuskie buciki; włosy matki, które przesypywałam w palcach, by odkryć

nagle, że to nie włosy, lecz haft i drogie kamienie; matka siedząca przy toalecie, czesząca się i krzycząca do odbicia: „Podwójna druga! Podwójna druga!” Może to ostatnie to nie był sen?

Kiedy obudziłam się następnego ranka, matki już nie było. Pomyślałam, że wyslizgnęła się z łóżka i wyszła na schody, tak jak wczoraj. Otworzyłam drzwi i wyjrzałam na korytarz, ale zobaczyłam tylko, jak służące zbierają nocniki.

Wróciłam i usiadłam, żeby na nią poczekać. Nagle: dzyń-dzyń-dzyń, służąca wniosła dwie parujące miseczki *syen-do-yang*. Znasz ją, to ta słonawa zupa z mleczka sojowego, którą w weekendy można dostać w Fountain Court. Ostatnio Cleo spałaszowała dużą miskę i ani trochę nie rozlała.

Tamtego ranka nie miałam ochoty na *do-yang*.

- Gdzie moja mama? - zapytałam rozkazująco.

Służąca nie odpowiedziała, tylko ze zdumieniem rozejrzała się po pokoju. Postawiła obie miski na stole.

- Jedz szybko, żeby nie wystygło - przestrzegła mnie i czym prędzej wyszła.

Nie tknęłam zupy. Czekałam, a kiedy zabrakło mi cierpliwości, zaczęłam trochę płakać.

Miałam ściśnięte gardło. Czekałam, żeby matka przysłała mnie pocieszyć, a wtedy rozplączę się i opowiem, jak długo siedziałam sama. Postanowiłam, że kiedy wróci, pokażę jej miskę z zimną zupą. Zażądam angielskich herbatników i nie zadowolę się mniej niż trzema.

Odczekałam jeszcze trochę. Pogrzebałam w misce i narobiłam bałaganu. Stałam na krześle i sama wyciągnęłam herbatniki, a ona wciąż nie wracała.

Nadeszła służąca, żeby zabrać miski. Popatrzyła na rozlaną zupę i rozejrzała się dookoła.

- Zobacz, co narobiłaś! - krzyknęła i szybko wyszła. Zamknęła drzwi, ale ja natychmiast je otworzyłam.

Zobaczyłam, że rozmawia z ochmistrzynią. Pospiesznie zeszły na dół, a ja podbiegłam do schodów, żeby za nimi popatrzeć.

Usłyszałam podniesione głosy, trzaskanie drzwiami. Pojawiło się mnóstwo ludzi.

Zobaczyłam, jak po schodach wchodzi wolno moja babka Nai-nai, a obok niej służąca, która coś bardzo szybko mówi. Nai-nai nie należała do babć, które głaszczą

po główce i mówią, że jesteś śliczna. Dowodziła wszystkim kobietami w domu, a mnie, najmłodszą dziewczynkę, dostrzegała tylko wtedy, gdy zrobiłam coś nie po jej myśli.

Biegiem wróciłam do pokoju i przerażona usiadłam na łóżku. Czułam, że nadciągają kłopoty.

Krzyknęłam głośno, kiedy stanęły w drzwiach.

- Gdzie twoja matka? - pytała w kółko Nai-nai. - Kiedy wyszła? Zabrała coś ze sobą? Ktoś po nią przyszedł?

Co mogła odpowiedzieć mała dziewczynka, która o niczym nie miała pojęcia?

Potrząsnęłam głową i bez przerwy płakałam.

- Nigdzie nie poszła! Jest tutaj, o, właśnie tutaj!

Nagle do pokoju wszedł ktoś jeszcze. Nie wiem kto, bo moje spojrzenie utkwiło w tym, co trzymał w ręku: włosy mojej matki, zwisające niczym koński ogon.

Głośno wrzasnęłam. Poczułam się zupełnie tak, jakby ścięli jej głowę. To było straszne!

Dalsze wspomnienia przychodzą jak zza mgły. Pamiętam, że panowało ogólne zdenerwowanie, wszyscy szeptali po kątach. Ojciec chodził zły. Przyszedł raz do pokoju matki, zaglądał do szuflad, komody i kasetki z biżuterią. Niczego nie brakowało. Usiadł w milczeniu. Patrzył na mnie surowo, jakbym tu coś zawiniła.

- Dokąd ona poszła? - zapytał.

Bardzo chciałam okazać się posłuszna. Próbowałam zgadnąć. Powiedziałam o ulicy Zhejiang. Podsunęłam Chen-guang Miao. Wspomniałam o straganie z rybami przy Małej Wschodniej Bramie i o kinie.

Przez trzy dni nie wychodziłam z pokoju; siedziałam i czekałam na matkę. Nikt mi nie kazał, ale nikt też po mnie nie przyszedł. Służąca, która przynosiła mi jedzenie, nie odzywała się, a ja nie zadawałam pytań.

Czwartego dnia sama zesłam na dół. Jak już ci mówiłam, matka wszędzie mnie nosiła, więc nie miałam zbyt silnych nóg. Tamtego dnia były bardzo słabe, co po części brało się też pewnie ze strachu przed nieznanym.

No i wyobraź sobie, że to, co zastałam, okazało się gorsze, niż się obawiałam. Zobaczyłam, że na drzwiach wiszą żałobne flagi. Bez pytania wiedziałam, co to znaczy, ale nie chciałam wierzyć. Podeszłam do naszej praczki i zapytałam, kto umarł.

- Jak możesz zadawać takie pytania - zgromiła mnie. Podeszłam do Starej Ciotki, która właśnie przyjechała, ale też niczego się nie dowiedziałam.

- Nigdy więcej o tym nie wspominaj - powiedziała. Nie minął chyba nawet tydzień, a już wysłano mnie na wyspę Tsungming. Miałam tam zamieszkać z młodszym bratem ojca i jego dwiema żonami, Starą i Nową Ciotką.

Wyspę dzieliły od Szanghaju dwie godziny drogi motorówką, w górę rzeki Huangpu, aż do ujścia. Stamtąd pochodziła rodzina mego ojca. Na mapie to tylko odcięta od świata maleńka kropka pośród wody.

Zanim dotarliśmy na miejsce, rozboleł mnie brzuch, zarówno od podróży motorówką, jak i z żalu. Głośno płakałam. Myślałam, że mi serce pęknie i nie obchodziły mnie wcale groźby Starej Ciotki, że zaraz da mi po twarzy.

- Chcę do mamy! - krzyczałam. - Do mamy! Powiedz jej, gdzie jestem, to zaraz po mnie przyjdzie.

- Cicho - odpowiedziała Stara Ciotka. - Pogrzebano ją właśnie tu, na tej wyspie.

Jeśli zapytasz, co tak naprawdę stało się z moją matką, nie umiem odpowiedzieć. Mogę co najwyżej powtórzyć usłyszane plotki.

Wiedziała jedno, matka zrobiła coś godnego potępienia, więc żeby ukryć skandal, rozpowiadano, że umarła.

Nikt nie mówił o niej przy ojcu i wyprawiono mnie z domu, żebym mu o niej nie przypominała. Mimo to krążyło mnóstwo plotek. Powtarzali je wszyscy: Stara Ciotka, Nowa Ciotka, stryj i ich przyjaciele; przy herbacie, podczas posiłków i po drzemce poobiedniej.

Przez wiele lat matka stanowiła niewyczerpane źródło zabawnych i złośliwych anegdot, straszliwych sekretów i romantycznych opowieści. Wyglądało to tak, jakby odkopywali ją z grobu, po czym wpychali jeszcze głębiej, przykrywając nową warstwą brudu. Możesz sobie wyobrazić, jak czuje się małe dziecko, słysząc takie rzeczy o własnej matce?

Słyszałam, co mówili. Czulałam się z tym okropnie, ale nie mogłam przestać słuchać. Chciałam wiedzieć, dlaczego matka opuściła mnie bez słowa wyjaśnienia.

W ten sposób matka stała się zagadką. Każda plotka budziła we mnie nowe pytania. Skoro umarła, dlaczego nie urządzono pogrzebu? Jeśli nie umarła, dlaczego po mnie nie przyjeżdża? Jeżeli uciekła, to dokąd poszła?

Czasami próbowałam złożyć razem wszystkie plotki i domyślić się całej prawdy, ale jedna opowieść zaprzeczała drugiej, aż wreszcie wszystkie traciły sens.

Gromadziłam wszelkie wspomnienia o matce - dobre i złe. Chciałam odkryć, dlaczego jej życie potoczyło się tak, a nie inaczej. Powiem ci teraz, do jakich wniosków doszłam, w jaki sposób matka została drugą żoną ojca i dlaczego potem odeszła.

Matka nie przypominała Chinki z amerykańskich wyobrażeń. Nie chodziła z zabandażowanymi stopami i nie dobierała słów równie ostrożnie jak kroków. Była nowoczesna, podobnie jak wiele innych dziewcząt w Szanghaju, które w żadnym razie nie przypominały wieśniaczek. Kiedy miała osiem lat, przestano jej bandażować stopy; niektórzy twierdzą, że to dlatego przewróciło jej się w głowie.

Urodziła się jako jedynaczka w bogatej, wykształconej rodzinie. Jej ojciec pochodził z Ningpu, a matka z Soochow. Kobiety z Soochow słyną z pięknych głosów. Nawet mieszkańcy Szanghaju uznają akcent z Soochow za najpiękniejszy ze wszystkich. Ludzie z Ningpo to z kolei doskonali biznesmeni, kłócą się jeszcze długo po tym, jak już dobili targu. Widzisz więc sama, że w matce od urodzenia walczyły ze sobą dwa odmienne charaktery.

Sądzę, że musiała być klasyczną piękną, taką, o jakiej dziewczęta czytają w powieściach, a potem płaczą i utożsamiają się z nią w marzeniach. Matka czytała mi kiedyś taką powieść o pięknej, lecz samotnej dziewczynie. Pewnego dnia dziewczyna zajrzała do sadzawki i wydawało jej się, że znalazła przyjaciółkę, kogoś, kto wreszcie jej nie zazdrości. Nie wiedziała, że ta połyskująca, uśmiechnięta buzia to jej własne odbicie. Pod koniec opowieści matka krzyknęła:

- Bzdura! Jaka dziewczyna nie poznałaby samej siebie w lustrze!

Tak czy inaczej, matka nie zaglądała do sadzawki, patrzyła w lustro. Każdej nocy. Zatem szczerze mówiąc, muszę przyznać, że chełpiła się swoją urodą, może była nawet odrobinę próżna.

Miała powody do dumy. Jej skóra miała odcień białego jadeitu. A może brzoskwini latem? Może wspominam matkę jak postać z bajek, w których mówi się, że głosy dam brzmiały jak lutnie, ich skóra bielała jak jadeit, a poruszały się z gracją płynącej rzeki. Dlaczego baśnie zawsze tak opisują kobiety, każąc nam wierzyć, że też musimy takie być?

Możliwe, że matka nie była wcale ładna, a ja po prostu chciałam ją taką widzieć. Uważam jednak, że w takim razie ojciec by się z nią nie ożenił. Był

człowiekiem z pozycją. Mógł sobie pozwolić na żony każdego rodzaju, co zresztą czynił. W tamtych czasach jedynym powodem posiadania drugiej, trzeciej lub czwartej żony była jej uroda, która dodawała mężowi prestiżu. Dlatego właśnie sądzę, że matka miała jej pod dostatkiem. Nie wyciągnęłam tego wniosku, opierając się jedynie na złych, utartych kanonach. Istniała ku niemu przyczyna.

Matka była też bystra i mądra. Szybko kojarzyła fakty. Wspomniałam ci już, że miała wykształcenie. Chodziła do szkoły misyjnej w Szanghaju, pierwszej placówki w Chinach, która przyjmowała dziewczęta. Wysłał ją tam jej ojciec, mój *gung-gung*, także człowiek wykształcony, który zajmował stanowisko kogoś w rodzaju dyrektora departamentu reform i spraw zagranicznych. Jakoś tak.

Wielu ówczesnych urzędników wysyłało córki do szkół. Nazywało się to nowoczesnym podejściem: kształcenie synów i córek jako dowód odejścia od myślenia feudalnego. *Gung-gung* nie chciał wysyłać jej do Francji, Anglii czy Ameryki, jak robiły to rodziny chcące dowieść swojej zamożności. Tamte dziewczęta wracały w krótkich fryzurach, opalone od gry w tenisa. Dlaczego miałby córkę kształcić po to tylko, by zamieniła się w dziewczynę, jakich nie lubił? Tak więc kiedy w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym misjonarze otworzyli pierwszą szkołę w Szanghaju, *gung-gung* zaraz ją tam posłał.

Słyszałam, że matka nauczyła się tam również angielskiego, chociaż nigdy nie słyszałam z jej ust ani jednego słowa w tym języku, z wyjątkiem *biscuit*. Nowa Ciotka, która również chodziła do tej szkoły, twierdziła, że matka nie uczyła się najlepiej, właściwie zupełnie źle i może odziedziczyłam to po niej. Mówiła, że matka przejawiała wojowniczy temperament, to też mam pewnie po niej. Była niesforna - ja też.

Nowa Ciotka opowiadała kiedyś, że raz podczas modlitw jedna z sióstr puściła głośnego bąka, rzecz jasna niechcący. Matka wybuchnęła śmiechem i powiedziała: „Bóg to słyszał”.

- Nie mam pojęcia, czemu siostry tak ją lubiły - ciągnęła ciotka. - Powiedziały jej kiedyś: „Modlimy się za ciebie gorąco, mała. Jeśli zostaniesz chrześcijanką, możesz iść po śmierci do nieba”, na co twoja niepoprawna matka odparła: „Nie chcę po śmierci mieszkać w zagranicznej kolonii”. A wiesz, jak zareagowały na to siostry? Śmiały się tylko!

Nowa Ciotka strasznie jej zazdrościła. Często powtarzała: „Nigdy nie zachowywałam się tak źle jak twoja matka, więc czemu siostry nie modliły się za mnie równie gorąco?”

Z kolei Stara Ciotka w ogóle nie chciała iść do szkoły. Wychowała się w feudalnej, tradycyjnej rodzinie: oczy dziewcząt nie służą do czytania, lecz do szycia; uszy dziewcząt nie służą do słuchania nowych idei, lecz rozkazów; usta dziewcząt są małe, rzadko używane, chyba że do wyrażania pochwał bądź próśb. Rzecz jasna, przez całe to feudalne podejście jej poglądy zrobiły się jeszcze ciaśniejsze.

- Wszystkiemu winne to jej wykształcenie - powtarzała Stara Ciotka. - Wkładają zachodnie myśli do chińskiej głowy i zaczyna się fermentacja. Zupełnie jak zagraniczne jedzenie: truje żołądek i umysł. Nauczyciele z zagranicy chcą przewrócić wszystko do góry nogami: Konfucjusz zły. Jezus dobry. Dziewczęta mogą zostawać nauczycielkami, nie muszą wychodzić za mąż. Na co to komu potrzebne? Wszystko na opak. Stąd wzięły się jej kłopoty.

Później ostrzegła mnie:

- Weiwei-ah, nie słuchaj za bardzo nauczycieli. Zobacz, co spotkało twoją matkę.

Moim zdaniem matka nie padła ofiarą niewłaściwego wykształcenia, tylko złego losu, choć owszem, nauka unieszczęśliwiła ją, pokazując, że choćby nie wiem jak się starała, nie zdobędzie wpływu na otaczający ją świat.

Stryj powtarzał, że do niczego strasznego by nie doszło, gdyby matka miała rodzeństwo. Siła woli i upór, jaki przejawiała, pasowałby do chłopca. Co gorsza, robiła się coraz silniejsza, bo rodzice pozwolili jej zostać w domu. Uznali, że mogą jeszcze poczekać i wybrać dla niej męża dopiero, gdy skończy dwadzieścia dwa lata.

Zanim do tego doszło, przyszli rewolucjoniści i wyrzucili ludzi Mandzuko. Działo się to w roku tysiąc dziewięćset jedenastym, kiedy matka miała dwadzieścia jeden lat. Koniec dynastii Ching oznaczał także koniec eksponowanego stanowiska *gung-gunga*.

Służący przyniósł te złe wieści podczas obiadu, kiedy *gung-gung* żuł właśnie ścięgnięta gotowane na parze. *Gung-gung* krzyknął jak dzikie zwierzę i odgryzł sobie język.

Dokładnie w połowie. Zresztą może najpierw odgryzł, a potem krzyknął? Tak czy inaczej, krzesło i jego martwe ciało upadły razem na podłogę.

W jednej chwili pozycja jego rodziny spadła o dziesięć tysięcy stóp, gdyż wszyscy uznali, że *gung-gung* popełnił samobójstwo z żalu po dynastii Ching.

Teraz matka matki, moja ha-bu, została wdową i to niezbyt majątną. Wcale się nie spieszyła, żeby wydawać za mąż córkę, która mogłaby się nią zaopiekować na stare lata. Tego właśnie nauczał Konfucjusz. Nie rozumiem, czemu wszyscy uważają go za dobrego i mądrego. Przecież to przez niego jedni patrzą z góry na drugich, a na samym dole znalazły się kobiety.

Tak więc matka miała zaledwie dwadzieścia jeden lat i wychowano ją w negacji wartości konfucjańskich. Może chciała wyjść za mąż, może nie, któż to wie? Tak czy inaczej, miała zamiar wybrać sama.

„Właśnie przez to napytała sobie biedy” - twierdził stryj.

Nowa Ciotka nie podzielała jego zdania. Według niej prawdziwą przyczynę stanowiły romantyczne marzenia i pragnienie wyjścia za mąż z miłości.

Mając dwadzieścia sześć lat, matka spotkała studenta z Uniwersytetu Fundan, dziennikarza. Był starszy od niej chyba o trzy lata. Trochę późno wziął się do nauki. Nazywał się Lu i był marksistą; istne wcielenie tego, czego *gung-gung* nienawidził najbardziej.

Nowa Ciotka wiedziała o wszystkim (albo tak jej się zdawało), bo po zniknięciu matki przejrzała jej rzeczy i znalazła tam wycinek z gazety: artykuł o studencie-rewolucjonście nazwiskiem Lu. Musiało chodzić o tego samego człowieka, bo inaczej po co by to matka wycinała?

Ciotka opowiadała, że tekst napisano bardzo kiepsko, ot, bajka o natchnieniu i bohaterach, czyli niewiele faktów, za to wiele wody do starego ryżu. W każdym razie tak to właśnie wyglądało: stara, rewolucyjna baśń. Bardzo romantyczne.

Lu urodził się w Szandongu, na północ od Szanghaju. Stamtąd pochodzą najlepsze owoce morza. Był synem rybaka i jedyne, czego mógł się w życiu spodziewać, to to, że kiedyś odziedziczy dziury w ojcowskich sieciach, które co dzień naprawiał.

Nie miał wykształcenia, pieniędzy ani specjalnych perspektyw. Bogiem a prawdą, takie życie wiedli niemal wszyscy, z wyjątkiem uczonych, obcokrajowców i największych łapówkarzy.

Jednak pewnego dnia podszedł do niego dobry marksista i wręczył mu kawałek papieru.

- Towarzyszu, możecie mi to przeczytać? - zapytał.

- Niestety, urodziłem się głupcem - odparł Lu.

- Towarzyszu, a co powiedzielibyście na to, gdybym nauczył was czytać w dziesięć dni? Przyjdź na zebranie, to dowiesz się więcej.

Ten dobry człowiek opowiedział Lu o nowej metodzie uczenia robotników i chłopów, dzięki której wyrwą się z niewoli. Nazywano ją „Tysiąc znaków w dziesięć dni”.

Na spotkaniu marksiści powiedzieli mu, że jeśli się przyłoży, w jeden dzień może nauczyć się stu znaków, czyli tysiąca w dziesięć dni. Dzięki temu błyskawicznie zdobędzie wykształcenie i będzie w stanie czytać gazety, pisać listy i prowadzić interesy - jednym słowem, wyzwolić się z dotychczasowego złego życia.

Kiedy zapytali Lu, czy się do nich przyłączy, odparł:

- Jedyne, czego mi w życiu nie brakuje, to ciężka praca i pech.

Tak oto Lu wziął się do pracy i odmienił swoje szczęście. Nie poprzestał na tysiącu znaków. Uczył się coraz więcej i z wielką wytrwałością. Poznał dwa tysiące znaków, cztery, aż wreszcie dziesięć. Uczył się tak długo, aż wreszcie mógł zdać na Uniwersytet Fundan.

Ponieważ był bardzo wdzięczny za to, że dano mu szansę na odmianę życia, przysiągł, że pewnego dnia napisze o trudzie robotników i chłopów. Stanie się ich ustami, opowie ich historię i wyjaśni, jak mogą odmienić swój los dzięki ideom rewolucji.

Teraz rozumiesz już słowa Nowej Ciotki, że matka zrujnowała sobie życie z powodu romansu. Jak mogłaby się nie zakochać w takim mężczyźnie?

Lu musiał być przystojny. Może miał te same rysy, które matka tak lubiła u siebie: duże oczy, jasną cerę, twarz nie za szeroką ani nie za wąską, niewielkie usta i bardzo czarne włosy.

Miał również nowoczesne podejście do życia, bo poprosił matkę o rękę, nie pytając nikogo o zgodę ani bez pomocy swata. To dopiero musiało zrobić na niej wrażenie: rewolucyjne małżeństwo!

Natychmiast się zgodziła i wróciła do domu, by o wszystkim opowiedzieć matce.

- Jak mogło ci to nawet przyjść do głowy! - krzyknęła na nią ha-bu. - Jak mogłaś nawet rozmawiać z takim człowiekiem! Oto, co się dzieje, kiedy nie ma cesarzy do rządzenia krajem.

Wtedy matka zagroziła, że jeżeli nie dostanie zgody na ślub z Lu, połknie płynne złoto. Rzeczywiście, tego popołudnia stopiła połowę złotej bransoletki. Pokazała matce, że mówi poważnie.

- Połowę bransoletki! - mawiała Nowa Ciotka, kiedy dochodziła do tej części opowieści. - Oto masz przykład dzikiego uporu.

Oczywiście matka nie połknęła tej bransoletki, inaczej by umarła. Udawała tylko. Namalowała złotą kroplę na wardze i położyła się nieruchomo na łóżku.

W tym czasie ha-bu klęczała przed rodzinnym ołtarzem i modliła się do zmarłego męża. Błagała o wybaczenie za to, że sprowadziła córkę na złą drogę. Nagle wydało jej się, że słyszy, jak jej zmarły mąż mówi: „Idź zobaczyć się z moim starym przyjacielem, Jiangiem Sao-yenem”.

No i ha-bu poszła. Opowiedziała Jiangowi o mojej matce, o tym, jak się rozpuściła, o groźbie samobójstwa i to dlaczego? Z powodu miłości do rewolucjonisty!

Tego samego popołudnia ha-bu i Jiang sporządzili kontrakt. Jiang zgodził się wziąć złą córkę starego przyjaciela za drugą żonę.

Zawsze, gdy o tym myślę, zachodzę w głowę, czemu ha-bu nie protestowała. Dlaczego nie powiedziała Jiangowi: „Drugą żonę? A czemu nie zrobisz z niej pierwszej?” Pierwsza i tak już nie żyła.

Możliwe, że ha-bu cieszyła się, iż udało jej się rozwiązać wielki problem. Zgadzała się na wszystko. W ten sposób Jiang dostał za drugą żonę piękną kobietę, nie jakąś niewolnicę albo ubogą dziewczynę, ale wykształconą pannę z szanowanej niegdyś rodziny.

Następnego dnia matka zobaczyła kontrakt. Pobiegła do Lu i zapytała go, co ma robić. Może się nawet pocałowali. Może uronili kilka łez. Nadal uważam, że matka była bardzo romantyczna.

- Musisz stawić opór - orzekł Lu. - Tylko w ten sposób można położyć kres starym zwyczajom zawierania małżeństw.

Później opowiedział jej historię pewnej rewolucjonistki, która postąpiła w ten sposób.

Była to młoda dziewczyna ze wsi, bardzo piękna. Kazano jej wyjść za starego człowieka, którego nawet nie знаła.

„Chcę sama wybrać sobie męża albo w ogóle nie zgadzam się na małżeństwo” - powiedziała rodzinie.

Jej ojciec tak się wściekł, że zamknął ją w chlewie.

Każdego dnia krzyczała, że nie poślubi starca. Krzyczała tak aż do dnia ślubu. Nic nie powiedziała, kiedy wreszcie stamtąd wyszła. Możesz sobie wyobrazić, jaka była brudna.

Jej matka i ciotki umyły ją i ubrały, po czym wsadziły do zamkniętej lektyki, którą sześciu wynajętych mężczyzn zaniósł do odległej wioski, do domu starego człowieka. Kiedy przybyli, wielu ludzi zaczęło już zabawę. Grała muzyka i roznoszono mnóstwo jedzenia. Śmiano się i wykrzykiwano życzenia pomyślności, po czym otworzono drzwi lektyki, żeby powitać pannę młodą. Witaj! Witaj!

Aj, dziewczyna nie żyła. Powiesiła się na własnych włosach, przywiązanych do dachu lektyki.

- Rozumiesz więc - tłumaczył Lu matce - że ty też musisz stawić opór i to nie tylko z miłości, ale dla dobra kraju.

Biedna matka myślała tylko o dziewczynie wiszącej na własnych włosach. Wydawało jej się, że właśnie to Lu ma na myśli, mówiąc: „musisz stawić opór”.

Poszła do domu, zastanawiając się, czy starczy jej sił na walkę z przeznaczeniem i odwagi, by umrzeć w imię miłości. Dwa dni później wprowadziła się do domu Jianga jako jego druga żona.

Tak, właśnie tak. Poślubiła starego Jianga, mego ojca, a twego dziadka.

Co gorsza, odkryła, że Jiang ma także trzecią, czwartą, a nawet piątą żonę. Służące powiedziały jej, że pierwsza żona zmarła na zapalenie płuc, a druga popełniła samobójstwo, kiedy Jiang nie chciał jej promować na opuszczone miejsce. Teraz wszyscy mówili, że matka objęła niepomyślne stanowisko: zastępstwo po zmarłej drugiej żonie.

W ten sposób matka została „Podwójnie drugą”. Mimo że pozostałe żony nie chciały wcale jej pechowego miejsca, i tak zazdrościły jej wyższej pozycji.

- Też! Druga żona! - dokuczały jej. - Tak naprawdę jesteś tylko podwójnie drugą i masz połowę jej władzy.

Czasem wydaje mi się, że to one wyгнаły matkę. Zatrwały jej życie, narzekały, jeśli zamówiła sobie specjalny rodzaj makaronu, wyśmiewały się z jej francuskich butów i z tego, że czyta gazety - same nie były wykształcone. Do tego zazdrościły jej tych kruczoczarnych włosów, bo uważały, że tylko z ich powodu ojciec zdecydował się ją poślubić.

Może to dlatego je ścięła? Zostawiła je tamtym żonom, żeby miały się o co kłócić.

Później jednak pomyślałam sobie, że matka miała dość siły, by stawić im czoło. Poza tym wszystkie kobiety w rodzinie zachowywały się w ten sam sposób: ciągle narzekały i bez przerwy kłóciły się o każdy drobiazg. Znałam te żony. Nazywaliśmy je: San Ma, Sz Ma i Wu Ma, czyli Trzecia Matka, Czwarta Matka i Piąta Matka. Nie były takie złe. Na przykład San Ma miała typowo Szanghajskie maniery: drażniła się z ludźmi, jeśli za bardzo zadzierali nosa, i wszystko równo krytykowała, tak że nie można było się domyślić, co się jej tak naprawdę podoba.

Prawdopodobnie zatem wszystko odbyło się następująco: matka uciekła z powrotem do Lu. To jasne, przecież kochała go od początku.

A ten mężczyzna w kinie, z którym rozmawiała tuż przed zniknięciem? To był pewnie Lu. Uzgadniali, gdzie się spotkają i jak ma uciec. Pewnie tak.

Może ona też zaraziła się rewolucyjnymi ideami? Zabrała mnie wtedy do miasta, żeby pokazać całe imperialistyczne zło, nauczyć mnie tego, czego dowiedziała się od Lu: które rzeczy brudzą, które są za słodkie, za rzadkie, za smutne. Dlatego też ścięła włosy, żeby udowodnić, że przypomina dziewczynę, która powiesiła się w lektyce: nareszcie wolna.

Potem przychodzi następna myśl: jeśli uciekła z Lu, to żyje i przyszłaby po mnie. Przecież byłam jej *Syin ke!* Próbowalaby odwiedzić mnie w szkole, tej samej, do której chodziła przed laty. Przyjechałaby w sekrecie na wyspę, a potem wyskoczyłaby zza krzaków, wołając: „Przyjechałam cię zabrać. Poznaj mojego nowego męża”.

Czasem myślę, że uciekła z wielkiego smutku. Może się dowiedziała, że Lu nie żyje. Przeczytała to w gazecie, którą kupiła przy ulicy Foochow. Może kupiła ją jeszcze wcześniej i zobaczyła, że go zastrzelono, kiedy uczył wieśniaków czytać. Wielu rewolucjonistów zginęło w ten sposób.

Nagła żalność przypominała jej o dawnym ukochanym. Ja zasnęłam w ciemnym kinie, a ona dumiała i oplakiwała swoją stratę. Kiedy szukałyśmy wah-wah-yu,

ogarnęły ją wyrzuty sumienia, bo przypomniawszy sobie, że nie mogła oprzeć się jej smakowi ani małżeństwu bez miłości.

Kiedy spałam w rikszy, ogarnął ją wstyd, że przywykła do imperialistycznego stylu życia, wszystkich tych rzeczy, których Lu nienawidził i z którymi walczył. Nocą popatrzyła w lustro, poczuła do siebie nienawiść i postanowiła natychmiast się oczyścić.

Obcięła włosy na znak, że już nie zawróci z obranej drogi. Została rewolucjonistką w ukryciu, a przywódcy kazali jej zapomnieć o przeszłości. Usłuchała bez słowa i dlatego nigdy się po mnie nie zjawiała.

Potem pomyślałam, że matka nie należała do ludzi słuchających czyichkolwiek rozkazów. Postępowała wedle własnej woli. Może ta wola doprowadziła ją do zguby? Może wybiegła wtedy z domu, nie wiedząc nawet, dokąd idzie?

Czasem wyobrażam sobie, że matka ścięła włosy i została zakonnica. Przecież siostry zakonne z jej szkoły modliły się, by podążyła za Bożym wezwaniem. Potem zaś nie mogła już więcej decydować o sobie.

Innym razem wydaje mi się, że to zmarła druga żona, zazdrosna o matkę, przysłała i zabrała ją ze sobą. Albo wierzę w to, co powtarzają inni: nagle zachorowała, zmarła tej samej nocy i pochowano ją na wyspie Tsung-ming.

Sama już nie wiem, która historia jest prawdziwa i z jakiego powodu matka odeszła naprawdę. W gruncie rzeczy wszystkie są takie same: każda prawdziwa i każda fałszywa. I w każdej tyle cierpienia.

Próbowałam sobie wmówić, że przeszłość odeszła i niczego nie da się już odczynić. Można tylko zapomnieć. Staralam się w to uwierzyć, ale mi nie wyszło. Jak mogłabym, zapomnieć kolor jej włosów? Dlaczego mam odrzucać nadzieję, że kiedyś znowu ją zobaczę?

Wiem oczywiście, że nigdy nie wróci, ale ciągle ją pamiętam. Pamiętam przez całe życie. Tak to już jest.

W kąciku mego serca mieszka mała, na zawsze sześciolatnia dziewczynka, która wbrew wszystkiemu wciąż nie traci nadziei. Jest pewna, że w każdej chwili mogą otworzyć się drzwi i do środka wbiegnie matka. Wówczas cały ból zniknie i rozplynie się w niepamięci, bo oto matka uniesie ją wysoko w ramionach, śmiejąc się przez łzy i płacząc z uśmiechem.

- *Syin ke, Syin ke!* Znalazłam cię nareszcie.

VI

Szczyście Orzeszka

Widzisz zatem, że nie miałam matki, która doradziłaby mi, za kogo wyjść za mąż. Nie tak jak ty. Zresztą, czasami nawet matka nie może pomóc, choćby nie wiem co.

Pamiętasz tego chłopca? Zdawało ci się, że nie możesz bez niego żyć. Jak on się nazywał? Randy. Nie pamiętasz? Pierwszy chłopiec, na którego zwróciłaś uwagę. Kiedyś przyprowadziłaś go na kolację.

Patrzyłam, jak się uśmiechasz za każdym razem, kiedy się odezwał, podczas gdy on zupełnie cię nie słuchał. „Poczęstuj się”, mówiłaś, lecz on nie odpowiedział: „Ależ nie, ty pierwsza, nałóż najpierw sobie”, tylko: „Macie piwo w tym domu?” Okropnie się zmieszalaś i powtarzałaś: „Przepraszam, bardzo przepraszam”.

Ostrzegałam cię później: „Uważaj, uważaj”, ale nie chciałaś zrozumieć, o co mi chodzi. Ten człowiek na pierwszym miejscu stawia siebie, a ciebie dopiero na drugim. Za jakiś czas staniesz się trzecią czy czwartą, potem w ogóle stracisz znaczenie. Nie wierzyłaś mi. Powiedziałam ci, że jeśli teraz go przeproszasz, to już tak zostanie. Wiesz, co na to odparłaś? „Mamo, czemu tak niechętnie go traktujesz?”

Wcale nie traktowałam go niechętnie. Myślałam za swoją córkę, bo ona nie potrafiła zrobić tego sama.

Później nigdy więcej nie wspomniałaś jego imienia, ale widziałam, że złamał twoje dobre serce. Staralaś się sklecić je na powrót, nie dać niczego poznać po sobie. Nie odzywałam się. Ty też.

Nie miałam zamiaru powtarzać: „A nie mówiłam”. Wcale nie. Cierpiałam razem z tobą, bo dobrze wiem, co znaczy mieć dobre, niewinne serce. W młodości ja także je miałam. Nie potrafiłam zrozumieć, że Wen Fu zapowiada tylko kłopoty. Zabrał mi niewinność. Przez niego wciąż będę powtarzać swojej córce: uważaj.

Kiedy go spotkałam, Wen Fu kochał się w mojej kuzynce, Huazheng, córce Nowej Ciotki. Wołano na nią Huazheng, „Orzeszek”, bo była mała i okrągłutka jak

dwie łupinki orzecha. Widzisz, to ona powinna za niego wyjść. Do tej pory zachodzę w głowę, czemu stało się inaczej.

Ponad dwanaście lat spędziłam na wyspie Tsung-ming. Ojca nie widziałam ani razu, nawet wtedy, gdy wysłano mnie do szkoły z internatem w Szanghaju. Mieszkałam w domu mego stryja, ale zawsze musiałam zachowywać się jak gość, o nic nie prosząc i czekając, aż ktoś przypomni sobie o moich potrzebach.

Kiedy potrzebowałam nowych butów, czekałam, aż ktoś przyjdzie w odwiedziny. Wszyscy siedzieli na dole przy herbacie. Stara i Nowa Ciotka prowadziły zdawkową rozmowę, mającą dać do zrozumienia, że nie mają żadnych kłopotów. W tym momencie wystawiałam nogę spod stołu i zaczynałam cichutko tupać, za co Stara Ciotka zawsze mnie besztiała. Potem patrzyłam, jak czerwienieje ze wstydu, bo cała rodzina i goście widzą, jak z wielkiej dziury wystaje mi palec.

Rozumiesz więc, że nigdy nie czułam, iż naprawdę należę do rodziny. Mimo to innej nie miałam. Nie byli dla mnie tacy źli, ale wiedziałam, że nie kochają mnie tak, jak Orzeszka czy jej braci.

Podczas posiłków Stara albo Nowa Ciotka mówiły jej czasem: „Zobacz, twoje ulubione danie” albo do chłopców: „Zjedz jeszcze, bo inaczej wiatr cię zdmuchnie”. Do mnie nigdy się tak nie odzywały. Zauważały mnie tylko wtedy, kiedy miały mi coś za złe, na przykład, że jem za szybko albo za wolno.

Były i inne różnice. Kiedy Orzeszek i ja wracałyśmy ze szkoły z internatem, stryj zawsze ukradkiem podtykał jej kandyzowane śliwki, pieniądze albo pawie pióra. Mnie głaskał tylko po głowie, mówiąc: „Wróciłaś, Wei-wei”. Tylko tyle. Rodzony brat mego ojca nie mógł się zdobyć na nic więcej.

Oczywiście, to bolało. Nawet teraz cierpię, kiedy o tym wspominam. Ale jak mogłam narzekać? Musiałam być wdzięczna. Wzięli mnie do siebie. Mnie, świadka hańby mojej matki.

Oni uważali, że są dla mnie dobrzy. Wcale nie chcieli sprawiać mi przykrości. Może cierpiałam także z tego powodu, że tak naprawdę w ogóle o mnie nie myśleli. Zapomnieli, że nie mam matki, kogoś, kto by zrozumiał, co czuję, czego pragnę, kto służyłby mi radą. W tej rodzinie nauczyłam się nie oczekiwać niczego i pragnąć bardzo wiele.

Wszystko zmieniło się w ciągu jednego roku. Przez Mały Nowy Rok miałam osiemnaście lat aż do uroczystych obchodów Wielkiego Nowego Roku, kiedy wszyscy

starzeją się o rok. Według zachodniego kalendarza mógł być rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy, w każdym razie wojna jeszcze nie wybuchła.

Nowy Rok to czas, w którym możesz odmienić swój los. Och nie, nie mieliśmy kuchennego boga jak ciotka Du. Pochodziliśmy ze wsi, ale nie aż tak zacofanej. Możliwe, że służący mieli takich bożków, ale ich nie pamiętam. Tak czy inaczej, mieliśmy swoje sposoby na szczęście. Niektóre tylko dla zabawy, inne bardziej serio.

Tamtego dnia marzyłam o lepszym życiu. Lepszym od czego? Nie mam pojęcia. Nie marzyłam o wygraniu miliona dolarów, tak jak wy, grając na loterii. Na dnie serca chowałam tylko maleńką nadzieję, że coś się zmieni. Może chciałam być mniej samotna? Może właśnie dlatego spotkałam Wen Fu.

Obchody Nowego Roku nie przypominały tego, co macie tu w Stanach: parady, fajerwerki, monety na szczęście dla dzieci i nic, tylko zabawa.

Według naszych zwyczajów, kiedy nadchodzi Nowy Rok, nigdzie nie może zostać choćby odrobina kurzu ze starego. Nie można pozostawić choćby miedziaka długu. Przez trzy dni nie można wypowiedzieć jednego złego słowa. Z tego powodu uwielbiałam Nowy Rok: Stara Ciotka nie besztala mnie, żeby nie wiem co. A trzeba ci było słyszeć te wrzaski trzy dni wcześniej!

Słońce wstawało w ostatni, zimny poranek przed Nowym Rokiem. Orzeszek i ja słyszałyśmy, jak Nowa Ciotka musztruje służące: „Wyczyść to, wyczyść tamto, tak, a nie tak!”

Spałyśmy wraz z Orzeszką w jednym łóżku, chociaż każda miała własną kołdrę. Nie mieliśmy prześcieradeł i koców jak w tym kraju, gdzie układasz wszystko na sobie. W nasze kołdry zawijaliśmy się jak w kokony. Bardzo ciepło.

Tego ranka Orzeszek naciągnęła kołdrę na głowę, żeby złapać jeszcze odrobinę snu, ale zaraz usłyszałyśmy głos ciotki:

- Orzeszek, ty leniwa dziewczyno, gdzie się podziewasz?

Widzisz, wołała tylko Orzeszka, mnie nie, i to nie dlatego, żeby okazać mi uprzejmość i dać mi pospać. Chciała, żeby jej córka wstała i uczyła się, jak porządkować dom, by kiedyś zostać dobrą żoną. Nowa Ciotka nie uważała, że ja też powinnam się tego uczyć. Ale ja patrzyłam i uczyłam się bez niczyjej zachęty.

Widziałam, jak wyciąga się kołdry i lekko trzepie. Poszwy prano, żeby nie zostawić ani jednej plamki. Nogi stołu trzeba nacierać olejem, zawsze do dołu, tak żeby lśniły jak lustro, bez tłustych śladów. Wszystkie meble: szafy i komody odsuwano

od ścian, żeby wymieść kurz, pajęczyny i mysie odchody. Słyszałam także, jak należy besztać służące:

- Skąd tyle brudu, skoro mówisz, że czyściłaś?

Później obserwowałam Starą Ciotkę w kuchni. Kazała kucharkom posiekać więcej mięsa i warzyw. Sprawdzała zapasy. Unosiła pokrywki słoików z olejem orzechowym, sosem sojowym, octem. Wszystko wachała. Liczyła, ile ryb pływa w drewnianym szafliku, a także ile kur i kaczek grzebie na podwórku. Nakłuwiała lepkie ciasta ryżowe z daktylowym nadzieniem, żeby zobaczyć, czy wystarczy im już gotowania na parze. Łajała jedną podkuchenną za to, że w bulionie pływa za dużo oczek tłuszczu, a drugą za to, że pokroiła kalmary w niewłaściwą stronę.

- Głupia dziewczyno! Podczas gotowania powinny się zwinąć w szczęśliwe kulki, a przez ciebie będą wyglądać jak strzępki materiału. Pech.

Wyniosłam od niej wiele lekcji na przyszłość. Tak się starałam, żebyś i ty się ich nauczyła, kiedy dorastałaś. Ale nigdy nie chciałaś słuchać. Mówiłaś: „Ale nudy, po co się tak wysilać? Lepiej zjem hamburgera u McDonalda”. Właśnie tak mówiłaś!

Widzisz, jak garnęłam się do nauki? Dowiedziałam się bardzo wcześnie, że wszystko powinno dobrze wyglądać, smakować i oznaczać dobre rzeczy. W ten sposób dłużej działa. Zaspokaja nie tylko apetyt, lecz także pamięć.

Co jeszcze wydarzyło się tamtego dnia? Och, pamiętam, że każdemu przydzielono jakieś zadanie, nie tylko służbie. Ja na przykład miałam się zająć przeglądaniem ubrań. Przez cały tydzień naprawiałam wszystko, co tylko nosiło niepomyślną zapowiedź rozpadającego się powodzenia: opuszczone oczka, małe dziurki, rozdarcia, brakujące guziki. Tego ranka bardzo się spieszyłam, żeby zdążyć pójść z Orzeszkiem na targ.

Poprzedniego wieczora Nowa Ciotka dała nam pieniądze na kupno noworocznych prezentów, które sprzedawano na specjalnych straganach. Byłam starsza od Orzeszka, ale to nie mnie dała do ręki monety. Rzecz jasna, Orzeszek powinna się ze mną podzielić, Ciotka nie musiała o tym przypominać, ale dobrze wiedziałam, co się stanie. Orzeszek szybko wyda wszystko na własne zachcianki albo nie wypuści pieniędzy z garści, dopóki się nie upokorzę, robiąc przejryste aluzje.

- Możecie iść, jeśli wcześniej skończycie pracę. Ale nawet przy zbytkach pamiętajcie o oszczędności.

Znaczyło to, że mamy się targować ze sprzedawcami.

- I nie pozwólcie braciom zjeść za dużo słodyczy.

To miało znaczyć, że musimy zabrać ze sobą małego Gonga i małego Gao, wówczas dziesięcio- i jedenastolatka.

Zabrałam szycie na dwór w nadziei, że przysiądę sobie na ławce przed domem i w spokoju pomarzę o ukrytych pragnieniach. Niestety Lao Gu, który kierował naszą służbą, stał na trawniku i wyjaśniał robotnikom, co wymaga naprawy. Wskazał na wiklinowy płot otaczający nasz dom niczym ogromny parownik na ryby. Jeden z robotników potrząsnął głową i wsadził rękę w wielką dziurę, którą dwa tygodnie temu zrobił mały Gong, jeżdżąc na nowym rowerze.

Później wskazywał na dom, mówiąc:

- W Starym Wschodzie naprawcie to, a w Nowym Zachodzie tamto.

W Starym Wschodzie mieszkało, spano, gotowano, tam rodziły się dzieci i umierali starcy. Był to wielki parterowy dom w chińskim stylu. Wszystkie drzwi i okna wychodziły na kwadratowe podwórze, ograniczone chodnikami i pokojami mieszkalnymi, a najważniejsze pomieszczenia, takie jak kuchnia, a z drugiego końca gabinet stryja i bawialnia, wychodziły na wschód.

Nowy Zachód dodano później, może pięćdziesiąt lat temu, kiedy rodzina po raz pierwszy dorobiła się na pieniądzach obcokrajowców, sprzedając jedwabie, a kupując aksamit, draperie i dywany.

Zgodnie z nazwą, Nowy Zachód zwracał się ku zachodowi. Miał dwa piętra i trzy kominy wystające z dachu. Był wzorowany na eleganckim angielskim dworku, jak powiedziała kiedyś Stara Ciotka. Z biegiem lat wciąż coś dobudowywano, więc po jakimś czasie zakryto wszystkie ładniejsze elementy. Teraz wyglądał jak stara stodoła.

Tam właśnie zabrałam szycie. Weszłam po schodach starego Nowego Zachodu na dziedziniec. Stryj dodał to podwórze jakieś dziesięć lat temu, a rok później Stara Ciotka osłoniła je drucianą siatką przeciw insektom. Mimo to parę zawsze dostawało się do środka, lecz ginęły natychmiast pod ciotczynym pantoflem. Tu i ówdzie widziałam więc szczątki komarów i ważek, które utkwily w siatce; skrzydła unosiły im się na wietrze niczym papier ryżowy.

Wszystko zardzewiało. Drzwi na dziedziniec śpiewały z wiatrem: jii-jii! jii-jii! Czulałam się tu jak w klatce na świerszcze. Nie, to nie było dobre miejsce na marzenia o przyszłości.

Wyszłam stamtąd i w końcu znalazłam się w szklarni, tajemnej kryjówce z dzieciństwa. Zajrzałam, czy nikogo nie ma. Przetarłam szybkę delikatnie jak powiekę budzącego się dziecka. Pusto. Pusto od tylu lat.

Stryj zbudował szklarnię na słonecznej, południowej stronie Nowego Zachodu, kiedy tylko przyjechał na wyspę. Przypominała wyciągniętą i zapomnianą szufladę.

Stryj przechwalał się, że na tym polega „hobby” angielskich dzentelmenów: hodowla róż, orchidei i innych zbytków o krótkotrwałej wartości. Zawsze nazywał to „hobby”, jak Anglicy. Po chińsku nie ma słowa na określenie czegoś, co robi się tylko dla zabicia czasu i wyrzucenia pieniędzy. Nie mam pojęcia, czemu uważał, że trzeba naśladować obcych, zupełnie jakby każda rzecz z Zachodu była dobra, a każda chińska zła.

Każdego roku stryj wymyślał nowe hobby, a Stara Ciotka krzyczała na niego, mówiąc zamiast „hobby” *ha pi*, czyli puszczenie wiatrów.

Kiedy znudziła mu się szklarnia, zainteresował się wyścigami chartów, które celowo głodził, żeby szybciej biegały. Kiedy wyzdychały, kupił strzelbę i zaczął strzelać do gołębi, prawdziwych, bo gliniane były za drogie. Potem palił fajkę, od której robiło mu się niedobrze, później kupował angielskie książki oprawne w skórę, których nigdy nie czytał, wreszcie wziął się do nakłuwania owadów na szpilki, co bardzo mu się podobało, bo mógł nie ruszać się z ławki.

Opuszczona szklarnia, pierwsze hobby, zamieniła się w graciarnię. Jeśli Nowa Ciotka siadając złamała krzesło, wędrowało do szklarni. Kiedy stryj znudził się strzelbami i kolekcjonowaniem owadów: do szklarni. Stara Ciotka zaczęła narzekać, że stryj trzyma za dużo obrazów nieznanymi przodków i pamiątkowych zwojów: do szklarni. Tutaj zrzucano rzeczy, które nie należały już nigdzie indziej.

Kiedy byłam mała, siadywałam na połamanych krzesłach, dotykałam strzelb, wyobrażając sobie ich huk, udawałam, że urządzam przyjęcia dla nieznanymi przodków. Każdego roku przybywało coś nowego.

Pewnego dnia, mogłam mieć wtedy dziewięć albo dziesięć lat, znalazłam portret pięknej kobiety w gładkiej niebieskiej sukni. Miała ściągnięte włosy i patrzyła wprost przed siebie z taką surowością, że w pierwszej chwili jej nie poznałam.

- Mama? - zawołałam i naprawdę wydawało się, że zaraz na mnie spojrzy. Wyobraziłam sobie, jak schodzi z obrazu, całkiem płaska, i pyta:

- Weiwei, skarbie, co to za miejsce z tyloma oknami? Zdałam sobie sprawę, że ja i matka należymy właśnie do takich miejsc jak to, pełnych niepotrzebnych przedmiotów. To uczucie nie opuściło mnie nawet, kiedy dorosłam.

Tak czy inaczej, tam właśnie wzięłam się do noworocznego cerowania.

Naprawiałam ubrania kuzynów. Chłopcy wywracali się chyba umyślnie. Te wielkie dziury na kolanach i łokciach! Tyle plam! Uznałam, że większość nie nadaje się już do naprawy. Można je oddać służącym, nie po to, by zacerowały, lecz by dały je swoim dzieciom. Jeśli Stara Ciotka będzie się złościć, wyjaśnię, że miałam na myśli tylko dobro moich kuzynów: gdyby nosili tak zniszczone ubrania, zła wróżba mogłaby przeznaczyć im los żebraków ulicznych. Później uśmiechnęłam się na wspomnienie małej dziurki, którą zostawiłam w kieszeni zakietu Starej Ciotki. Może dzięki temu ubędzie jej trochę mocy?

Z czego się śmiejesz? Zdaje ci się, że twoja matka zawsze zachowywała się bez zarzutu? Myślisz, że nie umiałam robić złośliwych psot? Skąd wiedziałabym inaczej o twoich postępkach? Jak wtedy, gdy schowałeś tę obrzydliwą książkę „Złap ją w siodle”. Dobrze wiedziałam, że nie czytasz Biblii.

W twoim wieku robiłam to samo. Ukryłam książkę w koszu z przyborami do szycia. Był to romans pod tytułem „Chin Ping Mei”, książka zakazana. W szkole siostra Momo powtarzała nam wielokrotnie, że nie wolno jej czytać, więc pożyczyłam ją od koleżanki, Małej Yu, która zawsze robiła wszystko, czego jej zabraniano. Powiedziała mi, że to książka o seksie: o tym, co lubi mąż, a co żona, co on lubi bardziej niż ona, ile razy potrzebuje to robić, a ile razy ona by chciała. Wspomniała też, że niektóre zwroty, na przykład „nefrytowy pawilon”, „granie na flecie” albo „chmury i deszcze”, mają ukryte znaczenie, ale nie wyjaśniła jakie. „Sama przeczytaj” - powiedziała.

Tamtego ranka czytałam, szukając tych ukrytych znaczeń. Na dziesięciu stronach nie znalazłam nic złego prócz opisu zwykłych obyczajów, które od dawna mi wpajano: jakie prezenty dawać ludziom w zależności od ich stanowiska, jak podtrzymywać znajomości i dlaczego nie należy myśleć wyłącznie o sobie i sprawach przyziemnych.

Później przyszło mi do głowy, że ta książka to rodzaj rebusu, zbyt skomplikowanego, bym w swej niewinności umiała go przeniknąć. Może ten opis dwóch pięknych sosen zawiera owe sekretne słowa, wzięte z jakichś tajemnych ksiąg?

O co chodzi w historii z mężczyzną, który dostał do herbaty dwa ciastka od cudzej żony? To nie brzmiało zbyt właściwie. Dlaczego dwa ciastka? Czemu nie jedno? A co, gdyby dała mu dwie pomarańcze?

Zanim mogłam się na dobre wgłębić w te rozważania, usłyszałam rozkapryszony głos Orzeszka:

- Weiwei-ah! Gdzie jesteś, głupia dziewczyno?

O mały włos wcale bym jej nie odpowiedziała, zupełnie jak przed laty, ale nagle przypomniałam sobie o targu. Ukryłam książkę między dwoma rzędami garnków i wybiegłam z koszykiem w ręku.

Poszłyśmy do pokoju się przebrać. Orzeszek powtarzała sobie, do których straganów pójdzie najpierw i co powinnyśmy kupić. Może papierowe lalki albo lampiony w kształcie zwierząt dla jej braci? Dobrą herbatę dla dorosłych, małe portfeliki dla kuzynek, córek Starej Ciotki, które w Nowy Rok przyjadą z wizytą wraz z rodzinami. Zgodziłyśmy się obie, że nam przydadzą się najbardziej ozdoby do włosów w kształcie kwiatów. Prócz tego, rzecz jasna, wizyta u wróżki, żeby się dowiedzieć, co dobrego czeka nas w przyszłym roku.

- I nie chodźmy do tej kobiety z krzywymi zębami - mówiła. - W zeszłym roku wyczytała mi najgorsze przepowiednie, same ostrzeżenia, jak to złe cechy mego charakteru mieszają się ze złymi porami roku.

Dobrze pamiętałam, co powiedziała jej tamta wróżka: że przypomina owcę, która zawsze chowa się za swą grubą skórą, ale że w roku Szczura ktoś przegryzie się przez wełnę i jeśli nie okaże się dość ostrożna, obnaży jej wady. Wściekła Orzeszek zażądała zwrotu pieniędzy. Kobieta odmówiła, więc Orzeszek podniosła głos, żeby wszyscy słyszeli:

- Ta kobieta mnie oszukała i udzieliła mi złych rad. Pechowe miejsce. Lepiej trzymać się z daleka!

Strasznie się zawstydziałam, a potem długo się głowiłam, skąd wróżka wie aż tyle o mojej kuzynce.

- W tym roku chcę słyszeć tylko o przyszłym mężu i jego rodzinie - oznajmiła Orzeszek.

Potem całkowicie pochłonęło ją ubieranie się i to, jak też zaprezentuje się na rynku. Ściągnęła włosy na bok.

- Widziałam to w zagranicznym magazynie dla pań - wyjaśniła.

Zacisnęłam usta, dając jej do zrozumienia, że ten styl wcale do niej nie pasuje, ale jak zwykle nie zwróciła na mnie uwagi. Mnóstwo czasu spędziła, wybierając sukienkę i płaszcz.

Jako domowa faworytka miała szafę pełną pięknych strojów, większość francuskich i angielskich, kupowanych w drogich sklepach w Szanghaju, a wśród nich płaszcz z czarnych jagniąt ze sztywnym, wywiniętym kołnierzem i szalem z brokatoowymi ozdobami. Kiedy zapięło się go na sprzączki, owijał się wokół kostek tak, że mogłaś poruszać się jedynie małą kroczkami. Idiotyzm!

Wybór Orzeszka padł właśnie na ten płaszcz i parę nowych butów na wysokich obcasach. Bez wątplenia będzie kłuć w oczy wieśniaków, którzy uważali się za szczęściarzy, jeśli mieli kawałek materiału na nowe spodnie! Ale Nowy Rok to czas pokazywania bogactwa.

Nasza rodzina była najbogatsza we wsi, rzecz jasna, według kryteriów tej części wyspy i wioski zwanej Ujście Rzeki, szerokiej na ćwierć, a długiej na pół mili, jeśli nie liczyć drogi do portu z kilkoma sklepikami. W tak małej miejscinie mógł być tylko jeden dom na wysokim poziomie, może ze dwa na średnim. Wszyscy pozostali to biedacy.

Nie mówię, że jedna bogata rodzina na tyle ubogich to w porządku, ale tak żyła większość, bez zadawania pytań, godząc się z losem, który przypadł im w udziale. Takie były Chiny.

Większość biedaków pracowała w naszych fabrykach tekstylnych, więc nie głodowali. Mieszkali w niewielkich glinianych domkach, które również wynajmowali od naszej rodziny. Nie mieli ani skrawka ziemi; tylko brud, który zbierał im się na podłodze.

Jednak raz do roku mogli oczekiwać wielkiego przyjęcia, obchodów Nowego Roku w domu Jiangów w Ujściu Rzeki. Zabawa trwała trzy dni.

Rzecz jasna, nie myślałam o tym wszystkim, kiedy wybierałyśmy się na targ, tylko tak jak Orzeszek wkładałam ładne rzeczy: świąteczną spódnicę w jasnoczerwone pasy, długą do samej ziemi, a do tego najładniejszy żakiet. Warkocz zwinęłam w dorosły kok na karku.

Zobaczyłam, że Orzeszek skrada się cichutko do osłoniętego korytarza. Posłuchała, co się dzieje na podwórku. Usłyszawszy, że matka wciąż wydaje dyspozycje, wróciła do pokoju i wyciągnęła z szuflady pakunek owinięty w biały

papier i przewiązany czerwoną wstążką. Wyjęła stamtąd trzy pudełka różnej wielkości i usiadła przed lustrem.

Puder! W kilka chwil pokryła pulchną buzię i mały nosek ryżowobiałą warstwą.

- Wyglądasz jak zagraniczny duch - oceniłam spokojnie i przygryzłam wargi.

Nie bałam się o nią, tylko o siebie. Byłam starsza, więc Nowa Ciotka mogła mnie oskarżyć, że jej nie przypilnowałam. Z drugiej strony, jeśli ją zbesztam, Stara Ciotka powie:

- A za kogo ty się masz, żeby ją krytykować? Lepiej zacznij od siebie.

Nie odezwałam się. Patrzyłam, jak Orzeszek bierze następne, mniejsze pudełko, z perłową zakrętką. Umalowała wargi na cynobrowo.

- Wah, teraz masz usta jak małpi tyłek - naśmiewałam się, sądząc, że to coś pomoże, ale ona otworzyła tylko ostatnie pudełko i przewróciła stronę w magazynie dla pań. Biorąc za wzór uśmiechniętą gwiazdę filmową, nasmarowała po dwie smugi nad i pod oczami, a potem grubą linię w miejscu brwi, tak że przypominały rozkraczone nogi. Nie wyglądała wcale ładnie, tylko przerażająco. Kiedy opuszczała powieki, ciemne smugi patrzyły na mnie jak oczy diabła.

Na szczęście dla siebie mogła się osłonić kołnierzem i wymknąć ciemnym korytarzem do tylnego wyjścia, zanim ktoś zauważy jej nową twarz.

Zabrałam małego Gonga i małego Gao na drogę. Kiedy zobaczyli starszą siostrę, zaczęli chichotać, a potem wybuchnęli głośnym śmiechem. Podeszła i trzepnęła ich po głowach, więc z kwikiem uciekli naprzód, a cała droga rozbrzmiała ich wesołością. Odwracali się, tańczyli i pokazywali sobie Orzeszka palcami.

Droga na rynek zabierała nam zwykle dziesięć minut, ale tym razem szłyśmy dobre czterdzieści: na każdy mój krok Orzeszek drobiła trzy.

Wieśniacy zatrzymywali się, gapili i bili pokłony, a za jej plecami pękali ze śmiechu. Ojo! Trzeba ci było ją widzieć! Prychała tylko: hnh! hnh! hnh!, wściekła jak królowa, której służący uciekli z lektyką. Pod grubą warstwą białego pudru nie dało się zobaczyć, czy się czerwieni.

Spójrz na moją cerę, wciąż jest gładka. Za młodu nigdy się nie malowałam. Nie musiałam. Nie miałam żadnych ciemnych plamek, małych kropek, blizn ani skaz. Wielu ludzi mówiło, że to szczęśliwa twarz, więc po co ją przykrywać?

Chodźmy teraz do kuchni zrobić trochę herbaty. Potem ci opowiem, jak Orzeszek odmieniła moje przeznaczenie na Nowy Rok.

*

Plac targowy zaludnił się już o jedenastej. Sprzedawcy robili świetne interesy. Na widok tego ruchu ogarnęło mnie jeszcze większe podniecenie.

Tego dnia kobieta sprzedająca zupę przed domem nie musiała krzyżeć: „Wonton! Spróbujcie najlepszego wontona!” Przy obu stołach siedziało pełno ludzi; z policzkami czerwonymi z zimna pochylali się nad parującymi miseczkami, a kilkunastu siedziało w kucki, ściskając miski między kolanami.

Przeszliśmy obok zwykłych straganów z warzywami, owocami, jajkami i żywymi kurczakami. Tego dnia owoce wyglądały na większe, a kurczaki na żwawsze niż zazwyczaj. Wszędzie wisiały czerwone chorągwie, na każdym kroku wybuchały sztuczne ognie, dzieci zaś płakały w objęciach matek, domagając się grejpfrutów, daktyli, brzoskwiń i pomarańcz.

Mały Gong i mały Gao przyglądali się tańczącej małpce. Po przedstawieniu rzucili na ziemię dwa miedziaki. Małpka podniosła je, ugryzła, żeby sprawdzić, czy są prawdziwe, uchyliła przed chłopcami kapelusza i oddała pieniądze właścicielowi, ten zaś w nagrodę wręczył jej dwie ususzone jaszczurki, które zjadła w mgnieniu oka. Wszyscy bili brawo.

Orzeszek znalazła wróżkę, która przypadła jej do gustu. Gruba kobieta z szerokim uśmiechem zapewniała, że wie wszystko na temat miłości, małżeństwa i bogactwa. Szyld nad jej straganem obiecywał najkorzystniejsze patyczki-przepowiednie, najszcześniejsze numery, właściwe kojarzenie par, najlepsze dni na podejmowanie decyzji zawodowych i sposoby na odmianę pecha w fantastyczne powodzenie. Wszystko z gwarancją.

- Ach, siostrzyczki - odezwała się do nas, klepiąc się po brzuchu - zobaczcie, jaka zrobiłam się gruba i bogata, postępując zgodnie z własnymi radami. Nie potrzebuję zarabiać w ten sposób na życie, wcale nie. Robię to na prośbę bogini miłosierdzia, żeby osiągnąć lepszą pozycję w przyszłym świecie. Same widzicie, że moje powodzenie przyda się i wam. Chodźcie, zobaczcie, same się przekonacie.

I nagle zrobiła coś niezwykłego.

- Twój szczęśliwy numer to osiem, prawda? - zwróciła się do Orzeszka.

Orzeszek przypomniała sobie, że urodziła się w ósmym miesiącu, w ósmym roku życia spotkało ją wyjątkowo wiele dobrego, a niedługo skończy osiemnaście lat. Tak oto, z szeroko rozdziawionymi ustami i za połowę pieniędzy od Nowej Ciotki,

Orzeszek kupiła przepowiednię, że w ciągu roku poślubi mężczyznę, który uszczęśliwi jej rodziców. Teściowa będzie tak dobra, że aż nieprawdziwa, a przyszły dom obfitujący we wszelkie dostatki, tak że o niczym innym już nawet nie zamarzy. Oczywiście urodzi się jej także mnóstwo dzieci, jedno po drugim.

- A jak wygląda mój przyszły? Nie za stary, mam nadzieję - powiedziała Orzeszek tym swoim zbolałym głosem. - I gdzie mieszka jego rodzina? Czy już na zawsze mam zostać w Ujściu Rzeki?

Kobieta wyciągnęła następny patyczek i zmarszczyła brwi z zagadkową miną. Następny patyczek, następna mina i jeszcze jedna.

- Hmm, twój mąż jest dość młody, chyba zaledwie o parę lat starszy od ciebie. Ale widzę, że przeznaczona ci rodzina mieszka niedaleko. To nieźle, ale dla ciebie mogę to jeszcze ulepszyć.

Pieniądze przeszły z rąk do rąk i kobieta napisała imię Orzeszka na kawałku czerwonego papieru, łącznie z datą jej urodzenia i datą przepowiedni. Dołożyła do tego kartkę z jakąś rymowanką. Szło to jakoś tak: „Szczęście nadchodzi z bliska, sięgając Morza Wschodniego”.

- Co to znaczy? - zapytała Orzeszek.

Kobieta przybliżyła kartkę do oczu.

- Ach - westchnęła, po czym wskazała na słowa „z bliska” i „szczęście”. - Widzisz, to ten miejscowy, którego miałaś poślubić. Teraz go odgoniłam, wysłałam do kogo innego. - Następnie dotknęła słów „Morze Wschodnie”. - To znaczy, że twój nowy mąż mieszka daleko stąd, nie aż za granicą, oczywiście, ale nie pochodzi z tej wyspy. Może mieszka tak daleko na północ jak Jangchow.

Orzeszek wykrzywiła się straszliwie.

- A może tak blisko jak Szanghaj? - powiedziała kobieta, widząc zaś, że Orzeszek się uśmiecha, dodała: - Właśnie to widzę. Niebywałe bogactwo. Pięciu oddanych synów. Żadnych innych żon, tylko ty jedna. - Kobieta położyła kartki i wiersz na złotej tacy razem z pieniędzmi Orzeszka, po czym ustawiła ją przed posążkiem bogini miłosierdzia. - Odtąd wszystkie troski znikną z twego życia - zapewniła, po czym uśmiechnęła się do mnie. - A ty, siostrzyczko? Czuję, że w twojej przyszłości także czeka mąż.

Przyjrzała się mojej twarzy, przysunęła się bardzo blisko i szeroko otworzyła usta.

- Aj-ja! Spójrz, mamy tu pewien problem. Widzę go, tuż nad twoim okiem! Maleńka plamka, która może ci wszystko zaczernić.

Mówiąc, wskazała brodawkę tuż pod brwią.

- Mogę to naprawić - powiedziała szybko. - To niełatwe, rzecz jasna, odnaleźć zaklęcie na odczynienie złego losu. Ale mogę to dla ciebie zrobić, naprawić wszystko przed Nowym Rokiem. Decyzja należy do ciebie.

Napisała na kartce, ile powinnam jej zapłacić. Jednak Orzeszek już ciągnęła mnie za łokieć w inną stronę, opowiadając, że słyszała o straganie, w którym sprzedają czekoladki w kształcie dwunastu-zwierząt zodiaku. Oczywiście chciałam usłyszeć wróżbę, dostać zaklęcie i odmienić niepomyślną przyszłość. Ale jak mogłam pośród tego tłumu powiedzieć: „Ej, Orzeszek, daj mi pieniądze, żebym i ja znalazła lepszego męża”?

Możliwe, że wróżka nie powiedziała by niczego, co odmieniłoby mój los. Może użyła tylko najzwyczajszej sztuczki i w jej słowach nie było ani krztyny prawdy. Jednak to, co o mnie powiedziała, okazało się prawdą: nadciągało nieszczęście, a ja nie zrobiłam nic, by drobinka kurzu nie wpadła mi do oka. Również Orzeszek nie wyszła za miejscowego chłopca, przepowiedzianego jej w pierwszej wróżbie. Ożenił się z nią ktoś z Szanghaju. A ten chłopak, przegoniony rymowanką? Te resztki dostały się właśnie mnie.

Nie, wcale nie jestem zabobonna. Opowiadam ci tylko, co się stało. Jak możesz twierdzić, że powodzenie i przypadek to jedno i to samo? Przypadek to twój pierwszy krok, powodzenie nadchodzi później. Twoje „przypadki” nie mają sensu. To tylko wymówka, żeby się nie obwiniać. Jeśli nie wykorzystasz szansy, ktoś inny podsunie ci swoje przeznaczenie, a jeśli prześladowuje cię pech, potrzebujesz następnej szansy, by odmienić wszystko na lepsze. Każda z tych rzeczy gdzieś się łączy.

Skąd wiem? Sama zobacz, powiedziano o czymś i za chwilę słowa się spełniają. Zgubiłyśmy małego Gongga i Gao, a znalazłyśmy Wen Fu. Niczego wtedy nie zrobiłam, a zresztą oto, co się zdarzyło.

Chodziłyśmy po targowisku, szukając małego Gongga i małego Gao. Orzeszek łajała ich, zupełnie jakby szli obok niej:

- Źli chłopcy, zawsze pakujecie się w kłopoty. Dlaczego nie słuchacie starszej siostry?

Szukałyśmy ich od stoiska do stoiska, nie mogąc skupić wzroku na interesujących towarach.

Znaleźli się wreszcie. Stali w pierwszym rzędzie tłumu, czekającego na rozpoczęcie przedstawienia. Widzowie siedzieli na czymś w rodzaju areny, poprzedzielanej linami. Wielki napis nad sceną głosił: „Sztuka noworoczna ku czci boga wioski. Zapraszamy dłużników”.

- Pamiętasz? Tak samo jak w zeszłym roku - powiedziałam do Orzeszka; postanowiłyśmy zostać z chłopcami do końca przedstawienia.

Była to farsa, którą miejscowi wystawiali zawsze w ostatni dzień roku; ta sama stara tradycja. W dawnych czasach, jeśli ktoś nie oddawał ci długu, miałas prawo go ścigać i zmusić do płacenia, ale tylko do końca ostatniego dnia przed Nowym Rokiem, potem było już za późno. Dlatego czynszownicy i kupcy ganiali za biedakami do późnej nocy. Jedynym bezpiecznym miejscem była widownia, gdzie wystawiano ową sztukę poświęconą wioskowemu bóstwu; jak długo stałaś między linami, tak długo nikt nie mógł żądać od ciebie pieniędzy.

Oczywiście nadal powinno się spłacać długi przed końcem roku, tak nakazywał honor. Teraz przedstawienia odbywały się już tylko dla zabawy, a widownia niekoniecznie składała się z dłużników; raczej z ludzi, których wepchnięto do środka, by sami stali się częścią sztuki.

Wciąż mam żywo przed oczami aktorów w tanich kostiumach, a w uszach brzmia mi głośno cymbały i bębny. Na scenę weszła stara kobieta, zamiatając słomianą szczotką i płacząc nad zaginionym synem-bandytą. Z morza w oddali podnosił się smok, falując ogonem. Smok skarżył się na głód, który mogły zaspokoić tylko statki i chciwi ludzie. Przedstawiano w ten sposób dwie różne sztuki jednocześnie. Coś okropnego.

Nagle aktorzy przestali grać. Żebrak w złachmanionym kubraku wyskoczył z widowni i wbiegł na scenę. Zaczął krążyć wokół starej kobiety i smoka, łapiąc to za szczotkę, to za ogon i wołając do kogoś za sobą:

- Nie mam twoich pieniędzy! Przysięgam!

Z widowni wyskoczył następny mężczyzna z latarnią w podniesionej wysoko ręce.

- Ach! - rozszedł się szept po tłumie. - Zły czynszownik!

Czynszownik także wbiegł na scenę i trzy razy niemal udało mu się złapać żebraka: za włosy, za ucho albo za połę wystrzępionego kubraka, ale ten zawsze zdołał się wywinąć w ostatniej chwili. Publiczność śmiała się i oddychała z ulgą.

Aktorka, grająca starą kobietę, udawała, że się niecierpliwi.

- Przestańcie! Cisza! Wystawiamy tu bardzo ważną sztukę! - krzyczała, a gdy tanci dwaj dalej kręcili się wokół niej, rzuciła w nich szczotką.

Spudłowała - bang! - trafiając zamiast tego w smoczy ogon. Nowy wybuch śmiechu! Człowiek trzymający ogon wyjrzał, rozcierając uderzoną głowę.

- Gdzie ja jestem? - zapytał, co wywołało jeszcze większą wesołość.

Rozległy się krzyki:

- Przesunąć się! Nie zastawiać przejścia! - i dwaj mężczyźni z widowni odsunęli wszystkich do tyłu.

Po chwili żebrak zbiegł ze sceny, stanął na rękach, podskoczył trzy razy z nogami nad głową, po czym wylądował między linami. Tłum nagroził go oklaskami. Czynszownik z latarnią znalazł się po drugiej stronie lin. Tupał nogami, a wszyscy się z niego wyśmiewali.

Mały Gong i mały Gao świetnie się bawili, mimo że całą scenę powtórzono jeszcze dwa razy, z coraz to nowymi akrobatami w roli żebraka. Aktor, grający czynszownika, połamał na koniec latarnię i oświadczył, że wraca do domu.

- Mniejsza o dług! - krzyknął.

Wszyscy wzniesli tryumfalny okrzyk, jakby i oni odnieśli zwycięstwo. Czynszownik odwrócił się nagle i zawołał do widzów:

- Ja co prawda idę do domu, ale wy powinniście okazać teraz naszym wspomniałym aktorom noworoczną hojność!

Na te słowa wszyscy aktorzy wskoczyli w tłum z żebraczymi miseczkami. Ogon smoka przymilał się do Orzeszka. To był właśnie Wen Fu. Sądząc po tym, jak lustrował jej piękny strój i wciąż nazywał ją „hojną damą”, liczył pewnie na dużą sumę.

Wiesz, nie był to właściwie typ mężczyzny, na którego widok mówi się: „O, jaki przystojny, powinnam za niego wyjść”. Nie tak, jak twój ojciec. Jednak Wen Fu miał w sobie coś takiego, że z początku nie mogłaś oderwać od niego oczu. Niezwykle pewny siebie, bardzo śmiały. Kiedy powtarzał „hojna damo”, jego głos brzmiał szczerze, ale w

wyrazie twarzy czaiła się kpina. Żółwie oczy mrugały wolno, nie odwracając się ani na chwilę. Uśmiechał się szeroko. Był - jak się to tutaj mówi? - czarujący.

Miał jeszcze kilka innych cech (Orzeszek powiedziała mi potem, że też je zauważyła), nieomylnych znaków, że pochodzi z dobrej rodziny. Wyglądał elegancko i nie dawał na siebie patrzeć z góry. Nosił świetnie skrojone ubranie w zachodnim stylu: szeroką koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, spodnie z wąskim paskiem i mankietami. Miał gęste, błyszczące włosy, ostrzyżone starannie, a nie wystrzępione jak u wieśniaków. Podobały nam się jego brwi: gęste i ładnie zarysowane, jak dwa końce pędzelka do tuszu. Miał też mocne, proste zęby i z przodu żadnego nie brakowało.

Wyciągnął miseczkę na pieniądze.

- To nie dla mnie - wyjaśnił po raz kolejny swym kojącym, szczerym głosem - tylko na szpital, który budujemy na południowym krańcu wyspy.

Uniósł brwi, co nadało mu poważny wygląd. Patrzył to na Orzeszka, to na mnie. Oczywiście zrobiło mi się strasznie wstyd, że nie mam co dać, więc rzuciłam mu surowe spojrzenie, mające oznaczać, że nie powinien się nam naprzykrzać.

Orzeszek uśmiechnęła się jednak.

- To ciężka praca być smokiem - powiedziała i dała mu kilka monet.

Odwróciliśmy się do wyjścia, ale Wen Fu zawołał do małego Gongga i małego Gao:

- Hej, braciszku, w zamian mam dla was kilka monet na szczęście.

Wyciągnął z kieszeni dwie czerwone koperty i rzucił każdemu po jednej. Natychmiast otworzyli: w środku znajdowały się cukierki w kształcie monet, zawinięte w złotą folię.

- Są prawdziwe? - zawołał z przejęciem mały Gao, oglądając swoją pod słońce.

Obaj z szacunkiem włożyli monety z powrotem do koperty.

- Dziękujemy, wujku.

- Widzieliście, jak świetnie dawałem sobie radę jako smoczy ogon? - dopytywał się Wen Fu.

Z nieśmiałym uśmiechem pokiwali głowami.

- A chcielibyście zobaczyć całego smoka?

Nieśmiałość zniknęła w jednej chwili. Chłopcy podskoczyli i pobiegli na scenę. Wen Fu popatrzył na Orzeszka, a potem na mnie, jakby chciał powiedzieć, że nie ma wyjścia.

Włóczył się za nami przez resztę popołudnia. Albo powinnam raczej powiedzieć, prowadził chłopców od jednej atrakcji do drugiej: a to walka kogutów, a to gra, w której drewniane łódeczki zatapiało się bombami z piasku, albo stragan, w którym sprzedawano ponoć tygrysie zęby. Tak, to Orzeszek i ja chodziliśmy za nimi.

Protestowałyśmy z początku:

- Wystarczy, naprawdę dostatecznie już się natrudziłeś.

Jednak w głębi serca obie uważaliśmy go za bardzo ekscytującego. Wzdychaliśmy, że niby nie daje nam wyboru, a potem chichotałyśmy, nie wiedząc, jak inaczej dać ujście podnieceniu.

Wen Fu niósł nasze zakupy, za własne pieniądze kupował chłopcom drobiazgi, a potem próbował kupić Orzeszkowi i mnie cuda, które, jak widział, przypadły nam do gustu: papierowego smoka na sznurku, cukierek z czekolady w kształcie owcy.

- Nie powinieneś tego robić! - wzbraniałyśmy się za każdym razem.

A może ja sama protestowałam? Orzeszek uśmiechała się tylko.

Widzisz, nigdy nie przyjąłem niczego od Wen Fu. Orzeszek tak. Powiedziała, że w mówi matce, iż sama je kupiła, ubijając tyle dobrych interesów. Wiedziała, że nie powinna tego robić: nie tylko kłamać, ale także brać czeokolwiek od mężczyzny. Tyle się o tym mówiło: „Weźmiesz jeden cukierek, a dostaniesz gorycz na resztę życia” albo: „Jeśli zjesz zakazany owoc, pęknie ci żołądek”.

Widzę teraz, ile w tym było racji. Coś się szykowało. Wen Fu mrugał do Orzeszka, a brwi mu tańczyły. I tak przez całe popołudnie.

Tu w Ameryce macie na to takie określenie: owinął ją sobie wokół palca. Dokładnie tak zrobił.

Pod wieczór, kiedy Orzeszek narzekała, że stopy pieką ją jak rozpalone węgle, Wen Fu wynalazł rolnika, który za parę monet zgodził się pożyczyć swoje zakurzone taczki. Wen Fu wymościł je marynarką i zaprosił moją chichoczącą kuzynkę do przejażdżki nową lektyką. Pchał ją w stronę domu, wyśpiewując to wesołe, to smutne piosenki o tajemniczych ogrodach i ciemnych pawilonach. Zastanawiałam się, czy to te same słowa, co w „Chin Ping Mei”.

Przez ten czas większość białego pudru z twarzy Orzeszka zdążyła się już wytrzeć o wysoki kołnierz płaszcza. Widziałam, że rumieni się równie mocno jak ja. Była szczęśliwa, a ja, muszę przyznać, skręcałam się z zazdrości. Co za przykre uczucie.

Rozumiesz teraz, co z niego był za typ? Ekstrawagancki, lubiący popisy i aktorstwo. Czarujący!

Dobrze wychowany człowiek wynająłby rikszę. Po cichu zapłaciłby kierowcy i odesłał nas do domu. Może nawet okazałby troskę, prosząc dziewczynę i jej kuzynkę, by odpoczęły chwilę, albo zaproponowałby im coś do picia w herbaciarni. Z pewnością nie robiłby uwag o jej stopach, że takie są małe i delikatne, więc nic dziwnego, że się zmęczyły. Dobry człowiek nie wyróżniałby nikogo, napełniając jedną dziewczynę dumą, a drugą zazdrością. A już z pewnością nie prosiłby o nic w zamian.

Wen Fu prosił. Popychał Orzeszka drogą. Zobaczył nasz duży dom i świąteczne chorągiewki. Zapytał, czy może przyjść za cztery dni, czyli trzeciego dnia pierwszego miesiąca księżycowego Nowego Roku, by złożyć wyrazy szacunku Orzeszkowi, jej rodzinie, no i mnie.

Następnego dnia zaczął się Nowy Rok. Wszyscy udawali, że są bardzo szczęśliwi i kochają nawzajem.

- Dziesięciu tysięcy pokoleń! - krzykali. - Długiego życia! Najwyższych zaszczytów! Najwspanialszego powodzenia! - i inne dobrze brzmiące rzeczy bez większego znaczenia.

Najbardziej cieszyły się służące, bo tego dnia nie musiały pracować. Wszystko przygotowano, nie można już było dotykać żadnych noży ani rzucać ostrych słów. Jedliśmy słodczyce i potrawy na zimno.

Rozmawialiśmy z Orzeszkiem o Wen Fu, zastanawiając się, czy rzeczywiście przyjdzie za trzy dni. Ciekawiło nas, w jakim też domu mieszka na drugim skraju wyspy i czy jego matka jest faktycznie tak dobra, że aż nieprawdziwa. Nie przypomniałam Orzeszkowi o rymowance, którą odpędziła miejscowe małżeństwo.

Następnego dnia Orzeszek obudziła się z płaczem. Powiedziała, że nie może zobaczyć się z Wen Fu! Jak miałyby to zrobić? Przecież poznał ją jako wcielenie piękna, z upudrowaną i uszminekowaną twarzą, w najelegantszym stroju. Nie mogła

użyć pudru ani ubrać się podobnie w obecności matki i ojca. Nie powinna pokazywać Wen Fu, jak naprawdę wygląda.

Usiłowałam jej wytłumaczyć, że w naturalnej postaci spodoba mu się jeszcze bardziej, i nie mówiłam tego tylko z uprzejmości. Naprawdę. Jeżeli przypadła mu do gustu, wyglądając idiotycznie, czemu nie miałby jej lubić i w innej postaci?

Nie udało mi się jej przekonać. Kiedy Wen Fu się pojawił, Orzeszek nie chciała wyjść z ukrycia. Oczywiście nie schowała się daleko; patrzyła na niego z różnych miejsc: ze szczytu schodów, zza drzwi ciemnego pokoju, przez okno cieplarni.

Wtedy Stara i Nowa Ciotka zobaczyły Wen Fu.

- Cioteczki, cioteczki! - zawołał do nich z taką szczerością, jakby naprawdę cieszył się ze spotkania.

Zdumiały się, gdy wręczył im kosz drogich owoców. Z początku nie mogły go sobie przypomnieć. Powiedział, że przynosi pozdrowienia od matki i ojca, zwłaszcza od matki, która okazała się dawną przyjaciółką Starej Ciotki. W końcu Stara Ciotka też zaczęła tak myśleć. Walczyła z pamięcią, aż wreszcie udało jej się go gdzieś wpasować.

- Ach, jesteś synem pani Wen. Zdaje mi się, że ostatni raz widziałam cię jako zupełnie małe dziecko.

Roześmiałam się, słysząc te słowa. Naprawdę podziwiałam Wen Fu. Jeśli kiedykolwiek żywiłam wobec niego jakieś pozytywne uczucia, to chyba właśnie wtedy, i chyba nigdy później. Miał tyle śmiałości, sprytu i dowcipu. Widzisz, nawet teraz wciąż pamiętam o nim parę dobrych rzeczy.

Na jego szczęście dom wkrótce zappełnił się ludźmi, bo wszyscy wieśniacy przyszli na *nian gao*, lepkie ryżowe ciasteczka, których nazwa oznacza życzenia szczęśliwego Nowego Roku, wobec czego, jeśli wizyta Wen Fu początkowo zmieszala Starą i Nową Ciotkę, to teraz wydała się tylko naturalną częścią całego dnia. Pojawiło się zbyt wielu ludzi, by można było za czymkolwiek nadążyć.

Nakładałam do miseczek gotowane pierożki, kiedy Wen Fu podszedł do mnie.

- Gdzie ona się podziewa?

- Jest nieśmiała - odparłam.

- Nie podobam jej się? - zapytał, marszcząc brwi i uśmiechając się jednocześnie.

- Po prostu nieśmiała - powtórzyłam, bo nie wydało mi się właściwe przyznać, że Orzeszek go lubi.

- Czemu nagle nieśmiała? - powiedział ze śmiechem. - Czy to znaczy, że jej się podobam? - Nagle zwrócił się do mnie. - Ty nie jesteś nieśmiała. Czy to znaczy, że mnie nie lubisz? Ha! Tak się rzeczy mają? - drażnił się ze mną.

Prawie nie mogłam wydobyć głosu.

- To nie tak, to znaczy... nie jestem nieśmiała.

- Wobec tego może ty też mnie lubisz?

- Nieśmiałość nie świadczy o tym, czy się kogoś lubi czy nie - odparłam.

Tak sobie rozmawialiśmy, aż wreszcie głowa mnie rozbolała od nadmiernej uprzejmości i wywijania się z jego podstępnych pytań. Na koniec wyciągnął z kieszeni kopertę.

- Siostrzyczko, daj jej to, proszę - powiedział - i przekaz jej z łaski swojej, żeby mi jutro odpowiedziała.

Potem odszedł.

Orzeszek obserwowała wszystko od początku do końca, więc kiedy tylko Wen Fu zniknął, wybiegła zza kuchennych drzwi i zażądała listu.

- O czym pisze? - zapytałam.

Czułam, że mam takie samo prawo do listu jak i ona. Tak ciężko dla niej pracowałam. Jednak Orzeszek zgarbiła się nad listem, chroniąc go przede mną jak kaczka kaczęta. Chichotała, przygryzała palce, zaciskała pięści i ciągnęła się za włosy.

- O czym pisze? - zapytałam znowu.

Orzeszek podniosła głowę.

- Chce jutro dostać odpowiedź - powiedziała. - Przekaż mu, że jeszcze nie mam odpowiedzi. Każ mu czekać.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Pomagałam Orzeszkowi i Wen Fu. Nosiałam ich miłosne listy na bazar albo na naszą drogę. Ani przez myśl mi nie przeszło, żeby jej go ukraść. Przysięgam. I nie staram się nie pamiętać, żeby uniknąć wyrzutów sumienia.

Za każdym razem, kiedy oddawałam list, mówiłam Wen Fu o Orzeszku. Opowiadałam mu, że tego dnia założyła suknię różową jak jej policzki. Opisywałam,

jak myśląc o nim, ozdabia włosy kłamrą w kształcie smoka. Napomknęłam, że nie może jeść i chudnie.

Oczywiście, nie było w tym cienia prawdy. Puszczałam tylko wodze wyobraźni na temat wszystkich głupiutkich, romantycznych rzeczy, które w tamtych czasach robiły zakochane dziewczęta.

Jak więc się stało, że za niego wyszłam? Czasami przychodzi mi do głowy, żeby spytać Orzeszka. Jeśli jeszcze żyje i mieszka gdzieś w Chinach, z pewnością przyzna mi rację. Nie uczyniłam nic, by zwrócić na siebie uwagę Wen Fu, zupełnie nic. Wen Fu sam zmienił zdanie.

Miałam dobre serce, tak jak ty. Również moja niewinność przypominała twoją, więc może zrozumiesz teraz, jaka była twoja matka: samotna dziewczyna bez żadnych nadziei, z mnóstwem pragnień. I oto nagle ktoś pełen wdzięku zapukał do moich drzwi, dając mi pożywkę do marzeń o lepszym życiu.

Co miałam zrobić? Wpuściłam go do środka.

VII

Liczenie posagu

Pamiętasz na pewno, jak Helen powtarza każdemu, że była moją druhną? Opowiada ludziom o moim wielkim chińskim weselu.

To prawda. Wszystko się zgadza, tyle że jej przy tym nie było. Zjawiała się za to Orzeszek z twarzą białą od pudru i ustami koloru małego zadka. Uśmiechała się szeroko, jakby rzeczywiście cieszyła się moim szczęściem.

Trzeba ci ją było widzieć miesiąc wcześniej! Tak się wściekała, że nie chciała nawet na mnie spojrzeć. Powtarzała, że to wszystko przeze mnie i że to moja wina, że nie ona wychodzi za Wen Fu, tylko ja. Kiedy próbowałam jej przypomnieć, że im pomagałam, udawała głuchą.

To prawda. Nosłam tam i z powrotem listy, których nie dawała mi czytać. Potem znalazłam w szklarni kryjówkę, w której mogła się malować. Mówiłam Wen Fu, kiedy ma przyjść i gdzie schować rower. Prowadziłam go do Orzeszka, kiedy wszyscy ucinali sobie dwugodzinną drzemkę po obiedzie. Orzeszek i Wen Fu całowali się, a ja stałam w drzwiach, pilnując, czy nie nadchodzi któraś z ciotek.

Rzecz jasna, nigdy nie widziałam pocałunków, ale wiedziałam, że to robią, zupełnie jak wariaci, bo kiedy wychodzili zza wyszczerbionych garnków, twarz i szyję Orzeszka pokrywały czerwone smugi wszędzie tam, gdzie dotknęły ich usta Wen Fu. On sam miał na wargach ślady jej szminki i policzki przyprószone białym pudrem, tak że wyglądał jak śpiewak operowy.

Widziałam później, jak popycha rower, a twarz rozjaśnia mu szeroki, zadowolony uśmiech. Biegłam do Orzeszka, żeby pomóc jej wytrzeć ślady pocałunków i zmyć makijaż.

- Dlaczego pozwoliłaś się całować? - łajałam ją. - Czemu nie możecie po prostu porozmawiać albo trzymać się za ręce?

Co za straszna rzecz, podsunąć usta do pocałunku chłopcu, którego twoja rodzina w ogóle nie zna. Oczywiście to w dalszym ciągu nie tak źle, jak dawać mu inne części ciała.

- Podobało mi się - mówiła Orzeszek, uśmiechając się przewrotnie.

- Co! Podobało ci się? I z tego powodu nurzasz nazwisko swojej rodziny w rynsztoku? Zachowujecie się jak dwa bezmyślne psy, które lecą, żeby powąchać sobie brudne ogony!

Ale kiedy szorowałam jej twarz, ona wciąż marzyła o Wen Fu. Powtarzała mi, jak wychwalał jej gładkie policzki i delikatne dłonie.

- Aj! - pisnęła. - Całkiem zetrzesz mi skórę!

- To twoja wina - odparłam. - Ten ślad nie zejdzie. Ugryzł cię w szyję jak pajak. A niedługo wszyscy się obudzą. Aj, co za kłopot!

Orzeszek tylko chichotała. Sięgnęła po lusterko.

- Daj, niech zobaczę. Ajo! Zobacz tylko, co on zrobił! Podciągnęła wyżej kołnierz i śmiała się dalej.

W ogóle się nie zastanawiała, na jakie niebezpieczeństwo naraża mnie ta pomoc. Wiedziała, że jeśli jej matka wykryje prawdę, ja oberwę więcej niż ona. Byłam starsza od Orzeszka, więc odpowiadałam za jej zachowanie. Strasznie się bałam, co zrobią Stara i Nowa Ciotka.

Oczywiście pewnie nie rozumiesz, o co mi chodziło: jak mogłabym narazić się przez Orzeszka i czego się tak bałam.

W Chinach w tamtym okresie zawsze odpowiadało się za innych ludzi. Nie tak jak tu, w Stanach Zjednoczonych: wolność, niezależność, własny rozsądek, rób co chcesz i nie słuchaj matki. Nic z tych rzeczy. Nikt nie powiedział mi nigdy: „Zachowuj się jak grzeczna mała dziewczynka, to dostaniesz cukierka”. Nie dostawało się nagród za dobre zachowanie, tego się po tobie spodziewano. Ale za to jeśli nie słuchałaś, rodzina mogła zrobić z tobą wszystko, bez żadnych wyjaśnień. Pamiętam te groźby:

- Chcesz, żeby cię odesłać na zawsze? Chcesz zostać żebraczką, jak twoja matka? - mawiała Stara Ciotka. - Chcesz złapać okropną chorobę, która zje ci pół twarzy, tak jak twojej matce?

Odkąd przyjechałam na wyspę Tsungming, ciotka wciąż mnie tak straszyla, nieważne, czy było to prawdą, czy nie. Nie wiedziałam, co się stało z matką: czy uciekła od małżeństwa, jak uważała Orzeszek, czy umarła na nieznaną chorobę, jak twierdził ojciec, czy odesłano ją gdzieś daleko, bo z jakichś przyczyn doprowadziła go do wściekłości, jak szeptali ludzie za moimi plecami. Na początku mego pobytu na wyspie wystarczyło, że ciotka wymieniła tylko imię matki, by doprowadzić mnie do łez.

Później przestałam reagować płaczem. Próbowałam zapomnieć o matce i o nadziei, że kiedyś po mnie wróci. Stara Ciotka wymyśliła nowe pogróżki. Kiedyś zabrała mnie i Orzeszka z wizytą do rodziny w Szanghaju. Pokazała nam służącą, która zamiatała podwórze.

- Spójrzcie na tę biedną dziewczynę - powiedziała współczująco.

Zszargane, za krótkie spodnie ledwie zakrywały jej chude nogi. Miała puste spojrzenie. Ciotka wyjaśniła, że własny ojciec sprzedał ją w niewolę, bo po śmierci matki źle się zachowywała.

Miała też w zanadru wiele innych gróźb. Kiedy uważała, że nie dość się boję, na przykład gdy nie ukloniłam się wystarczająco szybko, błagając o wybaczenie, biła mnie po głowie.

- Co za upór! A ile w niej buntu! Jaka rodzina zechce cię za synową? Powinnam cię wydać za Śmierdzącego Buciora.

Mówiła o starym żebraku, który chodził od domu do domu, łatając buty. Jego oddech i całe ciało śmierdziały tak samo, jak naprawiane buty. Chyba wszystkie matki w wiosce straszyły nim córki, córki zaś z pewnością brały sobie ich gróźby do serca, bo inaczej Śmierdzący Bucior miałby ze dwadzieścia żon!

Nie przypuszczam, by Stara Ciotka mówiła to wszystko, żeby zrobić mi przykrość albo kłamać bez powodu, i nie twierdzę tak wcale z dobrego serca. W rodzinach takich jak moja straszenie dzieci należało do tradycji. Matka Starej Ciotki z pewnością traktowała ją tak samo, ostrzegając przed innym życiem, zbyt strasznym, by nawet o nim myśleć, i stawiając za przykład dziewczynki zbyt grzeczne, by naprawdę istniały. Tak trzymało się dzieci w ryzach. W ten sposób wypleniano z ich głupiutkich główek samolubne myśli i okazywano, że ich przyszłość leży rodzinie na sercu. To była dla nich nauka, jak utrzymywać porządek we własnych rodzinach.

Właśnie dlatego ogarnął mnie taki lęk tamtego dnia w szklarni. To okropne, że Orzeszek pozwoliła mi się całować! Może mi przez to zrujnować przyszłość. Dlatego kiedy następnym razem poprosiła o zanieśenie listu, oczywiście odmówiłam.

- Sama zanieś - powiedziałam. - Nie będę już twoim posłańcem.

Orzeszek płakała i błagała, potem zaczęła mi wymyślać. Nie odzywała się do mnie przez resztę dnia. Wydawało mi się, że położyłam kres kłopotom. Skąd miałam wiedzieć, że tylko wszystko pogorszyłam?

Później dowiedziałam się, że Wen Fu też okropnie się rozłościł. Przez wiele godzin czekał na mnie na drodze. Kiedy nie przyszedł ani nazajutrz, ani następnego dnia - przestał czekać. Znalazł prawdziwego posłańca, kobietę, która dostarczała nie tylko listy, ale i propozycje małżeństwa.

Widzisz, Wen Fu postanowił się z nią ożenić, nie dlatego, że ją szczerze kochał, lecz po to, by dostać się do jej rodziny. Bogiem a prawdą, nie różnił się specjalnie od większości ówczesnych mężczyzn. W owym czasie małżeństwo przypominało nabycie nieruchomości. Tutaj, kiedy znajdziesz dom, który ci się podoba, idziesz do agenta. W Chinach, widząc bogatą rodzinę z córką na wydaniu, szukało się wysłannika, który wiedział, jak się ubija dobre interesy.

Swatką, do której się zwrócił, była kobieta nazywana ciocią Miao. Słyszała z tego, że swatała właściwe dziewczęta właściwym chłopcom, tak by spłodzili jak najwięcej synów. Przed paru laty zaaranżowała małżeństwa obu córek Starej Ciotki. Kiedy się nad tym teraz zastanawiam, widzę, że to również ona pomogła Starej Ciotce przegnać tamtego chłopca z rodziny Lin. Nigdy go nie spotkałam, ale to za niego powinnam była wyjść. Jednak szansa zniknęła, zanim jeszcze rozbudziła moje nadzieje.

- Ten związek nie obiecuje żadnych pieniędzy - powiedziała ciocia Miao Starej Ciotce. - Ojciec Lin to wykształcony człowiek, zgoda, ale co z tego? Nigdy nie dorobił się choćby najskromniejszego stanowiska. No i popatrz na jego żonę. Urodziła ostatnie dziecko tuż przed czterdziestką. Bez żadnych zasad i wstydu!

Jednak to nie dlatego ciocia Miao nie przepadała za rodziną Lin. Prawdziwa przyczyna kryła się w zatargu sprzed wielu lat. Orzeszek podsłuchiwała kiedyś opowieść stryja o tym, jak rodzina Lin zawarła kontrakt małżeński z dziewczyną z okolicy.

- Kilka miesięcy przed ślubem - relacjonowała Orzeszek - syn Linów uciekł i ożenił się z dziewczyną z Szanghaju. Z miłości, wyobrażasz sobie?! Oczywiście rodzina mogła zmusić tę dziewczynę do zostania konkubiną, a miejscową zrobić jego żoną, ale jak by to wyglądało? Mężczyzna, który nie lubi swej przyszłej żony tak bardzo, że bierze przed nią konkubinę. Tamta dziewczyna - dodał Orzeszek ze śmiechem - to ciocia Miao. Okryta takim wstydem, taka wściekła... Musiała czekać dobre trzy lata, zanim ktokolwiek rozpatrzył jej kandydaturę na synową.

Ta sama ciocia Miao wpadała teraz często na herbatę i plotki z Nową i Starą Ciotką. Opowiadała im, kto choruje, kto dostał list od krewnych z zagranicy, a czyj zły syn uciekł, żeby przystać do komunistów.

W jej obecności nazywałyśmy ją ciocią Miao, ale za plecami nie mówiłyśmy inaczej niż Miao-miao. Bardzo przypominała kota. Strzygła uszami na wszystkie strony, gotowa rzucić się na każdy sekret.

Nie mam cienia wątpliwości, że ciocia Miao zdradziła Wen Fu mnóstwo szczegółów o naszej rodzinie: jak to stryj jest właścicielem dobrego interesu, ale stracił dużo kontraktów, jak to Nowa Ciotka, druga żona, uprzyjemnia mu życie, a Starej Ciotce, pierwszej żonie, muszą nadskakiwać wszyscy inni. Dowiedział się na pewno, że Orzeszek to najmłodsza córka i ulubienica rodziny, że ja jestem jej kuzynką, zesłaną na wyspę po zniknięciu matki, którą zabili lub porwali bandyci, pochłonęło morze albo ziemia rozstała jej się pod nogami, nie wiadomo. Powiedziała mu też, że mój ojciec mógł sobie pozwolić, by dać bratu w prezencie całą fabrykę i najdroższy dom w Ujściu Rzeki, bo w Szanghaju ma dużo, dużo więcej. Wiem, że Wen Fu pytał ją o te sprawy, bo oto, co się później stało:

Niedługo po tym, jak odmówiłam noszenia listów, zaszła do nas ciocia Miao, prowadząc ze sobą ojca i matkę Wen Fu. Orzeszek była tak podniecona, że o mało nie upuściła dzbanka z herbatą. Chichotała tak, że Nowa Ciotka złała ją dwukrotnie za to, że zapomniała napełnić stryjowi filiżanki.

Jednak ja widziałam, że matka Wen Fu wcale nie zwraca uwagi na Orzeszka i jej głupie zachowanie. Jej krytyczne spojrzenie wciąż padało na mnie.

Zapytała, czy sama zrobiłam suknię, którą mam na sobie. Obejrzała ścięgi na brzegu rękawów, mówiąc, że nie spisałam się źle, ale wiele można by ulepszyć. Zainteresowała ją moja blada cera: „To naturalny kolor czy ostatnio chorowałaś?” A dlaczego nic nie mówię? Czy mam kaszel? Czy łatwo się męczę?

Następnego dnia Stara i Nowa Ciotka pojechały złożyć wizytę Wenom na drugim krańcu wyspy. Orzeszek w podnieceniu już zaczęła planować, jaką suknię włoży na wesele, koniecznie w zachodnim stylu. Nazajutrz Stara Ciotka oznajmiła, że rodzina Wen przedstawiła im propozycję małżeństwa nie dla Orzeszka, tylko... dla mnie.

Nie powiedziałam tak, nie powiedziałam nie. Nikt mnie nie pytał, bo decyzja nie do mnie należała.

Oczywiście nie klaskałam w dłonie i nie dziękowałam ciotkom za to, że zaplanowały dla mnie tak wspaniałą przyszłość, jednak nie pobiegłam też do pokoju, odmawiając jedzenia, blednąc i grożąc, że umrę jak niektóre dziewczęta, którym rodziny wybrały złych mężów.

Gdybyś spytała, jak się czułam, kiedy powiadomiły mnie o małżeństwie z Wen Fu, mogę powiedzieć tylko jedno: było to trochę tak, jakbym się dowiedziała, że wygrałam na loterii, i trochę tak, jakby mi oznajmiono, że niedługo zetną mi głowę. Gdzieś pośrodku.

Po tych nowinach siedziałam przy stole z bezmyślną miną, nie wiedząc, co powiedzieć. Orzeszek wydeła usta.

- Dlaczego Weiwei musi wychodzić za męża? - zapytała.

Nowa Ciotka wzięła jej narzekanie za dobrą monetę.

- Nie bądź samolubna! Może cię często odwiedzać, ale teraz musi wziąć ślub i nas opuścić. Jest w odpowiednim wieku, o pięć lat młodsza od męża. Później możesz pojechać z wizytą do jej nowego domu.

Siedziałam bez słowa, próbując wyobrazić sobie Wen Fu w roli męża. Widziałam siebie, jak biegnę ku niemu drogą, tak jak Orzeszek. To mnie teraz całował. Śmiał się i robił miny. Mówił, jakie mam piękne policzki, różowe jak sukienka, i dawał mi listy miłosne. Czułam, jak mocno bije mi serce. Bardzo chciałam te listy przeczytać.

Patrzyłam na Orzeszka, siedzącą z nadętą miną. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Dmuchała tylko wściekle przez nos, jak smok, któremu ktoś nadepnął na ogon. Nie umiała ukrywać uczuć tak jak ja.

Nagle zdałam sobie sprawę, że ukrywałam je od tak dawna, że sama nie miałam o nich pojęcia, aż do tej chwili. Wiedziałam już, czemu ogarniała mnie złość, gdy Orzeszek pozwalała się całować Wen Fu. Otóż chciałam go dla siebie.

To nie była żadna miłość! Wcale nie to mam na myśli, absolutnie nie. Raczej jakaś głupia nadzieja. Uczyłam się, że i dla siebie mogę oczekiwać lepszego losu.

Nie wierzysz mi? Czy ciocia Helen zdążyła ci już opowiedzieć swoją wersję? No cóż, taki miała zamiar. Powstrzymałam ją. Wiedziałam, że jeśli ci powie, to wszystko pokręci. Powiedziałyby: „Twoja matka się zakochała. To takie romantyczne”.

Ale znasz ją przecież. Każdy fałsz uważa za prawdę, a prawdę bierze za fałsz. Zupełnie jak z tym jej guzem mózgu. Nie ma żadnego guza. Powiedziałam jej o tym, ale nie uwierzyła. Uważa, że mówię tak tylko z uprzejmości.

- Po co miałabym się wysilać? - zapytałam.

- Bo niedługo umrę. No i kłóć się z taką.

Dlatego to ja opowiadałam ci tę historię, a nie ona. Musisz mi wierzyć, bo jestem twoją matką. Nie kochałam Wen Fu nawet na początku. Byłam szczęśliwa, ale tylko dlatego, że uważałam to małżeństwo za szansę dla siebie. Możliwe, że troszeczkę pomieszałam to szczęście z miłością.

Kilka dni później, z głową opuszczoną na znak szacunku, słuchałam uważnie ciotek. Słuchałam, jak wychwalają rodzinę Wen i moje szczęście. Stara Ciotka powiedziała, że przyszli teściowie zaakceptowali mnie mimo postępuku mojej matki. Dowiedziałam się też, że prowadzą z dużym powodzeniem jakieś międzynarodowe interesy, tak że Wen Fu może pomóc memu ojcu i stryjowi sprzedawać nasze jedwabie i bawełnę za granicą.

Opisały mi matkę Wen Fu, słynącą z rozlicznych talentów: szyła, malowała pejzaże, świetnie gotowała i oszczędnie prowadziła dom. Może mnie wiele nauczyć. Sam dom nie jest, oczywiście, tak elegancki jak nasz, ale mimo to bardzo przyzwoity, z dużą liczbą służby. Mają nawet auto!

Im więcej słyszałam, tym bardziej chciałam im wierzyć. Wyobrażałam sobie, jak Wen Fu zajeżdża samochodem, by zabrać mnie daleko stąd, a ja bardzo się cieszę, że mogę już zostawić stare życie. Marzyłam o tym, by zamieszkać w szczęśliwym domu, w którym nikt nie narzeka. Rozmyślałam o teściowej, tak dobrej, że aż nieprawdziwej, która wychwalałaby mnie i nigdy nie ganiła. Oczami wyobraźni widziałam służących, którzy napełniają filiżankę z herbatą, zanim zdążę pomyśleć, że chce mi się pić. Do tego widziałam też gromadkę dzieci, wszystkie tego samego wzrostu - łapały mnie za spódnicę, rozśmieszając do łez. Kiedy ciotki zawiadomiły mnie o małżeństwie z Wen Fu, wyobrażałam sobie właśnie to i inne rzeczy, o których wróżka mówiła Orzeszkowi.

Oczywiście w obliczu tych wspaniałości robiło mi się strasznie żal Orzeszka. Ona jednak zaczęła mnie oskarżać o zdradę. Przed ślubem wciąż mieszkaliśmy we wspólnym pokoju. Orzeszek na mój widok pluła na podłogę, a w nocy kopła mnie po

nogach, zabierała mi kołdrę i spychała z łóżka, szepcząc, że jestem gorsza od robaków jedzących padlinę.

- Słyszałaś, co powiedziała twoja matka - protestowałam. - Jestem starsza i muszę pierwsza wyjść za mąż. Muszę jej słuchać. Jeśli chcesz coś zmienić, dlaczego nie klócisz się z nią?

Gdybym się dobrze zastanowiła, zrozumiałabym, że ciotki wcale nie dbały o starszeństwo. Orzeszek była ich faworytką. Zawsze dostawała wszystko lepsze: ładniejsze stroje, serdeczniejsze pochwały, więcej kieszonkowego, skuteczniejsze amulety i droższe lekarstwa. Tak jak mówiłam, nie traktowano mnie źle, po prostu Orzeszka traktowano lepiej.

Dlaczego byłam taka głupia? Powinam wiedzieć, że skoro oddają mnie rodzinie Wen Fu, to chyba nie najlepiej na tym wyjdę.

Potem stało się coś, po czym na jakiś czas zwątpiłam w zmiany na lepsze. Ciotki powiedziały, że zabierają mnie do Szanghaju, do ojca, by prosić go o zgodę na małżeństwo. Pokazały mi list od niego, przysłany nie zwykłą pocztą, lecz przez umyślnego (w tamtych czasach nie było jeszcze linii telefonicznej między wyspą a Szanghajem). Podał dzień, kiedy mamy przyjechać. Tylko tyle, ani słowa gratulacji. List wydał mi się bardzo oficjalny.

Zapytaj swego serca, jak się wtedy czułam. Nie widziałam ojca od ponad dwunastu lat, odkąd wysłał mnie tutaj. Nawet kiedy jeździliśmy do Szanghaju, ciotki nigdy nie zabierały mnie do niego. Nigdy nie napisał do mnie ani słowa, nie przyszedł też mnie odwiedzić w szkole z internatem. Nie miałam pojęcia, czy moja wizyta ucieszy go, czy rozzłości.

Tamtego poranka obie ciotki i ja wykapałyśmy się wcześniej niż zwykle i włożyłyśmy najlepsze ubrania: suknie z jaskrawego jedwabiu i żakiety. Kupiłyśmy bilety pierwszej klasy na łódź motorową w dół rzeki, aż do portu Szanghajskiego. Kiedy wysiadłyśmy z łodzi, przy bramie czekała już na nas długa, czarna limuzyna z szoferem, mającym nas zawieźć na ulicę Julu. Zupełnie jak w bajce.

Jednak już idąc ścieżką w stronę domu, zrozumiałam, że popełniłyśmy okropny błąd. Ubrałyśmy się zbyt jaskrawo, na pokaz, zdradzając w ten sposób, jak niewiele znamy. Otworzyły się drzwi i stanęłam w obszernym holu domu, w którym niegdyś mieszkałam, ale nie mogłam go sobie przypomnieć.

Budynek był dziesięć razy większy i lepszy niż nasz w Ujściu Rzeki. Pewnie nawet nie można ich porównywać. Wszystkiego chciało się dotknąć, ale jednocześnie człowiek bał się poruszyć, by czegoś nie przewrócić. Obok mnie stały dwa ozdobne postumenty, a na nich niewielkie, białe statuetki. Jedna przedstawiała myśliwego w pogoni za sarną, druga dwie panienki w angielskich sukniach. Wystarczyłoby kichnąć, zakaszać albo wypowiedzieć choćby jedno głośniejsze słowo, by obydwie rozsypały się w drobny mak.

Patrzyłam pod nogi, marząc, by móc się pochylić i oczyścić z kurzu moje nowe pantofle. Wtedy zwróciłam uwagę na marmurową posadzkę.

Przypomniałam sobie nagle jej wzór. Matka powiedziała mi kiedyś, że to klejnoty zostawione przez rzekę, która płynęła po marmurowej skale. Na podłodze przede mną tańczyły różnobarwne światła; cienie kolorowych ryb, jak mówiła matka.

Uniosłam głowę, by zobaczyć, skąd pochodzi to światło, i ujrzałam witrażowe okno na półpiętrze - kwiaty, drzewa i niebo ze szkła. Próbowałam je sobie przypomnieć. Na widok szerokich, spiralnych schodów usiłowałam przywołać w pamięci gładkie poręcze z ciemnego drewna, poczuć ich dotyk.

Wtedy zobaczyłam, że ze schodów schodzi ojciec, powoli, noga za nogą. Przypominał bóstwo zstępujące z nieba.

Pamiętałam tę jego cechę; nigdy się nie spieszył. Pamiętałam też wieczne uczucie oczekiwania, lęku i niepewności przed tym, co zaraz nastąpi.

Stał już na dole, wpatrując się we mnie. Był bardzo blady. Pewnie wyglądałam tak samo. Przypominaliśmy dwa duchy. Och, może zobaczył we mnie matkę i nienawidzi mnie teraz. Skłoniłam głowę.

- Córkó - powiedział nagle - powinnaś zaprosić gości, by usiedli.

Odwróciłam się, żeby zobaczyć, czy nie mówi do kogo innego. Stara Ciotka trąciła mnie łokciem i zanim się spostrzegłam, wskazywała im pokój na prawo ze słowami: „Proszę, wejdźcie i spocznijcie. Nie krępujcie się, usiądźcie”, zupełnie jakbym zawsze gościła ciotki w tym obcym domu.

Siedzieliśmy w milczeniu na sofach z puchowymi poduszkami. Zapadłam się w nie i czułam, że nie mogłabym się ruszyć. Stara Ciotka nerwowo kiwała głową w stronę ojca.

- Jak się miewasz, starszy bracie? Mam nadzieję, że zastajemy cię w dobrym zdrowiu?

Nowa Ciotka powtórzyła jak echo:

- Jak się miewasz, jak się miewasz?

Ojciec uśmiechnął się i powoli założył nogę na nogę.

- Nie najgorzej, ale i nie najlepiej. Wiecie, jak to jest, kiedy kości się zestarzeją.

- Aj, to prawda! - wpadła mu w słowo Stara Ciotka. - Ze mną zupełnie tak samo. Boli mnie żołądek, cały czas, tuż po obiedzie. O tu, w kiszkach...

Ojciec uniósł brew i znów zapadła cisza. W drugim pokoju rozległo się bicie zegara. Ciotki udawały, że słuchają z ogromną przyjemnością, po czym zgodziły się, że to z pewnością najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszały.

Nie odzywałam się. Siedziałam, patrząc na ojca; przypominał starszy i szczuplejszy wizerunek stryja. Miał poważniejszą, inteligentniejszą twarz, nosił okulary w okrągłych, złotych oprawkach i ciemny zachodni garnitur z chińską kamizelką. Choć niewysoki, sprawiał wrażenie wielkiego, tak jak teraz, gdy zwrócił głowę w stronę służącego, po czym przywołał go gestem. Jednak zamiast wydać rozkaz, przemówił do mnie:

- Cóрко, ty decyduj. Czy do herbaty mają nam podać chińskie przekąski, czy angielskie herbatniki?

W mojej głowie dwa ręce konie ruszyły w przeciwnych kierunkach. Co mam powiedzieć? Która odpowiedź jest poprawna?

- Coś prostego - szepnęłam w końcu.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście, zawsze to wolałaś.

Skinął ponownie na służącego i kazał przynieść angielskie herbatniki, chińskie gruszki i belgijskie czekoladki.

Zastanowiło mnie zachowanie ojca. Jego eleganckie maniery były mi zupełnie obce, a jednak wydawało się, że dobrze mnie zna. Gdybym odważyła się powiedzieć, na co rzeczywiście mam ochotę, wybrałabym dokładnie to samo.

Przy herbacie, która nie trwała zbyt długo, Stara Ciotka opowiedziała ojcu o rodzinie Wen Fu: że stanowią świetną partię dla jego córki, a do tego mogą się okazać pomocni w interesach.

Wbiłam wzrok w splecione dłonie, podnosząc co jakiś czas oczy, by przyjrzeć się reakcji ojca. Wszyscy słuchaliśmy, jak ciotka rozciąga kawałek prawdy na wszystkie strony.

Rodzinna firma eksportowa Wenów przekształciła się w międzynarodowe przedsiębiorstwo spedycyjne. Dzięki swej wiedzy na temat prowadzenia zagranicznych interesów Wen Fu poznał osobiście prezesów większości istotnych firm w Anglii i Ameryce. Matka Wen zyskała tym razem jeszcze więcej talentów; słuchając ciotki, można by myśleć, że potrafiłaby zaczarować drzewo, by zakwitło zimą.

Ojciec nie był głupi. Słuchał w milczeniu, popijając herbatę. Za każdym razem, gdy ciotka z czymś przesadziła, patrzył na nią bez słowa. Mieszała się i jej zachwyty nad rodziną Wen trochę opadały.

- Och, naturalnie ich przedsiębiorstwo nie umywa się do twojego, nawet nie ma porównania, niemniej stać ich na bardzo wygodne życie i cieszą się powszechnym szacunkiem. Doszłam do wniosku, że szanowana rodzina to dla twojej córki najważniejsza rzecz.

Zachwyty nad rodziną Wen wyczerpały ciotkę, a ojciec wciąż nic nie mówił.

- Dobry chłopiec, szanowana rodzina - powtórzyła Nowa Ciotka, żeby zapelnąć ciszę.

Ojciec spojrzał na mnie. Zmieszałam się, ale bardzo się starałam nic nie okazać. Może nie zgadza się na to małżeństwo? Może wciąż złości się na moją matkę i na mnie?

- Znam tę rodzinę - powiedział w końcu. - Posłałem już ludzi, by zbadali ich interesy i dowiedzieli się czegoś więcej o ich pochodzeniu. - Machnął ręką, jakby odganiał komara. - Mimo to dobrze wiedzieć, co sądzi własna rodzina.

Obie ciotki wystraszyły się trochę. Wyglądały jak złodzieje przyłapani na kradzieży fasoli. Zwiesiły głowy w poczuciu winy, czekając na to, czego się teraz dowiedzą.

- Córko, a co ty na to? - spytał ojciec niskim, chrapliwym głosem. - Czy tego właśnie chcesz?

Przygryzłam wargi. Szczypałam się w palce. Ścisnęłam materiał sukienki, próbując odgadnąć właściwą odpowiedź.

Ojciec znów machnął ręką.

- Tego właśnie chce - oznajmił ciotkom i westchnął. - Jak mamy ją powstrzymać?

Ciotki zaśmiały się uprzejmie, jakby usłyszały dobry żart, ale dla mnie zabrzmiało to inaczej. W jego głosie usłyszałam smutek. Jednak zanim mogłam się nad tym zastanowić, ojciec zaczął pytać o interesy, może więc się omyliłam.

- Jak duży dar ofiaruje rodzina Wen?

Stara Ciotka wręczyła mu kopertę. Ojciec odliczył szybko cztery tysiące juanów i skinął głową. Ulżyło mi. Tak duża, wzbudzająca szacunek kwota równała się dwóm tysiącom amerykańskich dolarów, wartych dziś czterdzieści lub pięćdziesiąt tysięcy. Średnio zamożny Chińczyk musiałby na nią pracować ponad dziesięć lat. Nie znaczyło to, rzecz jasna, że rodzina Wen daje ojcu te pieniądze. Według tradycji musiał im je oddać w dniu ślubu ze słowami: „Dzielicie z moją córką bogactwa całego życia, to już wystarczy”.

Później powinien dać mi w posagu sumę zbliżoną wysokością do ich prezentu, mówiąc: „Oto dodatkowe pieniądze, byś nie stała się dla nowej rodziny zbyt wielkim ciężarem”.

Te pieniądze należałyby do mnie; złożono by je w banku na moje nazwisko i nie musiałabym się nimi dzielić. Nikt nie mógłby mi ich odebrać, ale też nigdy już nie dostałabym następnych.

- Jakiego posagu oczekuje rodzina Wen? - spytał następnie ojciec.

Mówił teraz o posagu poza pieniędzmi.

Stara Ciotka musiała odpowiadać bardzo ostrożnie. Gdyby powiedziała, że Wenowie nie żądają wiele, można by sądzić, że z ich rodziną nie warto się wiązać. Gdyby znów chcieli bardzo dużo, zabrzmiałoby to tak, jakbym nie była ich warta. Jednak Stara Ciotka miała już doświadczenie: wydała przecież za mąż dwie córki, więc powiedziała po prostu: „Umeblowanie do pokoju nowożeńców”, mając na myśli pokój w domu Wenów. Taka odpowiedź nie czyniła z nich chciwców; przypominała trochę zagrywkę pokerową. Teraz do mego ojca należało pokazanie, że stać go na dodatkową hojność.

- Oczywiście - dodała ciotka - rodzina męża kupi łóżko. Nawiązywała tu do starej tradycji, według której wszystkie pokolenia synów musiały pochodzić z męzowskiego łóża.

- Jeszcze herbaty? - zapytał ojciec, a ponieważ zapytał, zamiast natychmiast kazać służącemu dolać, był to znak, że wizyta dobiegła końca.

Wszystkie trzy zerwałyśmy się z miejsca.

- Nie, nie, musimy iść - powiedziała Stara Ciotka.

- Tak wcześniej?

- Już się spóźniłyśmy - odparła Nowa Ciotka, choć wcale tak nie było.

Nie miałyśmy dokąd pójść, nasza łódź odbijała dopiero wieczorem. Ruszyliśmy ku drzwiom, ale wtedy usłyszałam, że ojciec mnie woła. Nie powiedział „córko”, tylko zwrócił się do mnie po imieniu:

- Weiwei-ah, pożegnaj się z ciotkami. Potem przyjdź do mego gabinetu, to porozmawiamy o twoim posagu.

Jakież niewielkie nadzieje żywiłam, przychodząc tutaj! I oto nagle miałam ochotę krzyknąć, bo tyle życzeń spełniło się jednocześnie. Traktował mnie jak prawdziwą córkę, jakby wszystkie te lata odeszły w niepamięć.

Oczywiście nie uściskał mnie ani nie ucałował, jak wy, Amerykanie, macie to w zwyczaju po pięciu minutach rozłąki. Właściwie po wyjściu ciotek nie rozmawialiśmy zbyt długo, jednak nawet tych kilka słów zastanawia mnie do tej pory: czy naprawdę sądził, że dobrze wydaje mnie za męża? A może po prostu znalazł łatwy sposób, by pozbyć się mnie na zawsze, a wraz ze mną resztek wspomnień o własnym nieudanym małżeństwie?

Właśnie dlatego tak dobrze pamiętam naszą krótką rozmowę tamtego popołudnia. I nie wydaje mi się, bym dopasowała cokolwiek do własnych pragnień.

Miał bardzo poważne, uczciwe spojrzenie. Nie przeproszał za dwunastoletnią rozłąkę.

- Zatem wychodzisz za męża - powiedział. - Teraz nauczysz się swej prawdziwej życiowej pozycji.

Wskazał na staromodne malowidło, pokrywające całą ścianę. Przedstawiało setkę różnych osób: mężczyzn, kobiety i dzieci. Wszyscy czymś się zajmowali: pracowali, jedli, spali. Na zawsze uchwycono wszystkie ulotne chwile.

- Kiedy byłaś mała - powiedział ojciec - często tu przychodziłaś, by przyglądać się temu obrazowi. Pamiętasz?

Wpatrywałam się w malowidło przez dłuższą chwilę w nadziei, że coś rozpoznam. W końcu przypomniałam sobie małą postać w rogu: kobietę na balkonie. Skinęłam głową.

- Kiedy cię zapytałem, czy ci się podoba, odparłaś, że to bardzo zły obraz. Pamiętasz?

Nie mogłam sobie wyobrazić, że odważyłabym się tak odezwać do ojca, nawet jako małe dziecko.

- Przykro mi, ale nie pamiętam. A jeszcze bardziej mi przykro, że w twojej pamięci zapisałam się jako nieposłuszne dziecko.

- Powiedziałaś, że nie wiadomo, o co w nim chodzi. Nie umiałaś orzec, czy kobieta z fletem gra wesołą, czy smutną melodię. Nie wiedziałaś, czy kobieta, niosąca ciężki pakunek, zaczyna, czy kończy podróż. O kobiecie na balkonie powiedziałaś, że raz wygląda, jakby oczekiwała czegoś z nadzieją, a raz, jakby wypatrywała czegoś z niepokojem.

Zaśmiałam się, zakrywając ręką usta.

- Musiałam być dziwnym dzieckiem.

- Lubilem to w tobie - ciągnął ojciec, jakby mnie nie słyszał. - Nie bałaś się mówić, co myślisz. - Nagle spojrzał na mnie, a z jego twarzy zniknęły wszystkie myśli i uczucia. - Powiedz mi, co teraz myślisz o tym obrazie?

Zaczęłam gorączkowo myśleć, próbując wpaść na właściwą odpowiedź; zadowolić go, a jednocześnie pokazać, że nie brak mi dawnej szczerości.

- Ta część bardzo mi się podoba - mówiłam nerwowo, wskazując na człowieka zebrzącego przed urzędem. - Dobre proporcje i dopracowane szczegóły. A ta część nie podoba mi się wcale. Widzisz, jest za ciemna, ciąży ku dołowi i rysy postaci za bardzo się spłaszczyły.

Ojciec odsunął się o kilka kroków. Kiwał głową. Ale nie sądzę, by się ze mną zgadzał. Odwrócił się ku mnie.

- Odtąd - powiedział w końcu surowo - musisz brać pod uwagę opinię swego męża. Twoja nie ma już takiego znaczenia. Zrozumiałaś?

Przytaknęłam gorliwie, wdzięczna za pożyteczną lekcję, udzieloną w tak subtelny sposób. Dodał potem, że przez tydzień powinnam zostać teraz w domu, żeby kupić sobie wyprawę.

- Wiesz, czego potrzebujesz? - zapytał.

Nieśmiało spuściłam głowę.

- Coś prostego.

- Oczywiście, zawsze coś prostego.

Uśmiechnął się, a ja bardzo się ucieszyłam, że udzieliłam właściwej odpowiedzi. Nagle jego uśmiech zniknął.

- Zupełnie jak twoja matka - rzucił. - Ona też chciała zawsze prostych rzeczy. - Patrzył przed siebie, jakby widział ją gdzieś w oddali. - Zawsze chciała czego innego - tu rzucił mi ostre spojrzenie. - Czy ty też jesteś taka?

Jego słowa, tak jak obraz, zmieniały znaczenie z każdą chwilą. Ja zaś przypominałam damę na balkonie; czekałam z nadzieją, ze strachem, z obolałym sercem, kurcząc się przy każdym słowie. W końcu nie wiedziałam już, co powiedzieć. Szczere i prawdziwe słowa wymknęły mi się same:

- Taka sama.

Tego popołudnia służący zaprowadził mnie do pokoju, który niegdyś dzieliłam z matką, po czym zostawił mnie samą, bym mogła wypocząć przed kolacją. Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, obejrzałam wszystko i wszystkiego dotknęłam.

Zmieniły się kołdry, zdjęto też obrazy i zasłony, które wybrała matka. Nie było również jej ubrań, szczotek, grzebieni, mydła lawendowego i zapachów. Pozostały meble: łóżko, wysoka komoda, stołeczek i toaletka z tym samym lustrem, które niegdyś odbijało jej twarz. Rozplakałam się, szczęśliwa, że znów tu jestem. Potem zapłakałam inaczej, jak małe dziecko, niecierpliwie czekające na matkę.

Jak się później dowiedziałam, nikt nie chciał zamieszkać w jej pokoju. Uważano, że przynosi pecha. Przez te wszystkie lata stał pusty, mimo że w domu pełno było ludzi.

Sz Ma zmarła kilka lat wcześniej, ale San Ma i Wu Ma wciąż tu mieszkały - pamiętasz je, to pozostałe żony ojca. Mieszkali tu też jego synowie z żonami i dziećmi, a także służący i ich dzieci. W całym domu dałoby się naliczyć dwadzieścia pięć albo trzydzieści osób.

Mimo tego tłoku panowała cisza. Kiedy zesłam na kolację, wszyscy rozmawiali stłumionymi głosami. Powitali mnie dość uprzejmie i nikt nie zająknął się nawet, czemu zniknęłam na tyle lat. Chyba nie bardzo wiedzieli, jak mnie traktować.

Zaczęto wnosić jedzenie. Chciałam usiąść obok żony przyrodniego brata, ale ojciec wskazał mi miejsce obok siebie. Wszystkie oczy zwróciły się ku mnie. Ojciec wstał i oznajmił:

- Moja córka, Jiang Weili, za miesiąc wychodzi za mąż.

Później czekaliśmy i czekali bez końca, aż służący naleją specjalny napój do nefrytowych filiżanek wielkości naparstka.

Ojciec przemówił ponownie, spełniając na moją cześć prosty toast:

- Obyś znalazła w małżeństwie wszystko, czego pragniesz. Ganbei!

Do dna! Odchylił głowę i opróżnił filiżankę jednym haustem. Wszyscy poszli za jego przykładem, a po chwili zaczęli składać mi gratulacje, rozmawiając głośno, jak szczęśliwa rodzina. Napój palił mi język, a oczy napełniły się łzami radości.

Okazało się, że ojciec poprosił San Ma, by pomogła mi w zakupach. Zajmowała teraz pozycję starszej żony, akceptującej wszelkie wydatki. Poza tym, rzecz jasna, doskonale wiedziała, czego potrzeba dziewczynie, wychodzącej za mąż, gdyż po śmierci Sz Ma zajmowała się wyprawami jej trzech córek. Opowiedziała mi o tym, kiedy limuzyna wiozła nas do Yung An Gunsu, pierwszorzędnego sklepu przy ulicy Nanking.

- Córki Sz Ma odziedziczyły po matce wszystkie najgorsze wady. C, c! Pierwszej brakowało hojności, wiesz, taka nigdy nie wrzuci nawet miedziaka do żebraczej miseczki. Numer drugi nie miała współczucia: obrzuciłaby jeszcze żebraka błotem. Za to numer trzeci była strasznie chciwa. Wiesz, co by zrobiła? Ukradłaby i błoto, i miseczkę. Nie kupiłam im zbyt wielkich wypraw. Takim paskudnym dziewczynom? A niby czemu?

Odnosiłam się do San Ma bardzo ostrożnie. Pamiętałam, że to ona najbardziej zazdrościła matce włosów, pozycji, wykształcenia. Nie chciałam jej dać najmniejszego powodu do narzekań przed ojcem na moją chciwość.

Kiedy kazała mi wybrać krzesło, wskazałam najprostsze, bez wymyślnych rzeźbień. Kiedy poprosiła, bym wybrała stolik do herbaty, wskazałam ten z najzwyczajniejszymi nogami.

Skinęła głową i podeszła do sprzedawcy, oczekującego, by nas obsłużyć. Jednak nie zamówiła mebli, które wskazałam, tylko inne, o trzy klasy lepsze.

Dziękowałam jej serdecznie. Potem myślałam, że skończyliśmy zakupy i wrócimy do domu. Wydawało mi się, że to już wszystko: krzesło i stolik do herbaty. Jednak San Ma już zachęcała mnie delikatnie, bym nie zapomniała, czego potrzebuje porządna żona.

- W jakim stylu ma być toaletka? ~ zapytała.

Możesz sobie wyobrazić, jak się poczułam? Pamiętasz, że miałam nadzieję i modliłam się o lepsze życie, a teraz nagle wszyscy okazują mi tyle dobroci. Nie byłam

już sama. Miałam wszystko, czego dusza zapagnie. Czego chcieć więcej? Wszystko było dokładnie tak, jak przepowiedziała wróżka.

Robiliśmy z San Ma zakupy przez cały dzień. Przypominało to ten konkurs w telewizji, gdzie grający dostają jedną minutę na złapanie z półki wszystkiego, na co mają ochotę. Nie ma czasu do namysłu; jeśli coś widzisz, musisz to wziąć. W moim wypadku wyglądało to podobnie, tyle że zamiast minuty miałam cały tydzień. Możesz sobie wyobrazić, ile nakupowałyśmy rzeczy i jak moje marzenia zdawały się rosnać z każdą chwilą.

Pierwszego dnia znalazłyśmy też trzyczęściową komodę i trzydrzwiową szafę. Bardzo piękne.

Nowoczesną toaletkę, mój ulubiony mebel, wybrałam sama. Miała wielkie okrągłe lustro ze srebrną oprawą, a po obu stronach szuflady, jedną długą i jedną krótką, wykładane z przodu mahoniem, dębem i macicą perłową tak, że tworzył się wzór w kształcie wachlarza. Środek szuflad wyścielono drewnem cedrowym, więc kiedy się je otwierało, rozchodził się przyjemny zapach. Środkowa część znajdowała się nieco niżej od pozostałych - był to kwadratowy stoliczek z inkrustowanym blatem. Pod spodem stała mała, gięta ławeczka pokryta zielonym brokatem. Wyobrażałam sobie, jak siedzę przed tą toaletką, zupełnie jak matka.

Teraz już wiesz, o czym mówię. Takie same meble kupiłam dla ciebie. Szukałam ich tak długo. Rozumiesz więc, że nie chodziło mi o to, by cię torturować. Po prostu te najbardziej przypadły mi do gustu.

Drugiego dnia San Ma pomogła mi kupować przedmioty służące rozrywce: radio, maszynę do szycia, fonograf RCA, który sam zmieniał płyty, i akwarium tak wielkie, że sama mogłabym się w nim zmieścić! Mogłam umilać sobie życie z Wen Fu na wiele różnych sposobów.

Trzeciego i czwartego dnia kupowałyśmy intymne przedmioty, potrzebne zamężnej kobiecie. Och, ależ się wstydziłam! Mogłam się tylko śmiać, kiedy wymieniała, czego potrzebuję i w jakim celu.

Po pierwsze znalazłyśmy umywalkę, prawdziwe cacko: góra z zielonego marmuru, a obudowa z rzeźbionego drewna. San Ma pokazała mi małą szufladkę na dole do chowania kobiecych rzeczy. Wtedy używało się podpasek z materiału, podobnych do pieluszek.

Później dwa rodzaje wanien: wysoka drewniana do mycia z rana całego ciała, i mała porcelanowa, służąca tylko do stóp i pupy. Tego używała większość ludzi w Chinach, bo nie mieli czasu na codzienne kąpiele.

- Każdego wieczora, zanim przyłączysz się do męża, powinnaś myć się od dołu - powiedziała San Ma. - Dzięki temu zawsze przychylnie cię powita.

To miało sens. Pamiętam, że czasem miałam ochotę wypchnąć Orzeszka ze wspólnego łóżka. Wtedy San Ma dodała:

- Później w nocy powinnaś obmyć się jeszcze raz. Nie wyjaśniła, dlaczego. Uznałam, że mężczyźni mają większe wymagania, kobiety zaś są z natury brudniejsze.

San Ma przekonała mnie do kupna trzech nocników. Twarz mnie paliła, kiedy wyobraziłam sobie, że i to muszę dzielić z Wen Fu. Naczynia miały drewniane pokrywy. Pomalowano je w środku na czerwono, po czym zapieczętowano silnie pachnącym olejkiem.

Piątego dnia kupowałyśmy przedmioty służące do podróży i przechowywania rzeczy: wielkie skórzane walizki i cedrowe skrzynie. Potem San Ma zwariowała! Uparła się, że powinnam kupić ni mniej, ni więcej, tylko dwadzieścia kołder!

- Oczywiście, że tyle potrzebujesz - powiedziała - inaczej jak zapewnisz ciepło swoim dzieciom?

Wybrałam dobre, grube kołdry robione w Chinach, obszyte pięknie tkaną taśmą. Wypchane były najlepszą, najdroższą bawełną, ubijaną tak długo, że kołdry wyglądały jak poduszki. Wybrałam do nich najpiękniejsze poszwy z czystego jedwabiu, żadnej bawełny. Na każdej wyszyto inny kwiatowy wzór, który nigdy się nie powtarzał.

Szóstego dnia kupiłyśmy przedmioty do przyjmowania gości i oddawania czci przodkom: kanapy, krzesła, stolik pod ołtarz, cztery stołki i niski okrągły stół, wykonany z twardego drewna o ciemnym połysku, rzeźbionego na sposób chiński: nogi przypominały zwierzęce łapy, a po bokach biegły znaki - życzenia długiego życia. Pod spodem stały cztery mniejsze stoliki, które można było wyciągnąć na wypadek przybycia wielu gości.

Siódmego i ostatniego dnia kupiłyśmy naczynia i srebra. Do tego czasu mieszkałam w domu ojca dostatecznie długo, by wiedzieć, czego mi trzeba. Wszystkiego po dwa komplety!

Dostałam jeden komplet na przyjęcia, a drugi do codziennego użytku, w każdym po dziesięć sztuk wszystkich sztućców. I to nie tylko zwykłe talerze, widelce i noże jak w Ameryce: jeden zestaw prosty, a drugi wymyślny. Tam wszystko było wymyślne! Kość słoniowa i srebro, możesz sobie wyobrazić? Prawdziwe, czyste, chińskie srebro, takie samo, jak w monetach, które mogłaś wymienić.

W sklepie stał długi stół, który nakryliśmy wszystkimi wybranymi przeze mnie przedmiotami. Tańczyłam po sklepie, dorzucając to to, to tamto, zupełnie jakbym całe życie nie robiła nic innego. Nie dbałam o ceny. Miałam srebrne miseczki na sos sojowy, srebrne filiżanki do herbaty, srebrne czarki do wina i srebrne naczynie służące tylko do trzymania małej łyżki wazowej.

Miałam łyżki we wszystkich rozmiarach: jedne do zupy mięsnej, inne do drobienia deseru, jak na przykład zupy z nasion lili, które tak bardzo lubiłam, poza tym dwa inne rozmiary, jedne mniejsze, drugie większe, ale już nie pamiętam ich przeznaczenia.

Do kompletu dostałam cztery różne wazy do zupy z bardzo dobrej porcelany ze złotymi brzegami. Nie wykonano ich ze srebra tylko dlatego, że zbyt mocno by się nagrzewały. Prócz tego dwa rodzaje talerzy: małe i mniejsze, bo, jak zauważyła San Ma: „Jeśli wybierasz za duży talerz, to w pewien sposób mówisz, że już nigdy nie uda ci się więcej zjeść”.

Dostałam też najpiękniejsze pałeczki, także srebrne. Każdą parę łączył mały łańcuszek, żeby nigdy ich nie rozdzielić i nie zgubić. Kiedy wydawało mi się, że kupiłam już wszystko, sprzedawca pokazał mi srebrny przedmiocik w kształcie wyskakującej ryby. Natychmiast poczułam, że muszę to mieć. Ten drobiazg służył do oparcia pałeczek. Przerywało się na chwilę jedzenie, by podziwiać własny stół, przyjrzeć się gościom i pogratulować sobie, mówiąc: „Ależ mam szczęście!”

Siódmego dnia zakupów, ledwie parę tygodni przed ślubem, właśnie tak mi się zdawało: ależ spotkało mnie szczęście!

Miałam głowę pełną dobrych myśli. Byłam pewna, że moje życie uległo zmianie i nadal w każdej chwili zmienia się na lepsze. Moje szczęście nigdy się nie skończy. Teraz muszę modlić się do bogów tylko po to, by składać im nieskończone podziękowania za nieskończone łaski.

Wyobraź mnie sobie w tym sklepie, jak uśmiechnięta siedzę przy długim stole ze wszystkimi nabytkami. Kosztowałam swego szczęścia pod okiem San Ma i

sprzedawcy. Wzięłam do ręki srebrne pałeczki. Udawałam, że wybieram delikatny kąsek ze srebrnego talerza. Odwróciłam się, wyobrażając sobie, jak powiem: „Mężu, poczęstuj się, to najlepszy kawałek najlepszej ryby. Nie, nie dla mnie. To dla ciebie, weź”.

Tak właśnie wyobrażałam sobie okazywanie szacunku mężowi. Przyznaję, myślałam też o tym, jak zablysnąć; te wszystkie przyjęcia, które mnie czekają!

Jedno dla ojca, do którego żywiłam teraz olbrzymi szacunek, drugie dla San Ma, jako mojej honorowej matki, trzecie dla teściów, których z pewnością nauczę się szanować. Następnie powitalne dla pierwszego syna, kiedy tylko zdecyduje pojawić się na świecie. Także dla Starej i Nowej Ciotki, za to, że pozwoliły mi odejść, a może nawet dla Orzeszka, jeśli kiedyś postanowię jej wybaczyć.

Później odkryłam, że córkom Sz Ma kupiono wyprawę pięć razy większą od mojej. Dowiedziałam się też, że ojciec od początku wiedział o nie najlepszym charakterze rodziny Wen. Pozwalając mi wyjść za mąż za Wen Fu, dowiódł, że i mnie nie uważa za najlepszą. Jednak chyba nawet on nie mógł sobie wyobrazić, jacy byli naprawdę.

Wiesz, co się stało z meblami wybieranymi przez siedem dni? Rodzina Wen Fu zabrała je i wysłała do Ameryki i Anglii jako część swego eksportu.

Kołdry i jedwabne poszwy? Siostry i bratowe Wen Fu zabrały wszystkie, co do jednej.

A reszta prezentów ślubnych od rodziny i przyjaciół, te srebrne ramki do fotografii, ciężkie srebrne szczotki do włosów, lustra, piękne angielskie wanny i malowane dzbany? Matka Wen Fu ustawiła je w swoim pokoju.

Z całego wiana nie ukradli jednej jedynej rzeczy, a i to tylko dlatego, że ktoś ich ubiegł. Zdarzyło się to, kiedy jedna ze służących odeszła, by zająć się chorą matką gdzieś na południu. Matka Wen Fu, która nigdy jej nie lubiła, ze wściekłością doszła do wniosku, że uciekiniarka ukradła dziesięć par srebrnych pałeczek.

To ja ukryłam je pod podszewką walizki. Przez wiele lat, w ciężkich chwilach wyjmowałam jedną parę i trzymałam ją w dłoni. Czulałam ciężar srebra, solidny i nie do złamania, tak samo jak moje nadzieje. Podzwaniałam łańcuszkiem, który oznaczał, że pary nie można rozdzielić ani zagubić. Chwytałam nimi powietrze.

Rozumiesz teraz, jaka byłam niewinna? Wciąż czekałam na dzień, w którym je wyjmę, przestanę wreszcie ukrywać. Marzyłam o radosnych okazjach i szczęściu, które jeszcze nadejdzie.

VIII

Za dużo jin

Teraz rozumiesz, jaka kiedyś byłam. Nie zawsze miałam czarne myśli, jak twierdzicie z Helen. Jako młoda dziewczyna bardzo chciałam wierzyć w dobro, a kiedy wszystko psuło się coraz bardziej, próbowałam to pochwycić i zatrzymać.

Potem zrobiłam się ostrożniejsza i nie wiem, czemu mnie Helen za to krytykuje. Niech lepiej spojrzy na siebie! Znasz ją przecież. Spotyka ją coś dobrego, ot, choćby na przykład dzieci starają się sprawić jej przyjemność, a ona natychmiast węszy w tym jakiś podstęp. No, sama powiedz. To się dopiero nazywa pesymizm: uważać, że umrzesz, bo wszyscy uprzejmie cię traktują. Po chińsku mówimy na to: myślenie *daomei*, co ma chyba jeszcze więcej znaczeń. Jeżeli myślisz *daomei*, to *daomei* na pewno cię spotka. Skoro Helen uważa, że umrze to... lepiej nawet nie mówić tego głośno.

Jedno ci powiem: dobrze wiem, jak to jest wysłuchiwać złych historii, a co gorsza, w nie wierzyć. Masz szczęście, że się z tym nigdy nie spotkałaś. W moim małżeństwie było tego pełno od samego początku.

Możliwe oczywiście, że nigdy nie miałam szans. Jeżeli wydają cię za byle kogo, czeka cię byle jakie małżeństwo i nic się na to nie poradzi. Mimo to wydaje mi się, że gdybym nie nabiła sobie głowy opowieściami Orzeszka, przeżyłabym przynajmniej kilka szczęśliwych chwil, zanim cała prawda wyszła na jaw.

Oto co się stało: trzy dni przed ślubem Orzeszek zrobiła coś bardzo złego. Naopowiadała mi o rodzinie Wen takich rzeczy, że rozboleł mnie żołądek, a nazajutrz w największym sekrecie uświadomiła mi, na jakie niebezpieczeństwa można się narażać, jeśli się za bardzo kocha Wen Fu.

Następnego dnia wyjechałam do Szanghaju, żeby przygotować się do ślubu, przerażona, że na moim nie zawartym małżeństwie ciąży klątwa.

Nie wydawało mi się wtedy, że Orzeszek mówi tak tylko po to, żeby zemścić się za to, że odbiłam jej Wen Fu. Odkąd wróciłam od ojca, znów traktowała mnie bardzo przyjaźnie. Przyniosła mi czasopismo ze zdjęciami sukien ślubnych i pokazała, w którym fasonie byłoby mi najbardziej do twarzy: wybrała białą, atlasową suknię z

trzymetrowym trenem. Znalazła też strój dla siebie, chociaż wcale nie prosiłam, by została moją druhną.

Wyjaśniłam, że Stara Ciotka podjęła już decyzję: miałam włożyć długie, czerwone *chipao* z haftowanym żakietem. Orzeszek zmarszczyła nos.

- Jak na wiejskim weselu - prychnęła. - Musisz mieć zachodnią suknię. Żadna przyzwoita dziewczyna z Szanghaju nie wychodzi już za mąż w chińskim stroju. To takie staroświeckie! Spójrz tylko na te zdjęcia.

Orzeszek zawsze taka była: buntowała się przeciw tradycji, ale brakowało jej własnych pomysłów.

- Staroświeckie czy nie, Stara Ciotka nigdy nie zgodzi się na białą suknię do ślubu - odparłam.

- Tylko prostytutki uważają, że biel oznacza żałobę - oponowała. - Jeśli dasz jej o wszystkim decydować, to każe ci pojechać w czerwonej otwartej lektyce z wioskową kapelą, żeby po drodze mogli ci się przyjrzeć wszyscy żebracy! Czcigodni przyjaciele twego ojca wysiądą z samochodów i pękną ze śmiechu.

Roześmiała się na cały głos, żeby mi pokazać, co usłyszę w dniu ślubu.

Tego nie wzięłam przedtem pod uwagę.

- Ee, nie rób takiej poważnej miny! - ciągnęła. - Zaraz o tym z matką porozmawiam. Wytlumaczę jej też, że obie powinnyśmy się umalować. Makijaż robią sobie dziewczęta z najlepszych rodzin, wcale nie tylko aktorki, śpiewaczki i ladaco. Popatrz na siostry Soong.

Skoro Orzeszek obiecała, że mi pomoże, przestałam tak bardzo ukrywać rosnące podniecenie. Opowiedziałam jej, że zaplanowano dwa przyjęcia: jedno w dobrej restauracji, której właściciele przyjaźnili się z Wenami, a drugie w siedzibie YMCA, nowoczesnym, szalenie stylowym budynku w Szanghaju; taki się przynajmniej wydawał w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. Teraz nazwa nie brzmi najlepiej, ale wówczas miejsce to uchodziło za jak najbardziej odpowiednie na urządzenie bankietów.

Opowiedziałam Orzeszkowi o niektórych meblach, które ojciec kupił mi w wyprawie. Opisałam jej toaletkę z ozdobami w kształcie wachlarza, pamiętasz? Powiedziałam jej też, że rodzina Wen Fu ofiarowała w prezencie cztery tysiące juanów.

- Widzisz, jacy są hojni? Bardzo mnie cenią. - Wiedziałam, że trochę się przechwalam.

- Spodziewam się, że moja przyszła rodzina zapłaci co najmniej czterdzieści - odparła Orzeszek z dumną miną.

Poczułam się, jakby dała mi w twarz. Gapiłam się na nią w milczeniu.

- Pamiętasz, co powiedziała wróżka - ciągnęła. - Przez małżeństwo wejść do bogatej szanghajskiej rodziny, dużo bogatszej niż ta miejscowa, którą odrzuciłam.

Zrozumiałam. Orzeszek dowodziła, że z własnej woli, jeszcze zanim otrzymałam propozycję małżeństwa, postanowiła rozstać się z Wen Fu dla kogoś lepszego. W ten sposób ratowała honor nas obu: swój za stratę Wen Fu i mój za to, że go jej odebrałam.

Uznałam, że znalezienie podobnej wymówki to z jej strony bardzo piękny gest. W ten sposób aż do końca mego pobytu z jej rodziną stałyśmy się znów bliskie jak siostry. Od tamtego dnia zwracałyśmy się do siebie *tang jie*, „słodka siostrzyczko”; to bardzo przyjazny sposób nazywania kuzynki.

Jeśli mówię, że Orzeszek naopowiadała mi złych rzeczy, nie mam na myśli tej rozmowy o pieniądzach. Wręcz przeciwnie, dzięki temu uwierzyłam w jej szczerść.

Trzy dni przed ślubem nasz dom roił się od krewnych. Niektórzy przyjechali z daleka: rodzina Starej Ciotki, rodzina Nowej Ciotki i kuzyni spowinowaceni z nami poprzez skomplikowane małżeństwa. Przy tylu ludziach nie bardzo dało się zasnąć podczas sjesty. Orzeszek poszła na spacer, a ja zaczęłam się pakować i owijać w płótno biżuterię.

Parę dni wcześniej dostałam mnóstwo prezentów: jodeitowy pierścionek od babki ze strony ojca, złoty naszyjnik od ojca, dwie złote bransolety, po jednej od każdej z ciotek. Dostałam jeszcze coś. Kiedy nikt nie patrzył, Stara Ciotka wręczyła mi kolczyki z cesarskich jodeitów, które niegdyś należały do mojej matki; te same, które mi swego czasu obiecała.

Właśnie je przymierzałam, wspominając, co mówiła o wartości kolczyków i wartości słów, kiedy Orzeszek wpadła pędem do pokoju. Szepnęła, że musi mi o czymś powiedzieć, więc lepiej, żebyśmy poszły do szklarni. Posłuchałam od razu. Tajemnice ze szklarni zawsze były najlepsze, niebezpieczne zarówno dla opowiadającego, jak i dla innych. Wślizgnęłyśmy się za wyszczerbione garnki. Znalazłyśmy nasze meble z dzieciństwa: dwa leżaki ogrodowe z połamanymi oparciami.

Orzeszek powiedziała, że siedząc na schodkach ganku przed Nową Zachodnią częścią domu, usłyszała, jak mężczyźni z naszej rodziny rozmawiają na osłoniętym ekranem podwórku. Stara Ciotka przegnała ich z salonu, bo palili cygara, a do tego odkryła, że paru z nich pluje też na dywan. Siedzieli teraz na podwórzu, paląc i plując.

Z początku rozmawiali o samych nudnych rzeczach: nowym japońskim premierze, bombach w fabrykach i strajkach, ale potem przeszli do nowego tematu: *la-sa*, czyli sprzedawanie śmieci.

- Jeden wuj opowiadał, że ludzie w Szanghaju jak szaleni usiłują się bogacić na zagranicznym *la-sa*. Amerykanie, Brytyjczycy i Francuzi zawsze wyrzucają różne resztki: pozostałości po swoich interesach albo jedzenie, którego za dużo wyprodukowali. Pakują rzeczy do drewnianych skrzyń, a po przeprowadzce wyrzucają te skrzynki na śmietnik. Kiedy wracają do swoich krajów, zostawiają meble.

Stryj twierdził, że łatwo się na nich wzbogacić. Wcale nie trzeba dużo sprytu. Idziesz do nich i mówisz: „Za niewielką opłatą wywozę wasze śmieci: stare ubrania, drewniane resztki i niepotrzebne meble”. A kiedy ci już zapłacą, tuż za rogiem sprzedajesz te rzeczy komu innemu. W ten oto prosty sposób w mgnieniu oka można dorobić się bogactwa trzech pokoleń.

- Po co mi o tym mówisz? - zapytałam. Uważałam, że takie interesy wcale nie zasługują na rangę szklarnianych sekretów.

- Jeszcze nie skończyłam. To dopiero początek, bo wtedy drugi wuj wtrącił, że przynajmniej takie interesy są w miarę przyzwoite i nie hańbią, tak jak niektóre.

- Jakie hańbiące interesy? - spytałam, sądząc, że Orzeszek opowie mi teraz o „misjonarskich żonach”.

Tak zwracały się do obcokrajowców zdesperowane żebraczki: „Być dziś twoja misjonarska żona. Ty mnie uratować. Proszę, uratować”.

Ale zamiast tego Orzeszek ciągnęła:

- Mówił o interesach rodziny Wen. Powiedział, że oni sprzedają chińskie śmiecie za granicę, szczególnie do Anglii i Ameryki.

Zrobiło mi się słabo.

- Jakie śmiecie?

- Wszystko, co tylko się zniszczyło, dziwnie wygląda albo jest zakazane. Zniszczone nazywają „dynastią Ming”, na dziwne mówią „dynastia Ching”, a zabronione to po prostu zabronione, nie ma czego ukrywać.

- Jakie zakazane rzeczy?

- Wuj powiedział, że ojciec Wen jeździ do małych wiosek i okolic dotkniętych suszą, powodzią albo szarańczą. Szybko się dowiaduje, których rodzin nie stać na czynsz i które wyprzedały ostatnie skrawki ziemi, żeby nie głodować. Za parę miedziaków kupuje od nich malowidła przodków. Naprawdę! Wcale nie kłamię. Ludzie są w takiej sytuacji, że rozstają się z ołtarzami własnych krewnych. Wyobrażasz sobie? Wszyscy przodkowie emigrują do Ameryki, wbrew swej woli. Budzą się pewnego dnia i, ai-ya!, wiszą za granicą na ścianie i słuchają kłótni w niezrozumiałym języku.

Co za okropna myśl. Przypomniałam sobie o portrecie mojej biednej matki. Co się z nim stało?

- To niemożliwe - powiedziałam. - Rodzina Wen eksportuje tylko towary w najlepszym gatunku. Tak mówiła ciocia Miao.

- Mąż Miao-miao też tam siedział - odparła Orzeszek. - Nawet on przyznał, że Wenowie postępują niezbyt pięknie. „To prawda - powiedział - przynosi im to mnóstwo pieniędzy. Obcokrajowcy kochają takie malowidła. Ale to bogactwo pochodzi z czyjejś tragedii". Mogą to kupić, bo ludzi spotkało nieszczęście, ale najgorsze jeszcze przed nimi. Mąż cioci Miao powiedział, że kiedy Wenowie umrą i spróbują dostać się do nieba, tamci przodkowie staną przy bramie, żeby ich wykopać.

Zerwałam się na nogi i strzepnęłam kurz z sukienki.

- Nie wierzę. Gadają tak z zazdrości. Dobrze znasz męża Miao-miao i innych też. Zawsze kłamią.

- Powtarzam ci tylko, co słyszałam. Czemu się na mnie złościysz? Może to nieprawda. Zresztą, co za różnica? To i tak świetny interes, w końcu wszystko robią legalnie. W ten sposób ubija się dziś interesy za granicą.

- Ludzie nie powinni mówić takich rzeczy o rodzinie mego męża - powiedziałam i pogroziłam jej palcem. - Nigdy już nie powtarzaj tego kłamstwa.

Myślałam nad nowinami Orzeszka przez cały dzień i całą noc. Powtarzałam sobie, że to nieprawda, ale zaprzeczał mi własny żołądek. Czułam, że nie do końca mam rację. Rozchorowałam się.

Oczywiście miałam też inne powody do zdenerwowania. Wystarczyło pomyśleć o weselu, wszystkich zaproszonych gościach, moim ojcu i jego ważnych przyjaciółach,

moich przyrodnych siostrach, ich mężach i dzieciach. Kiedy powiedziałam Starej Ciotce, że źle się czuję, odparła:

- Oczywiście, że się źle czujesz. Opuszczasz rodzinę i zaczynasz nowe życie.

Położyła mnie do łóżka i nakarmiła gorącą, kwaśną zupą. Jeszcze nigdy nie okazała mi tyle serca. Leżałam w łóżku, kiedy Orzeszek przysłała mnie odwiedzić następnego dnia. Powiedziała, że znów siedziała na ganku i usłyszała następną opowieść.

- Nie chcę nic więcej słyszeć - powiedziałam.

- Ale to nie o rodzinie Wen - nalegała. - i nic o interesach. To całkiem ciekawa historia.

Nachyliła się i szepnęła mi do ucha:

- O seksie.

Na te słowa nadstawiłam uszu. Obydwie zachichotałyśmy i usiadłam.

Byłam wtedy bardzo naiwna, bardziej niż przeciętne chińskie dziewczęta. Nie pokazywano mi w szkole filmów na temat ciała, tak jak tobie, nie chodziłam na randki w wieku szesnastu lat, nie zakochałam się zaraz na pierwszym roku college'u, tak jak ty w tym Randym. Nie zachowywaliście się grzecznie, co? Widzisz, nawet dzisiaj nie potrafisz się przyznać. Zauważyłam, jakie robisz przy nim miny. Teraz też widzę, wstydzisz się. Nie masz aż tak naiwnej matki.

Oczywiście, tuż przed ślubem wyglądało to zupełnie inaczej. Wydawało mi się, że seks to coś tajemniczego, jak wyprawa w odległe rejony Chin. Czasem przypominało zimny, ciemny las, czasami świątynię na tle nieba. Tak właśnie wyobrażałam sobie seks.

Znałam też parę faktów z plotek powtarzanych przez Orzeszka albo z zasłyszanych i wymyślanych historii.

Wiedziałam, że seks to jeszcze jedna zabroniona rzecz; naturalnie nie w ten sam sposób, co sprzedaż malowideł przodków. Wiedziałam, że mężczyzna dotyka tajemnych miejsc kobiety, na przykład jej stóp. Wiedziałam, że kobieta musi się czasem rozebrać do naga i że mężczyzna ma takie jedno urządzenie - nikt nie nauczył mnie właściwego określenia, znałam tylko to, jakiego używano dla małych chłopców, bo widziałam kiedyś *ji-ji* swoich kuzynów. Stąd też wiedziałam, jak ta męska rzecz wygląda: kawałek różowego, miękkiego ciała, nieduży i krągły jak mój mały palec u

nogi. Kiedy mężczyźni nie chce się w nocy wstać, żeby użyć nocnika, może poprosić żonę, żeby wzięła jego *ji-ji* między nogi.

Oto, jak wyglądała cała moja wiedza o seksie.

Pamiętam, że śmiałyśmy się z Orzeszkiem do łez. Ojej, to straszne. Mężczyzna robi *szu-szu* w kobiecie, zalewa ją jak nocnik! Widzisz, jaka byłam niewinna?

Z początku wydawało nam się strasznie śmieszne, że takie właśnie rzeczy przytrafiają się Starej i Nowej Ciotce. Jednak tuż przed ślubem spojrzałam na to z innej strony. Przestraszyłam się, że teraz i mnie to czeka. Zostanę mężowskim nocnikiem! Dlatego w wyprawie kupiłam ich aż trzy; jeden po to, by stał tuż koło łóżka.

Rozumiesz teraz, z jaką ciekawością słuchałam opowiadania Orzeszka o seksie, szczególnie, że od ślubu dzieliły mnie już tylko dwa dni.

- Dziś po południu - zaczęła chichocząc - jeden wujek opowiedział seksualną historię o nowożeńcach.

- Który wujek?

- Kuzyn Starej Ciotki z Ningpo. Wiesz, który.

- Wuj Żółw! - zawołałam.

Zawsze mówiliśmy tak na niego, odkąd mały Gong wsadził mu do zupy żywego żółwia, a on zaczął się żalić Starej Ciotce, że zupa nie dogotowana.

„Żółw” to bardzo brzydkie przezwisko. W ten sposób nazywa się mężczyzn tak głupich, że nie widzą, jak żona zdradza ich przed samym nosem. W każdym razie tak go nazwałyśmy.

- Opowiadał wszystkim - ciągnęła Orzeszek - jak spotkał ostatnio kolegę ze szkoły. A ten kolega powiada: „Pamiętasz, Yau, mego kuzyna ze strony matki?” A wuj Żółw na to: „Jasne! To ten chudzielec, który trzy lata temu wybrał się z nami na wyścigi i postawił na szkapę, która nie doszła nawet do mety. Jak się miewa? Nie obstawia już koni, mam nadzieję?” Szkolny kolega spoważniał i odparł, że w zeszłym roku Yau ożenił się z pewną dziewczyną, mimo sprzeciwów rodziny. Nie pochodziła z najlepszego domu. Jej ojciec zajmował się jakimś drobnym handelkiem japońskim sosem sojowym. W każdym razie stali o wiele niżej niż rodzina Yau. W dodatku ta dziewczyna to żadna piękność, więc musiała go uwieść, zawrócić mu w głowie na tyle, żeby postawił się rodzicom i powiedział: „Przepraszam, matko i ojcze, ale muszę się z nią ożenić, żeby nie wiem co”.

Orzeszek nachyliła się nade mną.

- Wtedy wuj Żółw wyjaśnił komuś szeptem, czym go uwiodła. - Znów usiadła prosto. - Ale wszyscy wybuchnęli śmiechem, więc nie bardzo słyszałam. Tylko „na kurczaka”, „ręce dojarki” i „sztuczki z nocnego ogrodu”.

- Co to znaczy? - zapytałam.

Orzeszek zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

- To jakieś magiczne sztuczki, które dziewczyna może robić ze swoim ciałem. Wydaje mi się, że nauczył ją tego jakiś obcokrajowiec. Tak czy owak, rodzice Yau sprzeciwiali się ze wszystkich sił, grozili mu, straszili, że dziewczyna na pewno nie umie się zachować, jest zbyt nieokrzesana, za silna, a jeśli się z nią ożeni, to niech już na nich nie liczy.

Jednak Yau tak się zapędził, że nie potrafił się już wycofać. Rodzice w końcu się poddali, bo co mogli zrobić jedynakowi.

Yau ożenił się z nią i sprowadził do domu. Przez jakiś czas wydawało się, że wszystko się jakoś ułoży. Młoda żona coraz mniej kłóciła się z teściami, a Yau szalał za nią coraz bardziej, mimo że już byli po ślubie. - Orzeszek głęboko odetchnęła, usiadła prosto i uśmiechnęła się od ucha do ucha, jakby jej opowieść dobiegła szczęśliwego końca. Potem nagle znów nabrała powietrza. - I zgadnij, co się stało.

Potrząsnęłam głową i podsunęłam się bliżej.

- Od ślubu minęło może trzy miesiące, a tu ni stąd, ni zowąd - katastrofa! Pewnego razu matka ocknęła się późną nocą i usłyszała, jak syn kłóci się z żoną. On kłął, a ona błagała i płakała. „Dobrze - pomyślała matka - wreszcie nauczy ją moresu”. Ale wtem - dziwna rzecz! - klątwy umilkły, a dziewczyna dalej błaga. Po chwili zaczęła wyć jak dzikie zwierzę. Krzyczała jak najęta. Matka i inni domownicy wpadli do ich pokoju. Aj, zgadnij, co zobaczyli? Nagą parę. Yau leżał na górze, a ona pod spodem krzyczała i próbowała go zepchnąć. Yau ani drgnął. Nie ruszał się. Leżał sztywny jak deska. A dziewczyna wrzeszczy: „Nie możemy się rozdzielić! Pomóżcie mi! Pomóżcie!” Rzeczywiście, szepili się na amen, jak psy.

- Niemożliwe! - zawołałam.

- A jednak! A jednak! Matka próbowała ich rozłączyć. Zdzieliła syna po karku, żeby się obudził. Pchała ze wszystkich sił, że przetoczyła ich na bok. Wtedy zobaczyła twarz syna: szarą, z zaciśniętymi z bólu powiekami. Rozplakała się i zaczęła bić synową. „Wypuść go! Wypuść, ty podła lisico!” Teraz ojciec przyszedł na ratunek.

Wypchnął matkę z pokoju i kazał służącemu przynieść czym prędzej wiadro zimnej wody. Polał leżących, bo widział kiedyś, że to przynosi skutek u psów. Jedno wiadro za drugim - mało nie utopił biednej dziewczyny. W końcu się poddał i posłał po homeopatę. Lekarz przyjechał. Zbadał syna, ale ten był już martwy i sztywny. Zamiast alarmować rodzinę, gotową zabić dziewczynę, byle tylko uwolniła męża, spokojnie kazał służącemu przynieść nosze. Przyrządził mieszankę z ałunu, liści bylicy i ciepłego octu. Próbował wetrzeć trochę tego tam, gdzie się zaklinowali. Kiedy mu się nie udało, wmusił w dziewczynę taką ilość maotai, że upiła się do nieprzytomności. Leżała na noszach, śmiejąc się i płacząc, a służący wynieśli ją z domu. Martwy mąż nadal na niej tkwił. Wuj Żółw mówił, że w szpitalu udało się wreszcie ich rozdzielić. Wszyscy wujowie zaczęli mruczeć między sobą i próbowali odgadnąć, co zadziało: „Włożyli jej do łóżka pełno lodu, aż wreszcie kichając wypchnęła go na zewnątrz”. „Zaaplikowali gorącą oliwę, żeby łatwiej go było wyslizgnąć”. Na to wuj Żółw stwierdził, że tak naprawdę nie ma najmniejszej ochoty wyjaśniać, ale czy to nie okropne, że stary przyjaciel Yau udał się na tamten świat jako eunuch? Wah! Wszyscy się roześmiali i pluli na podłogę. Wyobrażasz sobie? Śmiali się! Żadnego współczucia dla nieszczęśnika i jego młodej żony. Nagle wuj Żółw kazał im się uciszyć. Podkreślił, że to wszystko prawda. Jego szkolny kolega brał udział w pogrzebie i tam dowiedział się, co zaszło. Mimo że rodzina usiłowała trzymać skandal w tajemnicy, zanim złożyli Yau do grobu, wszystko się rozniosło. Uznano, że rodzice mieli rację od samego początku. W dziewczynie było za dużo siły. Za dużo *jīn*, kobiecej esencji. Kochała swego męża z taką mocą, że kiedy ich ciała się połączyły, zacisnęła go w sobie i nie chciała wypuścić. Zaczęła wyciskać z niego całe nasienie, które ciekło i ciekło, aż wreszcie nie została ani kropelka i Yau zmarł.

- Co to znaczy nasienie? - zapytałam.

- Ech, nawet tego nie wiesz! - zawołała. - To męska substancja, ich *jāng*. Mężczyźni magazynują to tutaj - Orzeszek narysowała palcem linię od czubka głowy aż między nogi. - To męskie dziesięć tysięcy pokoleń, które dziedziczą po przodkach, z ojca na syna. Dlatego właśnie mężczyźni są mężczyznami, przez substancję *jāng*.

- Wobec tego na co kobiecie jego *jāng*?

- Po to, żeby... - zamilkła, marszcząc brwi.

- Powiedz szczerze.

- To wygląda tak. Jeżeli kobieta dostaje dostatecznie dużo *jang*, rodzi synów. Jeżeli za mało, to ma same córki. Sama rozumiesz, że gdy kobieta ma za dużo *jin*, wyciąga z męża dużo więcej *jang*. Tamta dziewczyna zabrała mężowi całą jego substancję, obecne życie i przyszłe pokolenia.

- I co się z nią stało?

- Oczywiście, teściowie strasznie jej teraz nienawidzą. Ale nie wyrzucili jej z domu, a ona sama też nie odeszła. Niby dokąd? Już nigdy nie wyjdzie za mąż. Kto by się z nią ożenił? Teściowa znęca się nad nią, jak może. Ma nadzieję, że dziewczyna wkrótce umrze. Wciąż powtarza, że wtedy pochowa ją obok syna, żeby mógł się połączyć ze swoim *jang*, które teraz w niej pływa. Tylko po to ją trzymają.

Orzeszek klepnęła mnie po nodze.

- Nie patrz tak na mnie. To wszystko prawda. Wuj Żółw zna tę rodzinę. Może nawet wie, gdzie ta dziewczyna teraz mieszka, gdzieś w Szanghaju. Może mogłybyśmy go wy badać, a potem pójść tam i zobaczyć ją w oknie. Ciekawe, jak wygląda. Tak kochać męża, żeby wycisnąć z niego całe życie. No, czemu tak na mnie patrzysz?

- To prawdziwa historia? - szepnęłam.

- Prawdziwa.

Dwa dni później, podczas nocy poślubnej, strasznie się bałam. Wrzasnęłam, kiedy mąż się rozebrał. Nie wrzeszczałabyś, gdyby się okazało, że *ji-ji* twojego męża w niczym nie przypomina *ji-ji* małych kuzynów? Nie pomyślałabyś, że oto właśnie jego *jang* wezbrało, gotowe wybuchnąć?

Muszę ci coś wyznać. Z początku bałam się kochać męża. Oczywiście, nie byłam najmądrzejsza, skoro uwierzyłam Orzeszkowi, która nie okazała się wiele mądrzejsza ode mnie, bo uwierzyła w opowiadanie wuja Żółwia, człowieka o umyśle równie ociężałym, jak stworzenie, które znalazł w zupie. Wuj też był głupi, bo uwierzył koledze, który zresztą wydał go później podczas rewolucji kulturalnej. A skąd możemy wiedzieć, komu z kolei wierzył ten kolega?

Dlaczego ludzie powtarzają sobie takie historie? Skąd wiadomo, komu ufać? I dlaczego najłatwiej przychodzi nam uwierzyć w złe rzeczy?

Ostatnio często śnię o tamtej dziewczynie. Wyobrażam sobie, co się z nią stało. Śni mi się też, że piszę do Orzeszka.

- Orzeszku - powiem - pamiętasz tę dziewczynę sprzed pięćdziesięciu lat, tę, która wyszła z życia ze swego męża? Widziałam ją wczoraj. Tak, właśnie tu, w Ameryce. Jej teściowie umarli na tyfus w czasie wojny, a ona przyjechała do tego kraju i ponownie wyszła za mąż, za Chińczyka oczywiście.

Postarzała się, ale wciąż widać, jaka była piękna, dużo piękniejsza, niż wynikało ze słów wuja Żółwia. Z drugim mężem wiedzie jej się znakomicie. Tak, po czterdziestu latach małżeństwa.

Mieszkają w wielkim piętrowym domu, prawie spłaconym, w San Francisco, w Kalifornii. Mają dwie łazienki, wystarczająco duże dla wnuków, kiedy przyjeżdżają w odwiedziny, a przyjeżdżają cały czas. Jest ich czworo: dwie wnuczki po córce i dwóch wnuków po synu. Tak, wyobraź sobie, kobieta, mająca za dużo *jin*, urodziła i córkę, i syna!

To prawda! Sama ją widziałam. Dowiedziałam się, gdzie mieszka, i poszłam pod jej dom. Pomachała mi z okna.

IX

Najlepszy czas roku

Poznałam Helen dopiero po ślubie. I możesz mi wierzyć, że niewiele przypominamy tamte dziewczęta z tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. Ona była głupia, a ja niewinna. W rok później jej głupota miała się dobrze, nawet dołączył do niej upór, natomiast ja straciłam swoją niewinność, czego nigdy nie mogłam przeboleć. Pamiętam wiele, bo wiele straciłam.

Helen tylko się wydaje, że pamięta. Kiedy mówi o przeszłości, powtarza zawsze: „Byłyśmy takie młode i ładne, pamiętasz?” Śmieje się i wzdycha, jakby dopiero teraz żegnała się ze swoją urodą. Wraca potem do robótki na drutach, uśmiechając się i kręcąc głową. Pewnie myśli: „Jak to dobrze pamiętać!”

Ale prawda wyglądała inaczej. Dobrze pamiętam, jaka była Helen, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy.

Było to wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego, w Hangczou, niedaleko starego miasta, gdzie mieszkaliśmy z Helen przez chyba pięć miesięcy, podczas gdy nasi mężowie kończyli szkolenie w prowadzonej przez Amerykanów Szkole Sił Powietrznych. Miałam wtedy ledwie dziewiętnaście lat i wciąż zdawało mi się, że wszystkie moje marzenia mogą się jeszcze ziścić.

Ponieważ byłam mężatką dopiero od miesiąca, nadal uważałam, że złapałam Pana Boga za nogi. Rozpierała mnie duma, że mój mąż to przysły bohater. Wtedy, przed wojną, małżeństwo z pilotem uchodziło za największe szczęście; było ich ledwie trzystu czy czterystu w całych Chinach.

Podczas ślubu nie miałam pojęcia, że wychodzę za świeżo upieczonego oficera. Nie, żebym była głupia; po prostu nikt nie wpadł na to, żeby mi powiedzieć. W każdym razie zorientowałam się po dwóch tygodniach.

Wen Fu oznajmił mi, że zostanie pilotem. Twierdził, że pilotów wybiera się z najlepszych rodzin i najlepszych szkół. Potem przyszło zawiadomienie, że wysyłają go do Hangczou na specjalne szkolenie. Do zawiadomienia dołączono osobiste gratulacje od pani Chiang w imieniu jej męża generała. Wen Fu oznajmił mi, że wyjeżdżamy za kilka dni. Co miałam robić? Pojechałam razem z nim.

Po przybyciu do Hangzhou uhonorowano wszystkich pilotów wielkim bankietem, wydanym przez sławnego amerykańskiego generała o dźwięcznym imieniu Claire Chennault.

Oczywiście wtedy nie był jeszcze sławny, nie od początku. Nie był nawet generałem. Pamiętam, że piloci nadali mu dobre chińskie nazwisko: Szan Nao, w brzmieniu zbliżone do Chennault. *Szan* oznacza piorun, *nao* zaś to tyle, co „hałaśliwy, głośny”. „Głośny piorun”, jak dźwięk wydawany przez pędzące po niebie samoloty: zah! Szan Nao przyjechał właśnie po to, żeby nauczyć ich latania.

Uczestniczyłam w tym przyjęciu. Stary Głośny Piorun powiedział coś, na co amerykańscy instruktorzy zaczęli wznosić kowbojskie okrzyki i podrzucać czapki. Chińscy piloci siedzieli na swoich miejscach, uśmiechając się i klaszcząc. Czekali, aż uciszy się na tyle, by usłyszeć tłumacza:

- Szan Nao mówi, że powinniśmy dać Japończykom inne królestwo.

Wśród pilotów rozszedł się szmer niezadowolenia. Szan Nao nie miał chyba na myśli oddawania Japończykom nowych terytoriów? O czyje królestwo mu chodzi? W końcu po wielu dyskusjach, kłótniach i tłumaczeniach dowiedzieliśmy się, że Szan Nao powiedział w rzeczywistości:

- Z waszą pomocą odeślemy Japończyków nie do Japonii, lecz wprost do Królestwa Niebieskiego.

Wszyscy się ucieszyli.

- To znaczy, że wszystkich zabijemy! Królestwo Niebieskie to tamten świat.

Pamiętam wiele takich nieporozumień. Amerykanie mówili jedno, my rozumieliśmy co innego i kłótnia gotowa. To samo zaszło na samym początku, kiedy tylko przyjechaliśmy do Hangzhou i okazało się, że nie mamy gdzie mieszkać. Bungalowy były nadal zajęte przez pilotów pierwszej klasy i ich rodziny. Piloci kręcili się po terenie i dyskutowali o czymś ze złością. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, o co chodzi. Otóż Amerykanie powiedzieli przełożonym, że chińscy piloci nie potrafią jeszcze latać i oblali test. Oczywiście piloci pierwszej klasy odczuli to nie tylko jako osobistą porażkę. Zawiedli całe Chiny! Stracili twarz, a przecież wielu z nich pochodziło ze znanych chińskich rodzin. Skarżyli się potem przełożonym, że to wszystko wina Amerykanów, którzy kładli nacisk na nieistotne sprawy: na przykład błyszczące buty, krawaty i czapki, włożone tak, a nie inaczej, a poza tym dostarczyli zepsute samoloty, więc nic dziwnego, że nikt nie umiał na nich latać.

Wtedy piloci drugiej klasy podnieśli krzyk:

- Dosyć tracenia czasu! My też musimy zacząć szkolenie, by ocalić Chiny!

W końcu Amerykanie zgodzili się przedłużyć trening pilotom pierwszej klasy i jednocześnie rozpocząć zajęcia z pilotami drugiej klasy, ale narzekania nie ustały. Nadal nie mieliśmy gdzie mieszkać.

Tak właśnie wyglądały wówczas Chiny. Wszyscy zwalczali się nawzajem, zamiast działać dla wspólnego dobra. Spory wybuchały nie tylko między Amerykanami i Chińczykami, lecz także między starymi a nowymi rewolucjonistami, między komunistami a Kuomintangiem. Wojownicy, bandyci i studenci, łup! łup!, przepychali się jak koguty do tej samej grzędy.

Reszta, czyli kobiety, dzieci, starcy i biedacy, przypominała wystraszone kury, które byle kto potrafi przeganiać z kąta w kąt. Nic dziwnego, że Japończycy wykorzystali tę okazję, by wśliznąć się jak lisy i wszystko rozkraść.

Piloci drugiej klasy wraz z żonami wylądowali w końcu w starym budynku klasztornym, w pół drogi do gór, w których mnisi hodowali herbatę Smocze Źródło, najlepszą w całych Chinach. Klasztor tymczasowo udostępnił ten dom Siłom Powietrznym, bo mnisi wierzyli, że piloci uratują Chiny. Wszyscy w kraju myśleli, że oto nareszcie wygnamy Japończyków.

Większość pilotów dzieliła wspólne sypialnie. Amerykanom i żonatym oficerom przydzielono osobne pokoje z wąskimi łózkami. Kuchnię mieliśmy wspólną, podobnie jak nie ogrzewaną łaźnię, wyposażoną w małe, drewniane wanny. Używali jej też Amerykanie, ale na szczęście tylko raz w tygodniu, w soboty.

Widzisz więc, że nie mieliśmy wygod, ale nikt nie narzekał. Być może przyczynili się do tego mądrzy mnisi, którzy wiedzieli, jak nas przywitać.

Przybyliśmy późną wiosną. Wzgórza pachniały już herbatą i powiedziano nam, że przyjechaliśmy w samą porę. Właśnie ten wiosenny tydzień to najlepszy czas roku, mówili, kiedy zbiera się najśłodsze liście najwspanialej pachnącej herbaty świata; kiedy najpiękniejsze jezioro pod słońcem wygląda najcudniej; kiedy każdy dzień wstaje pogodny jak marzenie.

Takie powitanie w nowym domu natychmiast wprawiło pilotów w świetny nastrój. Od razu poczuli się zwycięzcami.

Dość często spacerowaliśmy o zmierzchu nad jeziorem. Zawsze znalazł się ktoś, kto zauważył:

- O tej porze roku woda jest najbardziej przejrzysta.

- Spójrzcie na słońce - dodawał ktoś inny. - Dzięki temu odbiciu mamy dwa, nawet trzy zachody naraz.

Jeszcze kto inny wzdychał i mamrotał:

- Taki zachód słońca mógłbym oglądać cały dzień. Jak widzisz, nikt nie zastanawiał się, że to maleńkie szczęście - fakt, że przyjechaliśmy w odpowiedniej porze roku - szybko przeminie, a jego miejsce zajmie coś dużo mniej przyjemnego.

Piękna wystarczało nawet dla mnie. Często spacerowałam samotnie wokół jeziora i nie myślałam wcale o smutnej przeszłości ani przyszłości z nowym mężem. Obserwowałam ptaki szybujące nad wodą i lądujące tak delikatnie, że nawet nie zmąciły gładkiej tafli. Liczyła się tylko chwila obecna. Podziwiałam misterne pajęczyny rozpięte na krzakach, połyskujące kroplami rosy. Zastanawiałam się nawet, czy udałoby mi się zrobić na drutach sweter o takim wzorze.

Nagle ptaki zaczynały się nawoływać głosami płaczących kobiet, pająk wyczuwał mój oddech, kurczył się i gdzieś umykał, a ja wracałam do moich obaw i pytań.

Przed ślubem znałam Wen Fu dosyć krótko, po ceremonii zaś mieszkaliśmy przez miesiąc z jego rodzicami, w domu na wyspie. Prawdę mówiąc, lepiej poznałam wtedy teściową niż jego. Właśnie ona uczyła mnie, jak być dobrą żoną dla jej najmłodszego syna. Ona go rozpuściła i ona narzuciła mi poczucie obowiązku wobec tego potwora. Słuchałam jej, bo nie miałam nigdy własnej matki, tylko Starą i Nową Ciotkę, z których każda wpajała mi inne lęki.

Oto, czego uczyła mnie teściowa: chronić męża, żeby on chronił mnie. Uważać lęk przed nim za szacunek. Podawać mu gorącą zupę, dobrą wtedy, gdy sprawdzając temperaturę, parzyłam sobie mały palec.

- Wcale nie boli! - wołała teściowa, kiedy krzyczałam z bólu. - Takie poświęcenie dla męża nigdy nie boli.

Wierzyłam jej, że cierpienie dla męża oznacza prawdziwą miłość, taką, która rośnie z czasem. Takiego podejścia nauczyłam się również z amerykańskich i chińskich filmów. Kobieta zawsze cierpi i płacze, zanim nauczy się kochać.

Mieszkając z Wen Fu w maleńkiej celi w Hangczou, cierpiałam jak potępieniec. Sądziłam, że w ten sposób rośnie moja miłość. Zdawało mi się, że staję się lepszą żoną.

Doszliśmy teraz do miejsca, w którym muszę się zdobyć na szczerość. Kiedyś myślałam, że nie powinnam rozmawiać z tobą o tych sprawach, o seksie, ale jeśli zataję to przed tobą, nigdy nie zrozumiesz, dlaczego się zmieniłam i czemu on się zmienił. Opowiem ci więc, choć może nie wszystko. Przyjdzie taka chwila, w której nie uda mi się zdobyć na więcej. Wówczas musisz się posłużyć własną wyobraźnią. Potem wyobraź to sobie jeszcze raz i... pomnóż przez dziesięć.

Wen Fu pragnął mnie każdej nocy. Nie tak, jak w domu teściów. Wtedy byłam bardzo nieśmiała. Traktował mnie delikatnie, namawiał, uspokajał i przestawał, kiedy za bardzo się bałam i mogłabym zacząć krzyczeć. W Hangczou powiedział jednak, że nadszedł czas, bym się nauczyła, jak być dobrą żoną.

Sądziłam, że pomoże mi pokonać lęk. Wciąż się denerwowałam, ale byłam pełna dobrej woli.

Pierwszej nocy leżeliśmy na wąskim łóżku. Miałam na sobie nocną koszulę, a Wen Fu tylko spodnie. Całował mnie po nosie, policzkach i ramionach. Powtarzał, jaka jestem śliczna i jak mu ze mną dobrze. Nagle poprosił szeptem, żebym powtórzyła za nim brzydkie słowa, nazwy kobiecych części ciała. Nie te zwyczajne, tylko jak dla najgorszej kurwy, takiej, co oddaje się w porcie zagranicznym marynarzom. Aż mi uszy spuchły. Odsunęłam się.

- Nie mogę tego powiedzieć - odparłam w końcu.

- A dlaczego? - zapytał delikatnie i z troską.

- Kobieta nie może mówić takich rzeczy - odpowiedziałam, szukając wyjaśnienia.

Zaśmiałam się leciutko, żeby pokazać, że sama myśl o tym wprawia mnie w zakłopotanie.

Wen Fu przestał się uśmiechać. W jednej sekundzie zmienił się nie do poznania. Poderwał się. Wyglądał strasznie. Patrzył na mnie z taką złością, że aż mnie przeraził. Także usiadłam i pogłaskałam go po ramieniu. Bardzo chciałam go uspokoić.

- Masz je powiedzieć! - wrzasnął nagle. Wymienił trzy czy cztery brzydkie słowa.

- Powtórz!

Pokręciłam głową i zaczęłam płakać. Złagodniał. Otarł mi oczy, mówił, jak mu na mnie zależy, i gładził mnie po plecach i szyi. Aż osłabłam z ulgi i szczęścia.

„Tak się tylko drażnił” - myślałam z radością. - „Ależ ze mnie głuptas!”

Pomógł mi wstać, po czym zdjął mi koszulę i ujął za rękę, patrząc prosto w oczy.

- Powtórz - powiedział cicho.

Słyszając to, mało nie upadłam, ale złapał mnie i zaciągnął do drzwi jak wór ryżu. Wypchnął mnie na korytarz klasztoru, gdzie każdy, kto przechodził, mógł mnie zobaczyć całkiem naga.

Co miałam zrobić? Nie mogłam krzyknąć. Ktoś mógł się obudzić, wyjrzeć. Błagałam szeptem:

- Otwórz drzwi! Otwórz!

Nie odzywał się, czekał bez ruchu, aż wreszcie po paru minutach obiecałam:

- Powiem.

Powtarzało się to każdej nocy. Tu właśnie możesz użyć swojej wyobraźni, wiedząc, że prawda była dziesięć razy gorsza.

Czasami kazał mi się rozbierać, stawać na czworakach i błagać go o dobre „pieprzenie”. Miałam udawać, że oddałabym wszystko za tę łaskę. On z kolei udawał, że odmawia, mówiąc, że jest zmęczony, nie wydaję mu się dość pociągająca albo źle się zachowywałam w ciągu dnia. Musiałam prosić bez końca. Zęby mi szczękały i wreszcie błagałam go naprawdę, żeby tylko móc wstać z zimnej podłogi.

Kiedy indziej kazał mi stać w kącie, nago, mimo że drżałam od nocnego chłodu. Wymieniał części ciała. Musiałam powtarzać za nim te obleśne słowa i dotykać się to tu, to tam. Patrzył i śmiał się.

Rano często narzekał, że nie jestem dobrą żoną i nie ma we mnie ognia jak w innych kobietach. Bolała mnie głowa i całe ciało, kiedy rozprawiał o tej czy innej kobiecie, wprawnej, chętnej i pięknej.

Nie złościłam się. Nie wiedziałam, że powinnam. To były Chiny i kobiety nie miały prawa do złości. Byłam tylko bardzo nieszczęśliwa, wiedząc, że wciąż nie

zadowolam mego męża i czeka mnie jeszcze wiele cierpień, zanim uda mi się dowieść, że jestem dobrą żoną.

Dowiedziałam się o nim jeszcze jednej rzeczy. Inni piloci nazywali go Wen Chen. Dziwiłam się, bo wiedziałam, że ma na imię Fu. Owszem, miał dwóch starszych braci; jeden z nich nazywał się Wen Chen, ale z tego, co wiedziałam, zmarł dwa lata wcześniej, w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym, na zapalenie płuc. W rodzinie często się o nim mówiło: mądry syn, oddany, ale chorowity. Wiecznie pluł krwią.

Pomyślałam, że piloci coś pomieszali. Może Wen Fu wspomniał kiedyś o zmarłym bracie, więc zdaje im się teraz, że to jego imię, a mój mąż nie poprawia ich przez uprzejmość? Jednak pewnego dnia przedstawił się imieniem Wen Chen. Zapytałam go później dlaczego, ale odparł, że się przesłyszałam. Potem znów się przedstawił jako Wen Chen. Tym razem wyjaśnił, że w administracji lotnictwa błędnie zapisano jego imię. Niby jak miał poprawić całą armię? Musiałby im powiedzieć, że Wen Fu to jego imię z dzieciństwa, ot, takie przydomko.

Wzięłam jego słowa za dobrą monetę, jednak któregoś dnia, robiąc porządek w pudłach z rzeczami, znalazłam dyplom i podanie do Sił Powietrznych. Te dokumenty należały do Wen Chena, mego zmarłego szwagra, który ukończył z wyróżnieniem morską szkołę handlową.

Zrozumiałam. Mój mąż był za głupi, żeby się dostać do lotnictwa, ale starczyło mu sprytu, by się posłużyć imieniem nieżyjącego brata.

Poczułam, że Wen Fu ma dwie twarze. Jedną martwą, drugą żywą. Prawdziwą i fałszywą. Zaczęłam patrzeć na niego inaczej, obserwując, jak kłamie bez zmrużenia powiek. Gładko i spokojnie, jak ptaki lądujące na wodzie.

Widzisz więc. Próbowałam być dobrą żoną. Próbowałam kochać w nim tę dobrą połowę.

Spotkałam Helen w dwa tygodnie po przyjeździe do Hangczou. Była młodziutka, miała może osiemnaście lat, i dowiedziałam się od kogoś, że też niedawno wyszła za mąż. Nie, nie za mojego brata. Dojdziemy do tego później.

Widziałam ją przedtem kilka razy: w jadalni, na spacerze wokół klasztoru i na miejskim rynku, gdzie kupowała mięso i jarzyny. Wszystkie kobiety z klasztoru znały się z widzenia. Było nas raptem sześć; większość pilotów nie dorosła jeszcze do małżeństwa. Amerykańscy instruktorzy nie przywieźli ze sobą żon ani przyjaciółek, za

to czasami sprowadzali do pokojów miejscową panienkę lekkich obyczajów, zawsze tę samą, jak się później dowiedziałam, i to od niej, pięciu z nich złapało pewną chorobę, rodzaj niewidzialnych wszy, które, jak wszyscy mówili, żyją teraz w łazience.

To właśnie dzięki tej dziewczynie i wszom poznałam Helen. Żadna z żon nie chciała więcej używać wspólnej łazienki, chociaż mnisi zarzekali się, że wszystko zdezynfekowano. Dowiedziałyśmy się skądś, że tych wszy nie da się wytepić. Jeśli zaatakują przyzwoitą kobietę, nikt nie odróżni jej od prostytutki, bo wciąż będzie się drapała między nogami i jedyną ulgę przyniesie jej mężczyzna, który podrapie ją jeszcze głębiej.

Wyobrażałam sobie, że naprawdę będę musiała błagać męża, i oczywiście przypomniałam sobie tamten dzień na wyspie Tsungming, kiedy pogryzły mnie pchły i drapałam się, krzycząc „Yangselel” Tak właśnie zachowują się niewierne żony. Swędzi je do seksu tak bardzo, że przestają się różnić od prostytutek, oddając się bez różnicy Chińczykom, Amerykanom i trędowatym.

Tyle właśnie wiedziały dziewczęta wychodzące za mąż. Oczywiście święcie w to wszystko wierzyłyśmy. Niby kto miał nam wytłumaczyć pomyłkę? Myślisz, że tylko ja byłam głupia?

Wszystkie sześć postanowiłyśmy nie używać więcej wspólnej łaźni. Jedna z żon, nadęta, wiecznie niezadowolona dziewczyna, znalazła dodatkowy pokój, służący kiedyś za skład świeżo zerwanych liści herbaty. Na podłodze wciąż poniewierały się liście z dawnych zbiorów. W kącie stał także drewniany piecyk, na którym je suszono. Zdecydowałyśmy od razu, że świetnie się nada do ogrzewania. Będziemy miały jeszcze lepiej niż w łazience!

Zawiesiłyśmy prześcieradła na sznurkach rozciągniętych od ściany do ściany i zrobiliśmy w ten sposób przepierzenie. Później na zmianę: jedna gotowała wodę, dwie biegały tam i z powrotem z wiadrami gorącej wody i wygotowanymi ręcznikami, a trzy pozostałe siedziały na stołkach za przepierzeniem, wycierając się i wyzymając ręczniki do wanienek. Woda ściekała na podłogę i na liście. Wkrótce powietrze napełniło się aromatem smoczej herbaty. Wszystkie wdychałyśmy i wzdychałyśmy, a pachnąca rosa osiadała nam na policzkach.

Tak więc sprawa z łazienką nie przeszkadzała nam specjalnie. Śmiała się z tego nawet ta nadęta dziewczyna.

- Bardzo dobrze, że Amerykanie złapali tę chorobę - mówiła.

Każdego wieczora miałam więc ważne zadanie. Nosiałam wiadra wody z dziewczyną imieniem Hulan.

Tak właśnie miała na imię Helen: Hulan.

Teraz już wiesz. Helen nie jest moją bratową ani twoją prawdziwą ciotką. Jak mogłam ci wcześniej powiedzieć, że spotkałam ją w czasie wojny w Chinach? Kiedy byłaś mała, nie wiedziałaś nawet, że toczyła się tam jakaś wojna. Dla ciebie druga wojna światowa zaczęła się na Hawajach, w miejscu, które nazywa się tak samo jak ty: Pearl Harbour. Próbowałam ci to kiedyś wytłumaczyć, ale zawsze mnie poprawiałaś. „Oj, mamo, to chińska historia. A to jest amerykańska historia” - mówiłaś. To prawda. Tak mi właśnie kiedyś powiedziałaś. Gdybym próbowała wyjaśnić, że ciocia Helen nie jest twoją prawdziwą ciotką, pewnie też byś mnie poprawiła.

No, tak to właśnie wyglądało. Spotkałam Helen w łaźni. I miała wtedy na imię Hulan. Przez pierwszych kilka wieczorów nie rozmawialiśmy wiele. Zapytałam może parę razy, czy aby woda jest dość gorąca.

Hulan była żoną kapitana, któremu podlegał mój mąż. Wydawało mi się, że powinnam przy niej uważać na to, co mówię: nie narzekać na warunki, ale też nie twierdzić, że mogłabym zostać w Hangzhou na zawsze. Mogłaby wtedy dojść do wniosku, że nie chcę, by nasi piloci dokończyli szkolenia.

Ona jednak od początku traktowała mnie po przyjacielsku, nawet głośno powiedziała, że mnisi nie grzeszą czystością, bo znalazła obrzynki paznokci i włosy za łóżkiem. Nie zaprzeczyłam ani nie przyznałam jej racji, chociaż także znalazłam różne brudy za łóżkiem i na ścianach.

Hulan opowiedziała mi, że jej mąż, Long Jiaguo, narzekał na szkolenie. Amerykanie nie zgadzali się w wielu sprawach z chińskimi dowódcami. Zaczęto nawet przebąkiwać o odesłaniu wszystkich do włoskiego obozu w Lojang. Mówiła, że to byłoby okropne, bo Lojang to smutne miasto. Ma tylko dwie pory roku: powódzie i burze piaskowe. Kiedyś słynęło ze stu tysięcy posągów Buddy, ale ostatnio większości z nich ścięto głowy. Przenosiny do miejsca pełnego okaleczonych figur Buddy może przynieść Siłom Powietrznym tylko pecha.

Ciekawiło mnie, skąd wie o Lojang. Może pochodzi z tamtych stron? Mówiła dość wolno, ale głośno, z wiejskim akcentem, którego nie umiałam określić. Miała zamaszyste i niezdarne ruchy, żadnej wytworności. Jeżeli upadła jej spinka do włosów, Hulan pochylała się, wypinając siedzenie, podnosiła ją z ziemi i wtykała z

powrotem we włosy. Chodziła wielkimi krokami i machała ramionami jak ktoś, kto przywykł do posług i noszenia dwóch ciężkich wiader z wodą.

Rzeczywiście, miała maniery wiejskiej służącej. Nie mogłam się nadziwić, jak też udało jej się wyjść za kapitana lotnictwa, przystojnego, wykształconego mężczyznę z dobrej rodziny. Oczywiście znałam biedne dziewczęta, które robiły dobre partie, ale dotyczyło to zwykle prawdziwych piękności. Przy teściowych szybko uczyły się odpowiedniego zachowania.

Hulan nie nazwałabyś piękną, nawet podług staromodnych kanonów. Była pulchna, ale nie w ten klasyczny sposób, jak brzoskwinia, której skórka niemal pęka od słodyczy. Jej tęga postać, okrągła i niezdarna, przypominała gotowaną na parze pyzę, z której wycieka nadmiar nadzienia. Miała grube kostki i wielkie dłonie, a stopy szerokie jak wiosła. Nosila zachodnią fryzurę, z przedziałkiem nisko po jednej stronie, włosy były gładko zaczesane i w połowie zakręcone w loki, ale nie potrafiła równo ułożyć wałków, więc pukle miejscami odstawały, a miejscami leżały całkiem płasko.

Nie miała też za grosz poczucia stylu. Widziałam ją kiedyś ubraną w zachodnią kwiecistą sukienkę, włożoną na żółtą chińską suknię, która zwisała jak za długa halka. Na wierzch narzuciła własnoręcznie wydziergany sweter z za krótkimi rękawami. Wyglądała tak, jakby ktoś rozwiesił na niej pranie.

Wcale nie wspominam jej tak krytycznie dlatego, że mnie rozzłościła. Czemu mnie rozzłościła? Bo chciała ci opowiedzieć moją historię, wyrzucić ją z siebie, zanim umrze. Oczywiście, kiedyś musiałabym ci sama powiedzieć. Czekałam na odpowiedni moment. Sama widzisz: teraz tu siedzisz i mówię ci o wszystkim.

Jednak, mimo gniewu, potrafię sobie o niej przypomnieć wiele dobrych rzeczy. Tak, miała ładne oczy. Życzliwe i duże. Miała też ładnie zaokrąglone policzki, przy których jej usta wyglądały na małe i słodkie. I kształtnie zarysowany podbródek: nie za duży, ale i nie za delikatny.

Była bardzo szczerą. Tak, to najważniejsze: szczerą, zawsze kładła kawę na ławę i nigdy nie próbowała ukrywać prawdziwych uczuć.

Może to nie szczerść, tylko głupota? Brak skromności i wycucia, kiedy nie należy się wywnętrzać? Taka już była. Pokaż wszystko, żeby tam nie wiem co!

Sama pomyśl: kiedy myłyśmy się razem każdego wieczora, Hulan siadała na stołku, rozkładając szeroko nogi, o tak. Szorowała się zawzięcie: piersi, pachy, łydki, uda, plecy i tyłek, tak długo, aż cała skóra pokrywała się czerwonymi plamami.

Później, zupełnie naga, stawała jak pies na czworakach nad wanienką z parującą wodą z kąpieli i zanurzała włosy.

Wstydziałam się za nią i za siebie też, bo wiedziałam, że właśnie tak ukazuję się mężowi każdej nocy. Próbowałam na nią nie patrzeć. Udawałam, że mycie zupełnie mnie pochłania. Chudymi ramionami zasłaniałam piersi, owijałam się w talii jednym kawałkiem materiału, a drugim myłam się pod spodem, starając się robić to jak najdyskretniej. Mimo to nie mogłam oderwać od niej oczu. Wyglądała paskudnie. Widziałam, jak majta głową w wanience jak wariatka, podnosi się i mocnymi rękami wyciska włosy jak ścierkę. Wstawiała, wsadzała sobie ręcznik do ucha, wycierała nos, a potem całe ciało, śmiejąc się ze mnie:

- Uważaj no tylko! Cała woda wyparuje, zanim skończysz się myć.

Wkrótce potem zaczęliśmy chodzić razem na spacer. Hulan zawsze miała mnóstwo dziwnych pomysłów. Wciąż dowiadywała się o czymś nowym, a to od jednej z żon, a to od któregoś pilota lub sprzedawcy z miasta. Wydawało się, że rozmawia ze wszystkimi, byle tylko znaleźć jakąś sensację. Kiedyś usłyszała o magicznym źródle.

- Woda z tego źródła - mówiła - jest przejrzysta jak kryształ, ale ma ciężar złota i słodycz miodu. Jeśli zajrzysz do sadzawki, zobaczysz własne odbicie, jak w lustrze. A znów pod innym kątem dojrzysz dno, pokryte czarnymi kamieniami. Słyszałam, że można napełnić tą wodą filizankę, a potem próbować przelać, wrzucając trochę czarnych kamyków. Ale nie uleje się ani jedna kropla, taka jest ciężka! Powiedział mi o tym jeden mnich.

Jednak kiedy doszliśmy do owego źródła, okazało się, że stoi tam tylko herbaciarnia, gdzie za wygórowaną cenę podają napój o dziwnym smaku. Hulan skosztowała oczywiście i uznała, że to najprawdziwsza magia. Herbata dostała jej się wprost do krwi, natychmiast doszła do serca i wątroby, dając uczucie całkowitego spokoju. Moim zdaniem po prostu zrobiła się senna, bo akurat zbliżała się pora sjesty.

Innym razem oznajmiła, że dowiedziała się o pewnym miejscu w mieście, gdzie serwują zupę o nazwie „kocie uszy”, a w oknie tej restauracji siedzi z tuzin kotów z obciętymi uszami na dowód, że używa się tam składników najwyższej jakości. Nigdy nie udało nam się jej znaleźć. Potem dowiedziałam się, że „kocie uszy” to po prostu miejscowa nazwa zupy *wonton*.

Zaczęło mi się zdawać, że ludzie po prostu lubią nabierać Hulan, patrzeć, jak szczeka jej opada na wieść o różnych fantastycznych wymysłach, a potem naśmiewać

się za jej plecami. Było mi przykro, tak przykro, że nie chciałam być pierwszą osobą, która powie, że tak naprawdę ktoś z niej zwyczajnie zażartował.

Później zaczęło mnie to denerwować. Pomyślałam, że Hulan udaje tylko niewiniątko skłonne uwierzyć każdemu, kto powie: „Idź zobaczyć białego węża o kształtach kobiety”, „idź zobaczyć jaskinię śpiewających fletów”.

Wreszcie zaczęłam się wykręcać od jej zaproszeń. Mówiłam, że jestem zmęczona, boli mnie brzuch albo puchną mi stopy, więc nie mogę daleko chodzić. Powtarzałam wciąż te wymówki, więc często stawały się prawdą. Myślenie *daomei*.

Tak to właśnie wyglądało między nami. Ona z ziarenka wyobraźni umiała wyhodować pole nadziei, a ja, nieświadomie, ze wszystkich swoich wykrętów poczęłam dziecko.

X

Szczyście w Lojang

Nie wiedziałam nawet, że zaczęła się wojna. Teraz myślisz pewnie, jaka to idiotka z mojej matki: nie wie nawet o wybuchu wojny.

Ale powinnaś wiedzieć, że wiele było takich jak ja. Nie głupich, tylko nieświadomych. W tamtych czasach nikt ci o niczym nie mówił. I ty też nie wiedziałaś, skąd wziąć oficjalne informacje ani nawet kogo pytać. Nasi mężowie o niczym nam nie wspominali. Mogłyśmy tylko coś podsłuchać.

Jeżeli czytało się o czymś w gazetach, też nie do końca można było temu wierzyć, nie na sto procent. Gazety donosiły tylko o tym, co chciał ujawnić rząd, bardzo niewiele, same dobre rzeczy o ich stronie i same złe o przeciwnikach. Nie mówię o tym, co teraz robią w Chinach. Tak samo działo się w czasie wojny i nawet przedtem. Może zawsze tak było? Trzymanie ludzi w nieświadomości, taki dziwny obyczaj, choć nikt go tak nie nazywa.

Większość naszych wiadomości pochodziła z plotek przekazywanych z ust do ust. Nie rozmawiałyśmy zbyt wiele o walkach, ale raczej o tym, co nas bezpośrednio dotyczyło. Dokładnie tak samo jak wy tutaj: czy akcje poszły w górę albo spadły, czego nie można nigdzie kupić, i takie tam.

Oczywiście kiedy się teraz nad tym zastanawiam, wiem, co rozpętało wojnę. Uważasz, że zaczęła się w Europie? Widzisz, może ty też nie wszystko wiesz. Zaczęła się w Chinach, w północnym Pekinie, od strzelaniny w środku nocy. Kilku ludzi zabito, ale dostało się też Japończykom.

Nie wiedziałaś o tym? Nawet ja wiedziałam. Oczywiście kiedy usłyszałam o tym po raz pierwszy, nie zwróciłam specjalnie uwagi. Takie małe starcia zdarzały się w Chinach od wielu lat. Wyglądało więc na to, że nastąpiła tylko niewielka zmiana, tak jak latem, kiedy zaczynamy narzekać na upał trochę wcześniej niż poprzedniego dnia. Taki właśnie pozostał mi w pamięci początek wojny, pogoda, lepki upał, który spowalniał zarówno myśli, jak i nogi.

W tamtym czasie Hulan i ja myślałyśmy tylko o potrawach, które mogłyby nas trochę ochłodzić. Wciąż się wachlowałyśmy albo z pomocą packi odganiałyśmy gryzące muchy. W ciągu dnia nie robiłyśmy nic prócz picia gorącej herbaty, brania chłodnych kąpieli i ucinania sobie długich drzemek. Siedziałyśmy na werandzie, odsuwając krzesła coraz dalej, w miarę jak słońce zjadało cień.

Często źle się czułam albo byłam zbyt rozdrażniona, by rozmawiać. Hulan paplała jak hałaśliwy ptak. Twierdziła, że dobrze wie, czemu tak się czuję.

- To jedzenie tutaj! Nie podają nic świeżego, wciąż ten sam kwaśny posmak - mówiła.

Nie odpowiadałam, ale ciągnęła dalej:

- Tam na dole jest jeszcze gorzej - powiedziała, wskazując w stronę miasta. - Parno i obrzydliwie, jak w zawszonej łaźni. Smród z rynsztoków aż bije w nos.

Takie gadanie nie pomagało mojemu żołądkowi.

Wieczorem piloci i instruktorzy wracali do klasztoru na kolację. Wszyscy jedliśmy w wielkiej wspólnej sali. Amerykanie woleli swoje produkty, od których pot spływał im do talerzy.

- Za dużo ciężkostrawnych potraw, jak na taką pogodę - szeptaliśmy między sobą.

Na sam widok robiło mi się niedobrze. Hulan i Jiaguo jedli razem ze mną i Wen Fu. Spędziliśmy tak ze sobą wiele posiłków i pamiętam, że zastanawiałam się często, jak bardzo mąż Hulan różni się od mojego.

Jiaguo był starszy od Wen Fu o dziesięć lat, może nawet więcej. Miał rangę kapitana, więc także dużo więcej władzy, a jednak wcale na to nie wyglądał.

Pewnego wieczora usłyszeliśmy, jak Hulan go karci, mówiąc, że nie powinien jeść tego czy tamtego ze względu na stan kiszek. Innym razem oznajmiła, że znalazła książkę, którą położył gdzieś przez roztargnienie. Potem znów opowiadała, że uprała właśnie jego brudną bieliznę, ale plamy z kałesonów nie chciały zejść.

Słyszając to, patrzyliśmy z Wen Fu na Jiaguo, czekając na jakąś gwałtowną reakcję, ale ani nie wyglądał na złego, ani się nie przejmował, choć, jak Wen Fu opowiedział mi później, zdarzały mu się wybuchy; raz rzucił w jednego z pilotów krzesłem i chybił ledwie o włos. Gadanie Hulan wyraźnie ignorował. Nie przestawał jeść, mruczając tylko „aha, aha” na każdą jej uwagę.

Wen Fu z pewnością zabroniłby mi się z nią widywać, gdyby tylko mógł, ale przecież nie wypadało mu powiedzieć, żebym nie okazywała uprzejmości żonie przełożonego. Zamiast tego często ją wyklinał:

- Taka kobieta to kurwa i wcielona lisica - powtarzał. - Wolałbym mieć martwą żonę niż taką.

Nie odpowiadałam. W duchu zazdrościłam Hulan, że trafił jej się tak pobłażliwy mąż, choć wcale na to nie zasługiwała. Z drugiej strony nie podziwiałam Jiaguo. Raczej było mi go żal, że żona obnaża tak przy świadkach wszystkie jego słabości. Oczywiście wtedy nie znałam jeszcze prawdziwej historii ich małżeństwa i przyczyn, dla których tolerował Hulan.

Po kolacji wszyscy mężczyźni, Amerykanie i Chińczycy, zostawali, by grać w karty. Kiedy próbowałyśmy wyjść na dwór, żeby poodychać świeżym powietrzem, na nasz widok komary bzyczały radośnie: bzzz! bzzz! i zaganiały nas do środka.

Wraz z Hulan i innymi kobietami zostawałyśmy więc, by przyglądać się grze w dymie cygar i papierosów, oparach potu obcokrajowców i chińskiej whisky.

Wtedy się dowiedziałam, że mój mąż jest ogromnie popularny wśród kolegów. Ktoś zawsze zajmował dla niego miejsce przy stole, stojącym najbliżej wentylatora, inni częstowali go papierosami i podsuwali drinki. Wen Fu dziękował, śmiejąc się głośno i waląc ręką w stół. Szybko zarażał pozostałych. Dołączali do niego, śmiejąc się i tłukąc w białe.

Pewnego razu Wen Fu podskoczył i zapytał:

- Chcecie zobaczyć, czego nauczył mnie dzisiaj amerykański instruktor?

Dwóch kolegów zachęciło go, a potem pękali ze śmiechu, kiedy nadął policzki, wziął się pod boki i kiwając się w przód i w tył, warczał jakieś nonsensy.

Widziałam, że jego śmiałość i brawura robi na nich duże wrażenie; bardzo chcieli go naśladować. Wen Fu zachowywał się tak, jakby już był bohaterem, który nie przegrywa nigdy, bez względu na niebezpieczeństwo. Pozostałym musiało się zdawać, że przebywając w jego towarzystwie i śmiejąc się tak jak on, staną się do niego podobni.

Umiał ich także przerazić. Raz zerwał się od stołu z taką złością, że napędził wszystkim strachu. Wrzeszczał na siedzącego naprzeciw mężczyznę i stukał w jego odkryte karty.

- Co to za sztuczki? To naprawdę twoje karty? - darł się w kółko.

Młody człowiek, a w zasadzie i wszyscy inni, nie był w stanie się poruszyć ani nawet otworzyć ust. Wen Fu ciągle krzyczał, oparty obiema rękami o stół. Nagle... uśmiechnął się.

- No to świetnie - powiedział, rzucając: pac! swoje zwycięskie karty.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem. Poklepywali oskarżonego chłopaka po plecach i gratulowali Wen Fu udanego żartu.

Wszyscy: Hulan, Jiaguo i inni, uważali, że Wen Fu jest mądry, dowcipny i czarujący. Ja też śmiałam się nerwowo. Przekonałam się, że mój mąż prowadzi tę grę nie tylko ze mną, lecz także ze swoimi przyjaciółmi. Widziałam jasno, że to, co robi, jest złe i okrutne, ale nikt jakoś nie podzielał mojego zdania.

Może więc nie powinnam zarzucać sobie ignorancji? Inni piloci, bystrzy, mili ludzie, nie widzieli tego, co ja: Wen Fu oskarżał, znęcał się, wrzeszczał i straszył, a kiedy już nie wiedziałaś, gdzie się podziać - nagle odsuwał niebezpieczeństwo, stawał się troskliwy i wybaczący, roześmiany i szczęśliwy. Tam i z powrotem, raz tak, raz tak.

Oczywiście zbijał nas wszystkich z tropu. Zaczynaliśmy myśleć, że najbardziej liczy się jego zadowolenie; gdy był zły, ze wszystkich sił staraliśmy się znów przywołać jego dobrą naturę, pełni lęku, że bez niej nie ma dla nas ratunku.

W letnie popołudnia niebo często ciemniało, a potem dawał się słyszeć pomruk burzy. Na ten dźwięk łapałyśmy z Hulan mały koszyk z jedzeniem, ręczne robótki i inne rzeczy. Co za przygoda!

Szłyśmy potem szybko ścieżką za klasztorem aż do małego pawilonu, usytuowanego na niewielkim wzniesieniu. Miałyśmy stamtąd widok na wilgotno-zielone wzgórze z tyłu, w dole jezioro, a za jeziorem ropiejące miasto. Z tej przystani obserwowałyśmy, jak cały świat tonie w deszczu, aż wreszcie nie było już widać ani miasta, ani wzgórz, tylko delikatną, szarą ścianę ulewy.

Ten pawilon przypominał mi szklarnię na wyspie. Poczułam tęsknotę za domem; nie za wujem i ciotkami, lecz za miejscem, w którym mogłam się ukryć, udawać, że się zgubiłam, i wyobrazać sobie, że ktoś mnie odnajdzie. Wspominałam swoje ubogie skarby: portret matki, obracające się w pył skrzydła motyla, zasuszoną

sadzonkę kwiatu, którą podlewałam każdego dnia, mając nadzieję, że wyrośnie z niej wróżka, która zostanie moją towarzyszką zabaw.

Oczywiście nie zwierzałam się Hulan z tych dzieciennych myśli. Siedziałyśmy w milczeniu, jak dwie stateczne mężatki. Wydaje mi się jednak, że obydwie pogrążyłyśmy się we wspomnieniach, próbując zrozumieć, w jaki sposób tak szybko utraciliśmy dzieciństwo.

Jedno popołudnie szczególnie wryło mi się w pamięć. Biły pioruny, deszcz padał coraz szybciej i mocniej, jakby nigdy już nie miał przestać. Po dwóch godzinach poczułyśmy się nieswojo, chociaż nie dałyśmy tego po sobie znać.

- Trzeba będzie niedługo wracać - powiedziała Hulan. - Nawet jeśli nie przestanie padać.

- Nic się na to nie poradzi. Nie przestanie tylko dlatego, że będziemy się martwić - odparłam.

- A kto mówi o martwieniu? Patrzysz na osobę, która przez całe życie miała do czynienia z powodziami. Woda dochodziła mi do pasa, zanim zdecydowałam się zabrać ze stołu filiżankę z herbatą.

Czekałyśmy dalej. Przeglądałam Szanghajską gazetę, która przed paroma dniami wpadła mi w ręce w jadalni. Tyle ciekawych historii: sławna aktorka zamieszana w wielki skandal; żydowska śpiewaczka z Rosji dająca benefisowy recital po przyjeździe z Manczukuo; bank okradziony dwa razy w czasie dwóch tygodni; brytyjski koń Jeszcze Jedna Miła wygrywa wyścigi. I reklama środka „Yellow”, dzięki któremu można podobno wyleczyć pomieszanie mózgu, negatywne myślenie, troski i ociężałość umysłu. Stara Ciotka kupiła to kiedyś stryjowi.

Nie znalazłam wielu wiadomości o walkach, tylko patetyczne zapewnienia Czang Kaj-szeka, że Chiny nie oddadzą Japonii ani piędzi ziemi.

Czytając, sięgałam co chwila do koszyka z jedzeniem. Zapewne moje własne nerwy i strach przed wojną wywróciły mi apetyt do góry nogami. Często do ostatniej chwili nie wiedziałam, na co mam ochotę. Raz chciałam jednego, ale już po jednym kęsie nie mogłam na to patrzeć, to znów ciągnęło mnie co innego! Zapakowałam więc wszystkiego po trochu i jadłam po trochu, jeden smak naraz, zależnie od potrzeb podniebienia i nastroju żołądka. Słona suszona ryba, słodkie bitki wołowe, słodko-kwaśne marynowane jarzyny i kapusta tak ostra, że parzyła usta i wyciskała łzy z oczu. Tutaj powiedzielibyście na to przekąski.

Jednak nawet ta różnorodność nie wystarczyła. Zapytałam Hulan, czy nie ma czegoś kruchego i słonego. Wtedy właśnie stwierdziła, że z pewnością spodziewam się dziecka.

- Znam się na tym - mówiła, jakby sprowadziła na ten świat setki dzieci. - To nieomylny znak, że coś w twoim wnętrzu ma ochotę poznać wszystkie smaki życia. Sądząc po apetycie, na pewno chłopiec.

Nie wierzyłam jej. Miałam ledwie dziewiętnaście lat, sama jeszcze rosłam. Hulan była młodsza ode mnie, więc niby skąd to wszystko wie? Zerwałam się na nogi, położyłam ręce na biodrach i obciągnęłam sukienkę, żeby popatrzeć na brzuch. Nic. Żadna dziecinna główka nie wyglądała mi z pępka. A jednak coś czułam. Coś tak spragnionego życia, że mogłoby pożreć mnie żywcem.

Później pomyślałam sobie, że to tylko moje własne smutki i ta wieczna chęć, by doświadczyć czegoś nowego, nigdy nie ciesząc się tym, co mam. Stara Ciotka powiedziała mi kiedyś, że podobnie zachowywała się moja matka przed śmiercią.

„Była za silna tutaj - mówiła, wskazując na żołądek. - Wiecznie niezadowolona. Chciało jej się brzoskwiń, kiedy mogła wybierać z dziesięciu rodzajów śliwek”.

- Po prostu brzuch mnie boli - powiedziałam do Hulan. - Wszystko stąd, że ciągle spodziewam się najgorszego.

- A ja ci mówię, że to dziecko - upierała się.

Pokręciłam głową.

- Dziecko - powtórzyła.

- Aj, wydaje ci się, że nie znam własnego ciała?

- No to powiedz mi - ona na to - kiedy ostatni raz krwawiłaś?

Zrobiło mi się gorąco. Powiedziała to na głos, zupełnie jakby rozmawiała o kaszlu, bólu głowy albo paprochu w oku.

- A cóż to ma wspólnego z dzieckiem? - zawołałam, a Hulan przygryzła wargę, żeby się nie roześmiać.

- Czego cię matka uczyła? - zapytała.

Próbowałam sobie przypomnieć słowa Starej Ciotki, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam swoją krew.

Obudziłam się, czując jakąś lepkość. Podciągnęłam koszulę i spojrzałam na nogi.

- Ktoś mnie porąbał - mruknęłam do Orzeszka, sądząc, że to tylko sen.

Na widok krwi zaczęła krzyczeć wniebogłosy. Wskoczyła z łóżka i pobiegła na podwórze.

- Pospieszcie się! - wrzeszczała - ktoś zamordował Weiwei, tak samo jak jej matkę! Już nie żyje! Na pomoc! Na pomoc!

Stara Ciotka wpadła do pokoju, a za nią Nowa Ciotka, dwóch służących, moi kuzyni i wreszcie pomocnik kucharki z tasakiem w ręku. Stara Ciotka podeszła bliżej, przyjrzała mi się i wcale nie wyglądała na przejętą. Machnęła ku drzwiom, każąc wszystkim wyjść.

- Przestań płakać - skarciła mnie, gdy zostałyśmy same.

Weszła Nowa Ciotka z Orzeszką, która gapiała się na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Widzisz, wcale nie umarła - pokazała jej Nowa Ciotka, podając mi jakieś skrawki materiału.

- Posłuchajcie teraz obie uważnie - odezwała się Stara Ciotka. - Krwawienie to znak. Kiedy dziewczyna ma nieczyste myśli, jej ciało musi się w jakiś sposób oczyszczać. Dlatego wycieka tyle krwi. Później, kiedy wejdzie do odpowiednio wybranej rodziny i zostanie przykładną żoną, krwawienie ustanie.

Właśnie tak to ujęła. I rzeczywiście, jej przepowiednia się spełniła: odkąd zostałam przykładną żoną, nie miałam więcej krwawień.

Powiedziałam o tym Hulan.

- Phi! Nic niewarta gadanina - orzekła, spluwając na ziemię.

Ciągle padało. Tamtego popołudnia Hulan opowiedziała mi wiele dziwnych rzeczy, w które nie bardzo mogłam uwierzyć. Niby dlaczego? To ona wierzyła w każdą brednię, jaką jej ktoś wmawiał. Powiedziała na przykład, że w kobiecym ciele buduje się co miesiąc rodzaj gniazda. Niemożliwe! Albo że dziecko wychodzi tą samą drogą, którą mężczyzna wkłada swój interes, a nie przez dziurę w brzuchu. Co za bzdury!

Potem wyjaśniła mi, skąd o tym wie. Powiedziała, że pomagała kiedyś przy porodzie.

- Mówię ci szczerą prawdę. Widziałam, którędy wychodzi dziecko. Nie dalej, jak rok temu.

Tamta dziewczyna zakochała się w jednym z pilotów z Lojang, niedaleko wioski, w której mieszkała Hulan i jej rodzina.

- To biedne stworzenie szukało tylko szansy na odmianę złego losu, podobnie jak wiele innych - ciągnęła Hulan. - Miały nadzieję, że złapią mężów, którzy zabiorą je ze sobą. Ta też niczym się nie wyróżniała. Nie była specjalnie piękna i mogła się spodziewać, że wydadzą ją za jakiegoś starego rolnika albo jednookiego naprawiacza garnków. Dożywotnia gwarancja ciężkiej pracy i ani odrobiny szczęścia. Kiedy spotkała pilota, oddała mu się oczywiście. To maleńka szansa, ale zawsze miała się na czym oprzeć.

Hulan widziała, że jej nie wierzę.

- Wiem, że trudno ci to sobie wyobrazić - powiedziała. - Twoja sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Zawsze wiedziałas, że wyjdiesz za kogoś przyzwoitego, więc nie musiałaś się martwić.

Zabrzmiało to jak oskarżenie. Pomyślałam, że pewnie postąpiła tak samo jak tamta dziewczyna: oddała się Jiaguo, a nuż się uda. Poszczyściło jej się i szansa przemieniła się w męża.

- Kiedy miała niedługo rodzić - ciągnęła - poprosiła, bym poszła z nią do domu tego pilota. Bardzo ją bolało i musiałyśmy co chwila przystawać. Dotarliśmy do koszar. Pilot okropnie rozzłościł się na jej widok. Wrzasnął na kolegów i kazał im wyjść. Stałam na zewnątrz, ale wszystko słyszałam. Błagała go, by się z nią ożenił. Nie chciał o tym słyszeć. Obiecywała, że urodzi chłopca, ale odparł, że nic go to nie obchodzi. Zaproponowała, by wziął ją jako konkubinę, a potem ożenił się z kim innym. Odmówił. Rozplakała się: nie miała już po co się wstydzić. Krzyczała, że nie ma już w życiu szans, bo wszystkie zużyła na niego, że nigdy nie znajdzie męża. Wszyscy w wiosce dowiedzą się, jakie z niej ziółko, a rodzina wyrzuci ją z domu. Dziecko też nie ma żadnych szans, przyszłość bez przyszłości.

Potem zaczęła zachowywać się jak wariatka, krzycząc i zawodząc. Wbiegłam do środka. Ścisnęła się w pasie i przeklinała go: „Równie dobrze możesz zabić nas oboje - mówiła. - To lepiej, niż gdybyśmy mieli powoli umrzeć z głodu. Ale potem jeszcze nas zobaczysz! Ściągniemy cię z nieba!”

Pilot strasznie się rozzłościł, słysząc te przekleństwa. Uderzył ją tak mocno, że upadła, uderzając brzuchem o poręcz krzesła. Zwinęła się na podłodze. Uderzenie jej nie zabiło, poręcz też nie, ale kiedy tak leżała na podłodze, dziecko zaczęło wychodzić. Wrzeszczała i jęczała, cofając się jak krab. Krzyczała do dziecka: „Nie wychodź! Nie masz po co!”

Podbiegliśmy do niej wraz z pilotem. Podciągnęłam jej sukienkę i zobaczyłam czubek dziecinnej główki. Później wyskoczyła cała główka, ale wokół szyi owijała się lina. Miało niebieską buzię i wytrzeszczone oczy. Ze wszystkich sił próbowałam wyciągnąć dziecko albo zdjąć mu z szyi linę, ale dziewczyna za bardzo się rzucała. „Leż spokojnie!” - krzyknął na nią pilot. Złapała go za włosy i nie chciała puścić.

Teraz wszyscy troje darliśmy się i wrzeszczeli. Dziecko wyciągało z niej wnętrzności, ona wrywała pilotowi włosy, ja ciągnęłam dziecko. Wydawało się, że już dłużej nie damy rady. Dziewczyna opadła na plecy i zaczęła się szarpać. Wiła się i rzucała. Cała się trzęsła. Wzięła głęboki oddech, jakby nie mogła złapać dość powietrza. Wypuściła. Wzięła drugi i... nic. Nie oddychała więcej. Co za nieszczęście! Zanim jedno życie zdążyło się zacząć, drugie się skończyło. A dziecko z niebieską główką sterczącą z jej ciała pociemniało i umarło.

Hulan urwała. Mięła brzeg sukienki i zagryzała wargi. Myślałam, że już skończyła.

- Jakie to smutne! - powiedziałam. - Masz rację, mamy dużo szczęścia.

Ale Hulan nie dojrnęła jeszcze do końca. Zaczęła płakać.

- Nie wiem nawet, czy to był chłopiec, czy dziewczynka. Moja matka nie zgodziła się, by ją rozciąć i sprawdzić. Powiedziała, że nie wyśle na tamten świat córki z rozkrojonym brzuchem. Nie chciała też składać do ziemi pierworodnego wnuka bez głowy, więc pochowali ją tak, z dzieckiem wystającym do połowy. - Hulan spojrzała mi prosto w oczy. - Zgadza się - powiedziała, wciąż płacząc. - To była moja siostra. A ten pilot to Jiaguo. Tak się przejął przekleństwami mojej siostry, że ożenił się ze mną.

Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Wreszcie Hulan odezwała się już trochę spokojniej:

- Wiem, że ożenił się ze mną wyłącznie ze strachu. Nie chciał, żeby się zjawiała i ściągnęła go razem z samolotem na ziemię. Mimo to wysłałam za niego, myśląc, że w ten sposób ją pomszczę. Wyobrażasz sobie, jak strasznie złościli się moi rodzice. Mówiłam im, że wychodzę za niego tylko po to, żeby cierpiał do końca życia i żeby nigdy nie zapomniał o mojej siostrze i nieszczęściu, jakie na nią sprowadził.

Skąd miałam wiedzieć, że Jiaguo okaże się takim dobrym człowiekiem? Wiesz przecież, poznałaś jego charakter. Był taki skruszony, taki smutny. Zawsze dobrze mnie traktował, kupił mi ładne ubrania, poprawia moje maniery i nigdy się ze mnie nie śmieje. Skąd miałam wiedzieć, że taki będzie?

Hulan popatrzyła na nieustanny deszcz.

- Czasami wciąż czuję do niego urazę - powiedziała cicho - ale czasami myślę o tym trochę inaczej. W końcu to nie on ją zabił. Umarłaby przy porodzie i jako mężatka, i jako panna. Czasem zdaje mi się, że siostra się na mnie gniewa. Dziecko zwisa jej pomiędzy nogami, a ona przeklina mnie za to, że wyszłam za mężczyznę, który miał zostać jej mężem.

Odtąd zaczęłyśmy sobie powierzać sekrety. Najpierw ja zwierzyłam się z nieznamości własnego ciała, potem usłyszałam, jak zamiast zemsty znalazła szczęście. Opowiedziałam jej później o Orzeszku i o tym, że to jej przeznaczony był Wen Fu.

- Czyli dla nas obu los odmienił się w samą porę! Co za szczęście - zawołała.

Nic nie powiedziałam. Wyjawiałam jej tylko połowę sekretu, bo nie byłam już pewna, czy rzeczywiście mi się poszczęściło.

Poczekaliśmy z nowinami do wieczora. Wybieraliśmy się spać i Wen Fu sięgnął po mnie.

- Musimy teraz uważać - powiedziałam - spodziewam się dziecka.

Zmarszczył brwi. Wyobraź sobie, że na początku wcale nie chciał wierzyć. Opowiedziałam mu więc o apetycie, mdłościach i jak to wszystko oznacza nowe życie. Nie odzywał się. Może nie umiał po prostu wyrazić swoich uczuć. W każdym razie nie pokazał nic po sobie. Większość mężczyzn chodziłaby pewnie dumna jak paw, chwając się na prawo i lewo. Wen Fu powiedział tylko: „Naprawdę?” i zaczął się rozbierać.

Nagle nachylił się i objął mnie, całując w czoło i oddychając tuż przy moim uchu. Przez chwilę zdawało mi się, że daje mi w ten sposób do zrozumienia, jak bardzo cieszy się z dziecka. Wydało mi się, że nareszcie go zadowoliliam, i spodobała mi się myśl, że mogę rodzić mu jeszcze więcej dzieci.

Jednak to uczucie trwało bardzo krótko. Wen Fu dotknął moich ud i zaczął podciągać mi sukienkę. Jak mógł myśleć o tym teraz? Zaprotestowałam nieśmiało, ale to go tylko jeszcze bardziej zachęciło. Próbował rozsunać mi nogi.

- Rośnie we mnie dziecko - powiedziałam. - Nie możemy już tego robić.

Oczywiście nie miałam pojęcia, o czym mówię, ale Wen Fu nie okazał mi najmniejszego zrozumienia czy współczucia. Zaśmiał się tylko i nazwał mnie głupią większą dziewczyną.

- Chcę tylko zadbać, żeby urodził się chłopiec - wyjaśnił, po czym popchnął mnie na łóżko i rzucił się na mnie.

- Przestań - jęknęłam, a potem powtarzałam coraz głośniejsze: - Przestań! Przestań!

Zatrzymał się i spojrzał na mnie z gniewem. Nigdy dotąd nie krzyczałam na męża. Może to dziecko sprawiło, że nagle chciałam się bronić? Jednak patrzył na mnie z tak straszną złością, że w końcu powiedziałam „przepraszam”. Dokończył bez słowa.

Następnego dnia znów zwierzyłam się Hulan, myśląc, że znajdę u niej siostrzane współczucie. Opowiedziałam jej, że mój mąż ma „nienaturalne potrzeby” i „wybijała męskość”. Zachowywał się tak każdej nocy, nawet po tym, kiedy dowiedział się o dziecku. Tak bardzo się martwiłam, że pozwoliłam sobie znów zawracać jej głowę swoimi problemami.

Hulan popatrzyła na mnie bez wyrazu. Może zaszokowały ją moje szczere wyznania?

- Też! A cóż to za problem! - powiedziała w końcu. - Powinnaś się cieszyć. W końcu stąd wzięło się dziecko, prawda? - dodała z drwiną. - Takie pożądanie nie dziecku nie robi, to tylko mała niewygodna dla ciebie. Ale niby czemu nie miałabyś tego zrobić dla swojego męża? Powinnaś być wdzięczna, że wciąż jeszcze ma na ciebie ochotę. Jak przestaniesz go interesować, to po prostu pójdzie gdzie indziej i wtedy się przekonasz, co znaczy nieszczęśliwe małżeństwo.

Teraz ja nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Spodziewałam się współczucia, a zamiast tego dostałam reprimendę. Hulan ani myślała przestać.

- Skąd wiesz, czy coś jest dobre, czy złe? Jeśli zdaje ci się, że coś się źle gotuje, to oczywiście jak skosztujesz, nie będzie ci smakowało.

Nie znałaś cioci Helen od tej strony? Teraz wiesz, że potrafi też być podła! Ale zachowuje to tylko dla mnie. Nie wiem, dlaczego. Może tylko mnie może się taka pokazać.

Wiesz co? Zdaje mi się, że Helen zachowuje się tak, kiedy coś ją trapi, ale nie może o tym mówić. Zaczyna być przykra, żeby to ukryć.

Oczywiście tamtego dnia bardzo mnie zraniła. Poczułam się okropnie mała, prawie zniknęłam. Musiało minąć wiele lat, zanim się dowiedziałam, dlaczego tak mi powiedziała. Nie wiedziałam, że dusi w sobie tajemnicę, okazując na zewnątrz tylko gniew. Ale o tym opowiem ci innym razem.

W tym samym pawilonie, jakiś tydzień później, dowiedziałam się z całą pewnością, że zaczęła się wojna.

Hulan zdrzemnęła się po obiedzie. Zaczęła się burza i postanowiłam iść do pawilonu sama, by napisać list do Orzeszka. Opisywałam same przyjemne rzeczy: interesujące widoki, łódki na jeziorze, świątynie, które zwiedzałam. Przypuszczałam, że przyjedziemy niedługo do domu, może nawet za kilka miesięcy. Miałam nadzieję, że wrócimy do Szanghaju przed Nowym Rokiem, tak żebym mogła pokazać wszystkim synka.

Nagle zobaczyłam, że do pawilonu biegnie Hulan. Mokre ubranie oblepiało nieprzyzwoicie jej tłuste ciało.

- Odlatuj! Już teraz! - krzyknęła, zanim jeszcze do mnie dopadła.

Chennault pojawił się w bazie lotnictwa, przyjechali także chińscy przywódcy z północy i południa. Zebrano już wszystkich pilotów. Każdy powtarzał to samo: „Nie ma już czasu na przygotowania. Trzeba ruszać”.

Pędem wróciliśmy do klasztoru i w mokrych ubraniach zaczęliśmy pakować kufry naszych mężów. Starannie ułożyłam czyste koszule i spodnie Wen Fu, skarpety i nowy, dobry koc. Ręce mi się trzęsły i serce waliło jak młotem. W Chinach wybuchła wojna. Wen Fu może zginąć i mogę go już nigdy nie zobaczyć. Zastanawiałam się, czy naprawdę kochałam go przez cały czas, i zdałam sobie z tego sprawę dopiero teraz.

Cieżarówka zaczęła trąbić, dając nam znak, że czas wyruszyć do bazy Sił Powietrznych. Pobiełam, żeby powiedzieć o tym Hulan. Zobaczyłam, że jeszcze nie skończyła. Szukała czegoś w szufladach biurka i we włosach. Płakała ze zdenerwowania i mówiła do siebie:

- Na którym zdjęciu wyglądam jak ładna żona? Co mu dać na szczęście? Gdzie ta książka, o której wciąż zapomina?

Na lotnisku nikt się nie kwapił, by nam powiedzieć, dokąd lecą nasi mężowie. Ponad ścianą deszczu widziałyśmy błękitne niebo i białe obłoki. Byłyśmy podniecone i dumne. Ktoś zaprowadził nas do wilgotnego pokoiku z niewielkim, zniszczonym

okienkiem, przez które wszystko wyglądało na małe i groźne. Deszcz lał się strumieniami na wąski pas startowy. Piloci stali pod skrzydłami samolotów. Ktoś wskazywał śmigło, kto inny biegł ze skrzynką narzędzi. Jiaguo chodził od jednego samolotu do drugiego, trzymając płachtę papieru, pewnie mapę, powiewającą na wietrze.

Śmigła zaczęły się kręcić, a silniki warczały coraz głośniejsze. Ze wszystkich sił starałam się nie patrzeć po pozostałych, nie odzywać się, żeby nie wymknęło mi się ani jedno słowo, które mogłoby sprowadzić na nas nieszczęście. Chyba wszystkie czułyśmy się tak samo, stojąc cicho i nieruchomo, nagle niepewne.

Deszcz, para i dym kłębiły się wokół, więc wyglądało, że samoloty ruszają się niemrawo jak we śnie. Kiedy się oddalały, Hulan zaczęła machać. Machała coraz mocniej, a po policzkach spływały jej łzy. Samoloty pędziły po pasie, a ona, jak zraniony ptak, machała z furją, zupełnie jakby jej wysiłek, wszystkie życzenia i nadzieje mogły bezpiecznie poderwać je z ziemi i poprowadzić do zwycięstwa.

Oczywiście następnego dnia dowiedziałyśmy się, co tak naprawdę się wydarzyło.

XI

Pięć pięknieć i cztery szczeliny

Pamiętasz tę upartą dziewczynę, z którą się kąpałyśmy? To ona opowiedziała, co się stało w Szanghaju, dokąd poleciały samoloty w obronie całych Chin.

Przyszła do jadalni, gdzie się zebrałyśmy, słuchając radia. Wiedziałyśmy już, że naszym mężom nic się nie stało, a teraz nastawiałyśmy uszu, by złapać każde słowo dobrych nowin. Opowiadano o zwycięstwie.

- Czego wy słuchacie! - powiedziała gorzko. - To tylko puste słowa.

Spojrzałyśmy na nią. Miała oczy czerwone jak zły duch.

Wtedy nam powiedziała. Mężczyzna, który zawsze zajmował memu mężowi miejsce przy stole blisko wentylatora - zginął. Młody chłopak, na którego wrzeszczał Wen Fu, zginął także. Nie żył też mąż tej upartej dziewczyny.

- Myślicie, że się wam udało, bo wasi mężowie ocaleli. Mylicie się!

I opowiedziała, jak to późną nocą nasze samoloty nadleciały nad port w Szanghaju, który aż pękał w szwach od japońskiej floty. Liczyli na pełne zaskoczenie. Jednak jeszcze zanim osiągnęli cel, japońskie samoloty spadły im na kark: dobrze wiedzieli o planowanym ataku. Nasi piloci stracili głowy i w wielkim pośpiechu zaczęli zrzucać bomby. Lecieli bardzo nisko, więc bomby spadły na Szanghaj, na dachy domów i sklepów, na tramwaje i setki ludzi. Zginęli sami Chińczycy, a statki Japończyków dalej kiwały się na wodzie.

- Wasi mężowie to żadni bohaterowie. A ci wszyscy ludzie, tamci piloci i mój mąż oddali życie za mniej niż nic - dokończyła i wyszła.

Zapadła cisza, którą wreszcie przerwała Hulan.

- Niby skąd ona wie, co tak naprawdę się zdarzyło? - zapytała ze złością, po czym dodała, że i tak się cieszy, bo Jiaguo nic się nie stało.

- Przynajmniej to wiemy na pewno - dodała. Wyobrażasz sobie? Na oczach nas wszystkich okazała radość bez najmniejszych skrupułów. Skąd wziął się u niej taki egoizm?

Nie skarciłam jej za złe maniery. Próbowalam poprawić ją po siostrzanemu:

- Jeżeli powiedziała prawdę, powinniśmy się skupić nad tą tragedią. Trzeba zachować powagę i nie pozwolić, żeby zakłóciło nam ją nasze prywatne szczęście.

Hulan przestała się uśmiechać. Otworzyła usta i widać było, że nowa myśl ożywiła jej umysł.

„Dobrze - pomyślałam sobie. - Nawet jeśli brak jej wykształcenia, to jednak szybko się uczy”.

Ale wtedy Hulan zmarszczyła brwi i twarz jej pociemniała.

- Takiego myślenia nie jestem w stanie pojąć - powiedziała.

- Musimy brać pod uwagę całą sytuację, nie tylko naszych mężów - wyjaśniłam jeszcze raz. - Zawsze może skończyć się gorzej.

- Aj-ja! *Daomei!* - zawołała, zakrywając ręką usta. - Jak możesz używać takich pechowych słów? Chcesz zatruć wszystkim przyszłość?

- To nie są pechowe słowa - wyjaśniałam. - Mówię tylko, że powinniśmy zachować się praktycznie. Toczy się wojna. Trzeba czuć sercem, ale cały czas jasno myśleć głową. Jeśli będziemy udawać, że niebezpieczeństwo nie istnieje, to jak mamy go unikać?

Ale Hulan już mnie nie słuchała.

- Nigdy nie słyszałam równie trujących słów! - krzyczała z płaczem. - Jaki pożytek z takiego myślenia? Taki, że złe słowa ściągną złe rzeczy?

Gadała tak w kółko, jak szalona. Kiedy teraz o tym myślę, widzę, że właśnie wtedy w naszej przyjaźni pojawiło się pięć pęknięć i cztery szczeliny. To Hulan zniszczyła harmonię między nami. Uwierz mi, właśnie wtedy pokazała prawdziwy charakter. Nie była taką łagodną prostaczką, za jaką starała się uchodzić. Umiała rzucać słowa ostre jak noże.

- Mówisz, że i nas spotka tragedia. Mówisz, że któryś mąż może jeszcze zginąć - krzyczała. - Dlaczego nie możesz być szczęśliwa i cieszyć się tym, co masz?

Wyobrażasz sobie? Oskarżała mnie tak przy wszystkich! Stawiała pytania, na które nie było dobrych odpowiedzi, i próbowała wmawiać, że to ja powiedziałam coś nie tak.

- Wcale nie - odparowałam natychmiast.

- Wciąż tylko myślisz o najgorszym. Znów te kłamstwa.

- Nic podobnego. Praktyczność to nie to samo, co kuszenie losu.

- Jeżeli można zobaczyć coś na pięć sposobów - powiedziała, machając palcami jednej ręki - ty zawsze wybierzesz najgorszy. - Tu wyciągnęła kciuk jak zgniłą rzepę.

- Wcale nie. Mówię tylko, że nasze własne szczęście to nie jest najważniejsza rzecz w czasie wojny. Niczego w ten sposób nie powstrzymasz. - Tak się rozłościłam, że już sama nie wiedziałam, co mówię.

- Czang Kaj-szek obiecuje, że powstrzyma wojnę! - wrzeszczała. - Wydaje ci się, że twoje myśli są silniejsze od niego?

Pozostałe kobiety wpatrywały się we mnie. Żadna nie spróbowała powstrzymać kłótni. Nie powiedziały: „Siostry, siostry, obie macie rację. Tylko nie do końca się rozumiecie”. Widziałam, że mocne słowa Hulan zniszczyły już ich umysły, zostawiając wielkie dziury w miejscu, gdzie mogło się znaleźć zrozumienie. Nic dziwnego, że nie mogły dostrzec śmieszności w argumentach Hulan.

- *Suanle* - powiedziałam w końcu. - Nieważne. I wróciłam do swego pokoju.

Na to wspomnienie wciąż jeszcze ogarnia mnie złość. Wszystko dlatego, że ona zupełnie się nie zmieniła. Sama widzisz. Nagina każdą rzecz, jak jej wygodnie. Jeśli coś idzie źle, ona nazywa to dobrym. Zaprzecza wszystkiemu, co mówię, i tak manewruje, żeby zawsze wychodziło, że nie mam racji. Później muszę się kłócić sama z sobą, żeby nie przeinaczać prawdy.

Tak czy inaczej, po tamtej kłótni siedziałam na łóżku, myśląc o jej drwinach. Mówiłam sobie, że to ona powtarza zawsze głupstwa i to z niej śmieją się ludzie za plecami. Wreszcie, żeby wyrzucić z głowy jej słowa, zaczęłam się rozglądać za czymś do roboty. Otworzyłam szufladę i wyciągnęłam materiał, który dała mi Nowa Ciotka: belę bawełny, wyprodukowaną w jednej z naszych fabryk.

Materiał był jasnozielony, w małe, złote kółka; odpowiedni na lato. Miałam już przed oczami fason, wzorowany na sukience, jaką widziałam w Szanghaju na pewnej beztroskiej dziewczynie. Wspominając ten obraz, zaczęłam robić wykrój.

Wyobrażałam sobie siebie na miejscu tej dziewczyny, szybującej w zielonej sukience, wśród pełnych podziwu szeptów przyjaciół: „Stroje ma równie wytworne jak maniery”. Nagle usłyszałam krytyczny głos Hulan: „Zbyt wymyślna jak na to, żeby ją nosić po śmierci męża”.

Natychmiast się pomyliłam i wykroiłam za dużą packę, oto jak mnie wyprowadziła z równowagi. Popatrz tylko, co zrobiła! Przez nią nie mogę się skupić. Co gorsza, skrzywiła mi umysł i poddała bardzo złą myśl, która sama z siebie nigdy

nie przysłaby mi do głowy. Nigdy. Teraz jednak wyskoczyła i zaczęłam ją gonić. Wyobrażałam sobie, jak niedługo Hulan powie: „Przykro mi, ale twój mąż zginął. Zły los ściągnął go z nieba”.

- O nie - mówiłam do siebie. - Bogini miłosierdzia, nie pozwól mu umrzeć. Jednak im bardziej odpychałam tę myśl, tym bardziej upierała się, by zostać.

„Nie żyje” - powie Hulan, pewnie się nawet uśmiechnie, a ja wpadnę w złość i zacznę krzyczeć jak ta zarozumiała dziewczyna, która straciła męża. Potem przyszło mi do głowy, że może powinnam się rozplakać i wyglądać na smutną, lamentując nad moim pozbawionym ojca dzieckiem. Tak, to wyglądało bardziej odpowiednio.

Później moje myśli pobiegły w inną stronę: czy będę musiała wrócić na wyspę i zamieszkać ze Starą i Nową Ciotką? Może nie, zwłaszcza jeśli ponownie wyjdę za mąż. Postanowiłam, że następnym razem sama wybiorę sobie męża.

Przestałam szyc. O czym ja myślę? Zdałam sobie sprawę, że szczerze pragnę, by Wen Fu zginął. Nie dlatego, bym go nienawidziła, o nie. To przyszło później, kiedy wszystko jeszcze się pogorszyło.

Tamtej nocy kłóciłam się w myślach z Hulan i z samą sobą. Czasami dziewczęta popełniają błędy, które niekiedy da się naprawić. Wojna mogła to odmienić i nikogo nie da się za to winić. Ot, jedno niepowodzenie zamienione na inne. Wszystko mogło się jeszcze zdarzyć.

Skończyłam szycie, wyciągnęłam fastrygę. Nałożyłam sukienkę przez głowę. W tym czasie mój brzuch i piersi zaczęły puchnąć z powodu dziecka. Udało mi się włożyć tylko jedno ramię, zanim zdałam sobie sprawę, że utknęłam.

O, wydaje ci się, że to takie śmieszne? Utknąć w sukience, utknąć w małżeństwie, utknąć w przyjaźni z Hulan. Zastanawiam się czasem, jak to możliwe, że nadal się przyjaźnimy i nawet robimy razem interesy. Może dlatego, że ścierałyśmy się tak bardzo przez te pierwsze dni? A może dlatego, że w pobliżu nie było nikogo innego? Zawsze musiałyśmy wynajdować przyczyny dla podtrzymywania przyjaźni. Może te przyczyny nadal istnieją? Tak czy inaczej, oto, co się stało po wielkiej kłótni:

Kilka dni później przyszła wiadomość z Sił Powietrznych, że niedługo wyślą nas do Jangczou, gdzie dołączymy do mężów.

Usłyszałyśmy o tym przy śniadaniu i nie bardzo chciałyśmy wierzyć. Zdawało nam się, że bomby zaczną nam niedługo spadać na głowy.

- Musi nadciągać wielkie niebezpieczeństwo - odezwałam się - i dlatego nas stąd odsyłają.

Jedna z kobiet, Lijun, powiedziała:

- Wobec tego powinniśmy wyruszyć natychmiast. Dlaczego mamy czekać jeszcze dwa dni?

- I dlaczego do Jangczou? - dodała druga, Meili. - Bomby mogą spaść równie dobrze i tam.

- Pewnie dlatego, że Jangczou to niedobre miejsce - myślałam na głos. - Miasto, na które Japończycy nigdy by się nie połączyli, więc nie ma zagrożenia.

Widzisz, jak logicznie myślałam? Nie powiedziałam, że Jangczou mi się nie podoba. Jakżebym mogła, skoro nigdy go nie widziałam?

Hulan natychmiast mi zaprzeczyła.

- Słyszałam, że w Jangczou jest bardzo pięknie. Mnóstwo miejsc do zwiedzania. Słynie z pięknych kobiet i smacznych klusek.

Wiedziałam z góry, że nie spotkamy takich kobiet ani nie skosztujemy takich klusek.

- Nie twierdzę, że to brzydkie miasto - wyjaśniłam ostrożnie - tylko, że nie podoba się Japończykom. Ich gusta różnią się bardzo od chińskich.

Wyjechałyśmy do Jangczou pod koniec lata, w kilka tygodni po wybuchu wojny. Popłynęłyśmy łodzią, bo wiele dróg i torów kolejowych zdążono już zablokować. Po przyjeździe okazało się, że miasto wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam: miejsce, którego Japończycy nigdy by nie chcieli.

Nasze nowe miasto znajdowało się ledwie o pół dnia drogi od Szanghaju, jednego z najlepszych i najnowocześniejszych miast na świecie, a mimo to różniło się całkowicie. Wszystko utrzymano w starym stylu: żadnych wysokich budynków, niektóre ważniejsze miały najwyżej po dwa piętra. Kto wie, czemu Du Fu i starzy poeci tak wysławiali to miejsce?

Wydawało mi się, że całe miasto zrobiono z ziemi i błota. Czułam pod stopami brudne ulice, podwórza i podłogi, a nad nimi ściany z torfowych cegieł i pokryte mułem dachy.

Siły Powietrzne znalazły dla nas podobne miejsce z błota i ziemi, podzielone na cztery części, w każdej po dwa pokoje. Miałyśmy wspólną kuchnię ze staroświeckimi piecykami węglowymi. Przeraziłyśmy się na ten widok.

- Panuje wojna - powiedziałam w końcu. - Wszyscy musimy ponosić wyrzeczenia.

Lijun i Meili przytaknęły natychmiast, a Hulan odwróciła głowę. Zaczęła wszystko badać i krytykować. Wsadziła palec w pęknięcie w ścianie: „aj!“. Wskazała na drugą ścianę, gdzie robactwo maszerowało wzdłuż słonecznej smugi: „aj!“. Zaczęła tupać w podłogę.

- U-ła! Patrzcie, jak kurz unosi się przy każdym kroku. Wszystkie patrzyliśmy na nią. Chciało mi się krzyknąć:

- Widzicie, jaka ona jest? To ona wciąż narzeka, nie ja. Zauważyłam, że nie muszę nic mówić. Meili i Lijun widziały same.

Tamtego popołudnia zjawiała się też pomoc kuchenna i służący. Przydzielono nam tylko ich, więc musiałyśmy się dzielić. Kucharka pochodziła z okolicy. Była bardzo młoda i miała dużą, zadowoloną twarz. Do jej zadań należało utrzymywanie ognia w piecykach przez cały dzień, mycie i siekanie warzyw, zabijanie kurczaków i filetowanie ryb, a także sprząatanie wszystkiego, zanim zaczną cuchnąć.

Służący należał do Sił Powietrznych. Nazywałyśmy go *chin wubing*, popularne określenie ordynansa, który walczy tylko za pomocą miotły i zabija jedynie muchy. W średnim wieku, niewysoki i chudy, wyglądał tak, jakby jego ręce i nogi miały się połamać, gdyby tylko spróbował podnieść jakiś ciężar. Miał lekkiego fioła. Przy pracy często gadał do siebie, wyobrażając sobie, że jest wysokiej rangi oficerem, któremu wydano błędne rozkazy.

- Wytrzep tę narzutę! Zmyj tę plamę!

Stąd dowiedziałam się, że Hulan kazała mu wbić sześć białek do wiadra z błotem.

- Przepis z sufitu - usłyszałam, jak mówił do siebie. - Oto, co o tym myślę. Wysmaruj tym sosem podłogę, powiedziała. Wiatr hula jej po głowie! Myśli, że będzie jadła podłogę. Wmówi sobie, że to duży, pyszny naleśnik. Ha!

Powtórzyłam Lijun i Meili słowa *chin wubinga*. Musiałam. Co by się stało, gdyby Hulan zwariowała i chciała podpalić dom? One też opowiedziały mi później o dziwnych rzeczach. Hulan kazała *chin wubingowi* polewać podłogę tą jajeczną zupą przez trzy dni z rzędu. Kiedy wyschła, kazała mu polać jeszcze trochę. Co gorsza, kazała mu też ugotować gęstą papkę z ryżu i błota.

- Rzuciła tym o ścianę i powiedziała, że ugotowało się w sam raz.

Cmokałyśmy językami ze współczuciem. Biedna Hulan.

Jednak kilka dni później *chin wubing* zamilkł. W milczeniu wykonywał swoje obowiązki, narzekając tylko na sklepikarza, który go oszukał, sprzedając pieczoną kaczkę napompowaną powietrzem tak, że kiedy ją rozciął, skurczyła się o połowę.

- Nie martw się o kaczkę - powiedziałam. - To nie twoja wina.

Nie mogąc powstrzymać ciekawości, zapytałam:

- Zawsze to lepsze niż picie zupy z mułu?

Chin wubing zmarszczył brwi.

- Przepraszam, tai-tai - odparł ostrożnie - ale słabo dziś słyszę.

Skinęłam głową w stronę części domu, którą zajmowała Hulan.

- Jej zupa z błota - powtórzyłam. - Pewnie nie smakowała najlepiej, co?

- Ogromnie mi przykro, tai-tai - odparł ponownie. - Moje uszy nie otwierają się dzisiaj tak jak trzeba.

Musiałam więc znaleźć pretekst, żeby odwiedzić Hulan i sprawdzić, czy rzeczywiście zwariowała. Wyjęłam z przybornika najlepszą igłę do haftu.

- Czy to twoja igła? - zapytałam, kiedy otworzyła mi drzwi. - Znalazłam ją na podłodze i nie jestem pewna.

Kiedy Hulan gapiała się na igłę, zobaczyłam, co zrobiła ze swoją mieszanką z jaj i błotnistą zupą. Jej podłoga wyglądała jak wypalona, lśniąca i twarda porcelana, nie podnosił się z niej kurz, a ściany, dotąd popękane jak nasze, stały się gładkie i czyste dzięki nowej warstwie błota. Zniknęły też wszystkie insekty.

Przyglądałam się tym zmianom, a Hulan oznajmiła:

- Masz rację. To moja igła. Szukałam jej od kilku dni. Tego dnia po południu Hulan pomogła mi naprawić podłogę i ściany w moich pokojach. Pozwoliłam jej w ten sposób załagodzić nasz spór. Zrozumiała, że pozwolę, bo wzięła igłę, choć obydwie wiedziałyśmy, że należy do mnie.

Nie wiem, czemu tyle mówię o Helen. To nie jej historia, choć to przez nią opowiadam ci o tym wszystkim. Gdybym pozwoliła jej mówić, twierdziłaby pewnie, że nie starałam się poprawić swego małżeństwa. Uwierz mi, próbowałam.

Na przykład wtedy w Jangczou. Parę tygodni po naszym przyjeździe mężowie wrócili do domu i przygotowałam Wen Fu wystawną powitalną kolację, i to nie tylko dla niego, lecz także dla jego przyjaciół, pięciu czy sześciu pilotów drugiej i trzeciej klasy.

Spodobała im się hojność Wen Fu, który powiedział: „Chodźcie do mnie! Jedzcie, ile chcecie!” Zaprosił ich, a także Jiaguo, więc oczywiście ja zaprosiłam Hulan, Li-jun i Meili z mężami. W rezultacie zrobiło się nas czternaścioro. Hulan ofiarowała się pomóc przy zakupach i gotowaniu. Mając przed sobą tyle roboty, nie protestowałam długo. Przydała mi się jeszcze jedna para rąk do pracy.

Pieniądze na jedzenie pochodziły z mojego wiana, z sumy, którą dał mi ojciec w dniu ślubu. Nie, rodzina Wen Fu nie zabrała mi ich jeszcze. Mój ojciec był sprytny; złożył je w szanghajskim banku na moje nazwisko. Cztery tysiące juanów, chińskich dolarów. Po ślubie wyjęłam tylko dwieście i w Jangczou wciąż miałam jeszcze około setki.

Wen Fu zarabiał siedemdziesiąt chińskich dolarów miesięcznie, dobra pensja, ze dwa razy większa od nauczycielskiej, ale wydawał te pieniądze na same głupstwa: whisky, grę w madżonga i zakłady na temat pogody.

Dlatego meble potrzebne w nowych miejscach kupowałam ze swoich pieniędzy, choć nie musiały. Korzystałam z nich także, by kupować lepsze jedzenie niż to, które zapewniała armia; też nie musiały.

Na tamtą kolację kupiłam dobrą wieprzowinę, świeży czosnek do pierożków i mnóstwo słodkiego wina. Takie rzeczy w wojennych czasach kosztowały majątek. Wydałam ponad pięćdziesiąt juanów.

Nie żałowałam tych pieniędzy. Kupując dobre jedzenie, myślałam o tych ludziach, pilotach, a także moim mężu. Jeśli szczęście się od nich odwróci, mogą już nie doczekać następnego posiłku. Z tą smutną myślą moje ręce sięgały po najlepszy kawałek wieprzowiny z solidnym paskiem tłuszczu.

Później postanowiłam przyrządzić także kilka potraw, których nazwy przynosiły szczęście. Pamiętałam, jak Stara Ciotka gotowała je na Nowy Rok: suszone na słońcu ostrygi, przepowiednia bogactwa, krewetki gotowane na ostrym ogniu, przynoszące śmiech i powodzenie, fatsai, włochate, czarne grzyby, na szczęście. Do tego pod dostatkiem meduz, których skórka tak przyjemnie chrupie.

Hulan patrzyła, jak wybieram składniki potraw, i ślinka jej ciekła. Chyba nigdy w życiu nie jadła równie wykwintnych dań.

W domu kazałam kucharce nagotować kilka garnków wody i posiekać wystarczającą ilość wieprzowiny i warzyw na tysiąc pierogów, gotowanych we wrzątku i na parze, które macza się później w mieszance świeżego imbiru, dobrego sosu

sojowego i świeżego octu. Hulan pomagała mi zagnieść ciasto i pokroić je na małe krążki.

Muszę przyznać, że jej wprawa zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie. Pracowała szybko, mocno naciskając wałek. Robiła trzy warstwy na moje dwie i zawsze nabierała odpowiednią ilość farszu. Rzuciła go na sam środek ciasta, nigdy nie dokładając ani nie ujmując. Zamykała pieróg jednym ściśnięciem dłoni.

Przyznaję też, że jej towarzystwo sprawiało mi przyjemność. Obie bardzo się cieszyłyśmy. Piloci wrócili, panowało ogólne podniecenie, wszyscy uśmiechali się do siebie. Tamtego dnia Hulan i ja nie krytykowałyśmy się wcale, nie narzekałyśmy na siebie i nie musiałyśmy się wysilać na uprzejmą konwersację. Wszystko toczyło się naturalnie, wprost z naszych dobrych myśli.

- Patrz, jak szybko pracujesz - powiedziałam do niej. - Z twoimi rękami nawet dziesięć tysięcy pierogów zrobiłybyśmy bez trudu.

Rzecz jasna, później odkryłam, że pracochłonne, lecz proste zadania, jak wyrabianie ciasta, wałkowanie, nakładanie farszu i zaklejanie pierogów, to jedyne, w czym była dobra. Jeśli chodzi o zmysł smaku i zapachu, mogę tylko powiedzieć, że moja opinia różni się od innych.

Może ty umiesz mi powiedzieć. Tylko uczciwie. Kto lepiej gotuje? A widzisz! Wcale się nie przechwalam, to szczerą prawdą. Wiem, ile sosu sojowego trzeba dodać do mięsa, żeby słony smak nie dominował. I wiem, że nigdy nie należy dodawać więcej niż szczyptę cukru. Odrobina więcej i równie dobrze mogłabyś jeść po kantońsku. Wiem, jak sprawić, by każda potrawa stała się delikatna, a jednak wyraźnie różna od innych. A nie, żeby wszystko było bez wyrazu albo tak samo ostre, jak jeden płomień.

Gdyby inni ludzie byli tu dzisiaj, powiedzieliby ci to samo. Wszyscy piloci, nawet mąż Hulan, chwalili tamtego wieczora moją kuchnię i mówili Wen Fu, że świetnie trafił. Podobno, mówili, nie można znaleźć zarazem pięknej żony i utalentowanej kucharki, a jednak ich oczy i podniebienia potwierdzają, że tak. Patrzyłam, jak jedzą, zachęcałam, by wzięli jeszcze, i żartowałam, że mąż pogniewa się na mnie, jeśli zostanie więcej niż dziesięć pierogów. Na koniec posiłku zostały cztery! Cóż to była za kolacja!

Gotowałam ich jeszcze wiele. Za każdym razem, gdy Wen Fu i inni piloci wracali po kilkudniowej nieobecności, od razu chcieli jeść moje pierogi: gotowane, smażone, na parze, wszystkie im smakowały.

W tamtych czasach nie było ważne, z jakich stron Chin pochodzisz. Wszyscy umieli jeść i bawić się wspólnie. Zawsze znalazł się pretekst, by używać na tyle, na ile pozwalał żołądek.

Wtedy wciąż jeszcze ze wszystkich sił chciałam zadowolić Wen Fu i zachowywać się jak dobra żona. Pragnęłam odnaleźć własne szczęście. Nigdy nie miałam nic przeciwko gotowaniu następnego dobrego posiłku, nawet jeśli mężczyźni zjawiali się bez zapowiedzi. Z czasem jednak przychodziło ich coraz mniej.

To było takie smutne. Do obowiązków Jiaguo należało zebrać osobiste rzeczy zabitego pilota. Owijał je starannie w płótno, po czym pisał długi list, wyjaśniając, jak syn czy mąż zginął śmiercią bohatera. Widziałam na stole Hulan te zawiniątka, czekające na wysyłkę. Zastanawiałam się zawsze, czyje szczęśliwe ręce otworzą przesyłkę, spodziewając się prezentu, i czyje smutne oczy zaleją się łzami, widząc zawartość.

Nasze towarzystwo kurczyło się za każdym razem. Może mi się tylko zdawało, ale odnosiłam wrażenie, że jeśli jeden pilot ginął, inny przejmował jego apetyt. Jedli tak, jakby już nigdy nie mieli skosztować czegoś równie dobrego.

Pamiętam, jak pewnej nocy każdy z mężczyzn zjadł po trzydzieści pierogów, potem popuścili pasków, odetchnęli i zjedli następne trzydzieści. Biegałam tam i z powrotem, przynosząc im wielkie półmiski. Hulan także umiała dużo zjeść. Pośmiali się, pogadali, mężczyźni znów poluzowali paski, jedząc więcej i więcej, aż wreszcie jeden z nich powiedział cienkim głosem:

- Żeby nie urazić kucharki, musiałbym zdjąć spodnie.

Tym żartowniszem był wysoki, szczupły mężczyzna imieniem Gan. Często się śmiał, ale nigdy głośno. Jego żart zabrzmiał nieco wulgarnie, ale nie obraziłam się, nawet nie zbił mnie z tropu. Gan nigdy nie pozwalał sobie na żarty, które upokarzałyby innych ludzi. Najwięcej śmiał się z samego siebie.

Przypominał mi trochę amerykańskiego aktora. Nie głośnego, wielkiego bohatera, jak John Wayne. Raczej Danny'ego Kaye, cichego, sympatycznego człowieka, który rozśmieszał wszystkich dookoła, nie zadzierając nosa.

Gan był bardzo do niego podobny. Kiedy jego usta rozciągały się w szerokim uśmiechu, ukazywał się wystający ząb. Gan zabawnie się poruszał, jak chłopiec, który za szybko wyrósł. Czasem, kiedy w pośpiechu chciał mi pomóc przestawić krzesło albo przenieść garnek, potykał się i przewracał, zanim zrobił trzy kroki. Taki właśnie był: nie musiał się nawet specjalnie starać, by ludzie lepiej się przy nim czuli.

Kiedy nie rozmawiał i nie żartował z innymi, zachowywał się wobec mnie bardzo nieśmiało. Często czułam, że na mnie patrzy, zastanawiając się, co powiedzieć. Któregoś razu, po długim namyśle, odezwał się cichym, szczerym głosem:

- Tego dania... nawet moja matka nie zrobiłaby lepiej.

- Nie wolno mówić takich rzeczy o własnej matce - zbeształam go natychmiast.

Zaczerwienił się.

- Siostrze, wybacz moje złe maniery.

Zjadł jeszcze dwa pierogi i dodał tym samym cichym głosem:

- Lepsze niż u matki.

Pamiętam, że Wen Fu roześmiał się na te słowa.

- To dlatego taki jesteś chudy jak tyczka bambusowa?

Nie mogłam zrozumieć, czy chciał w ten sposób obrazić jego matkę, czy mnie. Pomyślałam sobie: dlaczego mój mąż nie mógłby przypominać trochę Gana? Potem przyszło mi do głowy, że mogłam poślubić lepszego człowieka. Nie wszyscy są tacy jak Wen Fu. Dlaczego nikt mi nie powiedział, że mogę wybierać?

Widziałam, że inni piloci również odznaczają się uprzejmością i miłym obejściem. Dobrze mnie traktowali. Nigdy nie wspominali na głos mojej ciąży, ale o niej wiedzieli. Zawsze biegli mi z pomocą, kiedy szłam z torbami pełnymi zakupów. Jeden miał dostęp do wojskowej ciężarówki i zaofiarował się, że zawiezie mnie wszędzie, gdzie potrzebuję. Gan, nieśmiały mężczyzna, który tak lubił moje pierogi, bawił się ze mną puchową piłką, podczas gdy inni grali w karty albo madzonga.

Pamiętam te wieczory. Graliśmy, za całe oświetlenie mając księżycową poświatę i blask padający z pobliskiego okna. Przerzucaliśmy piłkę nad siatką i ze śmiechem próbowaliśmy trafić jedno drugie. Kiedy pudłowałam, Gan upierał się, że podniesie piłkę, żeby mój wielki brzuch nie doznał uszczerbku. Czasem, kiedy Wen Fu wyjeżdżał z miasta, Gan zapraszał mnie na posiłek, ot zwykłą miseczkę makaronu albo tani wonton, nic specjalnego. Potem odprowadzał mnie do domu, zachowując

się, jak przystało przyjacielowi rodziny albo bratu. Przepraszał za każdym razem, kiedy niechący dotknął mego łokcia.

Pewnego razu Hulan zobaczyła, jak rozmawiamy przy kuchennym stole, i kiedy Gan poszedł do domu, zaczęła się ze mną droczyć:

- Ojo! Uważaj! ,

- Co masz na myśli? - zapytałam.

- Zupełnie nic. Mówię, żebyś uważała teraz, żeby nie mieć nic na myśli potem.

- Co za nonsens - odparłam, a ona się roześmiała.

Wspominając to, trochę dziwnie się czuję. Nie myślałam o Ganie przez pięćdziesiąt lat. Wygląda to trochę tak, jakbym znalazła ukryty kawałek swego serca, szczęście, którego nie mogłam okazać, i smutek, którego z nikim nie mogłam podzielić. Jak mogłabym wtajemniczyć Hulan? Przecież to ja powiedziałam, że w czasie wojny nie powinno się kierować własnym szczęściem. Powiedziałam tak, zanim odkryłam, czym takie szczęście może być.

Może tobie mogę to teraz wyznać. Gan był dla mnie kimś szczególnym. Nie znaliśmy się długo, ale poznałam jego serce lepiej niż serce własnego męża. Dzięki niemu poczułam się mniej samotna.

Powiedział mi kiedyś, że wieczorne spacerowanie ze mną sprawiają mu wielką przyjemność. Wyjaśnił dlaczego, zanim jeszcze zdążyłam zapytać.

- Wiesz, jak to jest, nocą widzisz rzeczy, których nie da się dostrzec za dnia.

Przytaknęłam, mówiąc, że też tak myślę. Wtedy opowiedział mi o swym sennym koszmarze.

- Nigdy nie wspominałem nikomu - zaczął - o tym, co zdarzyło mi się wiele lat temu, podczas ostatniego roku Tygrysa. Zobaczyłem ducha świecącego w ciemności.

Zacząłam mu opowiadać, że jako mała dziewczynka też widywałam takie rzeczy. Później okazało się, że duch to po prostu światło księżyca, odbijające się w oknie, albo Stara Ciotka, która nocą zmagala się z niestrawnością, a czasem po prostu uschnięta roślina, stukająca w szybę szklarni.

- Takie duchy też spotykałem - odparł Gan - ale ten ich nie przypominał. Powiedział, że wróci i zabierze mnie ze sobą, zanim wejdę w następny rok Tygrysa, przed dwudziestymi czwartymi urodzinami.

- Tyle bzdur bierze się ze snów - wtrąciłam, ale Gan ciągnął dalej, jakby przeżywał ten sen od nowa.

- „Nie martw się za bardzo”, powiedział duch. „Twoja śmierć przyjdzie bezboleśnie, ale kiedy znów mnie zobaczysz i usłyszysz, że wołam cię z ciemności, musisz iść ze mną bez jednego słowa”. Jasne, że mu nie wierzyłem. Wrzasnąłem na niego: „to tylko zły sen! Wynoś się!”

- Wtedy się obudziłeś - powiedziałam, próbując go pocieszyć, a może też uspokoić samą siebie. - Ciągle się bałeś i nigdy nie zapomnisz tego snu.

- Dużo gorzej - odparł Gan sucho. - Rzeczywiście, obudziłem się. Wstałem, żeby się przekonać, że nie śpię, a kiedy podszedłem do drzwi, zobaczyłem, że duch wciąż tam jest. Zapytał: „Nie wierzysz w swój los? Udowodnię ci”. I wymienił dziewięć niepowodzeń, które spotkają mnie tuż przed śmiercią. Dziewięć, cyfra spełnienia. Kiedy zniknął, wciąż jeszcze stałem w drzwiach.

- Aj, Gan, jaka straszna historia! - zawołałam.

- Przez ostatnich jedenaście lat próbowałem zapomnieć o tym śnie, jednak ostatnio sprawdziło się już osiem przepowiedni, dokładnie według słów ducha. Teraz chyba nadchodzi dziewiąta. Za cztery miesiące zacznie się następny rok Tygrysa.

Mówiąc to, cały się trząsł, zupełnie jakby znalazł się w środku zimy, a nie ciepłej, wilgotnej jesieni. Widziałam, że naprawdę wierzy w to, co mówi, nawet ja się wystraszyłam. Bałam się nawet spytać, jakie osiem zdarzeń go spotkało. Mogłam się tylko roześmiać.

- Jakie straszne sny miewałeś w dzieciństwie! Sama nie wiedziałam, czemu tak mówię. W środku czułam zupełnie co innego. Chciałam przytulić biednego Gana do serca i krzycheć: „Mój piękny chłopcze! Jesteś pewien, że to osiem złych znaków? Co to za znaki? Jaki jest dziewiąty? Powiedz mi szybko!”

Teraz kiedy wspominam to uczucie, wiem, dlaczego nic nie powiedziałam. Bałam się, i to nie z powodu ducha. Byłam mężatką, a mimo to nigdy nie zaznałam miłości od mężczyzny, żadnego też nie pokochałam. Tamtej nocy niewiele brakowało. Poczulałam niebezpieczeństwo. Tak to się właśnie zaczyna: ktoś mówi o swoich lękach, drugi zbliża się, by ukoić ból. Wtedy wszystko: smutek, wstyd, zadawnione rany i samotność wylewa się bez końca. Wyzwalasz się i ogarnia cię wielka radość. Nagle robi się za późno: twoje serce już się pogrążyło.

Powstrzymałam się. Zatrzymałam w ukryciu. Śmiałam się z Gana i jego ducha po to, żeby się pocieszyć. Możliwe, że nie zwróciłam na sen większej uwagi również z

innego powodu: wszyscy wiedzieliśmy, że nadciąga coś złego. Jednak tylko Gan mówił o tym głośno.

Jeżeli któryś zażartował: „Ostatni raz przegrywam całą pensję w karty”, inni od razu zaczęli krzyczyć: „Wah! Nawet tak nie mów, to przynosi pecha! Teraz musisz zagrać jeszcze raz, żeby odczynić”.

Jeszcze zanim oderwali się od ziemi, piloci wiedzieli, że ich samolotom brakuje szybkości. Wiedzieli, że im samym brakuje doświadczenia i sprytnych sztuczek, by unikać japońskich myśliwców, nowocześniejszych i szybszych.

Przed startem stawali w kręgu i wykrzykiwali slogany, zupełnie jakby pluli do celu. W ten sposób demonstrowali swą waleczność. Dzięki temu wiedzieliśmy, że się boją.

Jak można zostać bohaterem, jeśli nie ma się wyboru? Jak można nim nie zostać, jeśli wiesz od początku, że nie masz szans?

Dwa miesiące później nie żyła połowa pilotów, którzy jedli z nami tamtą kolację. Zginęli bohaterską śmiercią, zastrzeleni w swoich myśliwcach.

Jak te samoloty spadały na ziemię - straszne! Nie można było nawet znaleźć ciała i wyprawić pogrzebu. Nie trzeba mieć religijnych uczuć, by cierpieć z tego powodu.

Znajomy pilot roztrzaskał się o bramy Henan. Mąż Meili rozbił się o górski szczyt. Co stało się z tym, który woził mnie ciężarówką? Spłonął żywcem, zanim jego samolot uderzył w ziemię.

Wen Fu nigdy nie został nawet ranny. Wiesz dlaczego? Bo był tchórzem! Za każdym razem, kiedy zaczynała się walka, zawracał samolot i leciał w inną stronę.

- Och, goniłem japońskiego myśliwca, który odłączył się od reszty. Nie mogłem go widzieć. Szkoda tylko, że mi uciekł - tłumaczył się później przed Jiaguo.

Hulan powiedziała mi, że Jiaguo zastanawia się, czy nie postawić go przed sądem wojennym. Myślisz, że mogłaby się powstrzymać, by mnie o tym nie powiadomić?

W tym samym czasie dowiedziałam się, że samolot Gana zestrzelono nad Nankinem. Wciąż żywego zabrano go do szpitala. Wszyscy: Wen Fu, Jiaguo, Hulan, ja i pozostali przy życiu piloci, pospieszyliśmy, by się z nim zobaczyć.

Co to był za widok! Gan utkwiał wzrok w suficie, śmiejąc się i płacząc.

- No, duchu, gdzie się podziałeś? - krzyczał. - Nie uciekam przed śmiercią!

- Zwariował - uznał Wen Fu. - Zmysły go zawodzą. To lepiej, przynajmniej nie będzie czuł bólu.

Pamiętam swoje cierpienie. Nie mogłam powiedzieć ani słowa, nie mogłam nawet położyć Ganowi ręki na czole. Chciało mi się płakać i krzyżeć: „On nie zwariował! Ten duch obiecał mu bezbolesną śmierć, jeśli usłucha wołania z ciemności”.

Duch kłamał. Gan cierpiał potwornie, wypadły mu wszystkie wnętrzności. Dwa dni i dwie noce znosił ten ból, zanim wreszcie dane mu było odejść i samemu puścić się w pogoń za duchem.

Rozpaczałam po nim bardzo, a niczego nie mogłam okazać. Serce bolało mnie tak samo jak wtedy, gdy straciłam matkę. Tyle że teraz nie oplakiwałam utraconej miłości. Żałowałam tej, której nigdy nie odważyłam się wziąć.

Sięgnęłam po tę miłość, dopiero kiedy umarł. Gan stał się moim bezcielesnym kochankiem.

Za każdym razem, kiedy Wen Fu na mnie krzychał, wspominałam dzień, w którym Gan po raz ostatni przyszedł do mnie na kolację. Obserwował przez cały wieczór, jak mąż mnie traktuje. Kiedy Wen Fu wyszedł z pokoju, Gan popatrzył na mnie i powiedział cicho:

- Patrzysz na siebie tylko w lustrze, ale ja widzę prawdziwą ciebie, ani dobrą, ani złą.

Wspominałam te słowa wiele razy. Kiedy mąż wyżył się, leżąc na mnie, a potem zasypiał, wstawałam po cichu i patrzyłam w lustro. Obracałam twarz w obie strony, próbując wyobrazić sobie wzrok Gana.

„Co on widział? Co widział?” - krzychałam w duchu.

Czasem, kiedy działo się jeszcze gorzej i zastanawiałam się, czym zasłużyłam na takie okropne życie, przypominałam sobie nasze wieczorne spacerki i jego opowieść. Chociaż nigdy nie powiedział mi, na czym polegało osiem złych znaków, zrozumiałam dziewiąty. Byłam nim ja.

XII

Pieniądze *taonan*

Do zimy niewiele zostało samolotów, więc z nieba spadał już tylko deszcz, a pewnego dnia zaczął nawet prószyć śnieg.

W tym właśnie tygodniu przenieśliśmy się z Jangczou do Nankinu, zaledwie kilka godzin drogi ciężarówką. Wtedy w Nankinie po raz pierwszy w życiu zobaczyłam śnieg. Przypominał mi małe piórka, takie same jak te, które latały w powietrzu, kiedy bawiłam się z Ganem piłką z puchu. Tak mi się to właśnie skojarzyło.

W Nankinie także przydzielono nam służącego, ale już nie tak zwariowanego jak ten z Jangczou. Powtarzał zawsze:

- Nie martwcie się, moje panie, to nie potrwa długo. W Nankinie śnieg przypomina wysokiego urzędnika: nie zjawia się za często i nie zostaje na długo.

Razem z Hulan wyglądałyśmy z okna na pierwszym piętrze wielkiego domu, niegdyś okazałej willi, zbudowanej dla zagranicznego biznesmena, którą teraz przydzielano różnym ludziom na tymczasowe kwatery. Front zdobiły cztery kolumny i wysokie okna.

Dookoła domu rosły drzewa, które, jak twierdzili służący, sprowadzono z Francji. Liście z nich już opadły, więc francuskie czy chińskie, nie można było dostrzec różnicy. Dom znajdował się w dobrej dzielnicy, blisko starej Zachodniej Ściany, parę kroków od jeziora Bez Trosk, nie za daleko, ale i nie za blisko centrum miasta.

Jednak wewnątrz domu to już inna historia, co dało się zauważyć już od progu. Sofy wytarły się od wielu siedzeń, dywany zrobiły się cienkie pod wieloma stopami, depczącymi je rok po roku, we wszystkich pokojach tapeta obłaziła, a w kuchni ciekło w dwóch miejscach. Dwupiętrowy dom przypominał sierotę, której nie ma kto kochać.

Tego samego popołudnia instruowałam właśnie służącego, jak wyczyścić piecyk węglowy, żeby tyle nie dymił, kiedy do kuchni wszedł Wen Fu.

- Jeśli to wyczyścisz, to już dla kogo innego.

I powiedział o najnowszym ogłoszeniu Sił Powietrznych: mieliśmy opuścić Nankin najdalej za dwa tygodnie.

- Nie mieszkamy tu nawet tydzień - zaczęłam, ale Wen Fu nawet się nie uśmiechnął i wiedziałam, co to znaczy: nadchodzili Japończycy.

Poszłam do oddziału pocztowego Sił Powietrznych, żeby wysłać do Szanghaju dwa telegramy: jeden do banku, z poleceniem wypłacenia czterystu dolarów, drugi zaś do siostry Wen Fu, której miano je przekazać, żeby wiedziała, dokąd ma je przesłać. Telegrafistka pomogła mi wybrać właściwą liczbę naglących słów. Na koniec depeszy do szwa gierki dodałam: „spiesz się, wkrótce czeka nas *taonan*”.

Napisałam *taonan*, żeby zrobić na niej większe wrażenie. Może przesadzałam, może nie. Tak czy inaczej, na dźwięk tego słowa każdy podskakiwał.

Co znaczy *taonan*? Och, nie przychodzi mi do głowy żaden amerykański odpowiednik. W języku chińskim istnieje wiele słów na opisanie wszelkich kłopotów. Nie, „uciekiniery” to nie to samo. Uciekinierym zostajesz wtedy, gdy spotkało cię *taonan*, ale udało ci się przeżyć. A jeśli żyjesz, nigdy nie zechcesz wracać do tego, co spowodowało *taonan*.

Masz szczęście, że nigdy nie spotkało cię podobne niebezpieczeństwo, takie, które zagraża nie tylko tobie, lecz wielu ludziom. Każdy troszczy się tylko o siebie. Ściga cię strach i choroba, podobnie jak przy zakaźnej gorączce. W głowie masz tylko jedną myśl: uciekać! uciekać! Włosy stają ci dęba i czujesz się tak, jakby ktoś przystawiał ci nóż do gardła, a najgorszy wróg dyszał tuż za uchem. Wystarczy usłyszeć krzyk albo zobaczyć czyjeś wytrzeszczone oczy. Gorączka zamienia się w dreszcz, biegnący po kręgosłupie i nogach. Biegniesz i potykasz się. Potykasz się i biegniesz.

Masz szczęście, że nie wiesz, co to znaczy. Opowiem ci jednak, jak to jest i jak niemal mnie to spotkało.

- Naprawdę myślisz, że niedługo czeka nas *taonan*? - zapytała telegrafistka po wysłaniu depeszy.

Nie chciałam jej straszyć, więc odparłam ostrożnie:

- Piszę tak tylko dlatego, że moja szwagierka bywa roztargniona. W ten sposób zrobi wszystko szybko, zanim zdąży zapomnieć.

Dziewczyna roześmiała się i pogratulowała mi sprytu. Bardzo mi się spodobała. Nie znam jej prawdziwego imienia. Nazywano ją Wan Betty, „piękna Betty”, bo

przypominała powszechnie lubianą aktorkę, Bette Davis. Czesła się tak samo, mówiła podobnie chrapliwym głosem i miała wielkie oczy, wyłupiaste, z ciężkimi powiekami, choć wydaje mi się, że ten szczegół brał się z przerostu tarczycy albo jakiejś choroby nerek.

Typowa dziewczyna z Nankinu, która załapała się na „ekspresowe” małżeństwo: spotkała pilota i czym prędzej się pobrali. Nie znałam za dobrze tego chłopaka, chociaż należał do tej samej klasy, co Wen Fu. Zginął dwa czy trzy tygodnie po ślubie, ale zdążył zostawić po sobie zaczątek dziecka.

Cztery dni później znów poszłam na pocztę. Ta podła szwagierka wysłała pieniądze natychmiast, już po dwóch dniach, ale do Wen Fu! Tak powiedziała mi Betty. Wen Fu zdążył je już odebrać, nic nie mogła poradzić. Na blankiecie widniało jego nazwisko.

- Te pieniądze należą do mnie, to mój posag! - powiedziałam jej. - Chciałam je przeznaczyć na ucieczkę, w razie gdyby tylko tak można się było uratować.

Betty poczęstowała mnie herbatą z termosu.

- Aj, to okropne. Ciągle to spotyka kobiety. Żony też.

To prawda. Ja nie miałam takiego wiana. Czteryście juań to poważna suma.

- Razem cztery tysiące - poprawiłam ją i widziałam, że szeroko otworzyła usta. - Do tego meble z litego drzewa i wiele innych rzeczy, ale wszystko zabrała mi jego rodzina. Po prostu sobie wzięli.

- Ze mną było to samo - odparła, trzęsąc głową. - Kiedy mąż umarł, cała rekompensata z armii poszła do jego rodziny! Nie dostałam ani grosza. Widzisz, czego muszę się chwycić - popukała w stertę listów - żeby zarobić na jedzenie dla siebie i dziecka w środku. Teraz znów mówią, że powinnam wrócić do Nanczang, a po porodzie zostawić im wnuka. Powiedzieli, że potem mogę sobie iść, gdzie mnie oczy poniosą. No, sama powiedz, po co mam tam jechać, skoro tak się do mnie odnoszą? Wyobrażają sobie, że jestem kaczką, która znosi dla nich jaja?

Roześmiałam się. Betty właśnie taka była: zawsze szczerza aż do bólu, a w każdym słowie pełno goryczy. Po chwili też zaczęłam mówić tak jak ona.

- Powiem mu, żeby mi je oddał - oświadczyłam.

- Tak jest! Wytłumacz mu. Pieniądze należą do ciebie. Potrzebujecie ich na *taonan*.

- To moje pieniądze na *taonan*.

- Powiesz to wprost?

- Powiem.

Dużo wielkich słów. Wróciłam do domu, żeby porozmawiać z Wen Fu.

- Potrzebujemy tych pieniędzy w razie *taonan* - powiedziałam. - Nigdy nie wiadomo, co nas może spotkać.

- A kto ci powiedział, że nadchodzi *taonan*? - zapytał, dłubiąc w zębach.

- Nawet jeśli nie, to te pieniądze należą do mojego wiana - powiedziałam stanowczo.

Wen Fu wykrzywił się paskudnie.

- A na co ci taka fura pieniędzy? Żeby zostać bogatą, szczęśliwą wdówką?

- Nie mów takich rzeczy! - krzyknęłam.

- Wobec tego nie zaczynaj! - odwrzasnęła.

I tak moje wielkie słowa straciły jakiegokolwiek znaczenie. Zupełnie jakby nasze najgorsze części charakteru widziały się wzajemnie na wylot. Nie myślałam oczywiście, że mógłby umrzeć, ale skoro o tym wspomniał i zasiał we mnie tę myśl, zrobiłam się czerwona i nie umiałam ukryć czarnego serca. Jak można cokolwiek tłumaczyć takiemu mężowi?

Późnym wieczorem dowiedziałam się, że wysiłałam się na próżno. Wen Fu wszystko już wydał. Kantoński pilot czwartej klasy zostawił na lotnisku swój samochód, po czym zginął w katastrofie. Samochód należał teraz do Wen Fu.

Och, co za zły omen! Jak Wen Fu mógł pomyśleć o kupowaniu rzeczy po zabitym pilocie? Zupełnie jakby nadal pracował w rodzinnym interesie, wykorzystując tragedię zmarłych dla własnej przyjemności.

- Jeżeli naprawdę nadejdzie *taonan* - powiedział - samochód posłuży nam do ucieczki. Sama teraz widzisz, jakiego masz bystrego męża.

Nie odezwałam się oczywiście.

- To bardzo szybki wóz - dodał, wciąż pogrążony w marzeniach.

- A jeśli wyślą nas w głąb lądu? - zapytałam. - Będziemy musieli jechać tak jak inni, ciężarówką albo łodzią.

- Aleś ty głupia. Jeżeli nie uda się go zabrać, to go sprzedamy. Dostaniemy dwa razy tyle, i to w złocie, a nie w papierowych banknotach.

Wydało mi się, że może się jednak pomyliłam. Może to rzeczywiście najlepszy pomysł, a ja upieram się przy swoim.

- To pewnie bardzo dobry samochód - powiedziałam.

- Phi! Oczywiście, że dobry - odparł. - Co, myślisz, że ja nie umiem robić interesów?

Po południu przyprowadził starego, sportowego fiata z obciętym dachem. Jak się tu mówi na zły samochód? O, właśnie: gruchot. Mały zakurzony gruchot z powgniataną blachą, bez osłony przed deszczem, śniegiem i zimmem. Drzwi od strony pasażera w ogóle się nie otwierały.

Oczywiście w czasie wojny samochody należały do rzadkości i uznawano je za luksus. Wen Fu bez mrugnięcia okiem zapłacił rodzinie zmarłego dziesięć razy za dużo. Teraz trąbił, śmiał się i krzyczał:

- He? No i co ty na to?

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Niech myśli, że jestem dumna ze świetnego interesu, jaki ubił z nieboszczykiem.

Kazał mi przeleźć ponad zepsutymi drzwiczkami. Wyobrażasz to sobie: byłam w szóstym miesiącu ciąży, a do tego z powodu przeszywającego zimna miałam na sobie wiele warstw ubrania.

- Jedźmy już, ty niezguło! - wrzasnął, naciskając na gaz, że aż silnik zawył.

Przestraszyłam się, że ruszy, zanim przełożę drugą nogę.

Pozwoliłam mu zabrać się na przejażdżkę głównym bulwarem, za bramą na Wschodniej Ścianie, przez oblodzone mostki i po długich, brudnych drogach wiodących do stóp Purpurowych i Złotych Gór. Włosy lepiły mi się do policzków, a zimne powietrze wiało mi w uszy, zamrażając mózg.

- Teraz patrz! - krzyknął i przyspieszył.

Krzyzcząc, zamknęłam oczy, a on wziął zakręt na pełnym gazie, zostawiając za sobą koleiny.

- Świetny samochód! Bardzo dobry! - wrzeszczał. Znów zakręcił, w jedną, w drugą stronę. O mały włos nie wpadł w dziurę pełną błota, a potem ledwie ominął wózek zaprzężony w osiołka. Zatrąbił na małego chłopca, przez co ten wpadł do rowu pełnego deszczówki. Potem przejechał sześć kacząt, zbyt nieobytych w świecie, żeby wiedzieć, co to strach. Pokazywał mi każde nadciągające niebezpieczeństwo i możliwą

katastrofę, a kiedy krzyczałam, pękał ze śmiechu. Chyba po raz pierwszy tak dobrze się ze mną bawił.

Następnego dnia powiedziałam, że zbyt się zmęczyłam, żeby jechać z nim na przejażdżkę, wobec czego zaprosił Jiaguo. Odjechali jak dwaj zadowoleni chłopcy.

Późną nocą Wen Fu wrócił z nadąsaną miną.

- Dobrze się bawiliście? - zapytałam, ale nie odpowiedział.

Zapytałam, czy się gniewa, ale nadal się nie odzywał. Zapalił papierosa i nalał sobie szklanekę whisky.

Wtedy uświadomiłam sobie, że nie słyszałam samochodu. Dziwne, przecież tak głośno pracował. Wyjrzałam przez okno, podeszłam do drzwi, sprawdziłam podjazd aż do drogi. Samochodu nie było.

- Gdzie się podział nowy samochód? - zapytałam.

Usiadłam z nim przy stole. Patrzyłam, jak pali papierosa za papierosem, pijąc coraz więcej.

- Ten samochód to nic niewart rupiec - oznajmił w końcu, po czym zaklął: - Żeby sukinsyna pojebało!

Następnego ranka Hulan opowiedziała mi, czego dowiedziała się od Jiaguo.

Wyjechali samochodem za miasto, przez bramę na Wschodniej Ścianie. Pokonali małe wzniesienie, za którym, jak sądził Wen Fu, ciągnęło się otwarte pole. Wen Fu jechał szybko, żeby dogonić zająca. Udawał, że zając to japoński myśliwiec. Jednak zając okazał się szybszy, skręcał to tu, to tam, wreszcie wskoczył na kopiec. Samochód wjechał za nim i w rezultacie wylądował na kupie kamieni, bezradny jak jeden żółw siedzący na karku drugiego.

Próbowali zjechać. Jiaguo wysiadł i chciał go popchnąć, a Wen Fu docisnął pedał gazu do samej deski. Koła kręciły się coraz szybciej, silnik wył, aż nagle - wah! - spod maski poszedł czarny dym i płomienie.

Obaj uskoczyli i z bezpiecznej odległości patrzyli na samochód płonący na stosie kamieni. Płomienie rosły coraz wyżej, więc odsunęli się dalej. Chcieli rozejrzeć się za czymś do ugaszenia pożaru i wtedy w świetle ognia zobaczyli, że całe pole pokrywają takie same stosy kamieni, jak setki żółwi w wyschniętym morzu.

Wiedziałam, co zrobił Wen Fu, jeszcze zanim Hulan zdążyła to powiedzieć. Wjechał samochodem na cmentarz ubogiej wioski!

Hulan założyła ręce na piersi.

- Oczywiście zbeształam Jiaguo. Co za nierozwaga. Mógł przecież pokierować twoim mężem.

Pewnie powinnam się rozplakać na wieść o tym, że Wen Fu zniszczył ten samochód. Powinnam szaleć z gniewu, że w taki sposób zmarnował moje czterysta juanów.

Zamiast tego wybuchnęłam śmiechem. Hulan pomyślała, że zwariowałam. Śmiałam się głośno, aż łzy ciekły mi po twarzy. Nie mogłam złapać tchu, więc nie mogłam jej też wytłumaczyć, co czuję.

Widziałam wyraz twarzy męża stojącego na cmentarzu, kiedy nagle zdaje sobie sprawę, gdzie się znalazł. Widziałam, jak samochódzik płonie na stosie kamieni, niby ofiara składana zmarłym przez żałobników. Bardzo się cieszyłam, że kantoński pilot jedzie teraz do nieba odzyskanym wozem.

Tego samego ranka poszłyśmy z Hulan do miasta. Włożyłam długi zielony płaszcz i codzienne buty, bo od centrum dzieliły nas trzy albo cztery *li*. Ile to jest *li*? Pewnie z pół waszej amerykańskiej mili. Musiałam pokonać tę odległość na piechotę. Nie tak jak ty: wsiadasz do samochodu, żeby podjechać do sklepu o dwie przecznice dalej.

Po drodze zatrzymałam się na poczcie, żeby wysłać jeszcze jeden telegram, tym razem do Orzeszka, która bogato wyszła za mąż za chłopaka z Szanghaju, zgodnie z przepowiednią wróżki. Poprosiłam Wan Betty, żeby napisała to samo, co w poprzedniej depeszy: „wkrótce *taonan*”. Tym razem dodałam też: „przesłać Jiang Weili do rąk własnych”. Betty nie spytała, co się stało z poprzednią sumą. Chyba wiedziała.

Potem ruszyłyśmy z Hulan na rynek po zakupy. Było bardzo zimno. Pamiętam, że patrząc na chmury, powiedziałam, że znowu może zacząć padać śnieg.

Hulan też przyjrzała się niebu.

- Nie, za mało chmur. Zresztą słyszałam, że śnieg pada tu tylko raz czy dwa przez całą zimę. A już na pewno nie dzień po dniu.

Doszłyśmy na rynek po dziesiątej. Sprzedawcy stali tam już od bladego świtu i każdy na rozgrzewkę chętnie by się potargował. Na obrzeżach przed stertami warzyw siedzieli w kucki mali chłopcy, w środku zaś stały rzędy stołów, zastawione wiaderkami tofu, rzędami ziemniaków i białej rzepy, koszykami suszonych grzybów, szafl-

kami z żywymi rybami i krabami z południa, pszenicą, jajkami i ryżowym makaronem.

Tłum ludzi, długi jak smoczy ogon, przepychał się wśród straganów, wydychając chmurki pary. O tej godzinie każdy był szczęśliwy: nie zmęczył się jeszcze pracą, a już wybierał składniki wieczornego posiłku.

Hulan i ja poszłyśmy za pachnącym słodko dymem pieczonych kasztanów. Zatrzymałyśmy się przy sprzedawcy, mieszającym w koszyku ciemne bryłki. Od śniadania minęły już trzy godziny, więc obie zgodziłyśmy się, że garść kasztanów dobrze ogrzeje nam dłonie.

- Przyszłyście w samą porę - oznajmił sprzedawca. - Pół godziny temu, kiedy tylko skorupy zaczęły pękać, dodałem miodu.

Zdażyłam jednego obrać i właśnie miałam go włożyć do ust, kiedy na ulicy podniósł się krzyk:

- Japońskie samoloty! Nieszczęście!

Usłyszałyśmy ich silniki, których daleki warkot brzmiał jak nadchodząca burza.

Wszyscy ludzie, łącznie ze sprzedawcami, zaczęli przepychać się i uciekać. Koszyk z kasztanami przewrócił się na bok. Kury gdakały, bijąc skrzydłami o ściany klatek.

Hulan złapała mnie za rękę i też zaczęłyśmy biec.

Samoloty warczały coraz głośniejsze, aż wreszcie znalazły się tuż nad naszymi głowami, rycząc jak słonie. Wiedzieliśmy, że zaraz rozlegną się strzały i zaczną spadać bomby.

Nagle wszyscy zaczęli padać, jak kłosa zboża pod uderzeniem wiatru. Ja też upadłam. Hulan przygniatała mnie do ziemi, ale przez mój duży brzuch mogłam leżeć tylko skulona na boku.

- Zaraz umrzemy! - krzyczała Hulan.

Przyciskałam twarz do ziemi, rękami zasłaniając głowę. Samoloty warczały tak głośno, że nawet jeśli wokoło rozlegały się krzyki, nic nie słyszałyśmy. Czułam, jak ręce Hulan drżą na moim ramieniu, chociaż może to ja się trzęsłam?

Potem warkot zaczął się oddalać. Czułam, jak wali mi serce; dzięki temu wiedziałam, że żyję. Podniosłam głowę, podobnie jak wielu ludzi dookoła. Pomyślałam, że mam dużo szczęścia. Czułam się bardzo wdzięczna. Słyszałam, jak ludzie wołają: „Dzięki ci, bogini miłosierdzia. Dzięki!”

Wtedy usłyszeliśmy, że samoloty wracają. Modlitwy dziękczynne zamieniły się w przekleństwa. Opuściliśmy głowy. Zdawało mi się, że te przekleństwa to moje ostatnie wspomnienie. Samoloty latały tam i z powrotem, a ludzie to podnosili, to opuszczali głowy, zupełnie, jakby bili Japończykom pokłony.

Byłam zła. Bardzo się bałam. Chciałam wstać i uciekać, ale ciało odmówiło mi posłuszeństwa. Chciałam żyć, ale wszystkie myśli obracały się wokół śmierci. Może dlatego, że dookoła rozlegał się płacz i zawodzenia: „*Amitaba, Amitaba*”. Ludzie wzywali buddyjskiego przewodnika na tamten świat.

Pomyślałam, że może już umarłam. Niby skąd mam wiedzieć? Wydawało mi się, że przestałam oddychać, ale w głowie wciąż goniły mi myśli, a ręce czuły zimną, twardą ziemię. I ciągle słyszałam samoloty, które teraz - czyżby? - coraz bardziej cichły.

Zawodzenia ustały, ale nikt się nie ruszał. Panowała cisza. Po kilku długich minutach usłyszałam czyjś szept, czułam, że ludzie zaczynają wstawać. Ktoś jęczał. Dziecko płakało. Nie chciałam podnosić wzroku i sprawdzić, co się stało.

- Jesteś ranna? - potrząsnęła mną Hulan. - Wstawaj!

Nie mogłam się poruszyć. Zawodziły mnie zmysły.

- Wstawaj! - krzyknęła Hulan. - Co ci się stało?

Pomogła mi się podnieść. Wszyscy wstawali, jak prostujący się łan zboża. Wszystkich zajmowała jedna myśl: „Nie ma krwi”. Wreszcie Hulan krzyknęła:

- Nie ma krwi! Tylko śnieg!

Przynajmniej tak jej się na początku zdawało, a i ja przez pierwszą chwilę nie rozumiałam, o co chodzi. Ulicę pokrywały wielkie płatki śniegu, opadające na plecy skulonych ludzi.

Kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam śnieg lecący z nieba, każdy płatek wielkości kartki papieru. Rikszarz przed nami podniósł jeden z płatków, który rzeczywiście okazał się papierem. Podał mi go.

- Co tam piszą? - zapytał.

Na kartce widniał rysunek uśmiechniętego japońskiego żołnierza z małą chińską dziewczynką siedzącą mu na ramieniu.

- Rząd japoński - przeczytałam. - Jeśli nie będziemy stawiać oporu, każdy spotka się z dobrym traktowaniem, nie ma się czego obawiać. W razie oporu każdego czekają kłopoty.

Wtedy usłyszałam krzyk:

- Kłamstwa! Kłamstwa! - wołał chiński żołnierz, kopiąc z wściekłością papierowy śnieg. - To samo mówili w Szanghaju i zobaczcie, co nam zrobili! Tylko tyle zostało z naszej armii. Same szmaty do wytarcia chińskiej krwi!

Starsza kobieta zaczęła go strofować:

- Cicho bądź! Zachowuj się przyzwoicie! Uspokój się albo wszystkich nas wpędzisz w kłopoty.

Ale żołnierz dalej krzyczał. Kobieta splunęła mu pod nogi, podniosła tobołki i pospiesznie odeszła. Teraz wszyscy zaczęli mówić, niektórzy krzyczeć i wkrótce gwar przestraszonych głosów nappełnił całą ulicę.

Uwierz mi, tamtego dnia, kiedy rozniósł się ten chorobliwy strach, każdy stał się innym człowiekiem. Nawet nie wiesz, że ktoś taki w tobie tkwi, dopóki nie spotka cię *taonan*. Widziałam, jak ludzie rzucają się na jedzenie, kradną. Sprzedawcy porzucali parujące garnki. Widziałam bójkę i kłótnie, zgubione, płaczące dzieci, tłum wpychający się do autobusu, by wysiąść po chwili, widząc, że wóz nie przebije się przez zatłoczone ulice.

Hulan poprosiła rikszarza, żeby odwiózł nas do domu. Kiedy zsiadł, żeby pomóc nam wdrapać się do środka, jakiś większy mężczyzna pchnął go na ziemię, wskoczył do rikszy i odjechał. Zanim zdążyłam powiedzieć choćby: „jakie to straszne”, mały żebrak podbiegł i próbował wydrzeć mi portfel. Hulan go przepędziła.

- Uciekajcie! Uciekajcie! - krzyknął ktoś nagle i w jednej chwili cały tłum ruszył w naszą stronę.

Beczka z lodem i rybami przewróciła się jak delikatna waza. Jakaś kobieta upadła i zaczęła krzyczeć; straszny, długi krzyk, który zginął w końcu pod setkami stóp.

Hulan wykręciła mi rękę i popchnęła w tym samym kierunku, w jakim dążył tłum. Fala pochłonęła nas i poniosła między ludzkimi ramionami. Czułam łokcie i kolana wbijające mi się w plecy i mój wielki brzuch. Zrobiło się jeszcze ciaśniej. Poruszał nas jeden oddech i jeden prąd.

Hulan popychała mnie do przodu, trzymając mi rękę na ramieniu.

- Szybko, szybko - mruzczała mi za plecami, jakby odmawiała modlitwę. - Szybko, szybko - powtarzała z każdym krokiem.

Tłum wylał się nagle na szeroką aleję. Nie tkwiłam już wtłoczona między ludzi, którzy teraz rozbiegli się na wszystkie strony.

- Tędy, tędy - mówiła Hulan.

Jej ręka zsunęła się nagle.

- Którędy? - zapytałam, nie odwracając głowy. - Hulan?

Brak odpowiedzi.

- Hulan! Hulan! - zawołałam.

Odwrociłam się, ludzie zaczęli na mnie wpadać, ale Hulan nigdzie nie było widać. Popatrzyłam do przodu, ale też bez skutku.

Pośród tego tłumu poczułam się bardzo samotna, a wszystkie głęboko schowane lęki zaczęły wydostawać się z ukrycia. Teraz przepychałam się pod prąd, rozglądając się na prawo i lewo i patrząc ludziom pod nogi. Hulan zniknęła.

- Mamo! Mamo! - wołałam, nie mogąc się nadziwić, że te słowa wydobywają mi się z gardła. - Mamo! - zupełnie jakby matka, która porzuciła mnie tak dawno temu, mogła mnie teraz uratować.

To, co zrobiłam, było bardzo głupie. Mogli mnie potraścić, zdeptać i zabić, jak wielu innych ludzi tego dnia. Ktoś mógł wytrząsnąć dziecko z mego brzucha. Mimo to przepychałam się przez tłum, wołając matkę i szukając Hulan.

Nie umiem powiedzieć, ile minut czy godzin minęło, zanim mnie znaleziono. Kiedy doszłam do siebie, wiedziałam tylko tyle, że siedzę na ławce, gapiąc się na trzymany w dłoni kasztan. Tkwił tam cały czas, ten sam kasztan, którego zaczęłam obierać, zanim nadleciały samoloty. Chciało mi się śmiać i płakać jednocześnie: oto, czego się trzymałam w obliczu śmierci. Już miałam go wyrzucić, kiedy uznałam, że lepiej go zatrzymać. Takie właśnie ważne myśli przychodzą ci do głowy, gdy nagle świat zmienia się nie do poznania. Miasto zwariowało, Hulan zniknęła - trzymać zimny kasztan czy nie?

- Ej, siostro! Chyba masz dla mnie jednego?

Ten głos obudził mnie jak ze złego snu. Zobaczyłam Hulan jadącą do mnie na rowerowej rikszy. Wyobrażasz sobie? Żartowała sobie po takiej okropnej katastrofie, kiedy ja martwiłam się, że umarła! Podbiegłam do niej z radosnym okrzykiem.

- Wsiadaj szybko - powiedziała, wyciągając do mnie rękę.

Wyrzuciłam kasztan i z trudem wdrapałam się na siedzenie. Hulan nacisnęła na pedały. Podała mi jakiś drążek, chyba nogę od krzesła.

- Gdyby ktoś próbował ukraść nam tę riksę, bij bez namysłu! - krzyknęła. - Musisz, jasne? Bij bez namysłu!

- Bić bez namysłu! - powtórzyłam.

Serce waliło mi jak młotem. Rozglądałam się na boki, raz pogroziłam kijem mężczyźnie, który mi się przyglądał.

Dopiero kiedy prawie dojechałyśmy do domu, przyszło mi do głowy, żeby zapytać, skąd wzięła riksę.

- Co za straszny świat - odparła. - Kiedy dostaliśmy się w aleję, mogłam wreszcie odetchnąć i coś zobaczyć. Natychmiast rzucił mi się w oczy tamten człowiek, który ukradł riksę. Pedałował zaledwie parę metrów ode mnie. Nie zastanawiałam się nawet. Podbiegłam i z całych sił zepchnęłam go z siodelka. Kiedy upadł, wskoczyłam i pojechałam po ciebie. Zauważyłam twój zielony płaszcz i widziałam, że mnie szukasz. Właśnie miałam cię zawołać, kiedy ktoś do mnie podbiegł. Wah! Machał kijem, gotów mnie zrzucić i ukraść riksę, zupełnie tak jak ja i ten człowiek przede mną. Ale nie dałam się zaskoczyć. Kiedy się zamachnął, złapałam za kij i go przepędziłam.

Machnęła mi ręką przed nosem: jeden palec wyglądał na złamany.

- Widzisz, jaki się ten świat zrobił zły? - powiedziała. - Teraz i ja taka jestem.

Tego dnia wyjechaliśmy z Nankinu.

Widzisz więc, że pod wieloma względami miałam szczęście. *Taonan* nigdy tak naprawdę mnie nie dosięgnął, choć niewiele brakowało.

Oczywiście tak byłam wystraszona, że zupełnie wyleciał mi z głowy telegram, który wysłałam do Orzeszka. Zapomniałam o swoich czterystu juanach, a potem było już za późno.

XIII

Oddech nieba

Kilka lat temu rozmawiałam z Helen o tym, co zdarzyło się w Nankinie. Przypomniałam sobie, bo narzekała na palec.

- Pamiętasz, jak ukradłaś riksę tego dnia, kiedy z nieba leciały kartki papieru?

Widzisz, minęło już pięćdziesiąt lat, a ja nigdy nie podziękowałam jej za uratowanie życia. Wtedy tak bardzo nam się spieszyło, że nie było czasu na uprzejmości. Chciałam zrobić to teraz.

Helen roześmiała się jednak.

- Nie pamiętam nic takiego - powiedziała. - Zresztą, jak możesz oskarżać mnie o kradzież? W życiu niczego nie ukradłam!

- Była wojna - przypominałam. - Zepchnęłaś z siodełka jakiegoś mężczyznę i złamałaś ten palec, który teraz tak ci się daje we znaki. Potem znalazłaś mnie i zabrałaś do domu. Byłam wtedy w szóstym miesiącu ciąży.

Ale Helen nadal nie pamiętała. Majaczyło jej się coś o mieszkaniu w Nankinie i kaczych nerkach, które jadła tam kiedyś, jedyny raz w życiu, i o stole, którego nie chciała zostawić. Oczywiście przypomniała też sobie Wan Betty. Uważała, że Wan Betty to jej przyjaciółka!

Czy to nie dziwne? Mieszkałyśmy w tym samym miejscu, w tym samym czasie. Dla mnie był to jeden z najgorszych okresów w życiu, a według niej nie zdarzyło się tam nic godnego uwagi oprócz kaczych nerek.

Jak myślisz, czemu tak się dzieje? Dobre czasy, złe czasy: wszystko tkwi tylko w mojej pamięci, której nikt ze mną nie dzieli. Czuję się z tym bardzo samotna.

Tak czy inaczej, Helen narzekała wtedy na artretyzm, więc zaproponowałam, że dokończę za nią okręcać wieńce drutem. Nie powiedziałam, że robię to, by podziękować za ocalenie życia w Nankinie. Nie zrozumiałyby. Sama jednak dobrze wiedziałam.

Teraz opowiem ci, jak uszliśmy cało, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Po jednej walizce na osobę - to wszystko, co mogliśmy zabrać. Wyjeżdżaliśmy za godzinę. Tak to właśnie było: w ciągu godziny musieliśmy zdecydować, czego

potrzeba nam do przeżycia i czego nie sposób zostawić. Nie starczyło czasu, by cokolwiek sprzedawać. Całe miasto zwariowało w obliczu *taonan*. Bardzo się bałam.

Wen Fu nie umiał mnie pocieszyć. Kiedy zaczęłam mu opowiadać o tym, co zdarzyło się na rynku, zbył mnie machnięciem ręki.

- Oczu nie masz? - wrzasnął. - Mam ważniejsze sprawy na głowie niż wysłuchiwanie o twoich zakupach.

Po czym poszedł porozmawiać z kimś w ciężarówce. Zapalił papierosa, zaciągnął się dwa razy, popatrzył na zegarek i zdeptał niedopałek, po czym natychmiast zapalił następnego. Po tym poznałam, że sam też się boi.

To Jiaguo powiedział Hulan i mnie, że możemy zabrać tylko jedną walizkę.

- A co z moim nowym stołem? I z dwoma krzesłami? - zawołała Hulan.

W kilka dni po przyjeździe do Nankinu obie kupiłyśmy dodatkowe meble, sądząc, że w stolicy zatrzymamy się na dłużej. Stół i krzesła Hulan były tanie i nie najlepszej jakości, ale mimo to chyba nigdy w życiu nie miała lepszych.

- Nie martw się o rzeczy - powiedział Jiaguo, po czym odciągnął ją na bok i szepnął coś na ucho.

Nie słyszałam, co powiedział, ale widziałam, że nadąsana mina zniknęła i Hulan rozpromieniła się w jednej chwili.

- Pospiesz się - powiedziała do mnie nowym, rozkazującym tonem. - Nie ma czasu, żeby siedzieć i użalać się nad sobą.

Chciałam jej przypomnieć, że to nie ja narzekałam, ale rzeczywiście nie było czasu.

Pakowałyśmy się, a służący chodził tam i z powrotem, przynosząc nam żądane rzeczy: zapasowy mundur Wen Fu, koszyk z przyborami do szycia, z którego mogłam zabrać tylko igły, do tego dwie miseczki i dwie pary pałeczek.

Przez cały czas nie zamykały mu się usta:

- Z samego radia i gazet nic by się człowiek nie dowiedział. Ani słowa o tym, że nadciągają Japończycy - mówił nerwowo. - Ale wystarczy spojrzeć na twarze ludzi na mieście.

Im więcej gadał, tym szybciej się pakowałyśmy. Opowiadał, że dezertrzy rabują i nawet zabijają ludzi, żeby zdobyć cywilne ubrania, zanim japońska armia nadejdzie do stolicy. Każdy, kto tylko miał pieniądze albo koneksje, brał nogi za pas.

Uciekał nawet burmistrz, ten sam, który otrzymał nominację od Czang Kaj-szeka, bo obiecywał zawsze chronić Nankin; zabierał ze sobą mnóstwo pieniędzy.

- My nie uciekamy - ucięła Hulan ostro. - Piloci drugiej i trzeciej klasy zostali skierowani do Kunmingu w bardzo ważnej sprawie. Dlatego tam jedziemy.

Ciekawe, czy naprawdę w to wierzyła. Czy tak powiedział jej Jiaguo? Jakie znów ważne sprawy w Kunmingu? Dawno temu zsyłano tam dygnitarzy, którzy popadli w niełaskę. Jeśli nie obcięli ci głowy, zsyłali cię do Kunmingu, leżącego prawie na samym krańcu Chin, wśród prymitywnych plemion. Oczywiście, teraz wyglądało tam inaczej, ale nadal przychodziło mi na myśl wyrażenie używane przez stryja: *kunjing* Kunming, czyli „utkwic w dziurze, zupełnie jak w Kunmingu”, wypaść z prawdziwego świata. Kunming wydał mi się bezpieczną kryjówką, w której nikt nas nie znajdzie. Cieszyłam się, że tam jedziemy.

Kiedy spakowałam już walizkę Wen Fu, wzięłam się do swojej. Na spodzie, pod podszewką wciąż czułam srebrne pałeczki, które dostałam w wyprawie ślubnej. Na tym ułożyłam pudełko po ciastkach z całą moją biżuterią i maleńką niebieską buteleczkę po perfumach, którą dawno temu dała mi matka. Przykryłam to wszystko paroma dobrymi ubraniami. Nagle zauważyłam, że spakowałam same zimowe rzeczy, zupełnie jakbym nie miała dożyć następnej pory roku. Co za zły omen! W ostatnim momencie wyjęłam jeden sweter i dołożyłam dwie letnie sukienki.

Garnki, patelnie i kilka par starych butów oddałam kucharce i jej córce. Od razu wiedziałam, komu dać pozostałe rzeczy, których nie mogłam zabrać. Wan Betty nadchodziła właśnie drogą, więc zawołałam, żeby zatrzymała się na chwilę.

- Dokąd pojedziesz? - zapytałam. - Do Nanczang, do teściów?

Szybko pokręciła głową.

- Oni nie chcą mnie, ja nie chcę ich - powiedziała z siłą i odwagą. - Zostaję tutaj.

- Wobec tego pomóż mi zabrać parę rzeczy - powiedziałam.

Zawołałam służącego, by przyniósł radio Wen Fu, resztę moich ubrań i małą maszynę do szycia. Kazałam mu włożyć to wszystko do rikszy, stojącej wciąż przed naszym domem.

- Zabierz to do siebie - powiedziałam Wan Betty. Zauważyłam, jak Hulan przygryza wargi na widok wynoszonej maszyny. Wiedziałam, że strasznie chciałaby ją mieć, mimo że nie starczyłoby jej miejsca.

Wan Betty zaczęła protestować, ale ją powstrzymałam:

- Nie ma czasu na te uprzejme kłótnie.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze więc - powiedziała. - Będę używać maszyny, żeby zarobić na życie dla siebie i dziecka. - Ścisnęła mnie za rękę. - Na zawsze mam wobec ciebie dług - dodała. - Nawet gdybym zwróciła ci go dziesięciokrotnie, wciąż byłoby mało.

Wiedziałam, że w ten sposób życzy nam obu, byśmy się znów spotkały. Potem szybko wyciągnęła coś z portfela. Była to jej ślubna fotografia. Miała na sobie pomiętą długą atlasową suknię, a jej mąż pilot czarne spodnie, białą marynarkę i przekrzywioną muszkę. Każda para pożyczala te same ubrania od fotografa, robiącego zdjęcia ślubne w zachodnim stylu.

Podziękowałam jej za fotografię. Uważałam, że zostając, daje dowód odwagi, bo mogła chyba wyklócić się z ludźmi z Sił Powietrznych, by zabrali ją ze sobą.

Teraz Jiaguo zaczął krzyczeć:

- Jedziemy!

Wen Fu krzyknął to samo i służący też zaczęli nas popędzać. Wrzuciliśmy walizki na tył otwartej wojskowej ciężarówki, po czym wspięliśmy się same. Było tam tak wysoko, że Wen Fu musiał mnie wciągać, podczas gdy Hulan popychała mnie od tyłu.

- Pospieszcie się! - krzyknął Jiaguo cienkim głosem.

Nagle serce zaczęło mi walić. Pomyślałam, że uciekamy nie dość szybko i Japończycy pojawią się tu w każdej chwili. Każdy chyba o tym myślał.

- Pospieszcie się, jedziemy! - krzyczeli wszyscy razem. - Wsiadaj prędko, nie trać czasu!

Tył ciężarówki szybko się zapełnił. Dziewięcioro ludzi siedziało ciasno obok siebie. Oprócz Hulan i mnie jechali sami mężczyźni: nasi mężowie, dwóch pilotów trzeciej klasy, dwóch urzędników, z których jeden wyraźnie wywyższał się nad drugiego, staruszek, który zapłacił mnóstwo pieniędzy, żeby go zabrać i, rzecz jasna, kierowca, mężczyzna nazywany „starym panem Ma”. Tak naprawdę nie był wcale stary, mówiło się tak do niego w dowód szacunku. Do niego należało dowieźć nas wszystkich do Kunmingu.

Nagle stary pan Ma zaklął ochryple, silnik zaskoczył z głośnym rykiem i ruszyliśmy ulicą, mijając domy, które straciły elegancję tak samo jak ten, który opuściliśmy.

Skręciliśmy w następną ulicę i wyjechaliśmy przez bramę na Zachodniej Ścianie.

Skręcaliśmy jeszcze wiele razy, jadąc wąskimi drogami ukrytymi wśród drzew. Zostawiwszy za sobą miasto, objechaliśmy jezioro Bez Trosk, które wyglądało pięknie nawet w zimie: ciche i spokojne, falujące przy brzegach porośniętych płaczącymi wierzbami. Wyglądało tak, jakby nie zmieniło się ani na jotę od czasów ostatniego cesarza. Pożałowałam, że nigdy nie przyszedłam tu na spacer, by poczuć w sercu ten niezmienny spokój.

Wtedy zobaczyłam małego chłopca stojącego na brzegu. Był bardzo daleko, ale widzieliśmy, jak macha. Podskakiwał i wołał coś. Myśleliśmy, że dojrzał mundury pilotów, więc wiwatuje na ich cześć. Pomachaliśmy do niego. Zaczął biec w naszą stronę, podskakując i wymachując rękami wysoko nad głową. Chciał, żebyśmy się zatrzymali, czego, rzecz jasna, nie dało się zrobić. Kiedy go mijaliśmy, zaczął tupać nogami. Podniósł parę kamieni i wrzucił je do jeziora, mącąc gładką taflę wody. Rozrzucił ręce, naśladując wybuch.

- Bum! - krzyczał. - Bum! Bum!

Potem ten niedobry chłopak podniósł jeszcze jeden kamień i rzucił nim w ciężarówkę. Nie trafił, ale teraz usłyszeliśmy, co woła:

- Uciekinierzy! Tchórze!

Dojechaliśmy do portu na rzece Jangcy, tuż za miastem. Powiedziano nam, że stamtąd odpływa łódź do naszego postoju: Hankou-Wuchang, w centralnej części kraju. Z powodu strasznych upałów nazywano to miejsce Diabelskim Piecem. O miejscowych krążył dowcip, że kąpiel we wrzątku to dla nich przyjemna ochłoda. Oczywiście teraz wszystko wyglądało inaczej; zimą w czasie wojny nikomu nie chciało się żartować.

Płynęliśmy kilka dni, może tydzień. Nie pamiętam dokładnie, bo od tamtej pory podróżowałam łodzią jeszcze wiele razy i czasami mi się miesza.

Tak czy inaczej, kiedy wysiedliśmy w Hankou-Wuchang, zatrzymaliśmy się na noc w hotelu. Następnego ranka okazało się, że stary pan Ma załadował już nasze walizki na ciężarówkę podobną do tej z Nankinu; różniła się tylko tym, że przyczepiono do niej wielki zbiornik na paliwo. Tylko dzięki temu można się było wówczas dostać do Kunmingu, bo nie mieliśmy stacji benzynowych co dziesięć mil.

Nie poruszaliśmy się też po autostradach z ograniczeniem prędkości do siedemdziesięciu mil na godzinę.

Po wyjeździe z Hankou jechaliśmy wąskimi, zapuszczonymi drogami, dwu- , a czasem i jednopasmowymi, nie szybciej niż dwadzieścia mil na godzinę, bo tylko tyle wyciągała ciężarówka. Gdybyśmy spotkali po drodze Japończyków, wystarczyłoby, żeby podbiegli i wyciągnęli nas na drogę.

Pierwszego dnia bałam się, że nie uciekamy dość szybko. Drugiego dnia wciąż jeszcze się bałam, ale potem zapomniałam o strachu. Nudziło mi się. Jechaliśmy w głąb kontynentu, z dala od walk, co przypominało cofanie się w czasie, podróż do świata sprzed wojny. Nikt nie miał nic przeciw temu: tu byliśmy bezpieczni.

Na zachód od Czangsza jechaliśmy wzdłuż rzeki i przez wioski pełne małych potoków. W jednym miejscu zobaczyliśmy strumień, w którym aż roiło się od ryb; Hulan stwierdziła, że przypomina zawieszistą zupę.

W tej biednej, zacofanej okolicy nie przyszłoby ci nawet do głowy, że Chiny prowadzą wojnę. Miejscowi nie dostawali gazet, zresztą nie umieli nawet czytać. Poza tym wojna dopiero się zaczęła i tutejszym ludziom nie przeszłoby przez myśl, że ktokolwiek chciałby się bić o ich *mu* ziemi. Nie mieli czasu na inne zmartwienia poza ceną ziarna na rynku, kosztami przyszłorocznego wysiewu i pytaniem, skąd wziąć jedzenie, kiedy zabraknie pieniędzy.

Nie napotkaliśmy po drodze żadnych Japończyków. Naszymi wrogami były jedynie blokujące drogę zwalone pnie drzew albo przedziurawiona opona.

Pewnego razu zagroziła nam drogę świnia. Nie chciała się ruszyć. Stary pan Ma trąbił, podjeżdżał powolutku i trącał ją zderzakiem, ale tylko się przewracała z boku na bok i bodła ciężarówkę, jakby walczyła z inną świnią. *Wah!* Śmialiśmy się do rozpuku.

Nagle Wen Fu oznajmił, że wie, jak rozwiązać nasz problem. Wskoczył na drogę, wyciągając rewolwer z kabury na piersi.

- Nie strzelaj! - krzyknęłam. - Zaraz się ruszy.

Ale Wen Fu mnie nie słuchał. Podszedł do zwierzęcia, które teraz ryło wokół opon. Hulan zamknęła oczy.

- On tylko żartuje - powiedział Jiaguo.

Siedzieliśmy bez ruchu. Świnia też znieruchomiała. Strzygła uszami i ze znieruchomiłym ogonem przyglądała się Wen Fu nieufnie.

Nagle po drugiej stronie drogi pojawił się staruszek. Biegając krzyczał:

- Więc tu cię poniosło, ty stary śmierdzielu!

Wen Fu podniósł na niego oczy.

- Niedobra świnia! - wołał staruszek, machając jakąś szmatką jak biczem, po czym dodał ciepłej: - No, chodź tu, ty nieposłuszne stworzenie.

Ależ mi ulżyło! Wszyscy zaczęli się śmiać. Wtedy Wen Fu odwrócił się do świni i wypalił, trafiając prosto w brzuch. Biedne zwierzę kwiknęło i tryskając krwią, powlokło się na skraj drogi. Wpadło do rowu nogami do góry.

Stary człowiek otworzył szeroko usta. Podbiegł do świni, po czym zaczął kłać i walić szmatą o ziemię. Wreszcie pogroził nią Wen Fu.

- Co z ciebie za zidiociały szatan! - wrzasnął.

Wen Fu zmarszczył brwi i wycelował w staruszkę, któremu oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

Na to podniósł się Jiaguo.

- Przestań! - krzyknął.

Wen Fu opuścił rewolwer i uśmiechnął się szeroko.

- Tylko żartowałem - powiedział.

Schował broń i wspiał się szybko na ciężarówkę. Czują konsternację, jaka wszystkich ogarnęła. Niewiele rozmawialiśmy do końca dnia.

Niedaleko Czangsza mijaliśmy tarasowe pola ryżowe. Takie właśnie Chiny w Amerykanie widujecie najczęściej na filmach: ubogie okolice i ludzi w wielkich kapeluszach, chroniących od słońca. Nie, ja nigdy takiego nie nosiłam! Pochodzę z Szanghaju. To zupełnie tak, jakbyś uważała, że mieszkaniec San Francisco nosi kowbojski kapelusz i jeździ konno. Niedorzeczne!

W każdym razie ludzie z tamtych miejscowości byli bardzo prości, uczciwi i przyjaźni. Podczas dnia zatrzymywaliśmy się w małych wioskach. Koło samochodu gromadziły się dzieci, niczego nie dotykając ani nie zadając pytań. Ordynans kupował nam na straganach miejscowe gotowe jedzenie: miseczki makaronu *dan-dan* na ostro albo tłuste kawałki wieprzowiny z kapustą. Raz dostaliśmy tofu smażone z papryczkami chili. Ach, co za smak! Najlepsza potrawa podczas dwustukilometrowej podróży.

Kiedy zapadał zmrok, musieliśmy szybko szukać noclegu: na drodze robiło się zbyt ciemno, a śpiący kierowca mógł łatwo wyłądować na polu, podobnie jak Wen Fu na cmentarzu. Zatrzymaliśmy się więc razem ze słońcem i wtedy właśnie mieliśmy okazję sprawdzić, czy szczęście nam dopisuje.

Czasem trafiały się nam przyjemne postoje: proste hotele z czystymi łózkami i wspólną łazienką. Kiedy indziej schronienia udzieliła nam szkoła albo szpital. Raz dostały nam się deski w chlewie; nocą świny chrząkały pod drzwiami, próbując wrócić do środka.

Nie narzekaliśmy zbyt wiele. Chińczycy bez względu na pochodzenie potrafią się przystosować niemal do każdej sytuacji. Wiedzieliśmy, że nasze położenie może się zmienić w każdej chwili. Masz szczęście, że nie urodziłaś się w tym kraju; nigdy nie musiałaś myśleć w ten sposób.

W trakcie podróży mijaliśmy wiele plemiennych wiosek, pełnych ludzi w brudnych kapeluszach. Podbiegali do ciężarówki, usiłując sprzedać nam papierosy, zapalki, kubki zrobione z blaszanych puszek i inne śmiecie. Kiedy częstowali nas swym najlepszym jedzeniem, mogliśmy się tylko gapić na dwa kawałki wyschniętego mięsa leżące na wierzchu wodnistego ryżu, zastanawiając się, jakież to zwierzę mamy przed sobą.

Pamiętam moment, kiedy przybyliśmy do większego miasta, Kuejjang. Mieliśmy się tam zatrzymać na kilka dni, żeby Siły Powietrzne zajęły się naprawą ciężarówki i dostarczeniem większej ilości benzyny przed długą i ciężką przeprawą do Kunmingu.

Wen Fu znał pewne powiedzenie o Kuejjang, mniej więcej takie: „pogoda nie trwa dłużej niż trzy dni, ziemia nie wygładza się nawet na trzy cale”. Wiecznie padało, a w mieście pełno było wybojów. Domy i ulice wiły się w górę i w dół, jak grzbiet smoka. Za miastem rozciągały się strome, skaliste wzgórza, podobne do zeszywniałych starców.

Wysiedliśmy z ciężarówki, zmęczeni po całodziennym jeździe. Stary pan Ma wskazał na restaurację po drugiej stronie ulicy, mówiąc, żebyśmy poszli coś zjeść, podczas gdy on poszuka dla nas hotelu.

Przed drzwiami restauracji stała olbrzymia drewniana kadź. Zajrzeliśmy do środka, a tam... było mnóstwo białych węgorzy. Żywych! W Szanghaju uważano je za

rzadki przysmak, prawdziwy rarytas, tutaj okazało się, że mają ich tyle, iż serwuje się je jako zwykłe danie: rano, w południe i wieczorem.

Kucharz zanurzył w kadzi siatkę i wyciągnął śliskie węgorze, wołając:

- Świeże, widzicie?

Tego wieczora najedliśmy się do syta, zamawiając wielkie talerze pełne gotowanych w całości węgorzy, grubych na palec. Nic dziwnego, że kiedy stary pan Ma powiedział, że znalazł dla nas najlepszy w mieście hotel, pierwsza klasa, spodziewaliśmy się pałacu.

No i wyobraź sobie, że było to coś okropnego! Prymitywnie i brudno. Kiedy zapytałam, gdzie jest łazienka, odpowiedziano mi: „Na zewnątrz”. Wyszłam na dwór, ale nie znalazłam żadnej łazienki ani toalety. Nie było nawet zasłony! Brudna dziura w ziemi, gdzie załatwiano się wprost na oczach wszystkich. Teraz śmieję się z tego, ale wtedy powiedziałam sobie, że wolę nie iść. Wróciłam do pokoju i siedziałam tam, aż o mało nie pękłam. Naprawdę. Łzy i pot ciekły mi po twarzy, bo tak długo czekałam, zanim wyszłam jeszcze raz.

Wnętrze hotelu prezentowało się równie źle. Za materace służyło wszystko, co wpadło pod rękę: brudna słoma pełna kamyków, starych piór i rzeczy, których nie chciałybyś sobie nawet wyobrażać. Obciążnięto je cienkim materiałem, którego nigdy nie polano nawet gorącą wodą, żeby zacieśnić splot, przez co do środka bez trudu dostawały się pluskwy; wchodziły po prostu jak otwartymi drzwiami. Nocą wychodziły i piły naszą krew. Naprawdę. Widziałam je na plecach Wen Fu.

- Hej, co to jest? - zapytałam. - Tu i tam, takie małe, czerwone plamki.

Dotknął się i zaczął krzyżeć: „aj! aj!”, podskakując i waląc się po plecach. Próbował je strząsnąć. Bardzo starałam się powstrzymać od śmiechu.

Kiedy się wreszcie uspokoił, pomogłam mu je zdjąć. W miejscach ugryzienia pojawiły się teraz wielkie, czerwone plamy.

Nagle Wen Fu krzyknął, że ja też mam jedną na szyi. Zaczęłam wrzeszczeć i podskakiwać. Roześmiał się, potem zdjął ze mnie insekta, pokazał mi go i zgniótł między palcami. Co za smród!

Następnego dnia okazało się, że wszyscy mamy podobne problemy. Przy śniadaniu uzalaliśmy się żartobliwie przed panem Ma. Potem wszedł Jiaguo i ogłosił nowiny: japońska armia zaatakowała stolicę; Nankin został całkowicie odcięty. Jiaguo

nie umiał powiedzieć, czy ludność nie stawiała oporu i w związku z tym spotkała się z łagodnym traktowaniem, zgodnie z obietnicami. Nikt nie znał jeszcze szczegółów.

Pomyślałam o Wan Betty i jej mocnych słowach. Ugięła się przed Japończykami?

Inni z pewnością myśleli o podobnych rzeczach, ale nie roztrząsaliśmy swoich uczuć. Siedzieliśmy w milczeniu. Nie narzekaliśmy też więcej na warunki w Kuejjang. Nawet w żartach.

Po opuszczeniu Kuejjang wjeżdżaliśmy coraz wyżej w góry. Hulan i ja wyglądałyśmy w milczeniu. Na sam widok urwiska wydawało nam się, że spadamy. Droga robiła się coraz węższa. Za każdym razem, gdy samochód wpadał na wybój, rozlegało się „Wah!”, po czym śmialiśmy się trochę, zasłaniając usta.

Wszyscy tłoczyliśmy się z tyłu razem z walizkami, próbując czegoś się trzymać, żeby się nie zsuwać i nie pocierać łokci.

Czasami stary pan Ma pozwalał mi siedzieć w sfoferce. Nie powiedział, że to z powodu ciąży. Przed nikim się nie tłumaczył. Każdego ranka patrzył po nas i kiwał na kogoś, co oznaczało zaproszenie do przodu.

Podczas podróży pan Ma miał największą władzę, zupełnie jak cesarz. Zależało od niego nasze życie. Wiedzieliśmy, że siedzenie w sfoferce to to samo, co tron. Fotel miał poduszkę, a jeśli się zmęczyłaś, można było wyciągnąć nogi, oprzeć głowę i zasnąć. Nie tak jak z tyłu, gdzie wszyscy wykłócali się o każde dwa cale i twarde kolana.

Na górskiej drodze nie mieliśmy niczego, prócz życia i szansy na siedzenie w sfoferce. Reszta, nawet rzeczy w walizce, nie miały tu znaczenia.

Oczywiście każdy miał powody, żeby siedzieć z przodu. Roztrząsało się je przy posiłkach, kiedy wiedzieliśmy, że pan Ma słucha. Jeden z mężczyzn narzekał na wiek i artretyzm, drugi nabawił się w Kuejjang jakiejś niezaraźliwej choroby, która bardzo go osłabiła, inny znów przypominał wielokrotnie, jakim to był ważnym urzędnikiem. Jiaguo przyznał, że dosłużył się rangi kapitana lotnictwa, niedawno awansował. Hulan prawiała panu Ma komplementy na temat jego szoferskich umiejętności, Wen Fu zaś dawał mu papierosy i wyzywał na karciane pojedynki, które pan Ma dziwnym trafem zawsze wygrywał.

W dzień na drodze panował spory ruch, choć nie spotykało się samochodów, tylko dzieci niosące na plecach ciężkie worki z ryżem albo mężczyźni poganiających wózki zaprzężone w osiołka. Trafiały się też stragany. Na nasz widok ludzie przyciskali się do zbrocza, żeby dać nam przejazd.

Gapili się na nas i na drogę, którą przyjechaliśmy.

- Niedługo przyjdą Japończycy - żartował raz Wen Fu.

Biedni wieśniacy bardzo się wystraszyli.

- Jak daleko są? - zapytał pewien starzec.

- Nie ma się czym martwić! - krzyknął Jiaguo. - On tylko żartował. Nikt nie nadchodzi.

Ale wydawało się, że wieśniacy go nie słyszą. Nadal patrzyli na drogę za nami.

Pewnej nocy pan Ma zatrzymał ciężarówkę na poboczu, wyskoczył i oznajmił, że przez wiele godzin nie napotkamy żadnej wioski.

- Śpimy tutaj - powiedział, po czym położył się w szoferce.

Żadnych dyskusji.

Noc była tak czarna, że nie wiedziałam, gdzie kończy się droga, a gdzie zaczyna urwisko i niebo. Nikt nie odważył się oddalić od ciężarówki. Niebawem mężczyźni zrobili z walizek stolik i przy świecy zasiedli do kart.

Dziecko ciążyło mi już tak bardzo, że często bolał mnie pęcherz.

- Muszę iść za potrzebą - odezwałam się do Hulan. - Ty też?

Skinęła głową.

Wymyśliłam bardzo sprytny plan. Wzięłam Hulan za rękę i kazałam jej iść za mną. Drugą rękę położyłam na zboczach góry, dalej od urwiska. Trzymając się skały, odeszłyśmy od mężczyźni tuż za zakręt i tam obydwie się załatwiłyśmy. Bardzo się zmieniłam od czasu, gdy spotkałam Hulan po raz pierwszy. Nie wstydziałam się już takich rzeczy, a na pewno nie tak jak w łaźni w Hangczou.

Potem ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Nie mogłam jeszcze wrócić. Obie oparłyśmy się o skałę, patrząc w niebo. Przez kilka minut nie odzywałyśmy się ani słowem. Przy niebie usianym gwiazdami nie trzeba wiele mówić.

- Matka pokazała mi kiedyś na nocnym niebie zarysy bogów i bogiń - odezwała się Hulan. - Powiedziała, że wyglądają inaczej, w zależności od miejsca cyklu. Czasem można zobaczyć twarz, czasem tył głowy.

Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Może jednak w jej prowincji tak to właśnie wyglądało, nie byłam pewna. Zapytałam tylko:

- Jakie zarysy?

- Och, zdążyłam już zapomnieć - odparła smutno i ucichła. - Myślę, że jedną z nich nazywano Dziewczyną-Wężem - dodała po paru minutach. - Popatrz tam, czy to nie wygląda na węża z pięknymi oczami? A ta, przez którą przesuwają się chmury, wydaje mi się, że to Niebiańska Pasterka.

Och, słyszałam już kiedyś tę starą historię.

- To on był pasterzem, a ona tkaczką - poprawiłam. - Jedną z siedmiu córek kuchennego boga.

- Możliwe. A może mam na myśli siostrę pasterza - odpowiedziała.

Nie chciałam się kłócić. W końcu co to za różnica, czy Hulan o czymś pamięta, zapomniała albo zmyśla.

Ze zmęczenia pozwoliłam myślom błądzić bez celu. W mojej wyobraźni gwiazdy układały się we wzory. Jeden nazwałam „Rozdzielone gęsi”, inny „Topielica z rozwianymi włosami”.

Potem razem z Hulan wymyślałyśmy historie, zawsze zaczynające się od słów: „dawno, dawno temu”, które toczyły się w krainach dzieciństwa: „królestwie damy o końskiej głowie” albo „w sercu Niebiańskich Gór”.

Nie pamiętam dokładnie tych opowieści. Czasem były bardzo głupie, Hulan chyba jeszcze głupsze od moich, bo u niej zawsze na końcu pojawiał się nie wiadomo skąd bohater i żenił się z bestią, która przemieniała się w dobrą i piękną księżniczkę.

Moje historie dotyczyły zwykle mądrości, która przychodzi po szkodzie: żeby nie jeść za dużo, nie mówić za głośno i nie włóczyć się samopas po nocy. Zawsze występowali w nich ludzie, którzy przez swój uparty charakter odrywali się od ziemi i ulatywali w niebo. Nie potrafię się już dopatrzeć tamtych wzorów, ale wciąż pamiętam przyjazne uczucia, jakie wtedy żywiłyśmy do siebie.

Wszyscy chwytam się takich rzeczy: wymyślonych opowieści, dalekich gwiazd, które stają się bliskie sercu. Podczas podróży szukaliśmy przychylnych znaków, pokoju, który nigdy nie przeminie. Tylko to się liczyło. Pewnego razu spostrzeżliśmy ptaka, siedzącego na grzbiecie pasącej się krowy. Wyobraziliśmy sobie, że przyjaźnią się od zawsze. Innym razem w pewnej wiosce zobaczyliśmy chudego chłopca, który machał do nas ze szczerym uśmiechem, nie tak jak tamten chłopiec znad jeziora na

przedmieściach Nankinu. Rozmawialiśmy o nim przez cały dzień, chwając jego urodę, mądrość i porównując go z naszymi kuzynami, którzy we wspomnieniach cechowali się nienagannymi manierami.

Pewnego dnia poczuliśmy coś, dzięki czemu na resztę podróży wszystkie przeszłe i przyszłe nieszczęścia poszły w niepamięć.

Zatrzymaliśmy się na noc w wiosce zwanej Dwadzieścia Cztery Zakręty. Tutaj zaczynała się kręta przeprawa przez góry. Jakiś miejscowy radził nam przekroczyć góry jeszcze tego samego dnia, bo nazajutrz z wioski zwanej Niebiański Oddech, po drugiej stronie gór, miała ruszyć inna wojskowa ciężarówka. Co za kłopot, gdybyśmy spotkali się po drodze! Dwie ciężarówki nigdy nie przecisnęłyby się koło siebie. Musielibyśmy cofać się bardzo długo, zanim znalazłoby się szersze miejsce. Pomyśleć: niech tylko kierowca straci kontrolę albo popełni najmniejszy błąd - i już spadamy! Bardzo niebezpieczne.

- Przez ile *li* ciągną się te dwadzieścia cztery zakręty? - zapytałam miejscowego wieśniaka.

Roześmiał się.

- Wszystkich razem nie będzie dwadzieścia cztery, młoda panienko - odparł. - Może dwadzieścia cztery na każde *li*. Och, trzeba przejechać ze czterdzieści, zanim człowiekowi przestanie kręcić się w głowie i w żołądku. I uważajcie tam na górze na Białą Damę. Lubi ściągać ludzi z drogi i zmuszać do wypicia z nią dziesięciu tysięcy filiżanek herbaty. Mówimy na to: herbata nieśmiertelności. Jeden łyk i nigdy nie zechcesz już opuścić jej domu w chmurach. Zapominasz drogę powrotną!

Cóż za okropne poczucie humoru! Żarty, które można wypowiedzieć w złą godzinę! Nie miałam pojęcia, czemu wszyscy się śmieją. Hulan też.

Kiedy wyruszyliśmy, w górze zbierały się chmury. Wiatr pojękiwał: hu! hu!, by potem znów ucichnąć. Owinęliśmy się ciasno kocami i ciężarówka rozpoczęła wspinaczkę.

Po pierwszych dwudziestu czterech zakrętach wjechaliśmy w warstwę chmur i wiatr przybrał na sile. Po następnych dwudziestu czterech zakrętach znaleźliśmy się w środku chmury, która gęstniała coraz bardziej. Nagle cały świat zrobił się biały i kierowca krzyknął, że niewiele widzi przed sobą. Stanęliśmy. Wszyscy prócz mnie wyskoczyli, mruczając pod nosem: „Jakie to dziwne!”

Usłyszałam głos Wen Fu:

- Dlaczego się zatrzymujemy! Nie pamiętacie, co mówił ten człowiek? Musimy jechać!

Patrzyłam na Wen Fu i czarny otwór jego ust, przekrzykujących wiatr. Spojrzałam na innych. Welony mgły spowijały ich twarze. Wyglądali pięknie, lecz strasznie zarazem. Aj! Przeszło mi przez myśl, że pewnie już nie żyjemy, ale inni tego jeszcze nie spostrzegli. Popatrzyłam w dół: droga zniknęła.

- Co się z nami stanie? - zawołałam, ale mój głos zaniknął, kiedy tylko wypowiedziałam te słowa.

Znów wydało mi się, że jesteśmy martwi. Wyobraziłam sobie, jak mój głos wsiąka w chmurę pełną lamentujących duchów. Ich narzekania robią się coraz cięższe, wreszcie zamieniają się w lzy i spadają na ziemię pod postacią deszczu.

W tym momencie Hulan wspięła się z powrotem na ciężarówkę, potykając się o walizki. Uznałam, że chyba jednak żyjemy, bo prawdziwe duchy nie poruszałyby się tak niezdarnie.

- Zupełnie jak w tej historii, o której ci mówiłam - powiedziała Hulan. - Niebiańska Pasterka rozlała właśnie niebiańskie mleko.

Pomyślałam, że prawdziwy duch nie mówiłby takich głupstw.

Hulan otworzyła walizkę i wyciągnęła coś, co przypominało staromodną czerwoną suknię ślubną. Co jej przyszło do głowy? Rzuciła tym w Jiaguo, który złapał to spokojnie i kazał wszystkim wracać na miejsca. Po chwili zobaczyłam, że Hulan zapożyczyła ode mnie pomysł sprzed kilku nocy: Jiaguo biegł, jedną ręką trzymając się skały, której szorstka powierzchnia dawała mu kontakt ze światem. Czerwona suknia w drugiej ręce pokazywała drogę kierowcy.

Ciężarówka ruszyła. Bardzo powoli, ale jednak. Po półgodzinie kompletnie mokry z wyczerpania Jiaguo wsiadł do środka, a jego rolę przejął Wen Fu, po nim następny pilot. Cał po całcu niebo jaśniało, chmury rzedły, robiąc się coraz bardziej niebieskie, aż wreszcie nie potrzebowaliśmy już czerwonej sukni ślubnej, by widzieć niebezpieczeństwa.

Droga wciąż wiała się i wspinała, miała tyle zakrętów, że trudno już było przewidzieć, co czai się za następnym.

Na koniec wiatr i chmury zostały za nami. Wszyscy zachłysłeni się ze zdumienia, a potem jęknęli. Oto bowiem znaleźliśmy się w miejscu, o jakim słyszysz

tylko w bajkach: nad głową błękitne niebo, na dole chmury. Wszystkie problemy tego świata odeszły w niepamięć.

Przez resztę popołudnia podróżowaliśmy wzdłuż grani, ponad warstwą chmur. Byliśmy szczęśliwi, zupełnie jak ludzie, którzy naprawdę umarli, by wrócić jako bogowie: pełni szczęścia, zdrowia, mądrości i dobroci.

Mężczyzna, który zachorował w Kuejjang, stwierdził, że wracają mu siły. Ten z artretyzmem pokazywał nam nadgarstki, twierdząc, że czuje się dużo lepiej.

- To miejsce przypomina pewne magiczne źródło, które kiedyś widziałam - powiedziała Hulan. - Dobrze na wszystko. Wyzwała wewnętrzne siły, o których nie ma się nawet pojęcia.

Ta sama głupia opowieść, którą słyszałam od niej w Hangezou. Jednak teraz wszyscy jej przytaknęli. Nawet ja.

Zaraz potem usłyszałam Wen Fu, mówiącego z takim uczuciem, jakiego nigdy przedtem u niego nie zauważyłam:

- Właśnie tak wygląda latanie - powiedział mi. - Taka radość. Widzieć chmury pod sobą to najlepsze, co może cię spotkać. Czasami zanurzam się tak, w górę i w dół, w obłok i z powrotem w słońce. Jakbym kołysał się na falach.

- Naprawdę? Zawsze tak jest? - zapytałam z podnieceniem.

- Tak. Zawsze - odparł. - Czasem ogarnia mnie tak wielkie szczęście, że głośno śpiewam.

Zaśmiałam się, a on zaczął śpiewać zabawną piosenkę, tę samą, co prawie rok temu podczas przedstawienia, na którym go poznałam. Zaskoczyło mnie, że taką przyjemność sprawia mi jego głos. Cały świat go słyszał, a on śpiewał dla mnie.

Możesz sobie chyba wyobrazić, jak czułam się tamtego dnia w górach. Cieszyłam się, że tu jestem, że mam przyjaciół i męża. Serce wypełniło mi się tak bardzo, że aż zaczęło boleć. Zapomniałam, że kiedyś muszę stamtąd odejść.

Dojechaliśmy do Niebiańskiego Oddechu, wioski na szczycie. Zgodnie postanowiliśmy zatrzymać się na noc, żeby jak najdłużej pozostać w tej scenerii.

Nagle dojrzeliliśmy przybyłą z przeciwnej strony ciężarówkę; szykowała się, by ruszyć drogą, z której dopiero co zjechaliśmy. A może by tak opowiedzieć im, jakie cuda widzieliśmy przed chwilą? Dzięki nam będą mieli czego wyglądać.

Wysiedliśmy pospiesznie. Wen Fu pomógł mi zsiść, żartując, że wystarczyłoby mnie na dwie żony. Wcale się nie obraziłam.

Zastaliśmy żołnierzy siedzących w milczeniu na ziemi. Natychmiast stało się jasne, że nie zechcą słuchać naszej radosnej gadaniny. Powiedzieli, że po tym, co się stało ze starą stolicą, jadą teraz do Czangking, żeby pomóc przy zakładaniu nowej. Właśnie od nich dowiedzieliśmy się nowin, które ominęły nas w Kuejjang, a mianowicie, co wydarzyło się w Nankinie.

Kto wie, czemu Japończycy postanowili zerwać papierowe obietnice. Może ktoś rzucił kamieniem, ktoś odmówił ukłonu. Może stara kobieta próbowała powstrzymać sąsiada, łajając go: „Zachowuj się przyzwoicie! Chcesz nas wszystkich wpędzić w kłopoty?”

- Kłamali - powiedział jeden z żołnierzy. - Gwałcili staruszki, mężatki i małe dziewczynki. Każdą wiele razy, bez końca. Kiedy już mieli dosyć, rozcinali je mieczami. Obcinali palce, żeby ściągnąć pierścionki. Strzelali do małych chłopców, żeby zniszczyć przyszłe pokolenia. Zgwałcili dziesięć tysięcy, porąbali dwadzieścia albo trzydzieści. Taka liczba przestaje być liczbą, przestaje być ludźmi.

Wyobraziłam sobie naszą starą kucharkę, Wan Betty, chłopca wrzucającego kamienie do jeziora.

„A wszystko w tym samym czasie, gdy nas spotykały dobre i złe chwile i kiedy narzekałam na podróż”, mówiłam do siebie.

Nic mi nie groziło, a mimo to ogarnęło mnie przerażenie. Nie chciałam wierzyć.

- To niemożliwe - powiedziałam do żołnierza. - Tak tylko gadają.

- Wierz sobie w to, na co masz ochotę - odparł i splunął na ziemię.

Okazało się później, że miałam rację: żołnierz powtarzał tylko plotki. Prawda wyglądała dużo gorzej. Pewien dygnitarz opowiedział mi potem, że zginęło koło stu tysięcy ludzi. Chociaż, skąd on mógł wiedzieć? Kto umiałby policzyć tylu ludzi naraz? Liczyli pogrzebane i spalone ciała, topielców? A co z biedakami, których nikt nie liczył, nawet kiedy żyli?

Próbowałam to sobie wyobrazić, a potem czym prędzej odpychałam myśli od siebie. Nie mogłam uważać zdarzeń w Nankinie za własną tragedię. Mnie nic się nie stało. Nikt mnie nie zabił.

Mimo to jeszcze wiele miesięcy później wciąż dręczyły mnie złe sny. Śniło mi się, że wróciliśmy do Nankinu i opowiadamy kucharce i Wan Betty o pięknych widokach w Niebiańskim Oddechu, zachwycając się wspaniałymi daniami w Kuejjang. A kucharka na to: „Nie musieliście jechać tak daleko, żeby zobaczyć i

skosztować takich rzeczy. To samo mamy tutaj" - i stawia przede mną talerz pełen białych węgorków, grubych na palec. Ciągłe żyją i próbują uciec mi z talerza.

Helen powiedziała mi, że właśnie otwarto restaurację, w której podają takie same węgorki, smażone ze szczypiorkiem na rozgrzanym oleju. Chciała, żebyśmy poszły spróbować, czy są coś warte. Odmówiłam. Nie mam już ochoty na te węgorki.

Mój język nie odczuwa już smaków tak, jak dawniej. Na przykład seler - całe życie go uwielbiałam, a teraz nie mogę przełknąć. Na sam zapach mówię sobie „nie”. Nie wiem już nawet, dlaczego tak się stało. Ale co do węgorków - wiem.

A ty wiesz, czemu tak się dzieje? Dlaczego niektóre wspomnienia żyją tylko na języku albo w nosie? Dlaczego inne na zawsze pozostają w sercu?

XIV

Urok

Teraz usłyszysz, jak mój los ze złego zmienił się na gorszy. Może mi powiesz, czy w czymś tu zawiniłam. Kiedy dotarliśmy do Kunmingu, byłam już w ósmym miesiącu ciąży. Miałam tak wielki brzuch, iż zdawało się, że dziecko wyskoczy na następnym wyboju.

Wyjechaliśmy już z gór i kierowcy zaczęło się bardzo spieszyć. Gnał po prostych drogach, a ja tylko trzymałam się za brzuch, kiedy podskakiwaliśmy na nierównościach.

- Ej! - krzyczał na niego Jiaguo. - Jeśli się jeszcze trochę rozpędzisz, to zawieziesz nas prosto do diabła.

Stary pan Ma odwrócił się do niego.

- Szybciej? - zapytał z uśmiechem, przekrzykując hałas.

Zanim Jiaguo zdążył odpowiedzieć, Ma dodał gazu.

Nieważne. Wszyscy chcieliśmy się już dostać do nowych domów. Żadnego więcej wspinania się do ciężarówki każdego ranka. Żadnych więcej wiosek i marnego jedzenia.

Ciągle trwała zima, ale powietrze wiejące nam w twarz straciło chłód. Wydawało się, że przybyliśmy do krainy, gdzie panuje zupełnie inna pora roku: wieczna wiosna.

Hulan odwróciła się do mnie.

- Spójrz no tylko. Kunming wygląda jak wzorzec pięknego pejzażu: zielone wzgórza, czysta woda. Niebo też ładne.

Oczywiście wtedy nie wiedzieliśmy, że to dopiero przedmieście. Jechaliśmy dalej i ładna okolica zniknęła.

Ciężarówka zwolniła, kierowca trąbił. Mijaliśmy setki zmęczonych ludzi, taszczących tobołki.

- Odsunąć się! Z drogi! - darł się na nich Wen Fu. Kiedy nie odskakiwali posłusznie, klął na nich: „Louyi!", co było bardzo podłe. Nazywał tych biedaków świerszczami i mrówkami, małymi stworzeniami bez żadnego znaczenia.

Tu i tam widzieliśmy robotników, wykopujących z drogi kamienie, które potem wrzucali na taczki. Dalej minęliśmy inną ciężarówkę, potem jeszcze jedną i następną. Wen Fu machał do nich za każdym razem, pokazywał na siebie i krzyczał:

- Siły Powietrzne Hangczou, druga klasa.

Wreszcie wjechaliśmy do właściwego miasta, zatłoczonego i ruchliwego. Okazało się dużo większe, niż myślałam. Minęliśmy stację kolejową i szeroką ulicę z szarymi budynkami, niezbyt starymi, ale też nie w najnowszym stylu. Potem ulice zrobiły się węższe, kręte i zatłoczone przez ludzi, wózki i rowery. Kierowca trąbił co parę sekund. Powietrze zgęstniało od przykrych zapachów. Rozboleła mnie głowa.

Zobaczyłam stłoczone lepianki, niektóre czyste i pobielone wapnem, inne tak koślawe i poobłupywane, że zastanawiałam się, czemu jeszcze stoją.

Zwracające się ku nam twarze nie przypominały chińskich. Byli to ludzie z plemion, które dopiero co zeszyły z gór. Bez trudu odróżniało się ich od miejscowych. Nie nosili szarych bluz i spodni biedaków z Junanu ani długich szat kupców, ani zachodnich koszul jak klasa wykształcona. Zamiast tego ubierali się w kolorowe suknie z jasnymi pasami na rękawach, a na głowy zakładali turbany albo kapelusze przypominające ciasne słomkowe miseczki.

Chińczycy czy nie, wszyscy ludzie na ulicach patrzyli na nas z pociemniałymi twarzami. Przyglądali się uważnie i w milczeniu: oto zwiastuni wojny przejeżdżają tuż koło ich progów. Miasto, w którym od wieków panował spokój, przewracało się do góry nogami.

Na kilka dni zamieszkaliśmy w hotelu, a pracownicy Sił Powietrznych zajęli się wyszukaniem dla nas odpowiedniego lokum. Wreszcie wprowadziliśmy się do dwupiętrowego domu w połowie drogi między północną a wschodnią ścianą. Hulan i Jiaguo także tu zamieszkali, podobnie jak jeszcze jedna para, którą poznaliśmy w dniu przeprowadzki.

Kobieta była starsza od Hulan i ode mnie. Bardzo się rządziła. Jej mąż także pracował dla Sił Powietrznych; nie był pilotem, tylko inspektorem wszelkich rodzajów transportu, mostów, dróg i kolei.

- Spójrz na tę drewnianą twarz - powiedziała Hulan, kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy dom. - Te dwa okna przypominają oczy.

Wszystkie domy przy tej ulicy wyglądały podobnie: dwu-, trzypiętrowe budynki w zagranicznym stylu. Nazywałyśmy je *yangfang*.

Od frontu nie było dziedzińca i nic nie oddzielało domu od ulicy. Zrobiłaś trzy kroki i bum! - już byłaś w tłumie przechodniów. Z tyłu mieliśmy za to podwórze oddzielone płotem. Nie było to przyjemne miejsce do siedzenia z przyjaciółmi - tylko beton, błoto i kilka krzaków posadzonych, gdzie popadnie. Po jednej stronie płotu stała pompa i długa wanna do prania, a nad tym sznury do rozwieszania mokrej bielizny. Obok znajdowała się wielka kamienna czasza, w której kruszono ryż, ziarna sezamowe i podobne rzeczy.

Furtka prowadziła w alejkę na tyle szeroką, by ludzie wywożący nocą nieczystości mogli przepchnąć taczki. Idąc dalej i skręcając w lewo, dochodziło się do zarośniętej krzakami ścieżki, która wiodła do małego jeziorka. Powiedziano mi, że warto je odwiedzić, ale kiedy się tam wybrałam, zobaczyłam tylko miejskich biedaków, biorących kąpiel, robiących pranie i inne rzeczy, zbyt okropne, by o nich wspominać.

Tak jak mówiłam, z zewnątrz dom wyglądał obco, ale w środku wrażenie było czysto chińskie. Na parterze mieliśmy dwa wspólne pomieszczenia: wielką kuchnię z glinianymi piecykami na węgiel, którym nie brakowało fajerek. Stał tam również zlew z odpływem, ale zamiast bieżącej wody mieliśmy biegającą służbę. Tak właśnie robiono w Chinach. Kucharka i służąca musiały chodzić do pompy na podwórzu i dźwigać wielkie, ciężkie wiadro. Pewnie musiały je też wnosić na górę, już nie bardzo pamiętam. Kiedy samemu nie trzeba robić pewnych rzeczy, zapomina się o wysiłku innych.

Tak czy inaczej, ktoś tę wodę nosił, bo każdego wieczora i poranka miałam dość przegotowanej wody, żeby umyć twarz i brać małe kąpiele, myjąc górną połowę rano i dolną wieczorem. Brzuch tak mi urósł, że nie dałabym rady robić wszystkiego naraz. Do tego co dzień służba musiała opróżniać umywalki i wannę, podobnie jak nocniki, które wnoszono później do czyszczenia w tylnej alejce.

Drugim wspólnym pomieszczeniem była wielka jadalnia, a zarazem salon. Stał tam wielki stół z mnóstwem krzeseł, dwiema tanimi kanapami i starym, nakręcanym fonografem, który Wen Fu wyszukał niedługo po przyjeździe do miasta. Dlaczego nie elektryczny? Wcale nie dlatego, że nie dałoby się go podłączyć, nie o to chodziło. Panowała wojna. Gdzie dostałabyś nowy fonograf?

Oczywiście to prawda, że większość miejscowych nie miała prądu; mieszkali w starych lepiankach albo w słomianych chatkach. Jednak na naszej ulicy wszyscy mieli

prąd, na parterze i na piętrze. Kiedy miasto ciemniało i cichło, włączaliśmy radio, wentylator, zapalaliśmy lampy i do późnej nocy graliśmy w madżonga.

Z radością witaliśmy wszelkie nowe rozrywki. Lubiliśmy sobie wyobrażać, że przypominamy berlińczyków. Mówiono, że w tym szalonym mieście ludzie nie myślą o wojnie, tylko o spędzaniu czasu na hazardzie, jedzeniu, zabawach w nocnych klubach. My też chcieliśmy prowadzić takie życie. Oczywiście, tamto był Berlin, a to Kunming, więc kiedy zmęczyło nas słuchanie skrzeczącego fonografu, kiedy w radiu skończyła się muzyka i kiedy nie było już o kim plotkować, a ręce robiły się za ciężkie, by unieść jeszcze jeden żeton do madżonga, cóż nam pozostawało? Nie mieliśmy nocnych klubów. Szliśmy spać.

Ponieważ Jiaguo miał stopień kapitana, zajmował wraz z Hulan najlepszą część domu, dwa duże pokoje na parterze. Pozostałym przypadły pokoje na piętrze, co przysparzało mi niemało trudności. Przez ten wielki brzuch nie mogłam nawet dojrzeć własnych stóp, więc schodząc po schodach, musiałam uważać na każdy stopień.

Na początku dostaliśmy z Wen Fu najgorsze pokoje, wychodzące na niepomyślną stronę. Żeby ustawić łóżko we właściwym kierunku, musielibyśmy zastawić szafę i zablokować drzwi wejściowe. Jak tak można?

Trafiły się nam tylko dlatego, że żona inspektora zdążyła już zająć lepsze pokoje dla siebie, podkreślając, że jej mąż ma wyższą rangę niż mój. Owszem, była to prawda, ale nie musiała tego tak ujmować. Mogła powiedzieć: „proszę, wybieraj pierwsza” i zostałabym z tymi gorszymi, ale z własnej woli, a nie za karę. Wybrałabym co najmniej jeden.

Pierwszy tydzień upłynął mi w podłym nastroju. Nie lubiłam tych pokoi, nie lubiłam żony inspektora, a zwłaszcza sposobu, w jaki grała w madżonga: podnosiła brwi i prychała za każdym razem, kiedy rzucałam kostką. Do tego każdej nocy musieliśmy wysłuchiwać, jak kłócą się za ścianą.

Najpierw rozlegał się niski głos inspektora, potem cienki głos jego żony. Raz, gdy zaczęła zawodzić, Wen Fu podniósł buty i cisnął nimi o ścianę. Uciszli się może na pięć minut, po czym kłótnia zaczęła się na nowo.

Po dwóch czy trzech takich nocach Wen Fu zwrócił jej uwagę, na co Hulan poskarżyła się na rzucanie butami w ścianę.

- Zupełnie jak bomby - powiedziała. - Przeraziły nas na śmierć.

Po chwili wszyscy zaczęli się kłócić, wywlekając wszelkie urazy, aż wreszcie nikt się już do nikogo nie odzywał. Wieczorem, kiedy skończyły się audycje w radiu, żadne z nas nie miało ochoty na towarzystwo sąsiadów i każdy wrócił do siebie. Zrobiło się tak cicho, że usłyszałabyś muchę siadającą na dachu.

Konflikt trwał jeszcze tylko kilka dni, bo potem inspektor wyjechał sprawdzić postępy budowy Szosy Birmańskiej. Podobno komary w tamtych stronach są gorsze od Japończyków. Po jakimś czasie usłyszeliśmy, że malaria zjadła mu mózg w jakieś trzy czy cztery dni i umarł w okropny sposób. Przez wiele nocy musieliśmy słuchać zawodzeń i płaczu jego żony, ale oczywiście tym razem Wen Fu nie ciskał butami. Wszyscy bardzo dobrze ją traktowali, a kiedy nadeszła pora jej wyjazdu, wydawało się, że zaprzyjaźniliśmy się na całe życie. Teraz nie pamiętam nawet jej imienia: Liu albo Lou, jakoś tak.

Kiedy się już wyniosła, przejęłam jej pokoje, dopłacając oczywiście. Pieniądze pochodziły z mojej wyprawy. Przysłała mi je Orzeszek i stąd dowiedziałam się, że wysłała także poprzednie czterysta chińskich dolarów do Nankinu. Nigdy ich nie dostałam.

Na dobrą sprawę wiele rzeczy kosztowało mnie wtedy ekstra. Siły Powietrzne nie mogły już sobie pozwolić na zapewnienie nam służącego, nawet Hulan, żonie kapitana. Musiałam więc wynająć własną kucharkę, pewną starą wdowę, a do tego młodą dziewczynę jako służącą. W dodatku musiałam też opłacać ich mały pokoik przy kuchni.

Trzeba ci było widzieć minę Hulan, kiedy nasza służąca robiła pranie albo czyściła nocniki. Hulan bardzo się do tej pory zmieniła, nie przypominała już prostej wiejskiej dziewczyny, wdzięcznej za to, że poślubił ją kapitan lotnictwa. Wiesz, co mi się zdaje? Kiedy Jiaguo dostał awans, Hulan też się awansowała! Wbiła sobie w głowę, że więcej ode mnie znaczy, więc strasznie ją złościło, że stać mnie na służącą, podczas gdy ona nie ma żadnej.

Oczywiście moja służąca i kucharka wykonywały wiele prac, z których korzystała także Hulan. Sprzątały wspólne pokoje, nosiły ze źródła wodę na herbatę lub do mycia. Każdy mógł jej używać.

Hulan nie miała wdzięczności za grosz. Szukała plamek tłuszczu na podłodze i mówiła: „Ajo! Spójrz no tylko”, a kiedy zapraszałam ją i Jiaguo na wspólny obiad, najadała się po dziurki w nosie i oznajmiała: „Bardzo dobre, tylko mięso było za długo

na patelni". Kiedy indziej mówiła: „Bardzo dobre, tylko pewnie mięso gotowało się za krótko”.

Niczym nie mogłam jej zadowolić. Chciała, żebym była równie nieszczęśliwa jak ona.

W dziewiątym miesiącu dziecko rozrosło się za dwoje, ale ciągle nie chciało się urodzić. Nie martwiłam się, bo czułam, jak się rusza, kręci i kopie nogami. Ruszało się, gdy śpiewałam. Ruszało się, gdy chodziłam przez sen. Ruszało się, kiedy na rynku dostrzegłam warzywo, na które miałam ochotę. To dziecko myślało tak jak ja.

Codziennie szyłam dziecięce kocyki albo robiłam sweterki na drutach, klaszcząc potem maleńkimi rękawkami. Pamiętam, że pewnego dnia, podczas szycia, dziecko kopało mocniej niż zwykle. Wyobraziłam sobie, że niedługo zacznie biegać po schodach z takim samym wigorem, z jakim teraz biega we mnie.

- Wyjdź już, skarbenku - powiedziałam. - Mama cię wola.

Wtedy dziecko kopnęło jeszcze raz, a ja upuściłam nożyczki. Wbiły się w podłogę na sztorc, jak mały żołnierz czekający na rozkazy. Z początku roześmiałam się, ale potem - ach! - poczułam coś dziwnego. Dziecko przestało się ruszać. I nie przypuszczam, żeby zdziałała to tylko moja wyobraźnia. Tak się właśnie stało: nożyczki upadły, a dziecko zamarło.

Próbowałam wyciągnąć je z podłogi, ale nie mogłam się nachylić. Potem przypomniałam sobie słowa Starej Ciotki, że upuszczone nożyczki oznaczają nieszczęście. Nie pamiętałam dlaczego, przyszły mi do głowy tylko przykłady: jedna kobieta straciła rozum, drugiej w ciągu jednej nocy wypadły wszystkie włosy, trzeciej mały synek wydlubał sobie oko gałązką, więc z rozpaczony tą samą gałązką wydlubała własne.

Co ja też najlepszego zrobiłam! Natychmiast zawołałam służącą i kazałam jej wrzucić nożyczki do jeziora.

Tej nocy dziecko nie poruszyło się ani razu. Śpiewałam, chodziłam po korytarzu. Bez skutku. Następnego dnia poszłam do szpitala i doktor sprawił, że dziecko szybko wyszło. Naturalnie było już za późno.

Zjawiała się Hulan. Kiedy doktor wyszedł, powiedziała mi, że dziecko ważyło ponad cztery i pół kilo. Co za pożytek z takiej wiadomości? Zupełnie, jakby mówiła o

kilogramach ryb wyłowionych z morza. Dziewczynka nigdy nie zapłakała i nigdy nawet nie zaczerpnęła powietrza.

Wen Fu pogłaskał mnie po rękę.

- Przynajmniej to nie był chłopiec.

Nie wiem czemu, ale natychmiast zażądałam, by mi ją przyniesiono. Hulan i Wen Fu wytrzeszczyli na mnie oczy.

- Chcę ją zobaczyć, żeby nadać jej odpowiednie imię - oświadczyłam stanowczo.

Hulan i Wen Fu popatrzyli po sobie. Westchnęłam.

- Trzeba myśleć praktycznie - powiedziałam. - Dajemy dziecku imię i wysyłamy je na tamten świat. Tam dorośnie, a kiedy sami się tam znajdziemy, możemy ją zawołać i poprosić, by zajęła się nami w nowym życiu.

- To rzeczywiście praktyczne - przyznała Hulan, po czym wyszła z pokoju, a Wen Fu wraz z nią.

Zdawało im się pewnie, że się rozplacę, i chcieli w ten sposób uniknąć zakłopotania.

Kiedy pielęgniarka przyniosła dziecko, nie wstałam nawet, żeby na nie popatrzeć. Leżałam, nie odwracając głowy. Chciałam mieć po niej jakąś pamiątkę. Rozmyślałam o chwilach, gdy razem tańczyłyśmy, i o tym, jak żywo reagowała na moje słowa. Wreszcie wzięłam się w garść i podniosłam wzrok.

Duże dziecko. Tyle włosów. Uszy takie jak moje, małe usta. Tylko jej skóra - jakież to smutne! - miała kolor kamienia. Małe rączki zwinęła w piąstki. Chciałam je rozluźnić i wtedy zaczęłam płakać. Gdyby dziecko urodziło się w Szanghaju! Gdyby urodziło się w czasie pokoju! Gdybym nie upuściła tych nożyczek!

Szybko odpędziłam smutne myśli i postanowiłam być silna. Ludzie na wsiach głodują. Inni giną na wojnie. Umierają z najróżniejszych przyczyn albo też zupełnie bez przyczyny. Kiedy umiera dziecko, można przynajmniej powiedzieć, że nigdy się nie nacierpiało.

Następnego popołudnia pojechaliśmy na zachód, do stóp wzgórz zwanych Śpiące Królowny. Rzeczywiście przypominały dziewczęta pogrążone we śnie. Tam ją pochowaliśmy. Powiedziałam na jej cześć tylko kilka słów: „Była dobrym dzieckiem. Nigdy nie płakała”. Nadałam jej też imię od jeziora w Nankinie: Moczou, czyli Bez Trosk, bo nigdy nie zaznała zmartwień.

Nie używałam nożyczek jeszcze bardzo długo. Odczekałam więcej niż sto dni, chociaż z trudem obchodziłam się bez szycia i robienia na drutach. Jak ci już mówiłam, w Kunmingu nie mieliśmy nic specjalnego do roboty ani do zwiedzania, zwłaszcza w ciągu dnia. Nie mogłaś powiedzieć: „nudzi mi się, chodźmy po południu do kina”. Mogłaś tylko nudzić się dalej. Po wielu beczynnych dniach postanowiłam kupić nowe nożyczki i wrócić do szycia.

- Słyszałam, że ludzie z Junanu robią najlepsze nożyczki, ostre i solidne - powiedziała Hulan. - Naprawdę. Znalazłam takie parę tygodni temu.

Powiedziała też, że na mieście jest wielu sprzedawców nożyczek, ale najlepiej pójść na jedną z bocznych ulic koło rynku, w starej części miasta. Mają tam nożyczki najwyższej jakości po niskiej cenie. Na ulicy ani na sklepie nie ma żadnych szyldów, ale łatwo tam trafić.

Dała mi wskazówki: „Pójdiesz mostem dla pieszych po północno-wschodniej stronie jeziora. Odnajdziesz sprzedawcę zupy i skręcisz w stronę sklepu z suszonymi rybami. Idź dalej, aż zobaczysz dziewczynę sprzedającą koszyki pełne starych butów z zagranicy. Skręcisz znowu, można tam skręcić tylko w jedną stronę, i idź aż do zakrętu. Stoją tam lepsze domy, bielone wapnem, czasem nawet z tabliczkami. Poszukaj sklepu z zalewą solną w bryłach i pójdz w przeciwnym kierunku. Jakies pięć minut szybkiego marszu i już jesteś na rynku. Dziewczyna z nożyczkami siedzi przy stole z brzegu”.

Oczywiście się zgubiłam. Co to za wskazówki? Ta część miasta miała chyba z tysiąc lat i idąc ulicami, miałaś wrażenie, że nic się od tamtej pory nie zmieniło. Droga wiła się to tu, to tam, spotykała się z inną albo kończyła bez powodu.

Błąkałam się dobrą godzinę po bardzo złej dzielnicy. Miałam na sobie prostą sukienkę, ale i tak kobiety gapily się na mnie, wytykając palcami moje buty. Włoczyły się za mną małe dzieci, wyciągając ręce i wołając: „Głodny! Głodny!” Rozglądałam się za kimś, kto mógłby mi pomóc, ale nikogo nie znalazłam. Patrzyły na mnie puste twarze, bez cienia życzliwości.

Szłam i szłam, z małymi dziećmi płaczącymi się pod nogami, obok okien, z których wydobywały się przykre zapachy. Widziałam kobietę, która podeszła do drzwi naga do pasa. Karmiła dziecko. Stary mężczyzna, siedzący na desce, roześmiał się na mój widok, a potem zaczął kaszleć i krztusić się tak, że myślałam, że zaraz umrze. Gardło miałam ściśnięte od usilnego powstrzymywania się od płaczu.

Wreszcie trafiłam na ulicę pełną ludzi. Rynek. Dzieci otoczyły mnie tak ciasno, że nie mogłam się ruszać. Sięgnęłam do torebki i cisnęłam ponad ich głowami parę monet. Pisnęły i rzuciły się na ziemię, walcząc o odrobinę szczęścia.

Postanowiłam zapytać kogoś, gdzie znajdę riksę, która zawiozłaby mnie do domu. Podeszłam do młodej, bosonogiej dziewczyny o brudnej twarzy i niechlujnych warkoczach, siedzącej przy bambusowym stoliku. Zanim zdążyłam zadać pytanie, zobaczyłam leżące przed nią nożyczki. Naprawdę! Sama powiedz, nie wydałoby ci się, że ktoś stroi sobie z ciebie żarty? Nie pomyślałabyś, że dostajesz w życiu tylko to, czego nie chcesz?

Nożyczki w dwóch rodzajach, w równych rzędkach od najmniejszych do największych, leżały na spłowiałym kawałku czerwonego materiału. Jedne były zwykłe, z ostrymi ostrzami, ale bez żadnych dekoracji na uchwytych, drugie zaś wymyślne, w kształcie żurawi, towar, jakiego spodziewałabyś się w dobrym szanghajskim sklepie. Ich widok bardzo mnie zaskoczył. Cienkie ostrza zwęzły się jak długi dziób, tam gdzie się łączyły, zrobiono oko, natomiast otwory, w które wkładałaś palce, przypominały skrzydła.

Zastanawiałam się, jak też to zrobiono: każda para wyglądała tak samo, różniły się tylko rozmiarami. Podniosłam jedno, otworzyłam i zamknęłam dziób. Wyglądało tak, jakby żuraw mówił i leciał jednocześnie. Cudowne! I jakie zmyślne!

- Kto robi te nożyczki? - zapytałam.

- Tylko członkowie naszego klanu - odparła i uśmiechnęła się.

Zobaczyłam, że brakuje jej wszystkich górnych zębów. Od razu zrobiła się stara. Podniosłam większą parę. Sprzedawczyni wyciągnęła jakąś brudną szmatę, zapraszając mnie, bym wypróbowała ich ostrość.

Mały nagi chłopiec podbiegł do drzwi za jej plecami.

- Mamo! - zawołał.

- Zaczekaj - zbeształa go. - Nie widzisz, że mam ważnego gościa?

Chłopiec wrócił do środka.

- To nie przechwałki - trąkotała teraz bezzębnymi ustami. - Wypróbuj inne nożyczki na mieście i zobaczysz, że nie są ani trochę tak ostre jak nasze. Ani trochę. To dlatego, że nasza rodzina zajmuje się wyrobem nożyczek od wielu, wielu tysięcy lat. Może od dziesięciu. Proszę, wypróbuj tę parę. Najwyższa jakość.

Podawała mi ścierkę do pocięcia. Nożyczki bardzo przyjemnie zagłębiły się w materiał. Kobieta poruszyła palcami.

- Te umiejętności przechodzą na każdego członka rodziny. Przekazujemy je z pokolenia na pokolenie we krwi, lecz także przez naukę. Najpierw uczymy najmłodszych, jak robić igły z dużymi oczkami, potem coraz mniejsze, aż wreszcie dochodzą do nożyczek.

- Ile? - zapytałam, podnosząc parę wymyślnych nożyczek.

- A ile są warte twoim zdaniem? - odparła, zaciskając usta i patrząc mi prosto w oczy. - Ile za takie wspaniałe nożyczki? Najlepsze. Dobry, mocny metal. Amerykańska stal.

Myślała, że trafiła na głupią.

- Jakim cudem amerykańska? - zapytałam. - Przecież nie ma tu amerykańskich fabryk.

- Zdobywamy ten metal na zachód od miasta, pod Szosą Birmańską. Co jakiś czas spada tam zagraniczna ciężarówka. Wah! Trzysta metrów w dół. Zostawiają je tam na dole. Chłopcy z różnych rodzin spuszczaają się tam z linami, przynoszą ciała i towary, jeśli coś jeszcze z nich zostało. Resztę zostawiają nam. Dzielimy na dziesięć rodzin. Dwie rodziny zabierają części z drewna, następne dwie biorą siedzenia i rzeczy z gumy. My dzielimy się metalem. Topimy naszą porcję i robimy z tego nożyczki.

Uśmiechała się z dumą.

Co za okropieństwo! Robić nożyczki z zagranicznej ciężarówki-ducha. Właśnie miałam odłożyć je na miejsce, kiedy dodała:

- Cztery juany. Co ty na to? To moja najniższa cena.

Potrząsnęłam głową. Och, na amerykańskie pieniądze to około dwóch dolarów. Czemu mam tyle płacić za nożyczki przynoszące pecha?

- Wobec tego trzy juany. Nie mów o tym mojemu mężowi. Trzy to moja najniższa cena.

Potrząsnęłam głową, ale kobieta uznała, że chcę się potargować. Westchnęła.

- Jeżeli ci się podobają, wymień po prostu cenę. Dwa pięćdziesiąt. Nie powtarzaj nikomu. Za tanio, żeby ktoś uwierzył. Dwa juany pięćdziesiąt.

Wtedy pomyślałam sobie: „A cóż to szkodzi? Dwa juany pięćdziesiąt to bardzo dobra cena. Gdzie indziej dostanę takie porządne nożyczki?” Otworzyłam torebkę i wręczyłam jej pieniądze.

- Następnym razem nie mogę obiecać tej samej ceny - powiedziała ze śmiechem.

Pochyliłam się, żeby wziąć te cudowne nożyczki. W sekrecie właśnie gratulowałam sobie udanego targu, kiedy torebka zsunęła mi się z ramienia i uderzyła w róg chwiejnego stolika. Błat podskoczył nagle, upadł z trzaskiem i czterdzieści par nożyczek wylądowało na ziemi!

Gapiałam się na otwarte dzioby, z których wylewał się pech.

- Aj! Jakie to straszne! - krzyknęłam. - Jak też mogłam to zrobić!

- Nie szkodzi, nic się nie stało - powiedziała sprzedawczyni, schylając się, by je podnieść, ale ja już ruszyłam szybko przed siebie. Słyszałam, jak woła za mną:

- Zaczekaj! Zaczekaj!

Szłam pospiesznie i bezmyślnie zagłębiłam się znowu w kręte uliczki. Teraz wszystko wyglądało podobnie, ale nic znajomo. Czułam się jak w złym śnie. Nie wiedziałam, gdzie jestem ani dokąd chcę iść. Bałam się stanąć, żeby nie dopadło mnie coś złego.

Sama widzisz, jaki ubiłam zły interes, prosto z piekła rodem. I po co? Dowiedziałam się później, że nożyczki w kształcie ptaka można kupić wszędzie, i to nawet taniej. Wielu ludzi używało tego wzoru, nie tylko w Chinach. Widziałam takie nie dalej jak wczoraj w sklepie Tysiąc Jeden Drobiazgów. Tak, wyobrażasz sobie? Nie kupiłam ich oczywiście.

Jeżeli uważasz, że to tylko zabobony, to czemu upuściłam nożyczki właśnie tego dnia? Czemu zaraz potem wydarzyło się nieszczęście?

Dowiedziałam się od Hulan, która czekała na mnie w domu. Podskoczyła, zasłoniła ręką usta i kazała mi biegiem pędzić do szpitala.

- Wypadek! - wołała. - Wen Fu jest ciężko ranny, może nawet umiera.

Krzyknęłam cicho ze strachu.

- Jak to możliwe?

Wybiegłyśmy obydwie do samochodu Sił Powietrznych, który czekał, by zawieźć nas do szpitala. Po drodze Hulan opowiedziała mi, co się stało.

- Prowadził wojskowego dżipa w stronę Śpiących Królewien, ale koło odpadło, dżip się wywrócił i wyrzuciło go w powietrze.

- Aj-ja! To moja wina - zawołałam. - To wszystko przeze mnie.

- Nie mów tak - zbeształa mnie Hulan. - Jakim cudem to twoja wina?

Dodała, że zamiast do ubogiego miejscowego szpitala, wypełnionego po brzegi biedakami, którzy tylko mogli dodać ci chorób, Jiaguo kazał zawieźć Wen Fu do francuskiego szpitala, prowadzonego przez chińskie i zagraniczne siostry zakonne. Oto, jakim był dobrym człowiekiem.

Już idąc korytarzem, usłyszałam jego jęki i wrzaski; zupełnie jak krzyk torturowanego człowieka, któremu odebrało rozum. Wtedy go zobaczyłam. Miał obandażowaną głowę, a twarz fioletową i spuchniętą. Wstyd przyznać, ale gdyby nie powiedziano mi, że to on, nigdy bym go nie poznała.

Wpatrywałam się w niego, próbując odnaleźć te same oczy, nos i podbródek. Przyszło mi do głowy, że może ktoś się omylił. Może to nie mój mąż.

- Wen Fu? - zapytałam.

- On nie słyszy - wyjaśnił doktor. - Ma ciężkie uszkodzenie mózgu. Już właściwie nie żył, kiedy go tu przywieźli, ale dałem mu zastrzyk adrenaliny i puls wrócił.

Oczywiście podziękowałam doktorowi, że uratował mężowi życie.

Odwrociłam się, by znów na niego popatrzeć. Zawołałam go cicho. Nagle otworzył jedno oko. Zachłysnęłam się. Nie mogłam się powstrzymać. Oko było wielkie i ciemne w środku, a dookoła żółtokrwawe. Wydawało się, że patrzy ze straszliwą złością, bez cienia dobrych uczuć. Wyglądał jak potwór.

Kilka dni później, kiedy wiadomo już było na pewno, że życiu Wen Fu nic nie grozi, do szpitala przyszedł Jiaguo.

- Weiwei-ah, mam dla ciebie złe wieści.

Wysłuchałam wszystkiego bez zmruczenia powiek i ani jednej łzy. Jiaguo powiedział, że będzie musiał usunąć Wen Fu z armii, a może nawet posłać go do więzienia. Wyjaśnił, że mój mąż nie miał pozwolenia na zabranie dżipa. Przekupił wojskowego kierowcę, który właśnie został ukarany. Nie rozbił się też z powodu niesprawnego koła. Prowadził za szybko i niemal wjechał na jadącą z przeciwka ciężarówkę. Skręcił zbyt gwałtownie i samochód się wywrócił.

Naraz usłyszałam, że Jiaguo mówi też coś o dziewczynie. Kto wie, skąd się tam wzięła? Tak czy inaczej, zginęła, przygnieciona wozem.

Oto po raz pierwszy dowiedziałam się, że mój mąż widuje się z innymi kobietami, choć później odkryłam, że wcale nie od niej się zaczęło. Z początku nie chciałam wierzyć. Może Wen Fu jechał do Śpiących Królewien, żeby odwiedzić grób

Moczou. Może dziewczyna wsiadła do dżipa, żeby wskazać mu drogę. Może tylko wyświadczył jej uprzejmość, bo zobaczył, że jest biedna. Może wcale z nim nie jechała, tylko stała na tamtym wzgórzu i zginęła przypadkiem?

Oczywiście żadna z tych wymówek nie przemawiała do mnie specjalnie. Zamiast tego widziałam, jak Wen Fu jedzie krętą drogą, śpiewając piosenkę i całując kogoś, kto przypomina Orzeszka. Oboje się śmiali, a on prowadził w górę i w dół, w górę i w dół, pływając w chmurach.

Ciągle o tym myślałam, kiedy poszłam go odwiedzić. Opuchlizna zeszła mu już trochę. Spał, ale miałam ochotę mocno nim potrząsnąć.

Chciałam zapytać: „Dlaczego to zrobiłeś? Teraz pójdziesz do więzienia, na naszą zgubę”.

Kiedy tylko o tym pomyślałam, Wen Fu jęknął i ten okropny odgłos ścisnął mi serce. Wytarłam mu brew i wybaczyłam wszystko, zanim jeszcze zdążył powiedzieć „przepraszam”.

Obudził się wreszcie, zrzędlivy i słaby. Narzekał na wszystko: na ból, na zranione oko, na jedzenie, na obojętne pielęgniarek, na spóźnienia lekarzy i twarde łóżko. Każdy próbował go pocieszyć. Wtedy nie myślałam jeszcze, że wypadek go odmienił, tylko że ciągle cierpi. Jednak właśnie wtedy zaczęły się z nim kłopoty.

Kiedy powrócił do sił, zrobił się zły i dziki. Rzucił w siostry jedzeniem i wymyślał im od przeklętych kurw. Twierdził, że doktorzy są tak głupi, że nie powinni zajmować się nawet zdechłymi psami. Cisnął basenem w lekarza, który uratował mu życie. Nie chciał brać przepisanych lekarstw, a kiedy cztery pielęgniarki próbowały go przytrzymać, wywinął ramieniem z niespodziewaną siłą i wybił jednej zębem.

Pewnej nocy wyciągnął rękę i złapał pielęgniarkę za pierś. Następnej nocy przydzielili mu starą kobietę, ale też się do niej dobierał.

Niebawem nikt nie chciał się już nim zajmować. Okropnie się wstydziłam. Zdrowiał, ale z każdym dniem robił się coraz gorszy. Doktor orzekł, że jest jeszcze za słaby, żeby go wypisać. Na jedno oko wciąż nie widział. Przywiązano go do łóżka i kazano mi go zmusić do dobrego zachowania.

Codziennie musiałam wysłuchiwać, jak błaga, bym go rozwiązała. Błagał, żebym weszła do łóżka, błagał, żebym się rozebrała, a kiedy nie chciałam go słuchać,

klął na cały głos i oskarżał mnie, że sypiam z innymi pilotami. Niosło się po całym korytarzu.

Z całych sił próbowałam się zdobyć na współczucie. Próbowałam pamiętać, że to ból wpływa tak na niego, ale w głębi duszy rozmyślałam, jak to będzie, kiedy Wen Fu pójdzie do więzienia. Planowałam spokojne życie, bez troszczenia się o niego.

Nie poszedł do więzienia. Jiaguo w końcu o nic go nie oskarżył. Dowiedziałam się, że to zasługa Hulan.

- Zrobiłam to dla ciebie - wyjaśniła mi później. - Powiedziałam mu: „Jeśli karzesz męża, karzesz i żonę”.

Dziękowałam jej wylewnie. Powiedziałam, że wstyd mi bardzo, że dla mnie i mego męża naraziła się na tyle kłopotów.

- Ja nic nie zrobiłam i Jiaguo nic nie zrobił - odparła. - Teraz powinnaś o wszystkim zapomnieć.

Nawet kiedy wymawiała te słowa, wiedziałam dobrze, że sama nigdy nie zapomni. Ja też nie mogłam. Teraz miałam do spłacenia wielki dług.

Oczywiście Hulan nie miała pojęcia, co naprawdę zrobiła i jaką ta przysługa sprawiła mi przykrość. Czułam się podle, a musiałam udawać wdzięczność. Przypomniało mi się pewne zdarzenie z dzieciństwa: w dniu moich urodzin Stara Ciotka zapytała, którą kurę na podwórzu lubię najbardziej. Wskazałam tę, która jadła mi z ręki, i jeszcze tego samego wieczora Stara Ciotka ugotowała ją na kolację.

Tak czy inaczej, dziękowałam Hulan bez końca. Kazałam kucharce gotować dla niej ulubione potrawy: warzywa rozgotowane tak, że miękły i traciły smak. Zgodnie z obyczajem, Hulan nie powiedziała ani słowa, żeby nie zwracać uwagi na moje podziękowania. Kazałam służącej wysprzątać ich pokój. Hulan nadal nic nie mówiła. Kilka dni później dałam jej kilka metrów świetnego materiału, pod pretekstem, że nie do twarzy mi w tym kolorze.

Oczywiście, kłamałam. Wybrałam ten materiał właśnie dlatego, że ładnie wyglądał przy mojej cerze. Bardzo piękna tkanina w kolorze brzoskwini. Droga i trudno dostępna w czasie wojny.

- Dla mnie tym bardziej nie będzie odpowiedni - orzekła Hulan, marszcząc brwi, ale już zanurzyła palce w materiale.

- Weź, weź. Nie mam teraz czasu na szycie, bo muszę zająć się mężem.

I tak Hulan wzięła mój prezent bez dalszych protestów. Pozwoliła, by kawałek pięknego materiału zakrył moje podłe małżeństwo.

Zanim Wen Fu wrócił do domu, przygotowałam dla niego specjalny pokój. Nie mógł jeszcze wstawać, więc wynajęłam pielęgniarkę, żeby zmieniała mu bandażę, przynosiła jedzenie i wysłuchiwała narzekań. Wytrzymała jeden dzień. Następna może dwa. Wreszcie cały ciężar spadł na mnie.

Jiaguo i Hulan odwiedzali go codziennie; nic w tym dziwnego, skoro mieszkaliśmy w tym samym domu. Pewnego dnia przyszło z wizytą trzech pilotów. Traktowali Wen Fu jak bohatera. Mówili, że kiedy tylko znów zaczną latać, Chiny z pewnością szybko wygrają wojnę. Takie uprzejme kłamstwa.

Wszyscy wiedzieli, że nigdy nie wróci do latania. Niby jak, z jednym okiem? Mimo to nie szczędzili mu słów otuchy, a Wen Fu słuchał ich z przyjemnością.

Zachowywali się tak miło, że zaprosiłam ich na kolację, sądząc, że tego oczekowałyby po mnie mąż. Zawsze lubił okazywać gest innym pilotom. Właściwie naprawdę powiedział: „Zostańcie, proszę. Moja żona wspaniale gotuje”. Chyba przypomniał sobie te kolacje w Jangczou, na które przygotowywałam po tysiąc pierogów. Piloci zgodzili się bez namysłu. Zesłam na dół, by kazać kucharce pójść i kupić świeżo zabitego kurczaka.

Służące sprzątały po kolacji, a piloci, Hulan, Jiaguo i ja siedzieliśmy nadal przy stole. Z początku zachowywaliśmy się cicho, żeby nie budzić Wen Fu. Pamiętam, że z poważnymi minami rozmawialiśmy trochę o wojnie. Nadal panowało przekonanie, że Chiny zwyciężą, jeśli tylko zorganizują posiłki.

Jeden z pilotów wspomniał, że słyszał o kontrakcie na kupno amerykańskich samolotów używanych w Indiach. Około tysiąca, tyle żeby zrównać siły z Japończykami. Inny dodał, że w różnych częściach kraju buduje się fabryki samolotów. Może jedna powstanie wkrótce w Kunmingu? Wszyscy uznaliśmy to za najlepsze rozwiązanie: budować samoloty w Chinach, żeby nie było wątpliwości, że robią je tak, jak trzeba. Nie tak, jak te pełne usterek stare rosyjskie samoloty albo nowe, pochodzące z Włoch. „Chińskie” znaczyło najlepsze. Bombowce, myśliwce, wszystko szybkie i przystosowane do latania w nocy.

Wiedzieliśmy dobrze, że to tylko słowa, te same, co zwykle, więc po chwili zaczęliśmy wspominać rodzinne wioski, miejscowe opowieści i inne miłe rzeczy.

Potem zaczęliśmy śpiewać. Na zmianę przypominaliśmy sobie niemądre, wiejskie piosenki, które śpiewa się przy picciu i świętowaniu.

Jeden z pilotów umiał śpiewać cienko jak kobieta i pękając ze śmiechu, zaśpiewaliśmy razem bardzo głupią miłosną piosenkę: „Dziesięć tysięcy chmur, tysiąc ptaków, sto łez, moich dwoje oczu patrzy w niebo i widzi tylko ciebie, moich dwoje oczu...”

Nagle usłyszeliśmy ciężkie kroki. Potem - łubudu! - coś się wywróciło. Zerwałam się z krzesła i zobaczyłam Wen Fu z obandażowaną głową. Podpierał się laską, twarz miał bladą i zlaną potem. Wyglądał jak duch. Na pizamę narzucił lotniczą kurtkę.

- Nie możesz jeszcze wstawać! - krzyknęłam, podbiegając, żeby pomóc mu wrócić do łóżka.

Jiaguo i pozostali piloci również podnieśli się z miejsc. Wen Fu wywijał laską w powietrzu.

- Jak możesz to śpiewać? - ryczał. - Jestem chory, a ty zdrowa! Ja jestem bohaterem, a ty kurwą! Patrzysz tymi swoimi dwojgiem oczu na innych mężczyzn.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

- Miałaś zły sen - próbowałam go uspokoić. - Nie obudziłeś się jeszcze. Wracaj do łóżka.

- Kłamiesz! - wrzasnął.

Podszedł do stołu i strącił laską resztki jedzenia na podłogę.

- Tym razem się pomyliłaś. Uklęknij. Spuść głowę i błagaj mnie o przebaczenie. Klękaj!

Walnął laską w stół.

Spojrzałam na niego. Zdrowe oko patrzyło dziko, jak u pijaka. Wyglądał obrzydliwie. Zastanawiałam się, jak też mogłam wyjść za kogoś takiego. Jak mogłam do tego dopuścić?

Wen Fu dojrzał widać moje myśli chorym okiem, bo wyciągnął rękę i zdzielił mnie po twarzy. Z całej siły, przy tylu ludziach.

Zachłysnęłam się. Nie poczułam bólu, zdawało mi się, że piecze mnie wstyd. Wszyscy patrzyli i nikt nawet nie drgnął.

- Klękaj! - wrzasnął znowu.

Uniósł laskę i w tym momencie Hulan popchnęła mnie w dół.

- Uklęknij! Uklęknij! - krzyknęła i nagle znalazłam się na kolanach. - Zrób, jak mówi. Powiedz, że przepraszasz, co ci szkodzi?

Dobrze pamiętam: nikt nie usiłował go powstrzymać - ani żaden z mężczyzn, ani Hulan. Patrzyli i nie robili nic, a ja leżałam z czołem przy podłodze. Nie odezwali się ani słowem, kiedy mąż kazał mi powtarzać: „Pomyliłam się, ty masz rację. Proszę o wybaczenie”.

Nie protestowali i nie powiedzieli mu, żeby przestał, kiedy kazał się błagać i błagać bez końca.

Kłaniałam się i błagałam, płakałam, uderzając głową w podłogę i myśląc, czemu nikt mi nie pomoże. Dlaczego stoją tak, jakbym naprawdę zrobiła coś złego?

Nie winię dziś Helen za to, co wtedy zrobiła. Bała się tak samo jak inni. Jednak nie mogę zapomnieć. I ona, i wszyscy pozostali zrobili coś bardzo złego i niebezpiecznego. Podsyćili siłę Wen Fu, sprawili, że poczuł się mocniejszy.

Gdybym dziś jej o tym wspomniała, nie pamiętałaby, o czym mówię. Tak samo, jak z tym materiałem. Ostatnio poszłyśmy do hurtowni tkanin. Powiedziałam: „Hej, czy to nie wygląda czasem jak ten materiał, który dałam ci w Chinach?”

- Jaki materiał? - zapytała.

- Materiał! Materiał! Brzoskwiniowy w czerwone kwiaty - przypomniałam jej. - Dałam ci go, bo poprosiłaś Jiaguo, żeby nie wsadzał Wen Fu do więzienia. Wiesz, chodziło o tę dziewczynę, którą zabił, jadąc dżipem. Wzięłaś ten materiał i uszyłaś z niego letnią sukienkę. Tak się z niej cieszyłaś, a potem, w dniu zakończenia wojny, taka byłaś wściekła, pamiętasz? Podarłaś ją, podskakując z radości.

- A, ten materiał - przypomniała sobie nareszcie. - Wcale nie dostałam go od ciebie, tylko kupiłam. Poszłam do starej części miasta, tuż zanim ją zburzyli, i kupiłam od dziewczyny siedzącej przy stole. Tak jest, pamiętam teraz. Chciała za dużo i musiałam się targować.

Sama widzisz - jak można się kłócić z pamięcią Helen? Jej prawda żyje w małym, pomieszanym zakątku mózgu: wszystkie dobre rzeczy, w które ma ochotę wierzyć.

Czasem jej zazdroszczę. Czasami szczerze żałuję, że dałam jej ten materiał.

XV

Pchła na głowie tygrysa

Pewnego razu twój ojciec wygłosił kazanie pod tytułem: „Jezus wybacz. Czy ty również?” Bardzo mi się podobało. Czułam, jak ogarnia mnie spokój, a cała złość odchodzi w zapomnienie.

Pamiętam, że wkrótce potem pewien Włoch, właściciel sklepu żelaznego, bardzo podle mnie potraktował. Zaczął wrzeszczeć, bo zażądałam zwrotu pieniędzy za przepaloną żarówkę, którą mi sprzedał. Udawał, że mnie nie rozumie. Nie mówię dość dobrze po angielsku - nici z pieniędzy.

Zdenerwowałam się, ale zaraz powiedziałam sobie: „wybacz, wybacz”. Myślałam o tym, co mówił twój ojciec: by pozwolić łzom ukrzyżowanego Jezusa zmyć mój gniew. Zadziałało. Nie gniewałam się już.

Próbowałam wyjaśnić, jak wkręciłam żarówkę w oprawkę, ale przerwał mi natychmiast: „Pani kupiła, pani zepsuła”.

Znowu się rozzłościłam. Powiedziałam sobie: „wybacz, wybacz” i znów zadziałało, powstrzymało gniew. Ale wtedy sprzedawca dodał:

- Proszę pani, ja tu prowadzę interes. A ja mu na to:

- Nie powinien pan mieć żadnego interesu!

Nie powstrzymywałam już gniewu. Wybaczałam i wybaczałam, a ten człowiek niczego się nie nauczył. Niby z jakiej racji pozwalał sobie na krytykę? Sam też nie mówił dobrze po angielsku, miał silny włoski akcent.

No i widzisz, taka już jestem, łatwo wpadam w gniew, z trudem przebaczam. To chyba przez Wen Fu. Nie potrafię mu darować. Nie mogę mu wybaczyć tylko z tego powodu, że miał wypadek. Nie chcę znajdować wymówek na to, co stało się później. Niby dlaczego?

Jeśli nie czuję się z tym najlepiej, to tylko dlatego, że twój ojciec uznałby to za małoduszność.

Ale wtedy myślę sobie: Jezus od urodzenia był Synem Bożym, ja zaś córką uciekiniarki, przynoszącej wstyd całej rodzinie. Kiedy Jezus cierpiał, stał się przedmiotem adoracji. Do mnie nikt nie modlił się za to, że żyłam z Wen Fu.

Przypominałam żonę kuchennego boga, jej też nikt nie wielbił. To jemu dostały się wszystkie wymówki i całe uznanie. O niej zapomniano.

W jakiś rok po wypadku, na początku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego, wróciłam do tego samego szpitala, tym razem, by urodzić kolejne dziecko. Hułan poszła ze mną i widziała, jak płacę sto chińskich dolarów ze ślubnej wyprawy za prywatny pokój pierwszej klasy. Na owe czasy było to bardzo dużo pieniędzy, coś tak jak teraz dwa tysiące dolarów.

Wen Fu pojawił się dopiero dwa dni po urodzinach następnej dziewczynki, dzięki czemu po raz pierwszy zobaczyłam ją, będąc całkiem sama.

Kiedy otworzyła buzię i zaczęła płakać, płakałam razem z nią. Kiedy otworzyła oczy, miałam nadzieję, że spodobał jej się widok uśmiechniętej matki. Kiedy ziewnęła, powiedziałam jej:

- Och, jakaś ty sprytna. Tak szybko się tego nauczyłaś.

Wen Fu przyszedł z oczami czerwonymi od zbyt intensywnego świętowania. Miał na sobie lotniczy mundur i wniósł do pokoju zapach whisky.

Dziecko spało. Wen Fu zajrzał jej w twarz i zaśmiał się.

- Moje maleństwo, moje maleństwo - powtarzał w kółko.

Spróbował otworzyć jej zaciśniętą rączkę.

- Och, jaka brzydka! - zażartował. - Łysa i tłusta jak chciwy mnich. Jakim cudem dorobiłem się takiego paskudnego dziecka? A jaka leniwa. Obudź się, mały Buddo!

Brwi mu chodziły i widziałam, że jest szczęśliwy. Próbował oczarować własną córkę!

Potem wziął ją na rękę. Dziecko rozrzuciło rączki i zaczęło płakać. Podrzucił ją parę razy, ale rozplakała się jeszcze głośniejsze.

- Co to ma być? - powiedział. - O co chodzi tym razem?

- Łagodniej, delikatniej - podsunęłam, ale nie słuchał.

Podnosił ją w górę i w dół, jak mały samolot, śpiewając głośno pijacką piosenkę. Nie przestawała płakać. Wyciągnęłam rękę i podał mi ją. Uspokoila się po chwili. Wtedy zobaczyłam jego minę. Nie ulżyło mu, nie uśmiechał się radośnie. Rozgniewał się, zupełnie jakby to małe dziecko czymś go obraziło, jakby jednodniowe niemowlę wybierało sobie ulubieńców.

„Jaki człowiek obwiniałby niemowlę? - pomyślałam sobie. - Jaki człowiek zawsze stawia siebie na pierwszym miejscu, nawet przed własnym dzieckiem?”

W tym momencie do pokoju weszła pielęgniarka, żeby podać mi lekarstwo. Wen Fu zażądał natychmiast, by przyniosła mu coś do jedzenia: dobrą gorącą zupę, makaron i bitki wołowe. Zamówił to tak po prostu, jak gość w restauracji, i tak jak to miał w zwyczaju, dodał, żeby nie żałowała mięsa. Kazał jej też przynieść dobrego ryżowego wina, najlepszego, nie jakąś miejscową taną markę.

- Przykro mi, nie podajemy jedzenia gościom. Tylko pacjentom - przerwała mu.

Przez chwilę gapił się na nią w milczeniu, po czym walnął pięścią w ścianę.

- Ty jeszcze ciągle masz dwoje oczu - wrzasnął. - Nie widzisz, że jestem bohaterem wojennym?

Pokazał oko, uszkodzone w wypadku.

Chciałam jej powiedzieć, że to żaden bohater i wcale nie w ten sposób dorobił się takiego oka, wręcz przeciwnie, jednak siostra już wyszła.

Wtedy popełniłam wielki błąd. Powiedziałam Wen Fu, żeby przestał robić zamieszanie. Właściwie nie użyłam takich słów, nigdy nie odezwałabym się tak do męża. Powiedziałam chyba: „Są zajęci”.

Wen Fu wściekł się jeszcze bardziej, że próbuję ich usprawiedliwiać. Przeklinał szpital i darł się na cały głos. Błagałam, żeby się uspokoił.

- Dla dziecka - mówiłam. - Dopiero co przyszło na świat i nie powinno słyszeć takich rzeczy.

Niemowlę zdążyło się już rozplakać. Wen Fu zamilkł i ze złością popatrzył na córkę. Potem wyszedł.

„Dobrze, poszedł sobie” - pomyślałam.

Nie minęło nawet pięć minut, a do pokoju wbiegła pielęgniarka, trzęsąc się ze złości.

- Ten twój mąż to jakiś wariat.

Powiedziała, że Wen Fu zszedł na dół do szpitalnej kuchni, porozpychał kucharzy i złapał wielki tasak, wiesz, taki, którym rozłupuje się duże kości. I - buch! - roztrzaskał stół, krzesła, walił w ściany, przewracał słoiki i naczynia. Wąchał każdy garnek, przeklinał i wyrzucał zawartość na ziemię. Wreszcie, kiedy złamał tasak, postraszył kucharzy i pomywaczki tłoczące się przy drzwiach: „Jeśli na mnie doniesiecie, wróć i połamię wam wszystkie kości”.

Ogarnął mnie straszny wstyd. Nie przychodziły mi do głowy żadne usprawiedliwienia. Prosiłam pielęgniarkę o wybaczenie, że sprowadziłam na szpital takie nieszczęście, obiecałam zapłacić następne sto juanów i przeprosić później osobiście wszystkich pracowników kuchni.

Kiedy wyszła, zastanawiałam się nad jej słowami: mój mąż to wariat. Tym razem nie obwinałam siebie za to, że za niego wyszłam. Obwinałam jego matkę! Za to, że go urodziła i spełniała wszystkie zachcianki, niby gorliwa służąca. Za to, że zawsze najpierw karmiła męża i syna, mnie pozwalając jeść dopiero wtedy, gdy wyczyściłam brodę teścia z resztek jedzenia. Za to, że nie hamowała podłości Wen Fu i pozwalała jej rosnąć, tak że wiecznie musiał podsycać swoją przewagę.

Może nie miałam racji, obwiniając inną kobietę o swoje nieszczęścia, ale tak mnie wychowano: nigdy nie krytkowało się mężczyzn, społeczeństwa, którym rządzą, ani Konfucjusza, tego okropnego człowieka, który to społeczeństwo stworzył. Umiałam winić tylko kobiety, które bały się jeszcze bardziej niż ja.

Zaczęłam płakać, a dziecko wraz ze mną. Przystawiłam ją do piersi, ale nie chciała jeść. Kołysałam ją łagodnie - bez skutku. Śpiewałam jej piosenkę, ale nie słuchała. Płakała tak długo, że wreszcie zabrakło jej oddechu i zaczęła płakać w środku, z brzucha. Wiedziałam, że się boi. Matka natychmiast poznaje, kiedy jej dziecko jest głodne, zmęczone, mokre albo obolałe. Moje dziecko się bało. Zrobiłam więc coś, co wtedy wydało mi się właściwe: skłamałam.

- Jakież dobre życie cię czeka - mruzczałam jej do ucha. - Ten wrzeszczący mężczyzna? Wcale go nie znamy. To z pewnością nie twój tata. Twój tata to łagodny człowiek. Przyjdzie tu niedługo, więc już nie płacz.

Niebawem uspokoiła się i zasnęła. Tej nocy nazwałam ją Yiku, „szczęście ponad goryczą”, dwa przeciwstawne słowa, pierwsze dobre, żeby mogło skasować niepomyślne znaczenie drugiego. Tak to wygląda, kiedy piszesz jeden znak nad drugim. W ten sposób życzyłam córce życia, w którym powodzenie przezwycięży trudności.

Kochałam to dziecko od początku. Miała takie same uszy jak Moczou, ale otwierała oczy i szukała mnie. Chciała pić tylko moje mleko, odmawiając picia od *sau nai-nai*, mamki, którą wobec tego odesłałam. Widzisz, Yiku wiedziała, że to ja jestem jej matką. Mogłam podnosić ją wysoko w powietrze i śmiałyśmy się obydwie. Była też

bystra: nie miała nawet trzech miesięcy, a już umiała składać rączki i dotykać moich włosów, nigdy nie szarpiąc.

Jednak za każdym razem, kiedy Wen Fu zaczynał krzyczeć, płakała całą noc i nie uspokajała się, póki nie opowiedziałam jej więcej kłamstw. „Yiku, bądź dobra, to czeka cię dobre życie”. Skąd miałam wiedzieć, że w ten sposób matka uczy córkę strachu?

Pewnego dnia, może pół roku po narodzinach Yiku, przysłała do mnie służąca, mówiąc, że musi odejść. Miała czternaście lat, była drobna i zawsze posłuszna, tak że nawet Hulan nie miała powodu, by ją besztać.

Kiedy zapytałam dlaczego, odparła, że nie dość dobrze pracuje. Tak właśnie robiło się w Chinach - używałaś siebie jako wymówki. Podkreślałaś swoją niewielką wartość, choć tak naprawdę miałaś na myśli, że jesteś warta dużo więcej.

Zdawało mi się, że znam przyczynę jej niezadowolenia. Przez ostatnie kilka miesięcy Hulan prosiła ją o różne drobne przysługi, które z czasem zamieniły się w wielkie wymagania. Biedna dziewczyna, która nikomu nie umiała odmówić, miała wkrótce dwa razy tyle roboty za te same pieniądze.

Nie chciałam jej stracić.

- Jesteś wspaniałą służącą - powiedziałam. - Nigdy się nie lenisz i chyba należy ci się większa pensja.

Potrząsnęła głową, upierając się, że na nic nie zasługuje.

- Często cię chwaliłam, nie pamiętasz?

Przytaknęła.

Pomyślałam, że może Hulan źle ją traktuje, karci za moimi plecami i dziewczyna nie potrafi już tego znieść. Ależ się rozzłościłam!

- Ktoś sprawia ci kłopoty, mam rację? Nie bój się, powiedz mi.

Zaczęła płakać i kiwać głową, nie podnosząc oczu.

- Przez kogoś ciężko ci tu pracować? Zgadza się?

Znów potaknęła przez łzy, po czym powiedziała kto.

- Tai-tai nie czuje się dobrze, bardzo choruje, wiem o tym. Dlatego nie winię pani męża.

- „Winię”? Co masz na myśli, mówiąc takie rzeczy? Było lato, ale zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

Kazałam jej mówić. Z odległości kilku kroków słuchałam, jak błaga o przebaczenie, bije się po twarzy i twierdzi, że to wszystko jej wina. Opowiadała, że przez własną słabość pozwoliła mu się dotykać. Płakała i błagała, żeby o niczym mu nie wspominać.

Nie pamiętam już, jak wyciągnęłam z niej słowo po słowie. Tego popołudnia dowiedziałam się, że mój mąż zaczął się do niej dobierać, jeszcze kiedy byłam w szpitalu, że walczyła za każdym razem i on ją za każdym razem gwałcił. Oczywiście nie użyła tego słowa. Skąd taka niewinna dziewczyna miałaby je znać? Umiała tylko brać całą winę na siebie.

Wypytywałam ją szczegółowo: ten siniec na twarzy, który nabiłaś sobie przez nieuwagę, to jego sprawka? A te kilka razy, kiedy źle się czułaś, zawsze z rana, to po tym?

Przy każdej odpowiedzi płakała i biła się po twarzy. W końcu kazałam jej przestać. Pogłaskałam po ramieniu i obiecałam, że coś zaradzę.

Przeraziła się.

- Co zrobisz, tai-tai?

- O to już nie musisz się martwić.

Poczułam się nagle bardzo zmęczona i dezorientowana. Poszłam na górę do pokoju Yiku, usiadłam na krześle i patrzyłam, jak córeczka śpi spokojnie w łóżeczku.

Co za potwór! Nie mieściło mi się w głowie, że taki szatan może żyć na ziemi! Zeszłoroczny wypadek niczego go nie nauczył!

Potem zaczęłam się zastanawiać, co powiedzą ludzie. Co o mnie pomyślą, jeśli stanę po stronie służącej przeciw własnemu mężowi? Wyobraziłam sobie, jak beszta mnie Hulan, oskarżając, że w każdym widzę tylko najgorsze strony. Widziałam, jak inni krytykują mnie za złe prowadzenie domu. Niemal słyszałam te drwiny: mąż ugania się za służącą, bo żona mu nie wystarcza. Klasyczna historia, stara jak świat!

Po chwili przyszło mi do głowy, że Wen Fu zrobił coś bardzo złego, może nawet popełnił przestępstwo, ale nie za poważne. Wielu mężczyzn postępowało tak ze służącymi. Zresztą, kto jej da wiarę? Mąż powie, że to kłamstwo, jasne, że tak. Wielki bohater oświadczy, że to ona go uwiodła. Albo powie, że sypiała już z wieloma pilotami. Może wymyślić wszystko.

A poza tym, co zyskam, jeśli go oskarżę? Wielką awanturę, współczujące spojrzenia Jiaguo i Hulan, cały wstyd. Co to da, że spróbuję jej pomóc? Tylko

nieszczęście w moim własnym łóżku. Co stracę? Nawet nie mogłam sobie tego wyobrazić.

Usiadłam i przypomniałam sobie słowa Starej Ciotki. Broniłam się kiedyś przed fałszywym oskarżeniem, a ona powiedziała: „nie zabijaj pchły na głowie tygrysa”. Nie rozwiązuj mniejszych problemów przez tworzenie większych.

Postanowiłam nic nie mówić i nic nie robić. Stałam się ślepa i głucha, podobnie jak Hulan i Jiaguo, którzy nie odezwali się ani słowem, widząc, jak Wen Fu mnie bije.

Dałam służącej trzymiesięczną odprawę i list polecający. Odeszła, nawet nie wiem dokąd. Chyba była wdzięczna, że może zniknąć po cichu. Wen Fu spytał dwa dni później, gdzie się podziała.

- Ta służąca? Matka chciała wydać ją za jakiegoś wiejskiego chłopca, więc odesłałam ją do domu.

Kilka tygodni później dowiedziałam się, że nie żyje. Karmiłam właśnie Yiku, a Hulan opowiedziała mi, że dziewczyna zaczęła gdzieś pracować i odkryła, że jest w ciąży, więc użyła wiejskiego sposobu: wyjęła z miotły źdźbło słomy i wtykała je sobie w łono tak długo, aż zaczęła krwawić. Tylko że krwawienie nie ustało.

- Co za głupota, żeby użyć słomy! - orzekła Hulan. - A ta rodzina, która ją przyjęła - oj! - tacy są wściekli, że sprowadziła na nich ducha. Mamy szczęście, że nie umarła tutaj.

Hulan mówiła, a ja czułam się tak, jakby znów ktoś wymierzył mi policzek w pokoju pełnym ludzi, wołając, że to wszystko moja wina. Widziałam tę dziewczynę w kałuży krwi na podłodze i słyszałam, jak jej chlebodawcy lamentują tylko z tego powodu, że zostawiła po sobie bałagan.

Oczywiście Hulan nie wiedziała, że to Wen Fu wpędził ją w kłopoty. A może wiedziała i nie wspominała o tym? Ale w takim razie - jakże mogła tak mówić? Krytykować biedną, bezbronną służącą, gratulować, że pozbyliśmy się jej, zanim zamieniła się w ducha. Dlaczego nie pomyślała o własnej siostrze, która umarła dokładnie tak samo?

Byłam tak samo winna jak Hulan: nie ogarnęło mnie współczucie, tylko ulga, że uniknęłam kłopotów.

Po wyjściu Hulan podniosłam Yiku i zniosłam ją na górę.

- Widzisz, jaka jestem bezradna? Nie naśladowuj mnie.

Kiedy wieczorem wrócił Wen Fu, po raz pierwszy okazałam mu gniew. Przeczekałam kolację, herbatę, karty, plotki i śmiechy.

- Pamiętasz tę małą służącą? - zapytałam, kiedy wróciliśmy do pokoju. - Umarła dzisiaj.

- Gdzie są moje kapcie?

Zdejmował właśnie buty. Słyszałam, jak Hulan i Jiaguo rozmawiają w kuchni. Zamknęłam drzwi i powtórzyłam, tym razem głośniej.

- Służąca nie żyje.

Nadal pytał o kapcie, więc dodałam:

- Umarła, próbując pozbyć się twego dziecka, ty głupcze!

- Co to ma znaczyć? Czyich kłamstw się nasłuchiwałaś?

Nachylił się nade mną. Jedna powieka wciąż mu opadała, drugie oko miał wielkie i szeroko otwarte. Nie odwróciłam wzroku. Odparłam jego spojrzenie. Czuałam się zupełnie inaczej, jakbym zdobyła sekretną broń.

Nagle - bang! - wywrócił krzesło. Zaklął.

- A kim ty jesteś, żeby mnie oskarżać! - wrzasnął.

W sąsiednim pokoju Yiku rozplakała się ze strachu.

Ruszyłam w tamtą stronę. Wen Fu kazał mi się zatrzymać, ale nie posłuchałam. Dziecko stało w łóżeczku, wyciągając do mnie rączki. Wyjęłam ją i uspokoiliam. Wen Fu przyszedł za mną, wciąż drąc się i roztrącając meble, ale się go nie bałam. Nie tym razem. Odstawiłam Yiku do łóżeczka.

- Dobrze wiem, co się stało! - odkrzyknęłam. - Zepchnąłeś tę dziewczynę do rynsztoka i zrujnowałeś jej życie. Pewnie nie jej pierwszej. A teraz mówię ci, że masz załatwiać swoje brudne interesy gdzie indziej. Na ulicy, gdzie chcesz, ale już nie w moim łóżku.

Podniósł pięść, ale nie odwróciłam wzroku ani nie próbowałam się zasłonić.

- Uderz mnie, a i tak nie zmienię zdania! - krzyknęłam. - Też mi wielki bohater! Tylko dziecko się ciebie boi.

To go zaskoczyło. Popatrzył na Yiku, która stała w łóżeczku, płacząc na cały głos. Opuścił rękę i szybkim krokiem podszedł do dziecka. Sądziłam, że zrobiło mu się przykro, iż ją przestraszył. Myślałam, że podniesie ją i przeprosi. W tym momencie, zanim nawet zdążyłam się zorientować - trzask! - uderzył ją z całej siły w twarz. Połowa buzi natychmiast zrobiła się czerwona.

- Cisza! - wrzasnął.

Zacisnęła powieki. Miała otwartą buzię, z której nie wydobywał się ani jeden dźwięk. Nie mogła złapać tchu. Tyle bólu! Wciąż mam przed oczami ten widok, bardziej bolesny niż wszelkie razy, jakie na mnie spadły.

Ruszyłam do niej, ale Wen Fu odepchnął mnie i upadłam na ziemię. Wtedy znów usłyszałam jej płacz. Wreszcie zaczerpnęła powietrza. Płakała jeszcze głośniejsze i piskliwiej. Trzask! Wen Fu uderzył ją znowu: trzask! trzask!

Kiedy wreszcie podniosłam się na nogi i wpełchnęłam między nich, zobaczyłam, że Yiku zwinęła się w kłębek. Kwiliła jak małe zwierzątko. Teraz i ja płakałam i błagałam Wen Fu:

- Wybacz mi! Myliłam się! Wybacz mi!

Od tamtej pory za każdym razem, kiedy Yiku widziała ojca wchodzącego do pokoju, zwinęła się w kłębek. Ssała palce i kwiliła. Nie miała jeszcze sześciu miesięcy, a już nauczyła się nie płakać. Dziecko, które poznało, co to strach, zanim jeszcze umiało raczkować.

Zrobiła się dziwna. Nigdy nie patrzyła ludziom w twarz, wrywała sobie włosy i waliła główką w ścianę. Machała rączkami przed buzię i wybuchała śmiechem. Kiedy nauczyła się chodzić, stała na palcach jak baletnica. Przechodziła przez pokój szybko, na paluszkach, jakby z każdym krokiem chciała wzbić się w powietrze. I zawsze na widok ojca zwinęła się w kłębek, tak samo jak wtedy. Nie płakała. Nie zaczęła też mówić, wydawała tylko dźwięki podobne do słów, jakby rozmawiała językiem duchów.

Jej głos to wznosił się, to opadał: wysoki i ładny, podobny do tego, którym wołałam: „Yiku, spójrz na mnie” i drugi, burkliwy i szorstki, tak jak krzyki Wen Fu: „Yiku, ty głupie stworzenie! Idź sobie!” To były jedyne dźwięki, jakie umiała naśladować.

Zachowywała się tak przez cały czas. Okropnie się bałam, ale Hulan powtarzała: „Zmieni się, jak dorośnie. Po prostu zrobiła się nerwowa. Wszyscy tak się czują. Wróci do siebie, jak tylko skończy się wojna, zobaczysz”.

Chciałam jej wierzyć. Dlaczego nie? Nigdy dotąd nie wychowywałam dziecka. Nie chciałam myśleć, że moja córeczka straciła rozum. Wciąż wmawiałam sobie, że wojna się skończy i Yiku wydobrzeje. Wierzyłam w to. Jedna nadzieja rodziła drugą.

Podwójna siódemka miała być szczęśliwym dniem, ale zamiast tego stała się dniem żalów. Byłam już w szóstym czy siódmym miesiącu następnej ciąży, a Yiku miała jakieś siedemnaście miesięcy, więc pewnie działo się to w tysiąc dziewięćset czterdziestym, w czasie wyjątkowo gorącego lata, kiedy wszyscy chodzili poirytowani.

Tamtego dnia dowiedzieliśmy się, że Brytyjczycy zamykają Szosę Birmańską, żeby zadowolić Japończyków. Jiaguo zaprosił na obiad pewnego urzędnika kolejowego, żeby przedyskutować z nim inne metody transportu zaopatrzenia, Hulan zaś ubiła na rynku mnóstwo złych interesów.

Urzędnik przyprowadził ze sobą żonę, która bardzo przypominała mi Starą Ciotkę, zwłaszcza gdy powiedziała:

- Och, nie powinnaś jeść ostrych potraw, bo dziecko urodzi się w złym nastroju.

Z tymi słowy wzięła dokładkę mego ulubionego makaronu na ostro, zjadając moją porcję.

Po posiłku karmiłam Yiku resztkami jarzyn. Jiaguo, Wen Fu i urzędnik pili whisky, rozmawiając o pieniądzach, Hulan zaś wachlowała się, walcząc ze snem.

- Wszystko spada - powiedział urzędnik z dużym przekonaniem. - Pieniądze z zeszłego roku warte są dziś połowę. Po tym można poznać, czy wygrywamy, czy przegrywamy - wystarczy spojrzeć na pieniądze. Wróg potrafi kontrolować państwo, kontrolując same finanse.

- Wobec tego Chiny powinny dodrukować więcej banknotów - odparł Wen Fu z mądrą miną; widziałam, że usiłuje dorównać arogancji urzędnika. - Dać każdemu więcej, więcej wydadzą. Wszyscy zarobią. Jeszcze lepiej: przekonać obcokrajowców, by nam coś przysłali.

Jiaguo potrząsnął głową.

- To zły pomysł. To właśnie interwencje z zewnątrz wpędziły Chiny w kłopoty. Podzielili nas na małe kawałki, za słabe, by razem walczyć.

- I dlatego obcokrajowcy powinni zapłacić - upierał się Wen Fu. - Niech posprzątają, co nabrudzili. Trzeba im powiedzieć, żeby dali dosyć na wygranie wojny.

Urzędnik roześmiał się i odwrócił do mnie.

- Hej, pani Czang Kaj-szek! Pani mąż - pokazał kciukiem na Wen Fu - już wie, jak rozwiązać nasze problemy. To takie proste: pomoc zagraniczna. Hej, panie Roosevelt, panie Churchill, proszę, oto moja żebracza miska. Dajcie mi sto milionów dolarów.

Moim zdaniem urzędnik zachował się bardzo niegrzecznie, ale roześmiałam się z uprzejmości. Wiedziałam, że Wen Fu wcale się nie cieszy, więc żeby go rozbawić, dodałam z uśmiechem:

- Przyda ci się duża miska.

Co za błąd!

Wen Fu poczerwieniał.

- A może by tak tobie dać miskę i posłać na żebry? Co? - zapytał ze złością.

Wszyscy zmieszali się i ucichli, a ja walczyłam ze łzami.

Nagle Yiku zaczęła kiwać się w przód i w tył, śpiewając pod nosem. Potrząsała rączkami przed buzią, śpiewała cieniutko, a potem burczała nisko i szorstko, tak jak zwykle.

Żona urzędnika podbiegła do niej i dotknęła jej czoła.

- Aj, co się stało twemu dziecku? Źle się czuje?

Wen Fu rozzłościł się jeszcze bardziej.

- Yiku! - wrzasnął i trzepnął ją po rękach. - Przestań! Głupia dziewczyna! Cicho!

Yiku zaczęła kiwać się jeszcze szybciej, podśpiewując to, co usłyszała: „Yiku! Przestań! Głupia dziewczyna!” Zrobiło mi się niedobrze.

Urzędnik z żoną wkrótce sobie poszli, a Jiaguo i Hulan wrócili do siebie, by uciąć sobie drzemkę. Kiedy zostaliśmy sami, Wen Fu krzyczał jeszcze długo, nazywając mnie złą matką, która nie potrafi nawet nauczyć córki posłuszeństwa. Bardzo bolał mnie żołądek. Zdawało mi się, że to dlatego, iż po raz pierwszy jasno zobaczyłam Yiku, podobnie jak żona urzędnika.

Jednak następnego ranka czułam się jeszcze gorzej i wiedziałam, że przyczyną jest wczorajsze jedzenie. Powiedziałam do siebie: „Och, mam nadzieję, że Hulan nie kupiła tanich warzyw od Birmańczyków”. Ci ludzie mieli tyle niehigienicznych obyczajów, na przykład używali własnych odchodów do użyźniania roślin, rozsiewając w ten sposób zarazki cholery, dyzenterii i tyfusu. Wtedy zauważyłam, że Yiku też jest chora. Nie płakała, tylko spała cały czas. Skąd wiedziałam?

Po południu zaczęła się biegunka. Nie przeszła do wieczora i Yiku nie chciała jeść ani pić. Wen Fu poszedł do znajomego grać w madżonga, a ona leżała z półprzy-
mkniętymi, niewidzącymi oczami.

Jakaż byłam głupia!

Powiedziałam do Hulan:

- Może powinnam zabrać ją do szpitala. Co o tym sądzisz?

Po co pytałam ją o zdanie? Powinnam natychmiast pojechać, ale uwierzyłam, kiedy Hulan odparła, że najpierw muszę dostać skierowanie od lekarza.

Pamiętam, że doktor grał w madżonga razem z Wen Fu, jakiś kwadrans drogi od naszego domu. Biegłam cały czas.

- Twoja córka jest chora - szepnęłam do Wen Fu. - Potrzebujemy doktora, żeby zabrać ją do szpitala.

Udawał, że mnie nie słyszy, i grał dalej. Doktor, siedzący przy tym samym stole, podniósł na mnie oczy.

- Co się stało?

Powtórzyłam, że Yiku zachorowała.

- Bardzo osłabła od biegunki. Z trudem oddycha i przewraca oczami w gorączce.

Pozostali mężczyźni przestali rozmawiać. Doktor wstał.

- Pójdę - powiedział.

Wen Fu zerwał się na nogi.

- Graj! Nie przerywaj! Moja żona przesadza. - Roześmiał się. - Widzi mrówkę i myśli, że to lew. Dziecko raz kichnie, a ona zaraz wymyśla zapalenie płuc. Siadaj, siadaj. Gramy dalej.

Nie wyszłam, a doktor nadal stał.

- Tym razem nie przesadzam - powiedziałam cicho. - Ona może umrzeć.

Wen Fu strasznie się rozżościł, że zaprzeczam jego słowom.

- Nawet jeśli umrze, nic mnie to nie obchodzi! - Usiadł i wyciągnął następną bierkę madżonga. - Ona tylko próbuje ściągnąć mnie do domu, zanim przegram to, co wygrałem - dodał z uśmiechem.

Wszyscy roześmieli się nerwowo i wrócili do gry. Doktor usiadł.

Tak to właśnie było. Nie przesadzam. Powiedział tak przy wszystkich: „Nawet jeśli umrze, nic mnie to nie obchodzi”. Słowo w słowo. Wszyscy go słyszeli i nie zrobili nic. Stałam tam z otwartymi ustami. Zastanawiałam się, skąd Wen Fu miał nad nimi taką władzę? Dlaczego tak się go bali?

Biegiem wróciłam do domu.

- Nic z tego - powiedziałam Hulan. - Doktor nie przyjdzie.

Przez następną długą godzinę biegaliśmy z Hulan po schodach, nosząc świeżą wodę do mycia. Chciałyśmy też przekonać Yiku, żeby napiła się choć trochę, ale odwracała tylko głowę.

Nagle jej maleńkie ciało ogarnęły drgawki. Potem się wyprężyła i znowu zaczęła dygotać. Wzięłam ją na ręce i potykając się, pobiegłam ścieżką przez park. Hulan biegła za mną.

Wciąż grali i śmiali się, pijąc i paląc papierosy.

- Widzisz! Widzisz! - krzyknęłam do męża, pokazując mu Yiku.

Tym razem wszyscy mężczyźni przerwali grę i podnieśli się z miejsc. Zapadła cisza. Ciało Yiku przeżyło się w powietrzu, jakby chciało wyskoczyć mi z objęć. Doktor podbiegł do nas.

- Ty głupia kobieto! - krzyknął Wen Fu i zaklął. - Dlaczego nie powiedziałaś mi, że tak z nią źle? Co z ciebie za matka?

Zachował się tak, jakby o niczym nie pamiętał! I wśród wszystkich zebranych nie znalazł się ani jeden, który by mu powiedział: „Kłamiesz, mówiła ci o tym godzinę temu”.

- Pospieszmy się - odezwał się doktor. - Kto ma samochód?

W drodze do szpitala Wen Fu nie przestawał mnie przeklinać. Nie pamiętam, co mówił, nie słuchałam. Tuliłam do siebie Yiku, usiłując ją uspokoić i zatrzymać na tym świecie, ale wiedziałam, że nie ma już nadziei.

- Teraz mnie opuścisz - mówiłam. - Co ja bez ciebie pocznę?

Szalałam z rozpacz.

Nagle zobaczyłam, że na mnie patrzy, może po raz pierwszy od niemowlęstwa.

Myślałam, że to tylko złudzenie, że wmawiam sobie, bo zostało jej już niewiele czasu. Wtedy spojrzałam jeszcze raz.

Miała jasny wzrok. Nie uśmiechała się ani nie płakała, nie odwracała oczu. Patrzyła na mnie i słuchała moich słów. Przypomniałam sobie, co mi kiedyś powiedziano: na moment przed śmiercią dzieci stają się takie, jakimi byłyby w dorosłym życiu. Niezależnie od wieku rozumieją, co się z nimi dzieje.

Wzrok Yiku mówił mi: „Takie właśnie życie przypadło mi w udziale, wcale nie lepsze, niż gdybym żyła długie lata. Godzę się ze wszystkim, nie winię nikogo”.

Rano patrzyłam na śmierć Yiku. Wen Fu poszedł już do domu, bo usłyszał od doktora: „Nie ma nadziei, za późno”. Ja zostałam przy niej.

Rozmyślałam nad wszystkimi błędami, jakie popełniłam; o tym, że nie dość ją chroniłam, że kłamałam i obiecywałam jej pomyślną przyszłość.

Widziałam, jak się kurczy i odchodzi ode mnie. Powiedziałam jej: „Tak bardzo mi przykro”. Wypnęła stopy jak tancerka i już jej nie było. Nie płakałam. Zabrakło mi już łez i uczuć.

Wzięłam ją na rękę. Nie musiałam więcej kłamać.

- Tak będzie lepiej, moje maleństwo - powiedziałam. - Uciekłaś stąd. Dobrze zrobiłaś.

No powiedz, czy widząc, że coś takiego spotyka twoje dziecko, umiałabyś przebaczyć?

XVI

Wielki świat

Gdybym mogła powstrzymać następne dziecko od przyjścia na świat, zrobiłabym to. Jednak w chwili śmierci Yiku byłam już w szóstym czy siódmym miesiącu ciąży. Musiałam pozwolić mu przyjść, wiedząc dobrze, co je czeka. Chłopiec czy dziewczynka, wszystko jedno: nazwę je Danru, „nonszalancja”. To dobre buddyjskie imię, oznaczające, że dziecko nie przywiąże się do żadnych ziemskich rzeczy, nawet własnej matki.

Tak mi się zdawało, zanim się urodził. Jednak potem Hulan spojrzała na niego i orzekła:

- Och! Wykapany ojciec!

Wen Fu uśmiechnął się szeroko, a ja natychmiast zapragnęłam walczyć o swoje dziecko, uchronić je przed tym przekleństwem.

Kiedy wszyscy wyszli, przyjrzałam się buzi śpiącego Danru. Włosy sterczały mu prosto jak młoda trawa i miękko układały się pod dłonią. Rozchylił trochę oczy, nie do końca, jakby bardzo nie odpowiadała mu jasność tego świata. Patrzył na mnie, marszcząc brwi. Nie miał podłej miny Wen Fu. Wyglądał na zmartwionego. Przełał na mnie wszystkie swoje troski.

Widzisz więc, że pokochałam go od początku, mimo że bardzo chciałam tego uniknąć. Opieka nad kimś tak ufnym przywraca trochę utraconej niewinności.

Zostałam w szpitalu przez pięć dni. Wen Fu odwiedził mnie tylko dwa razy, tłumacząc się, że ma mnóstwo zajęć w nowej pracy. Jiaguo dał mu posadę w kwaterze głównej Sił Powietrznych i szkolił go na radiotelegrafistę.

Kiedy doktor powiedział, że mogę już iść do domu, nie czekałam, aż Wen Fu przyjdzie po mnie wieczorem. Poleciałam mamce zebrać moje rzeczy i załatwić środek transportu - wszystko nie zajęło nawet dwóch godzin.

Było wczesne popołudnie. Drzwi Hulan zastałam zamknięte. Kazałam mamce zabrać Danru do pokoju na piętrze i położyć w kołysce, a sama zostałam na dole, żeby wypytać kucharkę o stan naszych zapasów i wydać instrukcje co do kolacji. Właśnie wybierałam się na górę, kiedy zeszła mamka.

- Och, *tai-tai* - szepnęła - tam jest duch.

Jeśli służący mówią ci, że gdzieś jest duch, to znaczy, że nie jest tak, jak należy, a oni nie czują się upoważnieni, żeby wyjaśnić, o co chodzi. Kazałam jej iść do kuchni i poszłam sprawdzić.

Zobaczyłam młodą kobietę, która w mojej nocnej koszuli spała na moim łóżku! Szybko zamknęłam drzwi i stałam na korytarzu, próbując zrozumieć, co się dzieje. Jak Wen Fu mógł na oczach wszystkich sprowadzić do domu kobietę? Zeszłam na dół i zapukałam do Hulan.

- Ej! Spójrzcie tylko! Już wróciłaś? - zapytała. - A gdzie mały skarb? Śpi? Wejdz, wejdz. Musisz poznać moją krewną.

Nic nie powiedziała o dziewczynie śpiącej na górze.

Na kanapie siedziała kobieta o twarzy i rękach brązowych i pomarszczonych jak wyschnięta ziemia. Hulan przedstawiła mnie swojej ciotce, Du Ching, która właśnie dziś rano przyjechała z północy. W moich młodych oczach wyglądała na co najmniej pięćdziesiąt lat, ale potem dowiedziałam się, że nie przekroczyła jeszcze pięćdziesiątki.

Zgadnij, kto to był? Ciocia Du! Zgadza się, cioteczna babka Du. Właśnie tak ją poznałam.

- Ile dni zajęła podróż? - zapytałam uprzejmie.

Ciocia Du roześmiała się serdecznie, jakbym powiedziała dobry dowcip.

- Nie dni ani nawet miesięcy. Ponad siedem lat; zaczęła się w prowincji Jehol, na północ od Peiping. - Twarz wygładziła jej się i posmutniała. Poglaskała Hulan po rękę. - Aj, właśnie wtedy zmarł brat twego ojca. Co za dobry mąż! Cieszę się tylko, że umarł, zanim zaszły te wszystkie zmiany w naszej wiosce.

Hulan przytaknęła, a ciocia Du zwróciła się do mnie.

- Umarł, zanim przyszli z Mandżukuo Japończycy i przejęli nad wszystkim kontrolę: decydowali, co sadzić, jakie ustalać ceny, co drukować w gazetach, a nawet ile jaj powinna znosić najbardziej koścista kura. We wszystko wtykali nos. Nie wyobrażasz sobie, jakie nastąpiły złe czasy. Oczywiście wraz z córką wyjechałyśmy, zanim do tego doszło. Dowiedziałam się o tym dopiero niedawno. Wtedy też okazało się, że mam w Kunmingu bratanicę!

Uśmiechnęła się do Hulan, która dołała jej herbaty. Kiedy ciocia Du wspomniała o córce, nagle pojęłam, kto śpi w moim łóżku. Bardzo mi ulżyło, a cała złość odeszła.

- Co za szczęście, że wyjechałyście w porę - powiedziałam.

- To dlatego, że odkąd straciłam męża, nie miałam już po co tam tkwić - powiedziała ciocia Du. - Wszystko sprzedałam. Po co trzymać się ziemi, którą ci japońscy złodzieje i tak zabiorą ci jak swoją? Zamieniłam wszystkie pieniądze na małe płytki złota. Płaciłam nimi potem za różne środki transportu: pociągi, łodzie, ciężarówki, a także - spójrz tylko! - buty.

Miała na sobie grube czarne buty, takie same, jakie nosiły zwykle nauczycielki z misji.

- Trzeba ci było widzieć te drogi! - ciągnęła. - W niektórych miejscach budują bardzo szybko, poszerzając je gołymi rękami. W innych znów wysadzają je dynamitem, żeby Japończycy nie mogli przejechać. Każda droga przypomina miasto: tłok, biedni i bogaci próbują opuścić jedno miejsce i przenieść się w inne.

Śluchając jej, pomyślałam o dziewczynie śpiącej w moim łóżku. Musi być bardzo zmęczona po tak długiej podróży. Oczywiście zastanawiałam się, czemu Hulan pozwoliła jej spać w moim łóżku zamiast we własnym, ale przez uprzejmość nie zapytałam.

Po kilku minutach przeprosiłam, mówiąc, że muszę zająć się dzieckiem.

- Dziecinka! - przypomniała sobie Hulan, po czym zwróciła się do cioci Du: - Wykapany ojciec.

- Nie za bardzo - sprostowałam.

- Te same oczy, ten sam nos i kształt głowy - upierała się Hulan.

Zaprosiłam ciocię Du, by sama się przekonała. Na schodach powiedziałam, jak mu na imię, ile waży, jaką ma silną szyję i że tuż po urodzeniu zsiusiał się doktorowi na ręce, o czym później powiedziała mi pielęgniarka.

Obydwie roześmiałyśmy się i to pewnie obudziło dziewczynę w moim pokoju. Otworzyła drzwi i wyjrzała z zasną miną. Natychmiast zrobiła się czerwona i zamknęła drzwi z powrotem. Przez sekundę miałam nadzieję, że ciocia Du powie: „O, to moja córka”, ale zamiast tego Hulan zapytała:

- Kto to?

- Jest chora, że tak śpi w środku dnia? - dodała ciocia Du.

Mówię ci, mało nie spadłam ze schodów! Ciocia Du i Hulan patrzyły na mnie, czekając na odpowiedź.

- To gość - odparłam.

Tylko tyle zdołałam wymyślić.

Później dowiedziałam się, że córka cioci Du przyłączyła się do komunistów w Jenanie. Ciocia ani nie pochwaliła, ani nie zganiała jej decyzji.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedziała - to za bardzo przyzwyczyłam się do starych ubrań, żeby teraz zmieniać je na czyjeś nowe idee.

Mąż wrócił po południu. Natychmiast zapytałam go o dziewczynę na górze. Nie okazałam złości ani nie oskarżyłam go o sprowadzenie kobiety w czasie, gdy ja rodziłam dziecko. Patrzyłam na Danru, żeby Wen Fu nie widział mojej miny.

- Och, ta? To siostra jednego pilota z mojej klasy - odparł spokojnie i bez wahania. - Nie mogła zostać w jego internacie, więc poprosił, żebym przenocował ją przez kilka dni. Naturalnie nie mogłem odmówić.

- A dlaczego śpi w naszym łóżku? - zapytałam.

- Nie wiem, może się zmęczyła.

Wiedziałam, że kłamie. Gdyby naprawdę chodziło o gościa, zerwałby się na równe nogi i wrzasnął: „Ha! W moim łóżku? Wyrzuć ją na zbity pysk!”

Najpierw ogarnęła mnie złość. Jakim prawem załatwiał swoje brudne sprawy tuż przed moim nosem? Traktował mnie jak jakąś ciemną wieśniaczkę! I do tego pozwolił jej używać mojej nocnej koszuli!

Po chwili podeszłam do tego inaczej: dlaczego mam okazywać gniew, zupełnie jakbym o niego walczyła? Dlaczego ma mnie obchodzić, że z nią sypia? Tym lepiej dla mnie! Może wreszcie zostawi mnie w spokoju.

- Powiedz naszemu gościowi - odezwałam się w końcu przyjaźnie - że może spać na sofie w drugim pokoju.

Nie odwróciłam się nawet, żeby zobaczyć jego zaskoczoną minę.

Tej nocy wcześniej wróciłam na górę i zamknęłam drzwi. Kiedy po jakimś czasie Wen Fu przyszedł do łóżka, udawałam, że już śpię. Rano też zacisnęłam powieki, słysząc, jak wymyka się do drugiego pokoju. Robiłam tak każdej nocy i każdego ranka. Och, jak dobrze spałam! Nie musiałam się martwić, kiedy będzie chciał rozchylić mi nogi.

W ten właśnie sposób wpuściłam do domu konkubinę. Oczywiście nie przedstawiłam jej tak Hulan i Jiaguo. Powiedziałam im, że to gość, siostra jednego z pilotów - ta sama bajeczka, którą wymyślił Wen Fu.

Ta dziewczyna, Min, zachowywała się, jakby rzeczywiście była honorowym gościem. Siedziała do późna, późno wstawała, schodziła na dół i jadła do woli, brała dokładki, nigdy nie czekając na zaproszenie. Nie miała żadnego wykształcenia. Nie umiała przeczytać gazety ani nawet napisać własnego imienia. Mówiła głośno i bardzo poufale.

Niebawem Wen Fu zaczął traktować ją równie źle jak mnie. Nie okazywał jej szacunku, nie słuchał, gdy do niego mówiła, robił miny, kiedy niewłaściwie się zachowała. Chociaż nigdy przedtem nie miałam takiego zamiaru, poczułam teraz, że mi jej żal.

„Jakże zdesperowana musi być kobieta, żeby zostać kochanką mego męża” - myślałam.

Nie miał za grosz słodyczy i czułości. Ze swoją opadającą powieką i podłą miną nie mógł uchodzić za przystojnego. Był wiecznie nie w humorze i wcale się z tym nie krył. Nie pełnił też żadnej ważnej funkcji: ot, były pilot drugiej klasy, owszem, kiedyś dość imponujące, ale teraz? Na cóż mogła liczyć? Nawet nie na złe małżeństwo!

Uznałam, że Min nie trzyma się go z miłości, nie ma mowy. Chodziło o coś innego: może chciała zyskać trochę czasu, zamiast od razu pożegnać się z życiem? Tutaj miała gdzie spać i co jeść, reszta nie była istotna. Wojna działała tak na wielu ludzi: umierali ze strachu i za wszelką cenę chwyтали się życia, nie wiedząc nawet, po co.

Pod wieloma względami Min była do mnie podobna. Obie miałyśmy ładną cerę, głupie serca, silną wolę i strach na ramieniu. Oczywiście, różniło nas pochodzenie, całkowicie inne, ale tak naprawdę nie przewyższałam jej w niczym. Tak samo marzyłyśmy o przyszłości, która przyjdzie za dzień, może za dwa, kiedy zaś jutro nadchodziło, chwytałyśmy się szczęśliwej przeszłości, która nigdy nie istniała.

Nie czułam do niej antypatii. Może ją nawet lubiłam, bo jedno trzeba przyznać: była świetną towarzyszką.

Nawet mimo niewyszukanych manier widziałas jej szczerść, którą okazywała w głupi sposób. Nakładała sobie ogromne porcje jedzenia, wychwalając smak pod niebiosa. Podziwiała mój pierścionek i naszyjnik, dopytując się, czy rzeczywiście

zrobiono je ze złota. Chwaliła moje ubrania, pytając, ile kosztowały. Nie zadawała pytań jak niektórzy ludzie, w nadziei, że dostaną w prezencie to, co tak bardzo przypadło im do gustu.

Min nigdy nie narzekała ani nie rozstawiała służących po kątach, wręcz dziękowała im za najdrobniejszą przysługę, nie tak, jak Hulan. Kiedy Danru płakał, proponowała, że weźmie go na ręce. Mówiła do niego w swym rodzinnym dialekcie z północnym akcentem. Pod nieobecność Wen Fu opowiadała mi rzeczy, o jakich przyzwoita dziewczyna nigdy by się nie zająknęła: o dawnych kochankach, dansingach i szanghajskich nocnych klubach, w których bywała i pracowała. Przyznaję, że lubiłam jej słuchać. Podobało mi się, kiedy przewracała oczami i machała rękami: bardzo to było dramatyczne.

- Jestem piosenkarką i tancerką - powiedziała mi pewnego dnia, może dwa tygodnie po moim powrocie. - Ale w przyszłości zamierzam zostać aktorką filmową.

Wydawało mi się, że śni na jawie.

- A jaki wybierzesz pseudonim? - zapytałam z uprzejmości.

Wiedziałam, że wiele aktorek wybiera sobie inne nazwiska, jak moje ulubione Motyl Hu i Śpiewająca Lien.

- Jeszcze nie wiem - odparła i zaśmiała się. - W każdym razie na pewno nie to, które nadali mi w Szanghaju. Kiedy pracowałam w Wielkim Świecie, wszyscy mówili na mnie Gumowa Wróżka. Wielki Świat - znasz to miejsce.

Przytaknęłam. Wraz z Orzeszkiem podsłuchałyśmy kiedyś stryja i jego przyjaciół, jak rozmawiali na podwórzu o tym lokalu. Był to pasaż rozrywkowy, prowadzony przez Francuzów dla zagranicznych turystów. Bardzo podejrzane miejsce, niebezpieczne dla kobiet.

Stryj mówił, że pełno tam dziwnych rzeczy: zdeformowani mężczyźni, bawiący się z pięknymi dziewczętami, zwierzęta, akrobaci, wyrzucający się nawzajem w powietrze, i wszystkie stare zabobony, zamienione w przedstawienie. Żaden szanujący się Chińczyk nigdy nie postawił tam nogi. Stryj winił ten lokal o to, że daje obco-krajowcom dziwne pojęcie o Chinach, zupełnie jakby wszyscy Chińczycy palili opium i rozmawiali z demonami, a wszystkie dziewczęta biegały półnago po domu i śpiewając i tańcząc, podawały herbatę. A teraz proszę: spotykam osobę, która właśnie tam pracowała!

- Mój pokaz miał spore powodzenie - powiedziała Min. - Wychodziłam ubrana od stóp do głów w długą, klasyczną suknię i ciężki stroik na głowie, jak królowa wróżek. - Przeszła po pokoju.

- Wtedy wychodził jeden Francuz, mój szef. Miał na sobie czapkę i szatę uczonego, a oczy podklejone tak, jak to robią obcokrajowcy, chcąc udawać Chińczyków. O tak, coś paskudnego. Do twarzy przyklepał sobie bokobrody, które zwieszały mu się do kolan jak szczurze ogony. - Powoli przeszła na drugą stronę, głaszcząc się po wymaginowanych bokobrodach. - Ach, siostrzyczko - powiedziała, udając starczy głos - gdzie masz tajemną miksturę nieśmiertelności? Chodź, powiedz mi zaraz. Nie chcesz mówić? Może więc trzeba wyciągnąć to z ciebie torturami. - Powoli zsunęła z siebie wymaginowaną suknię. - Miałam na sobie obcisłą bluzkę i krótkie majtki, obcięte tutaj, nad kolanem. Nogi i ramiona wypudrowano mi tak, że wyglądały jak biały popiół. Do tego czerwone pantofle i czarne rękawiczki. - Pokręciła rękami.

Z trudem mogłam to sobie wyobrazić. Jakaż dziewczyna stałaby przed obcokrajowcami w samej bieliźnie?

- Wtedy Francuz stawiał mnie za maszyną tortur, drewnianym, specjalnie zrobionym urządzeniem, dużym jak ten pokój. Wszyscy widzieli, jak wkłada mi głowę w otwór, a ręce i stopy w szczeliny biegnące do rogów pudła. Z widowni widziałam tylko tyle: moją głowę, dłonie i stopy. Trzęsłam głową, kręciłam rękami i nogami, płacząc żałośnie: „Proszę, nie torturuj mnie, błagam o litość”. Później patrzyłam na publiczność i wołałam: „Pomóżcie mi! Na pomoc!” Świetnie mi szło. Umiałam to mówić po francusku, niemiecku, angielsku i japońsku. Czasem klienci bardzo się podniecali i kazali Francuzowi, żeby mnie wypuścił, jednak częściej krzyčili: „Dawaj, dawaj, pospiesz się! Niech zaczną krzyczeć!” Wtedy skrzypek zaczynał grać nerwową melodię, publiczność wychylała się z miejsc, a Francuz pociągał za sznur przymocowany do maszyny tortur. Moje ręce i nogi wyciągały się coraz dalej i dalej wzdłuż szczelin.

Min rozpostarła ręce i nogi, i wyprężyła się tak, że ledwie dotykała siedzeniem krzesła. Zrobiła wielkie, wystraszone oczy. Ja też się przeraziłam.

- Krzyczałam coraz głośniejsze - szepnęła. - Skrzypce grały coraz wyżej, aż wreszcie moje ręce i stopy sięgały rogów pudła, dobre trzy metry od głowy, ciągle machając i wijąc się z bólu! Wreszcie krzyczałam do oprawcy ochryłym szeptem: „Powiem ci! Powiem!” Francuz gaskał się po brodzie i pytał: „Co to jest? Na czym

polega sekret nieśmiertelności?" Wyduszałam z siebie słowo: „Dobroć”. Potem krzyczałam: „To, czego ty nigdy nie osiągniesz”. Załamywałam się i umierałam.

Miała zamknięte oczy i szeroko otwarte usta, zupełnie jak umarła. Gapiałam się na jej zniekształconą bólem twarz.

- Aj-ja! Jakie to okropne. I musiałaś to robić każdej nocy?

Nagle otworzyła oczy i podskoczyła, śmiejąc się do rozpuku.

- To tylko sztuczka, nie rozumiesz? Tak naprawdę ani nogi w czerwonych pantoflach, ani ręce w rękawiczkach nie były moje. Za pudłem stały cztery dziewczyny, każda z ręką albo nogą w szczelinie. Musiały się przesuwać, podczas gdy ja krzyczałam. Rozumiesz? Byłam tylko aktorką, twarzą i krzyzącymi ustami.

Skinęłam głową, próbując dopatrzeć się w tym sensu.

- Oczywiście, byłam bardzo dobra. Przynajmniej raz na tydzień na widowni ktoś mdlał. Jednak po jakimś czasie zaczęło mi się strasznie nudzić. I nie podobało mi się, że tak wielu ludzi klaskało i pokrzykiwało, kiedy wreszcie umierałam. - Westchnęła.

- Odeszłam stamtąd, kiedy dostałam lepszą pracę. Zatrudniłam się w Sincere, wiesz, w tym domu handlowym przy alei Nankińskiej. Byłam jedną z dziewcząt, które śpiewają gościom w restauracji. Ale, rzecz jasna, ta praca szybko się skończyła, już po dwóch miesiącach. Wybuchła wojna i na dom spadły bomby. Poszłam to potem zobaczyć.

Wiedziałam, że Min mówi o bombach, zrzuconych omyłkowo przez nasze Siły Powietrzne.

- Och, co za widok! Stałam w tłumie po drugiej stronie ulicy, przed tym drugim domem towarowym. Z naszego miejsca wyglądało tak, jakby zginęły setki ludzi, coś straszego. Wtedy jakiś urzędnik kazał się rozejść. „Panujemy nad sytuacją! - wrzeszczał. - Nikt nie został zabity! Te ciała? To nie ciała, tylko damska i męska konfekcja”. Tak właśnie mówili. Bomby trafiły tylko w ubrania. - Popatrzyła na mnie. - Widziałam jedno, słyszałam drugie. Zastanawiałam się: czy mam wierzyć oczom, czy uszom? W końcu posłuchałam serca. Nie chciałam myśleć, że widziałam tyle ciał. Lepiej wierzyć, że to tylko złudzenie, tak samo jak moje przedstawienie w Wielkim Świecie.

Zamyśliłam się. Min tak bardzo mnie przypominała. Widziała jedno, słyszała drugie i tak jak ja szła za głosem głupiego serca.

- Zaczekaj chwilę - powiedziała. - Umiem coś takiego, że nie uwierzysz.

I wbiegła szybko po schodach. Wróciła z płytą gramofonową. Nakręciła stary fonograf. Kręciła z całych sił, więc kiedy wreszcie przyłożyła igłę, muzyka popłynęła o wiele za szybko. Min zaczęła kręcić biodrami i pstrykać palcami.

- Właśnie do tego śpiewałam i tańczyłam - powiedziała. - Śpiewałam to w Sincere, zanim zostało zniszczone.

Zaczęła śpiewać i tańczyć, jakby miała przed sobą stuosobową widownię. Była to amerykańska piosenka o miłości. Spostrzegłam, że Min ma słodki głos, brzmiący tak, jakby wiele razy złamano jej serce. Chińczycy lubili taki śpiew. Ramiona falowały jej jak gałęzie na łagodnym wietrze, zwalniając wraz z dobiegającą końca melodią. Była naprawdę niezła!

- Wstawaj, leniuchu! - zawołała nagle. Nakręciła fonograf jeszcze raz i obróciła płytę na drugą stronę. Ściągnęła mnie z krzesła. - Teraz pokażę ci, jak się tańczy tango.

- Ależ nie mogę! - zaprotestowałam, ale tak naprawdę aż paliłam się do nauki.

Widziałam filmy z Ginger Rogers i Fredem Astaire'em. Bardzo mi się podobało, jak Ginger wiruje i odpływa w tańcu. Lubiłam też, kiedy stepowała, szybko, jakby ptak machał skrzydłami.

Ale Min i ja nie tańczyłyśmy w ten sposób. Raz do tyłu, raz do przodu, raz szybko, raz wolno. Przechylała mnie to w jedną stronę, to w drugą, a ja krzyczałam i śmiałam się równocześnie. Tego popołudnia puszczałyśmy tę płytę jeszcze wiele razy. Potem uczyła mnie też innych tańców: walca na trzy, fokstrota i lindy hip-hop. Kucharka i służąca patrzyły na nas i klaskały w ręce.

Ja też nauczyłam ją paru rzeczy. Na przykład, jak się podpisać, jak bez śladu zaszyć dziurę i jak się odpowiednio wysławiać. Właściwie ona sama poprosiła mnie o lekcję dobrych manier po tym, jak pokłóciła się z Hulan.

Hulan zapytała ją, gdzie zamierza mieszkać, kiedy od nas wyjedzie.

- Nie twój interes! - odparowała Min bez namysłu.

Przez cały wieczór Hulan nie patrzyła w jej stronę, udając, że stoi tam puste krzesło. Tak często prychała, że zapytałam ją w końcu:

- Hulan, czy coś ci zgniło?

Potem powiedziałam Min, że jeśli ktoś zadaje pytanie, nie można odpowiadać „Nie twój interes”. To nie brzmi dobrze i zdradza złe wychowanie.

- Niby dlaczego miałabym jej odpowiedzieć? To ona ma złe maniery, skoro pyta.

- Nawet jeśli tak, to następnym razem uśmiechnij się i powiedz: „Jeżeli o to chodzi, to nie powinnaś sobie mną robić kłopotu”. Znaczy to samo, co „nie twój interes”. Nawet więcej.

Powtórzyła to zdanie kilka razy.

- Och, brzmi świetnie! - orzekła, śmiejąc się głośno. - Czuje się jak jakaś dama.

- A kiedy się śmiejesz - dodałam - zasłaniaj ręką usta, o tak, żeby nie wyszczerzać zębów. Wcale nie wygląda dobrze, jeśli śmiejesz się jak małpa, pokazując wszystko, co masz w środku.

Roześmiała się znowu, tym razem zasłaniając usta.

- Natomiast jeśli zostaniesz aktorką, powinnaś się nazwać panna Złote Gardło. Twój głos brzmi naprawdę szlachetnie.

Skinęła głową, a ja pokazałam jej, jak napisać to nowe imię.

Pewnego dnia, może po trzech czy czterech tygodniach, ciocia Du przechodziła koło mego pokoju i zatrzymała się przy drzwiach na dłużej niż zwykle. Pytała mnie o zdrowie, a także o zdrowie mojego męża i Danru. Wreszcie musiałam zaprosić ją na herbatę.

Siedziałyśmy przy stole bardzo długo. Najpierw rozmawiałyśmy uprzejmie o samopoczuciu jej, Hulan i Jiaguo. Potem ciocia zamilkła i głośno popijała herbatę.

- Muszę ci coś powiedzieć - oznajmiła nagle, westchnęła i zamilkła. - Dobra z ciebie kobieta - podjęła, znów urwała i zamyśliła się. - Naprawdę okazujesz ludziom za dużo zaufania. - Urwała znowu i jęknęła.

- Aj-ja! Spójrzcie tylko, jakaś ty naiwna, aż do głupoty - powiedziała, kiwając palcem. - Czy wiesz, co twój mąż wyprawia z tą Min?

Jak mogłam przyznać, że o wszystkim wiem? Patrzyłam na nią bez wyrazu. Ciocia Du znów westchnęła.

- Widzę, że trzeba wyłożyć ci to jaśniej. Co za prostoduszność. Posłuchaj, *syau ning*. Zabawiają się tutaj już od bardzo dawna. Ty wychodzisz, on wchodzi jej do łóżka. Ty zamykasz oczy, ona otwiera ramiona i nogi. Teraz zaszła w ciążę, a ty o niczym nie masz nawet pojęcia. Ona sądzi, że zostanie jego konkubina. Twierdzi, że Wen Fu już jej to obiecał. Mówiła o tym już wszystkim oprócz ciebie. No i co ty

poczniesz? Pogodzisz się z tym, kiedy już będzie za późno? Zaopiekujesz się swoim dzieckiem i dzieckiem konkubiny twego męża? Nie daj się już ogłupiać, *syau ning*, otwórz oczy.

- No dobrze, teraz już wiem, ale co ja poradzę? Nie powstrzymam męża. Znasz go przecież.

- Jeśli nie możesz powstrzymać męża, możesz powstrzymać dziewczynę. - Odstawiła filiżankę i wstała. - Bardzo mi przykro, że ci to powiedziałam, ale jestem już stara, a pewne rzeczy nie mogą czekać, póki umrę.

Kiedy wyszła, rozmyślałam o tym, jak to wszyscy wszystko wiedzą. Teraz pewnie oczekują, że coś powiem, coś zrobię, zacznę krzyczeć na Min: „Co za hańba! Zabieraj swój bezwstyd i wynoś się z mego domu!”

Potem przyszło mi na myśl, że jej ciąża to wspaniała wymówka, żeby opuścić Wen Fu i skończyć z tym małżeństwem. Jeśli chce Min jako konkubinę, to równie dobrze może się z nią ożenić! W ten sposób zadowolili się wszystkich.

Tego dnia zaplanowałam całą rozmowę. Nie zamierzałam się kłócić ani rzucać oskarżeń. Poproszę o rozwód i podpisanie przy dwóch świadkach dokumentu stwierdzającego, że nie jesteśmy już mężem i żoną. Potem zabiorę Danru i resztę swojego posagu, wsiądę do pociągu jadącego na południe, złapię łódź w Hajfongu i pojedę do Szanghaju, kiedy tylko zrobi się bezpiecznie. Może to nie taki wielki wstyd. Wojna zmieniła pojęcie o moralności. Nikt nie zadawał wielu pytań kobiecie, która wyjechała z mężem, a wracała bez niego. Jakie to szczęście, że dzięki Min mam tę wymówkę!

- Muszę pokazać ci coś po drugiej stronie jeziora - powiedziałam Wen Fu, kiedy tylko wrócił do domu; mówiliśmy tak zawsze, kiedy wokół słuchało za dużo uszu.

Usiedliśmy na ławce nad jeziorem i pokazałam mu własnoręcznie napisany dokument, w którym oznajmiał, że się ze mną rozwodzi. Bez dalszych wyjaśnień powiedziałam:

- Odejdę. Ty zostań i ożeń się z nią. Hulan i Jiaguo mogą poświadczyć i podpisać.

Powiedziałam tylko tyle. Żadnych krzyków i kłótni.

Sądziłam, że będzie wdzięczny, przecież pozwalałam mu się z nią ożenić. Wiesz, co zrobił? Rozsiadł się i przyjrzał dokumentowi.

- Nie ja to napisałem - powiedział spokojnie. - Niepotrzebny mi rozwód.

Podarł papier na kawałki i wyrzucił do jeziora. Wiedziała, że nie robi tego, by udowodnić, że mnie kocha, ani też że żałuje tego, co zrobił. Chciał tylko pokazać, kto tu rządzi. Nie mam wątpliwości, bo kiedy podarł już moją szansę, pogroził mi palcem i dodał ochryplym głosem:

- Kiedy zechcę się rozwieść, to sam ci powiem. Nie będziesz mi rozkazywać.

Następnego ranka ciocia Du złożyła mi gratulacje, mówiąc, że Min już nie ma; słyszała, jak wychodzi wczesnym rankiem. Jakże mi było przykro! Chciałam pobiec i powiedzieć Min, że nie mam z tym nic wspólnego. Nie prosiłam, by odeszła. Nie żywiłam do niej nienawiści. Siedziałam w pokoju samotna i smutna. Martwiłam się, że odeszła, lecz moje pobudki były także bardziej egoistyczne: straciłam szansę.

Po południu Hulan opisywała mi wzór sukni, którą sobie szyła, a ciocia Du rozprawiała o epidemii cholery: mówiła, jak to uciekinierzy bali się szczepionek i jak pewien człowiek zmarł, bo za pieniądze zgodził się przyjąć szczepionki za dwudziestu ludzi.

Siedziałam na krześle, robiąc na drutach, i udawałam, że słucham, ale tak naprawdę nie miałam serca do takich rozmów. Patrzyłam na fonograf i płytę Min.

- Ta Min zostawiła trochę swoich rzeczy - powiedziałam wreszcie na głos. - Szkoda, że nie wiem, dokąd poszła.

Hulan natychmiast udowodniła, jak szybko krążą plotki.

- Żona Zhanga z rynku mówiła, że Min poszła do zajazdu Pod Dziewięcioma Smokami koło stacji kolejowej.

Tam też znalazłam ją następnego dnia. Był to bardzo tani pensjonat z wąskimi pryzkami i deskami zamiast stołów. Min zachowywała się bardzo cicho, może się mnie wstydziła. Przepraszyła za wszystkie kłopoty i podziękowała za płytę. Potem wzruszyła ramionami.

- Czasami spodziewasz się jednego, a tymczasem rzeczy toczą się zupełnie inaczej - powiedziała.

Zapytałam, za ile miesięcy spodziewa się dziecka. Wyglądała na zażenowaną.

- Jeżeli o to chodzi, to nie powinnaś sobie robić mną kłopotu.

- Ja nauczyłam cię tych słów. Nie musisz ich używać przeciwko mnie - odparłam, wyciągając rękę z pieniędzmi.

- Problem już rozwiązany. Zrobiłam to dziś rano. Dobrze poszło, czysto, żadnego krwawienia.

Nadal trzymałam pieniądze. Uśmiechnęła się, wzięła je i dziękując, schowała do pudełka. Zanim wyszłam, dodałam, że zawsze podobał mi się jej taniec i śpiew.

Jakiś tydzień później Hulan powiedziała:

- Wiesz, co się stało z tą Min? Wyjechała już z następnym mężczyzną, mówiąc wszystkim, że to jej brat. Taka szybka! Cóż to za dziewczyna? Ilu jeszcze wynajdzie krewnych?

Kiedy o tym usłyszałam, wcale nie pomyślałam o niej źle, choć oczywiście jej normy moralne różniły się od moich.

„Dobrze - pomyślałam - teraz nie muszę już się o nią więcej martwić. Jej serce szybko zdrowieje”.

Bogiem a prawdą, to ona wybrała lepszy los. Wyjechała, a ja zostałam z Wen Fu. Czasami śniło mi się, że stało się odwrotnie: to ja byłam Min i wyjechałam do Szanghaju, by pracować w Wielkim Świecie. Moje życie do złudzenia przypominało tamtą torturę, rozciągającą ciało cal po calu, aż wreszcie nie mogłam się już rozpoznać.

XVII

Cztery bramy

Przez następny rok Wen Fu nie zmienił się ani trochę. To ja się zmieniałam, krok po kroku. W oczach Hulan i innych wyglądałam pewnie tak samo, bo dobrze ukrywałam prawdziwe uczucia. Udawałam, że dziecko pochłania mnie bez reszty, nie zostawiając czasu na inne zmartwienia.

W lecie tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego często przesiadywałam z Danru na podwórzu, czekając na błyskawice i pioruny.

- Słuchaj! Bum, grzmot. A teraz czekaj, patrz, patrz! Aaa! Ładne!

Miał ledwie dziesięć miesięcy, a już umiał klaskać w rączki.

Tego lata co dzień z rana było ciepło, a zanim zrobiło się zbyt gorąco, przychodziły grzmoty, po czym po południu zawsze spadał deszcz. Ziemia zaczynała pachnieć, a służąca biegła zdejmować pranie ze sznura.

Może brzmi to tak, jakby moje życie stało się łatwe - wszystko spokojne i leniwe, nic do roboty, zupełnie jak na beztróskich wakacjach.

Jednak tak naprawdę zabawa z Danru była jedyną moją przyjemnością w ciągu dnia. Z pomocą tego dobrego uczucia próbowałam zapomnieć o wszystkim innym.

Danru był taki dobry i rozumny. Pewnie każda matka mówi tak o swoim dziecku, ale pomyśl tylko: nie skończył jeszcze roku, a na pytanie „gdzie mama?”, śmiejąc się, pokazywał na mnie, na „gdzie Danru?” z uśmiechem klepał się po brzuszku, a słysząc „gdzie baba?”, pokazywał na Wen Fu, ale już się nie uśmiechał.

Danru wierzył we wszystko, co mówiłam. Jeśli czasem budził się, płacząc z głodu, pocieszałam go: „Nie płacz, nie płacz, już schodzę na dół przynieść ci coś do jedzenia”. Kiedy wracałam, stał w łóżeczku i nie płakał.

Tak więc czułam, że Danru wyrośnie na dobrego człowieka, kogoś łagodnego, ufego i dbałego o innych. Nie przypominał Wen Fu ani trochę. Nie miało znaczenia, że Wen Fu to jego ojciec.

Odkąd Wen Fu przegnał Min, wrócił do mojego łóżka, ale sypiał też z wieloma innymi kobietami: miejscowymi, prostytutkami, a nawet z pewną nauczycielką. Myślę, że wszystkie byłyśmy dla niego takie same, jak mebel do siedzenia albo para

pałeczek do codziennego użytku. Jeśli zaprotestowałam choć jednym słowem, wybuchala wielka kłótnia, zwykle podczas kolacji. Próbowałam trzymać usta na kłódkę, żeby w domu panował spokój, ale w środku walczyłam ze sobą bez ustanku. I zawsze w końcu coś mówiłam.

Pewnego razu poszło o jedno słowo. Wen Fu poprosił kucharkę o swoje ulubione danie, wieprzowinę z rodzajem słodkiej kapusty. Ja również lubiłam tę potrawę, ale tego lata kapusta miała posmak złej wody, którą ją podlewano. Wen Fu zapytał, jak mi smakuje.

- Gorzkie - odparłam uczciwie.

Następnego wieczora kazał kucharce, by przygotowała dla mnie to samo, nic więcej. Uśmiechnął się i zapytał znowu:

- A teraz jak ci smakuje?

Odpowiedziałam tak samo, jak poprzednio. Dzień po dniu padało to samo pytanie i ta sama odpowiedź, a następnego wieczora pojawiała się to samo danie. Musiałam jeść gorzką kapustę albo obyć się smakiem. Nie poddałam się jednak. Poczekalam, aż znudzi mu się ta zabawa, i po dwóch tygodniach mój żołądek okazał się mocniejszy od jego humorów.

Pewnie uważasz, że to głupie - taki upór przy niedobrej kapuście. Mogłam skłamać i powiedzieć, że dziś jedzenie smakuje wyśmienicie. Ale gdybym nie walczyła, czyż nie przyznałabym tym samym, że właściwie przestałam już żyć?

Nasze małżeństwo robiło się coraz gorsze. Pamiętam, że podobnie działo się z innymi rzeczami w kraju. Słyszałam rozmowy przy kolacji albo kiedy piloci grali w madzonga. Mówili o wojnie jak o rozprzestrzeniającej się epidemii, która zarażała ludzi kłamstwem, oszustwem i nienawiścią.

Moim zdaniem wszystko zaczęło się przed rokiem, kiedy nagle odcięto Szosę Birmańską, tak że nie mogły więcej przejeżdżać ciężarówki z zaopatrzeniem. Ludzie krzykali: „Jak samoloty mają latać bez paliwa?”, „Jak ma nas bronić armia bez karabinów?” Wszyscy czuli się bezradni.

Wściekłość ogarniała nas także z tego powodu, że to nie Japończycy zamknęli drogę, tylko Brytyjczycy. To oni sprawowali tam kontrolę i oni rozpoczęli blokadę, bo nie mogli się zdecydować, który rząd popierają: chiński czy japoński, japoński czy chiński. Decyzja zabrała im trzy miesiące. Kiedy wreszcie zadeklarowali, że popierają nas, Chiny, kto jeszcze chciał im wierzyć? Udawaliśmy oczywiście, że witamy ich z

otwartymi ramionami. Bo czy mieliśmy jakiś wybór? Nie chcieliśmy, żeby znowu zamknęli szosę.

Amerykanie wcale nie byli lepsi. Jednego dnia paplali, jacy to z nas dobrzy przyjaciele, „chińscy kumple”, mówili. Nawet Chennault wrócił latem, obiecując dostarczyć więcej samolotów do obrony. Jednak następnego dnia słyszeliśmy, że amerykańskie przedsiębiorstwa robią wielkie interesy z Japończykami, sprzedając im benzynę i blachę do produkcji samolotów, tych samych, które bombardowały całe Chiny. Jakbyś się poczuła na taką wiadomość? Ginęło tylu pilotów, wśród nich wielu naszych przyjaciół. Nie było już połowy trzeciej klasy, nie żyła już także większość szóstej i siódmej klasy, sami młodzi chłopcy. Wieczorami piloci opowiadali historie ich śmierci, z każdego robiąc bohatera. Och, aleśmy płakali ze smutku i gniewu.

Ale nie to jeszcze było najgorsze. Najgorsze nadeszło, kiedy nasz własny chiński rząd pokłonił się Japończykom. Zrobił to osobiście zastępca przywódcy Kuomintangu. Powiedział, że Chiny powinny się poddać i poprzeć nowy rząd japoński, zupełnie jakby kazał nam odkopać groby przodków i rzucić kości psom. Jak on mógł? Niestety wielu powtarzało jego słowa i za każdym razem traciliśmy trochę nadziei. Czy walczyliśmy tylko po to, żeby teraz doznać takiego upokorzenia?

Oczywiście, na rynku organizowano często wiece, żeby przeklinać zdrajców i podtrzymywać wszystkich na duchu. Pewnego dnia akurat się tam znalazłam. Oficer w randze kapitana darł się przez megafon, że lud chiński nigdy się nie podda.

- Musimy chcieć pobić Japończyków - powiedział - nawet jeśli przyjdzie nam poświęcić ostatnią kroplę krwi Hanów.

Bardzo dziwne stwierdzenie, bo oprócz mnie i Hulan nie znalazłabyś w tym tłumie ani pół kropli krwi Hanów. Zgromadzeni pochodzili z miejscowych plemion: Miao, Bai, Yi, Hui, a do tego trochę Birmańczyków, innych biedaków z gór i uciekinierów. Zmuszono ich do zejścia z gór na obrzeża miasta, żeby pomagali przy wojnie i oddawali swych synów na żołnierzy i robotników. Traktowano ich jak najniższą kastę, niemal jak zwierzęta pociągowe, a mimo to stali na rynku, słuchając wygłaszanych w obcym języku patriotycznych słów o Chińczykach Han. Klaskali i wznosili okrzyki.

Przypuszczam, że życie w górach nie głaaskało ich po głowach. Przypomniałam sobie chińskie przysłowie: „Jeśli nie możesz zmienić swego losu, zmień podejście”. Może właśnie do niego się zastosowali? Nie obwiniali już złego losu i nie przyglądali

się własnym nieszczęściom. Uwierzyli, że także należą do ludu Han i mają teraz o co walczyć. Powiedziałam sobie: patrz na nich i ucz się.

Od tamtego dnia zmieniałam się po trochu. Nie uważałam, że jestem gotowa na śmierć, jeszcze nie. Za to myślałam tak: „Jeśli pozostało mi niewiele życia, to i małżeństwo nie będzie długo mi doskwierać. Natomiast jeżeli nie umrę, to może znajdzie się droga ucieczki”.

W tym samym czasie Hulan także zaczęła się zmieniać. Może nie tyle zmieniło się jej podejście, ile apetyt. Z każdym dniem jadła coraz więcej.

Z początku sądziłam, że zaszła w ciążę i trzyma to w sekrecie. Zawsze chciała mieć dzieci, wcale się z tym nie kryła. Za każdym razem, kiedy narzekałam na Wen Fu, wojnę albo tęsknotę za domem, ucinała:

- Gdybym miała takiego synka jak twój, przełknęłabym wszystko z pocałowaniem ręki.

Synek się nie pojawił, a ona przęłykała coraz więcej. Była wiecznie głodna. Nie chcę przez to powiedzieć, że ogarniał ją specjalny apetyt na cierpkie tofu albo wyśmienitą, tłustą wieprzowinę i że mówiła sobie: „O, na to właśnie mam ochotę”. Nie, Hulan wystarczyło, że patrzyła na żebraków, którzy każdego dnia napływali setkami i tysiącami do miasta. Widziała, jak siedzą z otwartymi ustami, gotowi złapać choćby muchę; z głodu została z nich sama skóra i kości. Wydawało jej się pewnie, że niedługo też tak będzie wyglądać, jeżeli w porę nie zadba o zapasy.

Pamiętam, że gapiła się zwłaszcza na opartą o ścianę młodą dziewczynę, która żebrała przy drodze do starego miasta. Hulan patrzyła na nią, a ta nie odwracała świdrującego wzroku.

- Czemu się tak na mnie gapi? - spytała Hulan. - Wygląda jak zagłodzone zwierzę, które chętnie by mnie zjadło.

Za każdym razem, kiedy koło niej przechodziłyśmy, Hulan twierdziła, że jej cień robi się coraz cieńszy. Wydaje mi się, że tak naprawdę widziała dawną siebie w swojej wiosce. Właściwie jestem tego pewna, bo któregoś razu opowiadała mi o swojej rodzinie i o tym, jak kiedyś mało nie umarli z głodu.

- Rzeka wylewała co roku, czasem tyle, co nic, ale pewnego razu przysłała taka powódź, jakby ktoś przewrócił olbrzymi czajnik. Kiedy ta cała błotnista woda pokryła nasze pola, nie zostało nam nic do jedzenia prócz suszonych placków z sorgo. Nie mieliśmy nawet dość czystej wody, żeby ugotować je na parze, więc jedliśmy suche i

twarde. Rozmiękczyliśmy je własną śliną. Matka wszystko wydzielała: niewiele dla chłopców i dwa razy mniej dla dziewczynek. Pewnego dnia ogarnął mnie taki głód, że ukradłam cały placek i zjadłam go sama. Kiedy matka to odkryła, spuściła mi łanie. „Ty samolubna dziewucho! - krzychała. - Żeby samej zjeść cały placek!” I nie dała mi nic jeść przez trzy dni. Brzuch bolał mnie tak, że płakałam na cały głos. A wszystko za mały placek z sorgo, tak twarde, że można było połamać sobie zęby.

Pomyślałabyś pewnie, że przez pamięć o tych twardych plackach Hulan wrzuci kilka monet albo trochę jedzenia do miski żebraczki. Ja to robiłam. Nie zawsze, ale Hulan nie dała jej nic ani razu. Zamiast tego ładowała coraz więcej jedzenia do własnych ust. Gromadziła tłuszcz tak samo, jak niektórzy gromadzą złoto albo składają pieniądze na rachunku bankowym, żeby mieć coś na czarną godzinę. To właśnie mam na myśli, mówiąc, że Hulan zmieniła podejście. Kiedyś była hojna, ale teraz, na widok niedoli innych, przypominała sobie dawny los i to, co może ją jeszcze czekać.

Tego lata Wen Fu i Jiaguo wyjechali do Czungcingu. Jiaguo powiedział, że szkółą tam żołnierzy do obrony nowej stolicy. Nie wiedział, kiedy wróci; może za dwa, trzy miesiące.

Zanim wyjechali, mój mąż chełpił się, że dostał bardzo ważne zadanie: powierzono mu komunikację radiową, żeby armia i lotnictwo wiedziały z góry, kiedy nadlatują japońskie samoloty. Kiedy to mówił, pomyślałam sobie: „Że też Siły Powietrzne powierzają całą łączność człowiekowi, który wiecznie kłamie”. Cieszyłam się, że wyjeżdża.

Po ich wyjeździe Hulan zaczęła się zamartwiać i słuchać wszystkich plotek.

- Słyszałam, że Japończycy mają zamiar zrobić niedługo nalot na Czungcing. Może też na Kunming - powiedziała pewnego dnia i wzięła się do gotowania wielkiego obiadu.

Kiedy słyszała pioruny, wybiegała na dwór i patrzyła w niebo, jakby się spodziewała, że z chmur zaczną spadać samoloty.

- Zanim zaczniesz się przyglądać, musisz najpierw posłuchać - mówiłam. - Burza nadciąga zawsze znad gór birmańskich na zachodzie. Jeśli mają nadlecieć bombowce, to pojawią się z północy albo ze wschodu.

- Z Japończykami nigdy nic nie wiadomo - odpowiadała z przekonaniem. - Oni nie myślą tak samo jak Chińczycy.

Potem wybiegała na dwór i patrzyła w niebo, jakby chciała udowodnić, że się myłę.

Pamiętam szczególnie dobrze jeden raz. Siedziałam właśnie w kuchni, kąpiąc Danru, kiedy usłyszałam jej krzyki:

- Nadlatują! Już nie żyjemy!

Podniosłam Danru, zalewając sobie całą sukienkę, i wybiegłam, żeby popatrzeć, co też Hulan pokazuje. Było to stado czarnych ptaków, unoszących się w takim samym kluczu jak myśliwce. Roześmiałam się z ulgą.

- Ptaki - powiedziałam. - Jedyne, co mogą spuścić nam na głowę, to odchody.

Hulan się obraziła.

- Czemu się ze mnie śmiejesz?

- Wcale nie z ciebie.

- Widziałam, że się śmiejesz.

- Oczywiście, że tak. Powiedziałas mi, że już nie żyję. Wybiegam, widzę, że żyję, widzę ptaki. Dlatego się śmieję.

- Wyglądają zupełnie jak samoloty, nawet teraz. Sama popatrz. Każdy mógł się pomylić.

Według mnie ptaki wyglądały jak ptaki. Wtedy przyszło mi do głowy, że Hulan pogorszył się wzrok, chociaż zwykle to mnie obwiniała, że źle widzę.

Z początku usiłowała zbyć wszystko żartem. Na przykład gdy podałam jej druty, które przed chwilą odłożyła, a potem nie mogła znaleźć, zaśmiała się, mówiąc, że jakiś duch je połknął, a potem wypluł. Kiedy posiała je następnym razem, zasepiła się i bąknęła, że to pewnie Danru wziął je i położył gdzie indziej.

Ciekawe, co to za uczucie przeżyć całe życie bez jednej jasnej myśli, nigdy nie dostrzegając własnych błędów. Potem się zdenerwowałam - niby z jakiej racji Hulan obwinia mego syna za własne roztargnienie? Dlaczego krytykuje mnie za to, że sama pomyliła samoloty z ptakami? Przy następnych zakupach zabrałam ją do sklepu z okularami.

Było to niewielkie pomieszczenie w nowszej części rynku, która rozwinęła się po wybuchu wojny. Sprzedawca miał kilka par na małym stoliku i całe stosy w

różnych koszach. Okulary na stole służyły tylko do zbadania, jakich szkieł potrzebujesz.

Hulan nałożyła pierwszą parę, spojrzała na Danru i na mnie i wybuchnęła śmiechem.

- Och, zupełnie jak wtedy w chmurach na tej górskiej drodze. Kręci mi się od tego w głowie.

Danru patrzył na nią, cichy i zmartwiony.

- Zastanawiasz się, dokąd ciocia poszła? - zapytałam. Uśmiechnął się w odpowiedzi i ściągnął jej okulary z nosa.

Śmialiśmy się wszyscy razem, kiedy Hulan przymierzała trzy inne pary, ale przy czwartej ucichła. Nie pozwoliła Danru ich zabrać. Spojrzała w górę, potem w dół, z okularami i bez. Podeszła do drzwi i popatrzyła na kupców po drugiej stronie ulicy.

- Widzę piękny szal - oznajmiła. - Widzę fasolkę, którą zamierzam kupić.

Sprzedawca bardzo się ucieszył. Pokazał Hulan, z którego koszyka ma wybierać. Niektóre pary miały złote oprawki, inne wyglądały na zrobione z taniego drutu. Potem dojrzałam, że niektórym brakuje zauszników, a z innych starło się złoto, ukazując pod spodem szary metal.

- To używane okulary - powiedziałam do sprzedawcy.

- Oczywiście, że używane - odparł. - Gdzie dostanie dziś pani nowe okulary? Cały metal zużywają na wojnę, a nie na takie rzeczy. Proszę, panienko - zwrócił się do Hulan. - To szczególnie dobra para. Brytyjska. Te, które pani mierzy, kosztują mniej, ale muszę uczciwie przyznać, że są japońskie.

Hulan ani Danru nie przejęli się ani trochę, cali pochłonięci wyciąganiem różnych oprawek. Nie widziałam nic dobrego w koszach okularów po zmarłych.

Hulan zdecydowała się na okrągłe szkła bez oprawek, połączone na nosie cienkim drucikiem, z połączanymi zausznikami. Wyglądały bardzo staromodnie i wcale nie twarzowo. Powiedziałam jej, że wygląda jak nauczycielka, ale tylko się z tego ucieszyła.

Szłyśmy ulicami, a Hulan wciąż zdejmowała okulary, patrzyła to tu, to tam i wkładała je z powrotem.

- Widzisz to? - pytała.

- Koszyk czerwonej papryki.

- A tamto? - zapytała, pokazując dalej.

- Mężczyzna sprzedaje węgiel drzewny.

- A za nim?

Zupełnie jakby badała mi wzrok!

- Wojskowa ciężarówka i paru żołnierzy.

Nadal przyglądała się wszystkim rzeczom na rynku, raz w okularach, raz bez. Kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyłam, że Danru też przygląda się żołnierzom przy ciężarówce. Zaciekawilo mnie, co też może widzieć takie małe dziecko.

Żołnierze byli młodzi, nowo zaciężni, co można było poznać po niedopasowanych mundurach. Byli dumni i podnieceni. Gorliwie przyglądali się swoim butom i ciężarówce, którą zaraz mieli ruszyć do miejsc nie mieszczących im się nawet w wyobraźni. Mieli w sobie tę samą dziecinną ufność co Danru.

Starszy mężczyzna rzucił kilka ostrych komend i młodzi żołnierze stanęli prosto, usiłując zachować powagę. W dwie sekundy wskoczyli do ciężarówki i stojąc przy drewnianych poręczach, wyglądali na drogę. Silnik zapalił.

Teraz dojrzałam matki, babki i siostry, płaczące i machające do nich z drugiej strony ulicy. Wystroiły się w turbany i sukienki o jasnych wzorach, wyraźnie najlepsze ubrania, jakie miały. Przyszły tu z gór, żeby się pożegnać. Niektórzy żołnierze wciąż się uśmiechali i machali w podnieceni, ale zobaczyłam, że jeden z nich ma na twarzy wypisany strach, drży mu dolna warga i z całych sił powstrzymuje płacz, zupełnie jak mały chłopiec, którym w istocie był. Ciężarówka ruszyła, a ja patrzyłam na niego, zastanawiając się, dokąd jedzie i co się z nim stanie. Pewnie myślał o tym samym.

- Widzisz to? - zapytała znów Hulan.

Wskazywała na koszyk pełen moich ulubionych grzybów. Żołnierze szybko wylecieli mi z głowy.

Tego ranka Hulan została ekspertem od grzybów. Teraz, kiedy widziała wszystko wyraźnie, błyskawicznie wynajdywała wszelkie niedoskonałości: a to szramę, a to rozmiękły kawałek kapelusza, a to ułamaną nóżkę. Na szczęście grzybów było pod dostatkiem, w wielu różnych rodzajach i wszystkie świeże; w ciemnych szczelinach pełnych wilgoci wzgórz otaczających Kunming rosły przez cały rok.

Wybrałam kilka z długimi nóżkami i dużymi kapeluszami. Nie pamiętam, jak się nazywały, ale ciągle mam w ustach ich smak: słone, ugotowane na gorącym oleju, tak delikatne i lekkie, że mogłaś zjeść i kapelusz, i nóżkę, niczego nie zostawiając.

Miałam na nie wielką ochotę. Wyobrażałam sobie, jak ugotuję je wieczorem z ostrymi papryczkami, tymi, które moczy się w oleju tak długo, aż czernieją. Wciąż jeszcze marzyłam o smażonych grzybach i sięgałam właśnie po słoik papryki, kiedy nagle zawyły syreny.

- Dang! Dang! Dang! - krzyczały bez ustanku głośniki. - Uwaga! Uwaga!

Wszyscy zachowali się tak samo, jak wtedy w Nankinie, gdy z nieba poleciały ulotki. Schwyciłam Danru, ale upuściłam wszystko inne: grzyby i słoje papryki. Inni ludzie też rzucali swój dobytek na ziemię. Wszyscy biegliśmy, krzycząc i przepychając się, w stronę bram miasta, bo tak polecono nam z głośników: „Biegnijcie do najbliższej bramy i uciekajcie z miasta!”

- Gdzie? Która jest najbliższa? - krzyczano.

Hulan wsadziła okulary na nos.

- Tędy! - krzyknęła, pokazując na południe.

- Ta jest bliżej - odparłam, pokazując na północ.

- Nie ma czasu na kłótnie.

- Dlatego mówię, że na północ. Jeżeli się pospieszymy, to zdążymy na czas - i zaczęłam biec w stronę północnej bramy.

Po chwili zobaczyłam, że Hulan biegnie obok mnie. Biegliśmy wciąż jeszcze, kiedy nadleciały japońskie samoloty, zarówno bombowce, jak i myśliwce. Z ziemi widać było, jak nadciągają. Wiedziałyśmy, że piloci też widzą naszą bieżącą. Mogą zobaczyć, jak bardzo się boimy. Mogą zdecydować, na którą część miasta spuścić bomby i których ludzi zabić.

Widziałam samoloty coraz bliżej i gdyby nie to, że nie mogłam złapać tchu, zawołałabym do Hulan: „Widzisz, nadlatują ze wschodu, tak jak ci mówiłam”.

Nagle, jak jeden mąż, samoloty zawróciły. Poleciały w inną stronę, a my przestaliśmy biec. Po kilku sekundach usłyszeliśmy jedną, potem drugą eksplozję. Ziemia zatrzęsa się trochę i... już było po wszystkim. Nie zgineliśmy. Zobaczyłam dym i kurz unoszący się z południowo-wschodniej części miasta. Danru klaskał w rączki.

Kiedy syreny zamilkły, wszyscy ruszyli z powrotem. Ludzie dookoła dyskutowali w podnieceniu, gratulując sobie nawzajem.

- Co za szczęście, co za szczęście!

Niebawem znów znalazłyśmy się na rynku, który kipiał życiem jeszcze bardziej niż zwykle. Wszyscy, którzy uniknęli śmierci, zdecydowali się nagle na kupno dodatkowego kawałka mięsa albo pary butów; nagle nie traktowali już tego jak luksusu, bo przecież wraz z następnym wyciem syren mogli postradać życie.

Wróciłyśmy do tego samego handlarza grzybów, które tak nam zapachniały. Powiedział nam, że niczego nie stracił, wszystkie towary leżą na miejscu, nie tknięte, nie rozkradzione. Pogratulowałyśmy mu, a on zaoferował nam specjalną cenę. Wszyscy poczuli się hojni.

- Jej synek jest taki bystry - powiedziała Hulan, pokazując na Danru. - Nie ma nawet roku, a wcale nie płakał, kiedy wyły syreny. Kiedy spadły bomby, myślał, że to tylko piorun. Kręcił główką, czekał na błyskawicę, a jak wszyscy podnieśli krzyk, zaczął klaskać.

Byłam bardzo dumna, słysząc jej słowa. Uniosłam Danru w powietrze, żeby go rozśmieszyć. ^

- Jaki z ciebie dobry mały pilot.

- Jakie dobre dziecko! - zawtórowała Hulan.

- Taki bystry!

- Taki bystry!

Szłyśmy do domu, całą drogę chwając Danru, ciesząc się, że udało nam się uciec i że ubiliśmy potem takie świetne interesy na targu.

Wieczorem uczciłyśmy pierwsze bombardowanie wielką kolacją i całym morzem pięknie pachnącej herbaty. Ciocia Du i służące śmiały się serdecznie, opowiadając po raz dziesiąty, gdzie stały albo siedziały, kiedy rozległo się wycie syren. Za dziesiątym razem historie zrobiły się bardzo śmieszne i wszystkie popłakałyśmy się ze śmiechu.

- Znosiłam po schodach pełny nocnik - mówiła służąca. - Dang! Dang! Dang!, a potem bum! bum! bum! Cała podłoga zbombardowana śmierzącym nieszczęściem!

- Myślisz, żeśmy się bały? - zawołała ciocia Du. - Z tasakiem w ręku goniłam właśnie kurczaka, a za chwilę kurczak gonił mnie!

Na to Hulan:

- Stałyśmy tam, Weiwei i ja, kłócąc się, w którą stronę biec. Uwierz mi, że kiedy bomby świszczą ci nad głową, nogi wcale nie chcą się kłócić.

Dwa dni później bombowce wróciły. Znowu biegliśmy do bramy i znowu wróciliśmy do domu bez jednego draśnięcia. Czułyśmy, że mamy szczęście, ale tym razem trochę inne. Wieczorem świętowałyśmy, choć już nie tak głośno, opowieści zaś pozostały zabawne, ale nikt nie śmiał się już do łez.

Kilka dni potem ponownie spadły bomby. Nie było już żadnych żartów i śmiechów. Rozmawiałyśmy ściszymi głosami. Ciocia Du słyszała, że żona naszego znajomego została ciężko ranna. Hulan zastanawiała się, czemu nasze lotnictwo nie odpowiada atakiem. Miała nadzieję, że nasi mężowie wkrótce powrócą z Czungcingu. Zauważyłam, że japońskie samoloty zawsze nadlatują ze wschodu.

- Zawsze ze wschodu - przytaknęła ciocia Du.

Tak właśnie było. Samoloty zjawiały się mniej więcej trzy razy w tygodniu, zawsze rano. Nie wiem, czemu Japończycy wybierali ranki, może bez powodu. Dla nich to tylko kolejne zadanie na liście: zbombardować rano Kunming, Czungcing po południu. Również dla nas bomby stały się częścią życia.

Oczywiście na dźwięk syren wciąż ogarniał nas strach. Teraz jednak ostrożnie odkładałyśmy zakupy, pamiętając, gdzie je kładziemy, żeby potem długo nie szukać. Ciocia Du upewniała się, że nie zostawia garnków na kuchni.

- Nie ma sensu ratować życia tylko po to, żeby wrócić do spalonego domu - mawiała.

Hulan łapała ustawioną przy drzwiach torbę z jedzeniem. Danru, gotowy do drogi, wyciągał do mnie ramiona. Potem szliśmy szybko, lecz z powagą, jakbyśmy spieszyli się na pogrzeb, mając nadzieję, że nie chodzi o nasz własny.

Czasami szliśmy w stronę bramy północnej, czasem wschodniej. Niekiedy mijaliśmy domy zniszczone podczas nalotów w zeszłym tygodniu: kilka budynków zrównanych z ziemią i inne dookoła, stojące wciąż prosto, ale bez słomianych dachów, które zwiały jak kapelusze podczas silnego wiatru.

Za bramą wskakiwaliśmy do rowu albo stawaliśmy za drzewem. Rozmawialiśmy z tymi samymi ludźmi, których spotykaliśmy tu co kilka dni, wymieniając porady, gdzie dostać najlepsze kluski, najlepszą przędzę i najlepsze lekarstwo na kaszel.

Zawsze wybierałam właściwą bramę. Naprawdę. Mogłyśmy zginąć trzy razy na tydzień, a jednak ani razu nie spadły na nas bomby, nawet nie w pobliżu. Zaczęłam

sądzić, że mam jakieś wrodzone szczęście, dzięki któremu unikam bomb. Zawsze wybierałam właściwe ulice, właściwe bramy, właściwe kryjówki.

Z tej beztroski przestałam się bać.

Pewnego dnia po poobiedniej drzemce Hulan uznała, że powinniśmy się wybrać na rynek. Danru wciąż drzemał, więc zostawiłyśmy go z ciocią Du.

Poszłyśmy najpierw do straganu z warzywami, szukając świeżych, słodkich, trudnych do znalezienia maodo. Kosztowały majątek, ale i tak kupiłyśmy trochę.

Miałam oczywiście szczęście, że stać mnie było na takie rzeczy. Tylu ludzi biedowało i nie mogło pozwolić sobie nawet na najzwyklejsze jedzenie. Jednak w czasie wojny nie myśli się o oszczędzaniu. Szansa na spróbowanie czegoś rzadkiego lub nowego przypominała powiedzenie „Jedz, pij i żeń się!” Wciąż było czego wyglądać, nawet gdyby nazajutrz przyszło nam umrzeć.

Pieniądze z posagu szybko się rozchodziły. Czasami nie zwracałam sobie nawet głowy targowaniem się o cenę. Sprzedawcy zawsze cieszyli się na mój widok.

- Panienko! Panienko! - wołali od razu. - Zobacz tylko, najświeższe kielki fasoli, najsmaczniejsze kacze jaja!

Po drodze do części rynku, w której sprzedawano ryby, Hulan powiedziała, że dostała wreszcie list od Jiaguo. Pokazała mi kopertę.

Jiaguo uczył ją czytać i pisać, ale Hulan nigdy specjalnie się nie przykładała, więc po czterech latach małżeństwa rozumiała ceny na rynku, znaki określające jej ulubione jedzenie, jak ryby, wieprzowinę lub makaron, i niewiele więcej.

Oczywiście starannie się z tym przed nim ukrywała. Udawała, że wszystko rozumie! Jeśli czytałam ulotkę przyczepioną gdzieś na rynku, pytała mnie, o czym piszą, a potem wieczorem słyszałam, jak mówi do Jiaguo: „Hej, a co z tą sprawą na kolei, o której czytałam na mieście?”

Jiaguo uznał widocznie, że potrafi nauczyć nawet ją, bo teraz napisał do niej długi list, pewien, że przeczyta go sama.

Oczywiście nie umiała. Podała mi go, tłumacząc się, że dziś jej okulary nie wystarczają, żeby czytać takie małe znaki. Wymówka nie miała sensu, bo Jiaguo wypisał wszystko długimi, starannymi pociągnięciami, tak jak uczy się dzieci w szkole i tak, jak sam uczył Hulan.

„Droga żono! - czytałam. - Wiele czasu upłynęło między zamysłem a napisaniem tego listu. Myślałam dzisiaj o naszej rozmowie przy Zielonym Jeziorze i bolesnych słowach, jakie padły tuż przed moim wyjazdem”.

- Ha! - Hulan wyrwała mi list z ręki. - On wcale tak nie pisze!

Roześmiała się, jakby cały list był tylko żartem. Przyjrzała mu się przez okulary, usiłując domyślić się treści bez mojej pomocy.

- Chcesz, żebym czytała, czy nie?

Powoli podała mi list z powrotem. Przeleciałam szybko tekst wzrokiem i podjęłam na nowo, tym razem wolniej:

„Mam nadzieję, że twoje łzy dawno już wyschły. Moje serce i wątroba piekły z żalu, choć pewnie daleko im do bólu, jaki ci sprawiłem, będąc nic niewartym mężem”.

- Dosyć już, dosyć! - zawołała, jedną ręką zakrywając usta, a drugą sięgając po list.

Oddałam jej go bez pośpiechu, a Hulan odwróciła się do mnie plecami, chowając list do torebki. Kiedy znów na mnie spojrzała, z jej twarzy nie dało się niczego wyczytać. Szłyśmy w milczeniu kilka minut. Nie miałam pojęcia, co by tu powiedzieć. Czułam się zażenowana, bo domyśliłam się już, czego nie chciała mi powiedzieć. Zanim oddałam jej list, przeczytałam szybko kilka ostatnich linijek i oto, jakie odkryły się przede mną sekrety: Jiaguo żałował, że dotąd nie wypełnił swojej przysięgi małżeńskiej. Zarzekał się teraz, że jeśli tylko przeżyje, zostanie odtąd jej prawdziwym mężem. Miał nadzieję, że przed upływem roku Hulan zostanie matką jego dziecka.

Byłam wstrząśnięta. Co to ma znaczyć, czyżby żyli jak brat z siostrą albo jak dwoje mnichów? No tak, jakżeby inaczej? Niby czemu Hulan nie zaszła dotąd w ciążę? Czy znaczyło to, że Jiaguo nie czuł do niej pożądania? Pozostał wierny duchowi jej siostry czy, tak jak Wen Fu, widywał inne kobiety?

W tym momencie zrozumiałam lepiej, dlaczego swego czasu tak zirytowało ją moje narzekanie na nienaturalny pociąg Wen Fu do seksu. Zrozumiałam, dlaczego patrzy na mnie z zazdrością, kiedy bujam Danru na kolanie. Natychmiast wszystko jej wybaczyłam i pożałowałam wszystkich nieżyczliwych myśli.

Z drugiej strony zazdrościłam jej. Małżeństwo bez seksu wydało mi się dużo lepsze od mojego bez miłości. Pomyśl, ile zagadek kryła w sobie ta kobieta. Zdziwiła mnie.

- Nie powinnaś myśleć, że Jiaguo zrobił coś złego - mówiła teraz stanowczo. - Trochę się pokłóciliśmy, o coś najzwyklejszego w świecie. Tak nieważnego, że nawet już nie pamiętam, o co chodziło.

- Oczywiście, nigdy mi to nie przyszło do głowy - zaczęłam. - Zawsze uważałam Jiaguo za zbyt łagodnego i dobrego...

W tym momencie rozległo się wycie syren. Hulan zmarszczyła brwi.

- Co to może być? Przecież to nie rano, już za późno - i ruszyła w stronę domu.

- Nie bądź głupia - zawołałam za nią. - Nikogo nie zastaniesz. Pewnie już biegną do drzwi, a potem do którejś bramy.

Podjęłam decyzję. Hulan pójdzie do północnej bramy, a ja do wschodniej. Potem wrócimy do domu, wypatrując się po drodze. Wykazując się przy okazji zmysłem praktycznym, dodałam, że jeśli nie będzie za późno, wrócimy na rynek, żeby kupić ryby, i akurat zdążymy na kolację. Rozstałyśmy się z uśmiechem.

Szłam szybko, wciąż podejmując właściwe decyzje. Skreśliłam w aleję, żeby skrócić sobie drogę. Na wszelki wypadek rozglądałam się za Danru i cicią Du. Potem zaczęłam rozmyślać, co powinnam kupić, kiedy wrócę na rynek: oczywiście trochę skórek tofu, żeby ugotować je wraz z zieleciną.

Planowałam posiłek, a samoloty warczały coraz głośniejsze, zagłuszając moje myśli. Zastanawiałam się, czemu nie skręciły jeszcze nad inną część miasta. Huk rósł i nagle przestałam rozumieć. Wyszłam na środek ulicy i strasznie się rozzłościłam, widząc samoloty tuż nad swoją głową.

„Ale idioci - pomyślałam. - Pewnie się zgubili”.

Nagle w białym tynkowanym budynku tuż przede mną uderzyły kule z karabinu maszynowego. Natychmiast pojawił się rząd dziur, podobny do szwu, z którego wyciągnięto szybko fastrygę. Spod spodu odpadł kawał ściany, a za nim runęła reszta, jak wielki kopiec mąki bez worka. W jednej krótkiej sekundzie wszystkie mądre myśli uciekły mi z głowy. Wrzasnęłam i natychmiast kurz wypełnił mi usta i zapiekł w oczy.

Dławiłam się i kaszlałam. Tarłam oczy, żeby znów coś zobaczyć. Syreny były bez ustanku. Usłyszałam następne strzały i ryk samolotów, krążących tuż nad głową. Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, zobaczyłam przed sobą kobietę. Trzymała w ręce zniszczoną, słomianą miotłę. Patrzyła w niebo oczami wielkimi jak spodki. Usta opadały jej coraz niżej. Wyglądała okropnie, jakby nie miała czym oddychać.

Ja też podniosłam wzrok do góry. Dwa czarne cienie w kształcie ryb spadały ze świstem, rosnąc w oczach. Zanim nawet zdążyłam pomyśleć: „Bomby!”, już leżałam, a ziemia trzęsła się pode mną. Ze wszystkich stron dobiegał brzęk tłuczonego szkła.

Kiedy doszłam do siebie, wciąż leżałam twarzą do ziemi. Nie wiedziałam, czy upadłam, czy przewrócił mnie wybuch, czy minęła sekunda, czy cały dzień. Potem podniosłam wzrok.

Świat nie wyglądał już tak samo. Z nieba padał piasek. Pomyślałam, że pewnie śnię, bo ludzie poruszali się wolno jak lunatycy. Może już umarliśmy i czekamy teraz, by wyruszyć do następnego świata. Potem zaczęłam kaszleć i poczułam, jak kurz piecze mnie w gardle.

Syreny ucichły. Wstałam i ruszyłam przed siebie. Po lewej stronie widziałam dym unoszący się znad domów: pewnie ze dwie przecznice stąd wybuchł pożar. Na dachach i na ulicy walały się rzeczy wyrzucone wybuchem: kawałki koców i stołków, koło od roweru, kuchenka z garnkiem i podarte ubrania, tyle tylko, że zamiast zwykłych ubrań widziałas rękaw z wykręconym ramieniem, but ze stopą w środku i inne rzeczy, którym wolałam nie przyglądać się bliżej. Minęłam to wszystko powoli, nie mogąc oderwać wzroku. Nagle zobaczyłam tę samą kobietę z miotłą, która krzyczała, zanim spadły bomby. Siedziała na ziemi, załamując ręce.

- Gdzie się podziewasz! - wyła w niebo. - Przecież mówiłam, żebyś nie wychodził z domu. Będziesz ty się kiedy słuchać matki?

„Danru! - pomyślałam nagle. - Gdzie on jest?”

Zaczęłam biec do domu. Mijałam kulejących ludzi, płaczące się dzieci i uśmiechniętego mężczyznę, któremu krew leciała z ucha. Im bliżej domu, tym przechodnie wydawali się spokojniejsi i bardziej zadowoleni. Gadali i plotkowali jak zwykle po zamknięciu syren.

Hulan piła właśnie herbatę. Wsadziła na nos okulary i przyglądała się suszonym rydom, namiękającym w wielkiej misce.

- Oj! Nie było nas raptem pół godziny i już co najmniej dziesięć much pływa w naszej kolacji.

- Gdzie są?

- Tu, w misce z rybą.

- Aj! Gdzie Danru i ciocia Du?

- Ha! Ha! Ha! Jeszcze nie wrócili. Pewnie właśnie wchodzą.

Otworzyły się drzwi i już zrobiłam krok do przodu, ale okazało się, że to kucharka i służąca. Obie się śmiały. Podbiegłam do drzwi, żeby wyrzeć na ulicę.

- Nie martw się - zawołała Hulan. - Za chwilę wrócę. Za moment. Lepiej napij się herbaty. Zamartwianiem się niczego nie przyspieszysz.

- Jak mam się nie martwić? - krzyknęłam. - Widziałam spadające bomby. Wylądowały prawie na mojej głowie. Widziałam mnóstwo zabitych, poranionych. Straszne rzeczy. Buty bez stóp, stopy bez nóg...

- O czym ty opowiadasz! - przerwała mi Hulan. - Widziałas takie rzeczy? Gdzie?

Teraz już obydwie gnałyśmy drogą. Tymczasem nadeszła burza. Jak tylko dotarłyśmy do zbombardowanej dzielnicy, rozpadł się deszcz. Hulan ciągle przecierała okulary.

Na ulicach roilo się od ludzi. Wszyscy byli już na miejscu: gwardia cywilna, wojsko i służby amerykańskie. Wozy straży pożarnej blokowały przejście. Dotarłyśmy do pagórka pełnego ludzi, mokrych od potu, deszczu, błota i krwi. Nie dało się odróżnić.

- Co się dzieje? - pytała Hulan, przecierając szkła palcem. - Co widzisz?

Podeszłyśmy bliżej. Zobaczyłam wiele osób klęczących na szczycie wzgórka, który kiedyś musiał być jakimś budynkiem. Wszyscy ciężko pracowali, kopiąc łopatami, garnkami i połamanymi deskami.

Nagle zobaczyłam tę samą kobietę, która krzyczała z miotłą w ręku. Odwróciła się i też mnie dostrzegła. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie. Przez moment czułam się, jakbym patrzyła w lustro, widząc ten sam strach.

Wróciła do kopiących.

- Nie tak! Nie tak gwałtownie! - krzyknęła. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. - Delikatnie, delikatnie - błagała. - O tak.

Uklękła i zakrwawionymi palcami zaczęła wyciągać cegły, deski i kamienie. Kiedy już odsunięto wszystkie niebezpieczne przedmioty, pochyliła twarz do ziemi, patrząc z czułością na to, co znalazła.

Często potem dumałam, co się stało z tą kobietą. Nie wiem, czy straciła chłopca czy dziewczynkę, bo nie mogłam patrzeć, kiedy wreszcie odnaleźli jej dziecko.

- To moja wina! - krzyczała. - Moja wina!

Nie chciałam widzieć, za jakie poszarpane na kawałeczki dziecko się obwinia, bo ciągle szukałam Danru.

W stercie gruzu nie znalazłyśmy ani jego, ani cioci Du. Nie było go także w ruinach żadnego innego budynku przy tej ulicy. Spędziłyśmy tam wiele godzin, słysząc matki wołające zaginione dzieci, patrząc, jak nadzieja znika z każdą warstwą ziemi. Słyszałyśmy krzyki, potem wrzaski, wreszcie jęki niedowierzania, które zamierały w westchnieniach rozpacz.

Za każdym razem, kiedy nadzieja opuszczała kogo innego, składałam obietnice, jedna za drugą. Przysięgałam sobie stać się uważniejszą matką, szczerą i lojalną przyjaciółką dla Hulan, dobrą i wybaczącą żoną dla Wen Fu. Obiecywałam słuchać rad starszych, na przykład cioci Du, i przyjmować życie bez narzekań.

Po ostatniej obietnicy zobaczyłam swoją służącą.

- Nareszcie panią znalazłam - krzyczała, płacząc, zupełnie jakbyśmy to my się zgubiły.

Och, ależ się popłakałam, kiedy usłyszałam, co ma do powiedzenia - wielki szloch, który czał się we mnie, kiedy zdawało się, że naprawdę go straciłam. A tu proszę - służąca mówi, że ciocia Du i Danru siedzą w domu. Wrócili niecałe dwie minuty po naszym wyjściu. Wszystkich serce bolało na myśl, że zamartwiamy się i szukamy ich, chociaż wcale nie zaginęli.

Danru był bezpieczny. Wiedziałam, że teraz muszę dotrzymać obietnic. Hulan je słyszała, zwłaszcza tę o lojalnej przyjaźni. Rzecz jasna, nie mogłam nawet myśleć o cofnięciu którejs. Gdybym przyrzekła choć jedną rzecz mniej, Danru mógł umrzeć. Albo może odnalazłby się, ale bez oka albo jednej nogi? Kto wie? Kto umie wyjaśnić, jak spełniają się nadzieje?

Oczywiście dużo, dużo później uświadomiłam sobie szczęśliwą okoliczność: składałam obietnice, kiedy Danru i ciocia Du od dawna byli w domu.

XVIII

Amerykańska potańcówka

Nie złamałam przyrzeczeń. Wycofałam jedno, tylko jedno: że będę lepszą żoną dla Wen Fu. To wcale nie oszustwo, tylko trochę tak, jakbyś kupiła coś u Macy'ego, a potem to zwróciła i odebrała pieniądze.

Zrobiłam tak w zeszłym tygodniu. Kupiłam na wyprzedaży buty na wesele Bao-bao, a dwa dni później zobaczyłam takie same o następane dwadzieścia procent taniej. Więc zwróciłam je, odebrałam pieniądze i kupiłam te drugie, tańsze.

Nikogo tym nie skrzywdziłam. Kupiłam przecież takie same buty. O tu są, w tym pudełku. Bardzo podobne nosiłam kiedyś w czasie wojny. Też miały niezbyt wysokie obcasy, były czerwonobrazowe i z takim samym wycięciem na palcach, ale nie najlepszej jakości.

Włożyłam je na pierwszą amerykańską potańcówkę. Tańczyłam w nich właśnie wtedy, kiedy po raz pierwszy się zakochałam.

Zaczął się od tego, że do Kunmingu przyjechały Latające Tygrysy. Wtedy nazywano ich jeszcze „a-wu-dzi”, skrót od American Volunteer Group, czyli amerykańskich ochotników. Niektórzy mówili na nich Latające Rekiny, bo malowali na samolotach bardzo ostre rekinie zęby. Potem komuś się zwidziało, że to zęby tygrysa, więc wiesz już, skąd wzięła się nazwa Latające Tygrysy. Przez pomyłkę.

Tamtego dnia Hulan opowiadała mi, jak to pewna chińska nauczycielka straciła rozum. Opuściła męża i teraz chce sypiać wyłącznie z amerykańskimi lotnikami - jak leci, z żonatymi, kawalerami, starymi, młodymi, bez różnicy.

- Przyznała to zupełnie otwarcie! Chinka! - mówiła Hulan. - Naprawdę. Wszyscy uważają, że zachorowała zaraz po amerykańskim zwycięstwie. Publicznie wyparła się męża. Co to za choroba? Kto ją tam wie. Teraz ma fioła na punkcie seksu, o niczym innym nie mówi. Do tego jest stara, chyba już po trzydziestce, i nieładna.

Hulan dodała, że zwariowana nauczycielka ma przyjść na tańce organizowane w Klubie Amerykańskim z okazji zwycięstwa. Amerykanie zaprosili tam również chińskich pilotów z żonami i sympatiami. Rzecz jasna, miałyśmy wielką ochotę się

tam wybrać! Na potańcówce gra muzyka z płyt, jest dużo jedzenia i poncz z whisky, który smakuje jak woda sodowa - tańczysz po nim jak szalona.

Dobrze pamiętam tę potańcówkę na Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. Urządzono ją w trzy dni po kolejnym nalocie na Kunming, podczas którego amerykańscy ochotnicy przepędzili Japończyków, gdzie pieprz rośnie. Pierwsze zwycięstwo od tylu lat! Wszyscy wybiegli na ulice, wykrzykując, wrzeszcząc i wiwatując na cześć amerykańskich myśliwców z rekinimi zębami. Wybuchały sztuczne ognie, warczały bębny i trąbiły klaksony, zupełnie jak na Nowy Rok. Nauczycielka nie była jedyna. Wszyscy trochę zwariowaliśmy dla Amerykanów.

Zaraz po wejściu do klubu usłyszeliśmy głośną muzykę. Grano akurat tę samą zwawą piosenkę w stylu lindy hop, której kiedyś uczyła mnie Min. Nazywaliśmy ją „polecona lotnicza”. Wen Fu pstryknął palcami i aż zaśmiały mu się oczy. Wiele par już tańczyło: dziewczęta stukały wysokimi obcasami, a Amerykanie miękko szurali o podłogę wielkimi butami.

Nie widziałam, czy ta nauczycielka tam była, czy nie. Było tyle innych zwariowanych Chinek: studentki, nauczycielki, pielęgniarki i uciekinierki z różnych części kraju. Wszystkie paliły się do tańca z Amerykanami. Trudno powiedzieć, skąd się dowiedziały o dansingu i skąd wytrzasnęły zachodnie sukienki - różowe, zielone, żółte, z naszytymi kwiatami, obfitymi spódnicami i prawie bez góry, tak że pokazywały nagie ramiona. Zjawily się nie wiadomo skąd, by tańczyć z wysokimi obcokrajowcami, wkładając czapki pilotów na świeżo zakręcone loki i robiąc podobne głupstwa.

Oczywiście Klub Amerykański nie był naprawdę klubem, tylko dużym magazynem. W ciągu dnia amerykańscy oficerowie mieli tam odprawy. Przed potańcówką pokryto betonową podłogę wieloma warstwami wosku, więc teraz błyszczała jak mokry marmur. Ławki odsunięto pod ściany. Na stole stało małe wiaderko z płonącymi świecami, których w lecie używano do odstraszenia insektów. Tylko takie świece można było wtedy dostać. Ze ścian zwieszały się papierowe dekoracje: drzewka, puszki cukierków, świece i inne cacka w jaskrawych kolorach. Nic specjalnego.

Jiaguo powiedział nam, że to bożonarodzeniowe talizmany, robione przez misjonarzy i dziewczęta z Czerwonego Krzyża w Rangunie; przysłano je aż zza gór

birmańskich. Wiedzieliśmy, że to niebezpieczna droga nawet dla niezbędnych dostaw wojskowych, więc zaczęliśmy patrzeć na amerykańskie amulety z większym respektem.

Czerwony Krzyż przysłał nawet choinkę. Wen Fu orzekł, że to prawdziwa amerykańska, bo widział kiedyś taką w kolorowym czasopiśmie. Według mnie był to zwyczajny krzak, jakich wszędzie pełno, tyle że przycięto go odpowiednio i udekorowano kartami świątecznymi, czerwonymi wstążkami, białą watą i czymś, co przypominało stwardniałe nasiona lotosu, powiązane w długi łańcuch.

Pod drzewkiem stały setki wielkich czerwonych wełnianych skarpet. Z każdej wystawał kawałek czekolady albo cukierka owiniętego w błyszczący papier, zawiązany wstążeczką. Wiedziałam, co jest w środku, bo Hulan wzięła cztery skarpety, upierając się, że Amerykanie namawiali ją, żeby brała, ile dusza zapragnie.

Wen Fu powiedział mi, że nauczył się tańczyć wiele lat temu w szanghajskich nocnych klubach. Wyraźnie miał wielką ochotę się popisać. Szybko zorientowałam się jednak, że nie potrafi nic a nic! Żadnego rytmu, żadnej techniki, żadnych kroków. Wcale nie przypominał Min, kołyszącej ramionami i nogami jak gałązkami na delikatnym wietrze. Trząśł mną mocno, jakby chciał mi wyrwać ręce ze stawów, a potem okręcił tak niezdarnie, że złamał mi się obcas. Tańczyłam jak kaleka z jedną nogą krótszą. Wen Fu pozwolił mi pokuśtykać na krzesło. Ze swego miejsca widziałam, że podszedł do grupy dziewcząt w pięknych sukienkach. Wskazał na swój mundur i jedna z nich zaczęła chichotać. Odwróciłam się. Mało mnie to obeszło. Chce sobie flirtować - proszę bardzo.

Potem zobaczyłam Hulan i Jiaguo. Tańczyli objęci, ale Hulan rozjeżdżały się stopy, każda ciągnęła w inną stronę. Jiaguo przyciskał jej szeroką talię i potrząsał trochę, jakby dzięki temu mógł zmusić jej nogi do współpracy. Chyba ją strofował, ale ona tylko się śmiała.

Patrząc na nich, zastanawiałam się, czy Jiaguo spełnił swoje obietnice i został przykładowym mężem. Hulan spostrzegła mnie, pomachała i oderwała się od niego.

- Gdyby od mojego tańca zależało nasze życie, to marne nasze widoki! - powiedziała i usiadła, wachlując się papierowym drzewkiem. - Widziałas ją?

- Kogo? - zapytałam.

Wsadziłam właśnie obcas na miejsce i zaczęłam tupać nogą, żeby wbić gwóźdź.

- Tę nauczycielkę, rzecz jasna - odparła. - Ma niebieską sukienkę. Wyskubała całkiem brwi i namalowała sobie kreski.

- Gdzie jest? - spytałam, rozglądając się wokoło.

- Kręciła się koło stołu z jedzeniem, rzucając się na coraz to innego Amerykanina. Chodźmy zobaczyć.

Nie znalazłyśmy jej tam, natomiast Hulan spostrzegła mnóstwo rzeczy, których chciała skosztować. Przyznaję, że i ja się zaciekawiałam: przebyły tak długą i niebezpieczną drogę. Wypróbowałam wszystkie trzy smaki. Po pierwsze rodzaj miękkiego brązowego pierożka - od koloru nazwano go brownie. Okazał się tak słodki, że aż łupało w zębach. Potem spróbowałam tego łańcucha z drzewa, prażonej kukurydzy. Była sucha i chropawa. Usta napęliły mi się śliną, nie czułam żadnego smaku. Na koniec zjadłam krakersa z czymś okropnym na wierzchu. Hulan też spróbowała, sądząc, że trafiłam przez pomyłkę na coś zepsutego. To nie była pomyłka. Właśnie po raz pierwszy w życiu skosztowałyśmy żółtego sera.

Potem zauważyliśmy kogoś niezwyklego. Jakiś Chińczyk chodził wokół stołów, rozmawiając zarówno z amerykańskimi, jak i chińskimi pilotami, i podając im ręce na zachodnią modłę. Wzrostem dorównywał Amerykanom, emanował energią i życzliwością. Co dziwniejsze, nosił amerykański mundur. Kiedy podszedł do nas, Hulan zapytała go nieuprzejmie:

- Hej, a ty skąd wzięłeś ten mundur?

Zupełnie, jakby posądzała go o kradzież! Mężczyzna nie przestał się jednak uśmiechać.

- Jestem Amerykaninem - wyjaśnił po chińsku. - Urodziłem się w Stanach.

Potem dodał coś bardzo szybko po angielsku. Coś o matce, ojcu i miejscu urodzenia. Hulan roześmiała się zaskoczona, po czym oznajmiła, że jego angielszczyzna brzmi bardzo autentycznie, że mówi zupełnie jak kowboj. Oczywiście powiedziała to po chińsku.

Ja jednak zaskoczyłam ich oboje, odzywając się po angielsku:

- Zanim w Szanghaju, ja się uczyłam lekcji angielskiego.

Zasypał mnie pytaniami.

- Nie, nie - wróciłam do chińskiego. - „Uczyłam się” nie znaczy, że umiem mówić. Byłam niegrzeczną dziewczynką i złą uczennicą. Zakonnice musiały się za mnie bardzo mocno modlić.

Roześmiał się.

- A czy Bóg im odpowiedział? - spytał po chińsku.

Z uśmiechem potrząsnęłam głową.

- Ale umiem dość angielski, żeby powiedzieć. Dla moich oczu ty wyglądasz Chińczyk, dla moich uszu ty zupełnie obcokrajowiec.

Roześmiał się znowu.

- No coś takiego! - powiedział po angielsku, po czym wrócił do mandaryńskiego, żeby mi podziękować. A później - ciach! - przeszedł na kantoński, potem jakieś miejscowe dialekty, wreszcie na japoński.

- Zmieniasz języki tak łatwo, jak fonograf płyty! - powiedziałam.

- Ojo! - droczyła się Hulan. - Pewnie jesteś szpiegiem, ale nie wiadomo, dla której strony.

Mężczyzna wyciągnął dowód z portfela i wyjaśnił, że pracuje dla służb informacyjnych Stanów Zjednoczonych, pomagając amerykańskim ochotnikom i chińskim lotnikom przy tłumaczeniach.

- To niezbyt ciężka praca - wyjaśnił skromnie. - Na przykład jeden z waszych pilotów chciał podziękować Amerykanom. Kazałem mu napisać te słowa - tu wskazał na plakat wiszący na ścianie.

- Co tam napisał?

- „Hura Jankesi”.

- A co to znaczy? - zapytałam.

Wtedy ten amerykański Chińczyk przyjrzał mi się uważnie. Przez kilka sekund nic nie mówił, jakby się zastanawiał nad dokładnym tłumaczeniem.

- To znaczy, że szczęście zaskoczyło cię tak bardzo, że nie możesz wyrazić swoich uczuć zwykłymi słowami - odparł w końcu.

Słyszając to, poczułam, że wyraził najskrytsze pragnienie mego serca. Marzyłam przecież, że pewnego dnia niespodziewanie wpadnę w szczęście, jak ryba w sieć.

Nagle wydało mi się, że stoimy za blisko. W pomieszczeniu panował tłok, spróbowałam więc odsunąć się od niego, oprzeć się o ścianę. W tej chwili znowu oderwał mi się obcas. Wylądowałabym na ziemi, ale w ostatniej chwili nieznajomy złapał mnie w ramiona.

Tak właśnie poznałam Jimmy'ego Louie, twego ojca! Wyobrażasz sobie? Poszłam obejrzeć nauczycielkę zwariowaną na punkcie Amerykanów, a zamiast tego znalazłam Amerykanina, który szalał za mną.

Wiele lat później twój ojciec opowiadał przyjaciołom w Stanach:

- Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Jeśli o nią chodzi, to tylko się potknęła. Ważne, że ją złapałem.

Taki był zabawny i czarujący, pamiętasz? Zachowywał się tak od samego początku.

Mówił prawdę. Nie mogę twierdzić, że zakochałam się w nim od pierwszej chwili, nie miałam takich romantycznych myśli. Byłam mężatką, która wolała unikać starych kłopotów, zamiast szukać nowych.

Muszę jednak przyznać, że imponowało mi, iż z taką łatwością Jimmy obraca się wśród Amerykanów. Kiedy te dryblasy podeszły do stołu z jedzeniem, odsunęłyśmy się z Hulan, chcąc zrobić im miejsce, ale Jimmy Louie bez żenady klepał ich po plecach, nazywając po imieniu: „Hej, Johnny”, „Hej, Smitty”, „Hej, Hank”.

Jeśli mam być szczerą, robiło mi się coraz bardziej wstyd z powodu prostej brązowej sukienki z długimi rękawami, którą włożyłam na dzisiejszy wieczór. Co gorsza, zdjęłam buty i stałam boso. Nie wyglądałam pewnie lepiej niż jakaś prosta wieśniaczka. Co też ci Amerykanie sobie pomyślą! Dookoła kręciło się tyle dziewcząt w wymyślnych sukienkach, z włosami poskręcanyimi w loki, bez śladów wojny i nieszczęśliwych małżeństw na twarzach.

Wydawało mi się, że wszystkie piękne dziewczyny garną się do Jimmy'ego Louie, po pięć i sześć naraz. Oczywiście, był bardzo przystojny, ale nie zachęcał ich tak jak Wen Fu. Chyba jednak sprawiało mu to przyjemność, bo wymyślał dla nich amerykańskie imiona, którymi mogły przedstawiać się swym nowym jankeskim przyjaciołom. Jimmy Louie przyglądał się ich roześmianym twarzom, jakby w ciągu kilku sekund potrafił wyczytać z nich prawdziwy charakter i dobrać właściwe imię.

Przeważnie wybierał takie, które łatwo dawały się wymówić: Donna, Dotty, Patty, Peggy, Sally, Susie, Maggie, Mattie, Jeannie albo Judy. Jednak jeśli któraś za bardzo się rozpychała, wybrzydzała i mówiła, że chce coś ładniejszego niż przyjaciółki, wybierał pokrętne imię, niemożliwe dla chińskiego języka: Gretchen, Faith, Theodora.

- To najlepsze amerykańskie imiona - tłumaczył im, po czym odwracał się do nas i mrugał.

- A wy? - zapytał w końcu. - Wam też przydałyby się amerykańskie imiona.

Zapytał, jak się nazywamy po chińsku, przymrużył oko i skrzywił usta, udając, że przygląda nam się przez kamerę. Zupełnie jakby umiał jednym słowem wyrazić, co widzi.

Tak właśnie z Hulan zrobiła się Helen. Jimmy Louie powiedział, że to bardzo eleganckie imię, ale moim zdaniem wybrał je dlatego, że podobnie brzmiało. Ja zostałam Winnie - twierdził, że to imię pełne życia i przynoszące szczęście.

- Win, win, czyli: wygraj, wygraj - powiedział i zapisał oba imiona na kartce papieru.

W tym momencie znaleźli nas mężowie. Jimmy Louie w amerykański sposób uścisnął rękę Jiaguo i Wen Fu, uklonił się też lekko po chińsku. Jeżeli się rozczarował, słysząc, że jestem mężatką, to niczego po sobie nie pokazał, chociaż niebawem znalazł sposób, żeby dać mi znać, co myśli o moim mężu.

Hulan pokazała Jiaguo nowe imię. Wodziła palcem po papierze, jakby już nauczyła się czytać po angielsku!

- Hu-lan, Hu-lan - mówiła powoli, wymawiając tak samo, jak swoje chińskie imię.

- A ty? - zapytał Wen Fu.

- Winnie - odparłam.

- Nieźle, nieźle - mruknął, po czym zwrócił się do Jimmy'ego: - Skoro jesteś dziś taki hojny, to może nazwiesz również mnie i mojego przyjaciela?

No i Jimmy wymyślił im imiona. Jiaguo nazwał Jack.

- Jack, jak Jack London, Amerykanin słynący z zamiłowania do przygód.

- Jock! Jock! - powtórzył Jiaguo parę razy. - Bardzo mi się podoba.

Nie poprawiając go, Jimmy zapisał „Jock”. Taki właśnie był uprzejmy, nigdy nie zawstydział nikogo bez potrzeby.

Dla Wen Fu zaproponował imię Wiktor.

- Szczęśliwe imię dla pilota i pasuje do imienia twojej żony - wyjaśnił.

Jednak Wen Fu zażądał, by wybrać mu coś bardziej specjalnego niż mnie: miało być niezwykle i wyróżniać się spośród wszystkich innych.

- Może po jakimś bohaterze?

- Jeszcze ważniejsze.

- Po kimś, kto na zawsze zmienił historię? - podsunął Jimmy.

- Właśnie! Takie byłoby najlepsze.

- Judasz - odparł Jimmy. - Damy ci na imię Judasz. Nie znam nikogo innego, kto nosiłby to imię.

- Ju-dassa! Ju-dassa! - powtarzał Wen Fu, wypróbując nowe imię. - Dobre i przyjemnie brzmi dla ucha.

Hulan i Jiaguo przytaknęli.

Przygryzałam wargi; pamiętałam, czego siostry uczyły mnie o tym przeklętym imieniu. Jimmy Louie widział, że duszę się ze śmiechu. Rozpromienił się jak uczeń. Bardzo się cieszył, że wiem, co zrobił.

Napisał nowe imię Wen Fu na kawałku papieru.

- Piosenka, którą teraz grają, to „Serenada księżycowa”, amerykański przebój. Pozwolisz, że zatańczę z twoją żoną?

Zanim Wen Fu zdążył odpowiedzieć albo zanim ja zaprotestowałam, że nie mam butów, zawirowałam w ramionach Jimmy'ego Louie, coraz dalej od zmarszczonych brwi Wen Fu, w tłumie szczęśliwych tancerzy. Jimmy dobrze tańczył, prawie tak dobrze jak Min.

- Bardzo nieładnie zrobiłeś z tym imieniem - zganiałam go żartobliwie. - Teraz muszę się mieć przed nim na baczności.

Jimmy Louie roześmiał się.

- Nie ma poczucia humoru?

- Tylko jeśli sam żartuje z innych.

- To prawda, postąpiłem niewłaściwie.

- Okropnie - dodałam.

Widziałam, jak się uśmiecha i mruga. Trzepnęłam go po ramieniu. Przechylił mi głowę do tyłu i zaśmiał się. Ja też się śmiałam. Potem okręcił mnie delikatnie. Wtedy zobaczyłam widok tak okropny, że odjęło mi mowę.

Zwariowana nauczycielka w niebieskiej sukience ze zmazanymi do połowy brwiami i półprzymkniętymi oczami tańczyła sennie w ramionach amerykańskiego pilota. Ten podał ją następnemu, roześmieli się obydwaj i podali komu innemu. Nie

mogłam oderwać wzroku, widząc na własne oczy historię usłyszaną od Hulan. W jej nieprzytomnych oczach dojrzałam siebie.

Proszę, oto kobieta, która wyparła się swego chińskiego męża, choć sama nie jest warta nawet obelg, jakimi go obrzuciła. A tuż obok ja, niewiele lepsza. Pozwoliłam, by Amerykanin ośmieszył mego męża, a teraz tańczę z nim boso, pozwalając się okręcać, w którą stronę zechce.

Wymówiłam się od dalszego tańca, mówiąc Jimmy'emu, że jestem tylko starą, zmęczoną matroną. Zostawiłam go na parkiecie, nie sądząc, że się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy.

Zanim znalazłam Wen Fu, było jednak za późno.

Kiedy tylko znaleźliśmy się w domu, Wen Fu przestał ukrywać gniew. Nie chodziło o imię, jakie nadał mu Jimmy Louie; o tym, co znaczy Judasz, dowiedział się dopiero wiele lat później. Tym razem wściekał się, bo tańczyłam z Amerykaninem. Jakiś pilot zażartował przy Wen Fu, że widocznie amerykańscy ochotnicy podbijają także kobiety.

Jego złość wcale mnie nie zdziwiła. Spodziewałam się jej. Zaczął mi wymyślać, tak samo, jak podczas całego naszego małżeństwa.

- Kurwa! Podła lisica! Zdrajczyni!

Jechało od niego whisky. Nie protestowałam, ale nie okazywałam też strachu. Pozwalałam, by obelgi spływały po sobie.

Nagle złapał mnie za włosy i cisnął o ziemię.

- Chcesz być kurwą, to ja ci to ułatwię! - krzyknął, po czym podszedł do stolika i wyciągnął coś z szuflady.

Rzucił na ziemię kartkę papieru, a potem pióro i butelkę atramentu.

- Teraz się z tobą rozwodzę - powiedział. - Napisz: mój mąż rozwodzi się ze mną.

Kiedy podniosłam oczy, zobaczyłam, że celuje do mnie z pistoletu, uśmiechając się jak szaleniec.

- Nie masz co na mnie patrzeć! Nasze małżeństwo skończone. Jeśli tego nie napiszesz, to cię zabiję!

Uważał mnie za głupią? Myślał, że się boję. Wcale się nie bałam. Myślał, że zmusza mnie do rozwodu. Wcale nie musiał się wysilać. Przeciwnie, poczułam się,

jakby zwariowany los rzucił mi szczęśliwą szansę. Pisałam szybko. Oczywiście, że pisałam. Krew krążyła mi szybciej, podobnie jak myśli. Czułam, że niedługo będę wolna.

Pospiesznie zapisałam nasze imiona i datę. Podpisałam się. Zostawiłam trzy wolne miejsca na podpisy Wen Fu i dwóch świadków. Sprawdziłam wszystko dwa razy i podsunęłam mu dokument, starając się ukryć szczęście i gniew.

- Podpisz tutaj - powiedziałam.

Przeczytał i spojrzał na mnie z nienawiścią. Podpisał, niemal rozdzierając piórem papier. Cisnął wszystko na ziemię. Podniosłam tak cenny dokument.

- Widzisz, teraz się z tobą rozwiodłem - powiedział dziwnym tonem. - Nie jesteś nic warta. Nie masz męża, nie masz domu ani syna.

Przerażona podniosłam oczy. Nie pomyślałam, co się stanie z Danru. Jakże głupio wyobrażałam sobie, że moja decyzja dotyczy tylko mojego ciała. Nie mogłam zostawić Danru. Nigdy nie zrobię mu tego, co zrobiła mi moja matka.

Wen Fu wygrażał mi pistoletem.

- A teraz błagaj, żebym się z tobą nie rozwodził - powiedział. - Błagaj, żebym podarł ten papier. - Przyniósł mi pistolet do głowy. Miał wykrzywione dziko usta, ale spojrzenie trzeźwe. - Ale już! Na kolana! Błagaj!

Od razu zrozumiałam, że chodzi mu tylko o to, by patrzeć, jak cierpię. Będzie w kółko zmieniał zdanie, aż nie starczy mi sił, żeby za nim nadążyć. Nie zadowolony się, póki nie udowodni po raz setny, że całkowicie mu podlegam.

Załamalam się. Nie miałam już siły walczyć. Usłyszałam własny krzyk, a potem z twarzą przy podłodze zaczęłam żebrać o litość.

- Głośniej! - zażądał. - Powiedz, jak żałujesz, że jesteś taką bezwartościową kurwą.

Powtórzyłam te słowa.

- Kłaniaj się i obiecaj posłuszeństwo.

Biłam pokłony i mówiłam, co kazał. Śmiał się zachwycony.

- Powiedz, że nie możesz beze mnie żyć.

Powtórzyłam te znienawidzone wyrazy. Śmiał się coraz bardziej.

- Podoba mi się to! Nawet bardzo!

Nagle umilkł. Podszedł i wyjął mi z ręki dokument rozwodowy. Wydawało mi się, że tortura skończona. Począł, aż podniosę oczy. Ze smutkiem kiwał głową, patrząc to na dokument, to na mnie.

- Za późno - powiedział. - Nie przyjmę cię z powrotem. Nadal jesteś rozwódką.

Potem rzucił mi papier na głowę.

- Wstawaj! Idź do łóżka! - wrzasnął.

- Zabij mnie, jeśli chcesz - prosiłam.

- Oczywiście, że cię zabiję - odparł. - Ciebie i każdego w tym domu, kto nie będzie mnie słuchał. Włóż do łóżka.

Tej nocy trzymał mi pistolet przy głowie, gwałcąc raz po raz. Mówił, że straciłam przywileje żony i zostały mi już tylko obowiązki kurwy. Zmuszał mnie do jednej okropnej rzeczy za drugą. Kazał mi dziękować. Kazał mi błagać o jeszcze trochę jego kary. Robiłam to wszystko tak długo, aż opuściły mnie zmysły. Śmiałam się i płakałam, nie czując własnego ciała.

Następnego ranka, kiedy Wen Fu poszedł do pracy, podniosłam z ziemi dokument rozwodowy i odszukałam walizkę. Zaczęło mi się bardzo spieszyć. Zapakowałam tylko kilka rzeczy. Wzięłam wszystkie pieniądze, jakie udało mi się znaleźć, około dwustu chińskich dolarów. Poszłam po Danru.

Hulan i ciocia Du zobaczyły, jak schodzę na dół. Po ich twarzach poznałam, że słyszały wczorajszą kłótnię.

- Każdy mąż miewa humory - powiedziała Hulan, próbując mnie pocieszyć. - Nie inaczej niż twój.

Pokazałam im dokument rozwodowy.

- Co to jest? - zapytała.

- Mój rozwód. Wczoraj wieczorem mój mąż rozwiódł się ze mną. Sama widzisz, że muszę odejść.

- Aj! Nieszczęście! Nieszczęście! - zawołała ciocia Du.

- A kto był świadkiem? - dociekała Hulan, przyciskając do oczu okulary. - Nie widzę pieczęci z nazwiskiem.

- Nie było świadków. Nie mieliśmy czasu, żeby kogoś szukać.

Hulan aż klasnęła z radości.

- Wobec tego wcale się z tobą nie rozwiódł! Nie może cię wygonić. Teraz usiądź i zjedz śniadanie. Uspokój się i nie denerwuj więcej. To tylko nieporozumienie. Wieczorem zrobi mu się przykro i popłacze się z żalu. Zobaczysz.

- Nic nie rozumiesz! - krzyknęłam. - To ja chcę się rozwieść. Dlaczego miałabym się trzymać takiego małżeństwa? - Zaczęłam się trząść. - To nie jakiś tam zły humor. Ten człowiek to potwór. Gorszy, niż potrafisz sobie wyobrazić. - Nagle zaświtała mi w głowie pewna myśl. - O, wy dwie możecie poświadczyć - powiedziałam szybko. - Gdzie wasze pieczętki? Jeśli to zrobicie, na zawsze pozostanę waszą dłużniczką.

- Jakżebym mogła?! - zawołała Hulan, odskakując.

- Ona ma rację, *syau ning* - poparła ją ciocia Du. - Jak możesz oczekiwać, że przyjaciółka zostanie świadkiem twojej tragedii? Przemyśl wszystko jeszcze raz. Pomyśl o synku.

- Oczywiście, że o nim myślę. Dlatego właśnie odchodzę. Pójdziemy stąd, z rozwodem czy bez.

Ciocia Du zaczęła zawodzić.

- Aj-ja! Aj-ja! Dokądże ty pójdziesz? Gdzie się zatrzymasz? Rusz głową: i Szosa Birmańska, i kolej znowu zostały odcięte. W każdym zakątku czyha niebezpieczeństwo, jedno gorsze od drugiego: bandyci, komary, Japończycy.

- Wolę to niż męża - odparłam.

- Wszystko na nic! - powiedziała ciocia Du, załamując ręce. - Nie przekonamy jej. Wielki zły wiatr hula jej po głowie, zagłuszając wszystkie inne głosy. Odejdzie, żeby nie wiem co.

Wtedy Hulan odezwała się spokojnie:

- Wobec tego musimy jej pomóc. Nic innego nie da się zrobić. Nie poświadczę ci rozwodu - zwróciła się do mnie - bo Jiaguo z pewnością miałby mi to za złe. Jeśli jednak oboje dochowamy sekretu, to pomogę ci uciec.

Zarzuciłam jej ręce na szyję jak matce i płakałam z wdzięczności. Bardzo się zmieszała.

- Nie ma na to czasu - powiedziała. - Trzeba się zastanowić, co powinnaś zrobić i dokąd pójść.

Otworzyła koszyk z szyciem, wyjęła ze środka trochę pieniędzy i wcisnęła mi do ręki. Ciocia Du westchnęła, po czym podreptała do kuchni. Zapakowała mi w czysty papier suszoną rybę, grzyby, makaron i trochę herbaty.

Pomogły mi też zaraz znaleźć dom z pokojami gościnnymi po drugiej stronie jeziora, blisko rynku. Dostałam ubogi pokój w krytym słomą budynku, chyba najgorszy, jaki do tej pory mi się trafił, ale nie narzekałam. Nie powiedziałam nawet jednego słowa, tak bardzo się cieszyłam.

Hulan uznała, że tutaj będę bezpieczna. Obiecała, że wróci, kiedy tylko załatwi mi miejsce w ciężarówce.

Po południu bawiliśmy się z Danru na podłodze. Za pomocą pałeczek wyciągałam z materaca pluskwy, a Danru gonił je i rozgniatał miseczką. W ten sposób pozbyliśmy się wszystkich pluskiew, zamieniając brudny świat w czysty. Pogratulowałam mu zwycięstwa. Zjedliśmy niewielki posiłek i poszliśmy spać. Danru zwinął się koło mnie w kłębuszek.

Obudził nas ryk Wen Fu.

- Gdzie ona jest?

Zupełnie jak rozwścieczony byk szykował się do staranowania bramy. Usiadłam i wcisnęłam się w najciemniejszy kącik.

- Bądź cicho, ani mru, mru - szepnęłam do Danru.

Taki dobry chłopczyk: zrozumiał od razu. Nie rozplakał się, nawet nie pisnął. Otoczył mnie ramionami i siedział cichutko.

- Gdzie ona jest? - usłyszeliśmy znowu.

Danru mocno wtulił we mnie twarz. Wtedy dobiegł nas płaczliwy głos Hulan:

- Przecież obiecałeś być łagodny.

Widzisz więc, że to ona pomogła mu mnie znaleźć. Oczywiście potem bardzo tego żałowała. Przekonała się, że jego obietnice nic nie znaczą. Nie był łagodny. Nie muszę ci chyba opowiadać, co potem nastąpiło.

Minęło już tyle lat, a mój gniew wciąż jeszcze nie wygasł. Słyszysz to w moim głosie. Kiedy o nim mówię, nadal ogarnia mnie złość. Jeśli wydaje ci się, że usłyszałaś właśnie o najgorszej części mego życia, to niestety się mylisz. Najgorsze zawsze dopiero nadchodziło, potem następne i następne. A najstraszniejsze było to, że nigdy nie wiedziałam, co za chwilę nastąpi.

Miesiąc później stwierdziłam, że jestem w ciąży. Poszłam do lekarza i dziecko wyszło na świat, zanim mogło się urodzić. Dwa miesiące później - to samo. I za następne dwa miesiące. Wtedy nie znaleźliśmy żadnej antykoncepcji, a Wen Fu mało przejmował się dziećmi.

Myślisz teraz pewnie, że bez oporów zabiłam tyle dzieci. Nie chciałam ich zabijać. Ten człowiek każdej nocy używał mego ciała jak jakiejś maszyny.

Dzisiaj uczysz córki, jak mówić obcym: „Moje ciało należy do mnie. Nie dotykaj mnie”. Umie to już powiedzieć nawet małe dziecko. Ja nie umiałam, będąc dorosłą kobietą. Potrafiłam tylko powstrzymywać dzieci od przychodzenia na świat.

Wołałam do siebie: dać dziecku takie podłe życie to dopiero grzech! Biedny Danru. Ufał mi. Pozwoliłam umrzeć tamtym dzieciom, kierując się dobrocią.

Spójrz mi teraz w twarz. Byłam wtedy młoda, a nie zostało mi już ani trochę nadziei, zaufania ani niewinności. Wiele, wiele razy byłam bliska samobójstwa i nienawidziłam się później za to, że nie mogłam się na nie zdobyć.

Odpowiedz mi teraz: co widzisz? Co tam jeszcze we mnie zostało? Dlaczego tak bardzo chciałam żyć?

XIX

Silna i słaba

Opowiedziałam ci o początkach mego małżeństwa, żebyś mogła zrozumieć, jak stałam się silna i słaba zarazem. Pewnie według waszego amerykańskiego rozumu nie można mieć obu cech naraz, bo wzajemnie się wykluczają, ale ja nie miałam wyboru. Tylko dzięki temu mogłam przeżyć.

Wyglądało to tak: przez resztę wojny żyłam bez nadziei, ale nie rozpaczałam więcej. Nie walczyłam już ze swoim małżeństwem, lecz go także nie akceptowałam. Takie właśnie prowadziłam życie: wiecznie pośrodku - bez nadziei, lecz bez rozpacz, bez oporu, lecz bez akceptacji. Sama widzisz: silna i słaba.

Nie każę ci się podziwiać. Takie zjawiska przeczą naturze. Mówię o tym tylko po to, żebyś wiedziała, jak to jest, kiedy upodabniasz się do kurczaka w klatce, który nie marzy o wolności, ale też nigdy nie rozmyśla, kiedy też obetną mu głowę.

Oczywiście nawet najgłupsza kura odleci, kiedy klatka pęknie. Opowiem ci teraz, jak do tego w końcu doszło.

Musiałam czekać aż do lata tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Wciąż pamiętam ten dzień, pamiętam, co jadłam, co powiedziała ciocia Du i co miała na sobie Hulan. Zastanawiam się, skąd pochodzi pamięć o szczegółach poprzedzających wielkie zmiany.

Siedzieliśmy właśnie stłoczeni przy naszym małym kwadratowym stoliku: Hulan, Jiaguo, Wen Fu, ciocia Du i Danru, tuż obok mnie, na małym stołeczku. Jedliśmy bardzo zwykłe śniadanie: drobnoziarnisty ryż, marynowane jarzyny, przypominające z wyglądu maleńkie ślimaki, resztki sałaty z wczorajszej kolacji, mocno pachnące tofu i gotowaną słodką czerwoną fasolkę, maleńką jak ząbki dziecka - jedzenie tak zwyczajne, że nie otwieraliśmy nawet ust, żeby coś pochwalić czy zganić.

Oczywiście, kiedy teraz wracam do nich pamięcią, chętnie pochwalilibym te potrawy i smaki, których w Ameryce niestety nie uświadczysz.

Na przykład głąb sałaty, twardy jak rzepa, kruchy, słodki i łatwy w gotowaniu. Albo tofu, kupowane od człowieka, który każdego ranka toczył wózek koło naszego

domu, wołając „Cho tofu! Cho tofu!” Przełamywałaś obsmażony wierzch na pół i znajdowałaś miękki, ciągnący się środek z tym dobrym zapaszkiem, który budził węż ze snu. Jednak, tak jak ci mówiłam, wtedy było to nasze codzienne jedzenie, podobnie jak dzisiaj płatki kukurydziane, które kupujesz w sklepie.

Zresztą i tak nikomu nie chciało się za bardzo jeść, jak to w lecie - według waszego kalendarza w sierpniu.

Pamiętam jeszcze coś w związku z tym śniadaniem. Hulan jadła powoli czerwoną fasolkę, biorąc po jednym ziarenku, o tak. Wybierała ziarenko z talerza i zygzakami podnosiła je do ust. Była już wtedy bardzo gruba i sukienka z brzoskwińowego materiału, który ode mnie dostała, opinała się jej mocno na biuście.

- Jako młoda dziewczyna umiałam podnieść sto fasolek z rzędu i nie upuścić ani jednej. Nikt inny we wsi tego nie potrafił.

Złapała jeszcze jedną.

Wiedziałam oczywiście, o czym mówi: był to stary, głupi zwyczaj popisywania się przed przyszłą teściową subtelnymi i eleganckimi manierami. Najbardziej śliskimi pałeczkami należało wybierać najmniejsze kawałeczki jedzenia, nie robiąc przy tym nieporządku.

- Kobiety w twojej wsi nie miały nic lepszego do roboty, niż liczyć, ile podnosisz fasolek? - przekomarzałam się z nią.

- Nie wierzysz? - Podniosła jeszcze jedną.

- Nie to, że ci nie wierzę, ale chyba nie było czasu, żeby tak dokładnie liczyć. Może podniosłaś pięćdziesiąt?

- Mówię ci, że sto! - Zjadła kolejną i jeszcze kilka, jakby mogła coś w ten sposób udowodnić.

- O cóż wy się kłóćcie - zbeształa nas ciocia Du. - Może zjadła dwieście. Tak czy inaczej, dlaczego osądzać wartość dziewczyny po tym, ile fasolek utrzyma między pałeczkami?

W tym momencie rozległo się głośne pukanie do drzwi. Zanim zdążyliśmy odłożyć pałeczki, zapukano znowu, jeszcze głośniej i szybciej. Do domu wpadł pilot trzeciej klasy, śmiejąc się od ucha do ucha.

- Skończyło się! - krzyknął.

Tyle razy słyszeliśmy, że nie należy oczekiwać takich nowin przed upływem roku, że z początku nie uwierzyliśmy. Nie umieliśmy sobie nawet wyobrazić, że Chiny wygrały wojnę, na zawsze wyganiając japońskich imperialistów!

Wszyscy płakali z radości - Hulan, ciocia Du, kucharka, nawet nasi mężowie. Trzeba ci było widzieć te łzy i słyszeć okrzyki. Nie mogliśmy usiedzieć ani ustać na miejscu. Tupaliśmy, podskakiwaliśmy, Hulan podniosła ręce, by podziękować bogom na wysokościach i, rzecz jasna, podarła wtedy sukienkę; poszły szwy pod pachami. Z początku wcale nawet tego nie zauważyła.

Po chwili nadszedł następny pilot, a potem jeszcze jeden i jeszcze. Za każdym razem, gdy ktoś wchodził, kazaliśmy pierwszemu pilotowi powtarzać, skąd słyisał nowiny: od kogo się dowiedział, jak nie mógł uwierzyć i jak wreszcie przekonał się, że to prawda.

Widzisz, wszyscy mówili naraz, oprócz mnie. Śmiałam się i płakałam równocześnie, udając, że słucham tych pomyślnych wiadomości, ale tak naprawdę serce biło mi szybko, kręciło mi się w głowie, a nogi szykowały się do ucieczki. Nagle przypomniałam sobie, co znaczy marzyć.

„Teraz mam wybór - mówiłam do siebie. - Mogę wrócić do Szanghaju, napiszę zaraz do ojca, poproszę stryja, Starą Ciotkę albo Orzeszka”.

Byłam pewna, że ktoś mi pomoże. Niedługo uwolnię się od tego małżeństwa i zacznę nowe życie.

Do popołudnia wszystko postanowiono. Zaraz następnego ranka wyjeżdżamy z Kunmingu, nie spędzimy tu nawet jednego dnia dłużej, żeby sprzedać meble. Lepiej wszystko zostawić! Widzisz, jakie ogarnęło nas podniecenie? Tkwiliśmy tu przez siedem lat. Ja od ośmiu lat tkwiłam w swoim małżeństwie.

Od razu zaczęliśmy się pakować, decydując, co zostaje, a co nie. Szło tak szybko, jakbyś mówiła: „to tak, to nie”.

Pięcioletni wówczas Danru strasznie płakał, kiedy mu powiedziałam, że nie możemy zabrać łóżeczka z konopi, w którym wyrósł.

- Przestań płakać! - wrzasnął Wen Fu.

Danru bał się ojca, więc natychmiast zamilkł, ale tego dnia Wen Fu był w wyśmienitym humorze. Nie beształ już chłopca, tylko dodał:

- W Szanghaju kupię ci lepsze, a do tego drewniany samochodzik. Teraz się uśmiechnij.

I Danru rozciągnął buzię najszerzej, jak potrafił. Biedny mały Danru!

Opuściliśmy Kunming następnego dnia rano. Nie siedzieliśmy już w ciężarówce, lecz w autobusie, wraz z Hulan, Jiaguo i innymi pilotami, których niewielu zostało do tamtej pory, więc nie było za dużego tłoku.

Wen Fu i ja mieliśmy własne miejsca. Siedziałam przy oknie z Danru na kolanach. Tym razem wieźliśmy mnóstwo walizek i pudeł, a nie po jednej jak poprzednio. Mieliśmy nawet własną kołdrę ze spodem z ceraty na wypadek, gdyby nocleg wypadł nam w miejscu bez odpowiedniego zakwaterowania.

Kiedy autobus ruszył, wszyscy obejrzeni się po raz ostatni na dom. Wszyscy prócz mnie. Niby czemu miałabym chcieć patrzeć na miejsce, w którym straciłam nadzieję? Miałam dopiero dwadzieścia siedem lat i już chciałam zapomnieć o całym swoim życiu. Patrzyłam tylko naprzód.

Widziałam zatłoczone ulice, pełne autobusów, ciężarówek i ludzi z węzłkami na kijach. Na przedmieściach, za bramami, mijaliśmy małe wioski, wspinając się w góry. Serce waliło mi niecierpliwie, tak samo jak wtedy, gdy się bałam, że dogonią nas Japończycy. Tym razem obawiałam się, że jeśli się nie pospieszymy, ktoś nas zatrzyma i powie: „To pomyłka. Wojna się nie skończyła. Musimy wracać”.

Nagle rzeczywiście jeden z pilotów zawołał „stop!” i pobiegł wzdłuż przejścia, żeby wydać dalsze instrukcje kierowcy. Wskazał na pobocze. Autobus jęknął i stanął. Ugryzłam się w rękę, żeby powstrzymać krzyk. Trzej piloci ruszyli ku drzwiom; myślałam, że ktoś nas atakuje. Wstałam, wyjrzałam przez okno i wybuchnęłam głośnym śmiechem, widząc, że tak naprawdę robią po prostu zdjęcia!

Jeden stał w głupiej pozie, wskazując na niebo, zupełnie jakby było inne niż gdzie indziej! Śmiechu warte.

Wtem również podniosłam głowę i pamiętam dziwne uczucie - podobne do tego, gdy budzisz się z zagmatwanego snu. Wyglądało tak, jakbym nigdy dotąd nie widziała Kunmingu. Nie ujrzałam zwyczajnego nieba ze zwykłymi chmurami. Jasnoszafirowy błękit porażał wzrok. Trzy chmury, ustawione jedna za drugą, miały kształt gigantycznych poduszek dla niebiańskich bogów. Potem zobaczyłam wielkiego ptaka, którego pióra pod skrzydłami mieniły się wszystkimi barwami tęczy. Na zielonych wzgórzach rosły drzewa, których opadające gałęzie zamiatały ziemię. Nisko, tuż nad gruntem, różnobarwne kwiaty tryskały dziko wprost z wnętrza ziemi. Z tyłu

widniało miasto - spokojne, kręte uliczki i białe ściany, które z tej odległości robiły wrażenie oślepiająco czystych.

Wszystko to zobaczyłam po raz pierwszy, lecz wcale się nie ucieszyłam. To gorzkie uczucie, że nigdy dotąd nie dostrzegałam piękna, na które jest już teraz za późno.

Po drodze do Wuczangu widziałam ślady wojny. Niemal w każdej wiosce stały rzędy niskich glinianych domków bez ścian lub dachów. Niektóre zdążono już naprawić, łątając dziury złamanym blatem stołu, słomianym materacem albo drzwiami zniszczonego samochodu. Zajrzałam kiedyś w głąb zielonej doliny. Pośród wysokiej trawy stał jakiś tuzin czarnych kształtów. Z daleka wyglądały jak porzucone niedbale bryły węgla, dopiero później, kiedy znaleźliśmy się bliżej, zdałam sobie sprawę, że mam przed sobą ruiny małych domków, spalonych kilka lat temu. Nie ocalał nikt, żeby je odbudować.

Najczęściej widziałas głodne twarze biedaków. Tyłu, tyłu spotkałam ich pod drogą, starych i młodych, z tym samym zastygłym wyrazem zbyt wielkiej udręki. Szperali po minach, wkładając coś do pustych toreb. Rzucili je, słysząc nasz autobus. Wyciągali do nas ręce złożone na kształt żebraczych miseczek.

- Panienko, spójrz na naszą nędzę! Okaż miłosierdzie! - zawodzili.

Ich głosy zamierały, bo autobus jechał dalej, spychając biedotę na pobocze. Brzuch mnie rozboleł od tego widoku.

My też mieliśmy zmartwienia. Słyszeliśmy, że wielu biedaków zostaje bandytami, a potem włóczą się po kraju, zwłaszcza w górach. Kiedy przeprawialiśmy się łodzią przez jezioro Tungting, ostrzeżono nas, że piraci porwali już wiele łodzi i nie zawahają się poderżnąć nam gardła.

Kuomintang posądzał o te zbrodnie komunistów. Ciocia Du powiedziała nam w sekrecie, że to nieprawda. Jej córka pisała, że komunistów oskarża się teraz o wszystko, co najgorsze. Widzisz więc, że koniec wojny nie oznaczał wcale końca walk.

Dotarliśmy bezpiecznie do Wuczangu, gdzie mieliśmy spędzić jedną noc w hotelu. Dopiero wtedy Hulan i ja zdałyśmy sobie sprawę, że nigdy się już nie zobaczymy. Ona i ciocia Du jechały stąd na daleką północ do Harbinu, gdzie oddelegowano Jiaguo; miał nadzorować, by japońskie oddziały i ich dowódcy

poddawali się Kuomintangowi, a nie komunistom. Wen Fu, Danru i ja jechaliśmy pociągiem do Nankinu, a stamtąd łodzią do Szanghaju.

To prawda, że często się z nią kłóciłam i przez ostatnie osiem lat dochodziło między nami do wielu nieporozumień, teraz jednak zrobiło się nam bardzo smutno. Ostatniej nocy w hotelu rozmawialiśmy przez wiele godzin, aż wreszcie oczy same zamknęły się nam ze zmęczenia.

Następnego ranka powoli jedliśmy śniadanie, tak samo proste, jak to, które ci opisałam: ryż i czerwoną fasolkę. Po posiłku wymieniliśmy adresy. Dałam jej adres swego ojca i stryja na wyspie, ona zaś skopiowała adres w Harbinie, który dał jej Jiaguo. Potem obie poszłyśmy przeszukać walizki, by znaleźć jakiś prezent na pożegnanie.

Hulan wręczyła mi dwie pary drutów, jedne grube, drugie cienkie. Ja dałam jej swój najlepszy sweter, niebieski z wymyślnym wzorem, który sama wydzierałam. Roześmiałyśmy się, widząc, że obie wpadłyśmy na podobną myśl: jedna ofiarowała narzędzia, druga rezultat ich pracy.

Jiaguo dał Wen Fu wieczne pióro, w zamian za co dostał butelkę amerykańskiej whisky.

Potem zobaczyłam, jak ciocia Du bawi się z Danru; była dla niego jak babka. Wróciłam do kufra, chcąc znaleźć coś specjalnego także dla niej. Przypomniałam sobie, jak bardzo podobała jej się niebieska butelka po perfumach, którą czasami dawałam Danru do zabawy. Po raz ostatni podniosłam butelkę do światła, po czym poszłam i wręczyłam ją cioci Du. Zaprotestowała głośno:

- A na co mi taka rzecz?

Wcisnęłam jej butelkę do ręki. Zaczęła płakać, mówiąc, jak bardzo krępuje się ją przyjąć.

- Nie mam co ci dać w zamian - powiedziała.

- Ja też daję ci tyle co nic, ot, kolor, na który można popatrzeć, wspominając pewną głupią kobietę i jej syna.

Tuż przed odjazdem uścisnęłyśmy z Hulan ręce. Chciałam przeprosić za wszystkie kłótnie, ale nie wiedziałam, jak.

- Zdaje mi się, że nabierałaś dokładnie sto fasolek - powiedziałam w końcu.

Od razu zrozumiała, że chodzi mi o ostatnią kłótnię w Kunmingu. Śmiejąc się, potrząsnęła głową.

- Nie, pewnie miałaś rację. Tylko pięćdziesiąt i ani jednej więcej.

- Sto - nalegałam.

- Pięćdziesiąt, a może i mniej - odparła stanowczo, po czym dodała z nagłą nieśmiałością: - Nasza rodzina była wtedy bardzo biedna. Musiałam rozdzielać małą kupkę fasoli między siebie i siostrę: jedna dla mnie, jedna dla niej, jedna dla mnie, jedna dla niej. Sama widzisz, że sto fasolek mogło mi się tylko marzyć.

Kiedy wysiedliśmy w Szanghajskim porcie, nie ruszyliśmy od razu, by odwiedzić rodziców Wen Fu. Tak nakazywałyby zwyczaj, ale podczas japońskiej okupacji Wenowie przenieśli się w głąb lądu i podróż do nich zajęłaby jeszcze jeden dzień pociągiem. Wen Fu uparł się, żeby najpierw pojechać do mego ojca. Pewnie podobała mu się myśl, że zamieszka w takim eleganckim domu. Uznał poza tym, że w Szanghaju zrobi lepsze interesy niż w małej wiosce na prowincji. Nie powiedział, o jakie interesy chodzi, a ja nie pytałam.

- Oczywiście twój ojciec zechce, żeby córka zamieszkała przy nim - powiedział.

Miał na sobie mundur lotnika i pewnie wyobrażał sobie, że wszyscy ucieszą się na jego widok; wielki bohater wojenny.

Nie sprzeczałam się. Też miałam ochotę zobaczyć się najpierw z ojcem. Nie myślałam nawet specjalnie o jego pomocy, ale o tym, że zwyczajnie ucieszy się ze spotkania.

Wynajęliśmy w porcie samochód, który miał nas zawieźć wprost do domu. Wen Fu mruczał pod nosem wesołą piosenkę, Danru z zapalem wyglądał przez okno, kręcąc głową na wszystkie strony, żeby nie przegapić żadnego z widoków tego dziwnego, wielkiego miasta.

- Mamo, zobacz! - zawołał, pokazując na kierującego ruchem Hindusa w czerwonym turbanie.

Jako dziecko płakałam czasem na widok tych hinduskich policjantów, bo jedna z żon ojca postraszyła mnie kiedyś, że jeśli nie będę grzeczna, to odda mnie jednemu z „czerwonych kapeluszy”, żeby zakłuł mnie ostrą brodą.

- Nie bój się - powiedziałam do Danru. - Widzisz ten czerwony kapelusz na jego głowie? To tylko stos upranych ubrań.

Danru próbował wleźć na siedzenie, żeby lepiej widzieć.

- Nie gadaj chłopcu bzdur - warknął Wen Fu i Danru usiadł z powrotem.

Miasto było cudownie zatłoczone i hałaśliwe, zupełnie, jakby niczego nie zniszczono i nic się nie zmieniło, przynajmniej nie przy głównych ulicach. Samochody i taksówki nie żałowały klaksonów, między nimi przepychały się rowery, a chodniki roily się od najróżniejszych przechodniów: widziałaś bogatych kupców w świetnie skrojonych garniturach, wieśniaków, pchających wózki z warzywami, idące pod ramię uczennice, nowoczesne kobiety w najmodniejszych kapeluszach i butach na najwyższych obcasach. Wiedziały, że wszyscy przyglądają im się z zazdrością.

Oczywiście kręcili się tam również cudzoziemcy, choć nie tak wielu, jak w mojej pamięci. Wyglądali mniej dumnie, kroczyli nie tak pewnie i ostrożnie przechodzili przez ulice, wiedząc, że świat się dla nich nie zatrzyma.

Po drodze do domu ojca próbowałam zaplanować, w jaki sposób opowiem mu o swoim małżeństwie i jak wyjaśnię, czemu muszę odejść.

Na siłę przypominałam sobie, co stało się z Yiku.

„Ojczy! - zawołałam. - On powiedział, że nie obejdzie go, nawet jeśli dziecko umrze. Pozwolił, by umarła!”

Myślałam o tym, jak Wen Fu przepuścił prawie cały mój posag.

„Kiedy nie miał już co mi ukraść, posługiwał się moim ciałem jak żetonem. Śmiał się i mówił tym ludziom, że jeśli przegra, mogą się ze mną przespać!”

Przypominałam sobie te noce, podczas których używał mnie po wizycie u innej kobiety.

„Raz sprowadził jedną do naszego łóżka i kazał mi patrzeć. Nie zrobiłam tego oczywiście, ale nie mogłam nie słyszeć”.

Im więcej o tym myślałam, tym szybciej oddychałam, a piersi przepełniała mi nienawiść. Ojciec nie mógł odmówić mi pomocy! Pomoże mi z pewnością. Jakaż rodzina życzyłaby sobie takiego zięcia bez uczuć, zasad i wstydu?

Takie właśnie myśli snuły mi się po głowie, gdy zajechaliśmy przed dom przy ulicy Julu. Nie wzięłam pod uwagę jednego: jeśli moje życie tak bardzo się zmieniło przez ostatnie osiem lat, być może ojciec też nie pozostał taki sam.

Kiedy tylko minęłam łuk bramy, uderzył mnie dziwny wygląd domu. Zamknięto wszystkie okiennice, zupełnie jak na zimę, choć był dopiero wrzesień i ciepło.

- Jaki wielki dom - powiedział Danru. - Kto w nim mieszka? ;

- Cicho! - osadził go Wen Fu.

Nie znałam dobrze ojcowskiego domu, więc wiele innych zmian umknęło z początku mej uwadze. Potem pokazano mi bramę, roztrzaskaną i naprawioną byle jak, obalone posągi na podwórzu, ściany pierwszego piętra pomalowane na chybicka farbą, która nie pasowała do reszty domu. Za zamkniętymi okiennicami brakowało szyb.

Po długim oczekiwaniu otworzono drzwi. Służąca przyglądała nam się podejrzliwie, póki nie powiedziałam jej, że jestem córką Jiang Sao-yena, a to jego zięć i wnuk.

- Aiyi - powiedziałam, używając uprzejmego zwrotu „ciociu”, gdyż nie znałam pozycji tej służącej, drobnej, pulchnej kobiety nie pierwszej młodości - przysłam odwiedzić ojca.

Miała na sobie prosty strój roboczy i zupełnie nie przypominała służącej, którą wysłano by do otwierania drzwi w szanującym się domu. Wyglądała raczej na kogoś, kto sprząta, kiedy nikt nie patrzy.

- Ach, wejdźcie, wejdźcie!

Nie zawołała ochmistrzyni, która mogłaby nas godnie powitać, lecz sama zaprowadziła nas do ojca, siedzącego w zacienionym gabinecie ze wzrokiem utkwionym w ścianie.

Obrócił się w fotelu, ledwie musnął spojrzeniem mnie i Danru, skupiając wzrok na Wen Fu. Gwałtownie uniósł jedną brew. Nie z radości. Ze strachu. Wyglądał jak człowiek, którego wreszcie złapano. Szybko podniósł się z krzesła i zobaczyłam, jak ma zgarbione plecy. Ależ się zestarzał przez te osiem lat! Czekałam, że się z nami przywita, ale nie powiedział ani słowa. Cały czas wpatrywał się w Wen Fu.

- Ojczy - szepnęłam w końcu.

Dałam kuksańca Danru. Zrobił krok naprzód, szepcząc:

- Jak się miewasz, dziadku?

Ojciec obrzucił szybkim spojrzeniem mnie, potem Danru, Wen Fu i znowu mnie. Brew wróciła na miejsce, a na twarzy odmalowała się ulga. Ciężko opadł na krzesło.

- Czy dostałeś moje listy? To twój wnuk, skończył już pięć lat.

Ojciec zakrył twarz dłonią i nie odpowiedział. Bałam się mówić coś więcej, a w duchu zastanawiałam się, co się stało. Ktoś umarł? Gdzie się wszyscy podziali?

- Chodźcie, chodźcie, ojciec potrzebuje odpocząć - zawołała nas cicho służąca. - Sami pewnie też jesteście śmiertelnie zmęczeni - podjęła na korytarzu przyjaznym tonem, który nappełnił mnie otuchą. - Wejdźcie tu, napijcie się herbaty. A ty, chłopczyku? - zwróciła się do Danru: - Czy twój mały brzuszek ma ochotę na coś do jedzenia?

Wprowadziła nas do dużego salonu, tego samego, w którym Stara i Nowa Ciotka prosiły o zgodę na moje małżeństwo. Zasłony były zniszczone, ze ścian zwisała naderwana tapeta, a we wszystkich kątach leżał kurz. Służąca musiała zauważyć moje zaskoczenie i zmarszczone brwi Wen Fu, bo pospieszyła naprzód i wytrzepała poduszkę kanapy, wzbijając kłęby pyłu.

- Miałam tyle innych zajęć - odparła, śmiejąc się nieśmiało i przecierając rękawem brudny stół.

- Nie szkodzi, nie szkodzi - odparłam. - W końcu wszyscy nacierpieliśmy się przez tę wojnę. Wiemy, że wiele się pozmieniało.

- Tak, tak, prawda? - podjęła z wdzięcznością. Znow zaczęliśmy wodzić wzrokiem po niechlujnym salonie.

- Gdzie są wszyscy? - zapytał w końcu Wen Fu.

- Jak się mają? Zastałam San Ma i Wu Ma w dobrym zdrowiu?

- O tak, czują się świetnie - odparła służąca z szerokim uśmiechem. - Bardzo zdrowe, ale nie ma ich teraz. Pojechały do przyjaciół. - Wtem spojrzała na Wen Fu i zaczęła się denerwować. - Nie mogę dokładnie powiedzieć, dokąd - wyjaśniła pospiesznie. - To znaczy, nie bardzo wiem. Taka już ze mnie głupia, stara kobieta, nic mi się nie trzyma w głowie - roześmiała się w nadziei, że się przyłączymy.

Widzisz więc, że mój powrót do domu wyglądał bardzo dziwnie. Pierwszego dnia nie miałam pojęcia, co się stało. Uznałam, że to wojna załamała i ojca, i dom. Dopiero następnego ranka, kiedy Wen Fu pojechał w odwiedziny do przyjaciół, dowiedziałam się o nowej sytuacji rodziny i o tym, czemu ojciec wystraszył się tak bardzo na widok Wen Fu w mundurze Kuomintangu. .

Służąca powiedziała prawdę: nasz dom wiele ucierpiał podczas wojny. Jednak powodem zniszczenia nie były bomby i pociski, lecz słaba wola mego ojca. Nie znałam go od tej strony. Zawsze wyglądał na człowieka, który trzyma innych silną ręką. Nawet dziś trudno mi uwierzyć, że jego charakter krył w sobie aż tak wielkie sprzeczności.

Pewnie była to jedna z tych rzeczy, które wychodzą z ludzi podczas wojny. Tak określiła to San Ma, kiedy wróciwszy do domu, wyjaśniała mi, co się stało. Na samo wspomnienie wciąż ogarniał ją gniew.

- Widzisz, na początku wojny w fabrykach twego ojca zaczęły się trudności - powiedziała. - Działo się tak u wszystkich, wiesz przecież. Nic nie można było poradzić. Jedna klęska pociągała za sobą drugą, trzecią. Rodziny traciły majątki, więc nie mogły już nic więcej kupować, zamykano sklepy z elegancką odzieżą, więc ich właściciele przestawali kupować od nas materiały. Zagraniczne statki przestały zawijać do Szanghaju, więc ojciec nie mógł też już niczego eksportować. Mimo wszystko nie brakowało nam pieniędzy, więc na początku nikt się specjalnie nie martwił. Ale wojna ciągnęła się rok za rokiem, a rzepiaki zaczęły przejmować coraz więcej przedsiębiorstw.

- Rzepiaki? - zapytałam.

- Rzepiaki! - powtórzyła San Ma. - Tak nazywaliśmy Japończyków, bo bez przerwy obżerali się tą swoją marynowaną rzepą, a potem - prfff! - ciągnęli za sobą smród!

Tak czy inaczej, chodzili po różnych firmach, udając, że sprawdzają bezpieczeństwo albo urządzają inspekcje sanitarne. Phi! Wszyscy wiedzieli, że jedyne, czego chcą, to sprawdzić, czy nie ma jeszcze czegoś do zabrania. Wiedzieliśmy, że jeśli ktoś nie chce współpracować i stawia choćby najmniejszy opór, Japończycy wynajdą przyczynę, żeby zabrać wszystko, łącznie z życiem!

Każdy bardzo uważał, oczywiście, żeby niepotrzebnie nie wpędzić się w kłopoty, od czasu do czasu słyszało się jednak o słabeuszach, którzy poddali się Japończykom całkowicie. Przeszli na ich stronę w zamian za to, że pozwolono im trzymać się własnych przedsiębiorstw. Zdrajcy podpisywali przysięgę lojalności wobec rzepiaków, przez co wszyscy cierpieli, bo Japończycy rośli w siłę. Ludzie pluli, słysząc ich nazwiska. Nocą chodzono potajemnie na ich rodzinne cmentarze i niszczone groby.

Pewnego dnia, pewnie w lecie tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego, chociaż może się mylę, zjawił się w naszym domu oficer z paroma pomocnikami. Służąca, która otworzyła im drzwi, wrzasnęła i zemdląła. Zażądali widzenia z Jiang Sao-yenem. Poszli do jego gabinetu. Służba nie chciała wyjść z kuchni, więc sama musiałam podać herbatę japońskim oficerom, rzecz jasna, ledwo ciepłą i słabą.

Oficerowi bardzo podobały się meble ojca, wychwalał ich wartość i wiek. Potem zwrócił się do niego, zupełnie jakby patrzył na jeszcze jedną rzecz godną pożądania. Powiedział: „Jiang Sao-yen, podoba mi się pańskie obejście i zdrowy rozsądek. Umie pan dawać sobie radę w nowej sytuacji i wie pan również, jak sprawić, by Szanghaj wrócił do normy”.

Ojciec nie odezwał się ani słowem. Siedział na krześle, emanując siłą. Nawet nie drgnął. Japoński oficer krążył po pokoju, dotykając sędziowskiego biurka, grzbietów wspaniałych książek i malowanych zwojów na ścianach. Zauważył, że bardzo chciałby mieć u siebie takie cenne ozdoby.

„Jiang Sao-yen - powiedział ten Japończyk - potrzebujemy pańskiego rozsądku, by przywołać do porządku innych, żeby zaczęli zachowywać się podobnie. Poprawne rozumowanie, takie jak pańskie, może się przyczynić do zakończenia wojny. Z pożytkiem dla Chin. To jest dopiero patriotyzm! W ten sposób ucierpi mniej rodzin i mniej przedsiębiorstw. Wszystko może zostać nietknięte. Tak ja to” - tu pokazał na zwój na ścianie.

W tym momencie twój ojciec wstał i rzucił w malowidło filiżanką herbaty! Naprawdę. Te cztery zwoje miały ponad dwieście lat, a on zniszczył jeden rzutem filiżanką! Byłam z niego bardzo dumna.

Nie miałam pojęcia, co się potem działo. Kiedy wychodziłam, ojciec właśnie rzucił filiżanką, jakby chciał powiedzieć: „Raczej zniszczę swoją własność, niż miałbym ją wam oddać”.

Następnego dnia miał wystraszoną minę. Pomyślałam, że pewnie niedługo stracimy dom. Zanim wyszłam za mąż, mieszkałam dość biednie, więc teraz przygotowywałam się do powrotu do starego trybu życia. Przyjęłam to ze spokojem.

A tu nagle po jakichś dwóch dniach na frontowej ścianie domu pojawił się transparent, a na bramie przyczepiono plakat, obydwaj tej samej treści: „Jiang Sao-yen, właściciel tego domu i Tekstylnych Towarzystw Handlowych «Pięć Feniksów», popiera nowy rząd Chin, pod protektorem Jego Cesarskiej Mości Hirohito”. Takie same ogłoszenia ukazały się w lokalnej prasie. W artykule powiedziano, że Jiang Sao-yen zachęca rodaków do stworzenia nowych Chin, zjednoczonych z Japonią w walce przeciwko obcemu imperializmowi.

Opuściła nas prawie cała służba, a także moi synowie z rodzinami. Synowie Wu Ma ze swymi żonami i dziećmi zostali, ale oni zawsze zachowywali się jak te kurki na dachu, nieważne, skąd wiatr wieje.

Próbowałam wyciągnąć od ojca, czemu to zrobił. Nie odpowiedział. Najpierw na niego nakrzyczałam, pierwszy raz w życiu! Potem już nikt się do nikogo nie odzywał.

W ciągu kilku tygodni fabryki zaczęły pracować na pełnych obrotach i wysyłać materiały za granicę. O tym sukcesie również napisano w gazetach.

Znowu na niego nakrzyczałam: „Więc po to zostałeś zdrajcą?! Dlatego zrujnowano nam groby rodzinne i za to po wieczne czasy będziemy się smażyć we wrzącym oleju?” Ojciec też na mnie wrzeszczał, nawet chciał mnie uderzyć. Zamachnął się, ale nagle ramię obwisło mu jak ukręcona szyja kaczki. Opadł na krzesło, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Dostał wylewu.

Po kilku miesiącach prawie całkowicie odzyskał władzę w rękach i nogach, jednak nadal nie mógł mówić. Szczerze mówiąc, zawsze podejrzewałam, że po prostu nie chce rozmawiać o tym, co narobił. Potrafił ruszać połową ust. Wyglądał tak, jakby miał twarz podzieloną na pół, na każdej połowie inny wyraz. Jedną część ukazywał światu, a drugą stracił i nie dało się już tego ukryć.

Możesz sobie wyobrazić, co się stało po skończeniu wojny. Żołnierze Kuomintangu zajmowali domy i przedsiębiorstwa kolaborantów. Natychmiast zamknięto nasze fabryki, aż do czasu, gdy zdecydują, jak postąpić ze zdrajcą. Potem pojawiło się mnóstwo rozwścieczonych ludzi z torbami pełnymi kamieni. Malowali nam na ścianach hasła i rozsmarowywali nieczystości. „Kto głaszcze koński zad, zasługuje na ośle gównno”.

Niedługo potem przyszło do nas kilku ludzi z Kuomintangu. Ojciec, rzecz jasna, nie mógł mówić, więc ja wszystko wyjaśniłam. Powiedziałam, że ojciec nienawidził Japończyków z całego serca, a kiedy przejmowali jego fabryki, był już po wylewie. Nie mógł walczyć, choć wszyscy wiedzieliśmy, że na pewno by to zrobił. Sami widzieli, że siedzi bezradny i nie może nic powiedzieć. Dodałam, że Jiang Sao-yen zrobił, co mógł, żeby potępić zamiary Japończyków. Pokazałam im malowidło zachlapane herbatą.

Kuomintangowcy stwierdzili, że ta wymówka nie wystarczy, bo w opinii publicznej ojciec na zawsze zostanie zdrajcą. Jednak zamiast rozstrzelać tak jak

wszystkich innych, zostawią go na razie w spokoju i później zdecydują, na jaką karę zasłużył.

- Jesteś naprawdę dobra - powiedziałam San Ma.

Wróciwszy na górę do pokoju matki, myślałam nad opowieścią San Ma. Co skłoniło ojca do zmiany decyzji? Strach? Łapówka albo chęć zysku? Czy wydało mu się, że w ten sposób zapewni sobie spokój?

Powody nie są ważne. Zresztą, dla innych żaden powód nie byłby dobry. Ojciec postąpił źle, popełnił wielki błąd. Patrząc na wszystko z dystansu, wiedziałam, że zrobił coś najgorszego pod słońcem: zaprzedał honor i dla własnej wygody został zdrajcą.

Potem pomyślałam sobie, że nie można winić kogoś za strach i słabość, jeśli nie doświadczyło się ich samemu i samemu nie udowodniło się, że można je pokonać. Nie w każdym drzemie bohater gotowy na śmierć, wręcz przeciwnie, kurczowe trzymanie się nadziei na życie leży głęboko w ludzkiej naturze.

Mówiąc tak, nie szukałam dla niego wymówek. Wybaczałam mu z całego serca, czując ten sam smutek, jaki ogarnia człowieka, gdy wie, że nie ma wyboru. Gdybym oskarżyła ojca, oskarżyłabym też matkę za to, że opuściła mnie, szukając własnego życia, a potem również samą siebie - za wszystkie dotychczasowe decyzje, pochodzące z tego samego źródła.

Kiedy Wen Fu dowiedział się o uczynku ojca, z początku wpadł w straszną wściekłość. Kolaborant! Zdrajca narodu Han! Zupełnie jakby sam zachował się lepiej. Czy nie zawracał samolotu, bojąc się, że go zestrzelą? Nie ratował własnej skóry, kiedy ginęli inni piloci?

Trzeba ci było widzieć, jak Wen Fu przeklina ojca siedzącego w milczeniu na swoim krześle.

- Sam powinienem wydać cię Kuomintangowi!

Prawe oko ojca otworzyło się szeroko ze strachu. Drugie patrzyło bez wyrazu i zainteresowania. Nagle Wen Fu powiedział:

- Masz szczęście, że twoja córka poślubiła człowieka o dobrym sercu.

Natychmiast spojrzałam na niego podejrzliwie.

- Twój ojciec potrzebuje teraz mojej pomocy. Ma kłopoty z Kuomintangiem. Ja jestem ich bohaterem. Mogę go chronić.

Chciałam krzyknąć: „Ojcie! Nie słuchaj go! On wiecznie kłamie!”, ale ojciec patrzył już na niego z połową wdzięcznego uśmiechu.

Z wyjaśnień Wen Fu wynikało, że kłopoty znikną, jeśli tylko powierzy mu się wszystkie rodzinne finanse. Słaby na umyśle ojciec bez trudu dał się przekonać, a nie muszę ci chyba mówić, że jedyną rzeczą, która potem zniknęła, okazały się jego pieniądze!

Natychmiast wprowadziliśmy się do jego domu, wraz z rodzicami i paroma krewnymi Wen Fu. Wróciło kilkoro starych służących, ale Wen Tai-tai wynajęła także nowych. San Ma i Wu Ma wcale się nie cieszyły, bo rządy objęła teraz matka Wen Fu. Przewróciła wszystko do góry nogami.

Człowieka, który znał się tylko na ogrodzie, odesłała do trzepania dywanów. Kucharce kazała robić pranie. Służącej od opróżniania nocników zleciła siekanie warzyw. Wydawała jeden sprzeczny rozkaz po drugim. Kiedy służba nie wiedziała już, co robić, teściowa wpadała w okropny gniew, strasząc, że pościna im głowy, a ich ciała rzuci muchom! Większość służących niebawem odeszła.

To pewnie po niej Wen Fu odziedziczył charakter. Ona też nauczyła go chyba wydawania pieniędzy. Nigdy przedtem nie spotkałam się z taką chciwością. Wydawała krocie na futra i biżuterię, a przy tym potrafiła zaciskać garść tak mocno, żeby nikomu nie dostała się choćby jedna dodatkowa moneta.

Widziałam, jak dała raz służącej sto juanów na zakupy. Wtedy nie było to wiele warte, może kilka dolarów. Kiedy służąca wróciła z rynku, Wen Tai-tai kazała jej wymienić wszystko, co kupiła. „Ile za to? Pewna jesteś? A za to? Na pewno?” Kazała jej liczyć wciąż od nowa, bo wydało jej się, że brakuje dziesięciu fenów, mniej niż dziesiątej części pensa. Służąca, która pracowała w rodzinie mego ojca od czterdziestu lat, odeszła w ciągu godziny.

W tym samym czasie Wen Fu z ojcem przepuszczali majątek na wyścigach konnych, a Wen Tai-tai każdego wieczora zapraszała gości na madżonga. Nie byli to nawet przyjaciele, tylko zblazowane snoby - zachowywali się tak, jakby wygrana czy przegrana piętrzących się na stole olbrzymich sum nie robiła na nich żadnego wrażenia.

A jak sądzisz, skąd pochodziły pieniądze na te hulanki? Ta rodzina miała kradzież we krwi, im więcej, tym lepiej. Z naszego domu urządzili sobie targ. Klienci wchodzili od frontu, a potem tyłem wynoszono meble, dywany, cenne kufry i zegary. Nic ich nie obchodziło, ile te rzeczy dla nas znaczą. Widziałam, jak ktoś niesie toaletkę należącą do mojej matki, tę samą, w której chowała przede mną angielskie herbatniki. Następnego dnia zniknął także stół, na którym siedziała, czesząc włosy.

Pewnego razu oboje z ojcem patrzyliśmy na człowieka, taszczącego biurko z ojcowskiego gabinetu. Było to owo sędziowskie biurko, długie i szerokie, z rzeźbionymi nogami. Należało do rodziny od wielu pokoleń, co najmniej dwieście lat. Widziałam, jak ojciec ze wszystkich sił stara się powstrzymać od krzyku.

Biurko nie dawało się wynieść - nie chciało po prostu przejść przez drzwi. Robotnicy próbowali przekreślać je to w jedną stronę, to w drugą, wreszcie nabywca zażądał od Wen Fu zwrotu pieniędzy. Na twarzy ojca pojawiło się pół uśmiechu ulgi.

Zaczęła się kłótnia. Wen Fu nie chciał o niczym słyszeć.

- Sam zobacz, biurko nie da się ruszyć - powiedział mężczyzna.

- To już twój problem - odparł Wen Fu.

- Nic się z tym nie da zrobić! - wrzasnął tamten. Trwało to tak przez kilka minut, aż wreszcie Wen Fu złapał krzesło i zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, przetrącił nogi stołu na pół.

- No i po kłopotcie - powiedział.

Trzeba ci było widzieć cierpienie na twarzy ojca.

Nikt nie umiał powstrzymać Wen Fu od szalonego sprzedawania i wydawania pieniędzy. Ani żony ojca, ani ich córki, ani ich mężowie. Byli bezradni. Jeśli ktoś powiedział choćby jedno słowo, Wen Fu zaczynał krzyczeć:

- Mam was wszystkich razem z tym zdrajcą wtrącić do więzienia? Tego ode mnie chcecie?

Na takie dictum wszystkie protesty ucichały.

Zdradzę ci teraz pewien sekret. Może i siedziałam cicho, ale zawsze udawało mi się znaleźć sposób, by z nimi walczyć. Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam, bo w tamtym czasie moje serce radowały tylko podłe uczynki.

Ukradłam raz kostkę z kompletu do madzonga. Matka Wen Fu zasiadła z przyjaciółmi do gry, ale szybko odkryli, że nie da się grać, póki nie znajdą brakującej

części. Słyszałam jej krzyki: „Na pewno? Złóżcie je z powrotem! Policzcie jeszcze raz!” Musiałam trzymać się za brzuch, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Następnym razem strasznie się rozzłościłam, bo Wen Fu odmówił wydania pieniędzy na wstawienie szyb.

- Insekty i choroby rozlażą się po domu - powiedziałam, ale nic go to nie obeszło.

Tak więc pewnego dnia wzięłam pudełko i wyszłam do ogrodu poszperać pod kamieniami. Potem wróciłam do pokoju Wen Fu, tego, który zabrał memu ojca, i rozrzuciłam insekty po komodzie i pod materacem na łóżku. Mój pokój znajdował się po przeciwnej stronie korytarza, więc w nocy słyszałam, jak Wen Fu wypędza te robaki, krzycząc i waląc kapciami. Oczywiście okien i tak nie naprawił.

Potem udało mi się dostać z powrotem pokój matki. Teściowa wybrała go dla siebie, kiedy się tylko wprowadziła: jej widok tam zawsze wyprowadzał mnie z równowagi. Dostrzegłam szansę, słysząc, jak narzeka:

- Ostatniej nocy zrobiło się tak zimno, jakby wiatr wiał przez ściany.

- Aj! - odezwałam się natychmiast - słyszałam, że umarła tam pewna kobieta. Czy to prawda? - zwróciłam się do San Ma, która z radością mi pomogła:

- Morderstwo albo samobójstwo. Nikt dokładnie nie wie, bo okoliczności pozostały niejasne. Oczywiście to już stara historia, teraz nie ma się czym przejmować.

Jeszcze tego samego dnia matka Wen Fu zmusiła mnie, bym się z nią zamieniła.

Jednak nawet duch mojej matki nie mógł zapobiec wieczornym wizytom Wen Fu. Wnosił z sobą zapach nocnych klubów: papierosów, whisky i perfum. Wtaczał się na mnie, rozsuwał mi nogi i ręce, jakby rozstawiał składane krzesło. Gdy się już zaspokoił, wstawał i szedł do siebie. Nie padało między nami ani jedno słowo.

Ja również wstawałam. Na te okazje zawsze miałam w pogotowiu miednicę z wodą. Moczyłam kawałek płótna, myłam się, trąc mocno i długo każde miejsce, którego dotykał. Potem wylewałam te brudy przez okno. Plask!

XX

Cztery córki przy stole

Pamiętasz Ednę Fong? Chodzi do naszego kościoła, ma trzy córki i dwóch synów, z których jeden został doktorem. Na przyjęciu zaręczynowym Bao-bao była w czerwonej sukni.

Helen powiedziała, że Edna odkryła właśnie, że drugi syn ma problemy psychiczne. Syn Edny, nie Helen. Helen powtarzała zawsze, jak bardzo martwi się przyszłością Franka, ale kiedy usłyszała o Ednie, od razu zrobiła się wdzięczna. Wdzięczna za swojego syna, nie syna Edny. „Przynajmniej nie mam w rodzinie takich problemów”, powiedziała.

Pamiętam, że pomyślałam sobie: to żadna wdzięczność, to wymówka! Tak właśnie myślą ludzie w Chinach. Spoglądają na cudze nieszczęścia, żeby nie myśleć o własnych. Po co robić takie porównania? Sprowadzają tylko lęk. Zamiast mieć nadzieję na lepsze życie, zastanawiasz się, ile jeszcze możesz stracić.

Gdybym i ja tak myślała, wciąż jeszcze tkwiłabym w Chinach, widziałam tam bowiem wielu, wielu ludzi, którym wiodło się znacznie gorzej niż mnie.

Na przykład w powojennym Szanghaju widywało się wszystkie rodzaje żebraków, w tym wiele kobiet. Siedziały na ulicach, niektóre miały przed sobą kartki z wypisanymi historiami, niczym reklamę: tej w czasie wojny zginęła cała rodzina, tę opuścił mąż, mąż tamtej stał się nałogowym palaczem opium i sprzedał wszystko, łącznie z dziećmi.

Może niektóre przesadzały, ale i tak wyobrażasz sobie, co czułam. Przecież kiedyś powiedziałam sobie, że wolę raczej zostać żebraczką niż tkwić dalej w tym małżeństwie!

Przestraszyłam się. Gdybym wiedziała, że uciekam do czegoś lepszego, czułabym się inaczej. Teraz jednak nie miałam nadziei, do której mogłabym dążyć.

Myślałam o tym bardzo długo. I wiesz, do jakiego wniosku doszłam? Że nadal chcę odejść! Naprawdę. Leżąc kiedyś w łóżku, przyrzekłam to sobie, wzięwszy na świadka księżyc w pełni.

Nie wiem, co mną kierowało. Pewnie upór. Wiedziałam tylko, że nie zdołam dalej tak żyć. Widzisz więc, że podjęłam decyzję na długo przedtem, zanim znalazłam oparcie w nadziei.

Postanowiłam odejść po odwiedzinach u Starej i Nowej Ciotki na wyspie Tsungming. Wypadało je odwiedzić.

Zanim jednak doszło do wyjazdu, Danru dostał nagle wysokiej gorączki i cały zrobił się żółty. Potem i ja się rozchorowałam. Sądzę, że złapaliśmy żółtaczkę po wyjeździe z Kunmingu, podróżując jeszcze z Hulan i Jiaguo. Wiem o tym, bo dostaliśmy od Jiaguo list, w którym opowiadał o nowym mieszkaniu i postępach w pracy. Pod spodem Hulan dopisała swym dzieciennym pismem kilka słów. Mówiła o rodzicach Jiaguo, bardzo miłych ludziach, i o nowym stole, tak pięknym, że go ludzkie słowo nie opisze. Na koniec dodała, że czuje się dobrze, chociaż ostatnio chorowała. Jiaguo wyjaśnił, że zrobiła się żółta jak pole pszenicy i chuda jak kosa.

Moim zdaniem pochorowaliśmy się od tych małych raków, na które Hulan miała ochotę w Czangsza. Choroba siedziała w naszych ciałach i pewnego dnia wyszła na wierzch.

Tak czy inaczej, kiedy Danru zachorował, musiałam pchnąć posłańca, żeby wyjaśnił ciotkom, czemu nie przyjeżdżamy. Po wojnie nadal nie było telefonów między wyspą a Szanghajem.

Jakiś tydzień później dostałam list od Starej Ciotki, pisany jej marną chińszczyzną. Podobnie jak Hulan, ciotka nigdy nie chodziła do szkoły; nauczyła się pisać już jako dorosła osoba, dlatego też nie znała chińskiego w wersji pisanej ani właściwych zwrotów, świadczących o dobrym pochodzeniu. Przelewała na papier, co jej ślina na język przyniosła.

Ta twoja stara ciotka - pisała - niemal podarła list na pół, tak się wzruszyła na widok posłańca. Jak możesz mówić, że to tylko mała choroba, nic ważnego? Zdrowie to zawsze najważniejsza rzecz. Tutaj wszyscy zdrowi, nie tak jak Miao Taitai. Pamiętasz ją? Zaaranżowała twoje małżeństwo z Wenami. Przytrafiło jej się to w zeszłym tygodniu. Najpierw stoi, narzekając, że goni ją mucha, a za chwilę leży na podłodze. Co za nieszczęście. Wtedy mąż Miao pobiegł do budki telefonicznej, żeby zadzwonić po doktora. Dzwonił, dzwonił i dzwonił, ale nie mógł się połączyć!

Wszystkie linie zajęte. Potem znowu dzwonił i dzwonił. Bez skutku. Wybiegł, zawołał chłopca: „Hej, leć po doktora. Pospiesz się, tu masz trochę pieniędzy”. Chłopiec pobiegł jak koń wyścigowy, tak mówiła sąsiadka. Nie wiadomo, czemu doktor guzdrał się tak długo. Kto wie, kim się akurat zajmował? Nie mam pojęcia. Kiedy przyszedł do domu Miao po trzech godzinach, wiesz, co zastał? Żonę płaczącą nad ciałem męża, zimnym jak podłoga, na której leżał. Nieżywy. No, sama pomyśl. Wystraszył się na śmierć, myśląc, że ona umarła. Nie umarła, za to on umarł, i to zupełnie bez sensu, jak powiedziałam twemu stryjowi. Mówię mu: „Teraz mi wierzysz? Trzeba naprawić telefon”. Zepsuł się w czasie wojny, kiedy próbowałam się dodzwonić do stryja do fabryki i nie chciało mnie połączyć. Teraz stryj powtarza: „A na co komu telefon?” Ja wcale nie czuję się dobrze. Jeśli upadnę na podłogę, to co będzie? Weiwei, nie martw się mną za bardzo, ale kiedy przyjedziesz, musisz stryjowi wytłumaczyć. Ciocia ma rację, trzeba naprawić telefon. Musisz go zapytać, co lepsze, nie mieć telefonu czy nie mieć żony. Jak mówiłam, zdrowie to ważna rzecz. Wydobrzej szybko. Pij dużo gorących rzeczy, jeśli choroba cię ochładza, a zimnych, jeśli masz gorączkę. Napisz do mnie i powiedz, kiedy możesz przyjechać. Teraz muszę kończyć i iść na pogrzeb męża Miao. Pozdrów wszystkich.

Zanim Danru i ja wydobrzeliśmy na tyle, by móc wybrać się w podróż, minął już Nowy Rok tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego.

Mówiłam ci już, jak traktowały mnie ciotki w dzieciństwie. Zawsze zdawało mi się, że niewiele je obchodzi, że jestem dla nich tylko utrapieniem i ciężarem. Sądziłam, że i ja niewiele do nich czuję. Niby z jakiej racji?

Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo mnie zaskoczyły napływające do oczu łzy, gdy łódź zbliżała się do wyspy. Próbowałam sobie wmówić, że to tylko ostry, zimny wiatr, jednak potem zobaczyłam ich wszystkich - stryja, Starą i Nową Ciotkę - jak machają z nabrzeża, krzycząc: „Tam jest!” Zrozumiałam, że wiatr nie ma tu nic do rzeczy.

Wszyscy się postarzel; wyglądali na steranych życiem. Szczególnie Stara Ciotka. Straciła ostrość rysów, nawet jej brązowoczarne oczy trochę wyblakły. U Nowej Ciotki pojawiło się wiele siwych włosów, a policzki pokryła pajęczyna

zmarszczek. Stryj chodził jak we śnie, budząc się tylko, gdy ktoś krzyknął na niego: „Uważaj! Patrz pod nogi!”

Dopiero na jego widok zdałam sobie sprawę, jak bardzo przypomina ojca. Ten sam zagubiony umysł, ten sam słaby duch. Ich oczy poruszały się wolno tam i z powrotem, jakby szukał opinii u każdego, nie znając własnego zdania. Zrozumiałam, że zawsze tacy byli. Przez te wszystkie lata udawali tylko, że wszystko kontrolują, krzyczeli, kiedy nie wiedzieli, co powiedzieć, i straszili otoczenie, żeby ukryć własny lęk.

Stara Ciotka wciąż głaskała mnie po policzku.

- Aj! Aj! Spójrzcie tylko, jaka blada i chuda! A ten chłopiec? Niemożliwe! To twój syn? Taki duży?

Danru wystąpił naprzód i wręczył Starej Ciotce prezent: kilka funtów cennego korzenia żeń-szeń.

- Dla ciebie - powiedział i zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie, co dalej: - Żebyś żyła wiecznie - znowu się zmarszczył - zawsze w dobrym zdrowiu. To wszystko? - zwrócił się do mnie.

Skinęłam głową.

Ciotki śmiały się i głaskały go po głowie.

- W ostatnim liście mówiłaś, że skończył dopiero sześć lat. To prawda? Taki zmyślny! I spójrz tylko na jego oczy, zupełnie jak u Małego Gongga.

Nie wiedziałam, czy to minione lata tak je złagodziły, czy też po raz pierwszy dostrzegam je naprawdę, bo życie ciężko mnie już doświadczyło.

- A gdzie Mały Gong i Mały Gao? - zapytałam. - Ileż oni teraz mają - piętnaście, szesnaście lat?

- Dziewiętnaście i dwadzieścia! - odparła Nowa Ciotka.

- Aż tyle! Co porabiają? Dobrze im idzie na uniwersytecie?

Ciotki spojrzały po sobie, jakby naradzając się, co powiedzieć.

- Pracują teraz w porcie, o tam, na wprost - odparła w końcu Nowa Ciotka.

- Naprawiają statki - dodała Stara Ciotka. - Przynoszą blachę innym robotnikom, jeden ładuje, drugi pcha taczki, okropna praca.

Usiłowałam wyobrazić sobie tych dwóch rozpuszczonych chłopaków, teraz dorosłych i pracujących w pocie czoła.

- Ach, Weiwei, sama widzisz, co się porobiło - próbowała wyjaśniać Nowa Ciotka. - Interesy stryja szły bardzo źle, wiele maszyn zardzewiało. Nie było pieniędzy, żeby je naprawić i utrzymać fabrykę w ruchu. Widzisz też, co się stało z domem i rodziną. Kiedy drzewo umiera, trawa pod nim więdnie.

- Aj, jak mi przykro to słyszeć.

- Jest gorzej, niż ci się wydaje - dodała Stara Ciotka.

Oprowadziły mnie i Danru po domu, od Starego Wschodu do Nowego Zachodu, by pokazać, co mają na myśli.

Dom podupadł. Zewsząd odłaziła farba, kafelki na podłodze popękały i spod spodu wylaziła ziemia. Wszystkie łóżka zapadały się pośrodku, bo pieniędzy nie starczyło nawet na to, by wzmocnić sznurkowe kratownice.

Najbardziej zasmuciła mnie szklarnia. Wszystkie okienka były popękane lub wybite, a z drewnianych ram sterczały drzazgi. Wiele pór dżdżu i upału pokryło wszystkie sprzęty czarnym nalotem wilgoci i pleśni. Tyle zmian.

Widząc to wszystko i słysząc, co ich spotkało, jakże mogłabym oskarżać Starą i Nową Ciotkę, że wplątały mnie w złe małżeństwo? Jak mogłam prosić o pomoc w ucieczce? Nie mogłam.

Staliśmy wciąż przed szklarnią, kiedy zapytałam o Orzeszka.

- A co z twoją córką? - zwróciłam się do Nowej Ciotki. - Nadal mieszka w domu przy ulicy He De? Ostatni list dostałam od niej ze dwa lata temu. Za każdym razem przepraszała, że nie pisze, a potem znów się nie odzywała. Ta Orzeszek! Ależ z niej głuptas!

Stryj przebudził się na dźwięk jej imienia. Prychnął zdegustowany, wstał i ruszył w stronę domu.

- Orzeszek już nie żyje! - krzyknął, aż Danru i ja podskoczyliśmy na krzesłach.

- Naprawdę? - zawołałam. - Orzeszek nie żyje?

- Stryj wciąż bardzo się na nią gniewa - wyjaśniła Nowa Ciotka.

- Danru, nie jesteś czasem głodny? - spytała Stara Ciotka.

Pokiwał głową.

- Pójdź za stryjecznym dziadkiem do domu, a potem poproś Starą Kucharkę, to da ci miseczkę makaronu - poleciała.

Danru spojrział na mnie.

- Słuchaj stryjecznej babci - powiedziałam.

- Orzeszek uciekła od męża - podjęła Nowa Ciotka, kiedy Danru zniknął. - Poszła do pewnych złych ludzi, którzy twierdzą, że pomagają kobietom wyrwać się z feudalnych małżeństw.

- Phi! Ona i feudalne małżeństwo! - wtrąciła Stara Ciotka. - Zgodziła się! Chciała wyjść za mąż! A tamci ludzie nie powiedzieli jej całej prawdy, przynajmniej nie z początku. Nie powinnam jej była żałować klapsów.

- Oszukali ją - ciągnęła Nowa Ciotka. - Nie przyznali się, a potem było już za późno. To komuniści, tak uważamy. No właśnie, możesz sobie wyobrazić?

- Oczywiście, mąż natychmiast się z nią rozwiódł.

- Też! Niby czemu miałybyście ją z powrotem - dodała Stara Ciotka. - Potem dał ogłoszenie we wszystkich małych i dużych gazetach w Szanghaju. Napisał: „rozwodzę się z Jiang Huazheng, żoną-uciekiniarką”. Twój biedny stryj przeczytał o tym przy obiedzie i mało się nie zadławił kawałkiem rzodkiewki.

- Teraz uważa, że zrobiła to naumyślnie, żeby nas wszystkich wpędzić do grobu - powiedziała Nowa Ciotka. - To nieprawda, ona ma dobre serce. Tylko z głową nie w porządku. Jednak teraz wszyscy jesteśmy zagrożeni. Widzisz, jak się rzeczy mają, całe to gadanie o zjednoczeniu wszystkich partii to czysty nonsens. Jeśli Kuomintang się dowie, że mamy córkę komunistkę, to nasze głowy potoczą się po ulicy.

- Co za głupia dziewczyna! - denerwowała się Stara Ciotka. - Co się stało z tym wszystkim, czego ją nauczyłam? Żadnych trwałych zasad. Trzeba było ją częściej bić.

- Jej małżeństwo przepadło? Przykro mi to słyszeć - powiedziałam, ale zgadnij, o czym tak naprawdę myślałam? Oczywiście! Zastanawiałam się, jak też tego dokonała. Zastanawiałam się też, kiedy uda mi się ją zapytać, jak mam zrobić to samo.

Z uprzejmości zostaliśmy w domu stryja przez dwa tygodnie. Gdybym zatrzymała się na krócej, moglibyśmy uznać, że nie dość ich szanuję. Przed przyjazdem na wyspę poszłam do banku i wycofałam ostatnie pieniądze z posagu. Jak ci już mówiłam, chińskie pieniądze nie były po wojnie wiele warte. O ile pamiętam, zostało mi ze dwa tysiące, jakieś kilkaset amerykańskich dolarów. Część z tego wydałam, by uhonorować krewnych.

Każdego ranka chodziłam z ciotkami na rynek i za każdym razem wybierałam drogie warzywa i mięso, którego, jak wiedziałam, od dawna nie kosztowali.

Codziennie na oczach kupców wdawałam się z Nową Ciotką w głośną kłótnię o to, kto ma płacić. Zawsze płaciłam ja.

Podczas jednej z wypraw powiedziałam w końcu ciotkom, że chciałabym odwiedzić Orzeszka.

- Niemożliwe - odparła natychmiast Nowa Ciotka. - To zbyt niebezpieczne.

- Nigdy bym ci nie pozwoliła - dorzuciła Stara Ciotka. - Ta dziewczyna nie zasługuje na niczyje odwiedziny.

Wczesnie rano w dzień wyjazdu Nowa Ciotka przyszła do mego pokoju. Poleciała Danru, by poszedł pożegnać się ze stryjecznym dziadkiem, a kiedy zostałyśmy same, zrobiła mi długi wykład na temat Orzeszka, zupełnie jakbym nadal chciała ją zobaczyć i jakby można mi było przypisać wszystkie jej przewinienia.

- Może nikt nie wie, że została komunistką - wyjaśniała - ale mimo to nie stanowi dobrego towarzystwa. Zupełnie jak zakaźnie chora, trzeba trzymać ją w odosobnieniu, żeby nie zarażała innych. Dlatego nie powinnaś się z nią widzieć.

Słuchałam w milczeniu. Pod koniec przemowy ciotka westchnęła i dodała:

- Widzę, że nie ma co cię przekonywać. No cóż, nie mogę cię powstrzymać, ale to już nie moja wina!

Rzuciła na łóżko kawałek papieru, na którym znalazłam adres i instrukcje, jakim jechać autobusem i w które ulice skręcać. Potem wyszła.

Nagle zawróciła.

- Tylko nie wygadaj się przed Starą Ciotką - dodała szeptem i zniknęła.

Domyśliłam się, że sama odwiedzała Orzeszka w sekrecie.

Parę minut później w pokoju zjawiała się Stara Ciotka.

- Muszę cię prosić o przysługę - powiedziała, kładąc na łóżku niewielki pakunek. - Pożyczyłam to dawno temu od pewnej znajomej. Bardzo mi wstyd, bo do tej pory nie oddałam. Jeśli znajdziesz wolną chwilę, może jej zanieziesz.

Na wierzchu wypisany był ten sam adres, który dostałam od Nowej Ciotki, oraz nazwisko: „pani Li”.

- Tak mi wstyd - powtórzyła ciotka ze łzami w oczach. - Nie mów nikomu.

Po powrocie do Szanghaju odczekałam tydzień i dopiero wtedy wybrałam się do Orzeszka. Nikomu nie powiedziałam ani słowa. Wyszłam w codziennym ubraniu,

jakbym się wybierała po zakupy albo na spacer do parku. Dwie przecznice dalej wskoczyłam do autobusu.

Opowiadałam ci już wcześniej o Orzeszku. Ta dziewczyna kochała wygody, dbała tylko o piękne stroje i puder na twarzy. Zawsze goniła za modą, ale nigdy nie miała własnych pomysłów. Możesz więc sobie wyobrazić, co chodziło mi po głowie, kiedy autobus wjeżdżał w coraz gorsze dzielnice.

Wysiadłam przy ulicy San Ying. Stąd miałam iść uliczkami zbyt wąskimi dla samochodów, pełnymi rowerów i riksów.

Orzeszek mieszkała w dzielnicy japońskiej, pełnej bliźniaczo podobnych dwupiętrowych domów o stromych dachach i narożnikach zaokrąglonych jak ciało smoka. Nie było tam chodników, tylko nierówna, zapluta jezdnia, pokryta pyłem węglowym.

Myślisz może, że ta część miasta wyglądała lepiej niż inne, bo Japończycy okupowali Szanghaj przez tyle lat. Zapewne, znalazłabyś tam wiele ładnych miejsc, ale większość domów zbudowano jeszcze przed wojną i panował tam straszny smród, brud i tłok. Niewiele lepiej niż w chińskiej dzielnicy, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Nie mam pojęcia, czemu lubiło tu mieszkać tylu studentów, pisarzy i artystów. Może uważali to za romantyczne: nie masz co jeść, więc karmisz się ideami.

Kręciło się tam też całe mnóstwo „ulicznych żon”, czyli prostytutek, ale nie tych lepszych, z nocnych klubów przy ulicy Nankin. Mijałam je na każdym kroku. Stały przed maleńkimi restauracjami, winiarniami szerokimi na metr i herbaciarniami na piętrze, do których wiodły strome schody.

Skręciłam w ulicę pełną straganów z używanymi książkami, mapami i czasopismami; do koloru, do wyboru: historia, romanse, poezja i polityka.

- Zakazane opowieści! - zawołał do mnie sprzedawca, wyciągając spod stołu magazyn, który miał na okładce zapłakaną młodą kobietę w objęciach ducha mężczyzny. Zatrzymałam się, by go przekartkować. Do złudzenia przypominał mi czytowane z Orzeszką w szklarni historie o dziewczętach, które wbrew radom rodziców wychodziły z miłości za mąż. Zawsze smutno się kończyły, a opatrzone były takimi morałami, jak: „Strata opanowania to strata życia!”, „Zakočaj się, a popadniesz w niełaskę!”, „Odrzucając rodzinne wartości, odrzucasz twarz!” Najwięcej płakałam przy tych, które, jak mi się zdawało, przypominały życie mojej matki, smutne jak z powieści.

W tej właśnie chwili, stojąc na środku ulicy, pomyślałam, że wszystkie te opowieści to zwykle kłamstwa, nie prócz słów. Orzeszek i cała reszta wyobrażali sobie, że moja matka zmarła nieszczęśliwa. Podobnie jak oni dałam się zastraszyć i spojrz, co się stało. Nie obroniłam się wcale przed katastrofą. Wręcz przeciwnie.

„Może życie matki jest teraz pełne radości? - pomyślałam. - Może i ja wciąż mogę odnaleźć swoje szczęście?”

Taką miałam nadzieję.

Mówię ci z ręką na sercu, że to dokładnie przyszło mi na myśl. Dlatego też uważam, że wszystkie następne wydarzenia nie były czystym zbiegiem okoliczności, lecz znakiem, że wreszcie myślę za siebie. Oto, co się stało.

Poczułam na ramieniu czyjąś rękę. Odwróciłam się. Z początku nie wiedziałam, co to za mężczyzna uśmiecha się do mnie.

- Winnie? - zapytał. - Przypominasz sobie? „Winnie? - pomyślałam sobie - to imię brzmi znajomo”.

Wydawało mi się, że on się tak nazywa.

- Nigdy nie zapomnę, ile sprawiłem ci kłopotów - dodał.

Co? O czym on mówi?

Nagle skojarzyłam ten głos. Rozpoznałam chińsko-amerykańskiego żołnierza, Jimmy'ego Louie, który nazwał mnie Winnie.

Tak, tak, to był twój ojciec! Ni stąd, ni zowąd po pięciu latach nasza przeszłość i teraźniejszość wpadły na siebie na dziwnej Szanghajskiej uliczce. Możesz to sobie wyobrazić? Gdybym nie wybrała się do Orzeszka, nie zatrzymała, by przeczytać głupi magazyn, albo gdyby on nie szukał gazet - nasze drogi rozeszłyby się na zawsze. Sama powiedz, czy to nie zrządzenie losu?

Powiedziałam mu o tym kilka lat później, kiedy byliśmy już po ślubie: „Co to za szczęście, że los nas połączył”. Ojciec nie uważał, że to zasługa losu, przynajmniej nie według chińskiego wyobrażenia *ming yuan*.

- Los - powiedział - to tak, jakby kto inny decydował za ciebie. Nasza miłość to coś więcej.

Tu użył amerykańskiego słowa „przeznaczenie”, coś, czemu nie da się zapobiec.

Dla mnie brzmiało to tak samo, jak los. Upierał się, że to duża różnica.

- Może patrzysz na to jak Amerykanie, a ja jak Chińczycy. Ty mówisz: „Patrz, jaka piękna ryba w akwarium”, a ja: „Jakie piękne akwarium z rybą”. Nieważne, jakich słów używamy. Chodzi o tę samą rybę w tym samym akwarium.

Nie przestał się upierać.

- Kochaliśmy się od chwili poznania. Dlatego moja i twoja wola pomogły nam się odnaleźć.

Na to nie powiedziałam już nic. Jak mogłam mu wyznać, że wcale nie zakochałam się w nim od razu? Nie w Kunmingu, nie podczas tańca. Nie miałam nawet pojęcia, że takie nagłe uczucie w ogóle istnieje. Oczywiście, kiedy wpadłam na niego po raz drugi, miłość przyszła bardzo, bardzo szybko.

Może więc oboje mieliśmy rację: zetknął nas mój los i jego przeznaczenie.

Kiedy ojciec został później duchownym, uznał, że wszystkim kierowała Boża wola, co na dobre zamknęło mi usta. Pozostał jedynie fakt, że twój ojciec i ja znaleźliśmy się w tym samym miejscu na Szanghajskiej uliczce.

Wpadliśmy na siebie, a potem przez kilka minut prowadziliśmy uprzejmą konwersację. Jimmy Louie - wtedy wciąż jeszcze, według chińskiego zwyczaju, nazywałam go imieniem i nazwiskiem - zaprosił mnie na herbatę do lokalu po drugiej stronie ulicy. Mieliśmy na chwilę usiąść i odpocząć. Zgodziłam się przez uprzejmość, bo szczerze mówiąc, nie miałam zamiaru niczego zaczynać.

Znaleźliśmy się w maleńkiej i, moim zdaniem, bardzo podłej herbaciarni na piętrze. Spostrzegłam, że kelnerka podała nam herbatę w filiżankach, które po zebraniu z innego stołu opłukała tylko w zimnej, brudnej wodzie. Zanim się napiłam, musiałam przemyć je dwa razy gorącą herbatą. Tak, zrobiłam to samo z filiżanką Jimmy'ego Louie. Widzisz więc, że już wtedy dbałam o jego żołądek.

Przez kilka minut piliśmy w milczeniu, po czym on zapytał mnie o Wen Fu.

- Nadal używa imienia Judasz?

Roześmiałam się i zbeształam go żartobliwie.

- Postąpiłeś bardzo brzydko. Mąż strasznie się na mnie gniewał.

- Przecież to ja go tak nazwałam, a nie ty.

Za bardzo się krępowałam, by przypomnieć mu wspólny taniec i to, jak przyjaciele droczyli się z Wen Fu, mówiąc, że Amerykanie podbili też kobiety. Nie mogłam

mu też opowiedzieć o kłótni tamtej nocy, chociaż gniew rozpałił mi twarz na samo wspomnienie. Jimmy Louie musiał to zauważyć, bo powiedział natychmiast:

- Postąpiłem paskudnie. Bardzo mi przykro.

- Nie, nie, myślałam zupełnie o czym innym. Tyle lat minęło, tyle się pozmiało, a nic na lepsze.

Jimmy Louie wiedział, że nie powinniśmy ciągnąć tego tematu. Zaczęliśmy rozmawiać o czym innym. Powiedziałam mu o Jiaguo i jego nowej pracy w Harbinie i o tym, że Hulan nadal nie ma dziecka. On mówił, że większość jego przyjaciół z amerykańskiego lotnictwa została wysłana do Pekinu, by dopilnować kapitulacji Japończyków. Wciąż pracował dla Amerykańskich Służb Informacyjnych, w sekcji prasowej amerykańskiego konsulatu generalnego.

- Ważna praca - powiedziałam.

- Ważna tylko z nazwy - odparł. - Codziennie czytam inną gazetę i zwracam uwagę na wszystko, o czym piszą. Widzisz, jestem szpiegiem - dodał.

Żartował oczywiście! Pamiętasz go przecież od tej strony. Nie mam pojęcia, dlaczego Helen nadal uważa go za prawdziwego szpiega. Nie był nim! Nie słuchaj jej. W przeciwnym przypadku nie żartowałby przecież tak otwarcie.

Tak czy inaczej, wypiliśmy następną herbatę i jeszcze jedną. Niebawem złapałam się na tym, że opowiadam mu o kłopotach stryja z fabrykami i ciężkiej pracy kuzynów. Nie okazał wcale pogardy ani nie użalał się nad moją rodziną. Współczuł nam. Powiedział, że wojna jest jak choroba, więc kiedy mija, nie znaczy wcale, że wszyscy nagle zdrowieją.

Opowiedziałam mu też o Orzeszku. Nie wspomniałam, że została komunistką, tylko że się rozwiodła. Jimmy Louie nie skomentował: „Jaka to zła kobieta”, wspomniał tylko, że wiele małżeństw nie przetrwało wojny.

W końcu powiedziałam mu o ojcu i o tym, w jakie wpędził się kłopoty, kolaborując z Japończykami. Jimmy Louie nazwał to okropną tragedią i dodał, że w czasie wojny ludzie popełniali pomyłki, które kiedy indziej nigdy nie przyszyłyby im do głowy.

Widzisz, jaki był? Czulałam, że mogę powiedzieć mu prawie wszystko i znaleźć w nim oparcie. Jak na Amerykanina miał bardzo wiele współczucia. Nie odważyłam się jednak wspomnieć o swoim małżeństwie, jeszcze nie.

- A ty? - zapytałam. - Jak tam rodzina w domu? Żona i dzieci tęsknią za tobą?

- Nie mam żony ani dzieci - odparł. - Nie poszczęściło mi się jeszcze.

Potem wyciągnął małą fotografię, przedstawiającą cztery młode kobiety. Siedziały w rzędzie od najstarszej do najmłodszej, w nowoczesnych sukienkach i modnych fryzurach. Były to córki pani Liang, przyjaciółki szkolnej jego ciotki. Powiedział, że pani Liang oznajmiła mu kiedyś, że chętnie odda mu którąś z córek za żonę.

- Wszystkie są wykształcone. Każda gra na pianinie i umie czytać Biblię po angielsku.

- Bardzo pociągające i stylowe - dodałam. - Tyle możliwości, trudny wybór. I z którą zamierzasz się ożenić?

Roześmiał się, po czym nagle spowaźniał.

- Z tobą. Tylko że ty już masz męża.

Słowo daję! Tak właśnie powiedział. Mógł wybrać którąś z tych czterech pięknych dziewcząt, młodych i niewinnych, a mimo to wybrał mnie. Czemu, jak sądzisz?

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, czy udaje, czy mówi serio. Zaczerwieniłam się. Ponieważ nie mogłam spojrzeć mu w oczy, spojrzałam na zegarek.

- Ojo! Jeśli pójdę teraz do Orzeszka, będę musiała natychmiast wyjść.

- Lepiej wróć tu jutro - podsunął.

- Będę musiała - zgodziłam się.

- Wobec tego spotkajmy się jutro w tej małej księgarni po drugiej stronie ulicy, a potem odprowadzę cię, żeby nic ci się nie stało.

- Nie, nie, po co ten kłopot.

- To żaden kłopot. Codziennie przychodzę tu po gazety.

- Codziennie?

- To moja praca.

- Miałam zamiar przyjść o wpół do jedenastej. Może to za wcześnie?

- Przyjdę jeszcze wcześniej, gdybyś i ty wcześniej się zjawiła.

Wstaliśmy i zeszliśmy na dół, ale zdążyłam zauważyć, co zrobił. Zostawił na stoliku fotografię czterech pięknych dziewcząt.

Następnego ranka obudziłam się wcześnie, szczęśliwa i podniecona. Myślałam o swoim życiu i zmianach, które nadciągają. Nie wiedziałam jeszcze jak, ale wiedziałam, że do tego dojdzie.

Jednak myśli szybko zniknęły, bo po domu rozniosły się krzyki Danru. Za chwilę służąca przyniosła go do mnie, mówiąc, że zleciał z samego szczytu schodów, uderzając głową o wszystkie stopnie. Kiedy go pocieszałam, przyszła zapłakana San Ma, zrozpaczona, bo ojciec obudził się z gorączką i zamroczonym umysłem. Pobiełam więc do niego. Za moment wpadła kucharka, twierdząc, że teraz odchodzi na dobre, bo nie może już znieść obelg Wen Tai-tai. W tej samej chwili dobiegły mnie wrzaski Wen Fu i trzask czegoś na podłodze. Zeszłam na dół i zobaczyłam potłuczoną w drobny mak zastawę śniadaniową i makaron na krzesłach.

Chciało mi się płakać. Nagle wydało mi się, że nie mam co liczyć na jakiegokolwiek zmiany. Zawsze tylko spadają na mnie problemy innych, więc nie starcza mi czasu na własne. Byłam pewna, że wszystkie te małe katastrofy to znak, że dziś nie uda mi się wyjść z domu.

Jednak życie potrafi być dziwne, potrafi ciskać tobą to w tę, to w inną stronę. Kiedy tylko zrezygnowałam z wyjścia, moja szansa wróciła. Poszłam na górę zająć się ojcem, a on czytał spokojnie gazetę i zirytował się tylko, że mu przeszkadzam.

- Pewnie bił się sam ze sobą w jakimś złym śnie - skwitowała San Ma.

Gdy zeszłam na dół, Wen Fu poszedł już na tor wyścigowy. A rozeźlona kucharka? Zdążyła już posprzątać i wyjść na rynek po zakupy na kolację. Danru krzyczał, że chce wstać z łóżka. Zapomniał o siniaku i pamiętał tylko o tym, że matka Wen Fu obiecała zabrać go dziś do przyjaciół, którzy mają wnuka w jego wieku.

Wreszcie mogłam wyjść z domu! Widziałam, że na zmianę życia zrobiło się za późno - dochodziła jedenasta. Staralam się skupić na wizycie u Orzeszka: co to będzie za radość! Niosłam mały pakunek, który wręczyła mi Stara Ciotka. Dołożyłam do niego pięć par pończoch z importu. Ależ się Orzeszek ucieszy!

Oczywiście myślami wracałam wciąż do księgarenki naprzeciw herbaciarni. Wyobrażałam sobie, jak Jimmy Louie przegląda książki, niecierpliwie spoglądając na zegarek. Przyszło mi do głowy, że może powinnam wziąć taksówkę, ale zaraz oczami wyobraźni ujrzałam, jak Jimmy Louie patrzy na zegarek jeszcze raz i wychodzi. Postanowiłam się nie spieszyć, gdyż niewątpliwie czeka mnie tylko pustka i rozczarowanie. Odepchnąwszy nadzieje, czekałam na autobus.

Kiedy dotarłam na ulicę San Ying, dochodziło południe. Zmuszałam się siłą, by iść powoli i spokojnie. Zbliżając się do sklepu, umyślnie nie podnosiłam wzroku. Nie mogłam oddychać.

„Nie oszukuj się - mówiłam sobie. - Nie ma go tam. Idź dalej”.

Nie pozwalałam sobie rozglądać się na boki, wzrok miałam wbity w ziemię. Nie patrz. Idź.

Minęłam księgarnię, nie spojrzałam i szłam jeszcze całą przecznicę. Zatrzymałam się i westchnęłam głęboko. Coś kłuło mnie w sercu i zdałam sobie sprawę, że trochę nadziei zniknęło. Westchnęłam znowu, ze smutku; potem odezwało się westchnienie ulgi, ale nie pochodziło ode mnie. Odwróciłam się.

Jego twarz! Widok takiej radości!

Nie powiedzieliśmy ani słowa. Ujął mnie za rękę. Trzymał mocno i staliśmy tak na środku ulicy, z oczami mokrymi ze szczęścia, wiedząc, że oboje czujemy to samo.

Przerwę teraz na chwilę, bo za każdym razem, gdy wracam do tego pamięcią, muszę sobie popłakać. Nie wiem czemu coś, co dało mi wtedy tyle szczęścia, dzisiaj tak mnie smuci. Może tak to już jest z najlepszymi wspomnieniami?

XXI

Matka Małej Yu

Do mieszkania Orzeszka było niedaleko, więc podczas krótkiego spaceru zdążyliśmy zamienić tylko kilka słów.

- Dlaczego czekałaś? - zapytałam. - Tak bardzo się spóźniłam.

- Pomyślałam, że pewnie złamałaś sobie obcas, jak na tańcach w Kunmingu.

Roześmieliśmy się oboje. Potem Jimmy spoważniał.

- Pokochałem cię od tamtego dnia. Pokazałaś, że stać cię na wszystko, potrafiłaś nawet tańczyć ze złamanym obcasem albo bosą. Wyglądałaś delikatnie, ale miałaś siłę i odwagę. Kogoś takiego nie powstrzyma.

Słowo daję, tak powiedział. Uważał mnie za silną. Nigdy tak o sobie nie myślałam, nie wiem, skąd mu to przyszło do głowy. Wierzył w to do końca życia. Czy to nie dziwne?

Tak czy inaczej, powiedziałam mu, jak bardzo cierpię w obecnym małżeństwie i jak próbowałam odejść w czasie wojny, ale nie mogłam ze względu na Danru.

- Teraz zamierzam wypytać kuzynkę, jak to zrobiła. Też chcę się rozwieść - powiedziałam, a on na to:

- Widzisz, jaka jesteś silna?

- Wcale nie. Po prostu nie mam już siły dłużej z nim walczyć. Czasem wydaje mi się, że nie przeżyję przy nim następnego dnia.

- Oto twoja siła.

Przed domem Orzeszka dodał, że będzie na mnie czekał w księgarni.

- To może potrwać bardzo długo - ostrzegłam.

- Dwie, trzy, cztery godziny, bez znaczenia - odparł. - Zaczekam. Czekałem już prawie pięć lat.

Widzisz, jaki był romantyczny? Ciężko mi go było zostawić, przecież dopiero co go odnalazłam.

Weszłam do małej, pospolitej kuchni. Na podłodze bawiło się dwoje dzieci, jakaś kobieta robiła obiad. Zapytałam, czy mieszka tu Jiang Huazheng.

- Hę? Czego sobie życzysz?

Podeszłam bliżej i krzyknęłam ponad syczącym olejem. Uśmiechnęła się, wtarła sobie w sukienkę jeszcze jedną plamę, wzięła mnie za łokieć i wskazała schody.

- Tam na górze, siostrzyczko. Trzecie piętro, pokój numer dwa. Lepiej zapukaj, bo ma już gościa.

Wróciła do smażenia, śmiejąc się pod nosem: „Tyle gości!”

Szłam na górę, a moje obawy rosły z każdym stopniem. Zastanawiałam się, co zastanę. A jeśli Orzeszek została jedną z ulicznych żon? Czy nie tak kończyły kobiety, które straciły mężów i rodziny? Jak inaczej mogła się utrzymywać?

Stałam pod drzwiami numer dwa. Usłyszałam męski głos, a potem kobiecy, należący do Orzeszka. Ten sam niecierpliwy, wiecznie narzekający ton. Zapukałam i głosy umilkły.

- Kto tam? - zapytała szorstko.

- Jiang Weili! - odkrzyknęłam. - Twoja kuzynka Jiang.

Zanim zdążyłam coś dodać, drzwi otworzyły się na oścież i Orzeszek wciągnęła mnie do środka. Ciągnęła mnie za włosy, szczypała w policzki i krzyczała:

- Patrzcie tylko! Przyszłaś nareszcie! Czemu tak długo zwlekałaś?

Z początku zdawało mi się, że nic się nie zmieniła: ten sam nadęty uśmiezek, te same psotne oczy. Ulżyło mi.

Jednak po chwili pomyślałam, że wygląda zupełnie inaczej, na ulicy pewnie nigdy bym jej nie poznała. Włosy miała krótko obcięte, bez przedziałka, nosiła prostą, zapinaną na guziki marynarkę kiepskiej jakości, tak pozbawioną kształtu, że nie mogłam stwierdzić, czy utyła, czy schudła. Na twarzy nie znalazłabyś ani odrobiny pudru, naga skóra. Proszę, oto dziewczyna, która tak się chełpiła białą cerą. Zrobiła się ciemna jak Kantonka!

- Hej! Poznaj mego przyjaciela, Wu - powiedziała, okręcając mnie dookoła.

Zobaczyłam młodego człowieka w okrągłych okularach. Miał bardzo gęste czarne włosy, zaczesane do tyłu. W rękę trzymał pędzelek.

Cały pokój pokrywały wielkie płachty papieru - wały się po podłodze, zwieszały z krzesła i leżały na małym łóżku. Wszystkie mówiły o tym samym spotkaniu studentów protestujących przeciw nowym reformom rolnym. A więc to prawda. Orzeszek przyłączyła się do komunistów.

- Te już wyschły - powiedziała do chłopaka. - Zabierz je. Resztę skończymy wieczorem.

Mówiła władcym tonem, ale nie wydawało się, żeby mężczyzna miał coś przeciw temu. Szybko zwinął kilka plakatów, powiedział, że miło było mu mnie poznać, i wyszedł.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc wręczyłam jej prezenty. Ze zniecierpliwioną miną westchnęła i wzięła się do otwierania. Myślałam, że odłoży je na bok, żeby zajrzeć do środka, gdy zostanie sama; tak nakazywała uprzejmość. Chińczycy zawsze tak robią, żeby w razie rozczarowania nikt nie widział ich miny. Ona jednak nie czekała.

Otworzyła najpierw paczkę od Starej Ciotki. W środku znalazła małe, staroświeckie lustro ze srebra, rzeźbione z tyłu i na rączce.

- Aj! Spójrz no tylko - powiedziała, marszcząc brwi. - Kiedy widziałam ją ostatni raz, zapytała: „Czy ciągle istnieje ta piękna dziewczyna, którą znałam?” Odparłam, że nie mam lusterka, żeby się przeglądać, ale ładna czy nie, z pewnością wiem, że istnieje. No i teraz widzisz, co mi przysłała. Też! Myśli, że ta głupia rzecz przekona mnie do powrotu do starego życia.

Zajrzała do lusterka. Wydawało mi się, że znowu widzę jej starą próżność. Pogłaskała się po policzkach, uniosła powieki i uśmiechnęła się do swego odbicia. Rzeczywiście, nadal miała dużo wdzięku, gładką skórę i duże oczy. Może tylko twarz zrobiła jej się za szeroka. Oczywiście ta wada nie miała nic wspólnego z tym, że została komunistką. Nawet jako rozpuszczona dziewczyna bez krzty współczucia dla ludzi o niższym pochodzeniu wyglądała podobnie.

Odłożyła lustro i zabrała się do drugiego pakunku.

- Obawiam się, że mój prezent również na nic ci się nie zda - powiedziałam.

Rozerwała opakowanie jak dziecko. Wyjęła pończochy i wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Mogę je zabrać z powrotem - dodałam zmieszana. - Daj mi.

- Nie, nie! - zawołała, przyciskając je do piersi. - To bardzo cenne. Mogę je sprzedać na czarnym rynku za dobrą cenę. Świetny prezent. - Spojrzała na mnie i ciągnęła otwarcie, bez przeprosin. - Nic dla ciebie nie mam. Nie mam teraz czasu na nadążanie za tymi wszystkimi uprzejmościami.

- Naturalnie - odparłam. - Nie wiedziałas nawet, że przyjdę, więc jak mogłabyś...

- Nie - przerwała mi stanowczo. - Mówię, że nawet gdybym wiedziała i miała pieniądze, nie zawracałabym już sobie głowy zwyczajami. Tyle zachodu - i niby po co?

Przestraszyłam się, że przemawia przez nią gorycz. Odłożyła pończochy na półkę, po czym odwróciła się i wyciągnęła do mnie rękę, mówiąc: „*Tang jie*” - słodka siostrzyczko, przyjazny zwrot, którego używałyśmy wobec siebie w dzieciństwie.

- *Tang jie* - powtórzyła, mocno ściskając mnie za rękę. - Bardzo się cieszę, że przyszedłaś. Teraz wiesz, że to nie są tylko uprzejme słowa.

Tego popołudnia świetnie nam się rozmawiało. Siedziałyśmy na łóżku i powierzałyśmy sobie sekrety, zupełnie jak za młodszych lat, tyle tylko, że teraz nie musiałyśmy szeptać. Rozmawiałyśmy otwarcie. Dziewięć lat temu kłóciłyśmy się, która z nas zawrze lepsze małżeństwo, teraz kłóciłyśmy się, czyje okazało się gorsze.

- Pomyśl tylko - powiedziałam. - Tak się złościłaś, że Wen Fu ożenił się ze mną, a nie z tobą. Teraz wiesz, czego uniknęłaś.

- Nawet jeśli, to i tak lepiej ci się powiodło - odparła. - Moje było gorsze.

- Nawet nie masz pojęcia. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić męża równie złego, samolubnego, podłego...

- A mój to *zibuyong* - wpadła mi w słowo.

Nie uwierzyłam jej z początku. Nie wiem, jak nazywacie to po angielsku, ale w dialekcie szanghajskim *zibuyong* oznacza coś jakby „kury, kurczęta i koguty” - wszystkie męskie i żeńskie składniki, potrzebne, by jajko zamieniło się w kurczaka. Słyszałyśmy raz opowieść Starej Ciotki o tym, jak to pewna daleka krewna urodziła *zibuyonga*, dziecko z obydwoma organami, męskim i żeńskim. Ciotka mówiła, że matka nie wiedziała, czy wychować je na dziewczynkę, czy chłopca, ale nie musiała decydować, bo dziecko zmarło. Ciotka podejrzewała, że zabiła je sama matka, gdyż nawet gdyby wychowała *zibuyonga* na chłopca, to i tak nie mógłby mieć dzieci.

- Jakim cudem mógł być *zibuyongiem*? - zapytałam. - Pamiętam, że w jednym z listów pisałaś mi, że poprzednia żona urodziła mu pięciu synów.

- Rodzina jeździła do małych wiosek i co roku kupowała nowego chłopca. Szkoda, że ich nie widziałas, każdy inny. Jeden ciemnoskóry, drugi bardzo jasny, jeden żywy i tłusty, drugi cichy i chudy. Każdy, kto miałby oczy i odrobinę rozumu, zorientowałby się, że zostali kupieni.

- Jak Miao-miao mogła cię wyswatać takiemu człowiekowi?

- Nie wiedziała o tym. Matka zawsze wychowywała go na syna. Ja też nie wiedziałam przez wiele miesięcy po ślubie. Nie dotykał mnie. Myślałam, że mu ze mną źle.

- To skąd wiesz, że miał dwa organy?

- Widziałam go w łóżku z mężczyzną! Jego żeńska część zwabiła męską. Pobiełam do jego matki, żeby powiedzieć, co zobaczyłam. Wiesz, co zrobiła? Spoliczkowała mnie i kazała nigdy więcej nie powtarzać takich kłamstw.

- No, ale skoro nigdy nie widziałas dwóch narządów, to skąd wiesz, że to rzeczywiście *zibuyong*?

Westchnęła.

- Bo powiedziałam teściowej, że jej syn to *zibuyong*, a ona biła mnie po twarzy, jakby mogła zmienić fakty dzięki temu, że jej uwierzę.

Opowiadam ci tę historię tak, jak usłyszałam ją od Orzeszka, więc nie mam pewności, czy jej mąż rzeczywiście wyglądał tak, jak mówiła. Może powiedziała tak, bo nie mieliśmy wtedy określenia na homoseksualistów. Jeżeli mężczyzna się nie żenił, ludzie zaczęli szeptać: „O, może to *zibuyong*”. O kobietach nie mówiło się tak, mieliśmy jakieś inne słowo, ale nie pamiętam już jakie.

Tak czy inaczej, Orzeszek powiedziała, że stała się pośmiewiskiem, a nie żoną.

- Po roku teściowa kazała mi się ukryć na pięć miesięcy - ciągnęła. - Z nikim nie mogłam się widywać. Na koniec pokazała światu kolejnego nowo narodzonego chłopczyka. Miałam udawać, że to moje dziecko. Mówię ci, zupełnie mnie nie obchodziło. Straciłam zainteresowanie wszystkim, nawet moimi pięknymi strojami. Nic dla mnie nie znaczyły. Moje życie zrobiło się podobne do powiedzenia, które gdzieś przeczytałam: „Społeczeństwo przypomina zgniłe drewno pokryte jaskrawą farbą”. Żyjemy w świecie, w którym wszystko jest fałszem.

Ojo! Mówiła zupełnie jak jakaś rewolucjonistka, a jednak to nadal ta sama dziewczyna, z którą dorastałam: jest dumna, z uporem chodzi własnymi drogami i powtarza słowa uformowane przez idee kogo innego.

- Jak w końcu odeszłaś?

- Pamiętasz Małą Yu, tę dziewczynę, z którą chodziłyśmy do szkoły?

- Oczywiście - przytaknęłam. - To nieznośne stworzenie, które zamieniało nam buty, gdy spałyśmy. Co za chaos następnego ranka! Każda dziewczyna ma prawy but

duży, a lewy mały, albo dwa prawe, albo dwa lewe. Zanim udało nam się pozamieniać, spóźnialiśmy się na lekcje. Co za zła dziewczyna.

- Pomogła mi wydostać się z małżeństwa.

- Mała Yu?

- W pewnym sensie. Stało się to po czterech latach małżeństwa z tym kurokogutem. Jego matka wciąż deptała mi po piętach. Myślałam, że strasznie łatwo zrujnować sobie życie bez żadnej możliwości ratunku.

- Czułam się dokładnie tak samo - powiedziałam. - Właśnie tak.

- Myślałam o młodości i marzeniach, które miałam - ciągnęła.

- O wszystkich nadziejach i niewinności - wtrąciłam.

- Daj mi skończyć. Z tym uczuciem postanowiłam odwiedzić szkołę i zobaczyć starych nauczycieli. Pojechałam i siostra Momo - pamiętasz, ta z jednym nozdrzem małym, a drugim dużym...

Skinęłam głową.

- Zawsze była bardzo surowa - dodałam.

- Więc siostra Momo została dyrektorką szkoły. Chciała mi pokazać, ile pieniędzy dostają w dotacjach. Zaprowadziła mnie do nowej biblioteki i kaplicy z nowym witrażem Dzieciątka Jezus. Potem poszliśmy na ten mały cmentarz z tyłu. Pamiętasz, siostra Momo wysyłała nas tam za złe zachowanie. Myślała, że w ten sposób nas wystraszy i poprawimy się, żeby zasłużyć na raj. Cmentarz ma teraz nową fontannę, woda płynie z ust dziecka. Podziwiałam tę rzeźbę i nagle zobaczyłam nagrobek z imieniem Yu. Prawdziwy szok. Zupełnie jakbym zobaczyła, że Mała Yu zamieniła się w kamień. „Co się stało? Co się stało?” wypytywałam siostrę Momo. Ona na to: „O, to smutna historia. Umarła nagle, zaledwie w rok po ślubie. Wypadek”.

Siostra Momo nie chciała powiedzieć, jaki wypadek, więc natychmiast zrobiłam się podejrzliwa. Dlaczego pogrzebano ją na szkolnym cmentarzu? Rodzina męża powinna przecież złożyć ją w rodzinnym grobowcu. Powiedziałam o tym siostrze, a ona odparła: „Tyle lat była tu szczęśliwa, więc jej matka uznała, że powinno się ją otoczyć szczęśliwymi dziewczętami”.

Pomyślałam sobie, że to nie życzenie, tylko przyczyna. Głowiłam się nad tym, a jakiś głos szeptał mi do ucha „Idź i dowiedz się”. Zanim się spostrzegłam, już zapytałam siostrę Momo o adres rodziny Małej Yu, żeby mogła złożyć im wyrazy

szacunku. Nie wiem, czemu to zrobiłam. Zupełnie przestałam być sobą. Coś mnie pchało.

Wyszłam ze szkoły i poszłam tam natychmiast. Tu czekał mnie następny szok, bo Mała Yu wcale nie pochodziła z bogatej rodziny, jak większość dziewcząt. Jej dom okazał się dwupokojowym mieszkaniem na drugim piętrze starego budynku. O jeden szczebel wyżej od nędzy. Rodzina zaś składała się tylko z owdowiałej matki. Ta biedna matka odziedziczyła po wuju niewielką sumkę i przeznaczyła ją na chesne dla Małej Yu, zostawiając też trochę na przyzwoite wiano. Widzisz więc, że wszystkie nadzieje w życiu pokładała w córce, która teraz nie żyła, zaledwie po roku małżeństwa.

- Aj-ja! Co za smutna historia!

- Smutniejsza, niż ci się zdaje - uzupełniła Orzeszek. - Matka bardzo się na mój widok ucieszyła. Wydawało się, że nikt już nie wymienia nawet imienia jej córki, a to dlatego, że Mała Yu nie umarła w wypadku. Popełniła samobójstwo.

- Samobójstwo!

- Powiedziała, że to przez rodzinę męża.

Słyszając to, cała się zatrzęsłam, bo właśnie tego samego ranka przeszło mi przez myśl, że jeśli szybko nie znajdę jakiejś drogi ucieczki, to też pewnie się zabiję.

- Ja też miewam takie myśli - szepnęłam.

- Matka winiła też siebie, bo dopomogła przy układaniu tego małżeństwa. Narzeczony był siostrzeńcem przyjaciela kuzynki z wioski na obrzeżach Suczou. Powiedziano jej, że zajmuje wysokie stanowisko w rodzinnym interesie - jego ojciec handlował makaronem.

Matka Małej Yu nigdy tego siostrzeńca nie widziała, spotkała go dopiero na ślubie. Podobno wyglądał na nerwowego. Ludzie musieli mu przypominać, w którą stronę ma iść i co mówić. Chichotał i śmiał się w nieodpowiednich momentach, przez co matka Małej Yu pomyślała, że jest pijany. Nie był pijany. Miał umysł małego dziecka. Ciągle jeszcze moczył się w łóżko, płakał, kiedy za bardzo wiało, i uważał Małą Yu za starszą siostrę.

Mała Yu przyszła do matki z prośbą o pomoc w rozwiązaniu małżeństwa, ale usłyszała tylko, że mogła trafić jeszcze gorzej. Przynajmniej rodzina dobrze ją traktuje i daje dużo jeść. Nawet jeśli mąż okazuje się trochę naiwny, to podobno może płodzić dzieci. Zrobił to już z jakąś wiejską dziewczyną. Tak więc matka poradziła jej tylko: „Bądź dobra i bardziej się staraj”.

Mała Yu wróciła do domu męża. Wspięła się na drzewo na podwórzu, przywiązała linę do gałęzi, założyła sobie pętlę na szyję i skoczyła.

„Przez rok miałam ochotę zrobić to samo” - mówiła jej matka. Płakała, opowiadając mi o tym, a ja płakałam razem z nią. Czułam własną szyję i mówiłam jak przez sen: „Czyli tylko tak dziewczyna może skończyć z małżeństwem”. Na to ona zawołała: „Nie! Stało się bardzo źle, że nie znalazła innego sposobu ani nikogo, kto zechciałby jej pomóc”.

Tego popołudnia wreszcie spotkałam kogoś, kto ze współczuciem odniósł się do moich problemów. Wydaje mi się teraz, że to głos Małej Yu zaprowadził mnie do matki, bo tego samego roku to właśnie ona pomogła mi uciec.

- Jak to zrobiła? - zapytałam, czując, że jestem o krok od rozwiązania wszystkich moich nieszczęść.

Orzeszek podniosła się z miejsca.

- Sama ją zapytaj.

- Co?!

- Zapytaj - powtórzyła. - Zapytaj matkę Małej Yu. Jest na dole, gotuje obiad dla wszystkich kobiet w tym domu, które opuściły swych mężów.

W ten sposób dowiedziałam się, że cały ten dom to podziemna kryjówka, pełna kobiet i dzieci. Możesz sobie wyobrazić? Ogarnęły mnie równocześnie strach i podniecenie. Nie mówię, że ciągnęło mnie do zostania komunistką, nic z tych rzeczy. Byłam podniecona, bo znalazłam się w domu z dziewięcioma kobietami, które miały za sobą okropne małżeństwa i które nie musiały już dłużej słuchać mężów ani teściowych.

Kiedy zeszliśmy na dół, matka Małej Yu wciąż stała przy kuchni. Wszyscy tak właśnie na nią mówili: matka Małej Yu. Nigdy nie przyszłoby ci do głowy, że ta drobna kobieta, smażąca suszoną rybę i gorzkiego melona, działa w podziemiu. Z drugiej strony większość komunistów nie nosiła wtedy otwarcie mundurów. Tylko szaleniec albo żywy trup zwierzałby się ludziom ze swych rewolucyjnych poglądów.

Inne kobiety schodziły się właśnie do domu z różnych miejsc pracy. Jedna uczyła francuskiego, druga pracowała w fabryce butów, jeszcze inna robiła słomiane miotły i sprzedawała je na ulicy. Pochodziły z różnych środowisk; po prostu przekrój grup społecznych, jakie można spotkać w Szanghaju.

Żadna nie przedstawiała się: „Jestem komunistką, a ty?“, ale dało się to poznać po tym, co mówiły. Na przykład kiedy usiadłyśmy do posiłku, matka Małej Yu powiedziała do mnie:

- Mam nadzieję, że gorzki melon nie obraża twego smaku. Sama też nie jadam go zbyt często, ale kiedy już mi się zdarzy, przypominam sobie o wdzięczności za inne potrawy.

Roześmiała się, a Orzeszek i inne kobiety jej zawtórowały.

Od razu polubiły gorzki melon, nie za smak, lecz za rozmowę, która się dzięki niemu nawiązała.

- Nie zakosztowałaś goryczy, jeśli nie musiałaś przeżyć całej zimy z jedną bryłą węgla do grzania i gotowania - powiedziała jedna.

- Ten melon jest słodki - dodała druga - w porównaniu z tym, co musiałam łykać jako niewolnica bogatej rodziny.

Powiem ci tyle: nie smakował mi ten melon ani przedtem, ani wtedy, ani potem. Nie byłam też rewolucjonistką, ale przyłączyłabym się do nich, gdyby powiedziały, że muszę. Jadłabym gorzkie melony codziennie, przy każdym posiłku, gdyby oznaczało to, że mogę opuścić małżeństwo. Nie zawahałabym się zmienić całego świata, żeby tylko odmienić swoje życie. Sądzę, że wiele z tych kobiet też tak o sobie myślało.

Po tym prostym posiłku zasypały mnie pytaniami. Choć widziałam je po raz pierwszy w życiu, powiedziałam im wszystko - o rodzinie Wen, mojej i o tym, jak Wen Fu przejął nad wszystkim kontrolę.

- Nie zgodzi się więc tak łatwo na rozwód - orzekła któraś. - Ja też pochodzę z bogatej rodziny i mój mąż nie chciał mnie wypuścić z garści, bo musiałby się wyrzec mojego bogactwa.

- A co z twoim synem? Chcesz zabrać go ze sobą? -zapytała matka Małej Yu.

- Oczywiście. Mój mąż nie dba o niego ani trochę. Używa go tylko jako broni przeciw mnie.

- A pieniądze? - dodała następna. - Masz własne oszczędności?

- Zostało mi trochę z posagu. Mam też na codzienne wydatki.

- Nie zapomnij o biżuterii - dodała Orzeszek. - Masz jeszcze te dwie złote bransolety, które dostałaś w dzień ślubu?

Skinęłam głową.

- Do tego jeszcze dwa naszyjniki, dwie pary kolczyków i pierścionek - dodałam.

- Czy twój mąż ma kochankę? - zapytała znów matka Małej Yu.

- Całe mnóstwo! - odparłam. - Zupełnie jak pies, który obwąchuje jeden zad za drugim.

- Ale czy ma jakąś specjalną, którą widuje cały czas? - dopytywała się inna. - Czasem kochanka potrafi zmusić mężczyznę do rozwodu, jeśli tylko budzi w nim dostatecznie silne pożądanie.

Roześmiała się głucho.

- Nikt go tak naprawdę nie obchodzi - odpowiedziałam. - Dawniej miał zwyczaj brać sobie kobietę, używać przez parę tygodni i wyrzucać. Teraz mieszkamy w domu mego ojca, razem z rodzicami Wen Fu, więc jest pod ostrzałem zbyt wielu spojrzeń. Nie znosi już do domu swoich brudnych sprawek. Nie wiem, z kim się widuje.

- A ty? Masz kochankę? - spytała kobieta bez przedniego zęba.

- Oczywiście, że nie! - zdenerwowałam się. - To mój mąż nie ma zasad moralnych, a nie ja! Jak możesz przypuszczać...

Nagle zmieszałam się, a zmieszanie to jeszcze bardziej mnie zakłopotало, bo oczywiście przyszedł mi na myśl Jimmy Louie. Nie byliśmy kochankami, ale po raz pierwszy miałam to tajemne uczucie, którego kochankowie muszą doświadczać: wstyd i potrzebę utrzymania wszystkiego w sekrecie.

Matka Małej Yu pogłaskała mnie po rękę.

- Nikt nie chciał cię obrazić - wyjaśniła. - Czasami warto udawać, że ma się kochanka.

- Zwłaszcza jeśli mąż ma dużą twarz, której nie chce stracić - wtrąciła Orzeszek.

- Tak zrobiłyśmy w przypadku twojej kuzynki - ciągnęła matka Małej Yu. - Wymyśliłyśmy kochankę. Natychmiast dostała rozwód.

- Ale niby czemu mam brać winę na siebie? - powiedziałam.

- W porządku - ucięła kobieta z brakującym zębem. - Zachowaj twarz i nędzne małżeństwo. Piękna i dumna! Właśnie takie kobiety nie umieją odrzucić przestarzałych zwyczajów. Skoro tak, to możesz już winić tylko siebie.

- Przestańcie się kłócić - powiedziała matka Małej Yu. - Próbujemy tylko dowiedzieć się wszystkiego, żeby obmyślić najlepsze wyjście. - Zwróciła się do mnie:

- Tymczasem musisz zapakować biżuterię i tyle pieniędzy, ile tylko znajdziesz. Jak już będziesz gotowa, weź syna i uciekaj, ale tak, żeby nikt was nie śledził.

Przyjdiesz tutaj, a potem wymyślimy, co dalej. Dasz sobie z tym radę sama czy potrzebujesz pomocy?

- Dam sobie radę - odparłam szybko, choć sama nie wiedziałam jeszcze, jak się do tego zabrać.

XXII

Jedna pora roku

Zanim wyszłam od Orzeszka, zrobiło się już późne popołudnie. Bardzo się spieszyłam, bo wiedziałam, że twój ojciec czeka w księgarni. Przez całą drogę uśmiechałam się szeroko. Nie mogłam się powstrzymać. Wydawało mi się, że każdy widzi moje szczęście i uśmiecha się w odpowiedzi.

- Za parę tygodni odchodzę od męża - powiedziałam, gdy tylko go zobaczyłam.

Cała się trzęsłam ze zdenerwowania i dumy. On też się trząsł.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Wziął mnie za rękę i oboje śmialiśmy się ze łzami w oczach.

Gdyby żył dzisiaj, pewnie przyznałby mi rację - już wtedy wiedzieliśmy, że zawsze będziemy razem. Nie wiem, skąd dwoje nieznajomych wie takie rzeczy i skąd bierze się ta pewność. Może stąd: kiedy zostawił na stoliku zdjęcie tamtych czterech dziewcząt, wyglądało to tak, jakby prosił mnie o rękę, natomiast kiedy ja biegłam, by mu powiedzieć, że odchodzę od męża, mówiłam przez to, że się zgadzam. Od tej pory byliśmy razem, dwoje ludzi o jednym sercu.

- I co dalej? - zapytał. - Co musimy teraz zrobić?

- Musimy poczekać na właściwą chwilę.

Ustaliliśmy plan. Kiedy będę gotowa, zadzwonię do niego późną nocą, gdy wszyscy już zasną. Powiem coś szybkiego i prostego, jak: „Przyjeżdżam jutro”.

Twój ojciec był romantyczny, więc zaproponował co innego, tajny szyfr. Postanowiliśmy, że powiem: „Otwórz drzwi, już widać góry”, klasyczne przysłowie, znaczące, że już niebawem wszystkie możliwości obrócisz w wielkie dzieło. Ojciec miał odpowiedzieć: „Więc przekroczmy góry”, a następnego dnia spotkać mnie i Danru w porcie, naprzeciw budki sprzedającej bilety na wyspę Tsungming. Potem wskoczymy do samochodu i pojedziemy do domu Orzeszka.

Wróciłam do domu, czując się tak, jakbym znała już szczęśliwe zakończenie swego życia. Rozejrzałam się, myśląc, że niedługo opuszczę te mury i nieszczęścia, które w nich mieszkają.

Usłyszałam, jak teściowa drze się na kucharkę, i wyobraziłam sobie prosty, cichy posilek, od którego nie wykręca mi się już żołądek. Zobaczyłam wchodzącego Wen Fu i pomyślałam, że już niebawem nie będę musiała usuwać z siebie jego brudu. Spostrzegłam, jak Danru patrzy na niego spod oka, i powiedziałam sobie, że niedługo mój syn będzie się bawił i śmiał bez żadnego lęku.

Potem zobaczyłam ojca. Miał zgarbione plecy i szurał nogami, wchodząc do swego gabinetu. Chyba jeszcze nigdy nie wydał mi się tak słaby.

Wtedy uświadomiłam sobie: ojciec! Jeśli odejdę, Wen Fu gotów go zabić jako zdrajcę. Posłuż się nim przeciwko mnie.

Szybko wróciłam na górę. Biłam się z myślami.

„Powinnam pozwolić, by wsadzili go do więzienia - mówiłam sobie. - W końcu z własnej woli sprowadził na siebie to nieszczęście. Niech zobaczy, co znaczy cierpieć”.

Potem przyszło mi do głowy więcej powodów: to on źle traktował matkę! To on nie chciał mnie widzieć, gdy dorastałam. To on pozwolił mi wyjść za złego człowieka. Nie obchodziło go, że szykuje mi nieszczęśliwą przyszłość. Dlaczego miałabym poświęcać dla niego swoje szczęście? Nigdy nie kochaliśmy się jak ojciec z córką.

Te podyktowane złością argumenty sprawiły tylko, że poczułam się równie podła, jak Wen Fu. Szybko wyrzuciłam je z serca i wyjaśniłam sobie spokojnie: ojciec jest stary, umysł już mu nie służy. Jak mogę brać na siebie odpowiedzialność za to, co mu zrobi Wen Fu?

Wiedziałam jednak, że te wymówki nie ukryją prawdziwej przyczyny, więc w końcu odrzuciłam je wszystkie, zostawiając sobie tylko jedno: Jimmy'ego Louie.

Nie zaprzeczałam już, że zdradzam ojca. Nie szukałam więcej usprawiedliwień. Wiedziałam, że postępuję dobrze i źle jednocześnie. Nie mogłam wybrać tylko jednego. Musiałam podjąć dwie decyzje naraz: pozwolić żyć sobie i pozwolić umrzeć ojcu.

Czy nie tak właśnie się dzieje, gdy musisz zadecydować o czymś własnym sercem? Nie przedkładasz zwyczajnie jednej rzeczy nad drugą. Wybierasz to, na co masz ochotę, a twój wybór godzi w potrzeby innych. Podejmujesz decyzję ze wszystkimi konsekwencjami. Możesz sobie mówić: „To nie moje zmartwienie”, ale słowa nie zagłuszają problemu. Ten problem nie dotyczy już może twego życia, ale na zawsze pozostanie w twoim sercu. I powiem ci, że tego dnia, kiedy wiedziałam już, czego chcę, płakałam jak dziecko, które nie wie, czemu płacze.

Przez następny tydzień chodziłam jak w żałobie. Czułam, że straciłam już ojca, a także część siebie. Chciałam się jakoś pocieszyć, chciałam pozostać nieszczęśliwa. Pewnego popołudnia prawie bezwiednie podążyłam za ojcem do gabinetu. Nie wiem czemu, może chciałam mu jakoś okazać swój żal.

- Ojcze! - zawołałam.

Spojrzał na mnie bez wyrazu. Usiadłam naprzeciw niego na krześle.

- Ojcze - powtórzyłam - czy wiesz, kim jestem?

Tym razem nie podniósł wzroku. Wpatrywał się w ścianę, w to samo malowidło, które zniszczył filiżanką herbaty podczas wizyty Japończyków.

Obraz przedstawiał wiosnę, różowe kwiaty kwitnące na drzewach, rosnących na wzgórzu, które wylaniało się z zamglonego jeziora. U dołu obciążał go lakierowany pręt. Widać było, że malowidło należało do kompletu czterech pór roku, ale pozostałe już zniknęły, sprzedane przez Wen Fu. Zostały tylko puste miejsca na ścianie, jak obrazy-duchy. Wiesz, czemu to ocalało: na samym środku widniała wielka herbaciana plama, zupełnie jakby malowane jezioro wystąpiło z brzegów.

- Czy to nie dziwne - powiedziałam - że ktoś chciał mieć tylko trzy pory roku? Jak życie, które nigdy się nie dopełni.

Rzecz jasna, nie odpowiedział. Wydawało mi się, że nic nie rozumie, więc ciągnęłam dalej, co mi ślina na język przyniosła.

- Moje życie też przypominało obraz, którego nikt nie chce. Ta sama pora roku, codziennie ta sama nędza, bez nadziei na zmiany. - Rozpłakałam się. - Dlatego muszę odejść. Nie oczekuję, że mi przebaczysz.

Wyprostował się nagle. Patrzył na mnie - w jednym oku widziałam smutek, a w drugim złość. Przeraziłam się, że zrozumiał, co powiedziałam. Wstał, ruszając ustami; nie wyszło z nich ani jedno słowo, tylko „uh! uh!”, jakby żuł powietrze. Na jego twarzy pojawił się okropny wyraz. Zamachał mi przed oczyma, jakby słowa tkwiące w gardle zaczynały go dusić. Wyciągnął drżącą rękę i z niespodziewaną siłą złapał mnie za ramię. Popchnął mnie z krzesła w stronę zwoju.

- Muszę - szepnęłam. - Nie masz pojęcia, ile wycierpiałam.

Machnął tylko ręką, po czym mnie puścił. Dwie drżące dłonie walczyły teraz z czarno lakierowanym prętem. Pomyślałam, że pewnie chce go złapać, żeby uderzyć mnie po głowie, ale zamiast tego pociągnął nagle gałkę i na jego wyciągniętą dłoń upadły trzy sztabki złota.

Wcisnął mi je do ręki, patrząc prosto w oczy. Ze wszystkich sił starałam się zrozumieć, co ma na myśli. Wciąż jeszcze widzę dwie miny naraz. Nagle zrozumiałam: jedna strona pokazywała agonię, druga ulgę, zupełnie jakby mówił: „Ty głupia dziewczyno, nareszcie podjęłaś właściwą decyzję”.

- Nie mogę ich wziąć - szepnęłam. - Wen Fu by je znalazł. Wezmę później, tuż przed odjazdem.

Skinął głową i szybko schował sztabki na miejsce.

Myślałam o tym wiele razy. Nie sądzę, by chciał przez to powiedzieć, że mnie kocha. Może uważał, że jeśli opuszczę tego straszego człowieka, to zostawi on w spokoju również jego dom i skończą się ich cierpienia? Moja ucieczka to jedyna szansa dla ojca i jego żon. A może też chciał dać do zrozumienia, że kocha mnie troszeczkę.

Następny ranek wydawał mi się bardzo dziwny. Wszyscy zeszli na śniadanie: Wen Fu, Danru, teściowie, San Ma i Wu Ma. Służąca wniosła miskę parującej zupy.

Gdybyś się tam znalazła, pomyślałabyś pewnie, że nic się nie zmieniło. Ojciec nadal mnie nie poznawał, jego umysł wydawał się równie nieprzejrzysty, jak zupa, na którą się gapił. Matka Wen Fu ciągle narzekała: a to, że zupa nie dość ciepła, a to, że nie dosolona. Wen Fu jadł bez słowa. Zastanawiałam się, czy to, co zdarzyło się wczoraj, nie było snem. Może tylko wyobraziłam sobie sztaby złota? Denerwowałam się, ale z uporem trzymałam się planu, który ułożyłam zeszłej nocy.

Dolałam zupy matce Wen Fu.

- Matko, zjedz więcej, dbaj o zdrowie. - Piła, a ja ciągnęłam dalej: - Biednej Starej Ciotce zdrowie niestety nie dopisuje. Wczoraj dostałam od niej list.

Wcale nie zmyślałam. Dostałam list i jak zwykle Stara Ciotka narzekała na samopoczucie. Pod tym względem można było na nią liczyć.

- A co jej jest? - zapytała Wu Ma, która też wiecznie trzęsła się o siebie.

- Chłód w kościach i brak siły przy wydychaniu. Zdaje jej się, że lada dzień umrze.

- Ta kobieta nigdy się dobrze nie czuje - burknęła matka Wen Fu zgryźliwie. - Ma w domu maści ze wszystkich ziół, jakie rosną na ziemi.

Wen Fu przytaknął jej ze śmiechem.

- Tym razem chyba rzeczywiście choruje - odparłam i dodałam cicho: - Kiedy widziałam ją ostatnio, miała bardzo niezdrową cerę. Całe ciepło z niej ucieka. Teraz mówi, że się pogorszyło.

- Lepiej pojedź ją odwiedzić - podsunęła San Ma.

- Hmm - mruknęłam, jakby przedtem nie przyszło mi to do głowy. - Może i masz rację.

- Ależ ta dziewczyna dopiero co wróciła! - zawołała matka Wen Fu.

- Może mogłabym pojechać z krótką wizytą. Jeśli naprawdę nic jej nie jest, to za parę dni wrócę do domu.

Teściowa prychnęła tylko.

- Oczywiście, jeśli naprawdę choruje, to pewnie będzie trzeba zostać dłużej.

W tym momencie kucharka wniosła pierogi gotowane na parze. Badanie i krytykowanie jedzenia pochłonęło teściową bez reszty - za bardzo, żeby mogła przysporzyć mi więcej kłopotów.

Widzisz więc - nie powiedziała „tak”, ale nie powiedziała też „nie”. Wiedziałam, że jeśli następnego dnia wyjdę z domu, trzymając w jednej ręce walizkę, a w drugiej rączkę Danru, nikogo to nie zdziwi. Nikt też nie zacznie mnie szukać, jeżeli nie wrócę przez trzy czy cztery dni. Powiedzą tylko: „Biedna Stara Ciotka, choruje bardziej, niż nam się zdawało”.

Po południu, kiedy wszyscy spali, weszłam po cichu do gabinetu ojca i zamknęłam drzwi. Podeszłam do zwoju przedstawiającego wiosnę, potrząsnęłam prętem. Tak ja się spodziewałam: ciężar trzech sztabek przesunął się tam i z powrotem, po czym jasne złoto wylądowało w mojej dłoni. Przekonałam się, że wczorajszy dzień nie był tylko wytworem mojej wyobraźni. Zdarzył się naprawdę.

XXIII

Szczerze oddana z poważaniem

Nie mam swoich zdjęć z młodości, z czasów, kiedy byłam żoną Wen Fu. Wyrzuciłam je. Ale twój ojciec przechowywał ten album. Widzisz, jaki ciężki? Robił mi mnóstwo zdjęć.

Ci ludzie na początku to amerykańscy piloci, jego znajomi. Te kobiety to nie jego przyjaciółki, tylko też jakieś znajome z dawnych czasów. Nie wiem, czemu umieścił ich zdjęcia w albumie, nigdy nie pytałam. Może nadał im amerykańskie imiona, a one w zamian za to podarowały mu fotografie? Na przykład ta: „Szczerze oddana z poważaniem, Peddy”. Co to za imię - Peddy? Nie umiała pewnie napisać poprawnie nawet własnego imienia. Nie mówię najlepiej po angielsku, ale wiem, że wystarczy się podpisać albo „szczerze oddana”, albo „z poważaniem”, a nie obydwoma zwrotami naraz. Zresztą sama widzisz, że żadna z niej piękność.

Odwróć tę stronę. Tutaj się zaczyna. Czasem wydaje mi się, że właśnie wtedy zaczęło się całe moje życie.

Spójrz na to zdjęcie. I na to. I na to. Widzisz, byłam kiedyś młoda. Nie wiedziałaś tego o matce, co? Właśnie taką widział mnie zawsze ojciec. „Młoda i jasna”, mówił o mnie. Powtarzał, że nic się nie zmieniłam, nawet gdy zaczęłam siwieć. W snach też widziałam się taką, jak na tych zdjęciach. Jeszcze bardzo niedawno.

Jednak w dniu ostatnich urodzin miałam sen: twój ojciec nie umarł naprawdę. Mieszkał tuż za rogiem, tylko zapomniał mi o tym powiedzieć. Najpierw bardzo się rozłościłam. Jak mógł pozwolić, bym opłakiwała go bez potrzeby? Potem zapomniałam o gniewie i szykowałam się w podnieceniu na spotkanie z nim. Nagle spojrzałam w lustro. Aj-ja! Co się stało? Jak mogłaś tak się zestarzeć? Odbicie spojrzało na mnie i odparło: „To twoja wina. Zapomniałaś”.

Nagle poczułam się stara i zdałam sobie sprawę, że wszyscy mnie taką widzą. Dużo starszą, niż mi się zdawało, siedemdziesięcioletnią.

A jednak w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym byłam młoda i ładna.

Spójrz na to zdjęcie, na mój uśmiech i podpuchnięte oczy. To nie najlepsza fotografia, ale ma specjalne znaczenie. Twój ojciec zrobił je jakiś miesiąc po tym, gdy uciekłam od Wen Fu. Tego dnia chodziliśmy po parku, kłócąc się trochę. Otóż matka Małej Yu chciała, żebym wraz z Danru wyjechała z Szanghaju. Znała w Tiencinie dobrych ludzi, którzy mogli mnie ukryć aż do czasu rozwodu.

- Nie jedź, nie jedź - mówił ojciec.

- Jak mogę nie jechać? Gdzie się inaczej podziejemy? - zapytałam.

- Zamieszkacie ze mną - odparł.

Na to właśnie liczyłam. Mieszkanie z Orzeszką i z innymi kobietami to nie zabawne. Myślisz, że skoro były komunistkami, to nigdy się nie kłóciły? Nie podobnego. Nie mówiłam o tym Jimmy'emu.

Kiedy poprosił, bym z nim zamieszkała, odpowiedziałam:

- Jak mogłabym to zrobić?

Pozwoliłam, żeby przekonywał mnie przez dwie godziny. Jeśli ktoś ofiaruje się przejąć twój ciężar, powinnaś sprawdzić, ile w tym poważnych zamiarów, a ile tylko uprzejmości i dobroci. Uprzejmość i dobroć nie trwają długo.

Zrobił to zdjęcie, kiedy wiedziałam już, że mówi serio, bez względu na wszystko.

Och, nie mam pojęcia, czemu wkleił tę fotografię do albumu, wcale nie wygląda ładnie. Czemu robił mi zdjęcia w koszuli nocnej i z potarganymi włosami? Zawsze twierdził, że to jego ulubione. „Winnie budzi się razem z blaskiem słońca” - mawiał. Każdego ranka budziłam się, a on patrzył już na mnie, mówiąc te słowa. Śpiewał mi też piosenkę „Jesteś moim światłem”. Śpiewał ją właściwie co dzień rano.

Może nie powinnam ci tego mówić, ale jednak coś ci o nim opowiem. Jimmy - jakby to ująć? - kochał mnie całym sercem. Skąd wiem? Kiedy z nim zamieszkałam, do niczego mnie nie zmuszał. Niczego nie żądał. Był czuły i wiedział, że boję się seksu.

Przez kilka pierwszych nocy całował mnie w czoło, gładził po włosach i powtarzał, jak bardzo mnie kocha. W końcu szybowałam w szczęśliwy sen.

Po tygodniu powiedziałam mu, że jestem gotowa. Chciałam się poświęcić, żeby i on był szczęśliwy. Rzecz jasna, nie określiłam tego w taki sposób, ale tak właśnie myślałam. Zamknęłam oczy, czekając na znajomy wstyd, ale Jimmy wcale się na mnie nie rzucił. Dalej robił to, co zwykle. Całował mnie po rękach, po policzkach, po czole. Nie przestawał ani na chwilę. Cały czas gładził mnie po plecach, aż zapomniałam o

wszystkich lękach i znów zaczęłam zapadać w sen. Nagle zdałam sobie sprawę, co robi, ale w niczym nie przypominało to dawnych doznań. Otworzyłam oczy i rozplakałam się z radości, widząc jego twarz, wpatrzoną we mnie. On też płakał z tej samej radości. Potem trzymał mnie w ramionach, bojąc się mnie puścić.

Dlatego ojciec lubił tak to zdjęcie. Rano ciągle byłam obok niego. Byłam jego słonecznym blaskiem.

Na tej stronie widzisz mnie po trzech miesiącach wspólnego mieszkania. To fasada budynku, a to drzwi. Ta kobieta obok to właścicielka, która wynajęła nam dwa pokoje na górze. Ojciec nazywał ją Lau Tai Po, „stara dama”. W Chinach nazywano ludzi starymi na znak szacunku, z uprzejmości. W tym kraju słyszę czasem „Hej, pani starsza! Patrz, gdzie idziesz!” To żaden szacunek. Zawsze mają przy tym podłe miny.

Na tym zdjęciu jestem chyba najszczęśliwsza w życiu. Widzisz moje oczy? Zupełnie jakby nie mogły powstrzymać się od uśmiechu. Ojciec też tak wyglądał, wciąż się śmiał. Byliśmy szczęśliwi każdego dnia. Jimmy wracał z pracy i unosił mnie w powietrze, jak na filmach. Danru biegł do niego: „Mnie też podnieś, mnie też!” Ojciec próbował go podnieść i mówił: „Och, co za ciężar! Gdzieś ty tak utył?” Potem kazał mu wziąć głęboki oddech i napełnić się powietrzem jak balon. Wtedy podnosił go wysoko, aż do sufitu.

Przez cały ten czas nie martwiłam się o Wen Fu. Orzeszek powiedziała już Starej i Nowej Ciotce, że żyję z innym mężczyzną. One, rzecz jasna, powtórzyły to stryjowi, a stryj Wen Fu. Do tej pory Wen Fu zdążył już sprowadzić do domu inną kobietę, która wkrótce spodziewała się dziecka, byłam więc pewna, że niedługo dostanę rozwód. Nawet rodzice Wen Fu namawiali go do tego. Jeżeli chodzi o pieniądze mego ojca, nie było się już za bardzo o co bić. Zgodnie z zaleceniami rządu Wen Fu pozamieniał całe złoto i akcje na nowe banknoty, które teraz, jak się wydawało, z tygodnia na tydzień traciły połowę wartości.

Na szczęście twój ojciec dostawał wynagrodzenie w dolarach, ale powiem ci, że i bez pieniędzy bylibyśmy szczęśliwi.

Tutaj następna fotografia z tego samego dnia. Zrobiłam z niej dodatkową odbitkę i wysłałam Hulan, która wraz z Jiaguo nadal mieszkała w Harbinie.

Napisałam jej: „Zgadnij, kogo spotkaliśmy? Kogoś, kto mówi po angielsku i woła na mnie «Winnie». Zgadnij, to w następnym liście powiem Ci, czy miałaś rację”.

Na tym zdjęciu możesz zobaczyć Danru z psem gospodyni. Ten pies przypomina jagnię, prawda? Kędzierzawa sierść, małe uszy. Potem okazało się, że to zły pies - zjadł moje kapcie. Gospodyni odstąpiła mi własne, ale miała jakąś chorobę stóp, więc wcale nie paliłam się, by je nosić, nawet przez uprzejmość. Oczywiście nadal bardzo ją lubiłam.

Pamiętam, że pewnego dnia, gdy zostałyśmy same, opowiedziała mi o swoim życiu. W ten sposób dowiedziałam się, że wyszła za Chińczyka ze Stanów Zjednoczonych, który potem porzucił i ją, i psa. Wrócił do Ameryki i ożenił się z kim innym, nie zadając sobie nawet trudu, by najpierw udzielić jej rozwodu. Mimo to nadal przysyłał jej pieniądze - twierdziła, że reszta ją nie obchodzi.

- Taki los - powiedziała.

Wydawało mi się, że nic już nie czuje i po staroświecku pogodziła się z losem, ale nagle dodała:

- Lepiej uważaj. Nie sprowadź mego losu na siebie.

Następne zdjęcie to istna wiosna. Widzisz kwiaty i drzewa w tle. Teraz mam krótsze włosy, modnie obcięte. Och, pamiętam to zdjęcie: wyglądałam na szczęśliwą tylko dlatego, że ojciec kazał mi się uśmiechnąć.

Tak naprawdę bardzo się tu martwię. Zużyłam już dwie sztabki złota na wynajęcie dobrego adwokata z ulicy Nankin, znanego z przebiegłości i sprytu. Umieścił w gazecie ogłoszenie, mówiące, że nie jestem mężatką od czasu, gdy w Kumningu Wen Fu przystawił mi pistolet do głowy, każąc napisać dokument rozwodowy. Nazajutrz dwóch mężczyzn wpadło do jego biura - wszystko zdemolowali, podarli też moje papiery. Prawnik bardzo się przestraszył i rozzłościł.

- Ten twój mąż to jakiś gangster - orzekł i nie chciał mi już pomagać.

Zastanowiłam się. Może mój mąż rzeczywiście był gangsterem? Ciocia Du też tak uważała, choć nie wiem, skąd jej się to wzięło. Teraz już o nic jej nie zapytam.

A to zabawne zdjęcie. Widzisz ten fartuszek, który mam na sobie? Stoję właśnie w kuchni naszego następnego mieszkania, dwa pokoje przy ulicy Chiao Chow. Ojciec i ja zarejestrowaliśmy się jako małżeństwo; tutaj powiedziałoby się: państwo

Jamesowie Louie. Nadal używałam jednak prawdziwej pieczętki z moim oficjalnym nazwiskiem, „Jiang Weili”.

Ojciec zrobił to zdjęcie rano, tuż przed wyjściem do pracy. Ja pewnie wybierałam się z Danru do kina, gdzie chodziliśmy niemal codziennie. Na wszelki wypadek nie chciałam siedzieć w domu cały dzień. To znaczy na wypadek, gdyby zjawił się Wen Fu.

Na tym zdjęciu nie gotuję tak naprawdę, udaję tylko. Ojciec lubił robić nie pozowane, naturalne zdjęcia.

- *Baby-ah* - mówił do mnie, zawsze używając tego amerykańskiego przezwiska - *baby-ah*, uśmiechnij się, ale nie patrz w obiektyw.

Widzisz więc, że to fotografia z natury.

Tutaj jeszcze jedno zdjęcie, moje i Danru. A tu następne i następne. Widzisz, ile? Widzisz, jaki był szczęśliwy? Ma trochę rozmazane rysy, bo zaczął się ruszać, kiedy ojciec robił zdjęcie. Nie utrzymasz sześciolatka, który ma ochotę wrzucać kamienie do sadzawki.

Tutaj jesteśmy w ogrodzie świątynnym, a tu w parku z małą karuzelą ze zwierzętami z kreskówki. Tutaj opieramy się o drzewo niedaleko jeziora. Nie dojrzysz go, ale pamiętam, że tam było.

Pamiętam też, że robiliśmy te zdjęcia, zanim wysłaliśmy Danru na północ do Harbinu, żeby zatrzymał się u Hulan, Jiaguo i ciotki Du. Podjęliśmy taką decyzję po tym, jak gospodyni powiedziała nam, że przyszło dwóch mężczyzn, szukając Danru i mnie.

Chciałam z nim jechać, a Jimmy dołączyłby potem do nas, ale musiałam zostać kilka tygodni; znalazłam innego prawnika, który zabrał moją ostatnią sztabkę złota i powiedział, że rozwód mam prawie w kieszeni, ale do tego czasu nie powinnam wyjeżdżać z Szanghaju. Zostałam, obiecując Danru, że niedługo przyjadę. Uwierzył mi oczywiście. Ja też wierzyłam, że dobrze robię i że w ten sposób go ratuję.

Późną nocą zawieźliśmy śpiącego Danru na stację. Jechała z nim nasza gospodyni, bo dzięki temu mogła odwiedzić mieszkającą na północy kuzynkę.

Obudził się tuż przed wejściem do pociągu. Zaczął rozpaczliwie krzyczeć:

- Gdzie moja mama? Zmieniłem zdanie! Nie chcę jechać!

Podbiegłam do niego.

- Jak możesz tak robić? Zawstydzasz matkę przy tylu ludziach!

Ciągle płakał, jakby serce miało mu pęknąć, rozrywając moje przy okazji. Zganiłam go.

- Nie płacz już, nie płacz. Przyjadę po ciebie, jak tylko się uwolnię.

Oczywiście powiedziałam to bardzo łagodnie, ale i tak żałuję. Powinnam go przytulić i pochwalić za to, że nie chciał mnie opuszczać. Za nic nie powinnam pozwolić mu odejść.

Ale z drugiej strony, sama zobacz. Na tym zdjęciu i na tym, i na tamtym - wszędzie jest szczęśliwy. Widać to nawet na nieostrych fotografiach. Umiałam zapewnić mu szczęśliwe dzieciństwo.

Tutaj widzisz mnie i ciocię Du, w parę tygodni po tym, jak przyjechała odwiedzić mnie w Szanghaju. Na ten widok zawsze robi mi się smutno, bo pamiętam dzień jej przyjazdu. Czekala cierpliwie na korytarzu, aż wrócimy do domu.

Zobaczyłam starszą kobietę, podnoszącą się powoli z krzesła.

- Syau ning, moja mała - powiedziała.

Ależ byłam zaskoczona i szczęśliwa. Ciocia Du, z dalekiego Harbinu! Podbiegłam, by się przywitać, besztając, że nic nie napisała; odebrali byśmy ją przecież ze stacji. Nagle zobaczyłam jej minę, zaciśnięte usta i zaszklone oczy. Kiedy widzisz taką twarz, wszystko już wiesz.

Chciałam ją odepchnąć. „Wracaj! Wracaj!” - krzyczałam. Jimmy musiał przytrzymać mnie za ramię. Kiedy wyjaśniła przyczynę przyjazdu, zawołałam:

- Jak możesz tak mówić? Myślisz, że to zabawne? Jak można mówić matce, że jej synek nie żyje? Wcale nie umarł. Ocaliłam go! Wysłałam do Harbinu!

Nigdy nie miała do mnie o to pretensji. Przyjechała z daleka, spodziewając się takiego przyjęcia.

Oto, co się stało: Japończycy wyhodowali tysiące szczurów, zarażonych groźną chorobą, a po wojnie nie zabili ich, tylko wypuścili na wolność. Po niecałym roku nastąpiła katastrofa - szczury i pchły błyskawicznie roznosiły epidemię. Zachorowało i umarło mnóstwo ludzi, bez żadnej szansy ratunku. Biedny Danru odszedł w ciągu jednego dnia.

Ale nie koniec na tym. Zmarł także Jiaguo.

Chciałam natychmiast jechać do Harbinu, żeby uściskać synka, pewna, że zaszła jakaś pomyłka. W końcu on nigdy wiele nie płakał, nie budził się łatwo. Nie znali go od tej strony. Nie wiedzieli też, jak bardzo mi ufał.

Jednak ciocia Du powiedziała, że pochowano Danru i Jiaguo tego samego dnia, zanim jeszcze człowiek zdążył pojąć, jak do tego doszło. Trzeba też było spalić sprzęty domowe, ubrania i zabawki Danru, słowem wszystko, na wypadek, gdyby ukrywała się tam choć jedna pchła. Widzisz, nic zupełnie nie zostało mi na pamiątkę. Odszedł na zawsze.

Dopiero następnego dnia zapytałam o Hulan.

- Gdzie się podziewa? Czemu nie przyjechałyście razem?

Ciocia odparła, że Hulan została w Harbinie, żeby opiekować się grobami. Każdego dnia zanosila na cmentarz jedzenie. Mówiła Jiaguo i Danru: „Mam nadzieję, że przytyjecie tam, po drugiej stronie”.

- Uparła się. Obiecała, że przyjedzie później odwiedzić mnie w Szanghaju. W Harbinie nie ma już po co tkwić. Teraz przynajmniej doszła trochę do siebie, ale tuż po ich śmierci - no, coś straszego. Przez dwa dni nie płakała, tak jej się wszystko pomieszało. Powtarzała ciągle: „Jak to nie żyją? Przecież wojna już się skończyła”. Powtarzała to przez dwa dni, a potem wzięła się do sprzątnięcia domu. Myła ściany i podłogi terpentyną, a kiedy skończyła, usiadła i zaczęła pisać do ciebie, by cię zawiadomić delikatnie, co stało się z Danru. Utknęła na jednym zwrocie: „Twój ukochany syn”. Nie umiała tego napisać, więc poszła zapytać Jiaguo. Nie mogła go znaleźć. Wołała go po całym domu. Zastałam ją w sypialni, jak krzyczała na niego, płacząc ze złości.

- Jiaguo! Jiaguo! Nie umieraj teraz! Jak ja sobie bez ciebie poradzę? Skąd mam wiedzieć, jak się pisze „ukochany syn”?

Na tym zdjęciu możesz zobaczyć, jak wychudłam. Sweter zsuwa mi się z ramion. Nie widać tego, ale ten sweter jest ciemnoczerwony, a na piersi i kieszeniach ma wzór, wyszywany prawdziwą złotą nitką. Ojciec poprosił, bym założyła go do zdjęcia. Kupił mi go na dwudzieste dziewiąte urodziny, wczesną wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego.

Nigdy dotąd nie dostałam prezentu na urodziny, to amerykański zwyczaj, Chińczycy tego nie robią. Pewnie powinnam się cieszyć, ale wciąż byłam smutna z

powodu Danru. Ciągłe się obwiniałam. Ojciec nie kazał mi się więc uśmiechać, i nie zrobiłam tego. To naturalne zdjęcie.

A teraz widzisz, że moje zdjęcia się skończyły. Wkrótce potem ktoś zauważył, jak wchodzę do salonu kosmetycznego, a kiedy wyszłam, dwóch policjantów zabrało mnie do więzienia.

Nikt nie chciał mi powiedzieć, czemu mnie aresztują. Zabrali mnie do więzienia dla kobiet, z grubą, drewnianą kratą i wysokimi murami. Wprowadzili mnie do środka i natychmiast zrobiło mi się niedobrze. Co za okropny smród! Zupełnie, jakby ktoś wetknął ci nos do klozetu!

Strażniczka poprowadziła mnie długim, ciemnym korytarzem, wzdłuż drewnianych stołów i ław. Po drugiej stronie znajdowały się cele, jedna przy drugiej, w każdej po pięć kobiet, na które na ulicy bałabyś się spojrzeć. Z ich twarzy dało się wyczytać wiele smutnych historii. Właśnie tam mnie wsadzono - do śmierdzącej celi, z czterema innymi kobietami.

Myślę, że zorientowały się od razu, iż trafiłam tu przez pomyłkę. Przyglądały mi się bez współczucia, za to z ciekawością. Cztery pary oczu w milczeniu wpatrywały się w moje *chipao*, zwykłą letnią sukienkę pani z towarzystwa. Gapiły się na moją fryzurę, błyszczące loki prosto od fryzjera.

Większość z nich nosiła długie brudne spodnie i bluzy. Miały zniszczone twarze i tłuste włosy.

Nagle jedna z nich odezwała się ochryłym głosem:

- Ej, siostrzyczko, usiądź, usiądź, zostań na chwilę z wizytą!

Wszystkie się roześmiały, ale nie było w tym złośliwości. Pewnie uważały, że ten żart sprawi, iż poczuję się różnie. Inna podskoczyła z drewnianego stołka.

- Spocznij tutaj!

Wszystkie roześmiały się na nowo, a ona szybko podciągnęła spodnie. Wtedy zobaczyłam, że w rzeczywistości siedziała na drewnianej toalecie, ustawionej w kącie celi. Używano jej przy wszystkich, żadnego odosobnienia! Nie dało się też spuścić wody ani opuścić kłapy, nic z tych rzeczy. Wszystkie odchody tkwiły tam jak jedna ohydna zupa.

W drugim kącie leżało na podłodze cienkie posłanie, wystarczające dla trzech osób, jeśli dobrze się ścieśniły. Miałyśmy spać na zmianę - trzy na materacu, a dwie pozostałe, siedząc na betonowej podłodze.

Stałam przez całą noc. Martwiłam się nie o siebie, lecz o Jimmy'ego. Wyobrażałam sobie, jak mnie szuka, biegając po parku, zaglądając do kin. Był dobrym człowiekiem, dbałym i czułym, ale nie miał wiele sił. Nigdy dotąd nie napotkał w życiu większych trudności. Tak się denerwowałam. Miałam nadzieję, że ciocia Du pomoże mu mnie znaleźć.

Nad ranem nogi trzęsły mi się z wyczerpania. Przyszła strażniczka.

- Jiang Weili! - zawołała.

- Tutaj! Tutaj! - odkrzyknęłam.

Sądziłam, że wypuszczają mnie na wolność, ale zamiast tego założono mi kajdanki, jak jakiejś niebezpiecznej kryminalistce. Potem wsadzono mnie na tył ciężarówki wraz z innymi skutymi kobietami o grubiańskim obejściu; wyglądały na złodziejki. Nie wiedziałyśmy, dokąd jedziemy. Może za miasto, na rozstrzelanie? Przypominałyśmy powiązane zwierzęta, które wiozą na targ. Obijałyśmy się o siebie, kiedy ciężarówka podskakiwała na wybojach.

Zatrzymałyśmy się, jak się okazało, przed budynkiem miejscowego sądu. Weszłam na salę i od razu zobaczyłam Wen Fu. Uśmiechał się zwycięsko na widok mego ponizenia. Miałam potargane włosy, pomiętą sukienkę, a mojej skóry wciąż trzymały się zapachy ubiegłej nocy.

Wtem usłyszałam głośny szept:

- O, tam jest!

Zobaczyłam ciocię Du, Orzeszka i Jimmy'ego, z mieszaniną szczęścia i rozpacz na twarzy. Później dowiedziałam się, że moje nadzieje okazały się słuszne: ciocia Du poszła do domu mego ojca, żądając informacji, dokąd mnie zabrano. W ten sposób dowiedziała się, co zrobił Wen Fu.

Sędzia objaśnił mi, na czym polega oskarżenie. Sądzone mnie za wykradzenie syna i dopuszczenie do jego śmierci, a także za kradzież wartościowych przedmiotów i opuszczenie chińskiego męża dla amerykańskiego żołnierza, którego spotkałam w czasie wojny.

Trzęsłam się ze złości tak, że prawie nie mogłam mówić.

- To stek kłamstw - powiedziałam cicho i wyjaśniłam sędziemu: - Mąż rozwiódł się ze mną dawno temu, jeszcze podczas wojny. Przystawił mi do głowy pistolet i zmusił do podpisania dokumentów rozwodowych.

Dodałam, że nie ukradłam niczego z domu ojca, zabrałam jedynie to, co mi się słuszenie należało. Jak można oskarżać mnie o opuszczenie męża, skoro rozwiódł się ze mną i żyje teraz z inną kobietą? Powiedziałam też, że ten drugi mężczyzna jest teraz moim mężem. Nasze małżeństwo jest oficjalnie zarejestrowane.

Widziałam, że Jimmy kiwa głową. Ktoś zrobił mu zdjęcie. Zauważyłam, że siedzieli tam też inni ludzie, zupełnie jak publiczność w teatrze. Przychodzili przysłuchiwać się procesom, bo nie mieli nic innego do roboty. Pokazywali sobie palcami najpierw mnie, potem Jimmy'ego i szeptali. Ciocia Du powtórzyła mi później, że mówili: „Patrz, jaka piękna, zupełnie jak aktorka”, „Posłuchaj, jak mówi, od razu widać, że to dobra dziewczyna”, „A ten facet, z którym uciekła? Co z niego za obcokrajowiec, każdy widzi, że to Chińczyk”.

Teraz Wen Fu z uśmiechem odezwał się do sędziego:

- Nie było żadnego rozwodu. Mojej żonie wszystko się pomieszało. Być może dawno temu posprzeczaaliśmy się i powiedziałem, że mogę się z nią rozwieść, jeśli nie zacznie się dobrze zachowywać. - Robił ze mnie idiotkę, która nie potrafi spać, czy się rozwiodła, czy nie. - Skoro naprawdę jesteśmy rozwiedzeni, gdzie jest dokument? Gdzie świadkowie?

Na to podskoczyła ciocia Du.

- Tutaj! Ja byłam świadkiem. Moja siostrzenica, mieszkająca na północy, była drugim.

Co za dobra kobieta, i jaki miała refleks! Nie kłamała tak całkiem. Słyszała naszą kłótnię i widziała dokument. Widzowie zaszemrali radośnie, słysząc jej słowa.

Wen Fu rzucił jej paskudne spojrzenie. Odwrócił się do sędziego.

- Ta kobieta kłamie. Jak może być świadkiem i podpisywać papiery? Znam ją, nie umie nawet czytać i pisać.

Po nieszczęśliwej minie cioci sędzia poznał, że to prawda.

- Czy nadał masz dokument rozwodowy? - zapytał mnie.

- W zeszłym roku dałam go prawnikowi - odparłam - ale po tym, jak umieściliśmy ogłoszenie w gazecie, ten człowiek, Wen Fu, zdemolował jego biuro, niszcząc wszystkie papiery, w tym i mój rozwód.

- To kłamstwo! - ryknął Wen Fu.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Upierałam się, że Wen Fu zmusił mnie do podpisania dokumentu, ciocia Du twierdziła, że nawet jeśli nie umie czytać, to i tak wie, co tam było napisane. „Przystawiłam tam swoją pieczęć!”

Wtedy sędzia kazał się wszystkim uciszyć.

- W tego typu sprawach, kiedy każdy twierdzi co innego, muszę się opierać na dowodach - oznajmił. - Nikt nie może przedłożyć mi dokumentu rozwodowego, zatem rozwodu nie ma. W braku rozwodu, mąż ma prawo pozwania żony za zabranie mu jego własności i syna. Żona nie zaprzecza, że popełniła obydwie te czyny. Zatem skazuję Jiang Weili na dwa lata więzienia.

Zaczął spisywać wyrok. Ludzie podnieśli krzyk, Wen Fu się uśmiechał, ciocia Du zawodziła, a ja i Jimmy patrzyliśmy na siebie oniemiały.

Zakręciło mi się w głowie i straciłam jasność myśli. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że przez kłamstwa Wen Fu mogłabym trafić do więzienia. Sądziłam, że chce mnie tylko poniżyć i rozwścieczyć, każąc spędzić noc w areszcie. Zdawało mi się, że śnię, kiedy strażnik nakładał mi kajdanki. Ktoś podbiegł, by zrobić mi zdjęcie, a sędzia przystawił do papieru czerwoną pieczęć.

Nagle Wen Fu podszedł do trybunału i odezwał się głośno:

- Może moja żona dostała już nauczkę. Jeżeli mnie przeprosi, wybaczę jej wszystko i pozwolę wrócić ze sobą do domu.

Uśmiechnął się do mnie wspaniałomyślnie.

Czułam, że wszystkie oczy utkwili we mnie w oczekiwaniu na to, co powiem. Pewnie się spodziewali, że padnę na kolana i zacznę błagać o litość. Chyba nawet ciocia Du i Jimmy mieli taką nadzieję. Serce przepęłniała mi jednak taka nienawiść, że na ich nadzieje nie starczyło już miejsca. Widziałam tylko wyczekujący uśmiech Wen Fu. Wyobraziłam sobie, jak się będzie ze mnie śmiał, jak siłą wdrze się do mego łóżka i unieszczęśliwi po wszystkie dni, aż zupełnie stracę rozum. Usłyszałam własny głos:

- Wolę spać na betonowej podłodze więzienia niż wrócić do domu tego człowieka!

Na sali rozległ się szmer zdumienia i śmiechy. No i widzisz, że na końcu to Wen Fu został poniżony. Uśmiechałam się, kiedy mnie zabierali.

Trzy dni później ciocia Du przysłała mnie odwiedzić. Siedziałyśmy w małej rozmównicy, ze strażniczką siedzącą w kącie i słuchającą każdego słowa.

Ciocia położyła na stole paczkę zawiniętą w kawał materiału. W środku znalazłam dwie pary majtek, pokrowiec na sukienkę, grzebień, mydło, szczoteczkę do zębów, pałeczki i mały amulet bogini miłosierdzia.

- Rozłóż materiał na łóżku, żeby zrobić kawałek czystego miejsca, potem połóż na nim amulet, żeby oczyścić serce.

Sięgnęła do rękawa i wyciągnęła złożoną na czworo stronę z gazety.

- Zobacz, co zrobili - szepnęła. - Ukazało się to we wszystkich dużych czasopismach. Jimmy Louie mówi, że napisali coś bardzo, bardzo złego.

Rozłożyłam gazetę i zaczęłam czytać. Jimmy miał rację. To było straszne, zupełnie jak opis jakiegoś pospolitego skandalu. Twarz płonęła mi gniewem.

„Amerykański romans zakończony śmiercią i tragedią” - przeczytałam. Zobaczyłam swoje zdjęcie: z tym mocnym spojrzeniem wyglądałam jak rewolucjonistka. „«Prędzej pójdę do więzienia!» - krzyczy chora z miłości żona”. Obok umieszczono zdjęcie Wen Fu, z oczami zwróconymi jakby w moją stronę; był zły i zwycięski zarazem. „«Jej egoizm zabił mego syna» - twierdzi bohater Kuomintangu”. Pod spodem widniała niewielka fotografia Jimmy'ego; miał opuszczoną głowę i jakby zawstydzoną twarz. „Amerykański żołnierz mówi: «Nadal chcę, by do mnie wróciła»”.

Czytałam kłamstwa Wen Fu o tym, jak porzuciłam uczciwe życie, odwróciłam się od własnego ojca, dałam umrzeć synowi, a wszystko dlatego, że amerykański seks uderzył mi do głowy. Wen Fu wiedział, na co czekają dziennikarze.

Ciocia Du spojrzała na strażniczkę.

- Mała - szepnęła - głupia ze mnie kobieta. Powinnam była podpisać ten dokument dawno temu. Przepraszam.

Westchnęłyśmy obie, dobrze się rozumiejąc.

- A gdzie Jimmy Louie? - zapytałam w końcu. - Kiedy przyjdzie?

Ciocia Du spuściła oczy.

- Aj, moja mała, czemu to wiecznie ja muszę przynosić ci złe wieści?

Tu masz zdjęcie statku, którym twój ojciec wrócił do Ameryki. Widzisz ten napis na dole? SS Marine Lynx. A widzisz to zakreślone okienko? To jego kajuta.

Widzisz, ilu ludzi złożyło na tym zdjęciu podpisy? „Wszystkiego dobrego, Lee Win Chin”, „Najlepsze życzenia, Mary Imagawa”, „Najlepsze życzenia, Raisa Hamsson”, „Najszczerze uszanowanie, Johnnie Ow”, „Z miłością Chrystusa, Maxima Aspira”.

Ten jest najlepszy: „Drogi Jimmy, kiedy cię spotkałam, zdawało mi się, że niezły z ciebie flirtiarz, ale po bliższym poznaniu wszystko wycofuję. Jesteś kapitalnym facetem, chyba najfajniejszym na statku, bardzo cię lubię. Poszczęściło się twojej Winnie, że ma takiego męża. Mnóstwo powodzenia od szczerzej przyjaciółki, Mary Moy”.

Twój ojciec mówił wszystkim, nawet obcym, że jesteście małżeństwem. Przed powrotem do domu wpisał to do paszportu: żonaty. Dowiedziałam się o tym od ciotki Du. Ona też powiedziała mi, że ojciec nie mógł zostać dłużej w Szanghaju.

Kiedy ja siedziałam w więzieniu, Wen Fu poleciał do amerykańskiego konsulatu, żeby narobić Jimmy'emu kłopotów.

- Proszę, co robią Amerykanie! Zniszczyliście mi rodzinę!

Wybrał się też do gazet, opowiadając to samo. Pojawiało się w tym czasie mnóstwo historii o amerykańskich żołnierzach gwałcących i uwodzących Chinki, którzy potem spokojnie wracali do żon.

Ludzie z konsulatu zabronili Jimmy'emu widywać się ze mną, póki wszystko nie ucichnie, ale sprawy tylko się pogorszyły. Gazety roztrząsały mój przypadek jeszcze wiele tygodni. Co parę dni odkrywano nowe szczegóły: co powiedział Wen Fu, co mu odpowiedziałam. Towarzyszyły temu zdjęcia: ja w więzieniu, siedzę na długim stole wraz z dwudziestoma innymi kobietami, Wen Fu i jego nowa pani z dumnymi minami wyprowadzają na spacer pekińczyka, Jimmy na wojnie, w towarzystwie amerykańskich pilotów, nawet zdjęcie Danru z dzieciństwa.

Czasami przedstawiano mnie olśniewająco i podle zarazem. Wyglądałam wtedy na niewinną, uwięzioną za nic. Ciotka Du powiedziała, że stałam się bożyszczem młodych dziewcząt w Szanghaju. Słyszała raz nawet, jak rozmawiały o mnie w autobusie. „Taka piękna i taka spotkała ją tragedia” - mówiły.

Jednak ludzi z konsulatu mało obchodziła moja uroda i tragiczne życie. Po jakimś czasie ojciec stracił pracę. Kazano mu wracać do domu i nie przysparzać więcej kłopotów. Nie mógł się ze mną zobaczyć, nie mógł zostać. Co miał robić? Wrócił do domu, do San Francisco.

Oczywiście pisał listy i wysyłał je na adres cioci Du, dołączając amerykańskie dolary, żeby tylko została w Szanghaju i zajmowała się mną. Ciocia zostałaby i bez tego, ale zawsze cieszyliśmy się z tych przesyłek, bo wartość chińskich pieniędzy ciągle spadała.

Ciocia odwiedzała mnie co miesiąc, przynosząc za każdym razem po trzy, cztery listy od Jimmy'ego. Zawsze pisał to samo: za dwa lata przyjedzie po mnie, choćby się paliło. Zawsze będzie mnie kochał, a takiej miłości nic nie powstrzyma. Modlił się każdego dnia i każdej minuty, żebym przyjechała do niego jak najszybciej. Chyba przez te ciągle modlitwy zrobił się taki pobożny i pewnie dlatego został duchownym. Nie sądzę, żeby zwierzał się komuś, że jego żona siedzi w więzieniu, do którego wsadził ją pierwszy mąż. Nie brzmiałoby to zbyt dobrze.

W więzieniu traktowano mnie nie najgorzej. Wydaje mi się, że strażniczki i więźniarki uwierzyły w moją wersję: dlaczego tu jestem i że nigdy nie powinnam była się tu znaleźć. Podziwiałały mnie, bo nimi nie gardziłam. Proszę, oto wykształcona osoba skończyła tak samo jak one. Jedna z nich powiedziała:

- Z twoim charakterem nigdy bym się tu nie dostała.

Inna zawsze prąła moje ubrania. Nie prosiłam jej, sama się ofiarowała. Ja także robiłam dla nich różne rzeczy. Poprosiłam ciocię Du o kawałek deski, żebyśmy mogły zakryć klozet, i znalazłam sposób na wytępienie robactwa. Dwie dziewczyny poprosiły, bym nauczyła je pisać, więc ciocia przynosiła nam stare gazety i kawałek węgla do pisania znaków. Po skończonych lekcjach darłyśmy gazety na paski i używałyśmy zamiast papieru toaletowego.

Uczyłam je także manier i poprawnego wysławiania się, tak samo jak swego czasu Min, wtedy w Kunmingu. Mówiłam ci, że dowiedziałam się potem, co się z nią stało? To bardzo smutne. Darłam pewnego dnia gazetę, gdy naraz zobaczyłam jej zdjęcie. „Panna Złote Gardło - mówił podpis - zmarła w wieku trzydziestu trzech lat”. Byłam zaskoczona, że wzięła sobie pseudonim Złote Gardło, tak jak jej podsunęłam. Zdziwiłam się też, słysząc, ile miała lat. Zrobiło mi się przykro, że znalazłam ją tylko po to, by usłyszeć o jej śmierci.

Została znaną piosenkarką w szanghajskim klubie nocnym - żadna wielka sława, ale zawsze. Umieścili jej zdjęcie w gazecie chyba dlatego, że zmarła w okropny sposób pewnej mroźnej zimowej nocy.

Szła właśnie wzdłuż portu na rzece, ubrana w wymyślną balową sukienkę bez rękawów i bez bolerka, skupiając na sobie spojrzenia dokerów i rybaków. Nagle zaczęła śpiewać. Ludzie uznali, że to bardzo dziwne, ale kiedy skończyła, zaczęli uprzejmie klaskać. Ukłoniła się, pomachała, cofając się jakby za kurtynę na scenie nocnego klubu. Uśmiechnęła się, powiedziała: „Dziękuję, dziękuję” i... przeskoczyła przez barierkę prosto do rzeki!

W gazecie napisano, że miała złamane serce - tak twierdził jakiś jej znajomy. Nie wyjaśniono, dlaczego. Czytając o tym, jakbym zobaczyła samą siebie. Kiedyś sądziłam przecież, że Min mnie przypomina, ma tylko więcej siły. Jeśli rzeczywiście tak było, to co czeka mnie? Dumałam nad tym przez wiele dni.

Właściwie myślałam o wielu rzeczach. Miałam mnóstwo czasu. Codziennie siedziałam z kim innym przy stole do pracy; pracowałyśmy po osiem godzin, nikogo nie zwalniano. Robiliśmy pudełka do zapalek. Wyciąć, złożyć, skleić i tak w kółko. Zanim poszłam do więzienia, nigdy się nawet nie zastanawiałam, że ktoś robi te małe pudełka. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że takie nic może być wynikiem czyjegosł nieszczęścia. Co za nuda!

Próbowałam składać je za każdym razem inaczej: zwijać wszystkie wierzchy przed sklejeniem albo układać we wzory; cokolwiek, byle tylko znaleźć sobie jakieś zajęcie. Kiedy umysł próżnuje, przychodzą do głowy złe myśli.

Pamiętam, że któregoś razu dostałam list od Jimmy'ego. Przestałam na chwilę pracować, żeby przeczytać go kobietom pracującym przy moim stole. Zawsze bardzo się ożywiały, kiedy przychodziła do mnie przesyłka lotnicza, bo same nie dostawały nawet zwykłych listów. Oczywiście wszystko dlatego, że nie umiały czytać.

„Droga żoneczko!” - czytałam, a wszystkie westchnęły: żoneczko!

Potem pisał jak zwykle: o tym, jak bardzo mnie kocha - dziewczęta zachichotały, jak cały czas się za mnie modli - westchnęły, jak myślał kiedyś, że głowa mu pęknie od ciężkiej nauki - wybuchnęły śmiechem, ile przyjemności sprawia mu nauka tańców ludowych w YMCA. Zatrzymałam się. Lekcje tańca?

Dziewczęta nie odezwały się ani słowem i wróciły do pracy. Spojrzałam na swe stwardniałe palce i wyobraziłam sobie, jak Jimmy trzyma delikatną rękę ładnej dziewczyny. Jak mógł mnie kochać i jednocześnie tańczyć z inną? Jak mógł modlić się za mnie, zamykając oczy, jeśli w tym samym czasie klaskał i przytupywał? Potem przyszło mi na myśl, że wpisując do papierów „żonaty”, miał na myśli małżeństwo nie

ze mną, lecz z kim innym. Po chwili zdawało mi się, że Jimmy tańczy - raz, dwa, trzy - nawą kościoła, wprost w objęcia nowej żony!

Takie właśnie myśli snuły mi się po głowie. Utkwiły tam i za nic nie dawały się przegnać. Cóż mogłam zrobić, zostawało mi tylko czekanie. A może czekam na próżno? Próbowałam zwalczać wątpliwości, chwytając się szczęśliwych wspomnień o tym, jak Jimmy tulił mnie nocą, jakby nigdy nie chciał puścić.

Poza ciocią Du nie miewałam wielu gości. Stara i Nowa Ciotka nieczęsto mogły sobie pozwolić na wizytę. Orzeszek zjawiała się tylko raz, a potem pewnej nocy uciekła z domu wraz z matką Małej Yu - obie gdzieś zniknęły. Ojciec nie pokazał się oczywiście. Może nawet nie wiedział, gdzie jestem. Słyszałam, że wiecznie już śni na jawie i buja myślami daleko stąd. Leżał wciąż w łóżku i nie sprawiało wielkiej różnicy, czy ma oczy otwarte, czy zamknięte.

Pewnego dnia przyszły naraz San Ma i Wu Ma. Zdziwiłam się, ale widząc ich białe stroje, zrozumiałam, czemu się zjawily.

- Nie żyje? - zapytałam.

San Ma skinęła głową, a Wu Ma odwróciła oczy. Obie zaczęły płakać. Ja też. Przypomniałam sobie dzień, w którym ojciec dał mi sztabki złota.

- Umarł przytomny - powiedziała Wu Ma. - Pod koniec wróciły mu siły.

Przytaknęłam. Zwyczaj nakazywał takie właśnie słowa. Podziękowałam im, że przyszły mnie zawiadomić.

- Ale kiedy to prawda! - podkreśliła San Ma. - Dziwne rzeczy zdarzyły się tuż przed jego śmiercią. Odzyskał pełną świadomość.

- Prawdziwy cud - dodała Wu Ma.

- A może zwodził nas po prostu przez te wszystkie lata - ciągnęła San Ma. - Udawał, że nie może mówić. Twój ojciec potrafił być bardzo uparty.

- Według mnie to cud - wtrąciła Wu Ma.

- Było tak - podjęła San Ma. - Jakies pięć dni temu weszłam rano do jego pokoju. Jak zwykle. Próbowałam nakarmić go tą samą kaszką ryżową, ale nie jadł za dużo. Codziennie musiałam walczyć, żeby otworzył usta, i siłą wciskałam mu jedzenie do gardła. Naprawdę, więcej było kłopotu niż z dzieckiem. Nie jadł, brudził łóżko. Tamtego ranka tak się zdenerwowałam, że zawołałam: „Bogini miłosierdzia, otwórz mu usta!” Nagle spojrzał na mnie zupełnie przytomnie. Pomyślałam sobie: „A to co? Czyżby mnie słyszał?” Mówię mu: „Zjedz, zjedz trochę”, a on na to: „To podaj mi coś

przyzwoitego". Ot tak, po prostu to powiedział! Od siedmiu lat nie odezwał się ani słowem, a tu nagle: „Daj coś przyzwoitego do jedzenia”. Zbiegłam na dół ile sił w starych nogach.

Wu Ma przytaknęła:

- Powiedziała mi, co się stało. Nie chciałam wierzyć. „Przyśniło ci się, zupełnie jak jemu”. Tak jej właśnie odparłam.

- Powiedziałam kucharce - wtrąciła San Ma - a kiedy usłyszała o tym Wen Tai-tai, też chciała się przekonać. Wszystkie poszłyśmy na górę, niosąc pieróg, bułkę i miseczkę makaronu na wypadek, gdyby rzeczywiście chciał jeść. Wchodzimy do pokoju - a on śpi!

- Mówię jej - podjęła Wu Ma - że to tylko sen. Zobaczyłam okno otwarte na oścież, wiatr wpadał do pokoju. „A dlaczego okno otwarte?” - zapytałam i idę zamknąć, a tu on się budzi i mówi: „Nie zamykaj!”

- Rozdziawiłyśmy szeroko usta, całkiem jak to okno - powiedziała San Ma. - Dałyśmy mu pieróg, zjadł. Kucharka podała mu kawałek *da bing*. Zjadł. Wen Tai-tai pobiegła na dół, żeby zawołać męża i syna. Przyszli zobaczyć.

- Wszyscy widzieli - podjęła Wu Ma. - Twój ojciec rozejrzał się po pokoju, zmarszczył brwi. „A cóż tu się stało?” - zapytał. - Czemu tu tak niechlujnie? Gdzie moje obrazy i dywany?”

- Zupełnie jak za dawnych czasów - powiedziała San Ma. - Arogancki i niezmienny w opiniach.

Wu Ma przytaknęła.

- Powiedziałam mu, że nie ma już tych rzeczy, bo brakowało pieniędzy na remonty. „Jak to nie ma pieniędzy?” - on na to. Tłumaczę mu, że sytuacja zrobiła się bardzo ciężka, i to wszędzie, nie tylko u nas. Papierowe pieniądze straciły na wartości. Nawet szmaty, którymi wypycha się materace, warte są dziś więcej.

A on powiada: „Nie mówię o banknotach. Złoto, złoto, wy głupcy!”

San Ma klasnęła w rękę.

- No i zgadnij, co się stało? Wen Fu natychmiast zaczął się dopytywać, jakie złoto i gdzie. Ojciec spojrzał na niego jak na ostatniego idiotę z zakutym łbem. „Tu, w tym domu oczywiście! - powiedział. - Sztaby złota grube na palec, tyle, ile sam ważysz”. „Też! W domu nie ma żadnego złota” - odparł Wen Fu. „To dlatego, że nie wiesz, gdzie szukać - odparł ojciec z szerokim uśmiechem. - Ukryłem je przed wielu

laty". Podrapał się po policzku. „Niech no pomyślę, za którą ścianą? Pod którą podłogą?”

- Ojo! - wtrąciła Wu Ma. - Od razy zgadłyśmy, do czego zmierza. Widziałyśmy to już u niego wiele razy. Podłe zachowanie. Ciągnął za sznureczek. Ciągnął, ciągnął, ciągnął, a Wen Fu gonił za nim jak kot i skakał w powietrze. Kiedy Wen Fu zapytał: „Gdzie? Gdzie?”, ojciec zbył go machnięciem ręki. „Teraz jestem zmęczony - odparł. - Przyjdź za parę godzin, to ci powiem”. Potem zamknął oczy i usnął w najlepsze. Co Wen Fu miał robić? Powiedział: „Też coś! Stary to wariat!”, ale widziałyśmy, że zszedł ze swym ojcem na dół i słyszałyśmy, jak opukują ściany i podłogi. Już wzięli się do szukania.

- Trzy godziny później - podjęła San Ma drżącym głosem - poszłyśmy znowu na górę, ale ojciec już nie żył. Co za szkoda! Potrząsnęłam nim trochę, mówiąc: „Jak to? Wpadłeś tylko z krótką wizytą i tak szybko odszedłeś? Żadnego szacunku dla starej żony”.

- Strasznieśmy płakały - powiedziała Wu Ma - a ten Wen Fu, diabeł wcielony, wprost nie do wiary! Twój ojciec leżał tam jeszcze, nawet nie ostygł, a ten już zaczął wiercić dziurę w ścianie tuż koło łóżka! Co za niegodziwiec!

- A teraz - mówiła San Ma - ledwie pięć dni po śmierci twego ojca, rozwalili doszczętnie ściany i podłogi w jego pokoju. Szykuje się na następne.

- Właściwie niewiele nas obchodzi, co się stanie z resztą domu - dodała Wu Ma z miną pełną satysfakcji. - Może go sobie zrównać z ziemią, nieważne. Jutro wyjeżdżamy do Jentaj, żeby zamieszkać z moim bratem. Zaprosił nas i zgodziłyśmy się już.

Patrzyły na mnie obie, czekając, co powiem. Doznawałam tylu uczuć naraz: żalu po śmierci ojca, złości na Wen Fu, smutku z powodu ich wyjazdu, a przede wszystkim braku nadziei i zupełnej bezradności.

- Aj! Co za gorzki kęs do przełknięcia - powiedziałam. - Żeby w waszym wieku zostać zupełnie bez niczego. Straszne! I pomyśleć, że całe nasze złoto dostanie się temu łajdakowi. Okropne!

San Ma zmarszczyła brwi.

- W domu nie ma złota. Nie słyszałaś, co mówiłyśmy? Znałyśmy dobrze twego ojca, nie zostawiłby nic człowiekowi, którego nienawidził. Obudził się na chwilę, żeby zrobić sobie mały żarcik i rzucić na Wen Fu klątwę.

- Więc na darmo zniszczy dom!

- Na darmo? - powtórzyła San Ma. - Myślisz, że my nie nacierpiałymy się, mieszkając z Wen Fu? Myślisz, że tylko ciebie trzymał pod obcasem? Teraz twój ojciec rozstawia go po kątach. Teraz Wen Fu goni za jego snami. Dom zwali mu się na głowę. Dobrze mu tak!

A tu masz telegram, który wysłałam do twego ojca. Zapytałam, czy mogę przyjechać do Ameryki, by zostać jego żoną. Widzisz, zachował go z tej radości. Nie znajdziesz tutaj jednak jego telegramu z odpowiedzią i zaraz powiem ci, dlaczego. Właśnie tej części historii bałam się najbardziej. Właśnie o niej zawsze chciałam zapomnieć.

XXIV

Przysługa

Pewnego dnia ciocia Du zrobiła mi niespodziankę: przyprowadziła Hulan w ciąży! Rozpłakałam się ze szczęścia na jej widok. Ona też płakała, widząc mnie w więzieniu. Działo się to w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego. Siedziałam w więzieniu już od ponad roku.

Pisywałyśmy do siebie, może z pięć moich listów na jej trzy. Zawsze się tłumaczyła, że od śmierci Jiaguo słabo jej idzie z pisaniem. Pamiętając, co mówiła mi ciocia Du o jej rozpaczach, nie narzekałam na rzadkie i pogmatwane listy. W ostatnim wspomniała, że ma ważne nowiny, nie powiedziała co, tylko że jest szczęśliwa i życzy mi tego samego.

Oto jej nowiny: wyszła ponownie za mąż, za miłego mężczyznę nazwiskiem Kuang An. Tak właśnie nazywał się wuj, zanim zmienił nazwisko na Henry Kwong. Och, wtedy wyglądał zupełnie inaczej: chudy, bez śladu dzisiejszego brzucha, na głowie gęsta, czarna czupryna. Nie miał też jeszcze tak grubych okularów. Nie nazwałabym go przystojnym, ale był miły i bardzo uprzejmie się wysławiał. Możesz dowiedzieć się od Helen, jak się spotkali, zaledwie sześć miesięcy po śmierci Jiaguo. Powie ci pewnie, że to wielka miłość od pierwszego wejrzenia. Może dla niego. Moim zdaniem Hulan była po prostu praktyczna. Trafiła jej się okazja, więc skorzystała.

Mówię tak, bo wiem, jak bardzo kochała Jiaguo - z wielką czułością, podobnie jak ja twego ojca. Żałowała pewnie, że Jiaguo nie odwzajemniał jej uczucia. Ona się w nim zakochała, a on pokochał ją z czasem.

Jeśli chodzi o Kuang Ana, to zupełnie zwariował na jej punkcie! Przyniósłby jej gwiazdkę z nieba.

Hulan kazała mu wydostać mnie z więzienia. Na północy pełnił jakąś ważną funkcję w armii, ale potem komuniści przejęli północ i przegonili wszystkich wojskowych, więc przeniósł się z Hulan do Tiencinu, a kiedy i to miasto padło, przyjechali do Szanghaju. Jego szkolny przyjaciel zajmował tu bardzo wysokie stanowisko szefa szkolnictwa na całą prowincję. Ten człowiek miał powiązania z prawnikami, sędziami i policją. Hulan uważała, że wystarczy, by Kuang An powiedział mu jedno słowo, a wypuszczą mnie z więzienia.

Uwierzyłam jej. Nie pytałam, czy Kuang An rzeczywiście zajmuje aż tak ważną pozycję i czy ten przyjaciel go wysłucha. Jeśli siedzisz w areszcie i ktoś rzuca ci odrobinę nadziei, będziesz się jej trzymać. Nieważne, skąd pochodzi.

Spędziłam w więzieniu jeszcze dwa miesiące, aż pewnego dnia przyszedł ktoś, mówiąc: „Jiang Weili, jesteś wolna”. To wszystko. Nie zadawałam żadnych pytań ani nikt nie spieszył z wyjaśnieniami.

Uścisnęłam rękę wszystkim współwięźniarkom z celi, życząc im lepszego życia. Chciałam powiedzieć coś więcej, ale mnie przegoniły, każąc się spieszyć, żeby okazja nie przepadła.

Zanim wyszłam frontową bramą, urzędnik więzienny dał mi do podpisu dokument, stwierdzający, że odzyskałam wolność. W rubryce, dotyczącej powodów aresztowania, napisano: pomyłka sądowa. Możesz sobie wyobrazić, co czułam? Ponad rok życia w więzieniu z powodu pomyłki! Płakałam ze szczęścia i złości jednocześnie.

Na ulicy czekała już ciocia Du. Wsiadłyśmy do autobusu i pojechałyśmy do domu - do mieszkania, które kiedyś dzieliłam z Jimmym. Po drodze widziałam, jakie ogromne zmiany zaszły w mieście. Zamknięto mnóstwo banków, sklepów, szkół i restauracji, a na drogach roilo się od samochodów pełnych ludzi i dobytku; wyładowano je tak szczelnie, że ubrania niemal wypadały przez okno.

Mówiono, że codziennie przez ulicę Nankin przejeżdża sto tysięcy ludzi. W dniu, kiedy wyszłam z więzienia, musiało tam być ze sto tysięcy wózków z najróżniejszymi rzeczami: od worków z ryżem do futer z norek. Ciocia powiedziała, że wszyscy biegną na stację kolejową albo do portu, żeby wyjechać do Hongkongu albo Kantonu, zanim nadejdą komuniści.

Hulan gotowała właśnie, kiedy przyszłam do domu. Podbiegła i uszczypnęła mnie w policzek.

- Pewnie nigdy nie dorównam ci w kuchni, ale dziś chyba moje potrawy i tak będą ci smakować bardziej niż to, co dotąd jadłaś - powiedziała.

Jej nowy mąż podprowadził mnie do kanapy, prosząc, bym dała odpocząć stopom i głowie. Zaczęłam dziękować mu z całego serca.

- Kuang An, bez twojej pomocy...

- Nie ma o czym mówić - opędział się.

- Ależ to prawda - ciągnęłam - Nie przetrzymałabym tam pewnie następnych sześciu miesięcy.

- Teraz jesteś tutaj i tylko to się liczy. Wszystko inne to przeszłość.

Doprawdy, zbyt uprzejmość. Wobec tego i ja zrobiłam się idiotycznie uprzejma.

- Wiem, ile to ci przysporzyło kłopotów - powiedziałam. - Może musiałeś nawet coś zapłacić. Tak czy inaczej, na zawsze pozostanę twoją dłużniczką. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebować czegoś od przyjaciółki Jiang Weili - proś koniecznie. Za każdym razem sprawi mi to tylko przyjemność.

Zaczerwienił się.

„Co za skromność” - pomyślałam.

- A nie mówiłam? - zaczęła gruchać Hulan. - Jedno słowo Kuang Ana! On wszystkich zna, każdego ważnego człowieka. Oczywiście popędzałam go mnóstwo razy. „Czemu tak się to ciągnie?” - mówiłam. - „Wyciągnij ją szybciej”.

- Dostyc gadania - przerwała ciocia Du. - Biedna mała tak schudła, że lada wiatr mógłby ją porwać.

Rzeczywiście. Ważyłam chyba z pięć kilo mniej niż rok przedtem, a już wtedy byłam dosyć szczupła.

Powitalny obiad okazał się bardzo prosty: szpinak z jednym czarnym grzybkiem posiekanym do smaku, wieprzowina w sosie jajecznym, smażone paski żółtej ryby i zupa z rybich łbów. To wszystko: zupa i trzy dania dla czterech osób. Porcje też wyszły bardzo niewielkie. Ciocia Du spostrzegła pewnie, iż nie mogę się nadziwić, że nie ma już nic więcej.

- To bardzo specjalny posiłek - wyjaśniła.

- Och, lepszy, niż mogłabym sobie wymarzyć! - zapewniłam ją natychmiast.

- Tak, ale powinnaś wiedzieć, dlaczego. Nie jedliśmy takich rzeczy od miesięcy.

- Nowe banknoty są nic niewarte - podjęła Hulan. - Za torbę ryżu musisz zapłacić z milion nowych juanów. Idiotyczne! Pieniądze ważą więcej niż ryż.

- Więc z czego zapłaciliście za to jedzenie?

- Sprzedałam małą bransoletkę z jadeitów - wyjaśniła ciocia Du i widząc moje przerażenie, dodała: - Nie dało się inaczej. Tylko to nadaje się dziś do handlu. Jeżeli na ulicy znajdą przy tobie złoto albo amerykańskie dolary, mogą cię nawet zabić. Kuomintang wypali ci w łeb, a pewnie kiedy przyjdą komuniści, będą robić to samo.

- Nie mamy pieniędzy? - zapytałam.

- Tego nie powiedziałam. Mówię tylko, że nie można pokazywać się na ulicy z dolarami i złotem, ale nadal mamy sztabkę złota kupioną po zlikwidowaniu twego konta, a do tego prawie dwieście dolarów od Jimmy'ego Louie. Zostały też twoje złote bransoletki, pierścionek i jakieś inne drobiazgi, kolczyki na przykład. Tak naprawdę mamy dużo szczęścia.

Przypomniałam sobie nagle.

- Może nawet więcej, niż nam się zdaje - powiedziałam. - Gdzie moja walizka?

Poszliśmy do sypialni. Otworzyłam walizkę i wyciągnęłam dno. Schowałam je tak dobrze, że niemal wyleciały mi z pamięci. Leżały tam: srebrne pałeczki, dziesięć par wciąż połączonych łańcuszkami.

Hulan i Kuang An mieszkali z nami w mieszkaniu, które niegdyś dzieliłam z Jimmym. Spali w salonie, a ja z ciocią na podwójnym łóżku w sypialni. Pierwszej nocy wydawało mi się, że nie zasnę. Wspominałam życie, jakie tu prowadziłam zaledwie przed dwoma laty, wszystkie szczęśliwe chwile z Jimmym i Danru. Chwilę później, tak mi się przynajmniej wydawało, ciocia potrząsnęła mnie za ramię. Nastął już poranek, a ona śmiała się ze mnie, bo przycisnęłam się do ściany, zupełnie tak samo jak w więzieniu.

Po śniadaniu dałam Hulan prezent, parę kolczyków. Położyłam je obok jej talerza. Kuang An próbował odmówić:

- Nie! Nie! Żadnych więcej podziękowań. Zabierz kolczyki z powrotem i nie kłóćmy się już.

Udawałam, że go nie słyszę.

- Przymierz - powiedziałam do Hulan. - Chciałabym tylko zobaczyć, czy ci w nich do twarzy.

Zawahała się może na pięć sekund, po czym jeden po drugim wpięła je w uszy. Wiesz, o których kolczykach mówię? O tych, które ciocia Helen wkłada na specjalne okazje. Mają przyjemny kształt, dwa grube półkola ze złotym brzeżkiem. Nazywamy taki kamień cesarskim zielonym jadeitem. Nie znajdziesz dziś łatwo takiego odcienia - bardzo rzadki i bardzo drogi. Dałam jej te kolczyki w zamian za pomoc w wydostaniu się z więzienia.

Zgadnij, czego się potem dowiedziałam! Poszliśmy z ciocią Du na rynek.

- Nie dawaj Hulan nic więcej - powiedziała po drodze. - Kuang An nie chce, byś przypominała mu o jego pomocy.

- Ciociu, oni odmawiają z uprzejmości - odparłam.

- Może Hulan, ale nie Kuang An.

Potem opowiedziała mi, jak to Kuang An przyszedł do niej przed miesiącem, kiedy ja siedziałam w więzieniu. Był ogłupiały i strasznie zawstydzony. Jego szkolny przyjaciel w ogóle nie chciał z nim rozmawiać, nie wyszedł nawet z biura, żeby się przywitać. Kuang An bał się przyznać Hulan, że nie uznano go za dość ważnego, by zamienić z nim choć słowo, i że nie potrafi wydostać jej przyjaciółki z więzienia.

- Tak mi wstyd przed żoną - powiedział cioci, na co ona odparła:

- Nie myśl już o tym.

- To nie on mi pomógł? - zapytałam.

Ciocia potrząsnęła głową.

- Oczywiście bardzo chciał, ale koniec końców sama poszłam do urzędu. Nic takiego, musiałam tylko zastanowić się dobrze przez kilka dni. Widzisz, jak wygląda teraz wszystko w Szanghaju i kto przejmuje władzę. Powiedziałam w zarządzie więzienia, że masz powiązania z wysokiej rangi przywódcą komunistów, którego nazwisko to wielka tajemnica. Powiedziałam im: „Jeśli za miesiąc zjawią się komuniści i zobaczą Jiang Weili w więzieniu - ojo!”

- Tak powiedziałaś?

Roześmiała się.

- Widzisz, na czym polega władza. Trzymać w ręce cudzy strach i potrząsnąć nim, kiedy potrzeba! Zresztą, może to prawda? Może Orzeszek i matka Małej Yu to teraz jakieś wielkie komunistki, kto wie?

Ciocia kazała mi obiecać, że nie wspomnę o niczym Hulan. Widzisz, jaka z niej dobra kobieta? Chciała, żeby Hulan dalej była dumna z Kuang Ana. Powiedziała, że Kuang An miał dobre chęci i to się liczy. Wcale nie potrzeba wszystkim mówić, że tak naprawdę to ona okazała się wielką bohaterką. Ja wiedziałam i to jej wystarczyło.

Mimo to jeszcze wiele, wiele razy musiałam gryźć się w język, słysząc, jak Helen mówi: „Teraz proszę cię o przysługę w zamian za tamto”. Dobrze wiedziałam, co ma na myśli. Henry też wiedział, chociaż trochę inaczej. On po swojemu, a ja po swojemu.

Czasami prosiła o bardzo wiele, jak wtedy, gdy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim chciała, żeby jej pomóc przyjechać do Stanów, po tym, jak wraz z Henrym uciekli na Formozę. Prosiła mnie i ojca o ogromny wydatek. Co

mogłam powiedzieć? „Tak naprawdę wcale nie chciałam dać ci tych kolczyków, oddaj mi je”?

Tak czy inaczej, na ogół cieszę się, że tu przyjechała. Henry też. Mają dobre serca. Denerwuje mnie tylko, kiedy Helen zachowuje się tak, jakby wszystko wiedziała. Sama widzisz - wcale tak nie jest.

Zaraz następnego dnia napisałam list do Jimmy'ego. Pytałam, co mam teraz zrobić. Przyjeżdżać? Czekać, aż on przyjedzie? Dodałam, że komuniści zjawią się tu lada chwila, za miesiąc, może dwa. Przeczytałam ten list i podałam go na strzępy.

Przypomniałam sobie, jak zmieniły się jego listy przez ostatnie pół roku. Nadal nazywał mnie żoneczką, ale nie rozpisywał się już na trzech stronach o swej wielkiej miłości. Raczej dwie strony były o mnie, a jedna o Bogu. Po paru miesiącach: o mnie jedna, o Bogu - dwie.

Napisałam więc prosty list. Zawiadomiłam, że wypuszczono mnie z więzienia i że w Szanghaju pozmieniało się mnóstwo rzeczy. „Więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Komuniści nadchodzą, Kuomintang już wyjeżdża. Kto wie, czy idą zmiany na lepsze, czy na gorsze”.

Wysłałam ten list i postanowiłam czekać. Powiedziałam o tym cioci Du.

- Co? Zamierzasz tak po prostu czekać? - wsiadła na mnie od razu. - Co ci się stało w tym więzieniu? Nauczyli cię tylko wrastać w beton? Każdy, kto ma choćby najmniejszą szansę wyjazdu, walczy o nią jak lew. - Ściągnęła mnie z krzesła. - Idziemy wysłać telegram - powiedziała - bo jak nie, to dostanie twój list za pół roku. Wtedy jego odpowiedź nie będzie już miała znaczenia, a twoje szansę znikną.

Na poczcie musiałyśmy walczyć o miejsce w kolejce. Wydawało się, że każdy ma pilną wiadomość, jakiś okropny wypadek. Po kilku godzinach dotarłyśmy do okienka. Spisałam już adres Jimmy'ego wraz z wiadomością: „Wypuszczona z więzienia. Gotowa na przyjazd. Poradź. Twoja żona, Jiang Weili”.

Wręczyłam kartkę telegrafistce. Przeczytała i orzekła:

- Nie, to nie wystarczy. Nie dość pilne. Trzeba dodać: „Spiesz się, niedługo *taonan*”.

Pomyślałam sobie: „A któż to każe mi dodawać słowa do telegramu?” Przyjrzałam się uważnie uśmiechniętej urzędniczce. Zgadnij, kto to był? Wan Betty! Piękna Betty!

Nie zginęła w Nankinie. Wyjaśniła, że nazajutrz po naszym wyjeździe przyszło moje czterysta dolarów. Nie mogła ich odesłać, więc użyła ich na ucieczkę do Szanghaju. Teraz ma jedenastoletniego syna, przystojnego i mądrego.

Nie mogliśmy dłużej rozmawiać w zatłoczonym urzędzie. Obiecała, że wyśle mój telegram wraz ze słowami, które podsunęła, tak żeby Jimmy natychmiast odpowiedział.

- Jak tylko przyjdzie odpowiedź, przyniosę ci ją do domu.

Przyszła dwa dni później. Wzięłam kopertę do sypialni i zamknęłam drzwi. Cała się trzęsłam. Nagle przestałam. Coś mi mówiło, że nie potrzebuję nawet zaglądać do środka, żeby znać odpowiedź. Oto moje przeznaczenie, los i wola Boża.

Telegram brzmiał, jak następuje: „Bogu dzięki. Papiery wypełnione na Jiang Weili, Winnie Louie, żonę Jamesa Louie, obywatela USA. Dokumenty i siedemset dolarów w drodze. Wyjeżdżaj natychmiast”.

Następnego dnia sprzedaliśmy na czarnym rynku złoto i trochę mojej biżuterii. Potem wraz z cicią Du poszłam dowiedzieć się o wizę. Jeszcze gorzej niż na poczcie! Ludzie tłoczyli się, wrzeszczeli, machali pieniędzmi. Co chwila pojawiały się jakieś nowe wiadomości, by za moment stracić znaczenie.

Ciągle zmieniały się zasady wyjazdu. Najpierw żądano zaświadczenia z trzech krajów, że przyjmą cię, jeśli nie wrócisz do Chin. Miałam oczywiście zaświadczenie ze Stanów Zjednoczonych, ale potrzebowałam jeszcze dwóch. Tego dnia ktoś powiedział, że można jeszcze dostać zaświadczenie, chyba z Francji, nie pamiętam. Zapłaciłam dwieście dolarów za drugi kraj. Przyszłam następnego dnia po dokument, a ten człowiek mówi mi: „Okazało się, że ten drugi kraj to tylko pogłoska. Przepraszam, ale dokumentu nie ma”. Moich dwustu dolarów również.

Nie pamiętam, ile czasu czekałam, zanim udało mi się znaleźć drugi i trzeci kraj. Może ze dwa tygodnie. Przez ten czas ze zdenerwowania dostałam wysypki, a mięśnie na nogach drgały mi, jakby małe pajęczki w środku usiłowały wydostać się na wolność. Piękna Betty musiała wysłać wiele telegramów, by wyjaśnić Jimmy'emu, czemu wszystko się opóźnia. Wreszcie zebrałam komplet dokumentów. Teraz musiałam się tylko wydostać.

Kupiłam trzy bilety: pierwszy, z czarnego rynku, na samolot do San Francisco, który odlatywał za dziesięć dni, piętnastego maja. Drugi i trzeci były legalne, jeden do

Hongkongu na dwudziestego siódmego, drugi do Singapuru na trzeciego czerwca. Miałam trzy szansę.

Powiedziałam cioci Du, że może zużyć albo sprzedać te bilety, które zostaną. Odparła, że zdecyduje później. Hulan postanowiła już, że nie wyjedzie. Chciała, by jej dziecko urodziło się w Chinach. Pewnie uznasz, że to głupie, ale wiele osób myślało w ten sposób. Urodzić się albo zostać pochowanym w Chinach to ważna rzecz.

Tak czy inaczej, Hulan wydawało się, że może urodzić dziecko i zostanie jej jeszcze trochę czasu na decyzję. Nie ma się co spieszyć. Oczywiście, myliła się i czekało ją potem mnóstwo problemów. Inaczej nie musiałabym jej pomagać.

Wszystko było załatwione, oprócz jednej głupiej rzeczy. Nadal chciałam oficjalnego rozwodu z Wen Fu. Tak kazała mi duma i nie wiem, czemu nie potrafiłam wybić sobie tego z głowy. Dlaczego nie mogłam wyjechać po prostu do Ameryki i o wszystkim zapomnieć?

Tłumaczyłam sobie wtedy, że jeśli nie doprowadzę sprawy do końca, nigdy nie zaznam spokoju.

Nie przyszło mi na myśl, jak bardzo się narażam: miałam przecież zaświadczenie, że aresztowano mnie przez pomyłkę, oraz wizę i telegram, w którym napisano czarno na białym, że jestem żoną Jamesa Louie.

Ułożyłam staranny plan. Oto, co zrobiłam.

Wan Betty wysłała do Wen Fu pilny telegram. „Przesyłka wartościowa dla państwa Wen Fu, niezbędne oba podpisy. Należy odebrać dziesiątego maja o drugiej w urzędzie pocztowym przy ulicy Guanshi. Przynieść telegram i pieczętki z nazwiskiem”.

Myślisz, że ten chciwiec oparłby się takiej wiadomości? Pojawił się punktualnie o drugiej, razem z nową kobietą. Przepychali się przez tłum. Hulan, ciocia Du i ja stałyśmy z tyłu, obserwując, co się dzieje. Wan Betty wzięła zawiadomienie i poszła na zaplecze po paczkę, puszczając do mnie oko. Położyła przesyłkę na ladzie i poprosiła Wen Fu i jego żonę o pokwitowanie. Zanim zdążył to zrobić, wyrwała mu papier i przyjrzała się nazwisku.

- Wen Fu? - powiedziała zdumiona. - Czy myśmy się czasem nie spotkali w Nankinie? Twoja żona to Jiang Weili, prawda?

- Już nie - odparł z oczami utkwionymi w paczce.

- Zatem to jest twoja żona? - spytała Betty, patrząc na roslą, nadętą kobietę stojącą obok niego. - Mogę wydać tę paczkę tylko Wen Fu i jego legalnej żonie.

- To jest moja żona - powiedział niecierpliwie. - Z tamtą się rozwiodłem.

- Oczywiście, że jestem jego żoną! - dodała tamta despotycznie. - A kim ty niby jesteś, żeby to kwestionować?

W tym momencie wyskoczyłam z ukrycia, a Hulan i ciocia tuż za mną.

- Więc przyznajesz! - krzyknęłam. - Teraz mamy świadków.

Wszyscy ludzie w urzędzie gapili się na nas. Wen Fu wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Wręczyłam mu do podpisu gotowy dokument. Stwierdził, że nasz rozwód nastąpił jeszcze w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym w Kunmingu oraz że Wen Fu nie ma żadnych roszczeń do mnie jako żony, a ja do niego jako męża. Pod spodem znajdowały się trzy podpisy i pieczętki: moja, Hulan i ciocia Du.

- Tu podpisz - powiedziałam.

Jego zarozumiała pani wcale nie ucieszyła się na mój widok.

- A cóż to za sztuczki? - zapytała.

- Żadne sztuczki - odparłam. - Jeśli nie podpisze, to właściwie mało mnie to obchodzi. Mam dokument stwierdzający, że mój wyrok to pomyłka sądowa, a za tydzień wyjeżdżam do Ameryki jako żona innego człowieka. Jednak bez tego papieru nie masz w Chinach żadnej pozycji. Na zawsze pozostaniesz tylko jego podrzędną konkubiną.

Wszyscy się roześmieli. Ależ była wściekła!

- Podpisz i skończmy z nią! - powiedziała do Wen Fu.

Nie ruszył się. Nie odezwał się jeszcze ani słowem.

Miał dziki wzrok. Nagle usta rozciągnęły mu się w uśmiechu, coraz szerszym i coraz paskudniejszym. Zaśmiał się, podpisał i przystawił pieczętkę.

- Masz - powiedział, wyciągając rękę. - Gotowe. Oddał papier i odwrócił się, śmiejąc się pod nosem.

Jego kobieta z sapnięciem złapała paczkę z lady i wyszli. Widzisz, jaką sobie wziął głupią żonę? Wzięła ten pakunek, pudełko, które tego ranka napełniłam suchymi ciastkami i oślim nawozem.

Miałam swój rozwód. Czy to tak źle, że chciałam go uzyskać? Czy rzeczywiście można mnie winić za to, co się potem stało?

Musiał obserwować mieszkanie przez wiele godzin, może nawet dni, bo wyczekał, aż zostanę sama. Usłyszałam pukanie do drzwi. Nie przyszło mi do głowy, że powinnam uważać. Otworzyłam. Stał tam, napał na drzwi i pchnął mnie na podłogę, przystawiając do głowy pistolet.

Zaklął i powiedział, że nigdy się go nie pozbędę, choćbym uciekła na księżyc. Zobaczył walizkę. Cisnął nią na drugi koniec pokoju. Wszystko wyleciało: ubrania, bilety, dokumenty. Podniósł kartkę zwiniętą w rulonik i pociągnął za wstążkę. Mój rozwód, który tak go poniżył. Podarł go na kawałki.

- Teraz znów jesteś tą samą kurwą co zawsze - powiedział.

Podniósł następny papier. Telegram od twego ojca. Przeczytał go z drwiną i także podarł, dodając, że obietnice Jimmy'ego są równie puste jak powietrze, w którym się teraz unoszą.

Potem znalazł wizę i bilety lotnicze, łącznie z tym na jutro. Krzyknęłam. Błagałam, żeby nie darł moich biletów. Podrzucał je na ręce, jakby ważył złoto.

- A niby po co? Sprzedam je.

Plakałam i błagałam, żeby mnie puścił. Położył wizę i bilety na stole. Szarpnął mnie za włosy.

- Błagaj mnie, błagaj, żebym znów pozwolił ci zostać moją żoną.

Zamachnął się pistoletem. Obok mnie, na stole leżała moja życiowa szansa. Przed sobą miałam pistolet, oznaczający rychłą śmierć. Wiedziałam, że pewnie kłamie. Jeśli go usłucham i tak może mnie zabić i sprzedać moje bilety.

Co mi pozostało? Byłam słaba. Byłam silna. Miałam nadzieję. Wciąż miałam nadzieję. Nie mogłam się poddać. Błagałam go więc.

Po wszystkim okazało się, że miałam rację. Skłamał. Powiedział, że zabiera bilety. Wsadził je do kieszeni. Potem poszedł do łazienki, zostawiając mnie zapłakaną na podłodze. Nagle zobaczyłam na stole pistolet. Wzięłam go w obie ręce i krzyknęłam, żeby wracał.

Zobaczył mnie z pistoletem i oczy otworzyły mu się szeroko. Zmarszczył brwi.

- Nie umiesz strzelać - prychnął.

- Nauczę się na tobie.

- Tylko blefowałem. Wcale nie jest nabity. Chciałem cię tylko przestraszyć.

- No to czemu się boisz? - spytałam, wciąż trzymając go na muszce.

Dyszałam ze złości. Naprawdę chciałam go zabić. Nie myślałam o alibi, więzieniu, ucieczce. Zabić go! Pewnie bym to zrobiła, gdyby nagle nie zjawiała się Hulan. Czar przysł.

- Aj-ja! Co się dzieje! - krzyknęła.

- Ukradł mi bilety - powiedziałam.

Nie dodałam nic o gwałcie, ale każdy by się domyślił, widząc moje włosy, podartą sukienkę i Wen Fu podciągającego spodnie.

- Gdzie są?

- W jego kieszeni - odparłam.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Machnęłam pistoletem na Wen Fu.

- Ściągaj spodnie i podaj je Hulan.

Gapił się bez ruchu. Pociągnęłam za spust, chcąc trafić w podłogę i trochę go nastraszyć, ale strzał odrzucił mi rękę i kula wylądowała w ścianie tuż koło jego głowy.

- Zwariowałaś! - krzyknęli jednocześnie z Hulan.

- Tak! - wrzasnęłam. - Ściągaj spodnie!

Znów pociągnęłam za spust, tym razem trafiając w podłogę. Wskoczył ze spodni i rzucił je Hulan. Znalazła bilety i wręczyła mi je z tryumfem.

- Teraz wyrzuć spodnie przez okno - rozkazałam.

Zawahała się przez sekundę, a potem myśląc pewnie, że i ją mogą zastrzelić, usłuchała.

- A teraz leć za swoimi brudnymi portkami! - powiedziałam mu.

Wyleciał jak z procy, klnąc i obiecując, że jeszcze mnie dopadnie. Jak tylko wyszedł, Hulan wybuchnęła śmiechem.

Helen wspominała czasem tamten dzień, aż wreszcie poprosiłam ją, by więcej do tego nie wracała. Dlaczego niby miałam o tym pamiętać? Czemu miałam słuchać jej gadania, jakby chodziło tylko o jakąś zabawną historię?

- Ojej, pamiętasz, jak Wen Fu chciał ci ukraść bilety? - mówiła. - Pamiętasz, jak wzięłaś go na muszkę i kazałaś oddać? A wtedy pistolet przypadkiem wypalił! Ależ go

wystraszył! Wciąż widzę jego minę, o mało nie wyskoczył przez okno razem ze spodniami. A następnego dnia rano siedziałas już w samolocie. To się nazywa szczęście.

To prawda. Miałam szczęście. Sześć dni później byłam już w Ameryce z twoim ojcem, a po pięciu dniach nad Szanghajem zawisła flaga komunistów i nie wypuszczano już żadnego statku ani samolotu. Sama widzisz, że tamte dwa bilety nie przydałyby się na nic. Wyjechałam w ostatniej chwili.

W Ameryce czekał na mnie twój ojciec. Oboje zmieniliśmy się trochę i trochę zostaliśmy tacy sami. Kochaliśmy się jak dawniej, ale teraz Jimmy miał też swoją miłość do Boga. Poza tym on zawsze umiał mówić po angielsku, ja nie.

W nocy tulił mnie tak samo jak w Szanghaju, wdzięczny, że już nic nas nie rozdzieli. Mimo to często krzyczałam przez sen: „Znalazł mnie! Złapał!”

Ojciec mówił wtedy: „Baby-ah, cicho, cicho. Nie myśl już o tym. Jesteś w Ameryce”.

Dlatego nigdy nie wspomniałam mu o niczym. Ani jemu, ani nikomu, a w dziewięć miesięcy później, może trochę mniej, urodziłam dziecko. Urodziłam ciebie.

XXV

Wesele Bao-bao

Omial nie spadłam z krzesła. Powiedziała to tak rzeczowo: „Urodziłam dziecko. Urodziłam ciebie”.

- No i? - zapytałam, czekając na straszną wiadomość, że Wen Fu był moim ojcem.

- No i teraz - podjęła, szukając słów - ten człowiek nie żyje. - Skinęła głową, wyraźnie zadowolona. - Nie muszę się już bać. Przez tyle lat zdawało mi się, że zaraz wyskoczy z szafy albo spod łóżka. - Na samą myśl zamachała rękami i nogi poderwały jej się do ucieczki. - Piękna Betty przysłała mi list. Widzisz? „Nie trzeba się już martwić, umarł”. Zmarł w Boże Narodzenie, wyobrażasz sobie? W święta! Nie żyje, a mimo to wciąż udaje mu się działać mi na nerwy.

- Nie o to mi chodziło - zaczęłam, ale potem sama nie wiedziałam chyba, co miałam na myśli. Zaczęłam się śmiać, chociaż właściwie czułam, że łzy napływają mi do oczu. - Ależ miałaś okropne życie - usłyszałam swój głos. - I sądziłaś, że musisz trzymać to przed wszystkimi w sekrecie?

Skinęła głową.

- Nawet przede mną? - szepnęłam.

Skinęła znowu, a ja nie umiałam już powstrzymać się od płaczu.

- Teraz wiesz, dlaczego - powiedziała z westchnieniem. „Więc to prawda - pomyślałam. - Moim ojcem był Wen Fu, ten okropny człowiek, którego nienawidziła. W moich żyłach płynie jego krew”.

Zatrzęsłam się na tę myśl. Ścisnęłam kolana.

- Zimno ci?

Potrząsnęłam głową. Próbowałam przeprowadzić szybkie porównanie. Zawsze wydawało mi się, że bardzo przypominam matkę: oczy, nos, broda, kości policzkowe, małe zęby, a potem, tuż po trzydziestce, również siwe włoski tuż przy skórze. Co do wzrostu i wielkości dłoni i stóp, przypisywałam je zawsze ojcu - to znaczy temu, którego za ojca uważałam.

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego musiałaś trzymać to w tajemnicy? - spytałam w końcu.

Przyjrzała mi się z namysłem.

- Bo wtedy byś wiedziała - odparła wreszcie. - Dowiedziałabyś się, jaka byłam słaba i uznałabyś mnie za złą matkę.

- Wcale nie.

- Właśnie, że tak - upierała się. - Uważałaś mnie za złą matkę, chociaż nawet nie wspominałam ci o przeszłości. Gdybym ci powiedziała, byłoby jeszcze gorzej!

- Nigdy nie myślałam, że jesteś złą matką - powiedziałam.

- Właśnie, że tak.

- Wcale nie.

- Właśnie, że tak!

„O co my się właściwie kłócimy - pomyślałam. - Co ona wygaduje?”

Wtedy przyszło mi do głowy, że może wcale nie twierdzi, że Wen Fu to mój ojciec. Trzymała wszystko w sekrecie tylko po to, żebym nie myślała o niej źle.

- Chwileczkę. Kto w końcu jest moim ojcem?

- Twoim ojcem? - powtórzyła mrugając, jakby przedtem nie przyszło jej to do głowy. - Tatuś jest twoim ojcem.

Odetchnęłam z ulgą.

- Oczywiście, że nigdy nie pozwoliłabym temu łajdakowi rościć sobie do ciebie żadnych praw. Niedoczekanie jego - dodała szybko i z determinacją zacisnęła usta.

Zgłupiałam. Zastanawiałam się, jak ująć to pytanie, żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości: pokrewieństwo, dziedzictwo biologiczne, genetyka, grupa krwi, test na ojcostwo, przeszłość, której nie da się już odmienić.

Matka pogłaskała mnie po rękę.

- Och, wiem, o czym myślisz - powiedziała cicho. - Oczywiście, każde dziecko rodzi się z *jin* i *jang*. *Jin* pochodzi od kobiety, *jang* od mężczyzny. Kiedy się urodziłaś, próbowałam się dopatrzeć, od kogo pochodzi twoje *jang*. Próbowałam dostrzec tatusia. „Spójrzcie tylko, uśmiecha się jak Jimmy Louie” - mówiłam. Usiłowałam wyrzucić z pamięci tamte chwile, ale moje serce widziało co innego. - Dotknęła mego policzka i zatknęła mi kosmyk włosów za ucho. - Wyglądałaś jak Moczou, jak Yiku, a

zwłaszcza jak Danru. Wszyscy razem. Wszystkie dzieci, których nie mogłam przy sobie zatrzymać, ale o których nigdy nie potrafiłam zapomnieć.

Matka poszła do kuchni nalać wody na herbatę, a ja siedziałam, żując pestki melona. Zawsze uważałam, że cała przyjemność w jedzeniu pestek bierze się nie tyle z ich smaku, ile z ostrożnego wyłuskiwania cienkich ziarenek.

- Więc nigdy nie pomyślałaś, że wyglądam jak Wen Fu? - dumałam na głos.

Matka wróciła z parującym imbrykiem.

- Jeśli mam być szczerą, to raz pomyślałam.

Przegryzłam pestkę na pół.

- Co?

- No, może ze dwa razy - dodała z namysłem. Wstrzymałam oddech. Nalała herbatę, nie rozlewając ani kropelki.

- Było to tuż po śmierci tatusia - powiedziała. - Zrobiłaś się taka niedobra.

Och, to straszne! Mieć charakter jak Wen Fu! Matka spojrzała na mnie ze zmarszczonymi brwiami, zupełnie jakbym znów miała czternaście lat.

- Nie chciałaś płakać na pogrzebie. Nie chciałaś i już. Powiedziałaś, że tatuś nie jest twoim ojcem. Aj! Nigdy nie chciałam usłyszeć tych słów! - Brzmiało to w jej ustach nie jak wspomnienie, ale jak wiecznie żywy ból. - Dlatego cię spoliczkowałam - dodała. - Nie mogłam się powstrzymać ani niczego ci wyjaśnić.

- Ale ja wcale nie to miałam na myśli. Wszystko dlatego że...

- Wiem, dlaczego - przerwała mi cicho. - Teraz już wiem, że chodziło ci o coś zupełnie innego. Ale za drugim razem! - znowu się zasepiła. - Pamiętasz, jak chciałaś iść do zoo?

Potrząsnęłam głową. Zupełnie nie miałam pojęcia, o czym mówi.

- Całkiem, jakbyś straciła rozum. Tupałaś i darłaś się na mnie: Zoo! Zoo! „Skąd u niej taki charakter?” - pomyślałam sobie, a potem nagle: „Aj-ja! Wen Fu!” - Ból wykrzywił jej twarz. - Nie potrafiłam cię winić. Winiłam jego. Wszystkie twoje wady zrzucałam na tego niegodziwca. Nie ukarałam cię, pozwoliłam ci iść. Wkrótce potem twój brat zachował się dokładnie tak samo. Dzikus! Wrzeszczał te same słowa, ale tym razem wiedziałam, że nie chodzi o zoo. Właśnie tak się zorientowałam. I ty, i Samuel nazwaliście mnie zołą.

- Nie! - zdumiałam się, że kiedykolwiek mogłam coś takiego zrobić. - Nie powiedziałam tak.

- Owszem! I ty, i on.

Uśmiechała się, zadowolona, że po tych wszystkich latach udowodniła, że ma rację.

- Tak się cieszyłam, że nie muszę tego zwać na Wen Fu. To wzięło się tylko od ciebie! Myślałaś, że nigdy na to nie wpadnę? Znałam też to drugie brzydkie słowo, które mówi się z wystawionym dużym palcem. Po chińsku też mamy takie. Takie i inne, nawet gorsze od angielskich. Myślisz, że cioteczna babka Du to po prostu miła starsza pani? Niech no tylko ktoś nastąpił jej na odcisk - ojo! - wszystkie te wyrażenia od razu były w robocie. Zrób to! Zrób tamto! Pewnie mówiła to samo, kiedy na pogrzebie spadł na nią ten transparent.

Roześmiałyśmy się obie.

- Ciocka Du była taka silna! - powiedziała matka. - Jakaż to była dobra kobieta! Ileż to dobrych chwil przeżyłyśmy razem! - Naraz uśmiechnęła się jak uczennica - pewnie tak właśnie wyglądała, dzieląc z Orzeszkiem sekrety w szklarni. - Może powinnaś przeprosić.

- Cioteczną babkę? Za co?

- Nie cioteczną babkę. Mnie. Za to brzydkie słowo. - Nadal się uśmiechała.

- Ależ od tamtej pory minęło już dwadzieścia pięć lat!

- To żadna wymówka.

- Może dalej powinnyśmy zrzucać wszystko na Wen Fu?

- Chodzenie do zoo to też wina Wen Fu? Wszystko, co złe, to on?

Na nowo wybuchnęłyśmy śmiechem. Kręciło mi się w głowie. Oto matka opowiedziała mi właśnie o tragedii swego życia, właśnie się dowiedziałam, że być może to Wen Fu odpowiada za połowę mego kodu genetycznego, a tu proszę - śmiejemy się.

Stąd wiedziałam, że nadszedł właściwy moment. Wzięłam głęboki oddech i oznajmiłam jak najlżejszym tonem:

- Może mamy jeszcze coś, o co można go oskarżyć.

Potem opowiedziałam jej o swojej chorobie.

Przez wiele lat starałam się sobie wyobrazić, jaka będzie reakcja matki. Zdenerwuje się, że przytrafiło się to właśnie mnie? Rozzłości się, że nic jej do tej pory nie powiedziałam? Spróbuje znaleźć przyczyny, dla których zachorowałam? Zabierze się do szukania kuracji?

Przeszła moje wszelkie oczekiwania. Przypominała rozwścieczone furie.

- Dlaczego poszłaś najpierw do Douga? To żaden prawdziwy doktor - lekarz sportowy, też! Skąd wiesz, że ten jego przyjaciel jest najlepszy? Dlaczego wierzysz we wszystko, co ci mówią? Dlaczego wierzysz, jeśli twierdzą, że to łagodny przypadek? Jeśli tak łatwo się męczysz, to ładny mi łagodny! Ciężki! Dlaczego twój mąż nie przejmuje się tym bardziej?

Mówiła coraz głośniej. Patrzyłam, jak macha rękami, walcząc z niewidzialnym wrogiem, którego postanowiła odnaleźć. Słyszałam, jak rzuca gromy po kolei na wszystko, co próbowałam przed nią ukryć. Nic nie mogłam poradzić. Mogłam tylko powtarzać „Wiem, wiem”.

- Aj-ja! To Wen Fu dał ci tę chorobę! - krzyknęła. - To przez niego. I przez kuchenkę mikrofalową. Mówiłam ci, żeby sprawdzić, czy jest szczelna. Sprawdziłaś?

- Mamo, przestań - błagałam. - To nie jest genetyczne. I nie wzięło się od kuchenki. Po prostu się zdarza. To niczyja wina i nic się na to nie poradzi.

Nie dała się powstrzymać. Zmierzyła mnie wzrokiem.

- Jak możesz tak mówić! „Nic się nie poradzi"! Powiedz jeszcze raz, jak to się nazywa? Napisz tu. Jutro pójdę do zielarza cioci Du. Potem coś wymyślę.

Grzebała w szufladzie, szukając ołówka i kawałka papieru. Już chciałam zaprotestować, że niepotrzebnie doprowadza się do takiego stanu, ale nagle zdałam sobie sprawę, że wcale nie chcę jej powstrzymywać. Poczulałam dziwną ulgę. Właściwie nie ulgę, bo ból nadal tkwił tam, gdzie poprzednio. Matka zdierała ze mnie pancerz gniewu, najgłębiej skrywanych lęków i rozpacz. Zagarnęła to wszystko do własnego serca, tak że nareszcie ujrzałam, co zostało. Nadzieja.

W drodze na przyjęcie Bao-bao i Mimi Cleo próbuje trzymać jeden koniec prezentu, podczas gdy Tessa upiera się, że poniesie sama; w rezultacie to, co niegdyś było kompletem do martini, grzechocze teraz jak kawałki puzzli. Obie dziewczynki straciły mowę, niezdolne nawet oskarżać się wzajemnie.

Phil wzdycha, każe im usiąść przy stole. Potrząsa pudełkiem i z szerokim uśmiechem kładzie je na samym końcu stolika z prezentami.

- Pozwolimy im to po prostu wymienić na coś, co im się bardziej spodoba - szepcze figlarnie.

Ze śmiechem trzepię go po ramieniu.

- Nie można tak.

Wtedy widzę matkę nadchodzącą z prezentem. Kładzie swoje kwadratowe pudełko na innym tak, że leży teraz najwyżej ze wszystkich. Zawinęła je w błyszczącą czerwoną folię, której załamania zdradzają, że to ta sama, w którą zapakowaliśmy jej prezent gwiazdkowy.

- Mamo! - mówię, grożąc jej palcem.

- Czerwony to dobry kolor na chińskie wesele - upiera się, jakby o to właśnie mi chodziło. - Ważne, co jest w środku. A wy co przynieśliście?

- Zestaw do martini.

- A co to takiego?

- Sześć szklanek, pojemnik i łyżeczka do mieszania. Z ośmiu sztuk wychodzi osiemset.

Mama bierze jego odpowiedź za dobrą monetę.

- A ja prawie kupiłam komplet garnków, sześć sztuk. Zobaczyłam w gazecie, Emporium Capwell. Myślę sobie, co za świetny interes, tylko czterdzieści dziewięć dolarów. Potem poszłam obejrzeć - wiecie, co to było? Trzy garnki z trzema pokrywkami. Uważają, że pokrywka też się liczy za sztukę! W dodatku okazało się, że to jedna patelnia i dwa małe garnuszki. Kupiłam im zamiast tego solniczkę i pojemnik na pieprz. Z prawdziwego kryształu.

Stoimy w kolejce, sunącej wolno w stronę sali bankietowej. Matka patrzy na mnie z marsmem na czole.

- Aj-ja! Włożyłaś za lekką sukienkę - mówi, sprawdzając materiał. - Nie powinnaś się narażać na przeziębienie. Przecież ci mówiłam, powinnaś mnie słuchać.

- Ciągnie Phila za rękaw. - Zdejmij to. Daj jej swoją marynarkę. Powinieneś być lepszym mężem. Jeśli nie będziesz bardziej uważny, to kto o nią zadba?

Przymilam się:

- Oj tak, Phil.

Wzdycha z rezygnacją, ale zdaje mi się, że tak naprawdę lubi swój los i przypomnienie o obowiązkach wobec mnie.

Matka puka go w ramię.

- Powinieneś jej takie kupić - mówi, pokazując głową na tył czyjegoś długiego futra z norek.

- To jest źle widziane - odpowiada Phil z uśmiechem.

- Ale byłoby jej ciepło.

- Tylko napytałaby sobie biedy.

- Ale byłoby jej ciepło - upiera się matka.

Podczas przyjęcia musimy krzyczeć do siebie w jaskiniowym półmroku restauracji. Już czwarty raz jeden z pięciu ex aequo pierwszych drużbów, jak nazwał ich Bao-bao, stuka w mikrofon i woła:

- Panie i panowie, proszę o chwilę uwagi.

Mikrofon trzeszczy i zamiera, jęk przechodzi po Sali i wszyscy wracają do rozmów, ale współpierwszy drużba odzywa się nosowym głosem:

- Działa? Panie i panowie, jak wiecie, nazywam się Gary. Spotkałem Rogera w college'u, będąc jeszcze brzdącem z Brooklynu. Nie z wyboru, lecz przez czysty przypadek zostaliśmy współlokatorami. Dzięki mnie Roger poznał kuchnię bogów, czyli bajgle i wędzonego łososa, on zaś zaznajomił mnie - zgadnijcie z czym? - z kurzymi łapami i chrabąszczami.

Drużba zalewa nas potokiem porównań etnicznych. Bao-bao uśmiecha się od ucha do ucha, zadowolony, że tak dobrze się bawią jego kosztem. Wyglądał zupełnie tak samo, kiedy pozwoliłyśmy mu z Mary bawić się z nami w szpital. Był rozanielony i zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że zrobiliśmy z niego pacjenta, który umiera w pierwszych pięciu minutach.

Phil przewraca oczami i mruczy nieco za głośno:

- Dojdźże wreszcie do sedna.

Widzę, że matka się śmieje, chociaż może robi to tylko dlatego, że wszyscy uprzejmie chichoczą. A może wcale nie chodzi o uprzejmość? Może rzeczywiście podobają im się takie dowcipy?

- Udawaj po prostu - mówię Philowi. - Wytyczne na dziś wieczór to być miłym.

- Co? Ja nie jestem miły? - mruga oczami niewinnie oskarżony mężuś.

- W końcu to wesele - przekonuję, uświadamiając sobie jednocześnie, że jakiś dziwny przymus każe mi bronić Bao-bao.

- Ja poznałem Rogera z „aj-waj”, on mnie z „aj-ja”. Ale wierzcie mi, że i tak Roger zostanie moim dłużnikiem, bo to ja przedstawiłem mu tę piękną damę, która dziś jest szczęśliwą panną młodą. Panie i panowie, przedstawiam wam Mimi Wong Kwong!

Mimi wstaje chwiejnie, twarz ma już zaróżowioną od zbyt wielkiej ilości szampana. Jej suknia ślubna przypomina kostium z „Nędzników”: potargane strzępy jedwabnej gazy w odcieniu wyblakłej kości słoniowej. Bao-bao patrzy na nią z uwielbieniem.

- Ha-bu? - słyszę, jak Tessa zwraca się do matki. - Co się stało tamtej pani? - pyta, pokazując na Mimi.

- Wychodzi za mąż! - woła matka w odpowiedzi.

- Nie, nie o to mi chodzi. Dlaczego ona ma kółko w nosie? Ale dziwaczna.

Matka przygląda się pannie młodej krytycznie.

- A, to - mówi i zastanawia się przez chwilę. - Jest dziwaczna, bo nie słuchała matki - wyjaśnia w końcu.

- To prawda - podchwytuje Phil. - Spójrz na swoją mamę. Słuchała Ha-bu i nie zdziwaczała.

Tessa przygląda mi się z nowym szacunkiem. Drużba znów dorwał się do mikrofonu.

- Teraz chcielibyśmy przedstawić najbliższą rodzinę. Ze strony Mimi mamy ojca panny młodej, pana Thomasa C. Y. Wonga z agencji „Przyjazna podróż”, wraz z uroczą żoną Maggie.

Wszyscy klaszczą.

- Bardzo młodo wygląda.

Słuchamy teraz nie kończącej się listy nazwisk, klaszcząc uprzejmie każdej ciotce i wujkowi Mimi, z których większość, jak się wydaje, pochodzi z Arizony, kraju kaktusa, odległego od Chin tak daleko, jak tylko można to sobie wyobrazić. Potem Gary bierze się do rodziny Rogera, z miną konferansjera głaszcząc wuja Henry'ego po ramieniu.

Wuj, sztywny w wypożyczonym smokingu, kłania się i macha, po czym szybko siada z powrotem. Ciocia Helen uśmiecha się szeroko, dyga i rozdaje całusy. Cała

szczęśliwa, kręci się w jasnozielonej sukience z szyfonu, zdobnej przy staniku poskręcanyimi rzędkami naszywanych perełek. Widzę, że włożyła też kolczyki z cesarskich jadeitów, o których wspominała matka.

Teraz Frank, Mary, Doug i ich dzieci zrywają się z miejsc, uśmiechają i machają. Klaszczę, zastanawiając się, kiedy wreszcie skończą się te tortury. Wiem, co zaraz nastąpi.

Pierwszy družba ex aequo mówi właśnie:

- Poprosimy teraz o powstanie ciotkę pana młodego, Winnie Louie! Słyszałem, że to na niej spoczywa odpowiedzialność za przepiękne kompozycje kwiatowe na naszych stołach.

Matka wstaje i kłania się nieśmiało. Dziś rano głośno narzekała na tę dodatkową pracę w kwiaciarni, z którą musiała zdążyć na wieczorne przyjęcie.

- Helen zażyczyła sobie róż! Różowych, żółtych i białych - fukała. - Pytam: „A nie łaska tylko żółtych? A czemu by nie goździki?”

- Dzięki, ciociu! - woła Bao-bao i matka macha do niego. Ma dumną minę.

- Dziś wieczorem gościmy tu również ulubioną kuzynkę Rogera...

Zaczynamy wstawać. Właśnie przechodzi mi przez myśl, że daliśmy się wciągnąć w ten banał, kiedy obcas zaplątuje mi się w dywan. Phil łapie mnie w ostatniej chwili. Po sali przebiega wielkie „Ooo!”, tak głośne, że gdyby wszystkie dotychczasowe mierzono śmiechometrem, na pewno byśmy wygrali. Siadam zażenowana.

- Nic ci nie jest?

To dopada do mnie zdyszana Mary. W tym momencie zdaję sobie sprawę: zapomniałam.

- Wszystko w porządku - mówię.

Mary patrzy na mnie z niemą troską.

- Naprawdę. To nie SM, tylko wysokie obcasy. Widzisz? - pokazuję jej pantofel.

- Ojej, no to w porządku - uśmiecha się z zakłopotaniem.

- Mary - odzywam się najcierpliwiej, jak potrafię - to, że mam SM, wcale nie chroni mnie od zwykłej niezdarności.

Śmieje się.

- Oj, wiem, wiem. Po prostu sprawdzałam, no wiesz. Jeśli o tym mowa, to mało nie skręciłam sobie raz karku, schodząc po schodach w centrum handlowym...

- Mary, nic się nie stało - powstrzymuję ją ruchem ręki. - Przestań się tak wysilać.

- To znaczy?

Widzę, że matka patrzy na mnie, i nie mogę się powstrzymać:

- Jeżeli o to chodzi - mówię sztucznie oficjalnym tonem - nie powinnaś sobie mną robić kłopotu.

Matka grozi mi palcem, a Mary nadal się uśmiecha, nie rozumiejąc, dlaczego chichoczę. Robi mi się głupio.

- Przepraszam - mówię. - Może porozmawiamy o tym później.

W tej chwili słyszę szelest szyfonu i atłasu. Ciocia Helen kładzie mi rękę na ramieniu.

- Wystarczy wam jedzenia? - pyta, przyglądając się spustoszeniom na naszym stole.

Wiele potraw stoi nietkniętych, a na głowie kaczki zawiązano serwetkę - to Cleo namówiła do tego moją matkę.

- Za dużo - narzeka matka. - Co za marnotrawstwo.

Ciocia Helen promienieje, biorąc to za komplement.

- To wina rodziców Mimi. Uparli się na dwanaście dań. Plus zupa! I ciasto! Mówię: „Za dużo, za dużo”, ale oni na to: „Robimy po amerykańsku, płaci rodzina dziewczyny”. No i co miałam robić? Aj! Kto nie zjadł tego ostatniego eskalopka? Za dobry, żeby się miał zmarnować. Winnie-ah, to dla ciebie.

- Nie mam już miejsca - odpowiada matka, zajęta poprawianiem kokardy Cleo.

- Ależ weź - nalega ciocia Helen.

- Nieświeża - krzywi się matka.

Ciocia Helen marszczy brwi i wrzuca sobie nieszczęsny eskalopek do ust.

- Widzisz? - mówi matka, patrząc na nią. - Nie ma smaku. Prawda?

Ciocia żuje z namysłem.

- Trzeba żuć i żuć! - dorzuca matka.

Ciocia Helen odwraca się do mnie.

- Twoja matka to świetna kucharka - mówi szeptem. - Dlatego tak trudno jej docenić inne dobre rzeczy. Mówiłam jej już, że jak pojedziemy do Chin, to jedzenie może okazać się zupełnie inne niż to, które pamięta. Wszystko się pozmieniało.

- Jedziecie do Chin? Mamo, nie wspomniałaś mi o tym.

- Ach! Tak tylko mówiłyśmy - odpowiada matka. - Powiedziałam tylko „może”. Wcale nie jedziemy na pewno.

- Powiedz matce, żeby ze mną pojechała - mówi ciocia, nie zwracając na nią uwagi. - Ta ostatnia przysługa. No, wiesz. - Ciocia rzuca mi bohaterskie spojrzenie i wzdycha. - Zresztą rodzice Mimi mają tę agencję turystyczną, więc jeśli się wybierzemy, to może dadzą nam zniżkę. - Podnosi pałeczkami zatłuszczoną fasolkę i turla ją tam i z powrotem. - Mogę odwiedzić miejsce, w którym się urodziłam - mówi - i wydać bankiet w wiosce. Słyszałam, że za jedno dwieście dolarów możesz podjąć pięćdziesiąt osób - dwanaście dań, najlepsze jedzenie. Można się pokazać tanim kosztem. - Śmieje się do siebie.

- Te! Trzysta! - prostuje matka. - Ceny podskoczyły.

- No to nawet trzysta. I tak świetny interes - mówi zrozpaczonym głosem ciocia, po czym zwraca się do mnie: - Zresztą, to nie jedyny powód, żeby jechać.

Czeka, żeby ją zapytać.

- Wobec tego po co jedziecie?

- Mamy zamiar kupić chińskie lekarstwo - wyjaśnia ciocia. - Rzadkość, nie dostaniesz tego tutaj.

- Lekarstwo na co?

- Ciocia Helen chce sprawdzić, czy nie mają czegoś na jej mózg - mówi matka bez zmrużenia powiek.

- A, tak.

- Chińskie leki potrafią wykurować wszystko - zapewnia ciocia Helen. - Znałam pewną panią, co miała jakiegoś kobiecego raka. Chodziła tutaj do doktorów, ale nic nie mogli poradzić. Chodziła się modlić do kościoła - nic. Pojechała do Chin, piła co dzień jedno lekarstwo i rak zniknął. Następnym razem dostała raka płuc i znowu się wyleczyła.

- A co brała?

- O, tego nie wiem. Powiedziała mi tylko, że paskudnie smakowało. Teraz już jej nie zapytasz. Zmarła na wylew. - Ciocia wstaje nagle. - Pearl, pomóż mi pokroić tort - mówi surowo i zanim mam szansę zaprotestować, bierze mnie za łokieć.

W ten sposób znajduję się wraz z ciocią naprzeciw plastikowej pary młodej, ustawionej na piramidzie białego lukru. Słyszę nieuniknione:

- Teraz muszę wyznać ci pewien sekret.

- Nie ciociu, żadnych sekretów - mówię ze śmiechem.

- Na chiński Nowy Rok postanowiłam sobie: nigdy więcej tajemnic.

Ciotka ściąga brwi.

- Na chiński Nowy Rok nie robi się żadnych postanowień, to amerykański zwyczaj - mówi, po czym uśmiecha się nieśmiało. - W dodatku to dobry sekret, o moim guzie.

Jak mam jej powiedzieć, że nie chcę słuchać?

- Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że nie jedziemy z twoją matką do Chin przez mój guz.

- Nie jedziecie?

- Nie, nie. Mam na myśli, że nie jedziemy dla mnie, jedziemy dla ciebie.

Widząc moje zaskoczenie, dodaje:

- Widzisz, to jest tak. Twoja matka chciała jechać do Chin, żeby znaleźć dla ciebie lekarstwo. Uważa, że ta cała choroba pochodzi od niej, od jej niezrównoważonej natury. To niezrównoważenie zaczęło się w Chinach, tak jej się wydaje. Nie chce jechać sama, więc powiedziałam, że i ja muszę jechać przez mój guz. Ona na to: „A tak, twój guz”. Mówię jej, że powinna zrobić to dla mnie i pojechać ze mną, żebym miała spokojne sumienie, może już ostatni raz. Jak mogłaby odmówić? Ale wiesz co?

- Co?

- Ja wcale nie mam guza. - Rozrzuca ręce.

- Co?!

- Tak jest. Wymyśliłam go! Och, przez chwilę miałam porządnego stracha. Obejrzałam zdjęcia rentgenowskie. Kiedy zdawało mi się, że umrę, zaczęłam się zastanawiać: „I co wtedy, i co wtedy”. Myślałam sobie: „Czego to ja zapomniałam?” I wiesz co? Zapomniałam podziękować twojej matce za te wszystkie lata. Taka z niej dobra przyjaciółka.

- Nie rozumiem. Co to wszystko ma wspólnego z dziękowaniem?

- No, ty miałaś sekret, ona miała sekret. Powiedziałam, że umrę, żebyście obie musiały sobie wyznać prawdę. No, nie było tak? Uwierzyłaś mi, co?

Śmieje się do siebie jak niegrzeczna dziewczynka. Kiwam głową, wciąż nie bardzo rozumiejąc, do czego to wszystko zmierza.

- Stałyście się sobie dużo bliższe, matka i córka. Już to widzę. Właśnie w ten sposób chciałam jej podziękować. Znasz ją przecież, tak trudno jej dziękować albo doradzać.

Zaczynam powoli rozumieć.

- Czy matka wie, że tak naprawdę nigdy nie sądziłaś, że masz guza mózgu?

Ciocia śmieje się i kręci głową, zadowolona, że jej kłamstwo pozostało nietknięte.

- Rzecz jasna, kiedy pojedziemy do Chin, musisz udawać, że wykurowało mnie magiczne źródło, to samo, które wyleczyło i ciebie. Inaczej ona strasznie się rozzłości, że ją tam zaciągnęłam.

- Jak to: ja mam udawać?

- No przecież też jedziesz! Po co matka miałaby jechać bez ciebie? Robi to dla ciebie, nie dla mnie! Już ci tłumaczyłam. Ja tylko udaję, żeby miała wymówkę, a ty musisz udawać, że jedziesz ze względu na mnie. Ale tak naprawdę powinnaś zrobić to dla niej. Należy jej się to po tych wszystkich zmartwieniach, jakich jej przysporzyłaś. Oczywiście nigdy nie powinnaś jej o tym wspominać. To zostanie tylko między nami.

Śmieję się, ogłupiała i zaplątana w nieskończone łańcuchy kłamstw. Może to zresztą nie kłamstwa, tylko ich rodzaj lojalności; poświęcenia ponad wszystko, co można wypowiedzieć, wszystko, co kiedykolwiek uda mi się pojąć.

- To dobry sekret - mówi ciocia Helen. - Nie wydaje ci się?

Grozę jej palcem.

- Chyba tak - odpowiadam w końcu.

I tak naprawdę nie wiem, na co właściwie się godzę, ale dobrze mi z tym.

Phil zabrał już dziewczynki do domu. Ja i mama pojedziemy z ciocią Helen. Pakujemy w kartony resztki jedzenia, żeby je wziąć do domu.

- Rybę możesz zostawić - mówi matka. - Ryba na parze nie smakuje już tak dobrze następnego dnia.

- Weź, weź - upiera się ciocia Helen. - Jutro zobaczymy, czy rzeczywiście straciła smak.

- Ależ ona jest z pary - protestuje matka.

- Obsmażana z wierzchu - mówi ciotka, ignorując jej sprzeciw.

Nie chcę się w to mieszać, więc zajmuję się kurczakiem i wieprzowiną i dolewam sobie jeszcze herbaty chryzantemowej, zanim kelnerzy zdążą ją wynieść.

- To dopiero dobra herbata - mówię, próbując sprowadzić rozmowę na neutralny grunt.

- Och, nie kosztowałaś prawdziwej herbaty, jeśli nie byłaś w Hangczou - odpowiada matka. - Najlepsza herbata na świecie.

Ciocia Helen zaświeciły się oczy.

- Och, powinniśmy znów wybrać się do tego magicznego źródła. Winnie-ah, pamiętasz? Kiedy mieszkaliśmy w Hangczou? Woda była ciężka jak złoto - wyjaśnia mi. - Twoja matka też jej kosztowała.

- Za słodka - mówi matka. - Dodają za dużo cukru.

- Żadnego cukru, tylko nasiona kwiatów - protestuje ciocia. - Bardzo rzadki gatunek. Kwitnie raz na dziewięć lat, czy jakoś tak. Rozgniatali nasiona i dodawali do wody.

- Do tego okropnie droga - ciągnie matka. - O, tyle - pokazuje pojemność naparstka - i już musiałaś płacić mnóstwo pieniędzy.

- Ale to zupełnie wystarczyło - dodaje ciotka. - Przełykałaś i czułaś, jak idzie w środku, zmieniając wszystko po drodze - żołądek, serce, umysł. Wszystko nabierało słodczy.

- Spokój - mówi matka. - Wszystko w środku robiło się spokojne, żadnych trosk, żadnych smutków.

- Mama z pewnością trochę ci kupi.

- Jeśli pojedziemy - przypomina jej matka.

Ciocia Helen się śmieje.

- Jeśli pojedziemy. Poza tym, jeśli uda nam się je znaleźć. Może już sobie nie przypomnę?

- Ja pamiętam - mówi matka.
- Pamiętasz? - Ciocia Helen robi zasepioną minę.
- Oczywiście. Wiem dokładnie.
- Jakim cudem? Przecież to ja cię tam zabrałam.
- Znajdę.

Patrzę, jak się kłóć, chociaż to pewnie nie kłótnia. Wspominają razem, razem marzą. Już to widzą, idą pod górę, są młode i wierzą, że czeka je szczęśliwe życie. Woda jest właśnie taka, jak sobie obiecywały - ciężka jak złoto i słodka jak nasiona rzadkiego kwiatu.

Ja też czuję ten smak. Jeden łyk i pamiętasz na zawsze - wszystkie rzeczy, które, wydawałoby się, umknęły ci z pamięci, ale tak naprawdę nigdy nie zginęły. Wszystkie nadzieje, które wciąż da się odnaleźć.

XXVI

Bez trosk

Przyszła dziś do kwaciarni nowa klientka. Kupiła same drogie rzeczy: wielkie bukiety i drzewka mandarynkowe na otwarcie restauracji. Dziś zadzwonił też do mnie z pracy mąż Pearl, pytając, czy na przyszły weekend nie zajęłabym się dziećmi, bo oni chcą urządzić sobie drugą podróż poślubną. Potem jadłam z Helen resztki z przyjęcia weselnego Bao-bao.

- Miałaś rację - powiedziała. - Ta ryba nie smakuje już tak dobrze następnego dnia.

Myślę sobie - a to szczęśliwy dzień.

Nagle Helen mówi:

- Muszę ci coś wyznać. Widzisz, wiele rzeczy mówiłam nie tak, jak należało.

Poczułam, że szczęście dopisuje mi coraz bardziej.

- Zawsze ci wmawiałam, że Wen Fu nie był takim złym człowiekiem, nie aż tak, jak twierdziłaś - ciągnęła. - Ale tak naprawdę dobrze wiedziałam. Był zły. Był okropny!

- Pomachała ręką przed nosem, jakby odpędzała przykry zapach.

Ach, więc Helen wyznaje wszystko. Myśli, że umrze, więc nareszcie mówi prawdę!

- Próbowałam cię przekonać, że to miły człowiek. Mówiłam, że to tamten wypadek tak go odmienił. Wiesz, dlaczego?

- Nie widziałaś jasno! - odparłam. - Nie wiedziałaś, ile się nacierpiałam, i że nigdy nie mogłam zapomnieć. Wreszcie przejrzałaś na oczy.

- Mówiłam tak, żebyś nie obwiniała Pearl.

- O czym ty gadasz? - pytam, nagle przestraszona. - Dlaczego miałabym ją obwiniać?

- Bo gdybyś uznała, że Wen Fu urodził się zły, to mogłabyś pomyśleć to samo o Pearl. Teraz widzę, że się myliłam. Zawsze go nienawidziłaś, a ją zawsze kochałaś. Nie przypomina go ani trochę. Teraz nie muszę się już martwić. Mogę być szczerą. To był podły, bardzo zły człowiek.

- Zawsze o tym wiedziałaś? - zapytałam. - O tym, że być może Wen Fu jest jej...

- Oczywiście! - mówi ze zmarszczonym czołem. - Jak mogłam nie wiedzieć? Nie jestem taka głupia. Wchodzę do pokoju, on tam stoi, a ty z oszalałą miną trzymasz w ręce pistolet. A potem, przez te wszystkie lata, widziałam, jak walczysz o Pearl. Chciałaś, żeby była twoja, tak na wszelki wypadek. Samuela nigdy tak nie traktowałaś. Córki to co innego, rzecz jasna, ale i tak wiedziałam.

- Ciocia Du też?

Skinęła głową.

- Aj, jak mogłyście wiedzieć i nigdy nie pisnąć ani słówkiem?

Helen głaszcze mnie po ręce.

- Hej, mała, jak możesz zadawać takie pytania?

Po obiedzie powiedziałam Helen, że wybieram się po zakupy.

- Dokąd? Może i ja się wybiorę?

- Jeszcze nie wiem - odparłam.

- Świetnie, właśnie tam chciałam iść.

W ten sposób znalazłyśmy się w sklepie obok, w Towarzystwie Handlowym Sam Fook. Pani Hong otworzyła od razu kasę, myśląc, że przyszłyśmy rozmienić dwudziestodolarowe banknoty.

- Nie, nie, tym razem przyszłam po zakupy, coś dla mojej córki.

Pani Hong uśmiechnęła się szeroko. Helen też. Stałam przed porcelanowymi posążkami Buddy, bogini miłosierdzia, boga pieniędzy, boga wojny i innych.

- Szukasz czegoś do dekoracji czy do modlitwy? - spytała pani Hong. - Do modlitwy mogę dać trzydzieści procent upustu, do dekoracji ta sama cena.

- Do modlitwy - powiedziała natychmiast Helen.

- Nie tylko dla ozdoby - potwierdziłam. - Naprawdę - zwróciłam się do Helen. - To dla Pearl. Szukam czegoś na środek tego małego czerwonego ołtarzyka. Obiecałam cioci Du. Myślałam o tym od dawna, jeszcze zanim Pearl powiedziała mi o chorobie.

Przypomniałam sobie jeszcze raz ten moment, w którym dowiedziałam się o SM. Och, byłam zła. Byłam smutna. Obwinałam siebie. Obwinałam Wen Fu. Kiedy Pearl pojechała do domu, wybuchnęłam płaczem.

Nagle zobaczyłam obrazek kuchennego boga. Patrzył na mnie i śmiał się, zadowolony z mojego nieszczęścia. Wyjęłam obraz z ramy i położyłam na kuchence.

- Idź się zobaczyć z Wen Fu! Idź prosto do piekła!

Patrzyłam, jak jego uśmiechniętą twarz zżerają płomienie. Wtem włączył się mój wykrywacz dymu. Ła! Ła! Ła! Och, ależ się przeraziłam! Myślałam, że to Wen Fu po mnie idzie.

Ale potem posłuchałam jeszcze raz i teraz już wiedziałam. To nie duch Wen Fu. To jak trafienie w bingo, jak wygrana na loterii. To żona kuchennego boga wołała: tak! tak! tak!

- Czym się zajmuje twoja córka? - zapytała pani Hong.

- Och, ma ważną pracę, w szkole - odparłam.

- Wysokie stanowisko - dodała Helen. - Jest bardzo mądra.

- Wobec tego ten się nada, Wen Ch'ang, bóg literatury. Bardzo popularny w szkołach.

Potrząsnęłam głową. Po co wybierać imię Wen, jak Wen Fu?

- Myślałam o czymś uniwersalnym - wyjaśniłam.

- No to bogini miłosierdzia. - Pani Hong pogładziła głowy swoich bogiń. - Powodzenie, dobre dzieci i inne rzeczy. Mamy ich wiele, w różnych rozmiarach. Ta jest ładna, za trzydzieści dolarów. Ta bardzo ładna kosztuje dwieście sześćdziesiąt pięć. Proszę wybrać.

- Nie chodziło mi o boginię miłosierdzia. Szukam czego innego.

- Czegoś, co przynosi powodzenie finansowe? - podsunęła pani Hong.

- Nie, nie tylko pieniądze, nie tylko powodzenie - dorzuciła Helen.

Patrzemy po sobie. Helen nie mogła znaleźć słów, ja ich nie mogłam wypowiedzieć.

- Może jednego z ośmiu nieśmiertelnych? - powiedziała pani Hong. - Albo od razu wszystkich, będzie miała komplet.

- Nie. Szukam bogini, której nikt nie zna. Może ona nawet nie istnieje.

Pani Hong westchnęła.

- Przykro mi, tego nie mamy.

Była rozczarowana. Ja też. Helen także. Nagle pani Hong klasnęła w ręce.

- Gdzież moja głowa!

Poszła na zaplecze, wołając do mnie:

- Tu stoi. Fabryka się pomyliła. Oczywiście, to bardzo ładny posążek bez szczerb i pęknięć, ale zapomnieli pod krzesłem napisać jej imię. Mój mąż tak się zdenerwował. Mówił: „I co mamy z tym zrobić? Kto kupi pomyłkę?”

Więc ja kupiłam pomyłkę. Naprawiłam ją. Swoimi złotymi farbami wypisałam na cokolicu jej imię. Helen kupiła dobre kadzidło, nie jakieś tanie, tylko najlepsze. Widziałam tę damę sadowiąca się w nowym domu, na ołtarzu czerwonej świątyni, z dwiema świecami oświetlającymi jej twarz. Tutaj zamieszka, ale nikt nie będzie jej nazywał kuchenną boginią. Niby czemu chciałyby nosić nazwisko męża, skoro są po rozwodzie?

Kiedy Pearl przywiozła dzieci na weekend, powiedziałam do jej męża:

- Idź oglądać z dziećmi telewizję, ja muszę dać córce pewne lekarstwo.

Zabrałam ją na górę, do swojej sypialni.

- Pearl-ah, tu masz chińskie leki. Kładziesz ten tampon na ramionach i nogach i zioła wnikają w skórę. Codziennie powinnaś też pić gorącą wodę. Trzy, cztery razy.

Masz za chłodną energię. Tylko gorąca woda, bez herbaty czy kawy. Słuchasz? Na co patrzysz? A, na posążek. Nie widziałas go nigdy przedtem. Tak, jest prawdziwy. Gustowna, delikatna porcelana. I w dobrym stylu. Widzisz, z jakim wdziękiem siedzi na krześle? Chyba jej wygodnie. Przyjrzyj się krzesłu, takie czarne, bez żadnych zmartwień. Pewnie dawniej martwiła się niemało. Słyszałam, że spotkało ją w życiu wiele ciężkich chwil. Może przez to ma farbowane włosy. Ale jej uśmiech jest prawdziwy, mądry i niewinny. Widzisz, jak unosi rękę? To znaczy, że właśnie chciała przemówić albo każe mówić tobie. Gotowa cię wysłuchać. Rozumie po angielsku. Powinnaś mówić jej o wszystkim.

Ależ oczywiście, że to dla ciebie! Po co miałabym sobie kupować takie rzeczy? Nie płacz, nie płacz. Nie zapłacałam zbyt wiele.

Możesz z nią rozmawiać, kiedy ogarnie cię lęk. Wysłucha cię. Łzami zmyje każdy smutek. Użyje swych różeg, żeby odegnać wszelkie zło. Nazywa się Pani Bez Trosk, Szczęście Ponad Goryczą, Żadnych Uraz Do Świata.

Pomóż mi zapalić te trzy kadzidełka. Nasze życzenia popłyną z dymem do nieba. Oczywiście, to tylko zabobon, tylko dla zabawy, ale widzisz, jak szybko wznosi się dym? O, jeszcze szybciej, kiedy się śmiejemy. Unosi nasze nadzieje coraz wyżej i wyżej.